

# Prawdy i zdrady

Nora Roberts



calibre 0.9.43



# PRAWDY I ZDRADY

Tytuł oryginału

TRUE BETRAYALS

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nic nie wskazywało na to, że list, który Kelsey wyjęła ze skrzynki, pochodzi od nieżyjącej kobiety. Zarówno kremowa papeteria, jak i ładny, wyrobiony charakter pisma, a także stempel pocztowy Wirginii nie wyróżniały się niczym szczególnym.

Najlepszy dowód, że odłożyła go z resztą korespondencji na stary belkerowski stolik, stojący pod oknem jej salonu, i zrzuciwszy z nóg pantofle, udała się prosto do kuchni, by nalać sobie kieliszek wina. Będę go wolno sączyć, zanim otworzę korespondencję, pomyślała. Nie musiała dodawać sobie odwagi, by stawić czoło temu cienkiemu listowi, reklamom i rachunkom czy wreszcie pocztówce z pozdrowieniami od przyjaciół, którym udało się wyskoczyć na krótkie wakacje na Karaiby.

Poruszyła ją przesyłka od adwokata. Przesyłka, w której - wiedziała o tym -

znajdowało się orzeczenie rozwodu. Urzędowy dokument, na mocy którego z Kelsey Monroe znowu stawała się Kelsey Byden, z mężatki - samotną kobietą, z żony -

rozwódką.

To było oczywiście głupie rozumowanie. Przecież od dwóch lat była już tylko formalnie żoną Wade'a, całe zaś ich małżeństwo trwało niewiele dłużej.

Ale dokument, znacznie bardziej niż wszystkie kłótnie i łzy, honoraria adwokatów czy procedura prawna, nadawał sprawie ostateczny charakter.

Dopóki śmierć nas nie rozłączy, pomyślała z goryczą i pociągnęła łyk wina. Co za bzdura! Gdyby to miało być prawdą, powinna umrzeć w wieku dwudziestu sześciu lat. A przecież żyje - żyje, ma się dobrze i powraca na śliski grunt randek, na które umawiają się osoby samotne.

Wzdrygnęła się na tę myśl.

Wade uczci z pewnością ich rozwód z tą swoją wystrzałową koleżanką z agencji reklamowej. Koleżanką, z którą uciął sobie romans, nie mający nic wspólnego - jak oświadczył swojej oszołomionej i wzburzonej żonie - z nią czy z ich małżeństwem.

Kelsey jednak myślała inaczej. Zapewne, żeby się rozstać, niekoniecznie musiała umrzeć czy zabić Wade'a, ale pozostałe punkty przysięgi małżeńskiej traktowała z największą powagą. A wyrzeczenie się jakichkolwiek innych związków znajdowało się na czele tej listy.

Owszem, uważała, że ta przebojowa mała Lari, z wymodelowaną przez aerobic figurem i uśmiechem

cheerleaderki miała bardzo wiele wspólnego z jej osobą.

Nie dała Wade'owi szansy, choć zapewniał, że jego „poślizgnięcie” - jak to określił - nigdy się już nie powtórzy. Opuściła natychmiast ich śliczny dom w Georgetown, pozostawiając w nim wszystko, co wspólnie zgromadzili.

Nagły powrót do domu rodzinnego, do ojca i macochy, był poniżający. Ale istnieją różne stopnie dumy. Podobnie jak różne stopnie miłości. A jej miłość zgasła jak światło w chwili, gdy zastała Wade'a „bratającego” się z Lari w pokoju hotelowym w Atlancie.

Zaskoczenie, pomyślała szyderczo. No tak, aż trzy osoby były niezwykle zaskoczone, gdy wkroczyła do pokoju hotelowego męża z torbą podróżną i idiotycznie romantycznym zamiarem spędzenia z nim weekendu w czasie jego podróży służbowej.

Może i była nieustępliwa, zawzięta i zatwardziała (co zarzucał jej Wade), nie zgadzając się na żadne ustępstwa i żądając rozwodu. Ale miała przecież swoje racje -

upewniała teraz samą siebie.

Dopiła wino i wróciła do salonu swojego doskonale urządzonego mieszkania w Bethesdzie. W tym zalanym słońcem pokoju nie było ani jednego przedmiotu - krzesła czy świecznika, który pochodziłby z Georgetown. Totalne zerwanie. Tego właśnie chciała. Chłodne kolory i stare ryciny, które ją otaczały, należały wyłącznie do niej.

Grając na zwłokę, włączyła stereo, uruchomiła automatyczny zmieniacz płyt kompaktowych i wypełniła pokój dźwiękami sonaty *Patetycznej* Beethovena.

Zamiłowanie do muzyki poważnej wpoił jej ojciec. Była to jedna z wielu więzi, które ich łączyły. Łączyło ich także umiłowanie wiedzy. Nic dziwnego, że zanim podjęła pierwszą istotną pracę w Monroe i S - ka, obawiała się, że zostanie wieczną studentką.

Ale i wtedy odczuwała wewnętrzny przymus uczenia się; chodziła więc na rozmaite wykłady - od antropologii po zoologię. Wade śmiał się z niej. Był wyraźnie zaintrygowany i ubawiony jej nie kończącym się przeskakiwaniem z kursu na kurs, z pracy do pracy.

Zrezygnowała z firmy Monroe po zamążpójściu. Dzięki własnym środkom i dochodom Wade'a nie musiała pracować. Pragnęła poświęcić się urządzaniu domu, który kupili. Chciała mu nadać nową formę i nowy wystrój. Cieszyła się każdą chwilą spędzoną na zeskrobywaniu starej farby, polerowaniu schodów, wyszukiwaniu w zakurzonych antykwariatach tego jedyne go przedmiotu przeznaczonego w to jedno jedyne wybrane miejsce. Pielęgnowanie skrawka ziemi na tyłach domu, szorowanie cegieł, wyrywanie chwastów i projektowanie czegoś na kształt ogrodu angielskiego sprawiało jej prawdziwą radość. W ciągu niespełna roku mogła poszczycić się swoim dziełem - świadectwem jej smaku, wysiłku i wytrwałości.

A teraz dom ten stał się po prostu częścią ich wspólnego - oszacowanego i podzielonego - majątku.

Wróciła na uniwersytet, do tej akademickiej przystani, w której na kilka godzin dziennie mogła się

schronić przed prawdziwym światem. Dzięki zaliczonym wykładom z historii sztuki zaczęła pracować na półetatu w galerii narodowej.

Nie musiała pracować, w każdym razie nie dla pieniędzy. Środki, które odziedziczyła po dziadku ze strony ojca, wystarczały jej w zupełności. Mogła więc zmieniać zainteresowania wedle uznania.

Była kobietą niezależną. Młoda i... samotną, pomyślała, zerkając na stertę korespondencji. Mając kwalifikacje, by móc się zajmować wszystkim i niczym.

Jedyne, w czym, jak sądziła, była naprawdę doskonała, a mianowicie jej małżeństwo, okazało się żalonym nieporozumieniem.

Wzięła głęboki oddech i podeszła do stolika. Postukała lekko w przesyłkę od adwokata długimi, wąskimi palcami, wyćwiczonymi podczas lekcji gry na fortepianie i lekcji rysunku; palcami, które nauczyły się pisać na maszynie, przyrządzać wyszukane potrawy i posługiwać się komputerem. Bardzo wprawna dłoń, która niegdyś nosiła obrączkę ślubną!

Kelsey ominęła grubą kopertę. Zignorowała wewnętrzny głos pomawiający ją o tchórzostwo. Sięgnęła natomiast po list zaadresowany odręcznie. Pismem dziwnie przypominającym jej własne! Zamaszystym, z zawijasami, starannym, lecz nie pozbawionym fantazji. Bez większego zainteresowania rozdarła kopertę.

*Droga Kelsey, zdaję sobie sprawę, że możesz być zaskoczona wiadomością ode mnie...*

Czytała dalej. W jej początkowo prawie obojętnym wzroku pojawiło się zdumienie, a następnie niedowierzanie, które w chwilę później przerodziło się niemal w przestach.

Trzymała w ręce zaproszenie od nieżyjącej kobiety. Od nieżyjącej kobiety, która była jej matką...

W krytycznych momentach - odkąd tylko pamięta - zwracała się zawsze do jednej osoby. Miłość i zaufanie do ojca były stałymi elementami jej niespokojnej natury. Nigdy jej nie odstępował; stanowił nie tyle bezpieczne schronienie podczas burzy, ile raczej pewną rękę, którą można było trzymać, czekając, aż zawierucha ucichnie.

Jej najwcześniejsze wspomnienia wiązały się z jego osobą - z jego przystojną, poważną twarzą, jego delikatnymi dłońmi i spokojnym, nieskończenie cierpliwym głosem. Pamiętała, jak wiązał kokardy na jej długich, prostych włosach, jak rozczesywał jej Jasnoblonde warkocze, a wokół rozbrzmiewała ze stereo muzyka Bacha czy Mozarta. To on najskuteczniej leczył pocałunkami jej dziecięce skaleczenia, on nauczył ją czytać, jeździć na rowerze, on osuszał jej łzy.

Uwielbiała go, była wprost szaleńczo dumna z jego osiągnięć dziekana anglistyki Uniwersytetu Georgetown.

Nie odczuwała zazdrości, gdy ożenił się ponownie. Miała wtedy osiemnaście lat i uznała, iż to cudowne, że w końcu spotkał kogoś, kogo pokochał i z kim zechciał

dzielić życie. W swoim sercu i w domu Kelsey zrobiła miejsce dla Candace, dumna w skrytości

ducha z własnej dojrzałości i altruizmu, które okazała, akceptując macochę i przybranego brata.

A może nie było to takie trudne, ponieważ w głębi serca wiedziała i czuła, że nic i nikt nie osłabi więzi łączącej ją z ojcem.

Nic i nikt, myślała teraz, oprócz matki, o której sądziła, że nie żyje.

Gdy po chwili przedzierała się w największym ruchu ku przepysznym, iście królewskim rezydencjom w Potomac, w stanie Maryland, czuła się oszukana, zdradzona i wściekła. Wybiegła z domu bez płaszcza, zapomniała włączyć w samochodzie ogrzewanie. Pomimo jednak chłodnego lutowego wieczoru nie było jej zimno. Zaróżowione z gniewu policzki ładnie kontrastowały z jej porcelanową karnacją i niebieskoszarymi oczami.

Bębniła nerwowo palcami po kierownicy, czekając na skrzyżowaniu, aż zmienią się światła. Spieszyła się, bardzo się spieszyła. Jej pełne wargi zamieniły się w cienką kreskę, gdy zaciskając je, za wszelką cenę starała się nie myśleć.

To się na nic nie zda. Myślenie, że jej matka żyje, żyje i mieszka o godzinę drogi stąd, w Wirginii, na pewno nie wyjaśni całej tej okrutnej zagadki. Musi przestać o tym myśleć, bo w przeciwnym razie zacznie krzyczeć i wyc.

Ale gdy przejeżdżała wysadzaną majestatycznymi drzewami ulicą, gdzie spędziła dzieciństwo, gdy wjeżdżała w aleję prowadzącą do dwupiętrowego ceglanoego domu w kolonialnym stylu - domu, w którym dorastała, drżały jej ręce.

Z lśniącymi oknami i białymi framugami czystymi jak dusza wyglądał on kojąco i spokojnie niczym kościół. Unosił się nad nim dym z rozpalonego na wieczór kominka, a pierwsze nieśmiałe krokusy wychylały delikatne listki wokół starego wiązu rosnącego od frontu.

Idealny dom w doskonałym otoczeniu - zawsze tak o nim myślała. Bezpieczny, solidny, w dobrym guście, z odpowiednią dozą dyskrecji i dobrobytu, a przy tym w niewielkiej odległości od podniet i rozrywek Dystryktu Kolumbii.

Wysiadła pospiesznie z samochodu, podbiegła do drzwi frontowych, otworzyła je. Nigdy nie musiała pukać do tego domu. Załedwie zrobiła kilka kroków po berberyjskim kilimie przykrywającym wykładany białymi płytami hol, gdy z salonu wyszła Candace.

Jak zwykle nienagannie ubrana. Idealna żona nauczyciela akademickiego w tradycyjnych niebieskich wełnach, z ciemnobrązowymi, zaczesanymi do tyłu włosami, odsłaniającymi jej śliczną młodą twarz ozdobioną parą skromnych kolczyków z pereł.

- Kelsey, jaka miła niespodzianka! Mam nadzieję, że zostaniesz na kolacji.

Podejmujemy dziś kilka osób z wydziału, byłabym więc zachwycona...

- Gdzie on jest? - przerwała Kelsey.

Candace zmrużyła oczy, zaskoczona tonem jej głosu. Dopiero teraz dostrzegła wzburzenie dziewczyny. Aha, to jeden z napadów złości pasierbicy. Tylko tego brakowało na godzinę przed przybyciem gości! Postanowiła natychmiast zmienić taktykę.

- Czy coś się stało?

- Gdzie ojciec?

- Jesteś wytrącona z równowagi. Czy znowu chodzi o Wade'a?

- Zbyła problem machnięciem ręki. - Kelsey, rozwód nie należy do przyjemności, ale na tym przecież świat się nie kończy. Wejdz i usiądź.

- Nie chcę siadać, Candace. Chcę rozmawiać z ojcem. - Kelsey zacisnęła dłonie.

- Powiesz mi, gdzie on jest, czy mam go poszukać sama?

Cześć, siostrzyczko. - Ze schodów zbiegł Channing. Odziedziczył po matce urodę i nie wiadomo po kim, zdaniem Candace, żądzę przygód. Kiedy Candace wychodziła za Philipa, miał dopiero czternaście lat, ale jego zawsze dobry humor i wrodzona pogoda ducha sprawiły, że cała ta „operacja” przeszła zupełnie bezboleśnie.

- Co słychać?

Żeby powstrzymać się od krzyku, Kelsey głęboko odetchnęła.

- Gdzie ojciec, Channing?

- Profesor jest w swoim gabinecie, zaszyty po uszy w jakiejś rozprawie.

Channing przyjrzał się Kelsey. Znał te oznaki wściekłości - błysk w oczach, wypieki na policzkach. Bywało, że robił wszystko, by ugasić ten ogień. Ale bywało także, że dla zabawy dolewał oliwy do ognia.

- Słuchaj, Kelsey, nie zamierzasz chyba spędzić wieczoru z tymi molami książkowymi? Zwiewajmy stąd! Zrobimy sobie małą rundkę po klubach!

Potrząsnęła głową i ruszyła wprost do gabinetu ojca.

- Kelsey! - Dobiegł ją ostry, zniecierpliwiony głos Candace. - Opanuj się na chwilę!

Nie, pomyślała Kelsey, otwierając bez uprzedzenia drzwi do sanktuarium ojca.

Nie.

Oparła się o framugę. Przez chwilę stała w milczeniu, nie mogąc wydobyć głosu. Philip siedział przy swoim ulubionym dębowym biurku. Był prawie niewidoczny zza sterty książek i stosu fiszek. W



szczupłej ręce trzymał pióro. Zawsze utrzymywał, że najlepsze teksty powstają w intymnym procesie pisania, dlatego z uporem przeciwstawiał się korzystaniu z komputera.

Jak zwykle, gdy odgradzał się od świata, jego oczy, ukryte za srebrnymi oprawkami okularów, przybierały sowi wygląd. Teraz stopniowo się rozjaśniały.

Philip uśmiechnął się do córki. Światło stojącej na biurku lampy rzucało blask na jego krótko ostrzyżone srebrzyste włosy.

- Moja dziewczynka! W samą porę! Może zechcesz przeczytać szkic rozprawy o Yeatsie. Obawiam się, że znowu się rozписаłem!

Wygląda tak zwyczajnie - tylko tyle przyszło jej do głowy. Tak doskonale naturalnie w tej swojej tweedowej marynarce i starannie zawiązanym krawacie.

Przystojny, bez zmartwień, otoczony tomami poezji i genialny.

A tymczasem jej świat, którego on był fundamentem, właśnie się rozpadł.

- Ona żyje - wykrztusiła Kelsey. - Ona żyje, a ty okłamywałeś mnie przez całe życie!

Pobladł, a jego oczy uciekły od jej spojrzenia. Przez króciutką chwilę, nie dłuższą niż jedno uderzenie serca, dostrzegła w nich strach i przerażenie.

- O czym ty mówisz, Kelsey? - Ale on wiedział, wiedział i musiał zrobić ogromny wysiłek, by to, co powie, nie zabrzmiało jak usprawiedliwienie.

- Przynajmniej teraz nie kłam! - Rzuciła się w stronę biurka. - Nie kłam! Ona żyje! Moja matka żyje i ty o tym wiedziałeś. Wiedziałeś o tym za każdym razem, kiedy mówiłeś mi, że zmarła.

Wydało jej się, że dostrzegła panikę w oczach ojca.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Od niej. - Włożyła rękę do torebki i wyjęła list. - Od mojej matki. A teraz powiesz mi prawdę?

- Czy mogę zobaczyć?

Kelsey przechyliła głowę, wpatrując się w ojca. Jej spojrzenie przeszywało go na wylot.

- Czy to prawda, że ona nie żyje?

Zawahał się; hołubił to kłamstwo, było mu tak drogie jak miłość do córki. Ale choć bardzo pragnął, by mogło być inaczej, zrozumiał, że jeśli pozostanie przy jednym, utraci drugie.

- Nie. Czy mogę zobaczyć ten list?



- Tylko tyle? - Powstrzymywane łzy napłynęły do jej oczu. - Po prostu „nie”? Po tylu latach, po tylu kłamstwach?!

Tylko jedno kłamstwo, pomyślał, a lat o wiele za mało.

- Postaram ci się wszystko wyjaśnić najlepiej jak potrafię, Kelsey. Ale chciałbym zobaczyć list.

Podawała mu go bez słowa. Po czym, nie mogąc znieść widoku ojca, odwróciła się w stronę wysokiego, wąskiego okna, przez które wpadały ostatnie refleksy światła przed nadciągającym zmierzchem.

List tak drżał w ręku Philipa, że musiał położyć go na stole. Charakter pisma był bez wątpienia ten sam. Przerażające. Czytał dokładnie, słowo po słowie.

*Droga Kelsey, zdaję sobie sprawę, że możesz być zaskoczona wiadomością ode mnie..., ale wcześniejsze skontaktowanie się z Tobą wydawało mi się nierozsądne lub co najmniej nieuczciwe. Chociaż rozmowa przez telefon byłaby może bardziej osobista, pomyślałam, że będziesz potrzebowała trochę czasu. A list pozostawia większą możliwość wyboru.*

*Gdy byłaś bardzo mała, powiedziano Ci, że umarłam. W pewnym sensie była to prawda i dlatego, aby Cię oszczędzić, pogodziłam się z tym. Minęło już jednak ponad dwadzieścia lat. Jesteś dorosła. Uznałam, że masz prawo wiedzieć, i Twoja matka żyje. Być może nie ucieszy Cię ta wiadomość. Zdecydowałam się jednak skontaktować z Tobą i nie żałuję tego.*

*Gdybyś chciała mnie zobaczyć albo po prostu zadać mi pytania, które wymagają odpowiedzi, będziesz mile widziana. Mieszkam w Three Willows Farm, niedaleko Bluemont w Wirginii. Zaproszenie jest bezterminowe. Jeśli postanowisz je przyjąć, będę Cię z przyjemnością gościła tak długo, jak tylko zechcesz. Jeżeli zaś się nie odezwiesz, uznam, i nie życzysz sobie kontaktu ze mną. Mam jednak nadzieję, iż ciekawość, jaką wykazywałaś w dzieciństwie, nie opuściła Cię i że skłoni Cię przynajmniej do rozmowy ze mną.*

*Twoja Naomi Chadwick*

Naomi. Philip zamknął oczy. Dobry Boże, Naomi.

Minęły prawie dwadzieścia trzy lata od czasu, gdy widział ją po raz ostatni, a jeszcze teraz dokładnie pamiętał wszystkie szczegóły: zapach jej perfum, który przypominał mu ocienioną, porośniętą mchem polanę w lesie; krótki, zaraźliwy śmiech, który zawsze przyciągał uwagę; srebrzystoblond włosy jak deszcz spadające na plecy; czarne niczym węgiel oczy i smukłe ciało.

Ten obraz był tak wyraźny, że kiedy otworzył oczy, wydało mu się, że ją widzi.

Serce podeszło mu do gardła - po części ze strachu, a po części z długo tłumionego pożądania.

Ale to była Kelsey, napięta, sztywna, odwrócona do niego plecami.

Czy mógł kiedykolwiek zapomnieć o Naomi? - zapytywał samego siebie.

Przecież wystarczyło spojrzeć na córkę!

Wstał i z kryształowej karafki nalał sobie szkockiej. Przechowywał ją dla gości.

Rzadko sięgał po coś mocniejszego niż kieliszeczek jeżynowej brandy. Ale teraz potrzebował czegoś, co powstrzymałoby drżenie rąk.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał córkę.

- Jeszcze nie zdecydowałam. - Stała, nadal odwrócona plecami. - Wiele zależy od tego, co masz mi do powiedzenia.

Chciałby do niej podejść, wziąć ją w ramiona, ale wiedział, że nie spotka się z serdecznym przyjęciem. Chciałby usiąść, ukryć twarz w dłoniach, lecz byłaby to oznaka słabości, zbyt cenny gest.

Bardziej, znacznie bardziej chciałby cofnąć się o dwadzieścia trzy lata i uczynić coś, cokolwiek, byle zatrzymać prześladowające go w życiu fatum.

Ale to było niemożliwe.

- To nie takie proste, Kelsey.

- Kłamstwa zwykle bywają pokrętne.

Odwróciła się ku niemu, a jego palce odruchowo zacisnęły się na kryształowej karafce. Była tak podobna do Naomi: zmierzwione jasne włosy, ciemne oczy, twarz o delikatnych rysach, zaróżowiona z emocji. Są kobiety, które najlepiej wyglądają w chwilach największego napięcia emocjonalnego.

Tak było z Naomi. Tak też jest z jej córką.

- To właśnie robiłeś przez te wszystkie lata, prawda? - ciągnęła Kelsey. -

Oklamywałeś mnie. Kłamała babcia. I kłamała ona. - Kelsey wskazała na biurko, na którym leżał list.

- Gdyby nie ten list, dalej byś mnie okłamywał.

- Tak, tak długo, jak długo uważałbym, że tak jest dla ciebie najlepiej.

- Najlepiej dla mnie? Co w tym najlepszego, że moja matka rzekomo nie żyje? I w ogóle czy kłamstwo może być dobre dla kogokolwiek?

- Zawsze umiałaś doskonale odróżniać dobro i zło, Kelsey. To wspaniała cecha.

- Przerwał, przechylił szklaneczkę. - I zatrwajająca zarazem. Już jako dziecko miałaś niezachwiane poczucie moralności. Zwykłemu śmiertelnikowi trudno jest temu sprostać.

Jej oczy zapłonęły. To, co mówił ojciec, było tak bliskie, zbyt bliskie temu, co zarzucał jej Wade.

- A więc to moja wina!

- Nie, nie. - Przymknął oczy i w zamyśleniu pocierał czoło. - Nic nie jest twoją winą, ale wszystko stało się z powodu ciebie.

- Philipie! - Rozległo się krótkie pukanie i w drzwiach stanęła Candace. -

Przyszli Dorsetowie.

- Zabaw ich, kochanie. - Zmusił się do uśmiechu. - Muszę jeszcze chwilę porozmawiać z Kelsey.

Candace rzuciła okiem na pasierbicę. Jej spojrzenie wyrażało dezaprobatę połączoną z rezygnacją.

- Dobrze, lecz pospiesz się. Kolacja jest o siódmej. Czy nakryć dla ciebie, Kelsey?

- Nie, Candace, dziękuję. Nie zostanę.

- W porządku, ale nie zatrzymuj ojca zbyt długo. - Candace zamknęła za sobą drzwi.

Kelsey wzięła głęboki oddech i wyprostowała się.

- Czy ona wie?

- Tak. Musiałem jej powiedzieć przed ślubem.

- Musiałeś jej powiedzieć - powtórzyła. - Jej tak, ale mnie nie.

- To nie była łatwa decyzja. Dla nikogo z nas. Naomi, twoja babcia i ja uznaliśmy, że tak będzie dla ciebie najlepiej. Miałaś zaledwie trzy latka, Kelsey.

Dopiero co przestałaś być niemowlęciem.

Ale od tamtego czasu zdążyłam już wydorosnąć, tato. Wyszłam za męża, rozwiodłam się.

- Nie masz pojęcia, jak szybko płyną lata. - Znowu usiadł, potrząsając szklaneczką. Przez wszystkie te lata przekonywał samego siebie, że ta chwila nigdy nie nastąpi. Że jego życie jest na tyle ustabilizowane, usatkwane, iż ta szaleńcza kołomyja nie zacznie się od nowa. Ale Naomi nie mogła się przecież usatkwować, pomyślał.

Podobnie Kelsey. A teraz wybiła godzina prawdy.

Opowiadałem ci, że twoja matka była jedną z moich studentek. Piękną, młodą, pełną życia. Dotąd nie pojmuję, co ją we mnie pociągało. Wszystko stało się tak szybko. Pobraliśmy się po sześciu miesiącach znajomości. To stanowczo za krótko, abyśmy mogli się zorientować, jak krańcowo różne są nasze charaktery. Mieszkaliśmy w Georgetown. Oboje należeliśmy do tak zwanej klasy uprzywilejowanej, ale ona miała to poczucie wolności i swobody, za którym nie nadążałem, z którym nie mogłem współzawodniczyć. Dzikość, pożądanie ludzi, rzeczy, miejsc. No i oczywiście konie...

Wypił znowu, starając się złagodzić ból towarzyszący wspomnieniom.

- Myślę, że to właśnie konie, bardziej niż cokolwiek innego, zapoczątkowały rozdźwięk między nami. Po twoim urodzeniu Naomi koniecznie chciała wrócić na farmę w Wirginii. Pragnęła, żebyś tam się wychowywała. A moje ambicje i nadzieje na przyszłość ulokowane były tutaj. Pracowałem nad doktoratem i już wtedy miałem na oku stanowisko dziekana anglistyki w Georgetown. Poszliśmy więc na kompromis i gdy tylko mogłem, spędzałem weekendy w Wirginii. Ale to nie zdawało egzaminu.

Krótko mówiąc, nasze drogi zaczęły się rozchodzić.

Pomyślał, że łatwiej i bezpieczniej będzie mu to wypowiedzieć, nie podnosząc wzroku nad szkockiej. A także mniej boleśnie.

- Postanowiliśmy się rozejść. Naomi chciała zatrzymać cię przy sobie w Wirginii, ja zaś pragnąłem, żebyś była przy mnie w Georgetown. Nigdy nie rozumiałem ludzi pasjonujących się wyścigami - tych wszystkich graczy i dżokejów, z którymi się zadawała. Walczyliśmy więc zawzięcie. A potem wynajęliśmy adwokatów.

- Proces o sprawowanie opieki rodzicielskiej? - Zdumiona Kelsey wbiła w ojca wzrok. - Walczyliście o opiekę nade mną?

- To było ohydne, niewiarygodnie podłe. Jak do tego dochodzi, że dwoje kochających się ludzi, którzy powołali do życia dziecko, staje się śmiertelnymi wrogami? Jakże żaloszny komentarz na temat ludzkiej natury. - Podniósł wzrok i wreszcie spojrzął jej w oczy. - Nie mam powodów do dumy, Kelsey, ale serce mi mówiło, że należysz do mnie. Naomi spotykała się już wtedy z innymi mężczyznami.

Krążyły plotki, że jeden z nich ma powiązania ze światem przestępczym. Taka kobieta jak ona zawsze przyciąga mężczyzn. Zdawało się, że swoją swobodą i ekscentrycznym zachowaniem prowokuje mnie i świat, jakby szukając potępienia za własną samowolę.

- Tak więc wygrałeś - odezwała się Kelsey spokojnie. - Wygrałeś Proces i mnie, po czym postanowiłeś mi powiedzieć, że ona umarła. - Znowu odwróciła się w stronę okna, za którym panowała teraz ciemność. Zobaczyła w szybie swoje odbicie.

Wyglądała jak zjawą. - Przecież w latach siedemdziesiątych ludzie się rozwodzili, a dzieci jakoś sobie z tym radziły. Mogła mnie odwiedzać. Nie powinno się było jej zabraniać spotkań ze mną.

- Nie chciała, byś ją widywała. I ja także nie chciałem.

Dlaczego? Dlatego że uciekła z którymś z tych swoich facetów?

- Nie. - Philip odstawił ostrożnie szklaneczkę na srebrną tacę. - Dlatego że jednego z nich zabiła. Dlatego że spędziła dziesięć lat w więzieniu za morderstwo.

Kelsey odwracała się powoli, bardzo powoli. Powietrze stało się nagle gęste.

- Morderstwo? Moja matka jest zbrodniarką?

- Miałem nadzieję, że nigdy nie będę musiał ci tego powiedzieć. - Wstał. W

absolutnej ciszy, jaka zapadła, słyszał chrzęst własnych kości. - Byłaś ze mną. Dziękuję Bogu, że tamtej nocy byłaś ze mną, a nie na farmie. Zastrzeliła swojego kochanka.

Nazywał się Alec Bradley. Byli w sypialni, pokłócili się, wyjęła pistolet z szuflady nocnego stolika i go zabiła. Miała wtedy dwadzieścia sześć lat, tyle co ty teraz. Uznano ją za winną morderstwa drugiego stopnia. Po raz ostatni widziałem ją w więzieniu.

Oznajmiła mi, że woli, abyś sądziła, że nie żyje. Przysięgła, że jeżeli się zgodzę na tę wersję, nie będzie się z tobą kontaktować. I dotrzymała słowa, aż do dziś.

- Nic z tego nie rozumiem. - Chwiejąc się na nogach, Kelsey przycisnęła dłonie do oczu.

- Chciałem ci tego wszystkiego oszczędzić. - Ujął łagodnie ręce córki, ale zaraz opuścił je, by popatrzeć w jej twarz. - Jeśli ochraniać cię było złem, to przyznam, że postępowałem źle, ale nie będę przeproszał. Kochałem cię, Kelsey. Byłaś całym moim światem. Nie możesz mnie za to nienawidzić.

- Nie, nie nienawidzę cię. - Starym zwyczajem oparła głowę na jego ramieniu, a myśli i obrazy wirowały w jej mózgu. - Muszę po prostu to wszystko przemyśleć. To wydaje się tak nieprawdopodobne. Nawet jej nie pamiętam, tato.

- Byłaś wtedy malutka - wyszeptał, a kamień spadł mu z serca. - Jesteś do niej bardzo podobna. Wprost niewiarygodnie podobna. Była pełną życia, fascynującą kobietą, pomimo swoich wad.

A zdolność do zbrodni stanowiła jedną z nich, pomyślała Kelsey.

- Jest w tym wszystkim tyle znaków zapytania, nie mogę się w tym połapać.

- Może zostaniesz na noc? Gdy tylko się wyrwę i będę wolny, moglibyśmy powrócić do tej rozmowy.

Propozycja była kusząca; dobrze byłoby się schronić w swojskich, bezpiecznych ścianach jej dawnego pokoju, pozwolić ojcu, by opatrzył jej rany i rozwiązał zwątpienia, tak jak zawsze to robił.

- Nie, muszę wracać do domu. - Powinna się pospieszyć, żeby się nie rozkleić. -

Chciałabym trochę pobyć sama. I tak już narobiłam Candace kłopotu, odrywając cię od gości.

- Ona to zrozumie.

- Oczywiście, że zrozumie. Ale lepiej już idź. Wyjdę tylnymi drzwiami.

Wolałabym z nikim się nie spotkać.

Zauważył, że rumieniec podniecenia zniknął z jej twarzy, a skóra stała się znowu blada i napięta.

- Chciałbym, żebyś została, Kelsey.

Nic mi nie jest, naprawdę. Muszę tylko to wszystko przemyśleć.

Porozmawiamy o tym jeszcze. Idź do gości, wrócimy do tej rozmowy później. -

Pocałowała ojca na znak odpuszczenia winy, a także, by go już dłużej nie zatrzymywać. Gdy została sama, stanęła przy biurku i wpatrzyła się w list.

Po chwili złożyła go i wsunęła z powrotem do torebki.

To był piekielny dzień, pomyślała. Straciłam męża, a odzyskałam matkę.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

Czasami lepiej jest kierować się impulsem. Może nie lepiej, poprawiła się Kelsey, jadąc na zachód szosą numer siedem przez falisty krajobraz wirginijskich wzgórz, ale z pewnością tylko w ten sposób można zaspokoić ciekawość.

Może rozsądniej byłoby jeszcze raz porozmawiać z ojcem, odczekać jakiś czas i przemyśleć wszystko. Żeby jednak zaspokoić ciekawość, prościej było wskoczyć do samochodu i ruszyć przed siebie do Three Willows Farm, by stanąć twarzą w twarz z kobietą, która udawała martwą przez dwadzieścia lat.

Z matką, pomyślała Kelsey. Morderczynią.

Aby uwolnić się od tych myśli, nastawiła głośno radio. Przez na wpół otwarte okno popłynęła muzyka Rachmaninowa. Piękny dzień na przejażdżkę. Właśnie to sobie powiedziała dziś rano, w pośpiechu opuszczając dom. Nie podjęła jeszcze decyzji co do kierunku jazdy, nawet kiedy już sprawdziła na mapie najlepszy dojazd do Bluemont.

Nikt się jej nie spodziewał. Nikt też nie wiedział, dokąd się udała.

To właśnie była wolność. Nacisnęła mocno na pedał gazu i upajała się prędkością, smagnięciami zimnego powietrza wpadającego przez okno, potęgą muzyki. Mogła jechać wszędzie, robić co chce. Nie było nikogo, komu należało odpowiadać, nikogo, kto by ją przepytował. Teraz ona miała zadawać pytania.

Być może jak na zwykłą przejażdżkę za miasto ubrała się nieco zbyt starannie.

To kwestia dumy. Było jej do twarzy w brzoskwiniowym jedwabnym zakiecie, a luźne spodnie podkreślały szczupłość sylwetki.

W końcu każda kobieta, która miałaby po raz pierwszy w dorosłym życiu spotkać własną matkę, chciałaby jak najlepiej wyglądać. Kelsey zaplotła włosy w misterny warkocz i poświęciła więcej niż

zwykle czasu na makijaż i wybór dodatków.

Wszystkie te przygotowania ulżyły jej nerwom. Ale w miarę zbliżania się do Bluemont znowu zaczęła odczuwać zdenerwowanie.

Może jeszcze zmienić plan, łudziła się, zatrzymując samochód przed wejściem do niewielkiego wielobranżowego sklepu. Zapytanie o drogę do Three Willows Farm wcale jeszcze nie oznacza, że tam pojedzie. Jeśli zechce, może przecież zawrócić do Maryland.

Albo jechać ot tak, przed siebie. Przez Wirginię, do Karoliny Północnej i Południowej. Może skręcić na zachód lub na wschód, na wybrzeże. Jedną z ulubionych rozrywek Kelsey była jazda przed siebie, dokądkolwiek, byle dalej. W ten sposób, kierując się impulsem, spędziła po rozstaniu z Wade'em samotny weekend w uroczym, niedużym pensjonacie na wschodnim wybrzeżu.

Można by znowu tam pojechać, zadumała się. Wystarczy telefon do pracy, krótki postój po drodze, by kupić kilka ciuchów na zmianę, i to wszystko.

Nie byłaby to ucieczka, lecz po prostu zwykły wyjazd.

Sklepik był tak zapchany półkami, skrzynkami z mlekiem, serami i innymi wiktuałami, a także wiszącymi na ścianach narzędziami, że z trudem mieściło się w nim trzech klientów. Przy starszym mężczyźnie za ladą stała popielniczka pełna niedopałków; jego łysa głowa lśniła jak nowa dziesięciocentówka, a z kącika ust zwisał

papieros. Zerknął na Kelsey przez kłęby dymu.

- Czy może mi pan powiedzieć, jak dojechać do Three Willows Farm?

Wpatrywał się w nią z minutę, a jego przekrwione od dymu oczy zwęziły się od wytężonego myślenia.

- Pani chyba szuka panny Naomi?

Po babce Kelsey odziedziczyła taki sposób patrzenia na ludzi, który ucinał wszelką dyskusję.

- Szukam Three Willows Farm. Zdaje się, że to gdzieś w tych stronach.

- A tak, w tych stronach. - Wyszczrzył zęby, lecz papieros, wbrew prawu ciężenia, nadal tkwił na swoim miejscu. - No więc tak. Pojedzie pani tą drogą jeszcze trochę, powiedzmy jakieś trzy kilometry. Będzie tam ogrodzenie, taki biały płot.

Skręci pani w lewo, w Chadwick Road, i pojedzie prosto jeszcze jakieś osiem kilometrów. Minie pani Longshot - jest tam takie wielkie ogrodzenie z kutego żelaza, na którym wyryto nazwę, więc nie może jej pani przeoczyć. A na następnym zakręcie zobaczy pani dwa kamienne słupy z rzeźbami stojących dęba koni. To właśnie będzie Three Willows.



- Dziękuję.

Zaciągnął się papierosem, wypuścił dym.

- Czy pani przypadkiem nie nazywa się Chadwick?

- Nie, nie nazywam się. - Wyszła ze sklepu, pchnąwszy drzwi, które same się za nią zamknęły. Czowała na sobie spojrzenie starego człowieka nawet wtedy, gdy wjeżdżała z powrotem na szosę.

To chyba zrozumiała, pomyślała. Miasteczko jest nieduże, a ona w nim obca.

Niemniej nie spodobał jej się sposób, w jaki ten człowiek na nią patrzył.

Dojechała do białego płotu i skręciła w lewo, w przeciwnym kierunku do zabudowań. Domy były teraz coraz rzadsze, coraz bardziej od siebie oddalone - wokół, jak okiem sięgnąć, hen, aż ku pofałdowanym wzgórzom schwytanym między zimowe mgły i zieleniejącą wiosną, rozciągała się ziemia. Pasły się konie; ich grzywami poruszał wiatr. Klacze o gęstej, zimowej jeszcze sierści, skubały trawę, a ich młode podskakiwały nie opodal na długich, cienkich jak zapałki nogach. Tu i ówdzie pole zaorano już najwidoczniej pod wiosenne siewy, ciemnobrązowe połacie gleby poprzecinane były pasami zieleni.

Kelsey zwolniła przy Longshot. Nie była to nazwa drogi, jak sądziła, lecz farmy

- wskazywał na to dumny napis na bramie z kutego żelaza. Za bramą rozpościerała się żwirowa aleja, prowadząca do stojącego na szczycie wzgórza domu zbudowanego z kamienia i z cedrowego drewna. Ładny, pomyślała Kelsey. Imponujący. Z jego licznych poziomów i tarasów z pewnością rozciąga się zapierający dech widok na okolicę.

Staroświecka aleja wysadzana była wiązami, które sprawiały wrażenie starszych od domu, odznaczającego się wręcz arogancką nowoczesnością, puszącego się na wzgórzu jak wielkopańska rezydencja.

Kelsey zatrzymała się w tym miejscu na dłuższą chwilę. Nie dlatego że aż tak bardzo zainteresowała ją architektura i okoliczna sceneria, przy całym skądinąd podziwieniu dla nich, ale ponieważ wiedziała, że jeśli pojedzie dalej, już nie zawróci.

Podjęła decyzję: z Longshot nie ma odwrotu. Jak na ironię, nazwa miejsca\*[1](#)

pasowała do sytuacji, w jakiej się znalazła. Zamknęła oczy. Musi się opanować. Czeka ją przejście wymagające spokoju i trzeźwości umysłu. Nie chodzi przecież o spotkanie, podczas którego miałyby się rzucić z płaczem w ramiona dawno utraconej matki.

Były sobie obce i musiały podjąć decyzję, czy stan taki ma trwać. Nie, poprawiła się Kelsey: to ona ma postanowić, czy pozostaną sobie obce. Jedzie tam po odpowiedzi, a nie po miłość. Nawet nie po usprawiedliwienie.

A nie dowie się niczego, powtarzała sobie, jeżeli tam nie dotrze i nie zada zasadniczych pytań.

Nigdy nie była tchórzem. Odwagę mogę wpisać na listę zalet, z których jestem dumna, pomyślała i wrzuciła bieg.

Ale gdy zaciskając kurczowo kierownicę, skręcała między dwa kamienne słupy, na których wznosiły się wspięte konie i podjeżdżała żwirową aleją do domu matki, 1\* W zakładach *longshot* oznacza wybór, który ma minimalną szansę wygrania, a więc tym samym oznacza nierówną walkę (przyp. tłum.).

miała lodowate ręce.

W lecie dom ocieniały trzy pełne wdzięku wierzby, które dały nazwę farmie, a których pochylone teraz gałęzie były ledwie muśnięte delikatną zielenią nadchodzącej wiosny. Poprzez wachlarz cienkich gałązek Kelsey dostrzegła białawe doryckie kolumny podtrzymujące rozległy kryty portyk, a także płynne, harmonijne linie trzykondygnacyjnego owego budynku w stylu kolonialnym. Kobiety, pomyślała, prawie królewski, i - tak jak epoka, którą wysławiał - pełen wdzięku i majestatu.

Wyobraziła sobie tutejsze ogrody za kilka tygodni: istna eksplozja kolorów! Bez trudu wzbogaciła jeszcze ten obraz brzęczeniem pszczół, świergotem ptaków oraz upajającymi zapachami glicynii i bżów.

Odruchowo jej wzrok powędrował ku oknom na górze. Który to pokój? -

zastanawiała się. W którym pokoju dokonano morderstwa?

Dreszcz przeszedł ją od stóp do głów, gdy zatrzymała samochód. Choć zamierzała od razu podejść do frontowych drzwi i zapukać, nieoczekiwanie zawędrowała do tej części domu, w której wysokie okna balkonowe wychodziły na kamienne patio.

Widać stąd było część zabudowań gospodarczych. Idealnie utrzymane wiaty i składy, stodoła, która wyglądała nieomal tak majestatycznie jak dom. Dalej, gdzie linia wzgórz skręcała ku górze, skubały trawę konie, a słaby blask słońca odbijał się w tafli wody.

Nagle w wyobraźni Kelsey pojawiła się inna scena. Brzęczały pszczoły, świergotały ptaki, słońce stało wysoko, było gorąco, a ona czuła zapach róż - jakże mocny i słodki. Ktoś się śmiał i podnosił ją do góry, aż poczuła pod sobą bezpieczny i silny koński grzbiet.

Krzyknęła cichutko, zatrwożona, przyciskając usta dłonią. Nie przypominała sobie tego miejsca. Nie. Poniosła ją wyobraźnia, to wszystko. Wyobraźnia i nerwy.

Ale mogłaby przysiąc, że słyszała śmiech - dziki i uwodzicielski.

Było jej zimno. Aby się nieco ogrzać, objęła ciało ramionami i zrobiła krok do tyłu, by się stąd wycofać. Pomyślała, że potrzebny jest jej płaszcz; musi go wziąć z samochodu. W tym momencie zza domu, trzymając się pod ramię, wyszli kobieta z mężczyzną.

Byli tak piękni, tak oszalamiająco piękni w blasku słońca, że przez chwilę Kelsey sądziła, że i oni są tworem jej wyobraźni.

Mężczyzna był wysoki - miał ze sto osiemdziesiąt pięć centymetrów lub więcej, i obdarzony był tym nieuchwytnym wdziękiem, z którym rodzą się niektórzy mężczyźni. Jego ciemne, zmierzwione przez wiatr włosy opadały na kołnierzyk wyblakłej, bawełnianej koszuli. Kelsey dostrzegła jego ciemnoniebieskie żywe oczy w twarzy o wyrazistych rysach, rozszerzone na moment jakby ze zdziwienia.

- Naomi. - Powiedział to powoli, z ociąganiem; brzmienie jego głosu było bogate i pełne niczym dobry, dojrzały burbon. - Masz gościa.

Ojciec niewystarczająco przygotował ją na to spotkanie. To było tak, jakby oglądała siebie w lustrze w bliżej nieokreślonej przyszłości. W lustrze wyczyszczonym na wysoki połysk, aż oślepiało oczy. Może patrzyła na samą siebie. Przez krótką szaloną chwilę miała takie wrażenie.

- W porządku. - Dłoń Naomi zacisnęła się mocno na ramieniu Gabe'a. Była to bezwiedna reakcja; reakcja, której nie mogła zapobiec. - Nie spodziewałam się, że otrzymam od ciebie prędko odpowiedź, a tym bardziej że cię zobaczę. - Przed wielu laty przekonała się, że łyzy na nic się zdają, toteż i teraz, gdy przyglądała się córce, jej oczy pozostały suche. - Właśnie zamierzaliśmy napić się herbaty. Może wejdziemy do środka?

- Innym razem skorzystam z zaproszenia... - zaczął Gabe, ale Naomi przywarła do jego ramienia, jakby był jej tarczą lub wybawcą.

- Proszę zostać. - Głos Kelsey dotarł do niej z daleka. - Nie zatrzymam się długo.

- Wejdźmy więc. Nie traćmy czasu, skoro mamy go niewiele. Naomi poprowadziła ich przez drzwi tarasowe do tak uroczego i olśniewającego salonu jak ona sama. W kominku płonął niski, łagodny płomień, utrzymujący odpowiednią temperaturę w te chłodne jeszcze dni kończącej się zimy.

- Siadajcie, proszę. Rozgośćcie się. Zaraz wrócę, zakrzętnę się tylko koło herbaty. - Rzuciła krótkie spojrzenie w stronę Gabe'a i zniknęła.

Był mężczyzną, który dobrze sobie radzi w trudnych sytuacjach. Usiadł, wyjął cygaro i posłał Kelsey czarujący uśmiech.

- Naomi jest trochę zdenerwowana.

Kelsey uniosła brwi. Ta kobieta wydawała się tak bardzo pozbierana i opanowana jak rzeźba z lodu.

- Czyżby? - zapytała.

- Myślę, że to zrozumiałe. Twój widok to dla niej niemałe przeżycie. Nawet mnie przymurowało. - Zapalił cygaro, zastanawiając się, czy tak wyraźne zdenerwowanie Kelsey pozwoli jej spokojnie usiąść. - Nazywam się Gabe Slater, jestem sąsiadem. A ty jesteś Kelsey.

- Skąd pan wie?

Jak królowa do pastucha, pomyślał. W normalnej sytuacji taki ton sprowokowałby niejednego mężczyznę, a już na pewno Gabe'a Slatera. Pomiął to jednak milczeniem.

- Wiem, że Naomi ma córkę o tym imieniu, której dawno nie widziała. A ty jesteś trochę za młoda na jej siostrę bliźniaczkę. - Wyciągnął przed siebie nogi, w butach z cholewami, i skrzyżował je w kostkach. Oboje zdawali sobie sprawę, że wreszcie powinien oderwać od niej wzrok. On jednak ani myślał.

- Łatwiej by ci było zrzucić pychę z serca, gdybyś usiadła i udawała zrelaksowaną.

- Wolę postać. - Podeszła do kominka z nadzieją, że się trochę ogrzeje. Gabe wzruszył tylko ramionami i rozsiadł się wygodniej. Co go to w końcu obchodzi.

Dopóki nie zaatakuje Naomi... Nie dlatego że Naomi sama by sobie z nią nie poradziła. Nie znał sprawniejszej od niej kobiety ani też, w jego mniemaniu, bardziej odpornej. Niemniej nazbyt ją lubił, by komukolwiek pozwolić ją zranić, nawet jej własnej córce.

Było mu obojętne, że Kelsey najwyraźniej postanowiła go ignorować. Palił

powoli cygaro i z przyjemnością na nią patrzył. Ani jej napięte ramiona, ani usztywniony jak kij kręgosłup nie mogły popsuć tego widoku, pomyślał. Stanowiły tylko ładny kontrast do długich, płynnych w ruchu kończyn i wspaniałych włosów.

Zastanawiał się, czy łatwo jest ją wytrącić z równowagi i czy pozostanie tu na tyle długo, by mógł się o tym osobiście przekonać.

- Herbata zaraz będzie. - Do pokoju weszła na pozór spokojna już Naomi. Wbiła wzrok w córkę i się uśmiechnęła. - Musisz się czuć nieswojo, Kelsey?

- Nie co dzień się zdarza, że moja matka powraca z grobu. Czy koniecznie trzeba było utrzymywać mnie w przeświadczeniu, że nie żyjesz?

- Tak mi się wtedy wydawało. W moim ówczesnym położeniu najważniejsze było przeżyć. - Usiadła. Ubrana w brązowy strój do konnej jazdy, Naomi sprawiała wrażenie osoby opanowanej i zdolnej sprostać sytuacji. - Nie chciałam, żebyś mnie odwiedzała w więzieniu. A gdybym nawet chciała, twój ojciec nigdy by się na to nie zgodził. Tak więc zdecydowałam się być nieobecna w twoim życiu przez dziesięć do piętnastu lat.

Jej uśmiech zmienił się, stwardniał.

- Jak zareagowałoby rodzice twoich przyjaciół, gdybyś im powiedziała, że twoja matka siedzi w więzieniu za morderstwo? Wątpię, czy przysporzyłoby to popularności małej dziewczynce. A tym bardziej czy czułabyś się szczęśliwa...

Naomi przerwała, spoglądając w kierunku korytarza, skąd wyłoniła się kobieta w średnim wieku, ubrana w szary mundurek i biały fartuszek, pchająca przed sobą stolik na kółkach z herbatą na tacy.

- To jest Gertie. Pamiętasz Kelsey, prawda, Gertie?

- Tak, proszę pani. - W oczach kobiety pojawiły się łzy. - Ostatni raz, kiedy cię widziałam, byłaś malutka. Przychodziłaś do mnie i dopraszałaś się ciasteczek.

Kelsey milczała; nie mogła wypowiedzieć słowa do tej obcej kobiety z załzawionymi oczami. Naomi delikatnie objęła i uściskała Gertie.

- Jeszcze się ich napioczesz, jeśli Kelsey zechce znowu nas odwiedzać. Dziękuję ci, Gertie. Sama naleję.

- Tak, proszę pani. - Pociągając nosem, kobieta odeszła, ale w progu jeszcze się odwróciła. - Wygląda tak jak pani, panno Naomi. Dokładnie tak jak pani.

- Tak - potwierdziła miękko Naomi, patrząc na córkę. - To prawda.

- Nie pamiętam jej - powiedziała wyzywającym tonem Kelsey i zrobiła dwa duże kroki w kierunku matki. - Ciebie też nie pamiętam.

- Nie oczekiwałam, że będziesz pamiętała. Pijesz herbatę z cukrem, z cytryną?

- Czy to musi odbywać się tak ceremonialnie?! - wybuchnęła Kelsey. - Matka i córka znowu razem, przy wybornej herbatce! Czy uważasz, że będę tak zwyczajnie i po prostu sączyła sobie ulung?

- Przede wszystkim wydaje mi się, że to jest earl grey, a poza tym, prawdę mówiąc, Kelsey, sama nie wiem, czego oczekuję. Z pewnością złości. Masz prawo być zła. Oskarżeń, pytań, niechęci. - Filiżanka, którą podała Gabe'owi, nie zadrżała w jej ręce. - No cóż, wątpię, żebyś mogła cokolwiek powiedzieć lub zrobić, co nie byłoby usprawiedliwione.

- Dlaczego do mnie napisałaś?

Żeby pozbierać myśli, Naomi naląła kolejną filiżankę.

- Z wielu powodów, z których jedno są egoistyczne, inne nie. Miałam nadzieję, że będziesz na tyle zaintrygowana, że zechcesz się ze mną zobaczyć. Zawsze byłaś ciekawskim dzieckiem, a do mnie dotarło, że znalazłaś się w takim punkcie życia, iż nie bardzo wiesz, co z nim zrobić.

Skąd ty cokolwiek możesz wiedzieć o moim życiu? Spojrzenie Naomi było nieprzeniknione.

- To ty sądziłaś, że nie żyję, Kelsey, ale ja zawsze wiedziałam o wszystkim, co się dzieje w twoim życiu. Nie spuszczałam cię z oka.

Nawet będąc w więzieniu miałam swoje sposoby zdobywania informacji o tobie.

Kelsey ogarnęła furia. Walczyła z przemożną chęcią wywrócenia tacy, rozwalenia całej tej delikatnej porcelany. Jakżesz jej to było potrzebne, jak bardzo by jej ulżyło! Ale przecież zrobiłaby z siebie idiotkę. Tylko to powstrzymało ją przed wybuchem.

Popijając małymi łykami herbatę, Gabe obserwował jej zmagania. Napięta do granic wytrzymałości, stwierdził. Miotana namiętnościami. Ale na tyle mądra, by trzymać nerwy na wodzy. Pomyślał, że może okazać się bardziej podobna do matki niż którakolwiek z nich przypuszcza.

- Szpiegowałaś mnie! - wyrzuciła z siebie. - Wynajęłaś może detektywów?

- To byłoby zbyt melodramatyczne, Kelsey... Mój ojciec śledził twoje ruchy, gdy tylko mógł.

- Twój ojciec... - Kelsey usiadła. - Mój dziadek...

- Tak, zmarł pięć lat temu. A twoja babcia w rok po twym urodzeniu. Byłam ich jedynym dzieckiem, dzięki czemu uniknęłaś zalewu ciotek, wujków i kuzynów.

Odpowiem na wszystkie twoje pytania, ale byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś dała nam obu trochę czasu, zanim wyrobisz sobie ostateczne zdanie na mój temat.

Było tylko jedno pytanie, które Kelsey miała w głowie; jedno jedyne, które bez przerwy dudniło w jej mózgu niczym młot. A więc zadała je pośpiesznie, nim zdołała się powstrzymać.

- Czy zabiłaś tego mężczyznę? Czy zabiłaś Aleca Bradleya? Naomi znieruchomiała, po czym podniosła filiżankę do ust.

Spokojnym, opanowanym wzrokiem obserwowała znad jej brzegu córkę. Po czym, nadal bezdźwięcznie, odstawiła naczynie.

- Tak - odparła zwyczajnie. - Zabiłam go.

- Przepraszam cię, Gabe. - Naomi stała przy oknie, patrząc na odjeżdżającą córkę. - To niewybaczalne. Nie wolno mi było stawiać cię w takiej sytuacji.

- Poznałem twoją córkę, to wszystko. Śmiejąc się cichutko, Naomi zmrużyła powieki.

- Jak zawsze jesteś mistrzem niedomówień, Gabe. - Odwróciła się, stając w kręgu ostrego światła. Nie przeszkadzało jej, że słońce wydobywa delikatne zmarszczki wokół jej oczu, ujawnia jej wiek.

Zbyt wiele czasu spędziła z dala od słońca. Zbyt wiele czasu. - Byłam przerażona. Kiedy ją zobaczyłam, to tak, jakby czas się cofnął. Tyle wspomnień.

Niektóre miłe, innych zaś wolałabym już nigdy nie przywoływać. Nie poradziłabym sobie z tym sama.

Wstał i podszedł do niej. Położył ręce na jej ramionach, by ulżyć jej napiętym mięśniom.

- Jeżeli mężczyzna nie odczuwa radości, pomagając pięknej kobiecie, to tak, jakby nie żył.

- Jesteś prawdziwym przyjacielem. - Dotknęła jego ręki i uściśnęła ją - Jednym z bardzo niewielu. Mogę obarczyć cię wszystkimi moimi kłopotami, zrzucić na ciebie wszystkie żale. - Znowu się

uśmiechnęła. - Może to dlatego że oboje siedzieliśmy w więzieniu.

Przelotny uśmiech uniósł kąciki jego ust.

- Nic bardziej nie zbliża ludzi niż więzienie.

- Nic bardziej niż więzienie... Oczywiście młodzieńczej bójki przy pokerze nie sposób porównać z morderstwem, ale...

- To cała ty, zawsze musisz być o oczko lepsza. Roześmiała się.

Rodzina Chadwicków uwielbia współzawodnictwo. - Odsunęła się od niego, przesuając wazon z wczesnymi żonkilami o milimetr w prawo. - Co o niej myślisz, Gabe?

- Jest piękna. Twoja wierna kopia.

- Sądziłam, że będę na to przygotowana. Wiedziałam o tym od ojca, widziałam także fotografie. Ale jej widok i to podobieństwo do mnie oszołomiły mnie. Pamiętam ją jako dziecko, bardzo dobrze ją pamiętam. A teraz, gdy dorosła... - Nie mogąc uporać się z emocjami, potrząsnęła głową. Minęły lata. Wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek. - A poza tym - rzuciła spojrzenie przez ramię - co o niej sądzisz?

Nie był pewien, czy potrafi wyjaśnić dokładnie, co myśli. On również był

oszołomiony, choć nie należał do mężczyzn, których łatwo jest czymś zaskoczyć.

Piękne kobiety w jego życiu pojawiały się i odchodziły, albo też on pojawiał się i odchodził z ich życia. Cenił je, podziwiał, pożył ich. Ale na widok Kelsey Byden zaparło mu dech w piersi.

Wolałby przeanalizować ten drobny, lecz jakże interesujący fakt później, ale Naomi czekała na jego odpowiedź. Wiedział, że to dla niej ważne.

- Dała się ponieść nerwom i złości. Pod tym względem nie jest do ciebie Podobna, nie jest tak opanowana jak ty.

- Mam nadzieję, że nigdy nie będzie musiała być - wyszeptała Naomi.

- Była wściekła, ale na tyle mądra i na tyle zaintrygowana, żeby tego nie ukrywać, przynajmniej dopóki się nie przekona, jak się sprawy mają. Gdyby była koniem, powiedziałbym, że najpierw muszę obejrzeć jej chód, zanim osądzę, czy ma serce, wytrwałość lub grację. Ale krew mówi sama za siebie, Naomi. Twoja córka ma styl.

- Ona mnie kochała. - Jej głos zadrżał, lecz nie zauważyła tego. Podobnie jak pierwszej łyzy, która pojawiła się i spłynęła po jej policzku. - Komuś, kto nie ma dziecka, trudno jest wytłumaczyć, jak to jest być wypełnionym wszechogarniającą, bezkompromisową miłością. A takie uczucie żywiła Kelsey do mnie i do swego ojca.



To my ją zawiedliśmy. Nie dość mocno się kochaliśmy, aby utrzymać w nienaruszonym stanie tę więź. No i w ten sposób ją straciłam.

Naomi koniuszkami palców zdjęła łzę. Przyglądała się jej, jakby to był jakiś świeżo odkryty egzotyczny okaz. Od pogrzebu ojca nie płakała. Nie widziała w tym sensu.

- Nikt nigdy nie będzie mnie już tak kochał. - Strzepnęła łzę, przechodząc nad tym do porządku dziennego. - Dopiero dzisiaj to zrozumiałam.

- Wyciągasz zbyt pochopne wnioski, Naomi. To do ciebie niepodobne.

Widziałas ją raptem przez piętnaście minut.

- Czy zwróciłeś uwagę na jej twarz, kiedy powiedziałam, że zabiłam Aleca? -

Naomi odwróciła się do Gabe'a z uśmiechem, ale był to uśmiech twardy, zimny jak lód. - Widywałam taki wyraz twarzy u dziesiątków ludzi. Odraza ludzi cywilizowanych... Przyzwoici ludzie nie zabijają.

- Przyzwoici czy nie, ludzie robią to, co muszą, aby przeżyć. - Wiedział coś na ten temat.

- Ona tak nie rozumuje. Jest do mnie fizycznie podobna, Gabe, ale moralność i poglądy ma ojca. A te, na Boga, wcale nie są uczciwsze niż sam doktor Philip Byden.

- A już na pewno głupsze, skoro pozwolił ci odejść.

Znowu się roześmiała, tym razem bez większego przymusu, i pocałowała go zamasyście w same usta.

- A gdzie ty byłeś dwadzieścia pięć lat temu? - Potrząsnęła głową z leciutkim westchnieniem. - Grałeś ze swoimi Crayolasami?

- Nie przypominam sobie, żebym z nimi grał. Ale niewykluczone, że robiłem z nimi zakłady. A skoro jesteśmy przy zakładach, stawiam stówę, że mój trzylatek prześcignie twojego na majowych derby.

Uniosła brew.

- Jakie warunki zakładu?

- Jeden do jednego.

- Przyjmuję. Nie zechciałbyś przed odjazdem rzucić okiem na moją klaczkę? Za kilka lat zostawi daleko za sobą wszystkie twoje konie.

- Jak ją nazwałaś?

Jej oczy lśniły, gdy otwierała drzwi prowadzące na taras.

- Honor Naomi.

Jest taka chłodna i opanowana, myślała Kelsey, zamykając na klucz drzwi swojego mieszkania. Taka zimna. Przyznała się do morderstwa w tak obojętny i naturalny sposób, w jaki inna kobieta przyznałaby się do farbowania włosów.

Jaką jest kobietą?

Jak to możliwe, że podawała herbatę i prowadziła rozmowę tak uprzejmie, z takim opanowaniem i z taką potworną obojętnością? Opierając się o drzwi, Kelsey tarła skronie, bo ból rozsadał jej czaszkę. To wszystko było jak szalony sen - wielki, piękny dom, ładne otoczenie, kobieta o jej twarzy, dynamiczny mężczyzna.

Najnowszy kochanek Naomi? Czy śpią w tej samej sypialni, w której zginął

człowiek? Pomyślała, że Gabe może być zdolny do wszystkiego. Wygląda, jakby stać go było na wszystko.

Wstrząsana dreszczami, zaczęła przemierzać pokój.

Dlaczego Naomi napisała ten list? - zastanawiała się. Nie było wylewności, uroczystego powitania i poczęstunku ani desperackich przeprosin za utracone lata.

Jedynie uprzejme zaproszenie na herbatę.

A także spokojne, zdecydowane przyznanie się do winy.

Tak, Naomi Chadwick nie jest hipokrytką, pomyślała ze skwaszoną miną Kelsey. Jest po prostu kryminalistką.

Kiedy zadzwonił telefon, spojrzała w jego stronę i zobaczyła, że pali się także światelko automatycznej sekretarki. Odwróciła się, ignorując zarówno jedno, jak i drugie. Za dwie godziny rozpoczyna pracę w muzeum i nie odczuwa potrzeby ani ochoty, by z kimkolwiek rozmawiać.

Teraz ma tylko przekonać samą siebie, że pojawienie się matki nie wpłynie na zmianę jej życia. Chce żyć jak dotychczas - praca, wykłady, przyjaciele.

Opadła na sofę. Kogo próbuje oszukać? Jej praca nie jest niczym innym jak tylko hobby, wykłady - nawykiem, a przyjaciele... Większość z nich stanowili wspólni znajomi jej i Wade'a. Zastanawiającym skutkiem ubocznym rozwodu było to, że część z nich podzieliła się między strony, a część zniknęła po prostu z pola widzenia, prawdopodobnie aby uniknąć zbędnych nieprzyjemności.

Jej życie było w rozsypce.

Zignorowała pukanie do drzwi.

- Kelsey! - Kolejne szybkie, zniecierpliwione uderzenie. - Otwórz drzwi albo wezwę dozorcę, żeby

to zrobił.

Zrezygnowana Kelsey wstała posłusznie.

- Babcia.

Milicent Byden podsunęła wnuczce policzek do pocałunku, po czym wkroczyła energicznie do mieszkania. Jak zwykle była nienagannie ubrana i uczesana.

Ufarbowane na lśniący kasztan włosy szesała do tyłu z gładkiej twarzy, która na pierwszy rzut oka mogła raczej uchodzić za twarz sześćdziesięciolatki niż osiemdziesięciolatki. Doskonałą figurę zawdzięczała bezwzględnej diecie i gimnastyce.

Miała na sobie bladoniebieski chanelowski kostiumik. Ściągnęła dopasowane kolorystycznie giemzowe rękawiczki i odbyła je na podręczny stolik, po czym przerzuciła norki przez oparcie krzesła.

- Rozczarowujesz mnie. Zamykasz się w pokoju jak dziecko. - Migdałowymi oczami zmierzyła uważnie wnuczkę, gdy ta, siadając, założyła nogę na nogę. - Ojciec ogromnie martwi się o ciebie. I on, i ja dzwoniłiśmy dzisiaj do ciebie dziesiątki razy.

- Wyjeżdżałam. A tatuś nie ma powodu, żeby się niepokoić.

- Czyżby? - Milicent uderzała polakierowanymi paznokciami o oparcie fotela. -

Wpadasz do niego nagle wieczorem z wieścią, że ta kobieta skontaktowała się z tobą, a potem znikasz i nie odbierasz telefonów.

- Ta kobieta jest moją matką, a ty i ojciec wiedzieliście, że ona żyje. Wyniknęła z tego poruszająca scena, babciu, która, jak sądzę, może ci się wydawać w złym guście, ale która dla mnie była ze wszech miar usprawiedliwiona.

- Nie rozmawiaj ze mną tym tonem! - Milicent pochyliła się ku niej. - Twój ojciec robił wszystko, żeby cię chronić, dać ci staranne, przyzwoite wychowanie i solidny dom. A ty go za to atakujesz.

- Atakuję go?! - Kelsey wyrzuciła w górę ręce, zdając sobie sprawę, że takie uzewnętrznianie emocji będzie jej poczytane za przejaw złego smaku. -

Porównywałam fakty. Prosiłam o odpowiedzi. Domagałam się prawdy.

- A teraz, gdy znasz to wszystko, czy jesteś zadowolona? - Milicent pochyliła głowę. - Byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby ta kobieta pozostała dla ciebie martwa.

Ale ona zawsze była samolubna, zawsze zajęta sobą bardziej niż ktokolwiek inny.

Z nie znanych sobie powodów Kelsey podjęła wyzwanie.

- Czy zawsze jej nienawidziłaś?

- Zawsze wiedziałam, jaka jest naprawdę. Philip był zaślepiony jej urodą, jej, jak mu się zdawało, żywiołową i pełną temperamentu naturą. I zapłacił za tę pomyłkę.

- A ja wyglądam tak samo jak ona - powiedziała miękko Kelsey. - To dlatego zawsze przyglądałaś mi się jak komuś, kto może w każdej chwili popełnić straszliwą zbrodnię, albo co najmniej niewybaczalnie naruszyć etykietę.

Milicent westchnęła. Ponownie usiadła. Nie mogła temu zaprzeczyć, nie widziała zresztą powodu, żeby to robić.

- Nie przeczę, że bardzo mnie obchodziło, ile cech po niej odziedziczyłaś.

Nosisz nazwisko Bydenów, Kelsey, i przeważnie przynosiłaś zaszczyt rodzinie. Błędy, które zdarzało ci się popełniać, to ślady jej piętna.

- Wolałabym pozostać przy mniemaniu, iż popełniałam błędy na własny rachunek.

- Na przykład ten rozwód - skrzywiła się Milicent. - Wade pochodzi z dobrej rodziny. Jego dziadek ze strony matki jest senatorem, ojciec zaś właścicielem jednej z najbardziej prestiżowych i najlepiej prosperujących agencji reklamowych na wschodnim wybrzeżu.

- A Wade jest cudzołożnikiem.

Wydając cichy pomruk zniecierpliwienia, Milicent machnęła ręką. Brylantowa obrączka ślubna na jej wdowiej dłoni zaiskrzyła się jak lód.

- Obciążasz go winą bardziej niż siebie czy tę kobietę, która go uwiodła.

Prawie ją to rozbawiło.

- No właśnie, obciążam go winą. Ale od wczoraj jestem rozwiedziona, babciu, tracisz więc czas.

- A zatem przypadł ci wątpliwy zaszczyt bycia drugą rozwódką w historii rodziny Bydenów. W wypadku twojego ojca to było nieuniknione. Ty jednak zrobiłaś to, co masz zwyczaj robić przez całe swoje życie: poszłaś za pierwszym impulsem. Ale jest jeszcze inna sprawa. Chciałabym wiedzieć, co zamierzasz w związku z tym listem.

- Czy nie sądzisz, babciu, że jest to sprawa między mną a moją matką?

- Ta sprawa dotyczy rodziny, Kelsey. A twój ojciec i ja jesteśmy twoją rodziną. -

Zastukała ponownie palcami, starannie dobierając zarówno słowa, jak i ton głosu. -

Philip to moje jedyne dziecko. Jego szczęście i powodzenie zawsze przedkładałam ponad wszystko w życiu. Ty zaś jesteś jego jedynym dzieckiem. - Z wrodzoną, niekłamaną przesadą pochyliła się do

przodu i ujęła dłoń Kelsey. - Pragnę dla ciebie jak najlepiej, Kelsey.

Taki argument ucinał wszelką dyskusję. Choć Kelsey aż cierpła z powodu stosowanych przez babcię chwytów, doskonale wiedziała, iż jest przez nią kochana.

- Wiem. Nie chcę z tobą walczyć, babciu.

- Ani ja z tobą. - Milicent z zadowoleniem poklepała rękę Kelsey. - Zawsze byłaś dobrą córką, Kelsey. Każdy, kto zna ciebie i Philipa, nie ma wątpliwości co do twojego oddania. Wiem, że nie zrobisz niczego, co mogłoby go zranić. Uważam, że najlepiej będzie, jeśli oddasz mi ten list i pozwolisz mi zająć się tą sprawą. Oszczędzi ci to kontaktów z Naomi i całego tego zamieszania.

- Już się z nią skontaktowałam. Pojechałam do niej dzisiaj rano i widziałam się z nią.

- Ty... - Ręka Milicent drgnęła gwałtownie, po czym opadła. - Ty się z nią widziałaś?! Pojechałaś do niej bez uzgodnienia?

- Mam dwadzieścia sześć lat, babciu. Naomi Chadwick jest moją matką i nie muszę z nikim uzgadniać, czy mam się z nią spotkać, czy nie. Przepraszam, jeśli sprawiłam ci przykrość, ale postąpiłam zgodnie z własnym przekonaniem.

- Zgodnie z własną wolą - poprawiła ją Milicent. - Nie zważając na konsekwencje.

- Niech i tak będzie, lecz to ja ponoszę konsekwencje. Sądzę, że ty i tatuś powinniście uznać moją reakcję za normalną. To może być dla ciebie trudne, nie rozumiem jednak, dlaczego miałabyś być na mnie zła z tego powodu.

- Nie jestem zła. - Ale była. Była nawet wściekła. - Jestem tym żywo zainteresowana. Nie chcę, byś ulegała jakimś idiotycznym emocjom. Nie znasz jej, Kelsey. Nawet nie wyobrażasz sobie, jaka jest sprytna i mściwa.

- Wiem, że starała się o przyznanie jej opieki rodzicielskiej nade mną.

- Chciała w ten sposób zranić twojego ojca, ponieważ zaczynał już zdawać sobie sprawę, jaka ona jest. Przejrzał ją. A ty byłaś narzędziem w jej ręku. Piła, zadawała się z mężczyznami, popisywała się swoimi wybrykami, ponieważ była pewna, że wszystko jej ujdzie bezkarnie. A skończyło się na tym, że zabiła człowieka. - Milicent wzięła głęboki oddech. Już sama myśl o Naomi przyprawiała ją o palpitacje. - Przypuszczam, że usiłowała cię przekonać, iż był to akt samoobrony, że musiała bronić swojego honoru. Jej honor!

Nie mogąc dłużej usiedzieć, Milicent wstała.

- Och, była sprytna i piękna. Gdyby nie przytłaczające fakty, potrafiłaby przekonać ławę przysięgłych o swojej niewinności. Ale kiedy kobieta przyjmuje mężczyznę w swojej sypialni w nocy, ubrana jedynie w jedwabną nocną koszulę, trudno jest dowieść, że chodziło o gwałt!

- Gwałt - powtórzyła Kelsey, ale było to tylko ze zgrozą wyszeptane słowo, na które Milicent nie

zwróciła uwagi.

- Niektórzy oczywiście jej uwierzyli. Są ludzie, którzy zawsze wierzą tego pokroju kobietom. - Porwała ze stolika swoje rękawiczki i zaczęła uderzać nimi o wewnętrzną stronę dłoni, rzucając gniewne spojrzenia. - Ale w końcu ją skazali.

Zniknęła z życia Philipa, a także twojego. Aż do dziś. Czy zamierzasz być tak uparta i samolubna, żeby pozwolić jej wtargnąć w twoje życie? Sprawić ojcu takie zmartwienie?

- To nie jest kwestia wyboru między nim a nią, babciu.

- Właśnie, że jest.

Dla ciebie, lecz nie dla mnie. Czy wiesz, że zanim tu przyszedłaś, nie byłam wcale pewna, czy zechcę ją jeszcze kiedykolwiek zobaczyć? Ale teraz wiem, że zechcę.

Dlatego że ona nie próbowała się przede mną bronić. Nie prosiła mnie o dokonanie wyboru. Zobaczę się z nią ponownie i sama podejmę decyzję, co dalej.

- Bez względu na to, kogo to zrani?

- O ile wiem, jestem jedyną osobą, która ponosi ryzyko.

- Mylisz się, Kelsey. A to może być niebezpieczna pomyłka. Ta kobieta wywiera demoralizujący wpływ. - Z chłodnym wyrazem twarzy Milicent zaczęła naciągać rękawiczki, palec po palcu. - Jeżeli się uprzesz i postanowisz podtrzymać ten związek, ona zrobi wszystko, by zniszczyć więź między tobą i twoim ojcem.

- Nikomu się to nie uda.

Milicent podniosła oczy. Jej wzrok był ostry i przeszywający jak stal.

- Jeszcze nie znasz Naomi Chadwick.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Owszem, Kelsey nie знаła Naomi Chadwick, ale miała ją poznać. Lata studiów nie poszły na marne: jeżeli potrafiła coś naprawdę dobrze robić, to rozpracowywać temat. Jakikolwiek temat. Naomi nie stanowiła wyjątku.

W ciągu następnych dwóch tygodni Kelsey spędziła większość wolnego czasu w bibliotece publicznej, ślęcząc nad mikrofilmami. Po raz pierwszy zatrzymała się na stronie z kroniką towarzyską, na której przeczytała zapowiedź o zaręczynach Naomi Anne Chadwick, dwadzieścia jeden lat, córki Matthew i Louise Chadwick z Three Willows Farm, Bluemont, Wirginia, z profesorem Philipem Jamesem Bydenem, trzydzieści cztery lata, synem Andrew i Milicent Byden, Georgetown.

Ślub zaplanowany był na czerwiec.

Kelsey odnalazła anons o ślubie. Poruszył ją widok tak młodo wyglądającego ojca, tak bez troski szczęśliwego, przyciskającego dłoń Naomi do serca. Miał pączek róży w butonierce. Kelsey zastanawiała się, czy białej, czy może słonecznożółtej.

Obok niego promieniała Naomi. Gruboziarnisty druk gazety nie zdołał osłabić blasku jej urody. Jej twarz była niewiarygodnie młoda i uderzająco piękna -

rozchylone, wygięte wargi i błyszczące oczy sprawiały wrażenie, jakby zaraz się miała roześmiać.

Wyglądali na parę, która potrafi stawić czoło wszystkiemu.

Kelsey nie czuła się zraniona, że ich rozwód odbył się bez jej wiedzy; byłoby nonsensem, gdyby tak czuła. Pomyślała tylko, że tych dwoje młodych, Pełnych życia ludzi powołało ją na świat, a teraz stanowią dla siebie jedynie bolesne wspomnienie.

Z niektórych materiałów zrobiła odbitki, pozostałe wynotowała; tak jakby Przygotowywała artykuł naukowy. Z uczuciem rozbawienia i zakłopotania Przeczytała anons o swoich narodzinach.

Poza tym, oprócz okolicznościowej wzmianki o obecności na balu czy udziale w akcji charytatywnej, niewiele już było informacji o jej rodzicach. Wyglądało na to, że podczas swego krótkiego małżeństwa prowadzili oni spokojny tryb życia, z dala od rozrywek Waszyngtonu.

A potem była sprawa o opiekę rodzicielską. Zwięzła, rzeczowa notatka na ten temat znalazła się na łamach „Washington Post” ze względu, jak przypuszczała Kelsey, na pozycję jej dziadka ze strony ojca, który pełnił wówczas funkcję podsekretarza skarbu. Bez większych emocji odczytywała teraz imiona i nazwiska -

swoje własne, Naomi, ojca. Poważna gazeta, jaką była „Post”, nie zagłębiała się w szczegóły rodzinnych kłótni.

Kelsey natknęła się też na kilka artykułów dotyczących Three Willows i wyścigów konnych. Jeden z nich wspominał o tragedii doskonale zapowiadającego się konia, który miał wypadek podczas biegu i którego trzeba było zastrzelić. Wiadomość ta zasłużyła na zdjęcie pokazujące piękną, zapłakaną twarz Naomi.

A później było morderstwo.

Takim sprawom jak ta warto poświęcić więcej miejsca, kilka rzucających się w oczy nagłówek w rodzaju:

**TRAGICZNY FINAL SPRZECZKI MIĘDZY KOCHANKAMI SIELSKA WIRGINIA SCENĄ BRUTALNEJ ŚMIERCI**

Matkę Kelsey zaprezentowano jako nie żyjącą z mężem żonę profesora anglistyki z Georgetown i córkę znanego hodowcy koni rasowych. Ofiarę w nieco lekceważący sposób przedstawiono jako



playboya mającego powiązania ze światem ludzi grających na wyścigach.

Historię opisano zwięźle i bez sentymentów. Alec Bradley został zastrzelony w sypialni w Three Willows Farm. Broń należała do Naomi Chadwick - Byden, która zawiadomiła policję. Kiedy padł strzał, ona i Bradley byli w domu sami. Policja prowadzi dochodzenie.

Wirginijskie gazety dostarczyły nieco więcej szczegółów. Naomi nigdy nie zaprzeczyła, że oddała strzał, który okazał się śmiertelny. Utrzymywała, poprzez swojego adwokata, że Bradley ją zaatakował i że sięgnęła po broń w obronie własnej.

Pisano, że Naomi i Bradleya łączyła towarzyska znajomość i że od wielu już tygodni widywano ich publicznie razem. Nie omieszkało oczywiście dodać, że pani Byden jest w trakcie skomplikowanego procesu o sprawowanie opieki rodzicielskiej nad swoją trzyletnią córeczką.

Tydzień po dokonaniu zabójstwa pojawiło się więcej nagłówków: **KOBIETA Z WIRGINII ARESZTOWANA ZA MORDERSTWO**

*Nowe dowody przeczą twierdzeniu o samoobronie*

A dowody były przytłaczające. Kelsey zdrętwiała z przerażenia, gdy przeczytała o wynajętym przez adwokata ojca fotografie, który miał dostarczyć obciążających Naomi dowodów w toczącym się postępowaniu o opiekę nad dzieckiem. W rezultacie

- zamiast pokątnego romansu - detektyw wytropił morderstwo. On także zeznawał przed sądem.

Kelsey zawzięcie przerzucała kartki i kontynuowała czytanie. O świadkach, którzy pod przysięgą stwierdzili, że Naomi i Bradley zachowywali się publicznie jak para bardzo zażytych przyjaciół; że ona uwielbiała przyjęcia, szampan, hołdy mężczyznom; że pokłóciła się z Bradleyem z powodu jego umizgów do innej kobiety.

Z kolei Charles Rooney w charakterze świadka opowiedział swoją historię.

Zrobił dziesiątki fotografii Naomi: na torze wyścigowym, na farmie, podczas rozmaitych imprez towarzyskich. Był licencjonowanym prywatnym detektywem w stanie Wirginia i jego sprawozdania z prowadzonej inwigilacji były dobrze udokumentowane.

Przedstawił obraz lekkomyślnej, nie dbającej o pozory pięknej kobiety, która aż paliła się do zerwania krępujących ją więzów małżeńskich ze starszym mężczyzną.

Kobiety, która zaprosiła swą przyszłą ofiarę do domu, gdzie była sama, ubrana tylko w nocny negliz.

Rooney nie potrafiłby przysiąc, jakie słowa padły z ust tych dwojga, ale jego fotografie i dokumenty mówiły bardzo wiele. Para obejmowała się, nalewała brandy.

Potem nagle wybuchła sprzeczka i Naomi pobiegła pędem na górę. Bradley podążył za nią.

W swej gorliwości Rooney wspiął się na pobliskie drzewo i wycelował

teleobiektyw w okno sypialni. Kłótnia wciąż trwała, a nawet przybrała na sile. Naomi spoliczkowała Bradleya, a gdy ten odwrócił się, by odejść, wyciągnęła z szuflady nocnego stolika rewolwer. Kamera uchwyciła przerażenie na jego twarzy i jej wściekłość, kiedy oddawała strzał. Kelsey dłuższy czas wpatrywała się w zdjęcie i umieszczony nad nim nagłówek: WINNA! Wykonała starannie jeszcze kilka odbitek, następnie wyłączyła urządzenie i pozbierała swoje dokumenty i notatki. Kierując się emocjami, nie dopuszczając do siebie głosu rozsądku, dopadła automatu telefonicznego i wykręciła numer.

- Tutaj Three Willows.

- Poproszę z panią Naomi Chadwick.

- Czy mogę wiedzieć, kto mówi?

- Kelsey Byden.

Usłyszała krótki, szybko zduszony dźwięk.

- Panna Naomi jest na dole, w stajni. Zaraz z nią połączę.

Po chwili przełączono ją na linię wewnętrzną. Kelsey usłyszała w słuchawce chłodny jak lód głos Naomi.

- Witaj, Kelsey. Cieszę się, że dzwonisz.

- Chciałabym z tobą porozmawiać.

- Proszę bardzo. Kiedy tylko zechcesz.

- Zaraz. Będę mniej więcej za godzinę. Wolałabym, żebyśmy tym razem były same.

- Oczywiście. Czekam na ciebie.

Naomi odwiesiła słuchawkę i wytarła wilgotne ręce w dzinsy.

- Przyjeżdża moja córka, Moses.

- Domyśliłem się. - Moses Whitetree, trener Naomi, zaufany pracownik i długoletni kochanek, analizował właśnie księgi hodowlane. Był pół - Żydem, pół -

Indianinem, choć nigdy tak do końca nie poznał prawdy o swoim pochodzeniu.

Siwiejące włosy, związane w warkoczyk, opadały mu na plecy. Na jego szyi połyskiwała srebrna gwiazda Dawida.

O koniach wiedział absolutnie wszystko. I - poza kilkoma wyjątkami - wolał je od ludzi.

- Chce mi zadać pytania.

- Rozumiem.

- Co mam jej odpowiedzieć?

Nie patrzył na nią, nie potrzebował. Znał każdy, najdrobniejszy niuans w wyrazie twarzy Naomi.

- Staraj się mówić prawdę.

- Nie na wiele mi się to zdało.

- W niej płynie twoja krew.

Dla niego wszystko jest takie proste, pomyślała zniecierpliwiona Naomi.

- Jest dorosłą kobietą. Kobietą niezależną. Nie zaakceptuje mnie tylko dlatego, że łączą nas więzy krwi, Moses. Zresztą byłabym tym rozczarowana.

Odłożył na bok księgi i wstał. Nie był wysokim mężczyzną - tylko o kilka centymetrów wyższym i o parę kilogramów cięższym niż trzeba, żeby zostać dżokejem, o czym tak niegdyś marzył. W swoich znoszonych butach z cholewami dorównywał wzrostem Naomi.

- Chcesz, żeby cię pokochała, ale na twoich warunkach. Przez całe życie zbyt wiele chciałaś, Naomi.

Z czułością dotknęła jego osmaganego wiatrem policzka. Nie można się było na niego gniewać. Zawsze był w pobliżu niej, nigdy o nic nie pytał i zawsze ją kochał.

- Powtarzałeś mi to wiele razy. Nie wiedziałam, że tak bardzo będę jej potrzebowała, dopóki jej znowu nie zobaczyłam. Nie wiedziałam, że to się okaże aż tak bardzo ważne.

- A wolałabyś, żeby się nie okazało.

- Och, to prawda.

W tym ją rozumiał. Przez większą część swojego życia pragnął przestać kochać Naomi.

- Mój naród ma takie powiedzenie...

- Który naród?

Uśmiechnął się. Oboje doskonale wiedzieli, że zmyślał połowę swoich powiedzonek, drugą zaś dostosowywał do aktualnych potrzeb.

- Tylko głupcy nie realizują swoich pragnień. Pozwól jej, żeby przekonała się, jaka jesteś. To wystarczy.

Moses. - Do biura zajrzał chłopiec stajenny, uchylając kapelusza przed Naomi.

- Panno Naomi, nie podoba mi się sposób, w jaki Serenity stawia lewą przednią nogę, która zresztą jest trochę spuchnięta.

- Rano dobrze biegała. - Moses zmarszczył czoło. Wstał jeszcze przed wschodem słońca, by obserwować poranny trening. - Rzućmy na nią okiem.

Biuro Mosesa zajmowało niewielką przestrzeń naprzeciwko stajni. Było ciasne i często dochodził tu zapach końskiego moczu, ale on wolał je niż klimatyzowane powietrze w dużym pomieszczeniu, które zajmował jego poprzednik w wybielonym budynku niedaleko zachodniego padoku.

Moses często powtarzał, że cierpki, ostry zapach koni jest dla niego jak francuskie perfumy i nie chce zamienić swojej klatki na eleganckie, ale oddalone od stajni miejsce.

Prawdę mówiąc, stajnie były niemal tak lśniące jak luksusowy hotel i zwykle panował w nich nie mniejszy ruch. Betonowa pochylnia pomiędzy rzędami boksów była wyszorowana i nieskazitelnie czysta. Pojedyncze przegrody oznaczono emaliowanymi plakietkami; na każdej z nich wypisano fantazyjnie złotymi literami imię konia. Była to nieco afektowana pozostałość po ojcu Naomi, którą jednak postanowiła ona kontynuować, gdy przejęła farmę.

Czuło się tutaj zapach koni, mazidła, siana, ziarna i skóry - mieszanek zapachową, której tak dotkliwie brakowało Naomi podczas lat spędzonych w więzieniu, a której wartości i znaczenia nigdy nie przestała doceniać.

Dla niej był to zapach wolności.

Gdy Moses przechodził koło boksów, konie wystawiały z nich łby. Bez względu na to, jak bardzo się spieszył, nigdy nie zapominał choć w przelocie poklepać ich czy szepnąć im stówko.

Pomocnicy stajenni nie przerwali pracy; może tylko z większym entuzjazmem poruszały się teraz widły i zgrzebła.

Właśnie miałem ją wyprowadzić na pastwisko, kiedy zobaczyłem, że coś jest nie tak z jej nogą. - Stajenny zatrzymał się przy boksie Serenity. - Zauważyłem też spuchnięcie i pomyślałem, że zechce pan rzucić na to okiem.

Moses chrząknął jedynie. Przesunął dłońmi po błyszczącej kasztanowej sierści, zajrzał klaczy w oczy, powąchał jej oddech, mówiąc coś do niej półgłosem, po czym powiódł ręką od pyska przez piersi aż do nogi.

Kończyna była spuchnięta tuż nad stawem pęcಿನowym; była także gorąca.

Kiedy Moses lekko nacisnął opuchliznę, klacz szarpnęła do tyłu i prychnęła ostrzegawczo.

- Wygląda, jakby o coś się uderzyła.

- Dziś rano ujeżdżał ją Reno. - Naomi przypomniała sobie, że dżokej specjalnie w tym celu przyjechał na farmę. - Zobacz, czy jeszcze jest.

- Tak, proszę pani - odparł stajenny i wybiegł.

Bardzo ładnie dzisiaj biegała. - Mrużąc oczy, Naomi przykucnęła obok Mosesa i sama zaczęła badać chora nogę, delikatnie unosząc ją i opuszczając, aby przekonać się, czy nie został naruszony staw. - Wygląda, jakby skaleczyła nogę tylnym kopytem -

mruknęła. Chore miejsce było zaczerwienione, pod skórą wytworzył się krwawy skrzep. Prawdopodobnie kość jest stłuczona, pomyślała. Będą mieli szczęście, jeżeli okaże się, że to nie pęknięcie... - W przyszłym tygodniu miała pobiec w Saratodze.

- Może jeszcze pobiegnie - odparł Moses bez przekonania, bo stan nogi wydawał się poważny. - Trzeba zlikwidować obrzęk. Nie obejdzie się bez weterynarza.

Na wszelki wypadek warto by też prześwietlić kończynę.

- Zajmę się tym. I porozmawiam z Renem. - Naomi podniosła się, obejmując ramieniem łeb klaczy. Owszem, to była inwestycja, biznes, ale nie miała żadnego związku z jej miłością do koni. - Ona ma serce i duszę czempionki. Nie chcę słyszeć, że więcej nie pobiegnie.

Niecałą godzinę później Naomi z posępną miną przyglądała się zabiegom wykonywanym wokół chorej nogi klaczy. Najpierw polano skaleczenie strumieniem zimnej wody. Teraz zaś Moses nacierał uszkodzone miejsce zimną wodą z octem. W

boksie weterynarz przygotowywał strzykawkę.

- Kiedy będzie mogła wystartować, Matt?

- Za miesiąc. Może za sześć tygodni. - Spojrzał na Naomi. Matt Gunner miał

podłużną miłą twarz i życzliwe oczy. - Jest stłuczona kość i uszkodzona tkanka, ale nie ma pęknięcia. Przetrzyj ją przez jakiś czas w stajni i masuj regularnie. Trochę lekkich ćwiczeń i wyjdzie z tego.

- Jechaliśmy kłusa - wtrącił Reno. Dżokej stał tuż obok boksu i obserwował

wykonywane czynności. Poranny strój treningowy zamienił na elegancki garnitur. Był

rasowym, urodzonym koniarzem. Nic nie obchodziło go bardziej niż delikatne kończyny koni z hodowli Naomi. - Nie zauważyłem w jej chodzie żadnych zmian.

- Ani ja - dodała Naomi. - Obserwowałam rano biegi i także niczego nie spostrzegłam. Ta klaczka ma spokojny temperament. Nie kopie w boksie jak inne.

- No cóż, stłuczenie jest poważne - oznajmił Matt. - Ale gdyby chłopiec stajenny nie zauważył tego w porę, mogłoby być znacznie gorzej. Ulżymy jej cierpieniu.

Spokojnie, maleńka. No, nie bój się. - Wbił delikatnie igłę tuż powyżej skaleczenia.

Serenity zatoczyła oczami, prychnęła, lecz nie wierzgnęła. - Jest silna i zdrowa -

stwierdził Matt. - Znowu będzie biegała. Moses, chyba nie muszę cię pouczać, jak pielęgnować jej nogę. Sam to dobrze wiesz. Zadzwoń w razie gdyby rana się zaogniła.

Będziemy musieli wtedy... - urwał i utkwiał wzrok ponad ramieniem Naomi.

- Przepraszam. - Z tyłu, ściskając torbę i dokumenty, stała Kelsey. -

Przepraszam, że przeszkadzam, ale powiedziano mi w domu, że tu cię znajdę.

- Och! - Zakłopotana Naomi przejechała ręką po włosach. - Straciłam poczucie czasu. Mamy tutaj mały kłopot. Matt, to moja córka, Kelsey. Kelsey Byden, Matt Gunner, mój weterynarz.

Matt wyciągnął ku niej rękę, w której wciąż trzymał strzykawkę. Cofnął ją i się zaczerwienił.

- Przepraszam. Witaj.

Pomimo zdenerwowania Kelsey zmusiła się do uśmiechu.

- Miło mi.

- A to Moses Whitetree - kontynuowała prezentację Naomi. - Mój trener.

Moses, który masował nogę klaczy, ledwie skinął głową.

- Reno Sanchez, jeden z najlepszych dżokejów w tej i w dalszej okolicy.

- Najlepszy - powiedział Reno, mrużąc oko. - Miło mi cię poznać.

- Mnie również - automatycznie odparła Kelsey. - Widzę, że jesteś zajęta. Mogę poczekać.

- Nie, już nie mam tu nic do roboty. Dziękuję ci, że tak szybko przyjechałeś, Matt. Przepraszam, że popsułam ci dzień, Reno.

- Daj spokój, nie ma sprawy. Mam mnóstwo czasu do pierwszej gonitwy. - Z nie skrywanym zachwytem popatrzył jeszcze raz na Kelsey. - Powinnaś przyjechać na tor zobaczyć, jak sobie na nim radzę.

- Z przyjemnością.

- Wrócę tu później, Moses, sprawdzić jak się ona czuje. A teraz może byśmy tak poszli do domu? - Naomi zrobiła zapraszający ruch ręką i poprowadziła towarzystwo ku tylnemu wyjściu.

- Koń zachorował?

Niestety, kontuzja nogi. Będziemy musieli skreślić ją z wyścigów co najmniej na kilka najbliższych tygodni.

- To przykre.

Kelsey rzuciła okiem w stronę padoku. Na lonży popisywał się swoimi umiejętnościami jednolatek. Drugi, z jeźdźcem w siodle, trzymany przez ucznia, trenował stępa. Chłopiec stajenny polewał lśniącego kasztanowego wałacha strumieniem wody z gumowego węża. Pozostałe konie uczyły się zataczać szerokie łuki.

- Dużo tu pracy - odezwała się półgłosem Kelsey, świadoma spojrzeń wielu par oglądających się za nią oczu.

- Och, większość robót wykonuje się przeważnie rano, ale tym razem będzie jeszcze sporo do zrobienia po południu, po zamknięciu toru wyścigowego.

- Dzisiaj są wyścigi?

- Wyścig trwa nieustannie - wyjaśniła Naomi. - Ale właśnie odbywają się porody i to, czego klacze nie zrobiły do rana, wydarzy się w środku nocy. -

Uśmiechnęła się leciutko. - Można by odnieść wrażenie, że one zawsze rodzą w środku nocy.

Nie zdawałam sobie sprawy, że to takie ogromne przedsięwzięcie!

W ciągu ostatnich dziesięciu lat staliśmy się jedną z czołowych hodowli koni pełnej krwi w kraju. Mieliśmy konia, który w kolejnych trzech derby nie schodził

poniżej trzeciego miejsca. Wygrał wyścig w St. Leger i na Belmont. Zdobył Puchar Hodowców dwa razy z rzędu. A jedna z naszych klaczy wywalczyła złoto na ostatniej olimpiadzie... - Naomi przerwała śmiejąc się. - Nie pozwól, żebym się rozgadała. Na temat koni mogę w nieskończoność. Jak rozanieloną babcia zamęczająca gości pokazywaniem całej góry zdjęć swoich wnucząt.

- Świetnie. Bardzo mnie to interesuje. - Nawet bardziej, niż sądziłam, pomyślała Kelsey. - Wyobraź sobie, że kiedy byłam dziewczynką brałam lekcje jazdy konnej. Chyba większość z nas przechodzi etap szaleństwa na punkcie koni. Tatusz nie znosił mojego zapału, ale... - Zamilkła, zdając sobie nagle sprawę z przyczyny jego aż tak silnej niechęci i zmartwienia z powodu tej dziewczęcej tradycyjnej obsesji.

Nie dziwię się - powiedziała Naomi z uśmiechem. - Doskonale to rozumiem.

A ty pomimo to brałaś lekcje?

- Tak, wymogłam to na nich. - Stała i spojrzała matce prosto w oczy.

Zobaczyła drobne, delikatne oznaki starzenia się, których z powodu zdenerwowania nie dostrzegła podczas pierwszej wizyty. Siateczkę drobnych zmarszczek rozchodzących się w kształcie



wachlarzyków po zewnętrznej stronie oczu. Inne -

mimiczne bądź spowodowane przeżyciami - rysowały się delikatnie na jej wysokim, jasnym czole. - Mój widok, sam mój widok, musiał codziennie sprawiać mu ból.

- Nie sędzę. Bez względu na to, co czuł do mnie, ciebie uwielbiał. - Naomi odwróciła wzrok, ponieważ łatwiej jej było w tej chwili wpatrywać się we wzgórze.

Zarżał koń; jego radosny, czysty głos był dla niej słodszy niż jakakolwiek aria operowa. - Nie zapytałam cię o niego. Jak on się miewa?

- W porządku. Jest teraz dziekanem anglistyki w Georgetown. Od siedmiu lat.

- Tak, to utalentowany człowiek. A także dobry.

- Ale nie dość dobry dla ciebie. Naomi zmarszczyła czoło.

- Kelsey, kochanie, to ja nie byłam nigdy dość dobra dla niego. Zapytaj, kogo chcesz. - Szła przed siebie z odrzuconą do tyłu głową. - Podobno ożenił się ponownie.

Tak, gdy miałam osiemnaście lat. Są ze sobą bardzo szczęśliwi. Mam przybranego brata, Channinga.

- I kochasz ich, to znaczy twoją rodzinę?

- Tak, bardzo.

Naomi przecięła to samo patio i przeszła przez te same co za pierwszym razem balkonowe drzwi.

Czym cię mogę poczęstować? Kawa, herbata? Może odrobinka wina?

- Nie rób sobie kłopotu.

Mam nadzieję, że nie sprawisz zawodu Gertie. Kiedy usłyszała, że przyjeżdżasz, upiekła ciasteczka. Wiem, że tego nie pamiętasz, ale ona była do ciebie ogromnie przywiązana.

Wpadłam w pułapkę dobrych manier i współczucia, pomyślała Kelsey.

- A zatem herbata i ciasteczka.

- Powiem jej. Usiądź, proszę.

Nie usiadła. Choć nie bardzo wypadało, chciała z bliska obejrzeć przedmioty należące do matki. Na pierwszy rzut oka salon odznaczał się spokojną elegancją. Był

to świat oderwany od zewnętrznego rozgardiaszu, od utyłanych w nawozie botów. W

kominku płonął niski, równy ogień, przez rozsunięte różowe zasłony wpadało słońce, a jego światło rzucało refleksy na tuzin lub więcej prześlicznych kryształowych koni.

Periski dywan na lśniacej podłodze w kasztanowym odcieniu wydobywał kolor zasłon, podkreślał kremową tonację obicia sofy.

Żadnej ostentacji, żadnego zgrzytu. Dopiero gdy Kelsey rozejrzała się uważniej, dostrzegła nowe, odmienne akcenty. Na ścianach pokrytych połyskującym jedwabiem, w tym samym chłodnym odcieniu co obicia mebli, wisały obrazy. Duże abstrakcyjne kompozycje eksplodowały śmiałymi, niepokojącymi barwami. Są w nich namiętność i gniew, pomyślała Kelsey. Zdumiała ją także podpisy; na każdym obrazie widniał czerwonokrwisty inicjał N.C.

Czyżby prace Naomi? Nikt nie wspominał, że jej matka maluje. A to nie były amatorskie obrazy. Wykonano je z dużą wprawą i talentem. Budziły niepokój. Na dobrą sprawę ich obecność mogłaby zakłócać stateczną harmonię salonu, a tymczasem dodawały mu ciepła, wносиły osobisty, indywidualny charakter.

W pokoju znajdowały się też inne wymowne ślady dotknięcia ręki jego właścicielki. Kobięca statuetka z alabastru, na której twarzy malował się bezgraniczny smutek, bladozielone, nierówno popękane szklane serce i mała czarka z kolorowymi kamyczkami.

- Należały do ciebie.

Przyłapana na gorącym uczynku, Kelsey wrzuciła kamyk z powrotem do miseczki. Gertie wwozła tacę z herbatą. Zapatrzyła się na dziewczynę rozanielonym wzrokiem.

- Słucham?

- Zawsze lubiłaś ładne kamyczki. Zachowałam je dla ciebie, gdy... - Jej wargi zadrżały. - Gdy stąd odeszłaś.

- Och! - Czy mogła znaleźć lepszą odpowiedź? - A więc już od dawna tu pracujesz.

- Jestem w Three Willows od dziecka. Moja matka prowadziła dom panu Chadwickowi, a kiedy przeszła na emeryturę, ja przejęłam jej obowiązki. Przeniosła się na Florydę. Kiedyś uwielbiałaś czekoladowe wiórki.

Kobięta pożerała Kelsey wzrokiem. Jej rozpaczliwie tęskne spojrzenie było trudne do zniesienia, a przeblyskująca spod niego bezgraniczna radość jeszcze gorsza.

- Nadal uwielbiam - wydusiła z siebie Kelsey.

- Chodź, siadaj i spróbuj ciasteczek. Panna Naomi rozmawia przez telefon, ale zaraz przyjdzie. - Pomrukując ze szczęścia, Gertie nalała herbatę i wyłożyła ciastka na talerzyk. - Zawsze wiedziałam, że wrócisz. Panna Naomi nie była tego pewna.

Dręczyła się tym. A ja jej mówiłam: „Jest pani dzieckiem? No to wróci zobaczyć swoją mamusię”. I proszę, kto miał rację?

- To prawda. - Kelsey usiadła i przyjęła podaną jej herbatę. - Jestem tutaj.

- I już całkiem dorosła. - Nie mogąc się opanować, wykonała ruch, jakby chciała pogłaskać włosy Kelsey. - Już dorosła kobieta. - Jej niemłoda twarz zmarszczyła się w uśmiechu. Odwróciła się i pospiesznie wyszła z pokoju.

- Przepraszam - powiedziała Naomi, wchodząc do salonu. - Gertie przeżywa wielkie chwile. To dla niej ogromne przeżycie. Musiałaś się czuć dość niezręcznie.

- Wszystko w porządku. - Kelsey popijała herbatę. Tym razem ulung, pomyślała, leciutko się uśmiechając. Naomi prawidłowo odczytała jej reakcję.

Roześmiała się.

- Mam dość specyficzne poczucie humoru. - Nalała sobie filiżankę i usiadła. -

Nie byłam pewna, czy wrócisz.

- Ja również. Wcale nie wiem, czybym przyjechała, zwłaszcza tak szybko, gdyby nie babcia, która prawie mi tego zabroniła.

- Ach, Milicent! - Próbując się rozluźnić, Naomi wyciągnęła przed siebie swoje długie nogi. - Zawsze mnie nienawidziła. No cóż - wzruszyła ramionami - ze wzajemnością. Powiedz, czy udało ci się sprostać jej wygórowanym standardom?

- Niezupełnie. - Na twarzy Kelsey pojawił się uśmiech, ale równie szybko zniknął. Uznała, że rozmowa o babci byłaby przejawem nielojalności.

- Honor rodziny. - Naomi z aprobatą skinęła głową. - Masz absolutną rację. Nie powinnam cię prowokować do krytykowania Milicent. A poza tym to nie ja mam zadawać pytania.

- Dlaczego dla ciebie wszystko jest takie proste? - Kelsey odstawiła filiżankę nieco zbyt energicznie. - Skąd u ciebie ten spokój?

Wiele się nauczyłam w więzieniu; od tamtego czasu przyjmuję rzeczy takimi, jakie są. Masz pełną swobodę, Kelsey. Możesz pytać, o co chcesz. Miałam dużo czasu, by to przemyśleć, i zanim zdecydowałam się do ciebie napisać, obiecałam sobie, że przyjmę każde rozwiązanie, bez względu na konsekwencje.

- Dlaczego czekałaś tak długo? Wyszłaś z więzienia...

- Dwanaście lat, osiem miesięcy i dziesięć dni temu. Ale byli więźniowie są bardziej obsesyjni niż byli palacze, a ja jestem i jednym, i drugim. - Znowu się uśmiechnęła. - Oczywiście, to nie jest odpowiedź na twoje pytanie. Zamierzałam skontaktować się z tobą zaraz po wyjściu na wolność. Jeździłam pod twoją szkołą.

Codziennie przez tydzień siedziałam w samochodzie po drugiej stronie jezdni i obserwowałam jak bawisz się z rówieśnikami na boisku szkolnym. Przyglądałam się, jak ty i inne dziewczynki kokietujecie chłopców, udając, że wcale nie zwracacie na nich uwagi. Raz nawet wysiadłam z

samochodu i ruszyłam w twoim kierunku, ale nagle wydało mi się, że poczujesz ode mnie zapach więzienia. Sama ciągle go czułam.

Naomi wzruszyła ramionami i sięgnęła po ciastko.

- No więc zawróciłam, wsiadłam do samochodu i odjechałam. Byłaś szczęśliwa, bezpieczna, nawet nie wiedziałaś o moim istnieniu. A potem zachorował mój ojciec.

Mijały lata, Kelsey. Ilekroć miałam ochotę złapać za słuchawkę czy napisać list albo ot tak po prostu powrócić do twojego życia, wydawało mi się to niewłaściwe.

- A dlaczego teraz to zrobiłaś?

- Bo teraz uznałam, że postępuję słusznie. Nie jesteś już taka szczęśliwa ani bezpieczna jak dawniej, pomyślałam więc, że to odpowiedni czas, abyś dowiedziała się o moim istnieniu. Twoje małżeństwo się rozpadło, znalazłaś się na rozstajnych drogach. Być może uważasz, że nie potrafię zrozumieć, co czujesz, ale chyba tak nie jest.

- Wiesz o Wadzie?

- Tak. Wiem także dużo o twojej pracy i karierze uniwersyteckiej. Masz szczęście, że odziedziczyłaś po ojcu umysł. Ja zawsze byłam kiepską studentką. Jeśli nie chcesz już więcej ciasteczek, weź kilka ze sobą, dobrze? Gertie się nie zorientuje i będzie jej przyjemnie, że ci smakowały.

Westchnąwszy Kelsey sięgnęła po jedno i ugryzła kawałeczek.

- Mam bardzo mieszane uczucia w związku z tą sytuacją. Nie wiem, co powinnam do ciebie czuć.

- Rzeczywistość bardzo rzadko przypomina te wielkie, pełne wzruszeń spotkania z telewizyjnego programu *Opry* - skwitowała Naomi. - Spotkanie matki i córki po latach! Wszystko zostaje wybaczone! Ja nie proszę, żebyś mi wszystko wybaczyła, Kelsey. Mam jednak nadzieję, że dasz mi szansę.

Kelsey sięgnęła po materiały, które położyła obok siebie na sofie.

- Przeprowadziłam małe badanie.

Psiakrew, pomyślała Naomi, sięgając po następne ciastko.

- Przypuszczałam, że tak zrobisz. Artykuły z gazet na temat procesu?

- Między innymi.

- Mogę ci załatwić stenogram.

Palce Kelsey zacisnęły się na trzymany w ręce papierach.

- Stenogram?

- Na twoim miejscu chciałabym mieć egzemplarz, Kelsey. To ogólnie dostępny dokument. Nawet gdybym zamierzała coś ukryć, nie mogłabym.

- Gdy byłam tu pierwszy raz, zapytałam cię, czy jesteś winna, a ty odparłaś, że tak.

- Zapytałaś mnie, czy zabiłam Aleca, więc odpowiadałam zgodnie z prawdą.

- Ale dlaczego nie powiedziałaś mi, że zrobiłaś to w obronie własnej?

- A cóż to za różnica? Zostałam skazana. Spłaciłam swój dług wobec społeczeństwa i według prawa jestem znów pełnowartościowym obywatelem.

- A zatem twierdząc, że strzeliłaś do niego, ponieważ chciał cię zgwałcić, skłamałaś? To był tylko zwykły manewr?

- Tak to odebrała ława przysięgłych.

- Ale ja pytam ciebie - zachnęła się Kelsey, nie panując nad sobą. - Chcę usłyszeć po prostu „tak” albo „nie”.

Odebranie życia jest sprawą znacznie bardziej skomplikowaną, niezależnie od okoliczności.

- Ale jakie to były okoliczności? Wpuściłaś go do swojego domu, do swojej sypialni...

- Wpuściłam go do mojego domu - powiedziała spokojnie Naomi. - A on wszedł

do mojej sypialni.

- Był twoim kochankiem?

- Nie, nie był. - Opanowanym ruchem Naomi dołała sobie herbaty. Może mógłby nim zostać. Ale nie spałam z nim. - Jej spojrzenie napotkało wzrok córki. -

Ława przysięgłych także mi nie uwierzyła. Pociągał mnie. Początkowo sprawiał na mnie wrażenie czarującego, nieszkodliwego i zabawnego narwańca.

- Poszło o inną kobietę?

- Jestem zaborcza - odparła beztrąsko Naomi. - Powinien być we mnie zakochany do szaleństwa, a to znaczy, że mnie wolno było flirtować, jemu zaś nie.

Poza tym zaczynał mnie nudzić i stał się kłopotliwy, postanowiłam więc zerwać tę znajomość. Alec nie chciał tego i dlatego publicznie zrobił mi scenę. Później, już bez świadków, następną. Był wściekły, obrzucił mnie paroma raczej niewybrednymi wyzwiskami, próbował nawet uciec się do rękoczynów. Kazałam mu się wynosić.

Choć starała się zachować spokój, jej głos zdrzął na wspomnienie tamtej nocy.

- Nie posłuchał. Pobiegł za mną na górę, miotając jeszcze gorsze obelgi.

Zachowywał się coraz brutalniej. Zapewne postanowił mi pokazać, co tracę. Zaciągnął

mnie siłą do łóżka. Byłam wściekła i bałam się. Walczyliśmy ze sobą, ale wkrótce uświadomiłam sobie, że faktycznie zrobi to, czym mi groził. Wyrwałam się, złapałam rewolwer i strzeliłam.

Kelsey bez słowa otworzyła teczkę z dokumentami, wyjęła z niej odbitkę fotografii z gazety i podała matce. Jedyne krótki, przelotny skurcz kącików ust wskazywał, że Naomi jest poruszona.

- Niezbyt to pochlebne dla nas obojga, zgodzisz się chyba? Ale wtedy nie widzieliśmy, że mamy widownię.

- Przecież on nie robi ci nic złego. Trzyma ręce w górze.

- Tak. Szkoda, że cię przy tym nie było. - Oddała fotografię. - Nie proszę cię, żebyś mi uwierzyła, Kelsey. Nie masz powodu. Bez względu na okoliczności, nie jestem niewinna. Ale zapłaciłam za to. Społeczeństwo znów dało mi szansę. I ciebie też tylko o to proszę.

- Dlaczego pozwoliłaś, żebym uważała cię za zmarłą? Dlaczego na to pozwoliłaś?!

- Ponieważ tak się czułam. Część mnie umarła. Ale chociaż nosiłam piętno zbrodni, kochałam cię i nie chciałam, byś dorastała ze świadomością, że siedzę w więzieniu. Nie przeżyłabym tych dziesięciu lat, mając taką świadomość. A musiałam przeżyć.

W głowie Kelsey wciąż roiło się od pytań, lecz nie była pewna, czy potrafi znieść odpowiedzi na nie.

- Nie znam cię - powiedziała na koniec. - Nie wiem, czy kiedyś coś do ciebie poczuję.

- Ojciec z pewnością wpoił ci poczucie obowiązku. Milicent też zapewne dołożyła starań. Wykorzystam to i poproszę cię, abys tu przyjechała i pozostała kilka tygodni. Miesiąc.

Przez chwilę Kelsey nie mogła ochłonąć z wrażenia.

- Chcesz, żebym tu mieszkała? - wydusiła z siebie.

- To będzie coś w rodzaju dłuższej wizyty. Parę tygodni twojego życia, Kelsey, za moje utraczone życie. - Nie zamierzała żebrać. Boże, nie chce żebrać, ale robi to, jeżeli nie będzie innego wyjścia. - To egoistyczne i nieco podstępne z mojej strony, pragnę jednak, byś dała mi szansę.

- Dużo ode mnie żadasz.

- Wiem. Niemniej to robię. Jestem twoją matką. Tego się nie da ukryć. Możesz mnie unikać, jeżeli tak postanowisz, lecz nadal pozostanę twoją matką. Będziemy miały czas, by się przekonać, czy coś nas

łączy. Jeżeli nie, odejdziesz. Założę się, że jednak tak się nie stanie. - Naomi przyjrzała się uważnie córce. - Z jakiego materiału jesteś zbudowana, Kelsey? Czy jest w nim dostatecznie dużo z Chadwicków, abyś przyjęła wyzwanie?

Kelsey wysunęła ostentacyjnie szczękę. To było ryzykowne wyzwanie. Może to i lepiej, że matka ją naciska, zamiast prosić.

- Nie obiecuję, że to będzie miesiąc. Ale przyjadę. - Zdziwiło ją przelotne drzenie warg Naomi, które jednak natychmiast przeszło w chłodny, opanowany uśmiech.

- Świetnie. Jeżeli ja nie mogę cię oczarować, może Three Willows zrobi to za mnie. Będziemy musiały sprawdzić, ile ci dały lekcje jazdy konnej.

- Nie daję się łatwo wyrzucić z siodła.

- Podobnie jak ja.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Rodzinną kolacja to poważna i delikatna sprawa. Doskonałe potrawy podawano z godnością - jak każdy ostatni posiłek, pomyślała Kelsey, podnosząc do ust łyżkę zupy z porów. Nie chciała, by wieczór spędzony w domu ojca sprowadził się do obowiązku albo, co gorsza, przymusu. Niestety, zanosilo się na jedno i drugie.

Philip prowadził grzeczną konwersację, lecz jego uśmiech był wymuszony.

Odkąd Kelsey powiedziała mu o planowanej wizycie w Three Willows, ciągle powracał

myślami do przeszłości. Czuł się niełojalny wobec Candace, ponieważ bezsenne, niespokojne noce pełne były wspomnień o pierwszej żonie. Choć powtarzał sobie, że to wszystko pozbawione jest sensu i logiki, niemniej lęk, że traci dziecko, o które tak zażarcie walczył, był silniejszy. Teraz to już kobieta. Wystarczy na nią spojrzeć. Ale gdy zamykał oczy, znowu stawała się dzieckiem. A wraz z tym obrazem pojawialo się poczucie winy.

Milicent poczekała, aż podano pieczonego kurczaka. Zwykle nie lubila poruszać drażliwych tematów podczas posiłków, lecz nie było innego wyjścia.

- Podobno jutro wyjeżdżasz?

- Tak. - Kelsey wypila łyk wody. Przygladala się cienkiemu plasterkowi cytryny, który opadł na dno szklanki, po czym wypłynął do góry. - Z samego rana.

- A twoja praca?

- Zložylam wymówienie. - Uniosla wyzywajaco brwi. - To byla praca niemal ochotnicza. Po powrocie rozejrzę się za czymś w Smithsoniańskim Instytucie.

- To może wcale nie być takie proste, zważywszy na twoje rekordowe tempo podejmowania i porzucania pracy.

- Być może.

- Stowarzyszenie Historyków zawsze poszukuje dodatkowych rąk do pracy -

włączyła się Candace. - Jestem przekonana, że uda mi się tam coś dla ciebie załatwić.

- Dziękuję, Candace. - Jak zawsze w roli mediatora, pomyślała Kelsey. -

Zastanowię się nad tym.

- A może połkniesz bakcyła wyścigów konnych - mrugnął do Kelsey Channing. -

Kup sobie jakiegoś ogiera i wystawiaj go w gonitwach.

- Ani to mądre, ani realne. - Milicent przyłożyła serwetkę do ust. - Takie rzeczy mogą wydawać się romantyczne i podniecające w twoim wieku, Channing, ale Kelsey ma już dostateczne doświadczenie życiowe, by wiedzieć, co dla niej najlepsze.

- Uważam, że to świetny pomysł spędzać czas w stajniach i robić niewielkie zakłady na wyścigach. - Channing wzruszył ramionami i szybko zaczął wykańczać to, co miał na talerzu. - Z przyjemnością posiedziałybym parę tygodni na wsi.

- Możesz mnie odwiedzić. Będzie zabawnie.

- Czy to wszystko, co masz do powiedzenia? - Rozgniewana Milicent odłożyła głośno widelec. - Zabawnie? A nie przyszło ci do głowy, co czuje twój ojciec?

- Mamo...

Milicent zbyła przeciw Philipa zniecierpliwionym machnięciem ręki.

- Po takim cierpieniu i nieszczęściu, przez które przeszedł, wystarczy, żeby ta kobieta po prostu pstryknęła palcami i Kelsey biegnie do niej jak gdyby nigdy nic. To przerażające.

- Nie pstryknęła palcami. - Kelsey zaciskała pod stołem pięści. O wiele łatwiej byłoby wywołać awanturę, pomyślała. - Poprosiła, a ja się zgodziłam. Przepraszam tato, jeśli cię to rani.

- Mnie chodzi o ciebie, Kelsey.

- Zastanawiam się... - odezwała się Candace w nadziei, że powstrzyma teściową i choć trochę uratuje wieczorną atmosferę - czy koniecznie musisz tam zostać. To tylko godzina jazdy. Mogłabyś stopniowo się tam zdomawiać, jeżdżąc od czasu do czasu na weekend. - Spojrzała na męża, by ocenić jego reakcję, po czym uśmiechnęła się zachęcająco do Kelsey. - To wydaje się rozsądniejsze.



- Gdyby była rozsądna, nigdy by tam nie pojechała.

Kelsey przemilczała uwagę babki i odchyliła się na oparcie krzesła.

- Nie podpisywałam kontraktu. Mogę stamtąd wyjechać, kiedy tylko zechcę.

Ale chcę tam pojechać. - Zwróciła się do ojca. - Muszę się przekonać, jaka ona naprawdę jest.

- Dla mnie to brzmi całkiem rozsądnie - oznajmił Channing znad kawałka kurczaka. - Gdybym się dowiedział, że odnalazła się moja dawno utracona matka, która siedziała w kiciu, zrobiłbym to samo. Czy pytałaś ją jak tam jest? Zawsze byłem napalony na te filmy o kobietach więźniarkach.

- Channing - syknęła ze zgrozą Candace. - Czy musisz być tak wulgarny?

- Kiedy to mnie naprawdę interesuje. - Nadział na widelec doskonale ugotowany młody kartofel. - Założę się, że jedzenie jest tam ohydne.

Rozbawiona jego uwagami Kelsey roześmiała się.

- Na pewno ją o to zapytam. Boże, czy Channing i ja jesteśmy jedynymi osobami przy stole, które nie patrzą na całą tę sprawę jak na salonowy melodramat?

Powinniście czuć ulgę, że nie biegnę zszokowana po powrocie stamtąd do jakiegoś terapeuty albo że nie odreagowuję przeżytego wstrząsu jakimś tanim winem. W końcu to tylko ja muszę dopasować się do nowej sytuacji i staram się jak mogę.

- Myślisz wyłącznie o sobie - syknęła przez zaciśnięte wargi Milicent.

- Tak. Myślę wyłącznie o sobie. - Co za wiele, to niezdrowo, stwierdziła Kelsey i odsunęła się od stołu. - Może cię zainteresuje, że ona mówiła o tobie wyłącznie dobrze

- zwróciła się do ojca. - Nie szykuje żadnego podstępnego spisku i nie mogłaby niczego takiego zrobić. - Podeszła do niego i pocałowała go w policzek. - Dziękuję za kolację, Candace. Muszę wrócić do domu i dokończyć pakowania. Channing, jeśli będziesz miał wolny weekend, zadzwoń do mnie. Dobranoc, babciu.

Pospiesznie opuściła jadalnię. Gdy zamykała za sobą frontowe drzwi, nabrała duży haust powietrza. Poczowała smak wolności. Postanowiła z niej skorzystać.

Rano w drzwiach na Kelsey czekała Gertie.

- Jesteś! - Nim dziewczyna zdążyła się sprzeciwić, już złapała jej walizki. -

Panna Naomi jest w stajni. Nie wiedziałyśmy, o której przyjedziesz, ale prosiła, żebym od razu ją zawołała.

- Nie trzeba, nie odrywaj jej od zajęć. Pozwól, że sama je wezmę. Są ciężkie. -

- Jestem silna jak koń. - Rozpromieniona Gertie wspinała się po schodach niemal tyłem. - Pokażę ci twój pokój. Wystarczy, że wniesiesz samą siebie.

Choć mała i drobna, Gertie bez wysiłku pięła się po schodach, nie przestając szczebiotać.

- Wszystko przygotowaliśmy. Jak to dobrze znów mieć zajęcie. Panna Naomi nie przywiązuje do tego wagi. Prawie mnie nie potrzebuje.

- Na pewno jest inaczej.

- No, tylko dla towarzystwa. Bo je tyle, co ptaszek i sama robi przy sobie niemal wszystko. - Gertie zeszła kilka stopni w dół, do rozległego holu wyłożonego dywanem ze wzorem stulistnej róży. - Czasami kogoś zaprasza do domu, ale to już nie to, co kiedyś. Bywało tu mnóstwo ludzi, wydawało się dużo przyjęć.

Przekroczyła próg pokoju i postawiła obie walizki na eleganckim łóżku z rzeźbionymi tralkami.

Pokój zalany był światłem padającym z wnęki okiennej z widokiem na wzgórza i z długich, wąskich okien wychodzących na ogród. Głębokie kolory i akcenty kwiatowe nadawały całości szykowny, europejski charakter.

- Jakie śliczne. - Kelsey podeszła do toaletki z drewna czereśniowego, na której z kryształowej rżniętej czary wystrzeliwały tulipany. - Jakby pogrążone we śnie.

- To twój dawny pokój. Oczywiście wtedy wyglądał inaczej, był cały różowy i biały, jak cukiereczek. - Gertie przygryzła wargi, widząc zdumienie w oczach Kelsey. -

Panna Naomi powiedziała, że jeśli ci się nie spodoba, możesz zająć pokój po drugiej stronie holu.

Tu jest dobrze. - Czekwała, czy nie odżyje nagle jakieś wspomnienie, czy nie dozna olśnienia przywracającego jakieś wrażenie z przeszłości. Ale nie odczuwała niczego oprócz ciekawości.

- Tutaj jest łazienka. - W swej gorliwości i chęci przypodobania się Gertie otworzyła drzwi. - Jeśli zechcesz więcej ręczników, daj mi tylko znać. I w ogóle, gdyby cokolwiek było potrzebne. A teraz pójdę zawołać pannę Naomi.

Nie, nie. - Kelsey odruchowo odwróciła się od rozpakowywanej walizki. - Zejdę na dół. Rozpakuję się później.

- Ja to zrobię. Nie zaprzataj sobie tym głowy. Idź, baw się dobrze. Potem podam lunch. Zapnij żakiet. Jest chłodno.

Kelsey z trudem powstrzymała się od śmiechu.

- W porządku. Wrócę na lunch.

- I sprowadź mamę. Ona też musi czasami coś jeść.

- Powiem jej - odparła Kelsey i opuściła pokój, pozostawiając rozradowaną Gertie z walizkami.

Aż ją kusilo, żeby zrobić małą rundkę po domu, pozaglądać do pokoiów, pomyszkować po korytarzach, ale odłożyła to na później. Choć w powietrzu czuło się jeszcze chłód ustępującej zimy, słońce świeciło wspaniale i zapowiadał się piękny dzień. Kelsey miała nadzieję, że także obiecujący.

Postanowiła nie rozpoczynać wizyty od ścigania fantomów. Przyjdzie na to czas. Teraz wolala oddać się bardziej niewinnej przyjemności i spędzić jeden dzień na wsi bez żadnych komplikacji, wdychać zapachy przebijających się spod zmarzniętej ziemi wiosennych kwiatów i świeżych traw, podziwiać panoramę wzgórz, konie i niebo. Dotąd traktowała ten wyjazd jako rodzaj krótkich wakacji. Do ostatniej chwili, aż do momentu pakowania walizek, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo potrzebne jej było oderwanie się od czterech ścian mieszkania, od dorywczej pracy, od uciążliwej rutyny ponownego przyzwyczajania się do samotnego życia.

A przecież tutaj, pomyślała, gdy dotarł do jej nozdrzy ostry koński zapach, można także wiele się nauczyć. Nie miała zielonego pojęcia o świecie wyścigów konnych, o ludziach z tym związanych, a tylko bardzo słabe wyobrażenia o zwierzętach, które stanowiły istotę tego wszystkiego.

Będzie się więc uczyć i odkrywać. Oczywiście im więcej się dowie, tym lepiej będzie mogła zrozumieć swoją matkę.

Tak jak poprzednio, w stajniach panował ożywiony ruch - czyszczono konie, wyprowadzano je, kobiety i mężczyźni dźwigali siodła i inne części końskiego ekwipunku, pchali taczki. Kelsey zniosła zarówno te ukradkowe, jak i bardziej zuchwałe spojrzenia i weszła do środka.

W pierwszym boksie stajenny bandażował klaczy nogi. Kelsey zawahała się, gdy podniósł na nią wzrok i przyjrzał jej się badawczo. Jego oczy osłaniał cień daszka czapki, a twarz była niewiarygodnie stara, porysowana jak porzucona na słońcu skóra.

- Przepraszam, szukam pani Chadwick.

Wyrosłaś, nie ma co. - Mężczyzna żuł tytoń; mówiąc przesunął go na bok, pod policzek. - Słyszałem, że masz przyjechać. No, uważaj, skarbie, wstrzymaj jeszcze mocz.

Dopiero po chwili Kelsey zorientowała się, że ostatnie zdanie skierowane było nie do niej, lecz do konia.

- Czy coś jej dolega? - zapytała.

- Tylko drobne skręcenie. Stara już jest, ale ciągle lubi biegać. Przypominają ci się dobre czasy, co, malutka? Wygrała swój pierwszy i ostatni bieg, no i niemało pośrodku. Ma dwadzieścia pięć lat. Była ruchliwą i zwawą klaczką, kiedy widziałaś ją ostatni raz. - Jego prawie bezzębne usta rozpromieniły się w uśmiechu. - To jasne, że nie pamiętasz ani jej, ani mnie. Jestem Boggs. Podsadzałem cię na twojego pierwszego kucyka. Już zapomniałaś, jak się jeździ, co?

- Nie. Jeszcze potrafię. - Kelsey wyciągnęła rękę, by poklepać szyję starej klaczy. - Jak się ona

nazywa?

- Queen Vanity Fair. Ja ją nazywam po prostu Queenie.

Klacz zarżała i spojrzała swoimi łagodnymi brązowymi oczami prosto w oczy Kelsey.

- Jest za stara, żeby brać udział w wyścigach - powiedziała dziewczyna półgłosem.

- A także, żeby rodzić. Queenie jest na emeryturze, ale ciągle jeszcze uważa się za dzierlatkę i żwawo się rusza. Gdybym przyniósł tu teraz siodło, od razu zastrzygłaby uszami.

- Można więc jeszcze jej dosiadać?

- Do tego trzeba odpowiedniego jeźdźca. Twoja mama jest w części hodowlanej.

Obejdz stajnię i skręć w lewo. Dzieją się dzisiaj ważne rzeczy.

- Och, dziękuję...

- Boggs. Witaj w domu. - Odwrócił się i dotknął swoimi powykręcanyymi, stwardniałymi palcami nogi klaczy delikatnie niczym jedwabiem. - Po tym terenie lepiej chodzić w botach.

- Chyba tak. - Kelsey z zakłopotaniem spojrzała na swoje miękkie i lekkie włoskie pantofle. - Masz rację.

Przeszła przez stajnię, zatrzymując się na moment przy boksie Serenity.

Nagrodą za to było przyjazne parsknięcie i potarcie nosem.

Gdy wyszła stamtąd, nie musiała się długo rozglądać. Przed bocznym skrzydłem przybudówki panowało dostatecznie duże ożywienie, by przyciągnąć jej uwagę.

Rozpoznała Gabe'a i przez ułamek sekundy nie mogła rozstrzygnąć, kto wygląda bardziej majestatycznie - on czy stojący dęba kasztanowy ogier, nad którym usiłował zapanować. Gabe znajdował się tuż przy jego łbie. Ściągnął lejce i napinając mięśnie, zaparł się botami, a ogier tymczasem szarpał się, rżał i dygotał z emocji.

Szybkim ruchem głowy Gabe odrzucił do tyłu rozwiane na wietrze włosy i się roześmiał.

- Podniecający widok, co? Nie wstydz się tego. Nic tak nie pobudza krwi jak widok pięknej samicy gotowej do seksu. Witaj, Kelsey. - Nie przerwał zmagania z ogierem, nie rozglądał się, ale wiedział, że ona tutaj jest. Tak jakby ją wyczuł, niczym ogier klacz. - Przybywasz w najważniejszym momencie. Nie jesteś chyba płochliwa?

- Nie, nie jestem.

- W porządku. Naomi jest w środku z klaczą. Longshot i Three Willows spłodzą wspólnie

czempiona.

Kelsey prześlizgnęła się wzrokiem po koniu. Z boku zajęli pozycję pomocnicy, powstrzymujący wraz z Gabe'em ogiera przed staranowaniem budynku, w którym znajdowała się klacz. Był wspaniały. Jego lśniąca od potu skóra zdawała się płonąć; miał dziki wzrok i napięte do granic wytrzymałości mięśnie.

- Zamierzasz pozwolić mu dopaść tej biednej, niczego nie podejrzewającej klaczy?

Gabe uśmiechnął się szeroko.

- Będzie mu za to wdzięczna, możesz mi wierzyć.

- Będzie przerażona - wyraziła sprzeciw Kelsey i weszła do budynku. Ujrzała matkę i Mosesa uspokajających zdradzającą oznaki coraz większej gotowości klacz kasztanowej maści o równie królewskim wyglądzie, jak jej partner. Chociaż była spętana, a na szyi miała ochronną osłonę z grubej skóry i brezentu, wyglądała dumnie i pięknie.

- Kelsey! - Brudna i spocona, Naomi przetarła ręką czoło. - Gertie miała mi dać znać, kiedy tylko przyjedziesz.

- Powiedziałam jej, żeby się nie trudziła. Nie przeszkadzam?

- Nie... - Naomi niezdecydowanie spojrzała na Mosesa. - Ale za chwilę zacznie się tutaj szaleństwo. Widok może być dla ciebie zbyt drastyczny.

- Wiem co nieco o seksie - odparła sarkastycznie Kelsey.

- Zostań - dodał Moses - to nauczysz się więcej. Jest gotowa - zwrócił się do jednego z pomocników.

- Lepiej zejdz z drogi - ostrzegła córkę Naomi. - To nie takie proste jak godzinna uciecha w miejscowym motelu.

Seks czuło się w powietrzu. A gdy Gabe i jego pomocnicy wprowadzili ogiera, stało się ono jeszcze gęstsze. Ostre, drażniące, pierwotne. Klacz wydała cichy dźwięk na znak protestu czy powitania, ogier zaś odpowiedział jej tak, że Kelsey poczuła ucisk w żołądku.

Padaly polecenia; wszystko odbywało się błyskawicznie. Ogier wykonał potężny skok, stanął dęba, po czym wspiał się na klacz. Z szeroko otwartymi oczami Kelsey wpatrywała się w Mosesa, który wkroczył do akcji, uczestnicząc w najbardziej technicznej stronie kopulacji. Następnie zaparło jej dech, kiedy zorientowała się, dlaczego klacz ma szyję przykrytą skórzaną osłoną. Nie ulega wątpliwości, że gdyby nie to, ogier pogryzłby ją do krwi. Wbił się w nią dziko. Jego żądza była szalona i - na swój sposób - ludzka.

Krył ją, władczy i wymagający. Ona przewracała oczami, co Kelsey uznała za oznakę rozkoszy.

Niemal bezwiednie podeszła bliżej, zafascynowana szaloną namiętnością tego parzenia się. Waliło

jej serce, czuła pulsującą krew. Przeniknął ją krótki, ostry ból podniecenia.

Przyłapała się na tym, że przygląda się Gabe'owi. Pot spływał mu po twarzy, pod koszulą widać było napięte mięśnie. Patrzył na nią. Odbicie własnej prymitywnej i nieoczekiwanej reakcji w czyichś oczach było dla Kelsey wstrząsającym przeżyciem. W

jej umyśle błysnęła porażająca wizja: zobaczyła siebie braną jak ta klacz - dziko, gwałtownie i bezwzględnie.

Gabe uśmiechnął się powolnym ruchem warg, a był to uśmiech tyleż arogancki, co czarujący. Uśmiechnął się, pomyślała Kelsey, jakby znał moje myśli. Jakby zmuszał

mnie do takiego myślenia.

- Czyż to nie zdumiewające? - Naomi cofnęła się i stanęła obok córki. Była obolała z wysiłku, bo tego ranka kryli już trzecią klacz. - Setki funtów zatracające się w najbardziej podstawowej potrzebie fizjologicznej.

- Czy to... - Kelsey nerwowo chrząknęła. - Czy to ją boli?

- Jeśli nawet, to wątpię, czy to zauważa. - Naomi wyjęła z tylnej kieszeni niebieską indyjską chustkę, by wytrzeć wilgotną szyję. - Niektóre ogiery kryją bardzo delikatnie, jak zawstydzeni lub wieloletni kochankowie. - Uśmiechnęła się ironicznie w kierunku dyszących koni. - Ale ten nie ma za grosz wstydu. To bestia. Któraż jednak kobieta nie chce mieć do czynienia z bestią od czasu do czasu? - Jej spojrzenie powędrowało ku Mosesowi.

Pora odwołać się do intelektu, pomyślała Kelsey, czując, jak bije jej serce. Tak będzie lepiej. Na gruncie logiki poczuje się pewniej i bezpieczniej.

- Jak dobierasz ogiery do klaczy?

- Liczą się rodowody, dyspozycje, skłonności, nawet maść. Sporządzamy wykresy genetyczne. A potem trzymamy kciuki. Chryste, wiem, że to ograna melodia, ale chciałabym zapalić. Wyjdźmy trochę na powietrze. One już prawie skończyły.

Wychodząc na dwór, Naomi wyjęła z kieszeni gumę do żucia.

- Chcesz kawałek?

- Nie, dziękuję.

- To marna namiastka tytoniu. - Westchnęła, wkładając do ust gumę. - Tak jak większość namiastek. - Przechyliła głowę i przyjrzała się córce z większą uwagą. -

Wyglądasz na zmęczoną, Kelsey. Bezsenna noc?

- Coś w tym rodzaju.

Naomi znowu westchnęła. Kiedyś Kelsey była wobec niej taka otwarta, istna trajkotka. Bez przerwy coś paplała i zadawała pytania. Lecz tamte dni, jak wiele innych, minęły.

- Nie musisz odpowiadać, ale chciałabym cię spytać, czy Philip był bardzo przeciwny twojej wizycie u mnie.

- Myślę, że raczej poczuł się zraniony, że przyjąłem twoje zaproszenie.

- Rozumiem. - Naomi wbiła wzrok w ziemię i jeszcze raz pokiwała głową. -

Może powinnam była sama z nim porozmawiać, spróbować go uspokoić, ale chyba to by tylko skomplikowało sprawę.

- Pewnie tak.

- No trudno. Pomartwi się przez tych kilka tygodni. - Gdy podniosła wzrok, jej oczy miały znowu zawzięty wyraz. Do diabła, przecież jej się to należy - jeden krótki miesiąc na tyle długich lat! - Przeżyje to. Nie mogę być martwa tylko dlatego że tak wielu ludziom na tym zależy. - Ożywiła się, gdy Gabe wyprowadzał z budynku spienionego konia. Na jej twarzy pojawił się uśmiech, rysy ponownie złagodniały. -

Jak sądzisz, doszło do zapłodnienia?

- Zrobiliśmy wszystko, co trzeba. - Gabe poklepał ogiera po szyi i oddał lejce pomocnikowi. - No cóż, Kelsey - rzekł - dostąpiłaś na tej końskiej farmie interesującej inicjacji. Jeśli przypadkiem znajdziesz się w pobliżu na początku przyszłego roku, będziesz mogła obejrzeć rezultat dzisiejszej miłosnej schadzki.

- Niestęchanie wyczerpujący i pouczający opis tego, co się tutaj wydarzyło -

odparła. - Nie wyglądało jednak na to, żeby partnerka miała w tej sprawie wiele do powiedzenia.

- Ani partner. - Szczercząc zęby w uśmiechu, Gabe wyjął cygaro. - Ten rodzaj prymitywnej zabawy nie pozwala na wybór. Moses da mi znać, gdyby trzeba było powtórzyć seans - powiedział do Naomi - ale przecucie mi mówi, że nie będzie takiej potrzeby.

- A zatem zdaję się na twoje przecucie. Przepraszam was na chwilę, zajrzę do klaczy.

Wzrok Kelsey powędrował w kierunku doprowadzanego do porządku spienionego ogiera.

- Czy twoje miejsce nie jest raczej przy nim? Opowiedziałbyś mu o swoich podbojach, poczęstowałbyś cygarem.

Zrezygnowałem z przechwałek na temat mojego życia seksualnego, kiedy byłem na studiach. Ale dlaczego jesteś taka zdenerwowana, Kelsey? Czy to ja tak na ciebie działałem, czy też ta atmosfera?

- Ani jedno, ani drugie. - Niech mu będzie, pomyślała, to faktycznie jego wpływ, lecz jej problem. -

A więc do ciebie należy sąsiednia farma? Longshot?

- Zgadza się.

- Podziwiałam dom z drogi. Jest mniej tradycyjny niż inne budynki w okolicy.

Podobnie jak ja. Nie odpowiadała mi dostojna, pańska rezydencja, która stała na wzgórzu, gdy przejmowałem farmę, więc ją zburzyłem. - Wypuścił kłęby dymu. -

Powinnaś wpaść do mnie, zrobić sobie małą wycieczkę.

- Chętnie, najpierw jednak zwiedzę Three Willows.

- Lepszej farmy nie znajdziesz na całym wschodnim wybrzeżu. Z wyjątkiem mojej. - Słyszac za plecami parsknięcie, odwrócił się, a następnie uśmiechnął szeroko do Mosesa. - Byłaby oczywiście najlepsza, gdybym mógł pozyskać Whitetree. Daję dwa razy tyle co ona, Moses.

Zatrzymaj swoje pieniądze, chłopcze. Kup sobie za nie kolejny wymyślny garnitur. - Moses przekazał klacz stajennemu, polecając, by ją wymasował. - Tacy właściciele jak ty to pewne fiasko.

- To samo mówiłeś pięć lat temu.

- I nadal mówię. Daj cygaro.

- Twardy z ciebie facet, Whitetree - rzekł Gabe, spełniając jego prośbę.

- Taa. - Moses schował cygaro do kieszeni na później. - Czy to twój stajenny, ten ze złamanym nosem? Zalatywało od niego dżinem.

Bez troski uśmiech Gabe'a zniknął, oczy mu się zwęziły.

- Zajmę się tym.

- Powiedz raczej swojemu trenerowi, żeby się tym zajął. To jego obowiązek - skwitował Moses.

- Ale konie moje - zauważył Gabe. - Przepraszam was. - Zawrócił na pięcie i ruszył w kierunku przyczepy, w której znajdował się ogier.

- Ten to nigdy niczego się nie nauczy - mruknął Moses.

On nie powinien zajmować się takimi sprawami. - Obserwując sposób, w jaki Gabe rozprawia się ze stajennym, Naomi kiwała z niezadowoleniem głową. - Trzeba było pogadać z jego trenerem, Moses.

- Jamison nie potrzebuje moich uwag. Sam widzi, co się dzieje pod jego nosem.

- Zlitujcie się! - Kelsey podniosła do góry rękę. - Czy nie moglibyście wyjaśnić, o co tu właściwie



chodzi?

- Gabe zwalnia jednego ze swoich stajennych - odparła Naomi.

- Tak zwyczajnie, po prostu?

- W pracy się nie pije - syknął przez zęby Moses, gdy dotarł do nich głos rozzuchwalonego stajennego. - A właściciel powinien się trzymać z daleka od tego, co się dzieje w stajni!

- Dlaczego? - dopytywała Kelsey.

- Ponieważ jest właścicielem. - Moses potrząsnął głową i pomaszerował ku stajni.

- Tutaj nigdy nie jest nudno. - Naomi dotknęła ramienia Kelsey. - Może byśmy... o cholera!

- Co takiego? - Kelsey odwróciła się w momencie, gdy stajenny zamierzył się na Gabe'a. Ten odskoczył. Raz. Drugi.

Nie oddał ciosu; opanował naturalny odruch, jak przystało na cywilizowanego człowieka, który ukrywa swe instynkty pod powłoką ogłady. Chłopak jest godny politowania, uznał, a do tego o połowę od niego mniejszy. Tylko dlaczego akurat Moses musiał mu wytknąć, że zatrudnia w stajni pijaka!

- Zjeżdżaj i zwijaj manatki, Lipsky - powtórzył z lodowatym spokojem. Ale stajenny nie ruszył się z miejsca. Stał przed nim z zaciśniętymi pięściami, gotów do walki. - Nie masz czego szukać w Longshot.

- A kim ty jesteś, żeby mnie wyrzucać? - Lipsky przeciągnął ręką po ustach. Nie był pijany. Jeszcze nie. Miał akurat tyle dżinu w butelce, żeby czuć się ważnym. -

Znam się lepiej na koniach niż ty kiedykolwiek zdołasz się poznać. Udało ci się przekroczyć pańskie progi, co, Slater? Bo masz fart i umiesz kantować, wszyscy dobrze o tym wiedzą. Tak samo jak każdy wie, że twój stary to zapijaczony aferzysta.

Na widok błysku gniewu w oczach Gabe'a pomocnicy się rozstąpili. W

milczącym porozumieniu utworzyli krąg, oczekując widowiska.

- Czyżbyś znał mojego ojca, Lipsky? Nie zaskoczyłeś mnie tym. No to go odwiedź. Wypij z nim parę drinków. Będziesz mile przez niego widziany. Ale najpierw spakuj manatki i odbierz, co ci się należy. Jesteś zwolniony.

- Nie zatrudniałeś mnie. Byłem na farmie Cunninghama przez dziesięć lat i pozostanę na niej. A ty wrócisz do ruletki i blackjacka.

Dwóch pomocników wymieniło ponad głową Lipsky'ego ironiczne spojrzenie.

A więc to tak! Rozegra tę partię później, na razie musi zakończyć to rozdanie.

- Nie istnieje już farma Cunninghama, a w Longshot nie ma dla ciebie miejsca.

Jamison mógł cię zatrudnić, Lipsky, ale to ja podpisuję czeki. Nie mam jednak zwyczaju podpisywać ich pijakom. A jeżeli będziesz się kręcił koło moich koni, obiecuję ci, że to ja, nie Jamison, porachuję się z tobą.

Odwrócił się. Jego wzrok podążył wprost ku Kelsey. Stała i podobnie jak pomocnicy przyglądała się widowisku. Ledwo zdążyła pomyśleć, że ma nadzieję, iż beznamiętna pogarda w oczach Gabe'a nie jest adresowana do niej, gdy zauważyła błysk słońca na stalowym ostrzu.

Zanim wydobyła głos, by go ostrzec, Gabe już wykonał błyskawiczny ruch do tyłu. Niewiele brakowało, nóż zanurzyłby się w jego plecach. Na szczęście pchnięcie lekko tylko przecięło mu ramię. Widok i zapach krwi ożywiły trochę już znudzonych pomocników.

- Nie ruszaj się z miejsca! - ostrzegł Gabe. Popełnił błąd, nie przewidziawszy reakcji podpitego Lipsky'ego. - No co? Chcesz się bić? - Spreżył się. Był gotów do walki. Kiedy nie można zejść z pola bitwy, trzeba iść na całego i liczyć na szczęście. -

Widzę, że bez noża nie potrafisz. No to już!

Ostrze drgnęło w ręku Lipsky'ego. Przez ułamek sekundy nie mógł sobie przypomnieć, skąd się wziął ten nóż. Tak jakby rękojeść sama wsunęła się do jego ręki. Ale stało się. Trzymał nóż. Polała się pierwsza krew. Podsycona dżinem pucha nie pozwalała się wycofać.

Złożył się do skoku, wykonał zwód, zaczął okrążać Gabe'a.

- Trzeba coś zrobić! - Przerazona Kelsey czuła w ustach smak zardzewiałej stali.

- Wezwijmy policję!

- Nie, tylko nie policję. - Błada jak kreda Naomi wzięła się pod boki. - Tylko nie policję!

- Cokolwiek. Dobry Boże! - Znowu błysnął nóż. Lipsky rzucił się do przodu, omijając o milimetry ciało Gabe'a. Oprócz dwóch walczących w środku kręgu nikt się nie ruszył; jedynie ogier, podniecony zapachem krwi i gwałtu, zaczął uderzać kopytami o przyczepę.

Niewiele myśląc, Kelsey porwała oparte o ścianę widły i ruszyła w kierunku zmagających się mężczyzn. Zatrzymała się w połowie drogi, gdy znów błysnęło ostrze.

Wytrącone z ręki napastnika narzędzie pofrunęło do góry i zatoczyło w powietrzu łuk.

Lipsky runął na ziemię.

Nie widziała uderzenia, miała wrażenie, jakby Gabe w ogóle nie ruszał się z miejsca. Niemniej z lodowatym wzrokiem i kamienną twarzą stał teraz nad leżącym stajennym.

- Uprzedź Jamisona, gdzie się zatrzymasz. Odeśle ci rzeczy i pieniądze. - Bez większego wysiłku powlókł Lipsky'ego za kark. Smród dżinu i krwi przyprawił go o mdłości, przywołując wspomnienia.
- Żeby cię tu więcej nie widział, bo mogę zapomnieć, że jestem dżentelmenem, i przetrączę ci kark.

Rzucił sflaczałym stajennym o ziemię, po czym zwrócił się do swoich ludzi:

- Zabierzcie go stąd i zostawcie na drodze. Jeśli będzie miał szczęście, to ktoś go podwiezie.
- Tak jest, proszę pana, panie Slater. - Przepychali się jeden przez drugiego, podnieceni jak chłopcy na boisku szkolnym. Powlekli Lipsky'ego i porzucili na drodze.
- Przepraszam, Naomi. - Niedbałym ruchem Gabe odgarnął włosy z oczu. -

Powinienem był poczekać i wyrzucić go po powrocie do Longshot.

Drżała, przejęta obrzydzeniem.

- Wtedy ominęłoby mnie przedstawienie. - Zmusiła się do uśmiechu i podeszła bliżej. Z jego ramienia sączyła się krew. - Wejdz do domu. Oczyszczymy ci ramię.
- Żeby nie wypaść z roli, powiem, że to tylko draśnięcie. - Spojrzał na ranę, zadowolony, że nie jest to nic poważniejszego, jeśli nie liczyć przykrego i dokuczliwego rwania. - Ale byłbym durniem, gdybym odmówił opieki i pomocy tak pięknych kobiet. - Mówiąc to, spojrzał na Kelsey.

A ona nadal kurczowo zaciskała widły. Bojowa czerwień nie ustępowała z jej policzków, a oczy szklily się z przerażenia.

- Chyba możesz je już odstawić. - Wziął je od niej. - Ale doceniam chęci.

Zaciskała drżące kolana.

- Pozwolisz mu tak po prostu odejść?

- A cóż jeszcze mogę zrobić?

Na ogół aresztuje się ludzi, którzy próbują popełnić morderstwo.

- Odwróciła się ku matce i dostrzegła jej wymuszony uśmiech. - A może w tych stronach tak właśnie załatwia się sprawy?

- Musisz o to zapytać Mosesa - odparła Naomi. - To on zwalnia pracowników w Three Willows. - Wyjęła z kieszeni chustę indyjską i zatamowała nią krew na ramieniu Gabe'a. - Przykro mi, że nie mam halki, którą mogłabym porwać dla ciebie na szarpie.

- Nie bardziej niż mnie!

- Przytrzymaj chustkę, przyciśnij mocno. A teraz chodźmy do domu. Zrobimy opatrunek.

Gdy ruszyli, Gabe zwolnił kroku, by zrównać się z Kelsey. Spojrzał w jej twarz i uśmiechnął się szeroko.

- Witaj w domu, Kelsey.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Kelsey pozostawiła matce udzielenie pierwszej pomocy, Gertie zaś całą krzątanię i paplaninę. Jej zdaniem należało raczej wezwać pogotowie, ale nikt jakoś nie podzielał jej opinii.

Widać do ran zadanych nożem podchodzono tutaj filozoficznie i po prostu oczyszczano je w kuchni.

Po obmyciu i opatrzeniu ramienia Gabe'a podano rosół z kurczaka i gorące grzanki. Rozmawiało się o koniach, rodowodach, gonitwach i ich wynikach, a także o torach wyścigowych. Ponieważ Kelsey nie rozumiała z tego ani słowa, mogła do woli obserwować i snuć domysły.

Musiała jeszcze ustalić, co łączy Naomi z Gabe'em Slaterem. Ich wzajemny stosunek wydawał się zażyły i nieskrępowany. To Gabe, a nie pani tego domu, podnosił się, by nalewać herbatę. Dość często, niechęcący, dotykali się nawzajem. Dłoń na dłoni, koniuszki palców muskające ramienia...

Powiedziała sobie, że nie obchodzi jej, kim są dla siebie. W końcu jej rodzice byli rozwiedzeni od ponad dwudziestu lat. Naomi mogła dowolnie wybierać partnerów.

A jednak na jakimś elementarnym poziomie sprawiało jej to przykrość.

Gabe i Naomi pasowali do siebie. Oprócz łatwości porozumiewania się i wspólnej namiętności do koni łączyła ich skłonność do gwałtownych reakcji. Choć kontrolowana, trzymana w ryzach, była to mordercza zapalczywość - tak w przypadku matki, o czym Kelsey wiedziała, jak i Gabe'a, o czym przekonała się na własne oczy.

Może Kelsey wybrałaby się na tor podczas któregoś porannego treningu? -

odezwał się Gabe. Z przyjemnością popijał kawę, z przyjemnością przyglądał się dziewczynie. Nieomal dostrzegał krążące w jej głowie myśli.

- Na tor? - To ją zaintrygowało, choć przerwało tok intymnych rozważań. -

Sądziłam, że trenujesz konie tutaj.

- Tu także - odpowiedziała Naomi. - Ale na torze koń nabiera ochoty i serca do gonitwy.

- A gracz ma okazję zastanowić się, jak obstawiać - dorzucił Gabe.

- Tor przyciąga różnych interesujących ludzi, zwłaszcza o świcie, na długo przedtem, nim bomba pójdzie w górę.

- Z tym świtem to żadna przesada. - Naomi uśmiechnęła się do córki. - Może dla ciebie to za

wcześniej?

Na razie chciałabym się zorientować, jak to wszystko funkcjonuje.

- Jutro? - Uniesiona brew Gabe'a stanowiła subtelne wyzwanie.

- Świetnie.

- A więc spotkamy się tutaj. - Naomi spojrzała na zegarek. - Muszę zejść do stajni. Ma przyjść kowal. - Wstała i oparła rękę na ramieniu Slatera. - Skończ kawę. A ty, Kelsey, dotrzyмай Gabe'owi towarzystwa, dobrze? Opowie ci, jakie czekają cię rano wrażenia. - Porwała dzinsową kurtkę i wyszła w pośpiechu.

- Nie potrafi usiedzieć w miejscu - mruknęła Kelsey.

- Pierwszy kwartał roku jest najbardziej pracowity w tym biznesie. - Gabe, z filiżanką kawy w ręce, oparł się wygodnie o poręcz. - Chcesz wiedzieć, czego masz się spodziewać?

- Wolę niespodziankę.

- A więc odpowiedz mi na pytanie. Czy użyłabyś tych widel? Zastanawiała się; odpowiedź zawisała w powietrzu.

- Myślę, że nikt z nas nie pozna odpowiedzi na to pytanie.

- Stawiam na to, że byś ich użyła. To był bardzo wymowny obrazek, moja droga. Wart więcej niż to ukłucie w ramię.

- Zostanie ci blizna, Slater. Ale i tak miałeś szczęście, że to ramię, a nie twoja piękna twarz.

- Chciał mnie trafić w plecy - przypomniał jej Gabe. - Nie podziękowałem ci jeszcze za ostrzeżenie.

- Nie ostrzegłam cię.

- Ależ oczywiście, że tak. Wyraz twojej twarzy mówił więcej niż krzyk. - Wsunął

rękę do kieszeni. Wyciągnął z niej talię mocno sfatygowanych kart. Jakby od niechcienia zaczął je tasować. - Grasz w pokera?

Zakłopotana, skrzywiła się.

- Nie gram dla zasady, ale znam reguły.

- Jeśli podejmiesz grę, nigdy nie blefuj. Stracisz więcej niż własną koszulę.

- Tak było z tobą? Straciłeś więcej niż własną koszulę?

Więcej, niż jestem w stanie sobie przypomnieć. - Z przyzwyczajenia zaczął

odkrywać i rozdawać karty do stud - pokera. - Postawiłabyś na damę?

Kelsey wzruszyła ramionami.

- Chyba tak. Odsłonił następną kartę.

- Po jakimś czasie, jeśli jesteś sprytna, nie ryzykujesz, że przegrasz. Miałem pełno koszul. Twoja dama nadal jest najwyższa.

- Zgadza się. - Z jakiegoś absurdalnego powodu bawiła ją ta gra. Przy trzeciej karcie jej pikowa dama wciąż była najwyższą kartą. A także przy czwartej. - Ciągle moje. Co cię interesuje? Zakłady czy konie?

- Interesuje mnie znacznie więcej.

- Z Naomi włącznie?

- Z Naomi włącznie. - Odwrócił ostatnią kartę. Uśmiechnął się lekko. - Para piątek. - Zadumał się. - Wygląda na to, że przebijają twoją królową.

Jej wygięte wargi sprawiały wrażenie nadąsanych.

- To wstyd przegrać do takich marnych kart.

- Jeżeli wygrywasz, żadne karty nie są marne. - Wziął ją za rękę, rozbawiony nagłym zeszywnieniem jej palców. - Stara południowa tradycja, o pani. - Wciąż ją obserwując, podniósł jej dłoń do ust. - Jestem twoim dłużnikiem za Lipsky'ego.

Forma zapłaty zależy od ciebie.

Od dawna nie czuła się tak pobudzona. A ponieważ nie mogła tego faktu zignorować, musiała go zwalczyć.

- Czy nie sądzisz, że czynienie mi awansów w kuchni nie jest w najlepszym guście?

Chryste, uwielbiał sposób, w jaki zabierała się do wygłaszania tych pruderyjnych zdanków, wypowiedzianych niskim, ochrypłym głosem.

- Moja droga, jesteśmy jeszcze bardzo daleko od czynienia awansów. -

Odwrócił jej rękę spodem do góry. - Rasowe, wypielęgnowane dłonie - szepnął. -

Stworzone do trzymania filiżanki z herbatą. Zawsze miałem słabość do długich, wąskich rąk o gładkiej skórze.

Złożył wymownie długi pocałunek w samym środku dłoni Kelsey, a tymczasem jej puls walił jak młot pod jego kciukiem.

- To już był awans - powiedział, składając po kolei jej palce i zamykając dłoń, jak gdyby chciał mieć pewność, że dziewczyna zachowa na niej ślad jego warg. - A jeśli chodzi o dobry smak, zdaję się na ciebie. Zechciej, proszę, pamiętać o tym.

Uwolnił jej rękę, zebrał karty i wstał.

- Zobaczymy się rano. Chyba że masz jakieś inne zamiary. Godność jest równie ważna jak duma, przypomniawszy sobie Kelsey.

Nie mam żadnych zamiarów, Slater. W ogóle żadnych. Dotyczy to także twojej osoby.

- Jesteś tego pewna? - Pochylił się tak, że ich twarze prawie się zetknęły. -

Ostrzegałem cię, żebyś nie blefowała, Kelsey. Przegrywasz.

Pozostawił ją wzburzoną nad zimną kawą. Co za cholerny wstyd, że nie mógł

choć trochę pofolgować swojej fantazji tego popołudnia. Musiał jednak załatwić ważną sprawę.

Po powrocie do Longshot Gabe odszukał Jamisona. Był to człowiek Cunninghama, kiedy jednak Slater przejął farmę, bez większego wysiłku namówił

trenera, żeby u niego pozostał.

Jamison bowiem zawsze wykazywał większą lojalność i wierność wobec koni niż wobec właścicieli.

Był brzuchatym mężczyzną, który lubił dobre jedzenie i piwo. Choć wychował

wiele pokoleń koni, nie dorównywał klasą Mosesowi Whitetree.

Przybył z hrabstwa Kerry jako niemowlę w ramionach matki. Jego najwcześniejsze wspomnienia wiązały się z zabudowaniami stajennymi i zapachem koni, którymi zajmował się jego ojciec jako stajenny.

Całe życie Jamisona upłynęło w cieniu koni. Obecnie, w wieku sześćdziesięciu dwóch lat, zdarzało mu się marzyć o własnej niedużej farmie i jednym czempionie, tylko jednym, dzięki któremu przeszedłby na wygodną emeryturę.

- Co słysząc, Gabe? - Odłożył na bok księgi gonitw. - Wyekspediowałem Honest Abe do Santa Anita, a Reliance do Pimlico. Opuściłem pierwszą gonitwę. -

Uśmiechnął się blado. - Słyszałem, że miałeś kłopoty. Pomyślałem, że zechcesz się ze mną widzieć, zanim wyruszę na tor.

- Ile razy przyłapałeś Lipsky'ego pijanego w pracy?

Z takimi jak Gabriel Slater nie ma mowy o jakimś kluczeniu czy unikach, uświadomił sobie Jamison. Znał chłopaka od jakichś dwudziestu lat i jeszcze nie zdążył go poznać do końca.

Do dzisiaj dwa razy. Upomniałem go i zagroziłem wyrzuceniem, jeżeli się to jeszcze powtórzy. Zna się na robocie. Ma słabość do dżinu, to prawda, ale pracuje na tej farmie już z dziesięć lat. - Popatrzył na zabandażowane ramię Gabe'a i westchnął. -

Przysięgam na serce własnej matki: nigdy nie podejrzewałem, że ośmieli się rzucić na ciebie z nożem.

- Na pijakach nie można polegać, Jamie. Wiesz, jaki mam do nich stosunek.

- Tak. - Jamison założył ręce na brzuchu. Powinien już być na torze, a nie grzecznie tutaj przytakiwać. - Być może rozumiem, dlaczego nie tolerujesz akurat tej słabości. Niemniej chłopaki to moja działka, no nie? Kierowałem się własnym osądem.

- Twój osąd okazał się błędny.

- To prawda.

- Jeżeli ktokolwiek będzie pił w pracy, czy to będziesz ty, czy pierwszy lepszy chłopak stajenny, natychmiast wyleci. Więcej nie będzie już żadnych ostrzeżeń, Jamie. Ani żadnych wyjątków.

Choć w oczach Jamisona przemknął błysk gniewu, przytaknął skinieniem głowy.

- Ty tutaj rządzisz, Gabe.

Taka odpowiedź zadowoliła Slatera. Wziął do ręki rozkład gonitw i zaczął je przeglądać.

- Zamierzam spędzać więcej czasu w stajni i na torze. Tylko nie myśl, że chcę ci patrzeć na ręce.

- Twoje stajnie, twój tor - odparował sztywno Jamison.

- Zgadza się. Dzisiaj to do mnie dotarło. Zauważyłem, że ludzie nie traktują mnie jako integralnej części całego przedsięwzięcia. To moja wina. - Odłożył rozkład gonitw. - Przez pierwszych parę lat po przejęciu farmy zajęty byłem budową domu i wydeptywaniem ścieżek do tutejszego hermetycznego kręgu właścicieli ziemskich. A potem tak się już utarło, że większość codziennych spraw pozostawiłem w twoich rękach, sam zaś zabawiałem się we właściciela. Teraz mam zamiar przyłożyć się do pracy. Uważam cię za swoją prawą rękę, Jamie, i we wszystkich sprawach dotyczących koni jestem otwarty na każdą twoją radę. Niemniej wracam do interesu i ani myślę przegrać.

To mu minie, uznał Jamison. Właściciele rzadko kiedy oddają się prawdziwej robocie na dłuższą metę. Liczą się tylko ich pozycja i forsa.

- Znasz farmę równie dobrze jak każdy z nas.



- Już dawno nie zdarzyło mi się mieć wideł w ręce. - Gabe uśmiechnął się na wspomnienie Kelsey wywijającej widłami niczym włócznią. Spojrzał na dużą, okrągłą tarczę zegara, przytwierdzonego przez Jamisona do ściany. - Moglibyśmy zacząć od Pimlico. Kogo wysłałeś z klaczą?

- Carstairsa. Torky'ego jako dżokeja. Lynette ją oporządza.

- No to jedźmy. Zobaczmy, czy sprawdzają się jako zespół.

Ponieważ pozostawiono jej pełną swobodę, Kelsey zmieniła pantofle na boty i ruszyła przed siebie. Tym razem jednak nie poszła w stronę stajni - nie chciała przeszkadzać ani też być oglądana niczym jakaś osobliwość. Skierowała się ku łagodnym wzgórzom, na których pasły się konie.

Powitały ją spokój i niezmacona cisza, tak inne od zgiełku tego poranka.

Odczuwała potrzebę ruchu, by się otrząsnąć z rannych przeżyć i odzyskać wewnętrzną równowagę. Uspokoila się dopiero, gdy pokonała pierwsze wzniesienie.

Czy to możliwe, że bywała tu jako dziecko i niczego nie pamięta? Myśl, że pierwsze trzy lata życia są dla niej białą plamą, irytowała ją w najwyższym stopniu. W

normalnej sytuacji nie miałyoby to większego znaczenia, ale przecież te pierwsze lata rzutowały na jej przyszłość, na jej skrzywioną przeszłość. Chciała cofnąć się do nich, by móc stwierdzić, co w nich było dobrego, a co złego.

Zatrzymała się przy starannie utrzymanym białym ogrodzeniu. Gdy się o nie oparła, trzy klacze rozpoczęły zaimprovizowany na poczekaniu wyścig, a za nimi podążyły, zabawnie podskakując, ich młode. Inna klacz stała spokojnie w miejscu, skubiąc trawę i pozwalając ssać się źrebięciu.

To widok niemal zbyt doskonały, pomyślała Kelsey. Lekko przerysowana pocztówka, za śliczna i nieskazitelna, żeby mogła być prawdziwa. Ale przyłapała się na tym, że śmieje się na widok źrebięcia, podziwia jego niewiarygodnie delikatne kończyny i pochylenie pełnego elegancji łba. Zastanawiała się, co by zrobił, gdyby przeszła przez ogrodzenie i spróbowała go popieścić.

- Czyż to nie ekscytujące? - Do płotu podeszła Naomi. Wiatr rozwiewał jej krótkie włosy, przycięte bardziej dla wygody niż dla fasonu na wysokość podbródka. -

Mogę na nie patrzeć w nieskończoność. Każdej wiosny, rok po roku. Powtarzalność tego zjawiska działa na mnie kojąco, a tkwiące w nim możliwości - podniecająco.

- Są piękne. I jakieś takie stateczne. Trudno je sobie wyobrazić, jak pędzą na torze.

- Mają żyłkę sportową, są stworzone do biegu i prędkości. Sama się o tym jutro przekonasz. - Naomi odrzuciła do tyłu włosy, po czym, zniecierpliwiona, nałożyła wyjętą z kieszeni kurtki zgrabną czapkę. - A ten tutaj, który ssie matkę, ma pięć dni.

- Pięć? - Zaskoczona Kelsey zawróciła, by z bliska przyjrzeć się matce i dziecku.

Zrebak był gładki i lśniący. Wyglądał zdrowo, a padok, jak się zdawało, bynajmniej go nie onieśmielał. - To wprost niewiarygodne.

- Szybko rosną. Za trzy lata będzie w pełni rozkwitu. Wszystko zaczyna się tutaj, a dokładnie biorąc, w stajni zarodowej, by później mignąć barwną, rozmazaną plamą na mecie wyścigu. Osiągnie ze sto pięćdziesiąt, sto sześćdziesiąt centymetrów wysokości i około pięciuset czterdziestu kilogramów wagi i będzie się ścigał po torze z człowiekiem na grzbiecie. To piękny widok.

- No ale nie od razu - zauważyła Kelsey. - Niełatwo jest chyba przekształcić coś tak delikatnego w walczącego zawodnika?

- Prawda - uśmiechnęła się Naomi. Jej córka już to zrozumiała. Ma to jednak we krwi, pomyślała. - To wymaga pracy i poświęcenia. Ale ma sens. Zawsze i wszędzie. - Nasunęła daszek czapki na oczy. - Przepraszam, że na tak długo cię zostawiłam. Kowal lubi sobie pogadać. Był przyjacielem mojego ojca. Pracuje dla mnie tutaj, na miejscu, a nie na torze, ze względu na starą znajomość.

Wszystko w porządku. Nie oczekuję, że będziesz mnie zabawiała.

- A czego oczekujesz?

- Niczego. Na razie.

Naomi spojrzała za siebie na karmiącą klacz i zatęskniła, by ona i jej córka także mogły w tak naturalny sposób wyrażać łączące je więzy.

- Nadal jesteś zła za ten poranek?

- „Zła” to niewłaściwe słowo. - Kelsey odwróciła się ku matce. Widziała teraz wyraźnie jej profil. - Raczej zbita z tropu, zakłopotana. Wszyscy stali tak beczynnie.

- Ale nie ty. - Uśmiechając się szeroko, Naomi potrząsnęła głową. - Myślałam, że przebijesz na wylot tego pijanicę. Zazdroszczę ci Kelsey, tej natychmiastowej, nie kontrolowanej reakcji, która bierze się z odwagi albo z nadmiernego poczucia honoru.

Zamarłam. Jestem tchórzliwa, a jeśli chodzi o honor, niewiele mi go zostało. Przed laty także bym się nie zawahała.

Skrzyżowała ramiona i popatrzyła na córkę.

- Zastanawiasz się pewnie, dlaczego nie wezwaliśmy policji. Gabe zrobił to dla mnie. Gdyby był u siebie, zachowałby się tak samo, ale raczej wezwał policję. Tutaj jednak... no cóż, wiedział, że nie palę się do rozmowy ze stróżami porządku. Nawet po tylu latach.

- To nie moja sprawa.

Naomi przymknęła oczy. Drobny szczegół, któremu musiały obecnie wspólnie stawić czoło, polegał na tym, że mimo wszystko to była sprawa Kelsey.

- Nie bałam się, gdy przyszli mnie aresztować. Byłam tak bezczelnie pewna, że to oni wyjdą na głupków, a ja na bohaterkę. Nie bałam się, siedząc w izbie przesłuchań z jej długimi lustrami, szarymi ścianami i twardym krzeselkiem, zaprojektowanym tak, żeby człowiek czuł się na nim upokorzony. - Otworzyła oczy. -

Byłam opanowana. Na początku. Jestem przecież z rodziny Chadwicków. Ale strach podkrada się perfidnie, centymetr po centymetrze. Możesz go na chwilę odsunąć, lecz nie zwalczyć. Możesz tylko odsunąć. Zanim opuściłam ten potworny pokój z lustrami i szarymi ścianami, już się bałam.

Odetchnęła głęboko, świadoma, że ma to wszystko za sobą. Jest wolna, ale nie od wspomnień.

A potem proces i te wszystkie nagłówki, te natrętne spojrzenia... Bałam się. Nie chciałam jednak dać tego po sobie poznać. Przerazała mnie myśl, że ktoś mógłby odgadnąć, że się boję. A później każą ci wstać, aby ława przysięgłych mogła wydać wyrok. Wyrok na ciebie. Wyrok, którego nie zdołasz odeprzeć. Dławisz się, nie możesz oddychać. Możesz tylko stać i udawać opanowaną, pewną siebie, ponieważ wiesz, że oni na ciebie patrzą, oko każdego z nich spoczywa na tobie. Ale w środku dygoczesz. A kiedy słyszysz słowo „winna”, to brzmi ono tak, jakbyś odchodziła w nicość.

Znowu głęboko odetchnęła.

- Jak więc widzisz, nie kwapię się do rozmowy z policją. - Przez chwilę milczała, nie oczekując odpowiedzi. - Czy wiesz, że przychodziliśmy tu często, gdy byłaś mała?

Zawsze uwielbiałaś odwiedzać żrebaki.

- Przykro mi. - I było jej naprawdę autentycznie, dogłębnie przykro. - Nie przypominam sobie.

- Nic nie szkodzi. Widzisz tego, który wygrzewa się w słońcu? Tego karego? To czempion. Wiem o tym, odkąd się urodził. Może się okazać, że będzie jednym z najlepszych w Three Willows.

Kelsey uważnie przyjrzała się żrebakowi. Był uroczy, to oczywiste, ale nie widziała w nim niczego, co odróżniałoby go od innych młodych na pastwisku.

- Po czym to poznajesz?

- To jest w oczach. W moich i jego. Po prostu oboje o tym wiemy. Oparła łokcie o ogrodzenie, rozglądając się razem z córką po polach daleko aż po horyzont. I przez chwilę była prawie zadowolona.

Późnym wieczorem, kiedy w domu panowała cisza, a wiatr uderzał rytmicznie w okna, Naomi wtuliła się w ciało Moseasa. Wołała, gdy przychodził do jej łóżka.

Nadawało to ich związkowi charakter większej trwałości niż wtedy gdy zakradała się do jego pokoju nad budynkiem służbowym.

Nie dlatego, by nie lubiła tamtego dreszczyka emocji. Pierwszy raz - ich pierwszy raz - gdy weszła do jego pokoju, zaskoczyła go siedzącego w samej bieliźnie nad wykresami i zapiskami i

popijającego piwo.

Niełatwo było go uwieść, wspominała, uderzając delikatnie palcami w twardą skórę jego piersi. Ale zdradzały go oczy. Pragnął jej od zawsze. Zajął jej szesnaście lat, by uświadomić sobie, że i ona go pragnie.

- Kocham cię, Moses.

Czuł się poruszony, ilekroć mu to mówiła. I tak już chyba będzie do końca, pomyślał. Przykrył ręką jej dłoń spoczywającą na jego sercu.

- Kocham cię, Naomi. Gdyby było inaczej, nie namówiłabyś mnie na wizytę tutaj, kiedy na końcu korytarza mieszka twoja córka!

Roześmiała się. Przekręciła głowę i delikatnie ugryzła go w szyję.

- Kelsey jest przecież dorosła. Nie sądzę, by się zgorszyła, wiedząc, że jesteś ze mną w łóżku. - Wślizgnęła się na niego. - A ty naprawdę jesteś ze mną, Moses.

Trudno o tym dyskutować, gdy cała krew z głowy powędrowała do podbrzusza.

- Przesunął delikatnie ręką po szczupłym ciele i ujął w dłonie jej piersi. - Piękniejesz z każdym dniem, Naomi. Z każdym rokiem.

- To dlatego, że twoje oczy stają się coraz starsze.

- Nie wtedy, kiedy na ciebie patrzą. Jej serce rozpływało się ze szczęścia.

Chryste, zabijasz mnie, gdy robisz się sentymentalny. Przyglądałam się Kelsey i zobaczyłam, jak bardzo się zmieniłam. To cudowne móc ją oglądać, mieć blisko siebie, nawet przez chwilę. - Zaśmiała się, strząsając włosy do tyłu. - I nadal jestem na tyle próżna, że gdy się od niej odwracam, patrzę w lustro i widzę każdą cholerną zmarszczkę.

- Szaleję za twoimi cholernymi zmarszczkami.

- Przywiązywałam ogromną wagę do urody. „Być piękną” stanowiło dla mnie niemal posłannictwo. Prawie obowiązek. A potem na wiele lat wszystko straciło znaczenie. Aż do momentu, gdy spotkałam ciebie. - Uśmiechnęła się i nachyliła, by rozgnieść wargami jego usta. - A teraz mówisz, że lubisz moje zmarszczki...

Moses ujął jej głowę i przyciągnął do siebie. Gdy zatopiła się w pocałunku, przeniósł ją, opasał jej biodra i wszedł w nią głęboko. Widział, jak się przegina do tyłu.

Czuł się szczęśliwy i podniecony jej szybkimi, namiętymi pomrukiwaniami. Poruszał

się wolno, utrzymując ją w swoim rytmie, przedłużając obopólną przyjemność.

Po przeciwnej stronie korytarza Kelsey słyszała stłumione odgłosy kochanków, trzeszczenie starego materaca, zduszone westchnienia i szepty. Z filiżanką herbaty w jednej ręce i książką w drugiej stała, oszołomiona i znieruchomiła.

Ani razu się nie zdarzyło, by słyszała ojca i Candace w nocy. Uznała, że oboje są zbyt powściągliwi i za dobrze wychowani, by wydawać głośne miłosne dźwięki.

Natomiast w tych przytłumionych drzwiami dźwiękach nie było ani powściągliwości, ani dobrego wychowania.

Ale czy stanie pod drzwiami i nadśłuchiwanie świadczy o dobrym wychowaniu?

W pośpiechu namacała klamkę, rozlewając herbatę, byle jak najprędzej znaleźć się u siebie.

Moja matka, pomyślała, bombardowana dziesiątkami sprzecznych emocji. I Gabe Slater zapewne. Uznała, że lepiej nie wnikać w rodzaj uczuć, które wzbudziła w niej ta świadomość.

Wreszcie bezpieczna znalazła się w swoim pokoju i oparła o drzwi. Chciało jej się śmiać z absurdalności tej sytuacji. Oto dorosła kobieta czuje się wstrząśnięta, ponieważ inna dorosła kobieta, która - tak się złożyło - jest jej matką, prowadzi aktywne życie płciowe.

Jednocześnie jednak wcale nie było jej do śmiechu. Ani z powodu tej sytuacji, ani z powodu własnej na nią reakcji. Nie mając już na nic ochoty, Kelsey odstawiła na bok filiżankę i odłożyła książkę. Ciemny, uśpiony ogród pod jej oknem tonął w srebrzystej poświacie księżyca. Romantyczne, pomyślała, opierając czoło o szybę.

Tajemnicze. Jak cała Three Willows.

Nie pragnęła romantyzmu. Nie pragnęła tajemniczości. A w każdym razie nie chciała ich pragnąć. Była tutaj, ponieważ zależało jej, by dowiedzieć się czegoś o matce, której ją pozbawiono.

Odwróciła się od okna i weszła do łóżka. Długo nie mogła zasnąć; dopóki nie usłyszała, jak drzwi na dole otwierają się i zamykają, po czym ciche kroki przesuwają się koło jej pokoju w kierunku schodów.

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

Tor wyścigowy o świcie to był zupełnie inny świat niż ten, jakiego spodziewała się Kelsey. Wyścigi oznaczały dla niej coś więcej niż szybkość. Znaczyły zakłady, graczy, grube cygara i niegustowne garnitury, zapach zwiędłego piwa i potu przegrywających.

Pijany stajenny, którego Gabe wyrzucił poprzedniego dnia z pracy, pasował do jej wyobrażenia o świecie, który jawił się jej jako znacznie bardziej spoufalcony, zażyły niż ta spokojna, w jakiś sposób mistyczna rzeczywistość poranka.

Kiedy przybyły z Naomi, tor spowijała mgła. Konie przywieziono wcześniej; trzeba je było wyprowadzić z przyczep, osiodłać i przygotować do treningu. Było niemal majestatycznie cicho.

Mgła tłumiała głosy, a ludzie poruszali się to tu, to tam w zasnuwających wszystko oparach. Niektórzy przechylali się przez zwisającą luźno linę otaczającą owalny tor i popijali z papierowych kubków parujący napój.

- To są gracze - wyjaśniła córkę Naomi. - Niektórzy z tych ludzi pracują na torze, inni dla „Biuletynu Wyścigów”. Pozostaną tu przez wiele godzin, mierząc czas koni, dając im fory. - Uśmiechnęła się. - Pogoń za czasem. Zdaje się, że wszyscy za nim gonimy. Pomyślałam, że najpierw będziesz chciała obejrzeć to pod tym kątem.

- To jest... no cóż, to jest piękne, nieprawda? Mgła, spowite nią drzewa, opustoszałe trybuny. Zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażałam - zwróciła się ku kobiecie obok niej, szczupłej, ślicznej blondynce w dżinsowej kurtce i spodniach, która była jej matką. - Nic mi się nie zgadza.

- Większość ludzi widzi tylko jeden aspekt wyścigów. Dwie minuty wokół toru, koniec, meta i po wszystkim. To oczywiście pasjonujące. Czasami wstrząsające.

Zwycięskie lub tragiczne. Często mężczyznę lub kobietę ocenia się w podobny sposób.

Na podstawie jednego czynu, pod jednym tylko kątem. - W głosie Naomi nie było teraz goryczy - po prostu stwierdzała fakt. - Wezmę cię na zaplecze toru. Tam się dzieje to co najważniejsze.

I tam można spotkać prawdziwe charaktery, przekonała się Kelsey. Starzejący się dżokeje, którym nie powiodło się w zawodzie albo którzy przybrali na wadze, uganiali się za czterdzieści dolarów od osoby, udzielając pierwszych lekcji jazdy konnej. Inni, jeszcze prawie dzieci, kręcili się, krążyli dokoła, w oczekiwaniu wielkiej szansy. Oglądano konie, rozmawiano o ich walorach, dyskutowano o strategii.

Stajenny w tweedowym kapeluszu przechadzał kontuzjowanego konia, śpiewając mu na pocieszenie prostą melodię.

Nie panowało tu szczególne ożywienie czy podniecenie. Zwykła rutyna, której, pomyślała Kelsey, nabywa się dzień po dniu, kiedy większość ludzi jeszcze śpi albo kiwa się nieprzytomnie nad pierwszą filiżanką kawy.

Dostrzegła mężczyznę w bladoniebieskim garniturze i wyglansowanych botach pochłoniętego rozmową z pogodnookim osobnikiem w postrzępionym kardiganie.

Facet w garniturze podkreślał od czasu do czasu co ważniejsze słowa, szturchając rozmówcę grubym paluchem. Przy każdym takim ruchu błyskał jego brylantowy pierścień w kształcie podkowy końskiej.

- Bill Cunningham - wyjaśniła Naomi, idąc za spojrzeniem córki.

- Cunningham? - Kelsey zmarszczyła czoło i zaczęła szukać gwałtownie w pamięci. - Czy nie to właśnie nazwisko padło z ust stajennego, którego Gabe wyrzucił

wczoraj z pracy?

Longshot była dawniej stadnią Cunninghama. Bill odziedziczył ją, och, jakieś dwadzieścia pięć lat temu, jak sądzę. Robił wszystko, co mógł, żeby doprowadzić farmę do ruiny, zanim przegrał ją do Gabe'a. Teraz jest współwłaścicielem siedmiu i właścicielem jednego czy dwóch całkiem przeciętnych koni. Mieszka w Marylandzie.

Jako trenera zatrudnia Carmine'a, który poza tym pracuje dla kilku innych hodowców. To właśnie Carmine wysłuchuje jego uwag i pouczeń i zgadza się na wszystko. Następnie robi to, co sam uzna za słuszne, ponieważ wie, że Bill to osioł.

Ufff!

- zakończyła Naomi. - Dostrzegł nas. Z góry cię przepraszam.

- Naomi! - Zbliżał się do nich, krocząc dumnie jak paw w swoich błyszczących botach. Kiedy ujmował ręce Naomi, jego oczy świeciły się niczym wypolerowane kawałki marmuru. - Cóż za piękny widok w tak ponury poranek!

Bill! - Przeżycia sprawiły, że Naomi stała się bardzo tolerancyjna dla głupków; ofiarowała mu na powitanie policzek do pocałowania. - Nieczęsto cię widzimy na treningach.

- Zdobyłem nowego konia. Na aukcji w Hialeah. Moja klacz wygrała w cuglach.

Właśnie poinstruowałem Carmine'a, jak ma z nią dzisiaj postępować. Nie chcę, żeby ją puścił na pełny gaz.

- Oczywiście, masz rację - powiedziała słodkim głosem Naomi.

- Bill, to moja córka Kelsey.

- Córka? - Wydał policzki, udając zaskoczenie. Podobnie jak wszyscy dokoła wiedział już o Kelsey.  
- Chciałaś powiedzieć: siostra! Cieszę się, kochanie, że mogę cię poznać. - Złapał rękę Kelsey i potrząsnął nią energicznie. - Wdałaś się w mamę, co?

- Przyjechałam tu, żeby się rozejrzeć.

- Też dobrze, jest na co popatrzeć. Założę się, że złapie bakcyła przed zmierzchem - dodał, mrugając porozumiewawczo do Naomi. - A zanim zrobisz jakieś zakłady, najpierw skontaktuj się ze mną, skarbie. Powiem ci, jak to się robi.

- Dziękuję.

- Nie ma takiej rzeczy, której nie zrobiłbym dla córeczki Naomi. Czy wiesz, że gdybym nie stchórzył w przedbiegach, mógłbym być twoim tatą? Teraz ty się miej na baczności.

- Prędzej dostałby ucho od śledzia - mruknęła półgłosem Naomi, gdy Bill oddalił się tym swoim napuszonym krokiem, by nękać trenera. - Sprawia mu przyjemność wyobrażanie sobie, że byliśmy parą, chociaż tak naprawdę nie wyszliśmy poza jeden sentymentalny pocałunek, przed którym nie

całkiem się uchyliłam.

- Doceniam twój gust. Co on, u licha, plótł o tym koniu?

- Och! - Naomi oparła ręce na biodrach i serdecznie się roześmiała. - Bill uwielbia mleć jęzorem. Myśli, że w ten sposób omami ludzi swoimi rzekomymi informacjami. A... mówiąc bardziej literacko, chodzi o to, że trafiła mu się na aukcji klacz, co oznacza, że właściciele przeznaczili ją na sprzedaż. Koń bez trudu wygrał, a Bill zapłacił cenę wywoławczą. Uważa, że konia nie trzeba ostro poganiać ani podhamowywać podczas treningu, ale - skrzywiła się z niesmakiem - ten typ płaci dżokejowi dodatkową forszę za każde uderzenie batem podczas gonitwy. Jeżeli przed dotarciem do mety koń nie zostanie porządnie wychłostany, Bill czuje się oszukany.

- Dziwię się, że byłaś dla niego taka uprzejma.

- Nic mnie to nie kosztuje. - Naomi wzruszyła ramionami. - A poza tym wiem, co to znaczy być poza nawiasem. Chodźmy poszukać Mosesa.

Szły przez padok, gdzie ujeżdżających konie chłopców podsadzano na wierzchowce. Kelsey spostrzegła, że siodła są niewiele większe niż skrawek skóry.

Chłopcy, jak ich nazywano bez względu na płeć, stali w podciągniętych strzemionach, a dosiadający koni trenerzy towarzyszyli im w drodze na tor.

To jeden z naszych - Naomi wskazała w kierunku ogrodzonego terenu dla kłusujących koni. - Virginia's Pride. Jeżeli koniecznie chcesz zrobić dzisiaj zakłady, możesz postawić na niego parę dolarów. Jest niezwykle silny i szczególnie lubi ten tor.

- A ty? Stawiasz?

- Mm. - Wzrok Naomi spoczął na Mosesie, przejeżdżającym o pół długości za grupą kłusujących koni. - Zawsze z przykrością odmawiałam wszelkiego hazardu.

Przyjrzyjmy się, jak Pride biegnie.

Konie były na torze. Mgła właśnie się podnosiła, a one przelatywały przez nią jak pocisk przez zasieki, rozsadały ją, rozrywały na strzępy. Kelsey zaniemówiła.

Potężne tułowia na smukłych kończynach, rozbryzgujące mokrą ziemię z wyciągniętymi do przodu szyjami i drobną figurą pochylonego na nich nisko jeźdźca.

Serce Kelsey biło w rytmie stłumionego tętentu końskich kopyt.

- Tam! - niemal zapałała z podniecenia. - To twój koń.

- Tak, to nasz. Tor jest dzisiaj szybki, a sędzę, że Moses polecił chłopcu, by się zmieścił w dwóch minutach.



- Jak on to wyczuje?

- Ma zegar w głowie - doszedł Kelsey zza pleców głos Gabe'a. Drgnęła, ale nie oderwała oczu od przelatujących jak rakieta koni. - Dobrze wygląda, Naomi.

- Będzie w jeszcze lepszej formie na derby. - Naomi zmrużyła oczy. - A tamten to twój, prawda?

- Double or Nothing. - Gabe oparł się o kanat\*, gdy jego koń przelatywał obok nich w galopie. - On także będzie w jeszcze lepszej formie w maju.

Kelsey nie bardzo mogła to sobie wyobrazić. Oba konie już teraz wyglądały wspaniale, dosłownie pożerały tor, wyrzucając w powietrze grudy ziemi. Same też niemal mknęły w powietrzu, muskając grunt niewiarygodnie delikatnymi nogami niczym skrzydłami.

Kelsey mogłaby tak stać godzinami, obserwując kolejno każdego konia, każde okrążenie. W rzeczywistości trwało to tylko minutę albo dwie, podczas których obstawiający i trenerzy zamarli w bezruchu ze stoperami w rękach; dla niej jednak była to wieczność. Patrzyła na to, co się dzieje, jak na prześliczny żywy obraz w starej ramie.

- Wybrałaś już sobie faworyta? - zapytał ją Gabe.

- Nie. - Nie odwróciła się do niego, nie chciała go, a raczej nie chciała sobie psuć tej chwili i cudownego nastroju wspomnieniem nocnych odgłosów. - Nie mam żyłki hazardzisty.

- Nie sądzę jednak, że będziesz czekać z wytypowaniem konia do ostatniej chwili.

\*\*Kanat - ogrodzenie zabezpieczające na zewnętrznych krawędziach toru; banda (przyp. tłum.).

Wzruszyła ramionami.

- Bill Cunningham zaproponował, że da mi parę cennych wskazówek -

powiedziała po chwili wahania.

Cunningham? - ryknął śmiechem Gabe. - Skoro tak, kochanie, musisz mieć przepastne kieszenie. - Oparł się o ogrodzenie. Przez chwilę wahał się, czy nie zapalić cygara. Rozmyślił się jednak, nie chcąc sobie psuć przyjemności, jaką mu sprawiał

zapach Kelsey. Był delikatny i przytłumiony, z tych, które drażnią męskie zmysły i które trwają długo jeszcze po zniknięciu kobiety.

- Poranek jest najlepszą porą - szepnęła Naomi, osłaniając oczy przed słońcem, które przedarło się przez rzednącą mgłę i oślepiało. - Tak jakby wszystko zaczynało się od nowa.

- Nowe możliwości. - Gabe spojrzał na Kelsey. - Cały świat to są możliwości.

Wrócili do zabudowań stajennych. Rozsiodłane, idące stępą konie, parowały w chłodnym powietrzu.

Sprawdzano im nogi; czy nie są nadwerżone, skrecone lub stłuczone. Smarowano oliwą kopyta jednego z dereszy; przy drugim przykucnął

stajenny, szukając skaleczeń. Kowal w skórzanym fartuchu i z mocno sfatygowaną skrzynką narzędzi przybijał młotkiem podkowę.

- Jak na obrazie, prawda? - powiedział Gabe, czytając niemal w myślach i wyobraźni Kelsey.

- Właśnie.

- To wszystko mogłoby się równie dobrze odbywać sto lat temu, pięćset lat temu. Nogi takich koni zawsze są zagrożone. Stąd nasza obsesja na tym punkcie.

Spójrz tylko. Na co patrzy trener?

Odwróciła się w stronę prowadzonego konia, za którym podążał trener.

- Na nogi konia.

- I nie spuści z nich oczu. - Zwrócił głowę w innym kierunku. - Tak było prawdopodobnie już tysiąc lat temu.

Mężczyzna w dżokejce nie odstępował Mosesa na krok. Mówił prędko, sapiąc z wysiłku, by go nie zgubić.

- Kto to jest?

- Agent dżokeja. Gnają od stajni do stajni, próbując przekonać każdego, że reprezentują następcę Willego Shoemakera. - Odruchowo założył Naomi włosy za ucho. - Może przynieść ci kawy?

- Oj, tak. A tobie Kelsey?

- Jasne. Dzięki. Chciałabym się przyjrzeć twojemu koniowi z bliska - teraz, gdy idzie stępa. Dobrze?

- Oczywiście.

Naomi usiadła na odwróconym wiadrze. Poranne zajęcia miały się ku końcowi.

Zaczynało się oczekiwanie. Była w tym bardzo dobra. Teraz, kiedy obserwowała córkę krążącą wokół świeżo upieczonego zwycięzcy, sprawiało jej to dodatkową przyjemność. Na pewno Kelsey zadaje masę pytań. Jako dziecko robiła to bez przerwy. Tyle że z mniejszą rezerwą niż teraz.

Tego ranka, stojąc we mgle i śledząc pierwszą rundę na torze, Naomi poczuła przez moment pewne odprężenie pomiędzy nimi, ale potem znowu powróciła dotychczasowa sztywność. Bardzo subtelna, jak zresztą wiele innych subtelności w jej córce. I jak wiele kontrastów.

Kelsey się roześmiała. Był to pierwszy niewymuszony, nieskrepowany dźwięk, jaki Naomi usłyszała.

Dobrze się bawi - skomentował Gabe, podając Naomi filiżankę kawy.

- Właśnie. Nie wiesz, jak bardzo się cieszę. Siedząc tutaj, pomyślałam, że może nie zawsze będziemy takie skrępowane wobec siebie. - Przeplukała zaschnięte gardło gorącą, słodką kawą. - Pragnę jej tylko dotknąć. Objąć ją, tylko jeden raz. I nie mogę.

Może by mi nawet pozwoliła, z litości. Ale to byłoby gorsze niż odrzucenie.

- Jest tutaj. - Delikatnie pogłaskał ją po głowie i ramieniu. - A nie wygląda mi na kogoś, kto robiłby coś wbrew własnej woli.

- Nie oczekuję, że mnie znowu pokocha. Chcę jedynie, aby pozwoliła mi się kochać. - Sięgnęła do ramienia i przykryła dłonią rękę Gabe'a.

Kelsey próbowała zachować obojętność wobec poufałości tego gestu.

Powtarzała sobie, że to nie jej sprawa. Z uśmiechem na ustach sięgnęła po kawę, którą podał jej Gabe.

Dzięki. Mam już zwycięzców wszystkich dzisiejszych biegów. Zapewniono mnie, że mam wygraną w kieszeni.

- Jimmy zawsze ma poufne informacje - odezwała się Naomi. - I są one równie często prawdziwe jak fałszywe.

- Och, to są pewniaki. - Kelsey uśmiechała się szeroko znad kubka kawy. -

Przysięgał, że komu jak komu, ale córce Naomi mówi prawdę. Zamierzam postawić w pierwszym biegu na Necromancera; tor jest wolny, a on się nie oszczędza i wygra śpiewająco. - Uniosła brew. - Czy dobrze kombinuję?

- Nikt by się nie domyślił, że jesteś tu pierwszy raz - oznajmił z powagą Gabe.

- Och, jestem pojętną uczennicą. - Rozejrzała się. Stwierdziła, że wszystko wokół ulega spowolnieniu. - Co teraz będzie?

- Będziemy czekać. - Naomi wstała, wyprostowała się. - Idziemy. Kupimy sobie parę pączków do kawy.

Zdawało się, jakby oczekiwanie stanowiło stały element wyścigów. Do dziesiątej zakończył się dzień pracy dla koni nie startujących w biegach. Podjeżdżały i odjeżdżały przyczepy. Wyrównywano nawierzchnię toru.

Około południa zaczęły się wypełniać trybuny. W przeszklonej restauracji na tyłach trybun podawano lunch tym, którzy woleli przeżywać wyścigowe emocje z dala od zgiełku i zapachów tłumu.

Na terenie stajni znowu przygotowywano konie. Spuchnięte końskie nogi zanurzano w wiadrach z

lodowatą wodą. W zależności od indywidualnej strategii niektóre konie utrzymywano w stanie pełnej gotowości, inne zaś uspokajano jak małe dzieci. Dżokeje wkładali jedwabne kurteczki.

Udziałał się nastrój oczekiwania na to, co nastąpi. Podniecenia, którego brakowało tego zamglonego poranka. Konie stawały dęba, okazywały nerwowość, jak zawodnicy gotowi do biegu. Niektóre uspokajały się, gdy ich grzbietów dosiadali dżokeje; inne grzebały kopytami, drżały.

Z padoku ruszyły stępa w stronę toru w pojedynczym szeregu, niektóre w asyście stajennych, inne bez eskorty.

Na trybunach zrobiło się gwarno; pomiędzy starymi bywalcami tu i ówdzie zasiedli nowicjusze, a wszyscy z tą samą nadzieją, że właśnie dzisiaj będzie ich wielki dzień. Paradę - główną część ceremoniału wyścigów konnych - rozpoczęły konie biegnące po torze z wysokim wykrekiem. Przy dźwięku trąbki zatoczyły w szyku koło.

Zapaleńcy obstawiający gonitwy wertowali biuletyny wyścigów, obserwowali bacznie konie i dżokejów w nadziei, że wyłowią zwycięzcę.

Koń jest spocony, może nerwowy? Czy to zaleta, czy wada? Każdy grający ma własne zdanie. Zabandażowane pięciny? Mogą być kłopoty. O, a ten zrywa wędzidło.

Niewykluczone, że jest narowisty. Ale dlatego może być szybki!

Tamten wygląda jak zwycięzca.

Już po pięciu minutach pokaz dobiegł końca, rozsypał się na linii mety niczym wyrzucone w powietrze kolorowe konfetti.

To nic, pomyślała Kelsey, jest jeszcze tyle do obejrzenia! To dziwne, tor wcale nie był równy, lecz poślubiony i podziurawiony. Owalna mila prędkości i marzeń!

Stojąc przy balustradzie, wręcz czuła zapach marzeń. Dobiegał z trybun, dochodził od dżokejów. Rozróżniała jego niuanse: niektóre zapachy były świeże, kwiatowe, inne zastarzałe, przykurzone. Stojąc tak zrozumiała, jak potężnym narkotykiem może być pragnienie zwycięstwa.

- Myślę, że skorzystam z waszych rad. Naomi się roześmiała. Spodziewała się tego.

- Pójdź z nią, Gabe, proszę. Nikt nie powinien być sam, gdy po raz pierwszy w życiu znajdzie się przed okienkiem.

- Jestem pewna, że dam sobie radę - powiedziała Kelsey, gdy Gabe ujął ją za rękę.

- Każdy tak myśli. - Przecisnął się do środka budynku, gdzie przed okienkami zaczęły się już ustawiać kolejki. - Pozwól, że udzielenie ci błyskawicznej lekcji gry na wyścigach. Czy już wiesz, ile gotówki chcesz zainwestować?

Skrzywiła się, niezdecydowana.

- Jakieś sto dolarów.

- Podwój to. Każdą kwotę, jaką zamierzasz przeznaczyć na grę, podwój. A teraz, czy masz swój informator wyścigów?

- Taaa, mam. - Nic z niego nie rozumiała, ale miała go.

- W normalnych okolicznościach potrzebowałabyś czterech niczym nie zakłóconych godzin na przestudiowanie go, przejrzanie pod kątem kolejności gonitw, eliminacji jednych koni, dania pierwszeństwa innym. Najlepiej jest ograniczyć się do dwóch - trzech koni. Nie masz lornetki, prawda?

- Nie, nie pomyślałam...

- Nie szkodzi, możesz wziąć moją. - Zrobił jej miejsce w kolejce, obejmując po przyjacielsku ramieniem. Nie uśmiechał się. Chciał się uśmiechnąć, ale nie zrobił

tęgo. Była w niego wsłuchana jak prymuska w sławnego, zasłużonego nauczyciela. - A teraz chcesz zapomnieć o podwójnych zakładach czy innych obliczeniach, o jakichkolwiek kombinacjach. Teraz chcesz zagrać, by wygrać.

- Oczywiście, że chcę.

Słusznie, agresywna gra sama w sobie stanowi nagrodę. Zakładanie się na pokaz jest dobre dla mięczaków. - Z prawdziwą satysfakcją odnotował w kolejce faceta, który rzucił w jego kierunku spłoszone spojrzenie i skulił się w ramionach. -

Sprawdziłaś tablicę zakładów?

- Nie. - Kelsey poczuła się jak idiotka.

- Na twojego konia stawia się cztery do jednego. To dobrze. Stawianie na faworytów jest dobre dla tchórzy. Szkoda, że nie uznajesz hazardu - nie pozwoliłbym ci jeść ani pić przed zakładami.

- Co?

- Dopóki nie wybierzesz zwycięzcy, nigdy nie pij ani nie jedz, Kelsey. Zmrużyła oczy.

- Zmyślasz na poczekaniu.

- Nie. To święta prawda. - Dopiero teraz uśmiechnął się szeroko. - Wszystko to są wierutne bzdury. Zakładaj się dla zabawy, bo to jest uciecha. Zamknij oczy i wybieraj numer. Konie są jak sportowcy, nie jak maszyny. Nie możesz ich dokładnie wyliczyć.

Wielkie dzięki. - Rozbawiona podeszła do okienka. - Dziesięć dolarów na Necromancera. - Rzuciła Gabowi wyzywające spojrzenie. - Na zwycięzcę!

Trzymając nadal rękę na jej ramieniu, Slater sięgnął po pieniądze.

- Pięćdziesiąt na trójkę. Na zwycięzcę! Zaciskając kurczowo bilet, Kelsey zmarszczyła brwi. - Który to koń?

- Nie wiem. - Wsunął bilet do kieszeni.

- Stawiasz po prostu na numer, tylko na numer?

- Na przecucie. Chcesz się założyć na boku, który przyjdzie pierwszy? Twój faworyt czy moje przecucie?

- Jeszcze dziesięć - odparowała krótko.

- I ty mówisz, że nie masz żyłki hazardzisty?

Odprowadził ją z powrotem do balustrady w momencie, gdy konie podchodziły do bramy startowej. Może to było głupie, ale serce jej waliło, a dłonie zwilgotniały.

Gdy uderzył dzwon, wychyliła się, oślepią kolorowymi plamami.

To już nie był trening w porannej mgle, lecz zwarta masa umięśnionych ciał, walczących o pozycję, obciążonych jeźdźcami na grzbiecie. W ciągu paru sekund konie rozwinęły pełne tempo, a galopujące na przedzie nieomal ocierały się o kanat. Huk był

niewiarygodny - rozbrzmiewał ze wszystkich stron, z przodu grzmiał jak uderzenie pioruna, z tyłu jak echo gromu. Za chwilę konie były już na zakręcie.

- Numer trzy je załatwił - szepnął jej do ucha Gabe.

- Dopiero zaczęły! - zachnęła się Kelsey.

Słyszała pokrzykiwania dżokejów - groźne lub zachęcające - którym towarzyszyły smagnięcia batem. Gdy konie wyszły już na prostą, gdy przed nimi była już tylko meta, Kelsey zapomniała o zakładach. Całą uwagę i emocje zogniskowała na wyścigu, na jego widowiskowej stronie, na dramaturgii ruchu. Z tyłu wysforował się koń, rwał kopytami co sił. Nie zdając sobie z tego sprawy, dziewczyna zaczęła mu kibicować, porwana jego odwagą i wolą walki.

Zrównał się po zewnętrznej stronie toru z koniem prowadzącym bieg i przemknął przez linię mety o pół długości przed nim.

- Widziałeś, widziałeś?! - Kelsey odrzuciła do tyłu głowę i zaśmiała się radośnie.

- Był piękny!

Gabe nie oglądał finiszu, ponieważ patrzył na nią. Uprzejma maska rozpląnęła się pod wpływem podniecenia, ujawniając pełne namiętności i siły oblicze ukrytej pod nią kobiety. Pragnął tej kobiety

bardziej niż kiedykolwiek pragnął wygrywającej karty.

Naomi zauważyła spojrzenie Gabe'a. Było w nim coś, nad czym będzie musiała się zastanowić.

- Twój koń przybiegł piąty - zwróciła się do córki.

- To nieważne. - Kelsey odetchnęła głęboko. Nadal napawała się wspaniałością widowiska. - Warto to było zobaczyć. Widziałaś, jak on dochodził? Pojawił się jakby znikąd.

- Numer trzeci - powiedział Gabe i czekał, aż jej wzrok spocznie na nim. -

Przecucie mnie nie zawiodło.

- To był numer trzeci? - Odwróciła się w kierunku miejsca dla zwycięzców, rozdarta między uczuciem przykrości z powodu przegranej do Gabe'a a radością na widok zwycięskiego konia. - To pewnie twój szczęśliwy dzień.

- Chyba masz rację.

- No więc - powiodła po nim wzrokiem i uśmiechnęła się - na kogo stawiasz w następnej gonitwie?

Po południu zjadła łapczywie hot doga i popiła rozcieńczonym wodą gazowanym napojem. Gdy Virginia's Pride objął prowadzenie, poczuła, ku własnemu zdumieniu, rozpierającą ją dumę. Nawet dla jej niewytrawnych oczu było widoczne, że na tych wyścigach nie ma konia, który mógłby się równać z Pride'em.

Innego, trudniejszego do sprecyzowania uczucia doznała, gdy koń Gabe'a pierwszy minął linię mety.

Kiedy opadł kurz, na trybunach walały się porzucone bilety, niedopałki papierosów i zawiedzione nadzieje.

- Czy panie dadzą się namówić na mały obiad?

- Och! - Naomi z roztargnieniem zapinała guziki kurtki, rozglądając się przy tym za Mosesem. - Będę jeszcze zajęta co najmniej godzinę. Może zabrałbyś Kelsey?

Kelsey odruchowo zrobiła unik.

- Mogę na ciebie poczekać.

- Nie, idź. Baw się dobrze. Spotkamy się za parę godzin/w domu.

- Ale ja naprawdę mogę... - Lecz Naomi odchodziła już w pośpiechu. -

Doceniam twoje zaproszenie, Gabe, ale...

- Jesteś zbyt dobrze wychowana, by odmówić. - Wziął ją pod rękę.

- Nie, wcale nie.

- A więc jesteś bardzo głodna. Skromny hot dog nie uzupełnił zużytej energii.

Pomogę ci obliczyć wygraną.

- Nie sędzę, żeby do tego potrzebny był umysł matematyczny. - W każdym razie była głodna i pozwoliła mu się poprowadzić na parking, do butelkowozielonego jaguara. - Ładny samochód.

- Szybki.

Miał rację. Kelsey oparła się wygodnie na siedzeniu i delectowała jazdą w perłowym zmierzchu. Zawsze lubiła szybką jazdę, z gazem do dechy i radiem na pełny regulator. Wade upominał ją nieskończoną liczbę razy; on nie przekraczał dozwolonej prędkości! Solidna firma, pomyślała. Do tego z poczuciem odpowiedzialności!

Wade do końca nie rozumiał, że od czasu do czasu potrzebowała pofolgować sobie, zrobić coś, wszystko jedno co, na pełnym luzie, pójść na całość. Wygłaszał

kazania na temat umiaru, a ona się zgadzała - z małymi wyjątkami, kiedy już nie wytrzymała. Nagle przychodziła jej ochota na drobne szaleństwo, na przykład kupowała w pośpiechu bilet i w ostatniej minucie zajmowała miejsce w samolocie odlatującym na Bahamy. Te jej nieoczekiwane „wyskoki” były przyczyną wielu domowych kłótni.

Zawsze uważała, że to są błahostki. Tymczasem teraz uświadomiła sobie, że nie miała racji. Co jej dała, podjęta pod wpływem impulsu, wyprawa do Atlanty?

Wolność! Pomyślała, że najwyższy czas przestać już snuć rozważania na ten temat.

Ponownie zaczęła przyglądać się mijanemu krajobrazowi. Byli niedaleko Bluemont.

- Zdawało mi się, że jedziemy na kolację.

- Dobrze ci się zdawało. Lubisz owoce morza?

- Tak. Czy w pobliżu jest restauracja?

- Owszem, jedna czy dwie. Ale nie jedziemy do żadnej z nich. Zadzwoń wcześniej do domu. Co byś powiedziała na łososia z rusztu?

- Świetnie. - Wyprostowała się, a w jej głowie zabrzączał dzwonek alarmowy. -

Skąd wiedziałeś, że przyjadę na kolację?

- Przeczucie. - Zjechał z drogi, szybko minął żelazne bramy i za chwilę byli na podjeździe. - Przed kolacją możesz się rozejrzeć po domu.



Ogrodnik nie marnował czasu. Klomby były starannie przygotowane na przyjęcie pierwszych wiosennych roślin cebulkowych. Kwitło już kilka odważnych żonkili, z wdziękiem poruszając jaskrawożółtymi łebkami.

To dziwne, pomyślała Kelsey, nigdy nie skojarzyłabym Gabe'a z żonkilami!

Drzwi frontowe obramowane były oszlifowanymi w geometryczny wzór szklanymi kwaterami. Podświetlone od środka, wyglądały jak fasety diamentów.

Przypomniała sobie, że na jedwabnych kurteczkach jego dżokejów widziała wzór przypominający karcianą figurę karową. W ostrej bieli i czerwieni.

- Skąd ci przyszedł do głowy pomysł na oznaczenie stroju dżokejów?

- Miałem kiedyś pokera karowego, od dziewiątki do króla. - Otworzył drzwi. -

Dokupiłem do ręki dziesiątkę i waleta, choć szanse były niewielkie. Dowiesz się od ludzi, że w ten sposób stałem się właścicielem tej posiadłości. Po prostu wygrałem ją w karty.

- Naprawdę?

- Mniej więcej.

Weszła do środka, do otwartego ku niebu atrium, wyłożonego płytkami ceramicznymi. Obiegająca pierwsze piętro mosiężna balustrada zataczała łagodny łuk wzdłuż wewnętrznych schodów. Ze zwisających potężnych terakotowych donic przelewała się bujna zielona roślinność.

- Niezłe wejście - zauważyła.

- Nie lubię zamkniętej przestrzeni. Przygotuję ci drinka.

- Chętnie.

Pod szeroko otwartym łukiem podążyła za nim do salonu, połączonego kolejnym,koliście sklepionym przejściem z następnym pomieszczeniem. Przez przeszlufowane drzwi wkradał się zmierzch, złagodzony światłem zapalonych już lamp.

W kamiennym kominku trzaskał ogień. Przed nim stał nakryty stół. Biały obrus, świece. W wiaderku chłodził się szampan.

Czy to także przecucie powiedziało ci, że Naomi nie przyłączy się do nas?

- Po dniu spędzonym na torze wyścigowym Naomi zwykle odbywa naradę z Mosesem. - Otworzył butelkę z krótkim, uroczystym pyknięciem. - Chcesz się porozglądać, czy wolisz, żebyśmy od razu zasiedli do kolacji?

- Rozejrzę się, skoro już tu jestem. - Przyjęła podany kieliszek, zauważając jednocześnie, że przy

drugim nakryciu nie ma kieliszka. - Nie uczcisz okazji?

- Oczywiście, że tak. Ale ja nie piję. Zaczniemy zwiedzanie od góry. Poprowadził

ją po zataczających łuk schodach. Doliczyła się czterech sypialni, nim stanęli na podeście prowadzącym do części zamieszkałej przez pana domu. Była ona rozplanowana na kilku poziomach, a podniesiona o trzy stopnie sypialnia dominowała nad całością. Potężny kamienny kominek z powodzeniem ogrzewał

wielką jak jezioro platformę łoża, a przez umieszczony w górze świetlik można było podziwiać księżyc podczas bezsennych nocy.

Podobnie jak na dole, tak i tutaj styl klasyczny łączył się z nowoczesnością. Stół

Chippendale'a stanowił podstawę dla abstrakcyjnej rzeźby w brązie i miedzi. Pod nieregularnym w kształcie stolikiem kawowym z drzewa tekowego czerwienił się perski dywan.

Miśnieńskie wazy obok nowoczesnej sztuki. I właśnie sztuka, malarstwo, przykuła uwagę Kelsey. Nawet z drugiego końca pokoju rozpoznała rękę tego samego artysty, którego prace wisiały w domu jej matki.

Ile w nich pasji, pomyślała, przyglądając się drapieżnym dotknięciom pędzla, ostrym zestawieniom podstawowych barw.

- Niezbyt kojąca rzecz jak na sypialnię.

- Uważam, że idealnie tu pasuje.

- N.C. - powiedziała półgłosem. - Czy to namalowała Naomi?

- Tak. Nie wiedziałaś, że malowała?

- Nie, nikt mi nigdy o tym nie wspominał. Ma talent. Znam wielu handlarzy dziełami sztuki, którzy szturmowali do jej drzwi, żebrząc o te prace.

- Nie byłaby ci za to wdzięczna. Traktuje sztukę jako osobistą sprawę.

- Każda sztuka jest osobistą sprawą. - Odwróciła się od obrazu. - Czy ona zawsze malowała?

- Nie. Ale możesz ją o to zapytać przy okazji. Opowie ci wszystko, co cię interesuje.

- Musiałabym najpierw sama wiedzieć, od czego zacząć! - Krążyła po pokoju, popijając szampana małymi łydkami. - Nie wiem, jak wyglądała poprzednia rezydencja, ale wątpię, czy dorównywała temu, co widzę - zwróciła się ku niemu na większym już luzie. - Pewnie zrównując poprzedni dom z ziemią, wprowadziła sąsiadów w osłupienie?

- Przeraziłem wszystkich w promieniu trzydziestu kilometrów.

- A myśl o tym sprawiała ci dziką radość!
- Jeszcze jak! Na co komu sława, jeżeli nie można zrobić z niej użytku?
- A jaką cieszysz się sławą?

- Podejrzaną, kochaną, bardzo podejrzaną. Każdy ci powie, że przebywanie ze mną w tej sypialni to pierwszy krok ku wiecznemu potępieniu.

- Od pierwszego kroku do ostatecznego upadku prowadzi długa droga.

- Krótsza, niż ci się wydaje. Wzruszyła ramionami i dopiła szampana.

- Opowiedz mi o tej partii pokera.

- Podczas kolacji. - Podał jej ramię. - Jestem cholernie czuły na punkcie dobrej atmosfery i bardziej zainteresowany tym ostatecznym upadkiem niż czymkolwiek innym.

Zaintrygowana włożyła dłoń w jego rękę.

- Dla mnie to wcale nie zabrzmiało podejrzanie, Slater.

- To dopiero początek.

Na dole ponownie napełnił jej kieliszek. Jakiś niewidzialny służący postawił już na stole dwa osłonięte srebrną pokrywą półmiski, zapalił świece i włączył muzykę Gershwina. Usiedli.

- A teraz opowiedz o tym pokerze.

- Dobrze. Co wiesz o pokerze?

- Wiem, która karta bije którą. - Spróbowała kawałeczek delikatnie upieczonej ryby i przymknęła oczy. - To jedzenie podawane na torze ani się do tego umywa.

- Powtórzę to kucharzowi. A jeśli chodzi o tamto... to było około pięciu lat temu. Graliśmy na duże stawki, zawodnicy byli ostrzy. To był maraton.

- Graliście tutaj?

- Nie, w poprzedniej rezydencji.

- Czy hazard jest dozwolony w tym stanie? - Zmrużyła oczy.

- Zapytaj glinę. Chcesz słuchać czy nie?

- Chcę. A więc grałeś wielką partię nielegalnego pokera. I co dalej?

- Cunningham miał złą passę. Nie tylko w tej partii, ale od wielu miesięcy. Jego konie przegrywały;

od ponad roku żaden z nich nie miał dobrego finiszu i nie zdobył

nagrody pieniężnej. Bill tonął w długach. Jak większość graczy, którzy są w dołku, uważał, że musi wygrać jedną dużą pulę.

- I tak doszło do tej gry.

- Właśnie. Jako współwłaściciel konia, który bardzo dobrze biegał, byłem wtedy

- uśmiechnął się diabolicznie - na fali. Chciałem mieć farmę taką jak ta, zawsze tego chciałem. Wszedłem więc do gry z założeniem, że jeśli nie przegram z kretelem, to przynajmniej wyciągnę dostatecznie dużo na drugiego konia... Byłbym wówczas o oczko wyżej.

- To brzmi sensownie... na swój własny pokrętny sposób. - Jakkolwiek brawurowo, pomyślała. Cudownie brawurowo. - No i oczywiście wygrałeś więcej niż konia.

- Nie mogłem przegrać. To była jedna z tych cudownych chwil, kiedy wszystko ci się udaje. Gdy on miał trójkę, ja miałem fula; gdy on miał strita, ja - kolor. Jego prawdziwe kłopoty zaczęły się w momencie, kiedy nie mógł się pogodzić z przegraną.

Był do tyłu sześćdziesiąt, może sześćdziesiąt pięć.

- Setek?

Oczarowany naiwnością Kelsey, ujął jej dłoń i obsypał pocałunkami.

- Tysięcy, dziecinko. A on ich nie miał. W każdym razie nie w gotówce.

Podniósł więc stawkę, nie dopuszczając żadnego sprzeciwu.

Oczywiście zrobiłeś, co mogłeś, żeby go przywołać do rozsądku.

- Powiedziałem mu, że popełnia błąd. Zapytałem czy wie, co robi. - Gabe wzruszył ramionami. - Ale kim ja byłem, żeby go przekonać? Zostało nas już tylko czterech. Nie odchodziliśmy od stolika od piętnastu godzin. To miało być ostatnie rozdanie. Pięć tysięcy na otwarcie, przebiecia bez ograniczeń.

- Dwadzieścia tysięcy, zanim jeszcze zaczęliście grać?

I ponad sto pięćdziesiąt, zanim doszło do mnie i Cunninghama.

Widelec zatrzymał się w połowie drogi do jej ust.

- Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów w puli?

- Sądził, że ma wygrywającą kartę, podnosił stawkę. Miałem ostatnie przebiecie, dołożyłem kolejnych pięćdziesiąt. Myślałem, że wybawię go z kłopotu. Ale on sprawdził.

Podniosła kieliszek i popijała drobnymi łydkami, by zwilżyć wysuszone gardło. Czowała się prawie tak, jakby tam była: wilgotne dłonie, suchość w ustach, a przed nią nielecha fortuna zdobyta dzięki układowi kart.

- To ćwierć miliona dolarów. Uśmiechnął się szeroko.

- Jesteś pojętną uczennicą. Było mi przykro z jego powodu, choć skłamałbym, mówiąc, że nie odczuwałem przyjemności, wykładając pokera do jego trójki królów.

Nie miał gotówki. - Gabe nalał szampana do jej kieliszka. - Tylko nieruchomości.

Zawarliśmy więc transakcję. Ktoś mógłby powiedzieć, że Cunningham założył się o farmę i przegrał ją.

- Po prostu wykopałeś go stąd?

Przechylił na bok głowę i wpatrzył się w Kelsey.

- A jak byś ty postąpiła?

- Nie wiem - odparła po krótkiej chwili. - Ale nie sądzę, bym mogła wyrzucić człowieka z jego własnego domu.

- Nawet gdyby uprawiał hazard, nie dysponując pieniędzmi?

- Nawet wtedy.

- To znaczy, że jesteś mięczakiem. Zawarliśmy umowę - powtórzył Gabe - która urządziła każdego. A ponieważ dla mnie gra była nierówna, otrzymałem coś, o czym marzyłem przez całe życie.

- Niezła historia. Domyślałem się, że poznałeś pechowego Billa Cunninghama na torze wyścigowym.

- Nie, kiedyś u niego pracowałem.

- Tutaj? - Odłożyła widelec. - Pracowałeś tutaj u niego?

- Przechadzałem zgrzane konie, wybierałem gnój, szorowałem uprząż. Przez trzy lata byłem jednym z chłopców stajennych Cunninghama. Miał dobrą stajnię.

Oczywiście, sam nie przykładał ręki do koni. Dla niego liczyły się tylko pieniądze.

Podobnie jak nie dbał o ludzi, którzy się nimi opiekowali i zajmowali. Nasze pokoje były jak cele - małe, ciasne i obskurne. Nie uważał za słuszne inwestować w niepotrzebne jego zdaniem udogodnienia.

Zdaje się, że nie miałeś szczególnych obiekcji przed przejęciem jego domu.

- Nie powiem, żeby mi to spędzało sen z powiek. Kiedy opuściłem to miejsce, przez jakiś czas pracowałem w Three Willows. To jest dopiero stadnina! Chadwick miał dobrą rękę. Podobnie jak twoja matka. Wyjeżdżając stąd jako niespełna siedemnastolatek, wyobrażałem sobie, że wrócę tu pewnego dnia, z pieniędzmi wysypującymi się z kieszeni, i kupię sobie jedną z tych farm.

- I tak zrobiłeś.

- Można tak powiedzieć.

- A czym się zajmowałeś po wyjeździe stąd?

- To już zupełnie inna historia.

Doceniam twoją szczerość. - Zrelaksowana dobrym jedzeniem i winem, oparła brodę na pięści. - Założę się, że nienawidziłeś poprzedniej rezydencji.

- Każdego jej pieprzonego skrawka.

Śmiejąc się, wychyliła się do tyłu i uniosła kieliszek. - Mam wrażenie, że zaczynam cię lubić. Pod warunkiem, że nie zmyśliłeś tego wszystkiego.

- Nie było potrzeby. Może deser?

- Nie mogę. - Jęknęła cicho, wstała od stołu i zaczęła się przechadzać po pokoju. - Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam ten dom, pomyślałam, że wygląda zaborczo i arogancko. Chyba miałam rację. - Zamknęła na chwilę oczy. - Mój punkt, od którego nie ma odwrotu.

- Co?

- Nic. - Potrząsnęła głową i podeszła do okna. - To musi być przyjemne uczucie, kiedy wygląda się przez okno i widzi aż tyle własnych dóbr.

- A co widać przez twoje?

Restaurację, niewielkie centrum handlowe z potwornym małym butikiem i cudowną piekarnią. Praktycznie mieszkam drzwi w drzwi z magistratem; sądzę, że jeszcze niedawno zależało mi na tak czcigodnym sąsiedztwie.

Położył ręce na jej ramionach, po czym odwrócił ją tak, że stali twarzą w twarz.

- Ale już ci nie zależy?

- Nie. - Zaskoczyło ją nagłe drżenie, gdy przesunął ręką po jej szyi.

- A więc?

- Jeszcze nie podjęłam decyzji.

Ujął jej twarz w dłonie, zanurzając palce w blond włosach.

- A ja tak.

Pochylił się i dotknął jej ust. Początkowo miękko, badawczo - było to nie więcej niż muśnięcie, pozostawiające obojgu możliwość wycofania się. Ale Kelsey nie skorzystała z tej możliwości - nie teraz, gdy na wargach czuła jeszcze smak pocałunku, a poniżej upajający ból nieoczekiwanego pragnienia.

Nie cofnęła się - zrobiła krok do przodu i bezwiednie zarzuciła mu ramiona na szyję, zatapiając się w żarliwym pocałunku.

Tyle doznań! Zapomniała już o ich istnieniu. Albo, być może, nigdy ich nie poznała. W tym uścisku nie było nic wyrachowanego, robionego na próbę, nic z chęci doświadczenia czegoś nieznanego. Był on dziki i żywiołowy, był eksplozją zmysłów, wyzwaniem rzuconym stłumionemu światłu świec i przyciszonej muzyce.

Gabe zapomniał o wszystkim. Nie istniało dla niego nic oprócz nagiego instynktu, jej zapachu, smaku, które mieszały się w rodzaj egzotycznego narkotyku, jej przywierającego do niego ciała, odgłosu przyspieszonego oddechu, gdy zachłannie przyciągała go do siebie. Pożądanie, ostre, przeszywające jak nóż, przebiło się przez warstwę manier, dobrego wychowania i zasad moralnych, na których tak bardzo mu zależało, obnażając nieokrzesanego mężczyznę.

Pragnął jej dotykać; jego ręce poruszały się w desperackim pośpiechu.

Poddawała się im nienasycona, domagająca się. Prędeż! Chciała go błagać o pośpiech, o to, by nie pozwolił jej myśleć, by nie pozwolił się zastanowić.

A potem dotknął jej twarzy i założył kosmyk włosów za ucho. Ten gest poruszył

niedawne wspomnienie; jeszcze kilka godzin temu w identyczny sposób dotykał jej matkę!

Zdjęły ją odraza i wstyd - niczym podstępnie zadane potężne ciosy. Z trudem chwytając powietrze, odepchnęła go od siebie.

- Przestań! - Cofnęła się, gdy próbował znów ją objąć. - Nie dotykaj mnie! -

Czuła jeszcze smak jego ust. Jeszcze go pożądała. - Jak mogłeś to zrobić? Jak ja mogłam tak postąpić?

- Pragnę cię. - Musiał poskromić wszystkie swoje instynkty, by nie rzucić się do przodu i nie wziąć tego, co już prawie było jego. - I ty pragniesz mnie.

Ponieważ była to oczywista prawda, nie miała innego wyjścia, jak tylko odparować cios.

- Nie jestem klaczą, którą się pęta i pokrywa. I nie przyszedłam tutaj po to, żebyś mógł sprawdzić, czy córka wdała się w matkę.

By powstrzymać ręce, Gabe włożył je do kieszeni.

- Mów jaśniej.

- Nie usprawiedliwiam siebie, ale mam na tyle przyzwoitości, by zatrzymać się w porę. Ty zaś nie masz jej ani odrobiny. - Odrzuciła do tyłu rozsypane w nieładzie włosy. Wściekłość, podsycana goryczą winy, sprawiła, że jej głos smagał niczym bicz. -

Czy dla ciebie to po prostu kolejna gra, Slater? Oczarować córkę, spoić ją winem, podjąć kolację, olśnić w łóżku i przekonać się, czy jest równie dobra jak jej matka?

Zrobiłeś zakłady, skalkulowałeś szanse?

Odpowiedział dopiero po chwili. A kiedy mówił, ani jego twarz, ani głos nie zdradzały całej kipiącej w nim złości.

- Myślisz, że śpię z Naomi?

- Nie myślę, ale wiem.

- Pochlebiasz mi.

- Jesteś... Co z ciebie za człowiek!

- Nie masz o tym pojęcia, Kelsey. Za grosz. Bardzo wątpię, żebyś w swoim wygodnym, małym światku zetknęła się z człowiekiem mojego pokroju. - Postąpił

naprzód i objął ją za szyję od tyłu. Był sposób, paskudny sposób, by odpłacić jej pięknym za nadobne. Ale czuł się mały, czuł się paskudnie.

Choć jej kręgosłup był sztywno wyprostowany, ciało zaczęło drżeć.

- Zabierz ręce!

- Lubisz moje ręce na sobie - powiedział miękko. - W tej chwili jesteś wystraszona, podniecona, lecz wystraszona, i zastanawiasz się, co byś zrobiła, gdybym zaciągnął cię na górę. Do diabła, po co sobie zadawać aż tyle trudu, skoro mamy pod sobą podłogę? - Jego głos był gładki i orzeźwiający jak śmietana, ale w oczach pałało groźne światło. - Co zrobisz, Kelsey, jeżeli cię wezmę tutaj, właśnie tutaj?

Strach dławił jej gardło, głos się rwał.

- Powiedziałam, żebyś zabrał ręce.

Widział przerażenie na jej twarzy. Rzuciło się w oczy nawet wtedy, gdy ją puścił i się cofnął. Nie zniknęło do końca, podobnie jak gotujące się w niej uczucie obrzydzenia.



- Przepraszam cię za to. I tylko za to. - Przyglądał się jej przez chwilę. Kolory, które świadomie spłoszył z jej policzków, powracały. - Jesteś szybka w ocenie, Kelsey.

A ponieważ masz już swoje zdanie, nie będziemy tracić czasu na dyskusje o tym, co jest prawdą, a co przywidzeniem. Odwiozę cię do domu.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Naomi zawiązywała szlafrok, kiedy usłyszała trzask frontowych drzwi.

Zaskoczona gwałtownością tego dźwięku, zawahała się, czy wyjść na korytarz. Czy byłoby na miejscu, zastanawiała się, wypytywać Kelsey o spędzony wieczór? Nie miała w tym doświadczenia. Gdyby wspólnie z córką przeżywała jej rozterki nastolatki, przegadała z nią noce, była przy niej w jej troskach i zwątpieniach, triumfach i dramatach dorastającej dziewczyny, wiedziałaby teraz, jak postąpić.

Nie mając jednak żadnych wskazówek, musiała zdać się na instynkt. Tupot pędzącej po schodach Kelsey przesądził sprawę.

Otworzyła drzwi swojego pokoju, zdecydowana, że zachowa się swobodnie i naturalnie. Żadnego wścibskiego wypytywania, tylko zdawkowa wymiana zdań, zapytanie o miniony wieczór. Ale wystarczyło jedno spojrzenie na Kelsey, by wszystkie te zamiary wzięły w łeb.

- Co się stało? - Zanim którakolwiek z nich zdążyła pomyśleć, Naomi zrobiła krok do przodu i położyła ręce na ramionach córki. - Czy coś się stało?

Wzburzona Kelsey przeszła od razu do ataku.

- Jak możesz się z nim zadawać, tym bardziej... Boże, prawie wymogłaś na mnie, żebym spędziła z nim wieczór!

Gabe? - Naomi zacisnęła palce. Ufała Gabe'owi bez zastrzeżeń, niemal bezgranicznie. Mimo to poczuła w trzewiach nieznaczną skurcz - sygnał kobiecej solidarności. - Co on ci zrobił?

- Pocałował mnie! - wyrzuciła z siebie Kelsey. Zaczerwieniła się z powodu tak nieprzekonującego, kiepskiego wytłumaczenia tego, co między nimi zaszło.

- Pocałował cię - powtórzyła Naomi, czując jednocześnie ulgę i rozbawienie. - I to cię tak zbulwersowało?

- Nie obchodzi cię to? - Zbulwersowana Kelsey odskoczyła do tyłu. - Przecież ci mówię, że mnie pocałował! A ja mu oddałam ten pocałunek. Ściskaliśmy się. I nie poprzestalibyśmy na tym, gdybym sobie nie przypomniała...

To mnie przerasta, pomyślała Naomi. Skoro nie możemy dogadać się jak matka z córką, może uda się jak kobieta z kobietą.

- Wejdz i usiadz - powiedziala.

- Nie mam ochoty siadać. - Niemniej Kelsey ruszyła za matką do jej sypialni.

- A ja mam. - Zbierając myśli, Naomi przycupnęła na miękkim taborecie stojącym obok jej toaletki. - Kelsey, wiem, że jesteś wytrącona z równowagi rozwodem, ale skoro masz to już za sobą, powinnaś poczuć się wolna i nie potępiać za zawieranie nowych znajomości.

Kelsey przestała krążyć nerwowo po pokoju i ze zdumieniem spojrzała na matkę.

- Poczuc się wolna? Przecież tu nie o mnie chodzi, tylko o ciebie!

- O mnie?

- Czy z tobą jest coś nie w porządku? - Do złości, jaką czuła, doszła teraz obraza, że kobieta, z którą łączy ją ta sama krew, może być aż tak płytka. - Czy nie masz ani krzty dumy?

- Nie do wiary - wycedziła powoli Naomi. - Często mówiono, że mam jej zbyt wiele. Ale nie bardzo rozumiem, jaki to ma związek z obecną sytuacją.

- Mówię ci, że twój kochanek chciał się ze mną przespać, a ty nie widzisz związku?

Wargi Naomi poruszyły się bezdźwięcznie, zanim udało jej się wydobyć słowo.

- Mój kochanek?

- Bóg jeden wie, jak możesz pozwalać, by cię dotykał - wypaliła Kelsey. - Znasz go od lat i chyba wiesz, co to za jeden! O, jest bardzo atrakcyjny, pozornie nawet czarujący, ale pozbawiony skrupułów, honoru i lojalności.

Oczy Naomi zaiskrzyły się, zaciskała szczęki.

- O kim ty mówisz?

- Slater - wymamrotała Kelsey, rozpaczliwie walcząc ze łzami.

- Gabe Slater. Ilu masz kochanków?

- Tylko jednego. - Naomi założyła ręce, wzięła głęboki wdech.

- I ty myślisz, że jest nim Gabe. - Po chwili zaczęła się uśmiechać, a następnie, ku zdziwieniu Kelsey, roześmiała się. - Przepraszam, przepraszam. Wiem, że cię to nie śmieszy. - Sama jednak nie mogąc powstrzymać śmiechu, trzymała się za brzuch. -

Ależ to cudowne, naprawdę. To mi pochlebia!

- On powiedział to samo - wycedziła Kelsey przez zaciśnięte zęby.

- Naprawdę? - Dusząc się ze śmiechu, Naomi otarła łzę.

- Chcesz przez to powiedzieć, że go spytałaś, czy ze mną sypia? Na Boga, Kelsey, przecież on ma około trzydziestki, a ja prawie pięćdziesiąt.

- A cóż to za różnica?

Słowa te padły mimowolnie. Naomi promieniała.

- Teraz to już naprawdę mi pochlebiasz! Czy ty rzeczywiście uważasz, że wspaniały - a Bóg mi świadkiem, że jest wspaniały - gorącokrwisty mężczyzna taki jak Gabe mógłby zapalać do mnie romantycznym uczuciem? Kelsey przyjrzała się matce na tyle obiektywnie, na ile pozwalał jej obecny nastrój, obejmując wzrokiem klasyczne rysy twarzy i szczupłą, elegancką sylwetkę w prostym białym szlafroku.

- Nie mówiłam o romansie - oznajmiła bezbarwnym tonem.

- O! - Naomi pokiwała głową, próbując zebrać się w sobie. - A więc tak! Sądysz zatem, że ja i Gabe wdaliśmy się w gorącą seksualną przygodę? - Wydęła wargi. - Z

minuty na minutę czuję się coraz młodsza.

Zanim zadasz sobie trud, by temu zaprzeczyć, chcę powiedzieć dwie rzeczy. -

Kelsey patrzyła na matkę z wysoko podniesioną głową. - Po pierwsze, to nie moja sprawa, z kim sypiasz. Możesz mieć dwudziestu kochanków, nie obchodzi mnie to. Po drugie, słyszałam cię ostatniej nocy. Tutaj, z nim.

Och! - Naomi wydmuchnęła powietrze. - To wyszło niezręcznie.

- Niezręcznie? - Słowo to niemal eksplodowało z ust Kelsey. - Wyszło niezręcznie?

Naomi zdała sobie sprawę, że musi się teraz zdobyć na wyjątkową jasność i precyzję.

- Postarajmy się zreasumować twoje obserwacje. Po pierwsze, wbrew temu, co sądzisz lub co powiedziałaś, nigdy nie byłam rozwiązłą kobietą. Możesz mi nie wierzyć, twoja sprawa, ale twój ojciec był moim pierwszym mężczyzną. Po nim, aż przez dwa lata od wyjścia z więzienia, nie było nikogo. Mężczyzna, z którym jestem obecnie, to mój jedyny kochanek od tamtego czasu. - Stały blisko siebie, niemal oko w oko.

- Jeśli to prawda, to tym gorzej. Jak może cię nie obchodzić, że chciał cię oszukać w taki sposób?

- Żaden mężczyzna nie oszuka mnie więcej niż raz - oznajmiła Naomi tonem, który sprawił, że Kelsey nie tylko jej uwierzyła, ale i zrozumiała. - To nie był Gabe. To nie jego słyszałaś tej nocy ze mną, Kelsey. To był Moses.

Kelsey zaniemówiła. Nie można było zignorować prawdy rzuconej w twarz w tak zwięzłej i

bezpośredniej formie. W milczeniu opadła na ławę.

- Moses. Twój trener.

- Tak, Moses. Mój trener. Mój przyjaciel i mój kochanek.

- Ale Gabe... ciągle cię dotyka.

By posłużyć się banałem - jesteśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi. Gabe, wyłączając Mosesa, jest moim najbliższym przyjacielem. Przykro mi, że to mylnie odebrałaś.

- Chryste! - Kelsey zacisnęła z całych sił oczy. Nagle dotarły do niej wszystkie wypowiedziane przez nią urągliwe słowa. - Nie dziwię się, że był taki wściekły.

Chryste! Co ja mu nawy gady walam!

Narazając się na odrzucenie, Naomi pogłaskała ją po włosach.

- Jak się domyślam, nie zwracałaś sobie głowy, żeby go spytać o prawdę?

- Nie. - Rykoszetem powracały do niej wszystkie jadowite słowa. - Nie, byłam tego tak pewna, i ogarnął mnie wstyd, że zatraciłam się w namiętności do niego, nawet jeśli to trwało tylko minutę. Nigdy jeszcze... Z Wade'em to zawsze było...

Zresztą to nieważne - dorzuciła pospiesznie. - Faktem jest, że niemal skoczyłam mu do gardła i obrzuciłam go kilkoma plugawymi słowami.

- Znalazłaś się w trudnej sytuacji. Zadzwońię do niego i wytłumaczę mu.

- Nie, sama tam rano pojedę i osobiście go przeproszę.

- Przepraszanie nie jest przyjemne, prawda?

- Jest równie przykre jak popełnienie błędu. - Zrzucenie pychy z serca wymaga dużego wysiłku. - Przepraszam.

- Jeśli o mnie chodzi, nie ma potrzeby. Wkroczyłaś w świat pełen obcych ludzi, Kelsey. Zaufałaś swojemu instynktowi. Cokolwiek zrobiłaś dzisiaj wieczorem, postąpiłaś tak, ponieważ masz silnie zakodowane poczucie moralności, tego co dobre i złe.

- Próbujesz mnie usprawiedliwiać.

- Jestem twoją matką - spokojnym tonem powiedziała Naomi. - Może z czasem obie przyzwyczaimy się do tego. Idź się przespać. A jeśli jutro nie będziesz chciała samotnie stawić czoła lwu w jego jaskini, pojedę z tobą.

Jednak Kelsey wolała załatwić to sama. Uznała, że to kwestia szacunku dla własnej osoby. Najpierw

zamierzała pojechać samochodem, ale to byłoby za szybko.

Pomimo bezsennej nocy nie potrafiła znaleźć właściwych słów, odpowiedniego tonu.

Ostatecznie postanowiła pojechać konno. W drodze z jednej farmy do drugiej rozjaśni jej się w głowie, ukoją nerwy.

Odszukała Moseśa. Nacierał maścią szyję dereszowatego wałacha. Czowała się zażenowana. Nie wiedziała, jak się zachować.

Wahała się, obserwując go z boku. Miał delikatne, opalone ręce, szerokie i mocne dłonie. Nosił miedzianą, kutą bransoletę. Splecione w warkocz włosy były tyleż siwe, co czarne. Jego wyrazistą twarz trudno by uznać za przystojną z powodu wydatnego nosa i porytej, pobrużdżonej przez słońce i wiatr cery. Ciało jak ze stali w niewielkim stopniu przypominało pełną wdzięku, zwinną sylwetkę Gabe'a.

- Aż dziw bierze, prawda? - W głosie Moseśa pobrzmiwała nutka rozbawienia.

Nie musiał się odwracać, by odgadnąć myśli Kelsey. - Taka piękna kobieta. Bogata. Z

klasą. I taki niewydarzony mikrus jak ja! - Odstawił na bok maść i sięgnął po miseczkę z owsianką. - Nie mam ci za złe, że cię to tak zdumiewa. Sam również bez przerwy się dziwię.

- Czy pan do mnie mówi?

- Naomi wolała mnie uprzedzić, że powiedziała ci o nas. Zakłopotana Kelsey potarła dłonią policzek. Ilu niezręcznym sytuacjom będzie musiała jeszcze stawić czoło?

- Panie Whitetree...

- W tej sytuacji mów mi Moses. No, chłopie! - cichym głosem zachęcał konia do owsianki. - Zmusz się trochę. Stopniowo, po troszeczku. Zakochałem się w niej, gdy zacząłem tutaj pracować jako stajenny. Miała wtedy około osiemnastu lat. W życiu nie widziałem kogoś takiego jak ona. Nie oczekiwałem, że choć spojrzy na mnie. Dlaczego zresztą miałaby na mnie zwrócić uwagę?

Kelsey obserwowała, jak opiekuje się koniem; dostrzegła w jego ruchach dobroć, siłę i stanowczość.

- Myślę, że wiem, dlaczego. - Zamaszystym krokiem weszła do boksu i stanęła obok niego. - Co mu jest?

- King Cole nabawił się zapalenia krtani.

- Zapalenie krtani? Konie chorują na zapalenie krtani? Po czym to poznać?

- Zobacz tutaj. - Moses wziął jej rękę i naprowadził palce na szyję konia. -

Czujesz, że jest spuchnięta?

- Tak, biedak. - Poglaskała go czule na pocięchę. - Czy to poważne?
- Czasami. W ostrych przypadkach następuje zablokowanie dróg oddechowych i koń może się udusić.
- To znaczy umrzeć? - Zatrwożona przytuliła się do wałacha. - Z powodu chorego gardła?
- Ze zwierzętami jest inaczej niż z ludźmi. Ale on już dochodzi do siebie, prawda, koleś? Na razie nie może niczego jeść z wyjątkiem owsianki i herbatki z siemienia lnianego.

Herbatka dla konia! - zdziwiła się Kelsey.

- Czy był weterynarz?
- Jeśli się nie pogorszy, nie trzeba. Trzymamy go w cieple, stosujemy inhalacje eukaliptusowe, pędzujemy kamforą język trzy - cztery razy dziennie. Już nie kaszle, a to dobry znak.
- Zajmujesz się więc sam leczeniem?!
- Wzywamy Matta tylko wtedy, kiedy nie możemy sobie poradzić.
- Myślałam, że trener trenuje.
- Trener robi wszystko. Czasami nawet ma się wrażenie, że najmniej zajmuje się końmi. Pobędziesz ze mną trochę, to się przekonasz.
- Z wielką ochotą - rzuciła bez namysłu.

Zaczynam przed wschodem słońca - przywołał ją do rzeczywistości, obserwując uważnie jej reakcję.

- Wiem. A ty byś prawdopodobnie wolał, żebym ci nie wisiała na karku. Ale już się zastanawiałam, czy nie mogłabym się do czegoś przydać, skoro tu jestem.

Mogłabym czyścić stajnie albo uprząż. Nie oczekuję, że powierzysz mi konie, lecz nie cierpię bezczynności.

Jak jej matka, zadumał się Moses. Dobra, zobaczymy.

- Zawsze jest coś do zrobienia. Kiedy chcesz zacząć?
- Dziś po południu albo jutro. Teraz muszę coś załatwić. - Na samą myśl o tym zrzędała jej mina. - Wolałabym co prawda przerzucić gnój niż tam jechać, ale nie wykręcę się od tego.
- Przyjdź, jak będziesz wolna.
- Bardzo ci dziękuję. A czy teraz mogłabym dostać jakiegoś wierzchowca?

Umiem jeździć.

- Jesteś córką Naomi. To znaczy, że umiesz jeździć i że nie musisz prosić o pozwolenie.

- Wolę jednak poprosić.

- Osiodłamy ci Justice - postanowił. - Będzie w sam raz dla ciebie.

Deresz lubił biegać. Od trzech lat nie brał już udziału w gonitwach, ale nigdy się nie pogodził ze swoją niższą pozycją zwykłego wierzchowca. Uczestnicząc często w paradach przed wyścigami, wykonywał swoje obowiązki z godnością i majestatem.

Nigdy nie był czempionem, wyjaśnił Moses. Ale też nie był przeciętnym koniem; przez cały czas swojej kariery przynosił stały, regularny dochód.

Dla Kelsey nie było ważne, czy wygrywał, czy nie swoje gonitwy; niósł ją teraz przez wzgórza jak sprawna, dobrze przygotowana maszyna.

Żywo reagował na najlżejszy ucisk jej kolan, przechodząc z kłusa w płynny galop, ciesząc się razem z nią z poranka i z rozpościerających się przed nimi pól.

Doszła do wniosku, iż zbyt długo odmawiała sobie tej radości. Radości, bez której nie potrafi się już obejść, mimo perspektywy obolałych mięśni. Wyjechała poza teren Three Willows, wciąż rozkoszując się tą jedyną w swoim rodzaju przyjemnością.

Może definitywnie zrezygnuje ze swojego mieszkania i wyniesie się z miasta?

Dlaczego nie miałyby sobie kupić kawałka ziemi i konia? Pewnie musiałyby mieć dla niego stajnię, ale to by się dało załatwić. Jeśli nauczy się dostatecznie dużo od Mosesa, może sama pracować w stajni.

Zachłysnęła się chłodnym winem wczesnej wiosny, zapachem traw i nieśmiało kiełkującej zieleni. Jak to możliwe, że do niedawna nie wyobrażała sobie innego życia poza pracą w biurze czy w galerii przez długie, wlokące się godziny, kiedy mogła przebywać na zewnątrz, robić coś dla samej radości istnienia?

Odrzuciła do tyłu włosy, śmiała się, gdy przepływali wąski strumyk, a potem ruszyli jak burza przed siebie.

Poniżej, u stóp wzgórza, dostrzegła rząd zabudowań. Ściągnęła cugle.

Longshot. Pochyliła się, poklepała Justice po szyi i rozejrzała się. Jazda świetnie jej zrobiła, nie rozwiązała jednak najistotniejszego problemu. Nadal nie wiedziała, jak ma się zachować wobec Gabe'a.

- Pójdziemy na żywioł - powiedziała półgłosem i dała Justice znak, by ruszył

dostojnym kłusem.

Gabe dostrzegł ją, gdy zjeżdżała ze wzgórza. Stał i przeglądał się tresurze jednolatka na lonży. Nie był ani odrobinę spokojniejszy niż ubiegłego wieczoru. I pragnął Kelsey nie mniej niż wczoraj, gdy taka zgrabna, wyprostowana, złocistowłosa zbliżała się teraz na majestatycznym koniu.

Zaciągnął się cygarem. Leniwie wypuścił dym. I czekał.

Zeskoczyła z siodła i szła, prowadząc deresza za uzdę. Uznała, że w życiu bywała już bardziej nieszczęśliwa. Minione przykrości zatracają ostrość, nie wydają się tak straszne w obliczu terażniejszości.

- Dobrze jeździsz - zauważył Gabe. - Taki stary wyjadacz jak ten potrzebuje pewnej ręki.

- Na ogół nie skarzę się na jej brak. Jeśli można, chciałabym zamienić z tobą kilka słów.

- Słucham.

Skąd w nim ten luz? - zapytywała siebie, przełykając kolejne porcje zniewagi.

- Bez świadków, proszę.

- Dobrze. - Wziął od niej lejce i dał znak stajennemu. - Ostudź go, Kip.

- Tak, proszę pana.

By za nim nadążyć, musiała znacznie wydłużyć krok.

Jesteś nieźle zagospodarowany. To wszystko bardzo przypomina Three Willows.

- Czy przyszedłeś tutaj w interesach?

- Nie. - Nieśmiała próba rozmowy umarła śmiercią naturalną. - Widzę, że jesteś zajęty. Nie zajmę ci dużo czasu - dorzuciła, po czym nie otworzyła już ust aż do chwili, gdy uchylił przeszkłone drzwi na tyłach domu.

Nagle znalazła się w tropiku. Bujnie kwitnące rośliny przelewały się i wysypywały z donic i z koszy, wygrzewając się w promieniach słońca wpadających przez szklany dach. Pośrodku lśnił wyłożony płytkami ceramicznymi, kuszący błękitną wodą owalny basen.

- Jak tu pięknie. - Przesunęła delikatnie palcem po krwistoczerwonym płatku chińskiej róży. - Wydaje mi się, że wczoraj nie dotarliśmy tutaj.

- Dalsze zwiedzanie domu nie wydało się wskazane. - Usiadł na pasiastym leżaku wyciągając przed siebie nogi. - Tutaj jesteśmy bez świadków.

Obserwowała, jak dym z cygara unosi się ku łagodnie obracającym się wiatraczkom zwisającym z sufitu.



- Przyszłam cię przeprosić. - Nic, absolutnie nic nie przeszło jej przez gardło z takim trudem.

- Za co? - zapytał, nieznacznie unosząc brew.

- Za moje wczorajsze zachowanie.

Jakby zastanawiając się nad usłyszanym zdaniem, strząsnął popiół cygara do srebrnego wiaderka z piaskiem.

Zademonstrowałaś wczoraj urozmaicony repertuar. Czy mógłbym prosić o większą precyzję?

Była bliska białej gorączki.

- Jesteś wstrętny, Slater. Zimny, bezczelny i wstrętny.

- Ładne przeprosiny, Kelsey.

- Przecież przeprosiłam. Jadąc tu, dławiłam się z powodu tych przeprosin. A ty nawet nie zadałeś sobie trudu, by je przyjąć, choć tak nakazuje dobry obyczaj.

Już wczoraj wytknęłaś mi brak dobrych obyczajów. - Leniwym ruchem skrzyżował nogi. - Sądząc po tej nagłej zmianie, rozmawiałaś z Naomi, która wyprowadziła cię z błędu.

Jej jedyną obroną było wysunięcie podbródka.

- Mogłeś temu zaprzeczyć!

- A ty byś mi uwierzyła?

- Nie. - Ponownie rozwścieczona, odwróciła się gwałtownie. - Ale mogłeś temu zaprzeczyć. Przecież się chyba domyślałeś, jak się czułam, wiedząc o tym, o czym wiedziałam i jednocześnie...

- Co?

- Klejąc się do ciebie - niemal wypluła z siebie te słowa. - Nie przeczę, rzuciłam się w twoje ramiona. Nie uważam... nie powinnam uważać tego za powód do dumy, ale nie będę także udawać, że to było tylko jednostronne. Też mam potrzeby i odruchy i... do jasnej cholery, nie jestem z lodu!

Nie był pewien, co go bardziej zaskoczyło - ta nagła gwałtowność jej ostatniego stwierdzenia czy połyskujące w jej oczach łzy.

- Jestem ostatnią osobą, którą musiałabyś o tym przekonywać. Ale dlaczego, do diabła, masz siebie przekonywać?

Z trudem powstrzymała łzy.

To nie ma nic do rzeczy - odparła. - Ważne jest, że popełniłam błąd.

Wypowiedziałam słowa, na które nie zasłużyłeś, i których bardzo żałuję. - Wpiła we włosy obie dłonie, po czym opuściła je bezwładnie. - Boże, Gabe, myślałam, że ubiegłej nocy byłeś w jej sypialni. Słyszałam...

- Mosesa? - dokończył. Zamknęła z westchnieniem oczy.

- Głupiec dowiaduje się zawsze ostatni. Sądziłam, że to ty. A myśl, że przerzucasz się z niej na mnie... że ja ci na to pozwalam... - Poruszyła się bezradnie. -

Przepraszam.

Wyglądała tak ślicznie. Jej włosy złociły się w słońcu, a oczy pociemniały z żalu.

O mało sam nie westchnął.

- Wiesz? Naprawdę zamierzałem machnąć na ciebie ręką. Doszedłem do wniosku, że tak będzie prościej i, Bóg mi świadkiem, bezpieczniej. - Poderwał się z leżaka. - Wyglądasz na zmęczoną, Kelsey.

- Miałam parszywą noc.

- Ja także. - Chciał dotknąć jej policzka, cofnęła się.

- Nie dotykaj mnie. Dobrze? Wiem, że robię z siebie idiotkę, ale czuję się okropnie. Za chwilę się rozsypię.

Stłumił pragnienie.

- Jestem ci wdzięczny za szczerość, kochanie. Dzięki temu mam przed sobą spokojną noc. „Nie dotykaj mnie, Gabe, bo znowu zacznę się do ciebie kleić!”.

Musiała się uśmiechnąć.

- Właśnie coś w tym rodzaju. Czy nie moglibyśmy zacząć tego wszystkiego w innej kolejności? - Podała mu rękę. - Zostajemy przyjaciółmi?

Spojrzał najpierw na jej dłoń, potem znowu w jej oczy.

- Nie sędzę.

Nie spuszczał z niej wzroku, przysuwał się bliżej.

- Posłuchaj... - Czuła ciepło idące od stóp do góry. - Nie chcę się angażować.

Przeżywam parszywy okres. - Przezornie cofnęła się o krok.

Fatalnie, bo jeśli o mnie chodzi, czas jest wyjątkowo sprzyjający.

- Przecież ci mówię... - Zrobiła jeszcze krok do tyłu i... trafiła w próżnię. Zanim wpadła do wody, spostrzegła jeszcze jego wyszczerzone w uśmiechu zęby. Mimo przyjemnie chłodnej wody, zaskoczenie nie było miłe. Wypłynęła na powierzchnię, zgarniając z oczu mokre włosy. - Ty skurwielu!

- Nie popchnąłem cię. Myślałem o tym, ale nie zrobiłem tego. - Wyciągnął do niej pomocną dłoń.

W jej oczach pojawił się błysk. Chwyciła jego rękę, szarpnęła. Równie dobrze jednak mogłaby próbować wyrwać dąb.

- Nie żartuj, Kelsey. - Bez trudu uwolnił rękę, ponownie oferując jej pomoc.

Tym razem podeszła do tego filozoficznie i pozwoliła wyciągnąć się na brzeg. Usiadła.

- Ładny basen.

- Lubię go. - Przysiadł obok niej, krzyżując nogi. - Zajrzyj tu od czasu do czasu i naprawdę popływaj.

- Mogę to zrobić teraz.

- Najładniej jest w zimie. To prawdziwa frajda móc stąd obserwować padający śnieg.

- Myślę! - Powoli wykręciła mokre włosy, przyskajac mu wodą w twarz. - Mam cię!

Ujął jej dłoń i przycisnął do warg, patrząc, jak jej oczy zachodzą mgłą.

- Mam cię - zawtórował.

Z trudem się podniosła. Serce rozsadzało jej klatkę.

- Muszę wracać.

- Jesteś mokra.

- Na dworze jest ciepło. - Rozprostował nogi i też wstał. Czyżby musiała odeprzeć kolejną pokusę? - Prawdziwie wiosenny dzień!

Zastanawiał się, czy zdaje sobie sprawę, jak bardzo jest pociągająca, jak działa na zmysły.

- Odwiozę cię.

- Nie, nie, wolę jechać konno. Prawie zapomniałam, jaka to radość. Chcę wykorzystać każdą chwilę mojego pobytu tutaj i... - Przycisnęła ręką brzuch, by stłumić pożądanie. - O Boże, powinnam się trzymać od ciebie z daleka.

- Nie masz szansy. - Założył palec za pasek jej dżinsów i przyciągnął ją do siebie. - Pragnę cię, Kelsey. Wcześniej czy później będziesz moja.

Wciągnęła i wypuściła powietrze.

- Być może. Uśmiechnął się szeroko.

- Założmy się. - Puścił ją. - Dam ci na dole kurtkę.

Wyszła w pośpiechu. Dziesięć minut później galopowała z powrotem w kierunku Three Willows. Gabe czekał, aż zniknęła za pierwszym wzniesieniem.

- Całkiem niezła sztuka.

Ten głos przeszył go jak wbijany w plecy nóż. Podstępna napaść, uniemożliwiająca obronę. Ale nie da się zastraszyć. Twarz Gabe'a, kiedy spojrzał na ojca, była obojętna niczym maska.

Niewiele się zmienił, zauważył. Puch Slater nadal miał styl - przywodzący na myśl handlarza lewym towarem, niemniej jednak styl. Był wysokim, barczystym mężczyzną. Jego nienaganny gabardynowy garnitur wydawał się nieco za obcisły w klatce piersiowej. Buty błyszcząły jak lustro, a czarne, zadbane włosy połyskiwały spod popielatego sztywnego kapelusza.

Zawsze był imponujący i potrafił wykorzystywać swój wygląd - budzące podziw błękitne oczy i żywy uśmiech - by oczarować naiwnego. Gabe jednak, choć nie widział

go prawie sześć lat, nie dał się zwieść pozorom.

Pogłębionych zmarszczek nie zdołały ukryć żadne mazidła ani pobożne życzenia. Przekrwione żyłki, nienaturalnie ożywione spojrzenie. Rich Slater był

dokładnie taki sam jak przed sześciu laty i przez większość swojego życia - pijany.

- Czego znowu chcesz, do cholery?

- To tak się wita starego człowieka? - zaśmiał się ochoczo Rich i, tak jakby Gabe rozwinął przed nim czerwony dywan, wziął syna w ramiona. W jego oddechu nad miętową gumą do żucia dominował nietrudny do rozpoznania zapach whiskey.

Było to połączenie, które Gabe'a zawsze przyprawiało o mdłości.

- Pytałem, czego chcesz?

- Przyjechałem po prostu, żeby zobaczyć, jak się urządziłeś, synu. - Poklepał

Gabe'a po plecach, zanim ten zdążył się uchylić. Nie chwiał się, nie stawiał

niepewnych kroków. Rich Slater lubił się przechwalać, że umie pić. Do drugiej butelki.

A zawsze była druga butelka.

- Dopiąłeś swego, Gabe. Trafiłeś najwyższą wygraną. Koniec z uliczną grą w kości, co, synu?

Gabe wziął go pod rękę i odciągnął na bok.

- Ile?

Richowi zaiskrzyły się oczy. Natychmiast się jednak opanował.

- No wiesz, Gabe, czy to aż tak podejrzane, że ojciec odwiedza syna, swoją najbliższą rodzinę, bezinteresownie? Mogę cię uspokoić - powodzi mi się świetnie.

Mam udział w pewnym przedsięwzięciu na Zachodzie. Gram na wyścigach, tak jak ty.

- Znowu się zaśmiał, ani przez chwilę nie przestając oceniać i szacować otaczających go dóbr. - Ale nie chciałbym osiąść na stałe, jak ty. Znasz mnie, chłopcze, nie mogę być niczym skrepowany.

Wyjął papierosa, zapalił go z fasonem pozłacaną zapalniczką z wygrawerowanym pośrodku swoim monogramem.

- A więc kim jest ta seksowna blondyneczka? Zawsze znałeś się na kobietach -

mrugnął porozumiewawczo. - A one zawsze potrafiły poznać się na tobie. Zupełnie jak z twoim staruszkiem.

Już na samo wspomnienie dawnych czasów w Gabie zawrzała krew.

- Ile chcesz tym razem?

- Powiedziałem ci, że ani centa. - Ani centa pomyślał Rich, kierując wzrok w stronę padoku, gdzie nadal trenował jednolatek. Z parą takich koni jak ten można by błysnąć. Nieźle błysnąć. Nie, nie chce centa. Chce dużo, dużo więcej.

Piękny koń. Przypominasz sobie: zawsze zwracałeś na wyścigach większą uwagę na konie niż na zakłady.

I za każdym razem obrywałem od ojca ciężką ręką, przypominał sobie Gabe.

- Nie mam czasu na rozmowę o koniach. Mam pracę.

- Kiedy człowiek trafia, tak jak ty, w dziesiątkę, nie musi pracować. - W pocie czoła, z goryczą dodał w myślach Puch. Nie musi też uganiać się za drobniakami. - Ale nie będę cię zatrzymywał, naprawdę. Rzecz w tym, że zaplanowałem krótki pobyt w tej okolicy. Chcę odwiedzić starych przyjaciół. - Uśmiechnął się, wydmuchując dym. -

A ponieważ będę w sąsiedztwie, nie odmówię zaproszenia na krótki pobyt w tym twoim frymuśnym domu. To nawet może być całkiem miłą wizytka.

- Nie chcę cię gościć u siebie. Nie chcę cię widzieć na moim terenie.

Niewymuszony uśmiech Richa przygasł.

- Za wysokie progi, tak? Mam rację? Obrosłeś w piórka i wolisz zapomnieć, skąd pochodzisz. Jesteś podwórzowym kotem, Gabe. - Wbił palec w pierś syna. - I zawsze nim będziesz. Nieważne, czy mieszkasz w pięknym domu i pieprzysz wystrzałowe kobiety. Zawsze pozostaniesz przybłądą. Zapomniałeś, kto ci dał dach nad głową, napychał twój kałdun?!

- Nie zapomniałem, że spałem pod drzwiami, ani że chodziłem głodny, bo ty piłeś i trwoniłeś każdego ciężko zapracowanego przez matkę centa. - Nie chciał wracać do przeszłości. Nienawidził tych wspomnień, które jak pies nie odstępowały go na krok. - Nie zapomnę, jak wymykaliśmy się w środku nocy z jakiegoś obrzydliwego pokoju, bo nie mieliśmy pieniędzy na czynsz. Jest jeszcze wiele spraw, o których pamiętam. Matka umarła w przytułku, plując krwią. Tego nigdy nie zapomnę.

- Robiłem dla niej, co mogłem.

- Wyssałeś ją, jak tylko potrafiłeś. A teraz, ile mnie będzie kosztować twoje zniknięcie?

- Muszę się gdzieś zatrzymać. - Rich zaczynał się denerwować, ton jego głosu stawał się skamlący. Żeby się opanować, sięgnął do tylnej kieszeni po flaszkę. - Tylko na kilka dni.

- Ale nie tutaj. Tutaj twoja noga nie postanie.

- Chryste Wszchemogący! - Rich pociągnął długi łyk, po nim następny. -

Powiem wprost: mam kłopoty. Drobnie nieporozumienie podczas gry w Chicago.

Rozpracowywaliśmy to z kumplem. Zachował się nierozważnie.

- Przyłapano cię na oszustwie, a teraz ktoś chce ci przetrącić gnaty.

- Jesteś zimnym skurwysynem. - Piersiówka, z której pił, pochodziła już z drugiej butelki. Rich szybko sobie z tym radził. - Jesteś mi to winien, nie zapominaj.

Muszę po prostu przycupnąć na parę tygodni, dopóki sprawa nie przycichnie.

- Ale nie tutaj.

- Wykopiesz mnie, pozwolisz, żeby mnie zabili?

- O, taaa. - Spojrzał na ojca z ponurym uśmiechem. - Ale dam ci szansę. Pięć tysięcy powinno wystarczyć, żebyś się gdzieś zaszyl i przeczekał.

Rich rozejrzał się dookoła. Dobrze utrzymane budynki, lśniące konie. Nigdy nie był na tyle pijany, by nie umieć oszacować ewentualnej korzyści.

- To nie wystarczy.

- Będzie musiało. Trzymaj się z dala od tego domu i od moich koni. Pójdę wypisać ci czek.

Gdy Gabe się oddalił, Rich znowu pociągnął z flaszki. To nie wystarczy, pomyślał, a alkohol w jego żyłach przemieniał się w gorycz. Chłopak wszedł do wyższych sfer; ja też chcę mieć z tego mały profit.

I dostanie go! - postanowił. Dałem chłopcu szansę. Teraz tylko trzeba będzie pograć.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Niepotrzebnie się denerwuję. To głupie. Mimo to Philip sprawdzał godzinę między każdym łyżkiem białego wina. Kelsey się nie spóźniała. To on przyszedł za wcześniej. Jeszcze głupsza wydała mu się obawa, że może zmieniła się w ciągu tych dwóch tygodni. Że spojrzy na niego w jakiś inny sposób. Albo że dopatrzy się w nim jakichś wad - podobnie jak on się ich dopatrzył w kobiecie, którą kiedyś kochał, a którą zabierano do więzienia.

Nic na to nie mógł poradzić. Nieważne, jak często to sobie powtarzał - słowa dźwięczały pusto. Dręczące go przez lata poczucie winy rekompensowała mu miłość do córki.

Nawet teraz, dwadzieścia lat później, pamiętał twarz Naomi taką, jaką była wtedy, gdy widział ją ostatni raz.

Z Waszyngtonu do Alderson w Wirginii Zachodniej było sześć godzin jazdy.

Sześć godzin podróży z uporządkowanego, cywilizowanego świata i uniwersyteckiego życia do gorzkiej rzeczywistości federalnego więzienia. Dwa zorganizowane, zamknięte światy o odrębnym przeznaczeniu. Tyle że jeden z nich żywił się nadzieją i energią, pokarmem drugiego zaś były rozpacz i gniew.

Na nic się zdały wszelkie przygotowania; doznał szoku na widok żywiołowej, arogancko zuchwałej Naomi za szybą ochronną. Miesiące, które upłynęły między jej aresztowaniem a zapadnięciem wyroku, zrobiły swoje. Jej ciało straciło subtelne, kobiece okrągłości. Wydawała się kanciasta i koścista w bezkształtnym więziennym uniformie. Wszystko było szare - jej ubranie, oczy, twarz. Musiał wyteżać wszystkie siły, by wytrzymać jej milczące, nieruchome spojrzenie.

- Naomi. - Czuł się głupio w garniturze z krawatem, w koszuli z wykrochmalonym kołnierzykiem. - Zaskoczyło mnie, że chcesz się ze mną widzieć.

- Muszę. Tutaj prędko się uczysz, że to, czego pragniesz, rzadko jest brane pod uwagę. - Odsiedziała trzy tygodnie wyroku i dla własnego dobra i zdrowia przestała już w myślach odliczać upływające dni. - Doceniam, że przyjechałeś, Philipie.

Uświadomiłam sobie, że może przechodzisz ciężki okres. Mam nadzieję, że to nie zaszkodzi twojej pozycji na uniwersytecie.

- Nie - odparł bezbarwnie. - Przypuszczam, że twoi adwokaci wniosą odwołanie.

- Nie jestem dobrej myśli. - Złożyła ręce, przyciskając mocno palce, by nimi nie poruszać. Nadzieja stanowiła kolejne obciążenie dla jej zdrowia psychicznego, musiała się więc jej szybko pozbyć. - Poprosiłam, żebyś przyjechał, Philipie, z powodu Kelsey.

Nie odezwał się, nie mógł. Panicznie się bał, że Naomi zechce widzieć Kelsey, poprosi go, żeby przywiózł dziecko w to miejsce.

Miała do tego prawo. W głębi serca wiedział, że ma prawo widzieć swoje dziecko. W głębi serca wiedział także, że będzie walczyć do ostatniego tchu, by chronić Kelsey przed tak strasznym przeżyciem.

- Jak ona się miewa?

- Świetnie. Oddałem ją na dzień lub dwa do mojej matki, żeby móc tu przyjechać.

- Jestem pewna, że Milicent jest zachwycona z tego powodu. - Sarkazm natychmiast zniknął z jej głosu. Ból znowu przeppełnił serce. Chcąc jak najszybciej załatwić sprawę, Naomi zdławiła w sobie to uczucie. - Spodziewam się, że jeszcze jej nie wytłumaczyłeś, gdzie jestem.

- Nie. Uważałem... Jest przekonana, że pojechałaś odwiedzić kogoś daleko od domu.

- Dobrze. - Cień uśmiechu przemknął po jej ustach. - Jestem przecież daleko, prawda?

Naomi, ona jest małym dzieckiem. - Zdecydował się wykorzystać jej miłość do Kelsey. - Nie znalazłem właściwych słów, by jej to wytłumaczyć. Myślę, że z czasem potrafię...

- Nie mam ci tego za złe - przerwała mu Naomi. Przysunęła się bliżej, spoglądając na niego drwiąco podkrążonymi oczami. - Nie zamierzam cię winić -

powtórzyła. - Za nic. Co się z nami stało, Philipie? Nie mogę uchwycić tej chwili, od której wszystko zaczęło się psuć. Staralam się. Myślałam, że jeśli zdołam dokładnie określić tę chwilę, tę jedną rzecz lub zdarzenie, będzie mi znacznie łatwiej pogodzić się z tym, co nastąpiło później. Ale mi się nie udało. - Zacisnęła powieki, czekając momentu, gdy będzie pewna, że może mówić dalej bez drżenia w głosie. - Nie udało mi się dotrzeć do tego, co było złe, ale dostrzegłam wiele dobrego. Kelsey. Zwłaszcza Kelsey. Cały czas o niej myślę.

Ogarnęło go przytłaczające współczucie.

- Ona pyta o ciebie.

Wtedy Naomi powiodła wzrokiem po ponurym pokoju. Ktoś obok płakał. Ale łyzy w tym miejscu były czymś tak zwyczajnym jak powietrze. Popatrzyła na ściany, na strażników, na zasuwę. Zwłaszcza na zasuwę.

- Nie chcę, żeby się dowiedziała, że tutaj jestem.



Nie spodziewał się tego po niej. Wytracony z równowagi, zmagał się między wdzięcznością a sprzeciwem.

- Naomi...

- Przemyślałam to bardzo dokładnie, Philipie. Mam tutaj bardzo dużo czasu na myślenie. Nie chcę, żeby się dowiedziała, że odebrali mi wszystko i zamknęli w więzieniu. - Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. - Skandal umrze wkrótce śmiercią naturalną. Nie przebywałam w kręgu twoich znajomych prawie od roku. Pamięć ludzka jest krótka. Zanim pójdzie do szkoły, wątpię czy ktokolwiek będzie pamiętał o tym, co się stało w Wirginii.

- Niewykluczone, ale ma to niewiele wspólnego z obecną sytuacją. Nie mogę jej tak po prostu powiedzieć, że zniknęłaś, Naomi, i oczekiwać, że to zaakceptuje. Ona cię kocha.

- Powiedz jej, że umarłam.

- Mój Boże, Naomi, nie mogę tego zrobić!

- Możesz. - Ogromnie poruszona, oparła rękę o szybę. - Zrobisz to dla jej dobra.

Posłuchaj, czy chcesz, żeby utrwalił się w jej pamięci obraz matki w takim miejscu jak to? Zamkniętej za morderstwo?

Oczywiście, że nie chcę. Nie można oczekiwać, by zrozumiała, a tym bardziej poradziła sobie z tym, w jej wieku... Ale...

- Ale - podjęła Naomi; jej oczy nadal gorzały. - Za kilka lat zrozumie i będzie musiała z tym żyć. Jeśli mogę dla niej coś zrobić, Philipie, to tylko oszczędzić jej tego.

Pomyśl - nalegała. - Pomyśl. Będzie miała osiemnaście lat, kiedy wyjdę. Przez całe życie będzie jej towarzyszyć mój obraz w tym miejscu. Może uzna, że jej obowiązkiem jest przyjść tu i zobaczyć się ze mną. A ja nie chcę jej tutaj. - Tama samokontroli przerwała się i z oczu Naomi popłynęły łzy. - Nie zniósłabym tego, nawet myśli o tym, że mogłaby przyjść i zobaczyć mnie taką, jaka jestem obecnie. Co by jej to dało? Nie mogę jej narażać na wewnętrzne spustoszenie. Nie chcę podjąć tego ryzyka. Pozwól mi, bym ją choć stąd ochraniała, Philipie. Dobry Boże, pozwól mi uczynić tę jedną ostatnią rzecz dla niej.

Pochylił się tak, że ich palce spotkały się przez metalowe oczko siatki.

- Nie mogę znieść twojego widoku tutaj!

- A czy któreś z nas zniósłoby widok Kelsey siedzącej tu, gdzie my? Nie, on nie mógłby.

- Ale powiedzieć jej, że umarłaś! Nie potrafię przewidzieć, jak to zniesie. Ani też tego, jak my będziemy żyć z tym kłamstwem.

- Nie takie znowu wielkie kłamstwo. - Cofnęła palce, otarła łzy. - Część mnie umarła. Reszta chce

przetrwać. Wręcz rozpaczliwie chce przetrwać. Nie wiem, czy to by się udało, gdyby ona wiedziała. Będzie zboleła, Philipie. Będzie zmartwiona, ale ty będziesz przy niej i dla niej. Za kilka lat ledwo mnie będzie pamiętała. A później zapomni na dobre.

- Potrafisz z tym żyć?

- Będę musiała. Nie będę się z nią kontaktowała ani wtrącała w jakikolwiek sposób. Nie poproszę cię więcej, żebyś mnie tu jeszcze odwiedził, a gdybyś to zrobił, nie wyjdę. Umrę dla niej i dla ciebie.  
- Ścisnęła pasek. Ich czas dobiegał końca. -

Wiem, jak bardzo ją kochasz i jakim jesteś człowiekiem. Ofiarujesz jej dobre życie, szczęśliwe życie. Nie zrań jej zmuszając, by musiała stawić temu czoło. Proszę, obiecaj.

- A kiedy wyjdiesz?

- Porozmawiamy o tym, gdy przyjdzie pora. Za dziesięć do piętnastu lat, Philipie. To szmat czasu.

- Tak. - Na myśl o tym poczuł skurcz żołądka. A co, pomyślał, odczułoby w takiej sytuacji dziecko? - Dobrze, Naomi. Dla dobra Kelsey.

- Dziękuję ci. - Wstała. Walczyła z mdłościami. - Żegnaj, Philipie.

- Naomi...

Ale ona już szła prosto przed siebie. Minęła strażnika i drzwi, które zamknęły się za nią ze szczękiem. Nie obejrzała się.

- Tatku? - Kelsey położyła rękę na ramieniu Philipa, ściskając je lekko. - W

jakim stuleciu przebywasz?

Podniósł się, zakłopotany.

- Nie zauważyłem, jak przyszedłeś!

- Nie zauważyłbyś nawet konwoju stutonowych ciężarówek. - Pocałowała go, zrobiła krok do tyłu, po czym ze śmiechem ucałowała ponownie. - Tak bardzo się cieszę, że znowu cię widzę.

- Niech ci się przyjrzę. - Czy nie wydaje się szczęśliwsza? - pomyślał. Bardziej okrzepła? To wrażenie sprawiło, że poczuł ukłucie zazdrości.

- Nie mogłam się przecież zmienić w ciągu dwóch tygodni.

- Powiedz, czy czujesz się równie dobrze jak wyglądasz?

- Czuję się wspaniale. - Wsunęła się na krzesło i czekała, aż on się usadowi. -

Wiejskie powietrze, świetne jedzenie, którego nie muszę sama gotować, fizyczna praca - myślę, że to dlatego.

- Fizyczna praca? Pracujesz na farmie?

- Wykonuję tylko podrzędne, pomocnicze prace. - Uśmiechnęła się do kelnerki.

- Kieliszek szampana, proszę.

- Ja pozostanę przy białym winie. - Znowu spojrzał na córkę. - Czy to jakaś uroczystość?

- Pride wygrał dzisiaj wyścig na torze w Santa Anita. - Kelsey wciąż jeszcze była podniecona z tego powodu. - Czyszczę jego boks, gdy jest w Three Willows, mam więc swój mały udział w jego zwycięstwie. W maju Pride weźmie udział w Derby. -

Mrugnęła do ojca porozumiewawczo. - To już postanowione.

Philip wypił łyk wina w nadziei, że rozluźni ściśnięte gardło.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że konie mogą cię aż tak zaabsorbować.

- One są cudowne. - Ujęła kieliszek, który postawiła przed nią kelnerka, i wzniosła toast. - Za Pride'a, najwspanialszego samca, jakiego kiedykolwiek widziałam.

W każdym razie czworonożnego. - Przetrzywała chwilę łyk szampana w ustach, delektując się pieniącymi się na języku bąbelkami. - A teraz powiedz, co słyhać.

Myślałam, że przyjedziesz z Candace.

- Chyba zrozumiała, że chcę z tobą pobyć tylko sam przez tych kilka godzin.

Przesyła ci, oczywiście, serdeczności. A Channing ma nową dziewczynę.

- Nie wątpię. A co ze studentką filozofii?

- Twierdzi, że o mało nie zagadała go na śmierć. Tę ostatnią spotkał na przyjęciu. Projektuje biżuterię i nosi czarne swetry. Jest wegetarianką.

- To powinno potrwać co najmniej pięć minut. Channing nie wytrzymuje dłużej, podobnie jak nie może długo obejść się bez hamburgera.

- Z pewnością Candace liczy na to. Uważa, że Victoria - to imię tej dziewczyny -

jest niezorganizowana.

- No cóż. - Kelsey otworzyła kartę i zaczęła ją przeglądać. - Nikt jej nie zadowoli. Na razie Channing wciąż jest jej dzieckiem.

- Rodzicom zawsze najtrudniej jest pogodzić się z tym, że dzieci odchodzą.

Większość z nas nie dopuszcza do siebie tej myśli.

- Położył rękę na jej dłoni. - Brakowało mi ciebie.

- Tak naprawdę ja nigdzie nie odeszłam. Chcę, żebyś się tym nie zamartwiał.

Stary nawyk, Kelsey. - Zaciśnął palce na jej dłoni. - Poprosiłem cię, żebyś zjadła ze mną obiad, z kilku powodów. Być może jeden z nich nie będzie dla ciebie miły, ale czułem, że będziesz wolała usłyszeć to ode mnie. Zesztywniała.

- Powiedziałaś, że wszystko w porządku.

- Tak. Chodzi o Wade'a, Kelsey. Ogłosił swoje zaręczyny. - Poczuł, jak zwilgotniała jej ręka. - Podobno skromne wesele ma się odbyć za miesiąc lub dwa.

- Rozumiem. - Zastanowiło ją, że ta wiadomość wzbudziła w niej aż tyle emocji i sprzecznych uczuć. - No cóż, nie traci czasu. - Odetchnęła, zakłopotana piskliwym tonem swojego głosu. - To głupie, że jeszcze mnie to dotyka, choćby przez moment.

- To ludzkie, powiedziałbym raczej. Byliście wprowadzicie długo w separacji, ale rozwód został dopiero co orzeczony.

- Wiem, że to tylko urzędowy papierek. Małżeństwo skończyło się w Atlancie ponad dwa lata temu. - Podniosła kieliszek, przyglądając się musującym bąbelkom. -

Zachowam się do końca jak cywilizowany człowiek. Życzę mu wszystkiego najlepszego. Nie wypija do dna - mam nadzieję, że ona uczyni z jego życia piekło. A teraz zamówię sobie tuńczyka z rusztu, bo nabrałam ochoty na coś o wyraźnym smaku.

- Myślisz, że sobie poradzisz?

- Jasne, już się czuję świetnie. - Zamknęła kartę. Gdy zamówili dania, popatrzyła na niego z uśmiechem. - Bałeś się mojej reakcji?

- Sądziłem, że zechcesz wypłakać się na moim ramieniu.

- Zawsze mogę skorzystać z twojego ramienia, tatusiu, ale przestałam już płakać z powodu tego, co się stało. Może to praca, prawdziwa praca, zmieniła moje spojrzenie na życie?

- Pracowałaś przez lata, Kelsey, odkąd skończyłaś uniwersytet.

- Raczej bawiłam się w pracę. Tak naprawdę, żadna z nich nie była ważna.

- A ta jest? Czy wybieranie gnoju z boksów jest dla ciebie prawdziwą pracą?

Jego uszczypliwy ton nie uszedł jej uwagi. Postanowiła staranniej dobierać słowa.

- Wydaje mi się, że w tej pracy czuję się częścią większej całości. Nie chodzi o jednego konia czy jeden wyścig. To jest ciągłość, w której każdy ma swój udział.

Niektóre zajęcia są uciążliwe, wymagające błyskawicznego działania i powtarzalne.

Ale każdy poranek jest nowy. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć.

A on nigdy by tego nie zrozumiał. Dotarło do niego tylko tyle, że w tym, co mówiła, tak ogromnie przypominała Naomi.

Jestem pewien, że to działa na ciebie pobudzająco. Na zasadzie odmiany.

- Tak. Ale również uspokaja. No i zarazem jest to odpowiedzialna praca. -

Pomyślała, że można przecież powierzyć ją komuś innemu, więc dodała pospiesznie: -

Zamierzam zrezygnować z mojego mieszkania.

- Zrezygnować? I co dalej? Chcesz się przenieść na stałe do Three Willows?

- Niekoniecznie. - Dlaczego go to boli? - zastanowiła się i westchnęła. A dlaczego zraniła ją wiadomość o ponownym ożenku Wade'a? - Nie było o tym mowy.

Tak sobie po prostu rozważałam możliwość przeniesienia się na wieś. Lubię widok drzew z moich okien, tatku. Widok ziemi zamiast sąsiedniego budynku. I bardzo lubię to, czym się teraz zajmuję. Chciałabym nadal to robić, sprawdzić się w tym.

- To wpływ Naomi. Kelsey, nie możesz ulegać tego rodzaju impulsom, które sprawiają, że zmieniasz jeden sposób życia na drugi. Nie powiesz mi chyba, że po tak krótkim czasie rozumiesz świat, w którym się znalazłaś i który na razie cię bawi.

- Nie, nie twierdzę, że w pełni go rozumiem. Ale chcę tego. - Skoncentrowała się na sałatce. - I chcę zrozumieć matkę. Nie możesz oczekiwać ode mnie, że odejdę od niej, zanim ją poznam.

Nie proszę cię, żebyś odeszła, ale proszę, żebyś nie podejmowała pochopnej decyzji. I żebyś zdawała sobie sprawę z konsekwencji takiego kroku. To coś więcej niż romantyczny widok koni o świcie albo finisz przed metą. To także bezwzględność, okrucieństwo, brzydota, przemoc.

- To również jest częścią mnie, w nie mniejszym stopniu niż zapach książek w uniwersyteckiej bibliotece.

- Kogo widzę? To Kelsey, prawda? Śliczna córeczka Naomi. - Z drinkiem w jednej ręce, połyskując złotym sygnetem w kształcie podkowy na drugiej, stał nad nimi Bill Cunningham. - Takiej twarzy nie można pomylić.

Doskonale zgranie w czasie, pomyślała Kelsey z gorzką ironią, siląc się na uśmiech.

- Cześć, Bill. Tatku, to Bill Cunningham, znajomy po fachu Naomi. Bill, mój ojciec, Philip Byden.

- No nie, niech mnie kule biją! Toż to całe lata! - Bill wyciągnął rękę. - Nie uwierzysz, ale ostatni raz widziałem go w dniu, w którym sprzątnął mi Naomi sprzed nosa. Uczysz, prawda?

- Tak. - Philip skinął głową spokojnie, zachowując zimną krew zarezerwowaną dla niesfornych studentów. - Jestem profesorem na Uniwersytecie Georgetown.

- Wysoko zaszedłeś. - Bill wyszczerzył zęby i położywszy rękę na ramieniu Kelsey, uściskał ją poufale. - Dorobiłeś się prawdziwej piękności, Phil. Jej obecność na wyścigach to czysta radość. Słyszałem, że najlepszy trzylatek mamy zdystansował

dzisiaj całą grupę na torze w Santa Anita.

- Tak, ogromnie się ucieszyliśmy.

W Kentucky sprawy ułożą się inaczej. Nie daj się jej przekonać i nie stawiaj na tego konia z Three Willows, Phil. Ja mam zwycięzcę. Przekaż mamie ucałowania ode mnie, kochanie. Muszę wracać do baru. Czeka mnie małe spotkanko.

Gdy odszedł, Kelsey chwyciła widelec i z ogromnym zaangażowaniem oddała się jedzeniu sałatki.

- Z tego pokroju ludźmi zamierzasz się związać?

- Tatku, mówisz jak babcia. „Standardy, Kelsey. Nigdy nie obniżaj swoich standardów”. - Ale Philipa nie rozśmieszyła ta uwaga. - Tatku, ten facet to idiota.

Bardzo podobny do nadętych, pyszałkowatych idiotów, których spotykałam na uniwersytecie, w reklamie czy w galeriach. Nie uciekniesz przed nimi.

- Pamiętam go - wycedził Philip. - Chodziły słuchy, a nawet zrobił się wokół

tego szum, że przekupuje dżokejów, by przegrywali, albo żeby umyślnie przypierali cudze konie do bandy.

Skrzywiła się, odstawiła talerz.

- A więc oprócz tego, że jest nadęty i pyszałkowaty, można mu jeszcze zarzucić nikczemność. Poza tym jest durniem, z którym nie zamierzam podtrzymywać znajomości.

- Należy do tego samego kręgu co twoja matka.

- Niewykluczone, że mają podobne upodobania. Jest wiele spraw, których o niej nie wiem, w których nie mogłabym jej zaufać. Ale na pewno wiem, że Three Willows to dla niej coś więcej niż tylko farma, konie - więcej niż biznes. Ta farma stanowi treść jej życia.

- Zawsze tak było.

- Przepraszam. - Kelsey bezradnie wyciągnęła ku niemu rękę. - Przepraszam, jest mi przykro, że cię zraniła. Jest mi przykro, że przeze mnie odżyły dawne sprawy.

Proszę cię jednak, byś mi zaufała i pozwoliła przyjrzeć się całości, dokonać własnego wyboru. Potrzebny jest mi cel w życiu, tatku. Może go znaleźć.

Obawiał się, że jej się to uda i że gdy go osiągnie, nie rozpozna swej córki.

- Obiecuj mi po prostu, że nie będziesz działać pochopnie, Kelsey. Nie rzucaj się na coś lub na kogoś bez zastanowienia. Daj sobie czas.

- W porządku. - Zawahała się. - Nie zapytałeś o nią.

- Przygotowywałem się do tego - przyznał Philip. - Chciałem usłyszeć, jakie są twoje wrażenia.

- Wydaje się bardzo młoda. Ma niesamowitą energię. Zaczyna o świcie i nie przestaje, dopóki się nie ściemni.

- Naomi zawsze lubiła towarzystwo.

- Ja mówię o pracy - poprawiła go Kelsey. - Nie prowadzi towarzyskiego życia.

Przynajmniej nie podczas mojego pobytu. Prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie, by przy takiej pracy można jeszcze mieć siły na urządzanie przyjęć. Zwykle leży w łóżku już przed dziesiątą. - Nieważne, pomyślała, że nie zawsze sama. - Jest bardzo zdyscyplinowana i opanowana.

- Naomi? Zdyscyplinowana? Opanowana?

- Tak. - Kelsey przerwała, gdy podawano im przekąski. - Przyjmuję do wiadomości, że nie była taka przedtem, ale obecnie jest dokładnie taka, jaką opisałam.

- Jaki masz do niej stosunek?

- Nie wiem. Jestem jej wdzięczna, że nie wywiera na mnie żadnej presji.

- Zdziwiasz mnie. Cierpliwość nigdy nie była jej mocną stroną.

- Sądzę, że ludzie się zmieniają. Mogę jej nie rozumieć, ale podziwiam ją. Wie, czego chce, i pracuje nad tym.

- A czego chce?

- Nie jestem jeszcze pewna. - Kelsey zniżyła głos. - Ale ona jest tego pewna.

Z przyćmionego baru Cunningham obserwował Kelsey i jej ojca prowadzących rozmowę podczas

posiłku. Ładny widok, pomyślał. Pełen godności i klasy. Potrząsnął

szklaneczką z whiskey, pobrząkując kostkami lodu.

- Niezła babka! - usłyszał obok siebie głos Richa Slatera. - Ma w sobie coś znajomego. - Zaśmiał się, stąpając ostrożnie z własną piersiówką whiskey. Nie powinien teraz zaśmiecąc sobie głowy takimi sprawami. - Sądzę, że wszystkie kobiety mają w sobie coś znajomego dla faceta, który przekracza pewien wiek.

- Córka Naomi Chadwick. Skóra zdarta z matki.

- Naomi Chadwick. - Oczy Pucha zaświeciły się - z radości i od przykrych wspomnień. Ale w końcu przecież przyjechał tutaj po to, by odgrzebać wspomnienia i zyskać na tym. - To była dziewczyna, o jakiej mężczyzna nigdy nie zapomina. Mój syn jest teraz jej sąsiadem. Jaki ten świat mały! - Z przyjemnością wypił kolejny łyk dobrej whiskey, którą postawił mu Cunningham. - Zdaje mi się, że widziałem ją parę tygodni temu koło domu mojego chłopca. O ile znam Gabe'a, na pewno wpadła mu w oko.

- Spoufalił się z matką, teraz kolej na córkę. - I pomyśleć, że gdyby Gabe Slater nie dostał wtedy tych kart, nie miałby teraz takiej okazji. Sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej, zadumał się Cunningham.

Ale jeszcze nie wszystko stracone.

- Jeśli dobrze to rozegra - ciągnął Cunningham, rozdrapując własną ranę -

zniesie granicę dzielącą obie farmy.

Rich zerknął na Kelsey z większym zainteresowaniem. A więc jego syn nie traci czasu z córką tej zimnej jak lód suki. Może da się to jakoś wykorzystać.

To by już było coś. Powiedziałbym, że łącząc majątki, znaleźliby się w gronie najbogatszych w tym stanie.

- To prawda. - Cunningham uniósł palec, zamawiając następną kolejkę. - Nie zależy mi na tym. A raczej nie miałbym nic przeciwko temu, żeby ten związek szybko się zachwiały. - Sięgnął do miseczek z orzeszkami i wrzucił do ust trzy naraz. Niedbale i nonszalancko. Tylko tak dalej, pomyślał. Puch Slater nie powinien się zorientować, jak bardzo liczę na ten interes.

- Ale, wracajmy do rzeczy. To może być sprawa dalszej przyszłości. Dokonując kalkulacji, Rich podziwiał jednocześnie brylant na palcu Cunninghama.

- A czy ten ekstrazysk nie jest wart ekstrazapłaty?

- Może.

- No dobra, zobaczymy, co się da zrobić w tej sprawie. - Rich rzucił jeszcze okiem na Kelsey. - Po



prostu zobaczymy, co się da zrobić. Będą mi potrzebne pieniądze na wydatki, Billy, chłopcze.

Sięgnąwszy do marynarki, Cunningham wyjął z niej kopertę. Pod kontuarem przechwycił ją chciwe palce Richa. Wrażenie *deja vu* sprawiło, że niespokojnie zerknął przez ramię.

- Przeliczysz później.

- Nie ma potrzeby, to zbędne. Wracamy na szlak, Billy, ty i ja. Ufam ci. - Gdy koperta znalazła się już w bezpiecznym miejscu, ponownie uniósł szklaneczkę. - I muszę powiedzieć, że robienie interesów z tobą to czysta przyjemność. No to za dawne czasy!

Następnego dnia około południa Kelsey w pełnym skupieniu oddawała się lekcji jazdy na lonży. Pięcioletnia klacz na drugim końcu liny była cierpliwa i znała się na rzeczy znacznie lepiej niż dziewczyna.

To nie koń pobrał naukę, lecz Kelsey.

- Teraz klus, zmiana kierunku - wydawał polecenia Moses. Stwierdził, że dziewczyna ma duże możliwości. Chce się uczyć, i się nauczy. - Zrobi wszystko, czego od niej zażadasz. Z jednorocznikiem nie poszłoby tak łatwo.

- To daj mi go! - zawołała i strzeliła z bata. - Poradzę z nim sobie.

- Nie rozmarzaj się! - Ale niewykluczone, że za kilka tygodni zgodzi się na to.

Jeśli Kelsey jeszcze stąd nie wyjedzie. Ma pewną rękę, rozważał, zdecydowany głos, szybki refleks.

- Od dawna jest tutaj? - zapytała Naomi.

- Około trzydziestu minut.

Naomi oparła but o najniższy szczebel ogrodzenia.

- I Kelsey, i klacz wyglądają tak świeżo.

- Obie mają krzepę.

- Doceniam, że poświęcasz jej swój czas, Moses.

- W końcu to nie jest katorga. Poza tym, że śledzi każdy mój krok. Roześmiała się, ale zauważyła, że on wcale nie żartuje.

- Myślisz, że ją to naprawdę interesuje?

- Po każdej spędzonej z nią godzinie czuję się jak wyciśnięta gąbka. Dziewczyna nie przestaje zadawać pytań. Popełniłem błąd, dając jej kilka dni temu księgi rodowodowe. Urządziła mi potem nielichy quiz. Piłowała mnie na temat krzyżówek, mieszanek, cech dominujących i drugorzędnych.

- I co, zdałeś egzamin?

Z trudem. Przywykłem ciebie widzieć w tej roli. - Uśmiechając się szeroko, pociągnął ją delikatnie za ucho. - Ach, fantazje! Mężczyzna bez fantazji jest jak człowiek bez duszy. Miałem piekielnie bogatą duszę, jeśli o ciebie chodzi.

- I nadal ją masz. Udowodnię ci to później. Idzie Matt.

- Nie wiedziałem, że wezwałaś weterynarza.

- Nie wzywałam. - Naomi przeciągnęła językiem po zębach. - Powiedział, że będzie w sąsiedztwie i zatrzyma się, żeby obejrzeć te otarte golenie.

Moses spojrzał na Kelsey. Ach, te fantazje, pomyślał znowu.

- Taak. W porządku.

Tłumiąc śmiech, Naomi przywitała lekarza:

- Witaj, Matt, i jaka jest diagnoza?

- Ma się świetnie. Opatrunek nie jest potrzebny.

Miło, że wygospodarowałeś czas i zajrzałeś do nas - skomentował Moses.

- Byłem w Longshot. Jeden z tamtejszych koni się skaleczył.

- Coś poważnego? - zapytała Naomi.

Niewiele brakowało. Nakłucie. Rana była mała, ledwo widoczna, ale niezłe zainfekowana. - Mówiąc nie spuszczał zachwyconych oczu z Kelsey. - Musiałem przeciąć. Wyglądało fatalnie. Jamison powiedział, że koń miał jutro jechać do Hialeah.

- Three Aces? - W przypływie solidarności Naomi położyła rękę na ramieniu Matta. - Gabe się z nim wybierał. Ten koń biegał jak marzenie.

- A teraz obaj zostaną w domu.

- Zadzwoń później do Gabe'a. Spróbuję go pocieszyć.

- Jeszcze to wykorzysta! - Uwaga Matta skierowana była znowu pod adresem Kelsey. - A tutaj, jak widzę, wszyscy zdrowi. - Gdy dziewczyna pomachała mu na powitanie, rozpląnął się w uśmiechu. - Wygląda, jakby niczego innego nie robiła przez całe życie.

W końcu Moses ulitował się nad nim. Dał Kelsey znak, żeby się zatrzymała i podprowadziła konia do ogrodzenia.

- Ma takie łagodne usposobienie. - Kelsey potarła policzek o sierść klaczy. -

Chciałabym, Moses, żebyś mi dał bardziej niesfornego konia. Chcę poczuć, że czegoś dokonałam.

Każdą wyprawę zaczyna się od pierwszego kroku. Zobaczymy, ile ich zrobisz, zanim wyruszysz w podróż.

- Nikt tak jak Moses nie podbudowuje mojej wiary w siebie. - Zsunęła do tyłu bawełnianą czapkę. - Matt, to wizyta zawodowa czy towarzyska?

- Pół na pół. Musiałem się zatrzymać w Longshot.

O? - Zachowując się najnaturalniej w świecie, Kelsey wyprowadziła klacz z padoku. - Jakieś problemy?

- Skaleczenie - wyjaśnił.

Ależ Three Aces wyglądał wspaniale. Widziałam go niedawno. Świetnie biegał.

Kiedy to się mogło stać?

- Jakieś trzy - cztery dni temu.

- Biegał w Charles Town trzy dni temu. Wygrał o całą długość. - Marszcząc brwi, klepnęła klacz. - Nakłucie?

- Wielkości sześciopensówki, tuż nad pęcina.

- Jak to się mogło stać?

Może podczas transportu, o jakiś ostry kant? To niewykluczone. Mało prawdopodobne, żeby ktoś to zrobił naumyślnie.

- Mówisz, że ktoś mógł skaleczyć konia, żeby nie pobiegł, albo jeszcze gorzej?

- Mało prawdopodobne - powtórzył Matt. - Rana nie jest aż tak poważna.

- Co mu zaaplikowałeś?

Z największą uwagą słuchała, gdy mówił o nacięciu lancetem i środkach odkażających, różnicy między raną kłutą i szarpaną.

- Teraz się sama przekonałaś - szepnął Moses do Naomi. - Zaraz zaczniesz wkuwać podręcznik weterynarii. - Jego oczy zwęziły się, gdy spojrzał w kierunku stajni. - Spodziewasz się kogoś?

- Nie. - Naomi wyduła wargi i przyglądała się zbliżającemu się młodemu człowiekowi. Szczupły, wąski w ramionach, o ładnej twarzy. W dzinsach i bluzie dresowej. Wszystko w normie, pomyślała.

Ale zdradzały go buty. Musiały kosztować ze trzysta dolarów.

- Czy ktoś zna tego kowboja?

- Hmm? - Zaciekawiona Kelsey odwróciła się i wydała okrzyk radości. -

Channing! - Pognała przed siebie i łamiąc serce Matta, rzuciła się młodzieńcowi na szyję. - Co ty tu robisz?

- Pomyślałem, że zahaczę o to miejsce, zanim pojedę dalej, do Lauderdale.

Wiosenna przerwa semestralna.

- Jeszcze z tego nie wyrosłeś?

- Wyrosnąć z dziewcząt w bikini? Ani myślę! Kobieto, spójrz na siebie.

Wyglądasz jak żywa reklama wiejskiego życia. - Otoczył ją ramieniem i rzucił okiem na trio przy ogrodzeniu. - Nie powiesz chyba, że to twoja matka!

- To jest Naomi. Chodź, przedstawię cię. - Objęła go w pasie. - Channing, to są: Naomi Chadwick, Moses Whitetree i Matt Gunner. Channing Osborne, mój przybrany brat.

- Witaj w Three Willows. - Naomi wyciągnęła rękę; Channing rozbawił ją i oczarował, podnosząc podaną dłoń do ust. - Kelsey opowiadała mi o tobie.

- Mam nadzieje, że tylko o moich zaletach. Jakie to wspaniałe miejsce!

- Dziękuję. Możemy cię oprowadzić. Liczę, że zatrzymasz się na chwilę.

- Jestem bez przydziału. - Nie mogąc się oprzeć, przechylił się przez ogrodzenie i poklepał klacz po nosie. - Jadę właśnie na Florydę. Na tydzień lub coś w tym rodzaju.

- Pobierać nauki koedukacyjne - dorzuciła Kelsey. - Channing studiuje medycynę i nazywa to lekcjami anatomii.

Uśmiechnął się szeroko i pochylił, by podrapać klacz za uchem.

- Taaa, młodość szybko przemija. Każdy ci to powie. Czy nie przeszkodziłem w czymś?

- Ani trochę - zapewniła go Naomi. - Właśnie jest pora lunchu. Matt, dołączysz do nas?

- Bardzo bym chciał, ale muszę być jeszcze na farmie Bartletta. Jego żreback ma kolkę.

- Hej, jesteś weterynarzem? - ożywił się Channing. - Zawsze myślałem, że leczenie zwierząt musi być frajdą. Te stworzenia nie narzekają jak ludzie, prawda? -

dorzucił pospiesznie, unikając zaskoczonego spojrzenia Kelsey.

To prawda. Ale ludzie na ogół nie kopią i nie kłają. Skorzystam z następnej okazji, Naomi, dziękuję. Kelsey, miło było znowu cię widzieć. Cieszę się ze spotkania.

- Odprowadzę cię kawałek - powiedziała Naomi. - Kelsey, przyprowadź Channinga, gdy będzie gotów.

- O ile cię znam, już jesteś gotów. To co, zrobimy tę wycieczkę po jedzeniu?

- Brzmi zachęcająco.

Nie wiedziałam, że interesuje cię medycyna zwierzęca. Wzruszył ramionami, zakłopotany.

- Tak tylko. To są dziecinne mrzonki. Ruszyli wolnym krokiem przed siebie.

- Pamiętam, że chciałeś ratować ptaki, kiedy tłukły się o szybę w salonie. A ten stary, zabiedzony kundel z przetrąconą łapą, którego przytaszczyłeś do domu?

- Taa. - Uśmiechnął się, ale z jego oczu zniknęła radość. - Mama się go pozbyła.

Przegnała go. Sądzę, że ostatni kilometr przeszedł na trzech łapach.

- Zapomniałam o tym - Kelsey oparła głowę na jego ramieniu.

- Bała się, że wróci. Musiał być strasznie stary.

- Był nierasowy - poprawił ją Channing wzruszając ramionami.

- Nic nadzwyczajnego. Z powodu alergii nie znosiła zwierząt w domu. Poza tym, jak już powiedziałem, to z mojej strony dziecinada.

Dlaczego nigdy przedtem nie słyszałam takiej rezygnacji w jego głosie? -

zastanawiała się Kelsey. Może dotąd mu się nie przysłuchiwała.

- Chcesz być lekarzem, Channing?

Rodzinną tradycją - odparł bez namysłu. - Nigdy nie myślałem, że mógłbym zajmować się czym innym. No, może z wyjątkiem astronomii, gdy miałem sześć lat.

Mężczyźni w rodzinie Osborne'ow są chirurgami, to wszystko.

- Przecież Candace nie zmuszałaby cię do robienia czegoś, do czego nie masz serca.

Channing przystanął. Popatrzył na nią z półuśmiechem.

- Kels, miałaś osiemnaście lat, kiedy wyszłaś za mąż i opuściłaś dom. Mama wie, jak pokierować sprawami. Robi to subtelnie, ale skutecznie. A ja i profesor przeważnie jej słuchamy.

- Masz do niej o coś żal? O co chodzi?

Do diabła, cofnęła upoważnienie z mojego funduszu powierniczego, bo odmówiłem zaliczenia na wiosnę niektórych zajęć. Wiesz, że chciałem popracować.

Zakosztować prawdziwego życia. Miałem nagrany budowę łodzi. Rozumiesz, dzięki temu mógłbym paradować w kapeluszu ze sztywnym rondem i cmokać sekretarki w porze lunchu. Zależało mi po prostu na paru miesiącach z dala od książek.

- To brzmi całkiem dorzecznie. Może gdybym z nią porozmawiała w twoim imieniu...?

- Nie, ty także nie masz u niej chwilowo dobrej prasy. Wiesz, ta cała historia... -

objął ruchem ręki farmę. - Uważa, że to za mocne przeżycie dla profesora. A jej wysokość Milicent podsyca tę małą szarpaninę nerwów.

Kelsey westchnęła.

- A więc płyniemy na tej samej tratwie. Słuchaj, naprawdę upierasz się przy Lauderdale i bikini?

- Jeśli mi sugerujesz, żebym wrócił do domu, pocałuj się i daj sobie z tym spokój...

- Nie. Chciałam ci zaproponować, żebyś spędził ferie wiosenne tutaj. Nie sądzę, żeby Naomi miała coś przeciwko temu. Spędziłbyś czas ze mną i z końmi.

- Zabawiłabyś się w dużą siostrę?

- Taak, widzisz w tym jakiś problem?

- Nie. - Pochylił się i pocałował ją w czoło. - Dzięki, Kels.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

Stajenny miał na imię Mick. Urodził się i wychował w Wirginii. Lubił się przechwalać, że zapomniał więcej na temat koni, niż większość ludzi kiedykolwiek się nauczyła. Niewykluczone, że tak było. Z całą pewnością w swojej pięćdziesięcioletniej karierze na torze wyścigowym poznał wszystkie tajniki gry. We wczesnej młodości awansował z chłopca stajennego na chłopca do ujeżdżania koni. Często się chełpił, jak to w okresie świetności farmy dosiadał koni pana Cunninghama.

Gdy skończył dwadzieścia lat, nadal był mały i dostatecznie lekki na dżokeja.

Choć nigdy nie zaszedł dalej i nie uzyskał oficjalnego zawodowstwa, nosił jedwabną kurteczkę dżokeja. I nie lubił, gdy ludzie o tym zapominali.

Na krótko udało mu się przechytrzyć właściciela niewielkiej stadniny na Florydzie, gdzie został zatrudniony w charakterze trenera. Przez rok był nawet posiadaczem wałacha - albo raczej, gwoli prawdzie, jego piętnastu procent. Co z tego, kiedy Morning Glory nigdy nie osiągnął swych

możliwości, udowadniając, że jest tylko koniem, który szybko się męczy, a biega powoli. Najważniejsze jednak, że Mick był

właścicielem.

Wrócił na farmę Cunninghama, gdy dowiedział się, że zmieniła właściciela.

Urządzała go funkcja stajennego, zwłaszcza odkąd Gabriel Slater przybrał wygląd zwycięzcy. Miał go zresztą zawsze, odkąd Mick sięgał pamięcią.

Cieszyło go, że młodzi często korzystali z jego doświadczeń. To nic, że z powodu nieśmiertelnej jasnoblękitnej czapeczki i dumnego chodu przezywali go za plecami Pawiem. Ważne, że robili to z sympatią.

Jego szczupłą, pomarszczoną twarz znana była na wszystkich torach - od Santa Anna po Pimlico. I tego właśnie Mick pragnął.

- Tor jest wolny - wyraził swoją opinię Boggs, starannie skręcając papierosa.

Mick przytaknął kiwnięciem głowy. Silny poranny deszcz przeszedł w jednostajną siąpieninę, i to było dobre. Double or Nothing Slatera zawsze błyszczy na błotnistym torze.

Czas między treningiem a paradą strasznie się dłużył. Mick siedział pod daszkiem i obserwował spadające z okapu krople, rozmyślając o dziesięciu dolarach, które wypalały mu dziurę w kieszeni. Zamierzał postawić je na Double'a i patrzeć, jak kapitał rośnie.

Wyciągnął wymiętą paczkę marlboro, by towarzyszyć Boggsowi w paleniu.

Było cicho i spokojnie. Dżokeje przebywali w swoich kwaterach albo wypacali pod parą kolejne pół kilo przed rozpoczęciem wyścigów. Trenerzy ślęczeli nad biuletynami gonitw, a właściciele popijali wewnątrz gorącą kawę, ciesząc się, że nie pada im na głowę. Wokół zabudowań stajennych panował niewielki ruch, ale już wkrótce wszystko miało się ożywić.

- To zabawne widzieć tutaj córkę panny Naomi - powiedział Mick, żeby zagaić rozmowę. - Parę tygodni temu przyjechała konno do Longshot i odjechała zupełnie mokra.

- Słyszałem - pokiwał głową Boggs, wypuszczając dym.

- Była na tym waszym dereszku. Dobrze sobie z nim radziła.

- Jeździ jak matka. A wygląda jak jej kopia. Dwaj starzy kawalerzy siedzieli i w milczeniu palili. Minęło pięć pełnych minut, zanim Mick znowu się odezwał:

- Jeszcze ktoś pojawił się dzisiaj w stajni.

Taa? - Boggs nie pytał kto. To nie był ich sposób porozumiewania się.

- Dawno go już nie widziałem, ale go poznałem. - Strząsnął do kałuży długi stożek popiołu i przyglądał się, jak skwierczy na powierzchni. - Dopóki ich razem nie zobaczyłem, nie mogłem sobie przypomnieć, co ich łączy. Dopiero potem skojarzyłem.

Przypomniałem sobie czasy, kiedy pan Slater pracował jako chłopiec stajenny u pana Cunninghama.

- Ano. Koło piętnastu lat temu. Potem się przeniósł do Three Willows. Pozostał

tam jakiś czas.

- Rok albo dwa. Ciężko pracował, nie obijał się. Nadal nie można o nim powiedzieć złego słowa. Zawsze był samotnikiem. - Mówiąc to, zachichotał cichutko. -

Nigdy nie myślałem, że będę dla niego pracował.

- Doszedł do czegoś.

- To prawda. Wielu uważało, że nie potrafi. Ze względu na sposób w jaki się prowadził. Bo zdobywał pieniądze grą w karty. Ludzie wyobrażali sobie, że to jeszcze jeden cwaniak. Ale ja wiedziałem swoje.

- Zawsze lubiłem tego chłopca. - Boggs potarł bolące miejsce na przedramieniu, w które uszczypnął go jednolatek. - Obserwuję go. Nadal jest w porządku.

- Taa. Byłem tam tego dnia, kiedy Lipsky chciał go dźgnąć nożem. Pan Slater nie powiedział ani słowa więcej, niż powinien powiedzieć.

Bardziej z pogardy dla Lipsky'ego niż z potrzeby Boggs splunął na moką ziemię.

- Człowiek, który lubi sobie popić, nie może się zajmować biznesem i prowadzić stadniny.

To prawda. - Mick znowu pogрузił się w milczeniu, zastanawiając się, czy nie zapalić następnego papierosa. - Pan Slater nie lubi pijaków. Zapomniałem już, że jego ojciec nie wylewał za kołnierz, dopóki nie zobaczyłem go dzisiaj koło stajni.

- Rich Slater? - ożywił się nieco Boggs. - Był w Longshot?

- Właśnie ci o tym mówię. To było tego dnia, kiedy córka panny Naomi odjechała mokra. Odpicował się jak sprzedawca Biblii. - Aby mieć większą przyjemność z przekazywania informacji, Mick postanowił pofolgować sobie, zapalając drugiego papierosa. - Rozmawiali trochę. Dokładnie nie słyszałem, co starszy pan Slater miał do powiedzenia. Nie mogłem też odczytać niczego z twarzy chłopaka. Ma oczy hazardzisty. - Wykrztusił dym, po czym zaciągnął się głęboko, spokojny, że jego przyjaciel nie straci zainteresowania. - Żebyś widział starego! Te jego uśmieški i gadanie, ile to on ma forsy, i że przyjechał tylko po to, żeby zobaczyć, jak się jego chłopiec urządził!

- Pewnie chciał go naciągnąć na forszę.



- No jasne. Nie podobał mi się sposób, w jaki rozglądał się dookoła. Jakby dodawał cyfry w głowie. Polly miała jednolatka na lonży. Pan Slater nazwał go Stritem. Ta Polly ma dobrą rękę, mówię ci.

- Ano ma - zgodził się Boggs, nie widząc niczego dziwnego w nieco określonym opowiadaniu. Kiwnął głową, pozdrawiając jednego ze stajennych, który właśnie ich mijał. - Dobrze prowadzi jednolatki. Może Moses przyucza pannę Kelsey do tego w Three Willows... Stary Chip znowu mówił o emeryturze.

- Zawsze to mówi. Dla niego mówienie to jak wypuszczanie dymu z papierosa.

A więc... - Mick powracał do punktu, w którym przerwał swoją historię - pan Slater poszedł do domu, a stary Puch czekał, pociągając ze swojej flaszki. Takiej srebrnej, błyszczącej. Przez chwilę gadał z Jamisonem. Pewnie chciał coś wywęszyć. A potem pan Slater wrócił, dał staremu czek i wykopał go. Delikatnie, ale dał mu za to wszystko kopniaka.

- Nigdy nie miałem szacunku dla Richa Slatera.

- Ani ja. Niektórzy mówią, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Ale jeśli chodzi o tych dwóch, wydaje mi się, że jabłko daleko się potoczyło. Ma klasę, pan Gabe Slater naprawdę ma klasę. I słucha, co do niego mówisz. Pytał mnie tamtego dnia, co sądzę o tym przekłuciu przedniej nogi Three Aces.

- To dobry koń.

- Prawda. Powiedziałem więc panu Slaterowi, że nie wygląda mi to na wypadek. Spojrzał na mnie, podziękował mi, naprawdę uprzejmy człowiek. - Mick wstał, rozprostowując zastałe kości. - Pójdę popatrzeć na Double'a.

- Myślę, że wezmę sobie trochę kawy - dodał Boggs.

Poszli każdy w swoją stronę. Mick zniknął w mroku stajni. Deszcz uderzał o dach, tłumiąc szmer poruszających się w boksach koni. Któryś ze stajennych poprawiał derkę na klaczy. Mick zatrzymał się na chwilę, popatrzył, trochę za szeroka z przodu, stwierdził. Prawdopodobnie będzie się kolebać na boki.

Z Double'em nie było tego problemu: sto sześćdziesiąt dwa centymetry w kłębie, czystej karej maści, pięknie ukształtowane łopatki i zwarty, mocny tułów, z proporcjonalną, silną klatką piersiową.

Co więcej, Double był odważny.

Nie spiesząc się, Mick skierował się do boksu. Chciał dodać Double'owi trochę animuszu przed gonitwą, a także zajrzeć mu w oczy i wyczytać z nich, czy warto tego dnia postawić na niego.

- Posłuchaj, chłopie, odwołaliśmy specjalnie dla ciebie trochę deszczu. - Mick otworzył drzwi boksu i zachmurzył się. - Co ty, do diabła, tu robisz, Lipsky? Nie masz nic do roboty przy koniu pana Slatera.

Lipsky nie ruszył się z kucek. Obserwował Micka, gdy ten przesuwiał ręką wzdłuż nogi konia.

- Po prostu przyglądam się. Zastanawiam się, czy nie postawić na niego.

- Zjeżdżaj stąd! Możesz sobie stawiać, ale teraz się zmywaj.

- Idę, już idę! - Lipsky niby to zbierał się do wyjścia. Mick nie spuszczał go z oczu.

- A to co, do jasnej cholery?! - Jednym szybkim ruchem zacisnął rękę na ramieniu Lipsky'ego. W przyćmionym świetle błysnął ostry jak brzytwa nóż. - Ty bydlaku. Chciałeś go okaleczyć!

- Wcale nie miałem takiego zamiaru. - Lipsky spojrzał ponad drzwiami boksu.

Czasu było niewiele. - Chciałem go tylko unieruchomić na dzisiejszą gonitwę. - I na wszystkie inne, pomyślał, gdybym uszkodził mu ścięgno. - Slater na to zasłużył.

- To ty masz to, na co zasłużyłeś - poprawił go Mick. - A poza tym nikt mi się nie będzie wchrzaniał do moich koni. Ty nędzny tchórz. Three Acesa też załatwiłeś!

- Nie wiem, o czym mówisz. Posłuchaj, to nie był dobry pomysł, przyznaję. Ale nic się przecież nie stało. O co ten raban?! Możesz sprawdzić.

- Zdążę. A na razie poszukamy pana Slatera. Zobaczymy, co on na to powie.

Lipsky szarpnął się do tyłu. Był wściekły. Ten żyłasty staruch miał żelazny chwyt.

- Nie wydasz mnie!

- To się jeszcze okaże! Wydam cię. Zostawiłeś ślad. Jeśli pan Slater każe cię zabić, osobiście napluję na twój grób.

- Nie dotknąłem tego pieprzonego konia! - Zdesperowany Lipsky zamachnął

się na oślepie. Zaczęli się mocować. Double nerwowo przesunął się na bok.

Nóż przeciął powietrze. Ominął ramię Micka i drasnął bok konia. Pod wpływem bólu Double stanął dęba. Mick zaklął. Zamierzał krzyknąć. Nie zdążył

jednak złapać powietrza, gdy nóż wszedł tuż powyżej jego brzucha.

- Chryste! - Równie oszołomiony jak jego przeciwnik, Lipsky wyszarpnął nóż, dostrzegł strugę krwi.  
- Jezu Chryste, Mick! Nie chciałem cię trafić.

- Bandzior - z wysiłkiem powiedział Mick. Osunął się w momencie, gdy rozdrażniony i przerażony zapachem krwi koń ponownie stanął dęba. Mick dostał

kopytem w podstawę czaszki. Poczuł przeszywający ból. Padł przed siebie. Koń nadal tratował go

kopytami, ale on już nic nie czuł.

Ogarnięty paniką Lipsky najchętniej czmychnąłby czym prędzej, zdołał się jednak opanować. Skulił się w kącie. To nie moja wina, powtarzał sobie. Do diabła, przecież nie jestem mordercą! Nigdy nie wyciągnąłbym noża na starego Micka. Gdyby mnie posłuchał, nigdy by do tego nie doszło.

Otarł zaciśniętą w pięść ręką spocone usta. Ruszył w stronę drzwi. Wsunął

skrwawiony nóż za cholewę buta i cicho wysunął się z boksu. Pochylił się i w pośpiechu wybiegł na deszcz.

Musiał się napić.

- To wspaniale! - Channing stał na mokrych trybunach i zajadał hot doga. -

Nigdy nie przypuszczałem - wykrztusił przez pełne usta - że to może być aż tak dobre.

Nie gorsze niż próby jakiejś pasjonującej sztuki na Broadwayu.

Ujęta jego wdziękiem, Naomi uśmiechnęła się. Gdyby miała wybrać brata dla swojej córki, byłby nim Channing Osborne.

- Przykro mi, że nie zadbaliśmy o lepszą pogodę.

Po co, to tylko dodaje dramaturgii. Ogłuszający tętent końskich kopyt, rozplywające się kolory, rozbryzgujące się błoto. - Uśmiechnął się szeroko. Popił hot doga coką. - Nie mogę się już doczekać.

- Już niedługo - zapewniła go Kelsey. - Pewnie już są gotowi do parady. Chcesz pójść i popatrzeć?

- Jasne. Jak to miło z twojej strony, Naomi, że pozwoliłaś mi tu zostać.

- Cieszę się, że wybrałaś nas zamiast słońca i bikini.

- To jest lepsze. - Ruchem, który uznała za czarujący, ofiarował jej ramię. - Za tydzień, po powrocie, będę się mógł pochwalić przed moimi opalonymi i skacowanymi kumplami, że poderwałem dwie olśniewające kobiety.

- A co z wegetarianką? - zapytała Kelsey.

- Och, Victoria? - Zbył to pytanie krótkim, beztróskim uśmiechem. - Odstawiła mnie, kiedy się zorientowała, że jestem zatwardziałym mięsożercą.

- To bardzo krótkowzroczne z jej strony - stwierdziła Naomi.

- To samo jej powiedziałem. Czyż nie jestem na wagę złota, Kelsey? - Popatrzył

na nią, jej uwaga jednak skierowana była w zupełnie inną stronę. No, no, pomyślał, przyglądając się

Gabe'owi. Takiego spojrzenia nie widziałem u Kelsey od bardzo, bardzo dawna.- To ktoś, kogo znasz?

- Hmm? Och! - W roztargnieniu sięgnęła ręką, by poprawić daszek bawełnianej czapeczki. - Po prostu sąsiad.

Gabe przerwał rozmowę z Jamisonem, odwrócił się i przyjrzał im się. Do licha, Kelsey nieźle zmokła. Przeniósł wzrok na obejmującego ją mężczyznę.

Za młody, żeby mógł być rywalem, stwierdził. Powątpiewał nawet, czy chłopak jest na tyle dorosły, by mógł sam kupić sobie piwo. Ale w ułożeniu jego ramienia i w spojrzeniu była jakaś zaborczość - połączenie ciekawości i ostrzeżenia.

Przyrodni brat, doszedł do wniosku Gabe i ruszył im na spotkanie.

- Jeszcze nie wyschłaś? - zwrócił się do Kelsey, obserwując cień zakłopotania na jej twarzy.

- Mamy już inny dzień, Slater. To jest Channing Osborne, Gabriel Slater.

- Miło, że przyjechałeś odwiedzić siostrę.

- Też tak uważam.

Gabe'a rozbawiło, że Channing potrzasał jego ręką znacznie dłużej, niż było to potrzebne.

- Jak tam twoja klacz, Naomi? Chciałem zajrzeć i osobiście rzucić na nią okiem.

- W końcu się ożrebiła. Wszystko odbyło się bez problemu. Słyszałam od Matta o Three Aces. Czy już jest lepiej?

Choć myśli miał niewesołe, Gabe zachował pogodny uśmiech. - Taak. Będzie znowu w szczytowej formie za kilka tygodni.

- Dzisiaj pobiegnie Double or Nothing, prawda?

Gabe znowu spojrzał na Kelsey. Ponieważ chciał ją dotknąć, ale także podrażnić, ujął jej brodę.

- Czy masz dobre informacje, jak stawiać, kochanie?

- Można tak powiedzieć. Twój koń pobiegnie łeb w łeb z naszym.

Chcesz zrobić zakład na boku? Nadal jesteś mi winna dziesiątkę.

- Świetnie. W takim razie... wszystko albo nic.

- Zgoda. Rzucisz okiem na zwycięzcę?

- Widziałam już Pride'a, dziękuję. Pokazał zęby w uśmiechu i wziął ją za rękę.

- Chodź.

Po ich odejściu Channing zmarszczył brwi.

- Długo to potrwa?

- Zaczynam podejrzewać, że tak. - Patrząc za nimi, Naomi potarła wilgotny nos.

- Niepokoisz się?

Bardzo przeżyła rozwód. Nie chciałbym, żeby ktoś to wykorzystał. Czy wiesz coś o nim?

- Nawet sporo. - Naomi westchnęła. - Później ci opowiem. A teraz może pójźmy za nimi. Przystaniesz się martwić.

- Dobry pomysł. - W drodze do stajni popatrzył na nią. - Jesteś w porządku, Naomi - powiedział.

Sprawiło jej to przyjemność. Wzięła go za rękę.

- Ty także jesteś w porządku, Channing.

- Wiesz, że chcę cię wykosić na torze, Slater, lecz naprawdę mi przykro z powodu Three Aces. Nie sądzę, że mogłabym w czymś pomóc, ale...

- Zakochałaś się w nich, co?

Kelsey odsunęła z oczu kosmyk włosów, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

- W kim?

- W koniach.

Wzruszyła ramionami i szła dalej w stronę stajni.

- A gdyby nawet, to co?

- Do twarzy ci z tym, łagodnieją ci rysy. - Celowo zwolnił krok. Zależało mu na przedłużeniu tej chwili, zanim wejdą do boksu.

- Kiedy wrócisz?

Nie udawała, że go nie zrozumiała, ale wołała dać wymijającą odpowiedź.

- Byłam bardzo zajęta. Moses daje nam nieźle w kość.

- Wolisz, żebym do ciebie przyjechał?

- Nie. - Wytrącona z równowagi, obejrzała się przez ramię. Naomi i Channing byli zaledwie o kilka

kroków za nimi. - Nie - powtórzyła. - A poza tym wybrałaś niewłaściwy moment na tę rozmowę.

- Czy sądzisz, że twój brat rzuciłby mi się do gardła, gdybym cię teraz podniósł do góry i pocałował?

- Z pewnością nie. - Coraz trudniej jej było zachować powagę.

- Ale ja bym mogła.

- Nie kuś mnie, Kelsey! - Poprzestał na pocałowaniu jej w rękę.

- A więc dzisiaj wieczorem - szepnął. - Chcę cię widzieć dzisiaj wieczorem.

- Mam gościa, Gabe. Channing przyjechał z wizytą.

- Dzisiaj wieczorem - powtórzył. - Przyjdiesz do mnie albo ja do ciebie. Masz do wyboru. - Zatrzymał się przy boksie, przytrzymując jej rękę. - No, jak tam, chłopie?

Jesteś gotowy do... - Zamilkł na widok świeżej strugi krwi na czarnej derce. - Chryste Panie!

Jednym mocnym ruchem otworzył drzwi. Zdążył tylko zrobić krok, gdy natknął

się na pogruchatane ciało na ściółce.

- Nie wchodź! - Nie patrząc, zatarasował ręką wejście.

- Co mu się stało? Biedak krwawi. - Nie odrywając oczu od konia, Kelsey pchała się do przodu. By koń nie stanął dęba, Gabe chwycił go za uzdę. Kelsey weszła do boksu. Dopiero teraz dostrzegła bezkształtną postać leżącą w kałuży krwi. - O Boże! O

mój Boże, Gabe!

- Potrzyмай go! - Zaciskał jej bezsilne palce wokół uzdy.

- Co się tu dzieje? - Uderzona bladością córki Naomi rzuciła się do przodu.

Gwizdnęła przez zęby. - Wezwę karetkę. - Ścisnęła Kelsey za rękę. - Dasz sobie radę?

Dziewczyna zamrugnęła, kiwnęła głową, następnie odchrząknęła. Tak, tak.

Poradzę sobie. - Znając swoje skłonności do wymiotów, wołała jednak stać tyłem do leżącej w kącie boks postaci.

- O rany! - Channing z trudem przełknął ślinę, po czym zajął miejsce między Kelsey a Gabe'em, przykucniętym obok ciała. - Jestem tylko studentem medycyny -

powiedział opanowanym głosem i pochylił się - ale może mógłbym...

Wystarczył mu jeden rzut oka, by się zorientować, że nawet gdyby był równie zręcznym i doświadczonym chirurgiem jak jego ojciec, i tak na nic się tu już nie przyda.

Krew była wszędzie; całe kałuże krzepnącej w sianie krwi. Tryskała z dziury w tyle czaszki. Jasnobłękitna czapeczka, cała zabarwiona na czerwono, leżała na ściółce, obok ciała.

- Ten koń chyba oszalał - stwierdził posępnie Channing. - Kelsey, wyjdź stąd.

Odejdź od niego.

- Nie, trzymam go. - Łapiąc oddech, poklepała konia po szyi. - Cały się trzęsie.

Jest przerażony.

- Do diabła! Dopiero co zabił faceta!

- Nie, nie zrobił tego. - Głos Gabe'a był niski i dobitny. Delikatnie odwrócił

Micka. Spod podwiniętej do góry bluzy stajennego wyjrzała podstępnie zadana kłuta rana w brzuch. - Ale ktoś to zrobił.

Później, drżąc z zimna na ciągle mżącym deszczu, Kelsey próbowała udawać, że pije wciśniętą jej przez Channinga kawę.

- Powinnaś stąd odejść - powtórzył Channing. - Pozwól, że odwiozę cię do domu albo przynajmniej zaprowadzę do budynku klubowego.

- Nie, nic mi nie jest. Muszę poczekać. Biedny człowiek. - Spojrzała w stronę stajni. Wydała się jej teraz skromna i bezbarwna. Zabłocona i ponura. Ludzie stali w zwartych grupkach, spoglądając na siebie w oczekiwaniu. - Gabe już tak długo tam siedzi z policją.

- Da sobie radę. - Channing rozejrzał się wokół i dostrzegł Naomi siedzącą pod daszkiem na beczce. - Może byś tak podeszła do mamy. Wygląda jak widmo.

Kelsey znów spojrzała w kierunku stajni. Chciała tam być, słyszeć, o czym mówią, dowiedzieć się, co się wydarzyło.

- Znaleźliśmy go razem z Gabe'em. Czuję, że powinnam mu pomóc -

powiedziała szeptem.

- Tymczasem pomóż Naomi. Kelsey westchnęła głęboko.

- Dobrze. Masz rację. - Trudno jej było podejść i stawić czoło martwym oczom Naomi. Zrobiła to jednak. - Wypij. - Podała jej swoją nietkniętą kawę. - Lepsza byłaby brandy, ale nie mam niczego takiego pod ręką.

- Dziękuję. - Naomi wzięła kubek, zmuszając się do wypicia łyku. Ciągłe sobie powtarzała, że to nie ma z nią nic wspólnego. Policja nie zabierze jej ze sobą. - Biedny Mick.

- Znałaś go dobrze?

- Był tu od bardzo dawna. - Wypiła kolejny łyk. Nie, ten płyn nie miał w sobie owego pobudzającego ciepła brandy, ale dobre i to. - On i Boggs grywali raz w tygodniu w remika, plotkując jak stare panny. Sądzę, że Mick wiedział tyle samo o moich koniach, co o koniach Gabe'a. Był lojalny. - Westchnęła. - I łagodny. Nie znam nikogo, kto mógłby to zrobić.

Policja dojdzie do tego. - Po krótkim wahaniu Kelsey położyła rękę na ramieniu matki. - Chcesz, żebym cię zawiozła do domu?

- Nie. - Naomi przykryła dłonią rękę córki. Obie miały świadomość, że to ich pierwszy niewymuszony dotyk. - Przykro mi, Kelsey. To dla ciebie potworne doświadczenie.

- Dla nas wszystkich.

- Powinnam ci była tego oszczędzić. - Spojrzała do góry, ich oczy się spotkały. -

Ale nie jestem dobra w takich sytuacjach.

- A zatem ja będę musiała przejąć tę rolę. - Kelsey odwróciła rękę, dzięki czemu ich palce się splotły. Palce Naomi były sztywne z zimna. - Wracasz do domu -

oświadczyła stanowczo dziewczyna. - Być może policja zechce ze mną rozmawiać, więc odwiezie cię Channing.

- Nie zostawię cię tutaj samej.

- Nie jestem sama. Są Gabe i Moses. I Boggs. - Spojrzała na starego, zasmuconego człowieka, stojącego samotnie na deszczu. - Nie ma sensu, żebyś została. Jesteś rozstrojona. - Złagodziła swój ton, przysunęła się bliżej. - Nie chcę tu również Channinga. Poczuj się jak prawdziwy mężczyzna, odwożąc cię do domu.

- Zręcznie mnie podeszłaś. - Nienawidząc swojej słabości, Naomi wstała. - W

porządku, jadę. Moja obecność na miejscu zbrodni wywołałaby tylko dodatkowe spekulacje. Ale proszę cię, żebyś nie zostawała tutaj dłużej, niż trzeba.

- Obiecuję ci. Nie martw się.

Zostawszy sama, Kelsey usiadła na zwolnionej przez matkę beczce i czekała.

Nie trwało to długo. Przed stajnię wyszedł oficer w mundurze. Rozejrzał się po twarzach i zatrzymał wzrok na dziewczynie.



- Panna Byden? Kelsey Byden?

- Tak.

- Porucznik chce z panią mówić. W środku.

- W porządku. - Nie zważając na pełne domysłów spojrzenia, Kelsey ześlizgnęła się z beczki.

W stajni rutynowe czynności dobiegały końca. Miejsce wypadku oddzielono żółtą taśmą, robiono jeszcze ostatnie policyjne zdjęcia. Oczy Gabe'a zachmurzyły się na widok Kelsey.

- Powiedziałem wam, że jej obecność tutaj jest najzupełniej zbędna.

- Oboje znaleźliście ciało, panie Slater. - Porucznik Rossi wyszedł zza taśmy i skinął na Kelsey głową. Był policyjnym weteranem z dwudziestoletnim stażem, o wyrazistej, przystojnej twarzy i zimnym spojrzeniu gliny. Jego ciemne gęste włosy, którym nieliczne siwe pasma dodawały dostojności, stanowiły zaledwie jeden z elementów jego próżności. Ciało porucznika było świątynią wypełnioną witaminami, zdrowymi sokami i rygorystycznie przestrzeganą niskotłuszczową dietą, uzupełnioną odpowiednimi ćwiczeniami.

Rossi wprawdzie mógł spędzać większość czasu za biurkiem ze słuchawką przy uchu, ale przecież nie musiał porastać w tłuszcz!

Lubił swoją pracę i delectował się procedurą. I nienawidził morderstwa.

- Panno Byden, doceniam, że pani czekała.

- Chcę współpracować.

- To dobrze. Proszę po kolei opowiedzieć, co się stało tego ranka. Jest pani tutaj od świtu.

- To prawda. - Opowiedziała mu wszystko, poczynając od załadowania koni, na porannym treningu kończąc. - Przebywaliśmy w tym czasie w pobliżu toru. Mój przybrany brat jest tutaj po raz pierwszy, postanowiliśmy więc pokazać mu przygotowania koni do parady.

- O której to mogło być godzinie?

- Blisko południa. Między dziesiątą a południem działo się dużo rzeczy.

Opuściliśmy tor, podeszliśmy tutaj i spotkaliśmy Gabe'a. Stał koło stajni i rozmawiał

ze swoim trenerem.

Jej wzrok pobiegł ponad ramieniem Rossiego ku Gabe'owi i wtedy ku swemu przerażeniu zobaczyła błyszczący plastikowy worek wynoszony na noszach.

Klnąc pod nosem, Gabe dał nura pod taśmą i przesłonił sobą ten widok.

- Czy nie można by tego zrobić w bardziej stosownej chwili?

- To nic, wszystko w porządku. - Kelsey dzielnie opanowała mdłości. -

Chciałabym mieć to za sobą.

- Doceniam pani dobrą wolę. A więc udała się pani do pana Slatera.

- Tak. Rozmawialiśmy parę minut, trochę się przekomarzaliśmy - nasze konie miały wziąć udział w tej samej gonitwie. Potem poszłam z Gabe'em obejrzeć jego konia. Moja matka i brat zostali trochę w tyle...

- Pani matka?

- Tak. To właśnie jej koń miał pobiec przeciwko koniowi Gabe'a. Jest właścicielką Three Willows. Naomi Chadwick.

- Chadwick. - Porucznik słyszał, że gdzieś dzwonią, ale nie bardzo wiedział

gdzie. Odnotował tę informację pospiesznie. - Więc było was czworo?

- Tak, ale tamci dwoje szli za nami. Nie wchodzili do boksu, dopóki... my tam nie weszliśmy. Przypuszczam, że Gabe i ja zobaczyliśmy ranę na lewym boku konia jednocześnie. On wszedł pierwszy i starał się mnie zatrzymać, ale byłam tak bardzo przejęta koniem, że ruszyłam za nim do boksu. I wtedy spostrzegłam krew i ciało w rogu. Przytrzymałam łeb konia, bo zaczął stawać dęba.

Po chwili przyszli Channing i Naomi. Ona od razu pobiegła wezwać karetkę, a on wszedł do boksu, sądząc, że może będzie mógł się przydać. Myślę... przypuszczam, że najpierw wszyscy byliśmy przekonani, że to zrobił koń. Dopiero gdy Gabe odwrócił

ciało, zobaczyliśmy... - Nigdy nie zapomni tego widoku.. - Przekonaliśmy się, że to nie koń. Gabe kazał Channingowi wezwać policję.

- Kiedy pani i pan Slater weszliście do przegrody, nikt się tam nie kręcił?

- Nie. Nie widziałam nikogo. Niektórzy pracownicy przebywali oczywiście w stajni, ale było jeszcze za wcześnie na przygotowania.

- Czy znała pani ofiarę, panno Byden?

- Nie. Jestem w Three Willows dopiero od kilku tygodni.

- Nie mieszka tu pani?

- Nie, mieszkam w Marylandzie. Zamierzam tu spędzić po prostu miesiąc lub coś koło tego.

- Poproszę więc o pani stały adres. Do protokołu. - Kiedy mu go podała, Rossi wsunął notes do kieszeni. - Doceniam, że poświęciła nam pani swój czas, panno Byden. Chciałbym teraz pomówić z pani matką i bratem.

- Poprosiłam Channinga, żeby odwiózł ją do domu. Była bardzo przygnębiona.

- Zupełnie nieświadomie Kelsey usztywniła sylwetkę, rozstawiając trochę szerzej nogi i napinając ramiona. - W każdym razie oboje byli ze mną przez cały czas. Nikt z nich nie widział niczego, czego ja bym nie widziała.

- Zdziwiłaby się pani, jak bardzo się różni ludzkie postrzeganie. Dziękuję pani.

- Po rozmowie z nią zwrócił się do Gabe'a: - Z moich informacji wynika, że mężczyzna o imieniu Boggs mógł być ostatnią osobą, która widziała ofiarę żywą. Czy on także pracuje u pana?

- Pracuje w Three Willows.

- Jest na zewnątrz - poinformowała Kelsey Rossiego. - Powiem mu, żeby tu przyszedł. - Wyszła pospiesznie, by znaleźć się dalej od tych zadawanych jednostajnym, płaskim głosem pytań, od tych przenikliwych oczu. Boggs był w tym samym miejscu, gdzie go ostatni raz widziała. Stał i czekał na deszczu.

- Porucznik Rossi chce z tobą mówić. - Ujęła go za rękę, na próżno starając się ją ogrzać. - Tak mi przykro, Boggs.

- Po prostu sobie rozmawialiśmy. Tak po prostu siedzieliśmy i gadaliśmy o tym i owym. Mieliśmy umówioną na wieczór partyjkę remika. - Łzy przemieszane z deszczem spływały strumykiem po jego twarzy. - Kto mógł mu to zrobić, panno Kelsey? Kto mógł załatwić w taki sposób starego Micka?

- Nie wiem, Boggs. Chodź, odprowadzę cię. - Wsunęła rękę pod jego ramię i poprowadziła w stronę stajni.

- On nie miał rodziny, panno Kelsey. Miał siostrę, ale nie widział jej od ponad dwudziestu lat. Będę musiał się zająć jego sprawami, dopilnować, żeby został

właściwie pochowany.

- Ja się tym zajmę, Boggs. - Gabe wyszedł im naprzeciw i włączył się do rozmowy. - Powiesz mi, jak on by chciał być pochowany, a my to wszystko zorganizujemy.

Boggs przytaknął głową. To było nad wyraz słuszne.

- Miał o panu bardzo dobre zdanie, panie Slater.

- Ja również wysoko go ceniłem. Gdy tylko będziesz mógł, zajrzyj do mnie.

Zajmiemy się wszystkim.

- On by to docenił. - Boggs pochylał głowę i wszedł do środka.
- Porucznik mówi, że możesz już odejść. - Gabe ujął Kelsey za ramię i wyprowadził ją. - Odwiozę cię do domu.
- Powinnam poczekać na Boggsa. Nie może zostać sam w takiej chwili.
- Moses się nim zajmie. Chcę, żebyś już stąd odjechała, Kelsey. Oderwała się od tego miejsca.
- To nie będzie łatwe. Ta sprawa jest mi tak samo bliska jak tobie.
- Mylisz się! - Prawie ją ciągnął przez błotnistą drogę między budynkami stajennymi. - Boks jest mój. Koń jest mój. I, do jasnej cholery, Mick był mój.

- Zwolnij trochę! - Zaryła się obcasami, usiłując chwycić go za kurtkę. Raz czy dwa okazał w stajni przebłysk emocji, a teraz wszystko w nim wrzało, był bliski wybuchu. Nawet jego chłodne spojrzenie hazardzisty zrobiło się zawzięte i mordercze.

- Masz się w to nie angażować! Trzymaj się z daleka od tej sprawy.

Mogła z nim dyskutować, ale zaczekała, aż dotrą do samochodu. Wtedy po prostu odwróciła się do niego i objęła go ramionami.

- Nie rób tego - wyszeptała.

Zesztywniał, gotów jej się wyrwać i wepchnąć ją do samochodu.

- Czego?

- Nie oskarżaj siebie, Gabe.

- A kogo? - Odprężył się jednak i przytulił do niej. Przycisnął twarz do jej chłodnych, wilgotnych, kojących włosów. - Chryste, Kelsey, a kogo innego mam winić? On starał się chronić mojego konia.

- Tego nie wiesz.

- Czuję to. - Odsunął ją od siebie. Jego oczy były teraz spokojniejsze, ale na myśl, co się dzieje za ich głębokim, zimnym błękitem, Kelsey zadrżała. - I znajdę tego, kto go zabił, kimkolwiek on jest. Choćby nie wiem jak długo to trwało.

- Policja...

- Ma swoje metody. A ja mam swoje.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Śmierć nie mogła zakłócić codziennych czynności na farmie. Ani śmierć konia, ani człowieka. Świt

nadal wyznaczał początek dnia roboczego. Odbywały się gonitwy, opiekowano się końskimi nogami, pielęgnowano sierść. Choć zarówno na padoku, jak i w stajniach rozmawiano o morderstwie i o starym Micku, nie miało to jednak wpływu na tempo pracy. Nie mogło mieć.

Żreback dostał egzemy, roczna klacz nadal zrzucała jeźdźca, a trzylatek startował w swoich pierwszych wyścigach. Na żal i plotkę pozostawał czas, gdy napełniano żłoby obrokiem i studzono konie.

- Może chce pani popatrzeć, jak się mocuje rzemienie na Pridzie, teraz kiedy ostygł, panno Kelsey. - Pomimo zmęczonej twarzy i podkrążonych oczu Boggs nie zaniedbywał swoich obowiązków. Podał Kelsey lejce. - Zawsze jest szczęśliwy, kiedy pani się nim zajmuje.

W porządku, Boggs. - Położyła rękę na jego starej, zdeformowanej dłoni. - Czy mogłabym coś dla ciebie zrobić?

Co tu można zrobić, panno Kelsey? Ale to nie jest w porządku. To nie jest w porządku. - Zadumał się, odpłynął spojrzeniem, koncentrując się na własnych myślach. Nie mogła go tak zostawić.

- Nie poszedłbyś ze mną? Czuję się trochę zdenerwowana rolą stajennego przyszłego zwycięzcy derby.

Choć oboje wiedzieli, że to tylko pretekst, Boggs skinął głową i poczłapał obok niej. Znowu padało - taka sama monotonna, nieprzerwana mżawka jak poprzedniego dnia. Mimo że dochodziła już dziesiąta, mgła utrzymywała się uparcie. Chłopcy stajenni wyrzucali gnój, w stajni pachniało nawozem, sianem i błotem.

Kelsey zatrzymała się w boksie Queenie. Wręczyła Boggsowi lejce Pride'a mówiąc:

- Tylko minutkę.

Wyjęła z tylnej kieszeni marchewkę i podała ją klaczy, chowając przy tym nos w jej miękkie ucho.

- Masz, jedz, należy ci się, staruszko. Wiedziałaś, że o tobie nie zapomnę, prawda? - Klacz, ogryzając marchewkę, dziobnęła Kelsey w ramię i w odpowiedzi na pieszczoty przechyliła głowę. Pomimo obecności Boggsa Kelsey dokończyła codziennego rytuału i pocałowała Queenie w policzek.

- Wiem, wiem. Słyszałam dużo dowcipów na temat skłonności kobiet do koni. -

Ostatni raz pogłaskała klacz. - Może sama mam bzika, ale przyłapałam już niejednego stajennego przytulającego się do konia.

- Panienci dziadek kochał tę klacz. - Boggs wprowadził Pride'a do boksu, z którego Kelsey uprzednio wyrzuciła brudną nocną ściółkę i wymieniła na czystą słomę. - Każdego popołudnia przemycał dla niej kostkę cukru. Wszyscy udawaliśmy, że tego nie zauważamy.

- Jaki on był, Boggs?

- Dobry i sprawiedliwy, ale też porywczy i łatwo wpadał w gniew. - Mówiąc lustrował wzrokiem boks, sprawdzając czy Kelsey zadbała o świeżą wodę i worek siana. To należało do jego obowiązków, lecz dzielił je z nią, tak jak dzielił się trzylatkiem. - Nie tolerował lenistwa, o nie, ale za dobrą pracę płacił dobrze i w terminie. Pamiętam, że potrafił przesiedzieć całą noc przy chorym koniu, a także wyłączyć z miejsca faceta za schrzanią robotę.

Kelsey ukucnęła, przesuując rękami wzdłuż nóg Pride'a; sprawdzała czy nie ma jakiś obrzęków lub skaleczeń. Boggs uprał już owijacze i rozwiesił je za pomocą klamerek, które miał przypięte do nogawki spodni.

- Wygląda na to, że był trudny we współpracy. - Kelsey z zadowoleniem wytarła słomą pozostałą po deszczu wilgoć z sierści Pride'a.

- Ale nie dla tych, którzy wykonywali dokładnie to, co do nich należało. - Boggs przyglądał się jej, gdy wyjmowała z przybornika Pride'a elegancką szczotkę. - Ma pani lekką rękę, panno Kelsey - powiedział po chwili.

- Odnoszę wrażenie, jakbym robiła to przez całe życie. - Gdy koń się wiercił i próbował rzucić, uspokajała go szeptem i poklepywaniem. Pride, jak każdy arystokrata, był z natury wrażliwy i nerwowy. - Wydaje się dziś niespokojny.

- Nie ma się co dziwić. Jest bystry. Duchem już się znajduje przy bramie startowej.

Kelsey usuwała błoto z końskiego grzbietu, brzucha i z pęcín.

- Podobno wczoraj dobrze pobiegł. - Odłożyła szczotkę na bok i wyjęła szpikulec do usuwania kamieni. - Po wczorajszej tragedii rozważania na temat wyścigów i czasów wydają się okrutne.

- Takie jest życie.

- Przyjaźniliście się przez długie lata.

- Około czterdziestu lat. - Boggs wyjął puszkę i wziął z niej szczyptę tytoniu. -

Kiedy tutaj przyszedłem, on był już starym wyjadaczem.

- Nigdy nie straciłam nikogo bliskiego. - Pomyślała o Naomi, ale przecież trzyletnie dziecko inaczej odbiera smutek. - Nie potrafię się w pełni wczuć w to, co przeżywasz, ale gdybyś chciał wziąć krótki urlop, Naomi na pewno nie miałyby nic przeciwko temu.

- Wolałbym pozostać na miejscu. Ten policjant ostro się zabrał do roboty.

Znajdzie tego, który to zrobił Mickowi.

Kelsey zmoczyła gąbkę i przemyła koniowi oczy. Cieszył ją sposób, w jaki Pride jej się poddawał; powoli zawiązywało się między nimi zaufanie i porozumienie.

- Porucznik Rossi jakoś nie przypadł mi do gustu. Nie wiem dlaczego.

- Jest w nim coś zimnego. Ale zimnokrwisty umie myśleć, a myślenie doprowadzi go krok po kroku do celu.

Kelsey odłożyła gąbkę i wzięła zgrzebło. Przypomniała sobie ogień w oczach Gabe'a. Dopatrzyła się w nim potrzeby zemsty. Zbyt dobrze rozumiała to uczucie.

- Czy już wystarczy, Boggs?

- Myślę, że tak.

- A więc tutaj jesteś. - W drzwiach boksu pojawił się Channing. Obserwował ją przez chwilę jej pewne ręce, wyraźnie zarysowane mięśnie ramion. - Wyglądasz, jakbyś wiedziała, co robisz.

- Bo wiem. - Fakt ten niezmiennie ją cieszył. - Nie widziałam cię na śniadaniu.

- Zaspałem. - Jego szeroki uśmiech był bardziej czarujący niż zakłopotany. -

Mój wewnętrzny zegar nie jest przyzwyczajony do budzenia o piątej rano. Posłuchaj, Matt wpadł tu po drodze. Zamierzam z nim odbyć kilka wizyt w okolicy. Po stajniach!

- Baw się dobrze. Ociągał się.

- Dobrze się czujesz?

- Oczywiście, że dobrze.

- Wrócę za parę godzin. Aha, Moses czeka na ciebie przy lonży.

- Poganiacz niewolników - mruknęła. - Najpierw skończę tutaj. Nie miała czasu na rozmyślanie. Założenie pełnej uprzęży zabierało doświadczonemu stajennemu godzinę. Ona robiła to około kwadransa dłużej. Następnie odbywało się południowe karmienie: owies, otręby, orzechy laskowe - wszystko to trzeba było wymieszać, rozważyć i odmierzyć, dodać łyżkę stołową soli, witaminy i elektrolity. A ponieważ Pride był grymaśnym i wymagającym „stołownikiem”, Kelsey dodawała mu jeszcze dla osłody melasę. Później przynosiła mu jabłko. Nie po to, żeby go rozpieszczać.

Moses wyjaśnił jej, że koniom potrzebne są soczyste owoce i jarzyny. Pride wolał jabłka niż marchewkę. Bardzo też smakowała mu tarta owocowa.

- No, teraz masz już, co trzeba - powiedziała półgłosem, kiedy zabrał się do południowego posiłku. - I musisz to wszystko zjeść, rozumiesz?

Patrząc na nią, chrupał swoje jedzenie.

- Czeka cię dużo biegania. Myślę, że zależy ci na zwycięstwie i czapraku w czerwone róże.

Prychnął. Kelsey uznała to za koński odpowiednik wzruszenia ramionami.

Zachichotała, obdzielając go ostatnimi już pieszczotami.

- Nie oszukasz mnie, chłopie. Chcesz tego, tak samo jak my wszyscy.

Rozprostowując ramiona, opuściła stajnię, by stawić czoło następnym obowiązkom.

Nie podejrzewała Mosesa o jakiegokolwiek sadystyczne skłonności, gdy przez cały ranek nie dawał jej chwili wytchnienia. Mimo to około trzeciej bolały ją mięśnie, była cała ubłocona, a jej organizm coraz wyraźniej domagał się pokarmu.

Oskrobała dokładnie buty i weszła do domu przez kuchnię, kierując się wprost do lodówki. Wydała cichy okrzyk radości na widok półmiska z pieczonym kurczakiem.

Gdy do kuchni wkroczyła Gertie, Kelsey miała usta pełne kurzej nóżki.

Panno Kelsey! - Zgorszona widokiem swojej malutkiej dziewczynki opartej brudnymi dżinsami o blat stołu, Gertie rzuciła się do kredensu po talerz. - Kto to widział tak jeść!

- Nie jem, tylko pracuję - powiedziała Kelsey z pełnymi ustami. - To jest pyszne. Najlepszy kurczak, jaki mi się trafił w życiu. - Przełknęła. - To już drugi kawałek.

- Usiądź przy stole. Przygotuję ci normalny lunch.

- Nie, nie, po co! - Czasami dobre maniery nie pasują do pewnych sytuacji. -

Jestem zbyt brudna, by gdziekolwiek usiąść, i zbyt głodna, by najpierw się umyć.

Gertie, mam za sobą trzy kursy gotowania, łącznie z Cordon [Bleu\\*](#), ale nigdy nie udało mi się przyrządzić równie świetnego kurczaka.

Czerwieniąc się z radości, Gertie machnęła ręką.

- Na pewno byś potrafiła. To przepis mojej mamy. Nauczę cię któregoś dnia.

Świetnie. Mogłabyś zapędzić Pułkownika w kozi róg. - Widząc zdumioną twarz Gertie, dodała ze śmiechem: - Chodzi o Kentucky Fried. Gertie, ułożę poemat na cześć twojej kurzej nóżki.

\*\*Cordon Bleu (fr.) - mistrz kuchni (przyp. tłum.).

- Daj spokój. Naigrawasz się ze mnie. - Teraz czerwona jak burak Gertie nalala Kelsey szklanek mleka. - Zupełnie jak ten twój brat. Pomyślałby kto, że chłopak nigdy nie jadł w domu gotowanych posiłków!

- Widzę, że cię czarował i brał na litość!



- Lubię, jak ktoś ma zdrowy apetyt.

- O, pod tym względem nie mogłabyś na niego narzekać! - Podobnie jak i na mnie, pomyślała Kelsey, rozważając, czy nie zjeść jeszcze jednego kawałka. - Gdzie jest Naomi?

- Musiała wyjechać.

- Mmmm. - A więc są tylko we dwie. Może to odpowiednia pora, by zadać Gertie kilka pytań. - Zastanawiałam się nad tamtą nocą, Gertie. Wiesz, Alec Bradley...

Twarz kobiety spoważniała.

- To już przeszłość.

- Nie było cię wtedy w domu - delikatnie podchodziła ją Kelsey.

- Nie. - Gertie złapała ścierkę i zaczęła wycierać nieskazitelnie czystą kuchenkę.

- I przeklinałam siebie za to każdego dnia. Poszłyśmy z mamą do kina i zjadaliśmy pizzę, kiedy panna Naomi była sama z tym człowiekiem.

- Nie lubiłaś go.

Hmm. - Pociągnęła nosem i powiesiła ściereczkę na kuchence. - Był taki gładki.

Taki gładki, że nawet gdybyś go na czymś przyłapała, wyślizgnąłby się. Naomi nie powinna była zadawać się z takim typem jak on.

- Jak sądzisz... dlaczego utrzymywała z nim stosunki?

- No cóż, miała swoje powody. Jest uparta z natury. Myślę też, że chciała zrobić na złość twojemu dziadkowi. A poza tym była w marnym nastroju po stracie konia.

Przewrócił się podczas gonitwy i trzeba go było zastrzelić. Ciężko to przeżyła. W tym właśnie czasie zaczęła się widywać z tym człowiekiem.

Pogarda Gertie zdawała się totalna. Unikała, świadomie unikała nazywania Aleca Bradleya po imieniu.

- Był przystojny, ale uroda jest tylko urodą, niczym więcej. Powiem ci natomiast, panienko Kelsey, czym jest zbrodnia. Zbrodnią było wsadzenie tej słodkiej dziewczyny do więzienia za zrobienie tego, co musiała zrobić.

- Działała we własnej obronie.

- Tak oświadczyła, więc tak było - odparła matowym głosem Gertie. - Panna Naomi nie skłamałaby. Gdybym była wtedy w domu albo gdyby był twój dziadek, nigdy by do tego nie doszło. Ten człowiek

nie dotknąłby jej nawet palcem. A ona nie potrzebowałaby rewolweru.

Gertie westchnęła. Zabrała się do czyszczenia zlewu.

- Zawsze się denerwowałam z powodu tego rewolweru w jej szufladzie. Ale cieszę się, że miała go tamtej nocy. Ten człowiek nie miał prawa zniewalać kobiety.

Nie miał prawa.

- Nie. Absolutnie nie miał prawa - zgodziła się Kelsey.

- Ona ciągle ma go przy sobie.

- Co? - Kelsey poczuła się nieswojo i odłożyła na bok na wpół ogryzioną nóżkę kurczaka. - Naomi ma nadal rewolwer na górze?

- Nie ten sam, przypuszczam. Ale jakiś ma. Chyba należał do jej ojca. Według prawa nie wolno jej posiadać broni, a mimo to ona ją trzyma. To podobne do panny Naomi. I po co jej to? Tylko przypomina o tamtej sprawie! Ale ona twierdzi, że są sprawy, o których nie wolno zapomnieć.

- Myślę, że ma rację - przyznała z namysłem Kelsey. Nie była tylko pewna, czy ta świadomość nie spędzi jej snu z powiek.

- Może nie powinnam się wtrącać, ale i tak zamierzałam to powiedzieć. - Gertie pociągnęła nosem, po czym wyjęła chusteczkę i wytarła go.

- Byłaś jej słońcem i księżycem, panno Kelsey. Twój powrót, jakikolwiek jest, wynagradza jej wszystko. Nie wraca się do tego, co przepadło, nie odwróci tego, co się stało, ale stare rany można jeszcze uleczyć. I ty to właśnie robisz.

Czy to prawda? - zastanowiła się Kelsey. Sama nie była jeszcze pewna własnych motywacji, własnych odczuć.

- To szczęście, że ma ciebie, Gertie - rzekła cichutko. - To szczęście, że ktoś myśli o niej stale i jest jej wierny. - A chcąc osuszyć łzy z oczu Gertie, dodała lżejszym już tonem: - I wielkie szczęście mieć kogoś, kto potrafi tak gotować jak ty.

- Och, daj spokój! - Gertie machnęła ręką i faktycznie otarła łzy. - Zwyczajne, proste jedzenie, to wszystko. A ty nie skończyłaś jeszcze ostatniego kawałka. Musisz jeść, żeby набrać trochę ciała.

Kelsey potrząsnęła głową w momencie, gdy rozległa się melodyjka - dzwonek przy frontowych drzwiach.

- Nie, Gertie. Ja otworzę drzwi. W przeciwnym razie zjem wszystko, razem z półmiskiem.

Wzięła ze sobą mleko i popijała je łąpczywie po drodze. Mijając lustro, zrobiła wielkie oczy na widok swoich zakurzonych policzków i potarganych włosów wysuwających się spod przekrzywionej

na bakier czapeczki. Podwinęła rękawy zabłoconej treningowej bluzy, licząc w duchu, że gość okaże się koniarzem.

Ale gdzie tam!

Babcia! - zawołała zdumiona Kelsey. Posmutniała, gdy Milicent, krzywiąc się, mierzyła ją krytycznym wzrokiem. - Co za niespodzianka!

- Na miłość boską, coś ty robiła?

- Pracowałam. - Na zewnątrz stał nieskazitelnie czysty lincoln, ze stoicko spokojnym szoferem za kierownicą. - Wybrałaś się na przejażdżkę?

- Przyjechałam, żeby z tobą porozmawiać. - Niosąc sztywno wyprostowaną głowę, Milicent przekroczyła próg domu z takim samym niezachwianym dostojeństwem, z jakim, w mniemaniu Kelsey, Francuzi zbliżali się do gilotyny. -

Uznałam, że sprawa jest zbyt poważna, by poruszać ją przez telefon. Wierz mi, że niełatwo jest mi wchodzić do tego domu, nie mówiąc już o wątpliwej przyjemności.

- Wierzę ci. Wejdz, proszę, i usiądź. - Jak to dobrze, że Naomi nie ma w domu, pomyślała. Widać łaskawy los im sprzyjał. - Czy mogę cię czymś poczęstować? Kawą, herbatą?

- Nie przyjmę niczego w tym domu. - Milicent usiadła. Na jej wykrochmalonym płóciennym kostiumie nie pojawiła się ani jedna zmarszczka. Odmówiła sobie ciekawości obejrzenia pokoju, skoncentrowała natomiast swoją uwagę na wnuczce. -

To w taki sposób spędzasz czas? Jesteś brudna jak wyrobnik na plantacji.

- Dopiero weszłam. A poza tym może zauważyłaś, że pada.

- Nie mów do mnie tym tonem. To niewybaczalne, Kelsey, że marnujesz swoje zdolności i osiągnięcia. Co gorsza, że odgrywając to przedstawienie doprowadzasz rodzinę do rozpacz.

- Babciu, przerabialiśmy już to wszystko. - Kelsey odstawiła mleko na bok i podeszła do kominka, by podsycić ogień. Czy to z powodu deszczu, czy tej wizyty, w pokoju zrobiło się nagle zimno. - W pełni zdaję sobie sprawę z twoich odczuć, znam twoją opinię. Nie mogę jednak uwierzyć, że pofatygowałaś się tu po to, żeby mi zrobić powtórkę.

- Ty i ja rzadko kiedy odnosiłyśmy się z życzliwością do naszych wzajemnych pragnień i oczekiwań, Kelsey.

- Tak - Zamyślona Kelsey odłożyła pogrzebacz i odwróciła się. - To prawda.

- Ale tym razem jestem pewna, że zgodzisz się ze mną. Dziś rano twoje nazwisko znalazło się w prasie. Twoje nazwisko, w związku z morderstwem na torze wyścigowym!

Wiadomości szybko kursują, zadumała się Kelsey. Była już w stajni, kiedy dostarczono poranną prasę.

Nie wiedziałam. W przeciwnym razie z pewnością zadzwoniłabym do tatusia, żeby go uspokoić. Byłam tam akurat, babciu. Zabito stajennego z sąsiedniej farmy.

Moja rola w dochodzeniu jest zupełnie przypadkowa.

- Problem polega na tym, że się tam w ogóle znalazłaś, Kelsey. Na torze wyścigowym, w towarzystwie pewnego gatunku ludzi, których to przyciąga!

Kelsey pochyliła głowę.

- Mnie to także przyciąga.

Nie bądź dziecinna. - Milicent ściągnęła wargi. - Spodziewam się czegoś więcej po tobie. Spodziewam się po tobie, że pomyślisz o rodzinie.

Co ma wspólnego ten nieszczęśliwy zabity człowiek z rodziną?

- Twoje nazwisko zostało powiązane z Naomi. A jej nazwisko, wplątane w to morderstwo, przypomina o starych skandalach. Nie muszę chyba wyluszczać tego wszystkiego osobie o twojej inteligencji, Kelsey. Czy chcesz, żeby twój ojciec cierpiał z tego powodu?

- Oczywiście, że nie! Ale dlaczego miałby cierpieć? Dlaczego? Babciu, popełniono brutalne morderstwo na starym człowieku. Przez czysty przypadek ja go znalazłam. Musiałam, rzecz jasna, złożyć zeznanie, lecz na tym sprawa się kończy.

Nawet go nie znałam. A jeśli chodzi o tatusia, jest wolny od wszelkich podejrzeń.

- Plamy z krwi zawsze pozostawiają jakieś podejrzenia. Ten świat, Kelsey, nie jest nasz. Uprzedzono cię, czego się możesz spodziewać, wśród jakich ludzi będziesz się obracać. A teraz stało się najgorsze. Twój ojciec ma za miękkie serce, by zająć zdecydowane stanowisko, więc ja muszę to za niego zrobić. Nalegam, żebyś się spakowała i wróciła ze mną do domu.

- Jak niewiele się zmieniło. - W drzwiach stała Naomi. Była blada jak ściana.

Jej ciemnoszary kostium podkreślał jeszcze delikatną kruchość jej budowy. Ale kruchość może być zwodnicza. Kiedy postąpiła naprzód, była tak elegancka i silna jak jedna z jej utytułowanych klaczy. - Zdaje mi się, że słyszałam już identyczne zdanie wypowiedziane niegdyś przez ciebie do Philipa.

Twarz Milicent przybrała sztywny i surowy wyraz.

- Przyjechałam, żeby porozmawiać z moją wnuczką. Nie życzę sobie rozmawiać z tobą.

- Teraz jesteś w moim domu, Milicent. - Naomi odłożyła torebkę i z niezmaconym spokojem zasiadła na krześle. - Oczywiście masz prawo rozmawiać z Kelsey, o czym zechcesz, ale nie przepędzisz

mnie. Tamte czasy są już za nami.

- Widzę, że więzienie niewiele cię nauczyło.

- O, nawet nie potrafiłabyś zrozumieć, ile mnie nauczyło. - Była teraz opanowana, nie okazywała emocji. Podobało jej się to. Nigdy nie wiedziała, jak zareaguje, kiedy znowu stanie twarzą w twarz z Milicent.

Jesteś taka sama jak zawsze. Wyrachowana, przebiegła, pozbawiona zasad i skrupułów. A teraz chcesz wykorzystać córkę Philipa, aby zaspokoić swoje ambicje.

- Kelsey jest dorosłą, odpowiedzialną kobietą. Nie znasz jej dobrze, skoro uważasz, że można ją wykorzystać dla swoich celów.

- Co to, to nie! - Kelsey stanęła pomiędzy nimi; nie zamierzała zatrzymywać rozlewającego się tutaj jadu, ale musiała wyrazić własną opinię. - I niech żadna z was nie wypowiada się w moim imieniu. Nie jestem pionkiem w niczym ręku.

Przyjechałam tutaj, bo chciałam, i zostanę, dopóki nie postanowię stąd wyjechać. Nie możesz mi rozkazać, żebym się spakowała, babciu, tak jakbym była dzieckiem albo służącą.

Twarz Milicent poczerwieniała.

- Mogę wymagać od ciebie, żebyś zrobiła to, co jest dobre dla rodziny.

- Możesz mnie poprosić, żebym przemyślała, co jest dobre. I tak zrobię.

- Wywierasz na nią nacisk. - Milicent wstała. Przeszła Naomi wzrokiem. -

Grasz na sentymentach i sympatii, żeby ją przyciągnąć do siebie. Czy opowiadałaś jej, Naomi, o mężczyznach, pijaństwach, kompletnym lekceważeniu własnego małżeństwa, męża i dziecka? Czy powiedziałaś jej, że zamierzałaś zniszczyć człowieka, zniszczyć mojego syna, i w rezultacie zrujnowałaś samą siebie?

- Dość tego! - Kelsey zrobiła krok do tyłu, prawie nie zdając sobie sprawy, że w ten sposób znalazła się w tym samym rogu pokoju co Naomi. - Bez względu na pytania, jakie chciałabym zadać, bez względu na odpowiedzi, jakie usłyszę, nie wtrącaj się, babciu. Dokonam własnego osądu.

Milicent z trudem łapała powietrze. Serce jej biło niebezpiecznie szybko. Ona także dokona własnego osądu.

- Jeżeli tu zostaniesz, zmusisz mnie do poczynienia pewnych kroków. Nie będę miała wyboru: będę musiała zmienić testament i użyć wpływu, by cofnięto ci fundusz dziadka.

Kelsey zrobiło się smutno.

- Och, babciu, czy naprawdę uważasz, że pieniądze mają dla mnie aż takie znaczenie? Czyżbyś tak

mało mnie znała?

- Zastanów się nad konsekwencjami, Kelsey. - Milicent złapała torebkę, przekonana, że groźba szybko przywoła dziewczynę do porządku.

- Hej, Kels, nigdy nie zgadniesz, co ja... - Channing stanął przed Milicent w niemal komicznej pozie na baczność. - Babcia!

Wściekła Milicent zwróciła się w stronę Naomi.

- A więc i jego zwabiłaś? Najpierw córkę Philipa, teraz zaś chłopca, którego traktuje jak własnego syna!

- Babciu, ja właśnie...

- Spokój! - warknęła na niego Milicent. - Już raz zapłaciłaś, Naomi. I przysięgam na Boga, że zapłacisz po raz drugi.

Gdy się wyniosła, Channing oparł ręce na biodrach.

- No, no, niezła scenka.

- I jedna z bardziej malowniczych. - Wyczerpana Kelsey potarła rękoma twarz.

- Channing, czy zadzwoniłeś do Candace i powiedziałeś jej, że jesteś tutaj?

- Zadzwoniłem. - Włożył ręce do kieszeni, po czym znowu je wyjął. -

Powiedziałem jej po prostu, że mam się dobrze i że się zainstalowałem, ale nie wspomniałem, gdzie. Uznałem, że lepiej unikać komplikacji. - Odetchnął, widząc wpatrzony w niego wzrok Kelsey. - Chyba jednak ją powiadomię, zanim zrobi się całkiem gorąco.

Kiedy poczłapał na górę, Kelsey pokiwała głową.

Channing ma skłonność do pomijania najistotniejszych fragmentów informacji. - Odwróciła się do matki. - Chcesz się napić?

Naomi wysiliła się na uśmiech. Próbując się odprężyć, oparła plecy na poduszce.

- Czemu nie? Odrobina whiskey powinna trochę zneutralizować działanie jadu.

- No to się napijmy. - Kelsey podeszła do baru i naląła. - Przykro mi z tego powodu.

- Mnie też, Kelsey. Może pieniądze nie są dla ciebie ważne, ale to jest twoje dziedzictwo. Nie chcę, żebyś je przeze mnie straciła.

Odruchowo Kelsey dotknęła jednego z kryształowych koni Naomi i przejechała palcem wzdłuż

nacięcia biegnącego od kłębu do ogona.

- Nie wiem, czy ona może zablokować mój fundusz. A jeśli tak, to trudno.

Prawdę mówiąc, w minimalnym stopniu korzystałam z procentów. Nie jestem rozrzutna. - Wzruszyła ramionami i podała Naomi szklankę. - Nie zależy mi wprawdzie jakoś szczególnie na tym, by stracić te pieniądze, ale niech mnie kule biją, jeśli uda jej się zaszantażować mnie jednym złamanym centem. Zdrowie! - Stuknęła się z matką szklanką.

- Zdrowie! - Potrząsając głową, Naomi zaśmiała się. Zamknęła oczy i odprężyła się. - Chryste, co za dzień!

Przez ostatnie dwie godziny wspólnie ze swoimi adwokatami zastanawiała się, jak najlepiej pogodzić swoje życzenia z ostatnią wolą ojca, wyrażoną przed śmiercią.

Pomyślała, że gdyby Milicent zrealizowała swoją groźbę, będzie musiała dokonać dalszych korektur. Otworzyła oczy, wypila pierwszy łyk.

Byłam z ciebie cholernie dumna, gdy okazałaś swoją niezależność.

- Samo jakoś tak wyszło. Kiedy zobaczyłam cię w drzwiach, pomyślałam: Jezu, ona jest jak porażona prądem, zamurowana.

- Ona zawsze tak na mnie działała. Zresztą nie wszystko, co mówiła, było pozbawione sensu. Popełniłam błędy, Kelsey, bardzo poważne błędy.

Kelsey obracała szklankę w ręce.

- Czy kochałaś tatę, kiedy za niego wychodziłaś?

- O tak, tak. - Oczy Naomi zrobiły się łagodne i rozmarzone. - Był taki nieśmiały i elegancki. I taki sexy.

Kelsey omal nie udławiła się ze śmiechu.

- Tatuś? Seksowny?

- Te tweedowe marynarki, to marzycielskie spojrzenie, ten spokojny, cierpliwy głos recytujący Byrona, ta nieskończona dobroć. Uwielbiałam go.

- A kiedy przestałaś?

- To nie było tak, Kelsey. - Naomi odstawiła swoją na wpół dokończoną szklaneczkę. - Nie byłam taka cierpliwa ani taka dobra. A nasze marzenia całkowicie się różniły. Kiedy zaczęło się psuć, nie okazałam się na tyle dojrzała, by pójść na kompromis. By ulec. To był jeden z moich błędów. Myślałam, że potrafię zatrzymać Philipa, udowadniając mu, że go nie potrzebuję. To ja stworzyłam dystans, odsunęłam się od niego. I straciłam go. Straciłam Philipa, straciłam ciebie, straciłam

wolność.

Bardzo wysoka cena za dumę.

Skrzywiła się, gdy znowu zabrzączał dzwonek u drzwi.

- Wygląda na to, że dzień się jeszcze nie skończył.

- Załatwię to. - Po raz drugi tego popołudnia pojawił się nieproszony gość. -

Porucznik Rossi.

- Panno Byden, przepraszam, że niepokoję, ale mam kilka uzupełniających pytań do pani i pani matki.

Jesteśmy w salonie. Czy sprawa posuwa się naprzód, poruczniku? - zapytała Kelsey, wskazując mu drogę.

- Prowadzimy dochodzenie.

Jego wprawne oko dostrzegło zarówno powściągliwy komfort pomieszczenia, jak i dwie szklanki whiskey, a także do połowy pustą szklankę mleka. Naomi wstała na powitanie. Jako mężczyzna docenił jej wdzięk. Jako glina podziwiał jej opanowanie.

- Porucznik Rossi. - Zdrętwiała, wyciągnęła do niego rękę. - Nie zechciałby pan usiąść? Może kawy?

- Dziękuję za propozycję, panno Chadwick, ale wyczerpałem już moją dzisiejszą normę. Mam tylko kilka dodatkowych pytań.

- Bardzo proszę. - Zawsze mieli tylko kilka dodatkowych pytań. Usiadła ponownie, prostując kręgosłup. - W czym mogę pomóc?

- Czy dobrze znała pani ofiarę?

Znałam Micka. - Odpowiadaj krótkimi zdaniami, przypomniała sobie Naomi.

Nie mów niczego zbędnego.

- Przez ostatnie pięć lat pracował w Longshot.

- Zgadza się.

- Zatrudniał go także poprzedni właściciel, Cunningham?

- Z przerwami.

- Z przerwami - podjął Rossi. - To znaczy wtedy, gdy został zwolniony, jakieś siedem lat temu.

- O ile dobrze pamiętam, Bill Cunningham pozwolił mu odejść, ponieważ uważał, że Gordon jest za



stary. Wówczas mój trener zaproponował Mickowi posadę tutaj, ale on postanowił opuścić te strony.

- Z moich informacji wynika, że przez dwa lata pracował na torach wyścigowych Florydy.

- Chyba tak.

- Czy miał wrogów?

- Mick? - Pytanie było tak absurdalne, że na moment Naomi straciła opanowanie. - Wszyscy go kochali. Był tutaj instytucją, swego rodzaju pomnikiem tego wszystkiego, co w wyścigach najlepsze. Ciężko pracował, trzeźwo myślał, był

wielkoduszny. Nie miał wrogów.

- Ale ktoś go zabił. - Rossi odczekał chwilę, zafascynowany sposobem, w jaki Naomi zebrała się w sobie. - Mick Gordon zajmował się koniem, który został

okaleczony - o ile mi wiadomo, u zwierzęcia odkryto powierzchowną ranę w lewej pachwinie, długą na około trzydzieści centymetrów. - Wziął swój notes, niby to sprawdzając fakty. - Wstępne oględziny wykazały, że ranę zadano tym samym narzędziem, którego użyto przeciwko ofierze.

- Z pewnością ktoś chciał okaleczyć konia, a Mick próbował go powstrzymać -

wtrąciła Kelsey. - Moses mówił mi, że koń jest bardzo zrównoważony. Nigdy nie stratowałby Micka, gdyby nie został okaleczony albo przestraszony.

- To możliwe. - Rossi musiał poczekać na raport autopsji, by zyskać pewność, czy Mick Gordon został zabity nożem, czy przez konia. Morderstwo albo usiłowanie morderstwa, tak czy owak zamierzał zamknąć tę sprawę. - Koń pana Slatera miał

współzawodniczyć tego dnia z pani koniem, panno Chadwick.

- Tak, i współzawodniczyłby, gdyby ktoś nie postanowił go okaleczyć.

- I pani koń wygrał, prawda? Patrzyli sobie prosto w oczy.

- O szyję, jak tutaj mówimy. Płacili trzy do pięciu.

- Pani i pan Slater współzawodniczyli ze sobą od dawna. Zwłaszcza w ostatnich latach toczy się walka między tymi dwoma końmi.

- Koń pana Slatera wielokrotnie zajmował pierwsze miejsce. Double or Nothing to wspaniały koń. Czempion. Podobnie jak mój Virginia's Pride. Idealnie do siebie pasują.

- Osobiście niewiele wiem o wyścigach konnych. - Rossi uśmiechnął się dobrotliwie. - Ale z pozycji amatora wydaje się - przesunął swoją rozpląszczoną dłoń do przodu i tyłu - że na tej nierównej walce skorzystała pani.

- To jest nieuzasadnione oskarżenie, poruczniku. - W odruchu solidarności Kelsey położyła rękę na ramieniu matki. - Absolutnie nieuzasadnione.

- To nie jest oskarżenie, panno Byden. To spostrzeżenie... Konie bywają czasami umyślnie okaleczane, oszołamiane narkotykami, a nawet zabijane, by dać szansę innym, prawda, panno Chadwick?

- Pozbawione skrupułów, zbrodnicze zachowania spotykamy na każdym kroku.

- Naomi walczyła, by opanować drżenie. Oczy gliny potrafią wypatrzyć nawet najdrobniejszy przejaw strachu... - Koniarze uważają jednak, że takie praktyki zdarzają się częściej w świecie show biznesu niż na torze wyścigowym.

- Three Willows nie musi się uciekać do podobnych chwytów! - rzuciła rozwścieczona Kelsey. - Poza tym powiedziałam panu, że mama była ze mną przez cały ranek. Dziesiątki osób widziały nas razem.

- To prawda - potwierdził Rossi. - Jednakże jako weteranka światowych torów wyścigowych zapewne zgodzi się pani ze mną, panno Chadwick, że właściciel lub trener, zainteresowany w zwiększeniu swoich szans, chcąc okaleczyć konia, raczej wynajmie kogoś do takiej roboty, niż sam zdecyduje się narażać na niebezpieczeństwo?

- Tak.

- Nie powinien pan zadawać podobnych pytań! - obruszyła się Kelsey.

- Jestem pewien, że pani mama jest świadoma swoich praw - odparł chłodno Rossi. - I zna procedurę dochodzenia w sprawie morderstwa.

- Doskonale znam i jedno, i drugie, poruczniku. I równie dobrze wiem, że te prawa nie zawsze chronią niewinnego. - Pogardliwie wydeła wargi. - A w każdym razie nie półniewinnego. Chciałabym zwrócić pańską uwagę na fakt, że mój koń nie był

jedynym faworytem tej gonitwy i że od pięćdziesięciu lat istnienia farmy Three Willows ani razu nie byliśmy zamieszani w jakiegokolwiek naruszenie prawa. Ale jestem przekonana, że pan o tym wie. Podobnie jak pan wie, że na byłego skazanego zawsze pada cień podejrzania. Czy chciałby pan coś jeszcze ode mnie usłyszeć?

- Chwilowo dziękuję. - Piekielna kobieta, pomyślał, odkładając na bok notes.

Postanowił wygospodarować trochę czasu i bliżej zapoznać się z jej kartoteką. -

Szanuję czas. Aha, panno Byden. Powiedziała pani, że spotkała wczoraj pana Slatera przed stajnią, zanim oboje weszliście do środka, by obejrzeć konia.

- Tak, rozmawiał ze swoim trenerem.

- Dziękuję pani. Rzucę jeszcze na to okiem.

- To oburzające! - wybuchnęła Kelsey, gdy zamknęły się za nią drzwi. - Jak możesz tak siedzieć i nie reagować? Przecież on oskarża cię o wynajęcie mordercy!

Spodziewałam się tego. I nie on jeden rozpatruje taką ewentualność. W końcu już raz udowodniono mi winę.

- Jak to możliwe, że jesteś aż tak opanowana, do cholery!

- Wcale nie jestem. To tylko pozory. Nauczyłam się udawać. - Znużona, podniosła się z fotela. Potrzebne były jej: spokój, aspiryna i ucieczka w sen. Ale zatrzymała się; skorzystała z okazji, by ująć twarz Kelsey w dłonie. - Nie myślisz chyba, że mogłam w tym maczać palce?

- Nie - odparła bez wahania Kelsey.

- A więc pomyliłam się - powiedziała półgłosem Naomi. - To prawdziwa ulga.

Przejdź się konno, Kelsey. Wyrzuć z siebie trochę złości.

Ruszyła na przejażdżkę, ale wściekłość jej nie opuszczała. Skierowała się do Longshot w dwojakim celu. Oddała lejce stajennemu i pomaszerowała wprost do domu.

Była zanadto wzburzona i zaaferowana, by zapukać do frontowych drzwi.

Weszła od strony basenu, przenosząc się z wiosny w pełnię lata, następnie przebiegła kilka stopni schodów i znalazła się w przytulnym, bezpretensjonalnie urządzonym pokoju.

Nie знаła rozkładu wnętrza i pomyślała, że kręcąc się tak po domu, narusza cudzą prywatność. Po krótkiej wewnętrznej walce dobre wychowanie wzięło górę -

zawróciła i skierowała się w stronę korytarza. Chciała dojść do drzwi frontowych, wyjść na zewnątrz i zapukać. Chyba że przedtem natknie się na Gabe'a.

Głos, który najpierw usłyszała, nie był jego głosem. To mówił Boggs. Jego chropowaty tembr dochodził przez otwarte drzwi.

- On nie chciałby żadnego uroczystego ceremoniału, panie Slater. Żadnych kwiatów ani całej tej muzyki organowej. Kiedyś, gdy tak sobie siedzieliśmy, powiedział, że najlepiej by było, gdyby jego zwłoki zostały spalone, a prochy rozrzucone na tutejszym torze treningowym. Tak. Żeby na zawsze pozostał częścią tego miejsca. Trochę to dziwne, jak sądzę.

- Jeżeli tego chciał, to tak zrobimy.

- Chyba tak. Odłożyłem trochę pieniędzy. Nie mam pojęcia, jakie są koszty, ale...

- Pozwól, że ja to zrobię dla niego, Boggs - przerwał mu Gabe. - Gdyby nie Mick, może by mnie tutaj

nie było. Pozwól mi się tym zająć.

- Ja wiem, że nie chodzi o pieniądze, panie Slater. Może nie powinienem tego mówić, ale on był naprawdę z pana dumny. Powiedział, że poznał się na panu, kiedy pierwszy raz zobaczył, z jakim zapalem podchodzi pan do wyścigów. Będzie mi go brakowało.

- Mnie też.

- Lepiej już sobie pójdę. - Boggs ruszył do drzwi i zaczerwienił się lekko na widok Kelsey. - Panienska - rzekł półgłosem, nasunął czapkę i pośpiesznie wyszedł.

Wsunęła głowę, chcąc przeprosić za karygodne, choć niezamierzone podsłuchiwanie rozmowy.

Gabe siedział przy pięknym starym biurku, na tle sklepionego w łuk okna, przez które wpadało łagodne światło słoneczne. Każdą wolną przestrzeń, gdzie nie było okien, wypełniały książki. Była to oszałamiająca dwupoziomowa biblioteka obejmująca głównie literaturę dla mężczyzn.

Jej właściciel ukrył twarz w dłoniach.

Zamiast zakłopotania poczuła współczucie. Zbliżyła się, wyszeptała jego imię.

Objęła go, zanim uniósł głowę.

- Nie wiedziałam, że był ci tak bliski. Tak mi przykro. Tak bardzo przykro.

Od lat nie był pogrążony w smutku. Od śmierci matki. Zapomniał już, jak bardzo może to boleć.

- Był dla mnie dobry. Miałem może czternaście lat, kiedy po raz pierwszy złapał mnie jak szczeniaka za kark. Zainteresował się mną - nie wiem dlaczego - i powiedział Jamiemu, żeby mnie zatrudnił. I pilnował, żebym się uczył. Rany boskie, Kelsey, miał siedemdziesiąt lat i powinien był umrzeć we własnym łóżku.

- Wiem. - Odsunęła się. - Gabe, Rossi dopiero co od nas wyszedł.

- Ruchliwy facet. - Gabe przeciągnął dłońmi po zmierzwionych włosach. -

Niecałą godzinę temu był u mnie.

- Czuję, że wpadł na pomysł, że Naomi może być w to zamieszana. -

Koniuszkiem języka zwilżyła wargi. - Czy i ty tak sądzisz?

- Nie, podobnie zresztą jak ty. Rossi ma wiele pomysłów. Wykombinował

nawet, że sam to wszystko zaplanowałem. - Odczekał chwilę. - Double jest bardzo wysoko

ubezpieczony.

- Prędeż byś własną nogę przestrzelił. - Westchnęła. - To kolejny powód, dla którego tu jestem. Kiedy mnie wypytywał, odniosłam wrażenie, że krąży mu po głowie jakaś myśl. Chyba przyszłam cię ostrzec.

- Doceniam to. - Poruszył ramionami, jakby chcąc zrzucić z nich ciężar. Jego uwagę całkowicie pochłonęła Kelsey - brudna, w roboczym ubraniu i z wyrazem współczucia w oczach. - Dobrze wyglądasz, kochanie.

- Taak, błoto jest twarzowe.

- Na tobie. - Wziął jej rękę i zaczął bawić się palcami. - Dlaczego nie usiądziesz na chwilę na moich kolanach?

Rozbawiona, przechyliła głowę.

- To podstęp czy żart, Slater?

W odpowiedzi przyciągnął ją do siebie i zaczął kołysać jak dziecko, gdy próbowała się wyrwać.

- Taaak. - Wdychał zapach jej włosów. Pachniały deszczem i wiosną. - To jest właśnie to, czego potrzebuję, Kelsey. Siedź spokojnie. Nie wrywaj się, tak będzie lepiej. Uwierz mi.

- Nie mam zwyczaju siedzieć na kolanach.

- Pora, żebyś się nauczyła. - Posunął się dalej: skubnął zębami płatek jej ucha, z radością odnotowując, że lekko zadrżała. - Czy przyjechałaś tylko po to, żeby porozmawiać o Rossim?

- Wyłącznie. Westchnął ciężko.

W porządku. Ale znajdę sposób, żeby cię nauczyć dotrzymywać mi kroku.

Zaczynam cierpieć.

- Myślałam, że jesteś twardszy. - Oparła głowę w zagłębieniu jego ramienia. To było aż nadto przyjemne, aż nadto kuszące. - Nie uprawiam gier.

- Bardzo szkoda. Zwykle wygrywam.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Na pewno nie chcesz opaski na oczy? - Kelsey objęła Channinga w pasie. - A może ostatniego papierosa? Poprawił na nosie przeciwsłoneczne okulary w czerwonej oprawce.

- Dobrze ci żartować, Kels.

- Kiedy naprawdę czuję się tak, jakbym cię wysyłała samego przed pluton egzekucyjny.

- Z mamą sobie poradzę. - Wziął kask z tylnego siedzenia swojego harleya. - Z

profesorem też nie będzie problemu.

- A babcia? Krzywiąc się nałożył kask.

- Hmm, od lat odpieram jej ataki. Tak długo, jak długo mój błyskotliwy umysł

pozwała mi utrzymywać się w czołówce klasy, nie zrobią mi krzywdy.

- Niezawodna tarcza w postaci średniej cztery! - Kelsey sama się nią posługiwała. - A co z latem?

- Mama będzie musiała pogodzić się z faktem, że w moim życiu istnieje coś oprócz książek.

- Mój brat! - Uśmiechając się szeroko, postukała palcami w jego kask. -

Robotnik fizyczny.

- Właśnie Naomi zaproponowała mi pracę na lato.

- Tutaj?

- Channing Osborne, chłopak stajenny. Podoba mi się to. Lubię Naomi. -

Zręcznie wsiadł na motocykl. - Wiesz, zatrzymałem się tutaj, żeby sprawdzić, jak ci tu jest. Przyjechałem już z jej gotowym obrazem - kobiety o zawziętej twarzy, żyjącej ostro, bez hamulców, ze szklanką wódki w jednej ręce i magnum w drugiej.

Zaszczepionym przez Wspaniałą Milicent - sucho skomentowała Kelsey.

- Nie zabrakło też paru szpileczek dorzuconych przez mamę. One obie tworzą wspólny front. Są przeciwne twojemu tutaj pobytowi, podobnie jak kiedyś były za twoim małżeństwem z Maleństwem Wade'em.

Spojrzał za siebie na dom, który prezentował się prześlicznie, z zieleniejącymi na jego tle wierzbami, z wykluwającymi się jak z wielkanocnych malowanek żółtymi żonkilami oraz niebieskimi i różowymi hiacyntami.

- Naomi ani rusz nie pasuje do ich obrazu, prawda?

- Raczej nie - przyznała półgłosem Kelsey. - Cieszę się, że przyjechałeś, Channing. Cieszę się, że ją poznałeś.

- Wiesz? To moja najbardziej udana przerwa semestralna! - Pochylił się, by ją pocałować na do widzenia. - I wrócę tutaj. Do zobaczenia za parę miesięcy.

- Nie wiem.. - Chciała mu powiedzieć, że nie może mu zagwarantować, że jeszcze tu będzie, ale on już kopnął rozrusznik. Z uniesioną na pożegnanie ręką oddalał się z warkotem z podjazdu.

Zamyślona wróciła do domu. Czy zamierza tu zostać? - zapytywała samą siebie.

Miesiąc, o który prosiła Naomi, dobiegał końca, ale jeszcze żadna z nich nie wspominała o powrocie.

A co ją czeka w Marylandzie, w jej wychuchanym mieszkaniu w Bethesda?

Pogoń za pracą, samotne posiłki i dorywcze lunchy z przyjaciółką, która wyrażałaby współczucie z powodu rozwodu, po czym, mimochodem, napomknęła o starym, równie samotnym, kumplu kolegi z pracy.

Nic bardziej deprymującego!

Tutaj miała pracę i świat, który już pokochała; styl życia, który odpowiadał jej naturze; ludzi, którzy ją akceptowali za to, co potrafi zrobić.

Był też Gabe.

Nie mogła jeszcze mieć pewności, co z tego wyniknie, ale niewykluczone, że byłoby jej trudniej, a może nawet ciężko, gdyby stąd wyjechała.

Uczciwość nakazywała przyznać, że Gabe ją fascynuje. Jego nastroje - raz trudne do rozszyfrowania, to znów bardziej czytelne niż tłusty nagłówek w prasie, jego poczucie humoru, niewymuszony wdzięk i równie niewymuszona arogancja.

Wzruszał ją na wiele sposobów. Pamiętała jego smutek, kiedy zegnał starego Micka, stojąc uroczyście w łagodnym świetle wschodzącego słońca, podczas gdy Boggs objeżdżał powoli tor treningowy i rozsypywał prochy starego człowieka. Pamiętała, jak trzymał ją za rękę, ufając, że rozumie powagę rytuału.

Tego rodzaju lojalności ani miłości nie można się nauczyć.

Jednocześnie Gabe potrafił być ostry, bezwzględny. Uprawiał hazard, który przyniósł mu sporą fortunę. Nawet jednak to było w nim intrygujące - podobnie jak wrodzona brawura, która sprawiła, że zrównał z ziemią dom innego człowieka i na tym samym miejscu wybudował własny.

W grę także wchodził oczywiście nagi, zwierzęcy pociąg, jakiego nigdy nie czuła do żadnego mężczyzny. Nawet do męża.

- Kelsey? - Naomi stanęła na progu schodów. Dziewczyna wygląda tak poważnie, pomyślała sobie. - Brak ci już Channinga?

- Nie, zastanawiałam się nad... - powoli umilkła i zdmuchnęła z oczu rozwichrzone przez wiatr włosy. - Nad niczym szczególnym. - Porządkując myśli, patrzyła na matkę. Szczupłą, silną,

pozbieraną w sobie. - To miło, że mu zaproponowałaś pracę na wiosnę.

- Nie tak znowu miło. Silne plecy, ochocze ręce, a poza tym jego obecność sprawia mi przyjemność.

- Podejrzewam, że chciałby zostać weterynarzem.

- Tak mi powiedział.

- Powiedział ci? - Tłumiąc śmiech, Kelsey potrząsnęła głową. - Mnie nigdy o tym nie wspomniał. Ani razu. Zawsze myślałam, że pilno mu zostać chirurgiem, jak jego ojciec.

- Czasami łatwiej rozmawiać o skrytych pragnieniach z kimś dalszym. On cię kocha. Uwielbia. Podziwia. Niewykluczone, że nie chce cię rozczarować.

Wcale by mnie nie rozczarował. - Jej oddech stał się podejrzanie szybki. -

Candace od lat powtarza, że Channing będzie kontynuatorem tradycji Osborne'ów.

Zdawało mi się, że i on tego pragnie. Dlaczego ludzie próbują wtlaczać swoje dzieci w jakieś ramki?

- Honor rodziny. Koszmarne obciążenie.

Kelsey otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Honor rodziny. Czy nie z tego powodu poślubiła Wade'a? Tyle razy wmawiano jej, jaki jest dla niej doskonały, aż im uwierzyła. Dobra rodzina, świetne perspektywy, wysoka pozycja społeczna. W końcu to był jej obowiązek - dobrze wyjść za mąż, odpowiednio wyjść za mąż!

Boże, czy w ogóle go kochała?

- A kiedy nie możesz temu sprostać - odezwała się - uważają to za najgorszy rodzaj nieudacznictwa, wręcz wykołajenie. Nie chciałabym tego dla Channinga.

- Zrobi, co uzna za najwłaściwsze dla siebie. Tak jak ty zrobiłaś. - . W końcu.

- O końcu będziesz mogła mówić w moim wieku, Kelsey... - Naomi nie była jednak zupełnie pewna słuszności wypowiedzianego zdania. Przypadek, pomyślała, byłby tu lepszym określeniem. - Jadę do Hialeah. Chcę zobaczyć Virginia's Pride'a na torze. Chcę także być blisko niego po tym, co się stało w Charles Town.

- O! - A więc to nie jest jej ostatni tydzień. - To ma sens. Kiedy wyruszasz?

- Rano. Pomyślałam, że może zechcesz ze mną pojechać.

- Na Florydę?

- No cóż, wiosenny sezon jeszcze się nie zaczął, ale może będzie na co popatrzeć.



Chętnie bym popatrzyła - odpowiedziała Kelsey równie powściągliwie jak Naomi.

- Świetnie. A teraz: czy czujesz się na siłach, by resztę dnia spędzić poza domem?

Kelsey uniosła brwi. Przez ponad trzy tygodnie Naomi nie spędziła poza domem więcej niż godzinę.

- Gdzie?

- Jak to? - Śmiech Naomi był krótki, radosny i młody. - Jedziemy po zakupy!

To żadna przyjemność wybierać się w podróż, jeżeli nie możesz z mety zaimponować paroma nowymi ciuchami.

- Wezmę tylko torebkę! - zawołała Kelsey z promiennym uśmiechem.

W obskurnym hotelowym pokoju w bok od szosy numer piętnaście Lipsky przełknął łyk ciepłego dżinu Gilbey. Wysiadła maszyna z lodem, znajdująca się kilka kroków od jego pokoju. Było mu jednak wszystko jedno. Ciepły czy zimny dżin działa podobnie.

- Prędzej czy później zaczną się za mną rozglądać.

- Może masz rację. Pokpiłeś sprawę. - Puch poprawił szeroki węzeł krawata. -

Liczy się precyzja, przyjacielu.

- Miałem się właśnie zająć koniem. - Wolną ręką Lipsky sięgnął po papieros, tłący się w taniej szklanej, pełnej petów popielniczce. - Na tyle, żeby nie mógł pobiec, to wszystko.

- Nikt cię o to nie prosił - przypomniał mu Rich, szczerząc zęby w zdawkowym uśmiechu. - Miałeś mieć otwarte uszy i oczy na wszystko, co się dzieje, zapomniałeś?

Tylko uszy i oczy, dopóki nie zdecydowałem, co dalej.

Nie wkurwiłeś się, kiedy załatwiłem tamtego konia. - Zaczerwienione oczy Lipsky'ego zapłonęły złością. - Dorzuciłeś nawet kolejną stówkę.

- Ustaliliśmy, Fred, żebyś nie ryzykował bez potrzeby. Ale - rozłożył ramiona -

to już mamy za sobą. Faworyt Gabe'a nie będzie osiodłany przez tydzień lub dłużej. -

To idealnie pasowało do mistrzowskiego planu - okaleczone konie, a nawet morderstwo. Takie wydarzenia pobudzały do plotek, podniecały prasę. W

wielkopańskim geście Rich sięgnął do kieszeni. Nosił w niej przynoszący mu szczęście klips na pieniądze - znalezioną w Houston dużą srebrną replikę dolara. Nic go tak nie cieszyło jak ten pękający od forsy spinacz.

Zwykle wypełniał go drobniakami, wpinając na wierzch pięćdziesiątkę, a nawet, gdy los mu sprzyjał, i setkę. Teraz spinacz naprawdę aż pękał, tyle w nim było setek. Rich wysupłał jedną z nich i położył na stole.

Lipsky wpatrywał się w banknot z mieszaniną łakomstwa i gniewu.

- Nie chciałem zrobić krzywdy staremu Pawiowi. Nikt by mnie nie kupił, żebym zabił starego Micka.

- Nieszczęśliwy wypadek. - W odruchu współczucia Puch poklepał go po ramieniu.

Lipsky przełknął trochę dżinu.

- Nigdy nikogo nie zabiłem. No, może paru porznąłem, kiedy na to zasłużyli, ale nigdy nie zamordowałem. - Wciąż miał przed oczami twarz Micka - malujące się na niej szok i ból, i jego spojrzenie, zanim koń stanął dęba i go powalił.

Widział zbierającą się w kałużę krew... I niebieską firmową czapeczkę Micka, nasiąkającą czerwienią... Chwytał butelkę i nalał kolejną porcję.

- Nie powinien był wsadzać w to nosa.

- Doskonałe uzasadnienie. - Rich też nalał sobie szklaneczkę. Nie znosił widoku samotnie pijącego człowieka, nawet tak zbuntowanego osobnika, jakim był Lipsky.

Ale swoje papierosy i zapalniczkę ze swoimi wygrawerowanymi inicjałami trzymał od niego z daleka. - Teraz trzeba się zastanowić nad kolejnym ruchem.

- Gliny skojarzą i zaczną mnie szukać. Wiele osób widziało mnie tego dnia na torze, przy stajniach.

- Kręciłeś się, żeby coś załapać - odpowiedział mu Rich. - A to jest najzupełniej dozwolone. Twoja twarz nie jest obca na torze, Fred. W przeciwnym razie strażnicy nie pozwoliliby ci wejść na teren stajni.

- Taa, wcześniej czy później ktoś sobie przypomni, że tam byłem. A potem się zorientują, że nie wyszedłem. - Strząsnął kilkakrotnie papierosa, rozsypując popiół i niedopałki na rozklekotany stół. - I wreszcie przypomną sobie, że noszę nóż.

- Twoja zdolność dedukcji jest godna podziwu. Moja rada - uciekaj, zaszyj się na Florydzie, w Kalifornii, w Kentucky, może w Meksyku. Na południowym wybrzeżu też mają tory wyścigowe.

Ani myślę przenosić się do obcego kraju. Jestem Amerykaninem.

- Aha, patriotyzm. - Rich wznosił toast szklanką dżinu. - Jesteś zaradnym facetem. W przeciwnym razie nie umieściłbym cię na liście wypłat. Ale biorąc pod uwagę okoliczności, obawiam się, że będziemy musieli rozluźnić nasze stosunki.

- To będzie kosztowało więcej niż stówę.

Uśmiech Richa się nie zmienił, ale jego oczy stały się lodowate.

- Słuchaj, Fred, chyba nie przyłożysz mi spluwy do pleców? Zdesperowany Lipsky poczuł, jak pot spływa mu po krzyżu.

- Nie mogę wziąć całej odpowiedzialności na siebie. A żeby zwać, muszę mieć forszę. Kurwa, Rich, pracowałem dla ciebie. Masz w tym swój udział.

- Tak to widzisz?

- Widzę, że potrzebne jest mi dziesięć tysięcy. Żeby się ukryć i trzymać język za zębami na twój temat, gdybym przypadkiem niezbyt dobrze się schował. To raczej nie jest zbyt wygórowana cena, co, Rich?

Slater westchnął. Obawiał się, że może dojść do takiej sytuacji.

- Rozumiem twój punkt widzenia, Fred. Naprawdę rozumiem. Posłuchaj, pozwól, że zadzwonię i zorientuję się, co się da zrobić. - Uwiarygodnił swój uśmiech kolejnym klepieniem Lipsky'ego po ramieniu. - Pozwolisz, że odbędę tę rozmowę na osobności, hmm?

- No jasne, w porządku. I tak idę się odlać. - Wstał i chwiejnym krokiem pomaszzerował do łazienki.

Rich nie podniósł słuchawki. Zamiast tego wyjął z wewnętrznej kieszeni palta małą fiolkę. To naprawdę wstyd, ale nie mógł sobie pozwolić na sprawdzanie, czy Lipsky blefuje, czy nie. Nawet jeżeli mu zapłaci, istnieje poważne ryzyko, że facet wyśpiewa wszystko, gdy złapią go gliny. A złapią, pomyślał Rich, wlewając płyn do dzinu Lipsky'ego.

- Chodź już, Fred. Zajmiemy się wszystkim. - Gdy Lipsky wrócił, Slater powitał go rozpromienionym uśmiechem. - Jutro będę miał forszę.

Ulga i kolejny dzin sprawiły, że Lipsky opadł na fotel.

- Nie wciskasz mi kitu, Rich?

- Hej, wracamy z dalekiej drogi, nie? Tacy wędrowcy jak my muszą dbać o siebie nawzajem. - Uniósł szklanke. - No to za starą przyjaźń.

- Taa. - Płacząc z wdzięczności, Lipsky podniósł szklanke do ust. - Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

- Taak. - Uśmiech Pucha zeszywniał, gdy patrzył, jak Lipsky dosłownie zapija się na śmierć. - Możesz na mnie liczyć, Fred.

Drzewa palmowe i pasiaste markizy, cudowne słońce i bugenwille. Panowie w białych garniturach i panie w letnich sukniach. Całe otoczenie dodawało splendoru torowi wyścigowemu. Ale Hialeah Park był ciągle jeszcze pochłonięty gonitwami.

Konie w stajni wyginały szyje, harcowały, stawały dęba, wciągały powietrze, parskały niczym lekkoatleci przygotowujący się psychicznie do walki. Scenki i odgłosy w dużej mierze przypominały atmosferę z Charles Town; tak jak i tam sprzedawcy głośno oferowali „Biuletyn Wyścigów”, arbitrzy wahali się jeszcze, którym koniom przysługuje handicap. A sama pogoda - największa chluba tych okolic - jak magnes ściągnęła bogaty i różnorodny tłum ludzi z wiosennego chłodu Wirginii Zachodniej.

Rozbawiona Kelsey obserwowała kobietę, która - z trudem trzymając równowagę na długich i cienkich jak sople lodu obcasach - prowadziła wzdłuż ringu klacz. W uszach damulki pobłyskiwały zwisające do ramion kolczyki z kryształu górskiego.

- I niech ktoś się ośmieli nazwać konia głupim zwierzęciem.

- Co masz na myśli? - Kelsey spojrzała na Gabe'a.

- Co widzisz, patrząc na tę twarz?

- Jej twarz czy klaczy?

- Klaczy.

Kelsey obejrzała się na idącą ciężko, ze spuszczonego łbem, klacz w towarzystwie rozszczebiotanej kobiety.

- Zażenowanie.

- Właśnie. To ostatni nabytek Cunninghama.

- Koń czy kobieta?

- Oboje.

Kelsey się roześmiała. Uświadomiła sobie, jak bardzo się cieszy, że tu przyjechała. Może to nagły wybuch wiosny, a może zwykła przyjemność odnalezienia się w charakterze cząstki mocno związanej ze sobą grupy ludzi? Po prostu była zadowolona.

- Słyszałam, że tutaj będziesz, ale nie widziałam cię na rannym treningu.

- Jestem dopiero od godziny - odpowiedział Gabe. - Co sądzisz o Miami?

- No cóż, niektórzy stajenni narzekali dziś rano, że nie mogli spać z powodu strzelaniny w pobliżu ich kwatery, ale ja odbyłam wczoraj wycieczkę wzdłuż brzegu oceanu i olśniło mnie, że chyba wydorostałam; nie miałam najmniejszej ochoty przypinać wrotek. Tutaj natomiast - odetchnęła głęboko - jest cudownie. To piękny park.

- Tutaj liczy się tylko jedno. Graczy na wyścigach niewiele obchodzi zewnętrzny świat.

- Nie posunęłabym się aż do tak radykalnego stwierdzenia.

- Bo nie jesteś prawdziwym graczem. - Obejrzał ją od stóp do głów. - W każdym razie jeszcze nie.

Skrzywiła się, niepewna, czy potraktować tę uwagę jako komplement, czy obelga. Ostatecznie dała sobie z tym spokój. Przeniosła wzrok na konia powracającego po przegraniu pierwszej gonitwy. Wiedziała, że zwycięzcy będą musieli przejść przez tak zwany spit box, w którym ich ślina i mocz zostaną poddane próbie dopingowej.

Ale teraz myślała o przegranych. Poczowała lekki ból w sercu, widząc, jak powłóczą nogami, jakie są spocone i brudne. Pomyślała, że skoro oprowadzana publicznie przez wysztafirowaną lalkę Barbie klacz może się czuć zażenowana, to jakie katusze cierpią konie, które przegrały.

- Smutne to, prawda? - szepnęła do Gabe'a. - Wracają niczym wojownicy po przegranej bitwie. Najpierw ten cały blichtr, a już po kilku minutach koniec.

- Ale jakie to są piekielne minuty! Szkoda, że nie miałaś okazji oglądać Derby Florydy. Tam jest dopiero przedstawienie! Pokazy akrobatyczne, wyścigi wielbłądów...

- Wielbłądów? Naprawdę?

- Ale nigdy nie stawiaj na wielbłąda!

Przeszli obok budynków z uprzężą. Zbliżała się pora drugiej gonitwy, a Pride biegł w trzeciej. Kelsey chciała zobaczyć się z Reno, zanim Moses podsadzi go na konia. Życzenie mu powodzenia przed wyprowadzeniem zwierzęcia z padoku uznała przesadnie za swój osobisty obowiązek.

- Nie idziesz do okienka? - zapytał ją Gabe.

- Nie. Wybrałam już konie. Pride w trzeciej, a Three Aces w piątej gonitwie. -

Zatrzymała się, by kupić ciepłąwą pepsi od sędziwego czarnego mężczyzny. - Mam teraz własny system.

Gabe przyjął puszkę, wypił łyk i oddał ją Kelsey.

- Na czym on polega?

- Na sentymencie. Po prostu stawiam moje serce.

- Masz wiele do stracenia.

- Hazard nie jest zabawny bez ryzyka. - Wzruszyła ramionami.

- Słusznie, u licha. Podejdz tutaj. - Znajdowali się w pobliżu przegrody, w której siodłano Pride'a. Panował tu ogromny ruch.

- Przestań, Slater. - Ale on chwycił ją już za związane w koński ogon włosy, wsunięte pod czapeczkę.

- Właśnie mam zamiar cię pocałować. Oboje ryzykujemy. Zanim poczuła pustkę w głowie, zdawało jej się, że słyszy pogwizdującego z uciechy któregoś ze stajennych. Zastanawiała się, czy ten pierwszy, ten jedyny oszałamiający pocałunek jest uśmiechem losu, zbiegiem okoliczności, jednorazową wyprawą?

Chyba nie.

Było coś w jego ustach. Otworzyła się na nie ochoczo - na ich smak, dotyk, ciepło. Poruszały się po jej wargach zręcznie i perfidnie powoli, tak jakby smakowanie miało trwać wiecznie. Pomrukując z zadowolenia, Kelsey zanurzyła ręce w jego włosach i trzymała je tak aż do chwili, gdy dźwięki z toru przeobraziły się w jedną wielką wrzawę.

Chcę. To było wszystko, o czym Gabe mógł myśleć. Prawie całe życie czegoś chciał - najpierw przyzwoitego jedzenia, czystego łóżka, najzwyczajszego, wolnego od strachu życia. Potem, kiedy dorósł, jego chęci urosły wraz z nim. Chciał kobiet i władzy, i pieniędzy potrzebnych do zrealizowania obu tych pragnień.

Ale nigdy jeszcze nie pożył niczego ani nikogo tak bardzo jak teraz. Jedna kobieta. Jedna noc. Dałby wszystko, co ma, za tę jedną szansę.

- Jak długo jeszcze? - szepnął do jej ust.

- Nie wiem. - Z trudem chwyciła powietrze. - Nie znam cię.

- Oczywiście, że znasz.

- Kilka miesięcy temu nie wiedziałam o twoim istnieniu. - Odsunęła się, zdziwiona, że nogi nie ugięły się pod nią. - Ja nie jestem... - Poprawiła kaszkiet trzęsącą się ręką. Usłyszała za sobą pomruk uznania. - Musimy o tym porozmawiać.

Później. Bez publiczności.

- Dobrze. - Musnął palcem jej podbródek. - A jednak coś osiągnąłem. Chodzą już słuchy, że jesteś bliska kapitulacji.

- Że jestem... - Zagryzła wargi. - A więc to było po to? Takie swoiste odebranie przez macho należnej mu nagrody?

- Nie. To było dla mnie, kochanie. Ale podziałało. Rozejrzyj się wkoło.

Kopnęła puszkę po pepsi, którą wypuściła, gdy ją całował.

Idiota - mruknęła. Próbując zachować resztki godności, odwróciła się i o mało nie wpadła na matkę.

- To dziwne - zaczęła Naomi, a Kelsey tymczasem mełła pod nosem jakieś słowa. - Tak sobie patrzę,

wybacz mi analogię, ale zawsze miałam podobne uczucie, kiedy przyglądałam się któremuś z moich koni prowadzonemu na tor. To tak jakby obserwować własne dziecko wsiadające do autobusu szkolnego albo deklamujące wiersz w przedstawieniu szkolnym. Nagle uświadamiasz sobie, że nie jest już ono twoim dzieckiem i że bardzo wiele o nim jeszcze nie wiesz.

- On to zrobił, żeby mi dokuczyć. Naomi się uśmiechnęła.

- Och, nie sądzę. - Zaryzykowała i dotknęła policzka Kelsey. - Zakłopotana?

- Tak.

Ale też i nie przygotowana na rozmowę o tym.

- Czy chcesz, żebym porozmawiała z Gabe'em? Nie będzie zachwycony, na tyle mnie jednak lubi, że nie weźmie mi tego za złe.

- Nie, poradzę sobie. - Rozejrzała się wokół. Nadal oglądało się za nią sporo roześmianych twarzy. - Czy to nie nasza gonitwa? - syknęła. - Nie płacą wam chyba za wytrzeszczanie oczu?

Gdy Kelsey długim, energicznym krokiem maszerowała w kierunku przegrody Pride'a, Naomi mimochodem uśmiechnęła się do siebie.

Na torze Pride biegł jak marzenie. Wystartował niczym burza, z ogniem w oczach i Renem w siodle. Na pierwszym okrążeniu walczył o pozycję, a potem nie dał

już nikomu szansy. Wyprzedzał najbliższego rywala o trzy długości.

- Wygląda na konia bogatego człowieka - usłyszała Kelsey czyjś komentarz z tyłu.

Tak, pomyślała, zgadza się. Ale to nie ma nic wspólnego z pieniędzmi.

Na czas piątej gonitwy Gabe dołączył do niej w tak naturalny i opanowany sposób, jak gdyby łączył ich wspólnie przed chwilą zjedzony sandwicz, a nie gorący pocałunek na oczach tłumu.

- Reno bardzo ładnie pojechał.

Stanowią z Pride'em zgraną parę. - Kelsey rzuciła mu spojrzenie. - Najlepszą na tym torze.

- Jeszcze zobaczymy - odparł Gabe półgłosem. - Popatrz na Big Shebę Cunninghama. Powiedz, co widzisz.

Marszcząc czoło, Kelsey przyjrzała się koniom prowadzonym do bramy startowej. Ciemnogniada klacz była krnąbrna, nerwowa. Z rozmysłem i złośliwie kopnęła stajennego, przewracając go na ziemię.

- Jest podniecona Nic w tym niezwykłego. - Kelsey przeniosła wzrok na Three Aces. On także dawał się we znaki swoim opiekunom. - Twój trzylatek też jest ożywiony.

- Obserwuj uważnie.

Odezwał się dzwonek startowy. Konie ruszyły. Klacz Cunninghama wyszła na prowadzenie; spod jej długich, wyciągniętych nóg pryskało błoto. Kelsey zmrużyła oczy za lornetką. Po pierwszym okrążeniu Big Sheba była bardzo zgrzana.

- Jest szybka. Dlaczego on ją tak forsuje? - Skrzywiła się, widząc, jak dżokej popędza konia szybkimi, częstymi uderzeniami bata.

- Robi, co mu kazano.

Na półmetku Big Sheba zaczęła słabnąć. Ułamek sekundy wystarczył, by doszły ją pozostałe konie. Kelsey była bliska płaczu. Walecznej Big Shebie brakowało oddechu. A ludzie zadawali jej ból.

Na przeciwległej prostej była o pół długości za koniem Gabe'a, po chwili już o całą długość. Jej mężne serce sprawiło, że utrzymała na celowniku drugą pozycję o pół

pyska.

- To karygodne! - zawołała rozwścieczona Kelsey, odwracając się do Gabe'a. -

Istnieją chyba jakieś przepisy?!

- Jest ich dużo. Ale żaden nie zabrania poganiać konia poza granice jego wytrzymałości. Chodzą słuchy, że Big Sheba ma kłopoty z płucami. Dlatego ten idiota kazał dżokejowi wycisnąć z niej wszystkie siły. Tak bardzo chce mieć te pieprzone derby, że gotów jest zajeździć ją na śmierć.

- Myślałam, że to po prostu idiota.

- Owszem, idiota, ale ambitny. Za wszelką cenę pragnie zdobyć swój pierwszy klejnot.

- Wszyscy pragniemy.

- Taak. Różnica polega tylko na tym, jak daleko się posunąć, by go zdobyć.

Pozostawił ją, by dołączyć do zwycięzców. Kelsey wróciła na tor, który nagle stracił wiele ze swej wspaniałości.

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

Jack Moser prowadził porządny interes. Być może niektórzy jego klienci wynajmowali pokoje na godziny, ale jego to nie obchodziło. Uważał, że to, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami jego pokoju, może się równie dobrze dziać u Ritza. Tyle że za większe pieniądze.

Nie było u niego robactwa, nie tolerował żadnych niemoralnych ekscesów po północy, ponosił także dodatkowe koszty, by jego goście mogli korzystać z telewizji kablowej.



Dwadzieścia dziewięć dolarów od głowy za pojedynczy pokój to nie był zły interes.

By zapewnić gościom komfort, Jack wyposażył pokoje w maleńkie mydełka Ivory a także niewielkie, rozmiaru gumowej wycieraczki pod prysznic, ręczniki, dla ich wygody ustalił też z sąsiednią restauracją, że posiłki będą wydawane od szóstej rano do dziesiątej wieczór.

Może i wsuwał czasami drobną gotówkę pod ladę i nie zawsze domagał się okazania dowodu tożsamości, ale na tym polegał jego interes.

Pościel była czysta, łazienki zdezynfekowane, a każde drzwi zaopatrzone w dobry, solidny zamek.

Najbardziej Jack lubił lato, kiedy udające się na północ lub południe rodziny spostrzegały jego migocący szyld anonsujący wolne pokoje. Przeważnie podróżni po prostu wysypywali się ze swoich leciwych już kombi i od razu kładli się spać. Moser nie musiał się martwić, że zachlapią piwem ściany czy podrą pościel.

Od dwunastu lat przyglądał się przyjeżdżającym i odjeżdżającym ludziom i uważał, że wie o nich to i owo. Wiedział, kiedy para wynajmowała pokój, by zdradzić współmałżonka, kiedy kobieta ukrywała się przed facetem, który równie dobrze mógł

chcieć podbić jej oko, jak i tylko na nią popatrzeć. Rozróżniał utracjuszy, obieżyświatów i uciekinierów.

Gościa z pokoju dwadzieścia dwa zaliczył do kategorii uciekinierów.

Nie moja sprawa, powiedział sobie Jack, podając mu klucz. Facet zapłacił

gotówką za trzy noce z góry. No i co, że czuć było od niego na kilometr strachem i oglądał się przez ramię, jakby oczekiwał, że ktoś wsadzi mu nóż w plecy?

Zapłacił swoich osiemdziesiąt siedem dolców plus taksa i nie wychylił dotąd nosa z pokoju.

To był już problem. Trzecia doba hotelowa pokoju dwadzieścia dwa dobiegała końca, a z relacji chudej jak patyk Dottie, gospodyni, wynikało, że drzwi są nadal zamknięte na klucz i wciąż wisi na nich plakietka z napisem „Nie przeszkadzać”. I to od trzech dni.

No cóż, będę musiał wkroczyć do akcji, pomyślał Jack, idąc przez parking w stronę rzędu identycznych szarych drzwi i ocienionych okien. Facet musi albo zapłacić za kolejną dobę, albo zabierać swój tyłek.

Jack Moser nie udzielał kredytu.

Najpierw zapukał ostro, zdecydowanie. Nikt oprócz niego nie znał tej sekretnej przyjemności, jaką było popędzanie śmiertelnie znużonego.

Właściciel! - rzucił krótko. Dostrzegł głowę Dottie, wychylającą się z numeru dwadzieścia siedem, przed którym stał wózek z przyborami do sprzątanania.

- Pewnie zapił się na śmierć! - zawołała. Jack westchnął i naprężył ramiona.

- Rób, co do ciebie należy, Dottie, a ja się tym zajmę. - Ponownie zastukał, nie zauważając miny, jaką zrobiła. - Właściciel! - powtórzył, po czym wsunął klucz do zamka.

Pierwsze, co go uderzyło, to zapach. Musiał zatkać nos. Najpierw pomyślał, że facet zamówił na kolację coś, co mu gwałtownie zaszkodziło. A zaraz potem, że trzeba będzie cholernie mocnego lizolu, żeby zlikwidować ten smród.

Więcej już nie myślał. Zobaczył bowiem coś siedzącego przy małym, porysowanym stole z opadającą głową, wytrzeszczonymi oczami i opuchniętym ciałem. Ktokolwiek zameldował się w dwudziestce dwójce, w ciągu trzech dni uległ tak straszliwemu przeobrażeniu, jakiego Jack nigdy nie widział nawet w nadawanych późną nocą horrorach.

Potoczył się do tyłu, porażony zastanym widokiem i odorem. Z gardła wyrwał

mu się zduszony krzyk. Zwymiotował na buty, ale nie zważając na to, uciekał, byle dalej od tego miejsca. Biegł jeszcze, gdy rozległ się przeraźliwy wrzask Dottie, która zajrzała do pokoju dwadzieścia dwa.

Ciało zostało już włożone do worka, kiedy do motelu podjechał Rossi. Znalazł

się tutaj dzięki swemu uporowi i odrobinie szczęścia. Nie nadstawiał uszu na każdą wiadomość o podejrzanym czy nieoczekiwanej śmierci docierającą z wydziału zabójstw.

Ale nazwisko Freda Lipsky'ego było mu znajome. To było nazwisko z jego listy; jedyne, którego nie udało mu się sprawdzić.

Teraz, wydawało się, nadarza się okazja.

Lekarz sądowy, doktor Agnes Lorenzo, właśnie się pakowała. Rossi skinął

głową tej niedużej, atletycznej kobiecie o siwiejących włosach i szczenięco naiwnych oczach.

- Lorenzo.

- Rossi.

- Sądziłam, że tę sprawę prowadzi Newman.

- Zahacza o moją. I co tutaj mamy? - Wsunął swoją oznakę do kieszeni i przeszedł obok umundurowanych mężczyzn, postawionych na straży.

Worek z ciałem, zapięty już na błyskawiczny zamek, czekał na odwiezienie do kostnicy. W powietrzu nadal unosił się ostry zapach, który jednak nie robił na Rossim wrażenia. Porucznik rozejrzał się uważnie po pokoju. Dostrzegł nie posłane łóżko, rzuconą w kąt torbę z ubraniami, proszek rozsypany przez ekipę śledczą zbierającą odciski palców, butelkę dzinu, opróżnioną w trzech czwartych,

pojedynczą szklanę oraz popielniczkę pełną niedopałków lucky strike'ów.

- Nie pytaj mnie o przyczynę śmierci, Rossi - zaczęła doktor Lorenzo. - Mogę ci tylko powiedzieć, że stało się to od czterdziestu ośmiu do sześćdziesięciu godzin temu.

Żadnych ran ani śladów walki.

- Przyczyna śmierci?

Wiedziała, że ją o to zapyta, i lekko się uśmiechnęła.

- Jego serce się zatrzymało, Rossi. Wszystkie się zatrzymują. Zignorował tę kpinę. Zaczął rekonstruować obraz. Pijący w samotności mężczyzna. Zły? Z poczuciem winy? Przerażony? Dlaczego facet wynajmuje tani pokój, by w nim pić, kiedy pięćdziesiąt kilometrów stąd ma inny tani pokój?

A jeżeli Lipsky uciekał, to znaczy, że miał coś do ukrycia. Ponieważ Rossi dobrze przyjął jej sarkazm, doktor Lorenzo postanowiła go wynagrodzić.

- Znaleźliśmy w jego portfelu około trzystu dolarów, a także nieważną kartę kredytową. W torbie jest egzemplarz „Biuletynu Wyścigów Konnych” sprzed czterech dni, a w lewym bucie nóż.

Rossi zastygł w bezruchu jak seter na tropie zwierzyny.

- Jaki typ noża?

- Długość piętnaście i dwie dziesiąte centymetra, cienkie ostrze, gładki brzeg.

Gliniarskie serce Rossiego zaczęło pęcznieć. Ekipa śledcza dostanie nóż i jeśli będzie na nim jakikolwiek ślad krwi, ludzkiej czy końskiej, wykryje ją.

- Kto znalazł ciało?

- Właściciel hotelu. Nazywa się Moser. Może jest jeszcze w swoim biurze z głową między kolanami.

- Nie każdy jest tak twardy jak ty, Lorenzo.

- Gadaj zdrow! - Wyszła na zewnątrz, zmartwiona, że wiosenne powietrze zakłóca szum samochodów bezustannie sunących szosą numer piętnaście. Na stole do autopsji zostawiła ciało, a teraz doszło jej jeszcze jedno, chociaż i tak była przeciążona robotą. Nie kończący się piknik, pomyślała.

- Potrzebna mi będzie kopia raportu z sekcji zwłok.

- Za dwa dni.

Dwadzieścia cztery godziny, Lorenzo. Bądź dobrym kumplem!

- Nie jesteśmy żadnymi kumplami, Rossi. - Lekarka odwróciła się i wsiadła do samochodu.

- Hej! - Rossi zdążył złapać drzwi, zanim je zatrzasnęła. Agnes Lorenzo miała niewiele słabości, na które można było ją wziąć, ale kilka z nich znał. - Pamiętasz tego truposza z ubiegłego tygodnia? Gordon. Mick Gordon. Stary człowiek, rozprute nożem flaki.

Wyjęła papierosa, z powodu którego bynajmniej nie zamierzała czuć się winna.

- Ten z roztrzaskaną czaszką, nie mówiąc o reszcie? Taa, przypominam sobie.

- Myślę, że ten tutaj jest tym, który go załatwił.

Wypuściła dym. Nie przyglądała się dokładnie nożowi, nie musiała. Ale pamiętała ranę. W głowie miała kartotekę dziesiątków ran, o których nigdy nie potrafi zapomnieć.

- Broń by się zgadzała. - Pokiwała głową. - W porządku, Rossi, posiedzę dłużej w nocy, choć nie obiecuję, że testy będą dobrze zrobione.

- Dziękuję. - Zamknął drzwi jej samochodu, zapomniał o niej i wziął na cel biuro i Jacka Mosera.

Gabe dowiedział się o Lipskim dziesięć minut po powrocie z Florydy. Złotą żyłą dla prasy okazała się Dottie, gospodyni.

Wiadomość o śmierci Lipsky'ego w motelowym pokoju niosła się od stajni na tor, od stajennego do praktykanta. Przychodząca dwa razy w tygodniu gospodyni Gabe'a przyniosła tę informację i gazetę, zanim jeszcze zdążył odstawić swoje torby podróżne.

Zapłonął furią niczym nasączona benzyną zapałka. Starał się ugasić płomień, gdy nadszedł Rossi.

- Miło mi pana znowu widzieć, panie Slater.

- Poruczniku. - Wręczył Rossiemu gazetę, po czym usiadł w zalanym słońcem salonie. - Założę się, że chciał mi pan o tym właśnie powiedzieć.

- Wygrał pan. - Rossi odłożył gazetę i również rozsiadł się wygodnie. - Fred Lipsky przestał u pana pracować parę tygodni temu.

- Wyrzuciłem go, o czym z pewnością dobrze pan wie. Za pijaństwo.

- A on się sprzeciwiał, ponieważ jego umowa była jeszcze ważna.

- Zgadza się. Wyciągnął nóż, więc powaliłem go na ziemię. Sądziłem, że na tym sprawa się skończy, ale jak widać, pomyliłem się. - Panował nad wyrazem twarzy.

Pochylił się do przodu. - Gdybym miał jakiegokolwiek podejrzenie, że użyje tego noża przeciwko jednemu z moich ludzi albo moich koni, nie uszedłby daleko.

- Nie chce pan chyba złożyć takiego oświadczenia glinie, panie Slater. Jeszcze nie przeciekło do prasy, że znaleziony przy Lipskim nóż to broń, którą zabito Micka Gordona. Na razie nikt nie potrafi zlokalizować Lipsky'ego na scenie w czasie, kiedy popełniono morderstwo. Ale jest broń i motyw - zemsta...

- Zamknięta sprawa? - dokończył Gabe.

- Wolę mieć pełną jasność, zanim ją zamknę. A nie mam jasności. Czy dobrze pan znał Lipsky'ego?

- Nie za bardzo. Dostałem go razem z farmą. Takie stwierdzenie rozbawiło Rossiego.

- Ciekawie pan to ujął.

- Kiedy przejąłem to miejsce, zatrzymałem każdego, kto chciał zostać. To nie ich wina, że Cunningham grał kiepsko w pokera.

Zaintrygowany Rossi postukiwał ołówkiem o notes.

A więc to prawdziwa historia, choć wyglądała mi na zmyśloną. Nie ma sensu przypominać, że tego typu transakcja podpada pod prawo.

- Zupełnie nie ma sensu - zgodził się Gabe.

- Porozmawiam jeszcze raz z pańskim trenerem i z ludźmi. Ciekaw jestem, czy ktokolwiek, kto znał Lipsky'ego, posądzałby go o manię samobójczą.

- Daje mi pan do zrozumienia, że on sam się zabił? - Gabe'a znowu zaczęła ogarniać wściekłość, szarpały nim wyrzuty sumienia. - Dlaczego? Z powodu poczucia winy? To bzdura, poruczniku. Z równym powodzeniem mógł sobie wsadzić rewolwer do ust czy założyć sznur na szyję jak ja tańczyć na Broadwayu.

- Podobno nie znał go pan dobrze, panie Slater.

- Jego nie, ale znam ten typ ludzi. - Wychował go przecież ktoś w takim typie. -

Tacy oskarżają wszystkich naokoło, ale nigdy siebie. I nigdy nie decydują się na ten ostatni skok do wody, ponieważ ciągle obliczają właściwy kąt skoku. Piją, oszukują i marzą o wielkiej wygranej. Ale nigdy nie zabijają siebie.

- Ciekawa teoria. - Pod którą zresztą Rossi gotów był się podpisać. - Otóż Lipsky nie zastrzelił się ani nie powiesił. Wypił paskudny koktajl - dzin z czymś, co jak mi powiedziano, nazywa się acepromazyną. Czy to coś panu mówi?

Używa się tego dla zrelaksowania koni. To środek uspokajający. - Głos Gabe'a był idealnie opanowany.

- Taak, tak właśnie mi powiedziano. Zabawne. Myślałem, że gdy koń łamie nogę, przykłada mu pan

rewolwer między uszy.

- Huk odstrasza klientów - zażartował ze śmiertelną powagą Gabe. - A poza tym nie każde złamanie oznacza wyrok. Niektóre można wyleczyć. Często nawet taki koń może jeszcze biegać albo się rozmnażać. Dopiero gdy nic już nie można zrobić, weterynarz daje zwierzęciu zastrzyk. Chodzi o to, żeby koń nie czuł bólu. Zawsze się zastanawiam, skąd, u licha, wiadomo, jak jest naprawdę.

- W przypadku Lipsky'ego też już się nie da tego sprawdzić. Czy trzyma pan ten środek gdzieś pod ręką?

- Przecież powiedziałem, że zastrzyk robi weterynarz. On też dysponuje lekami.

Nikt nie zabija konia dla kaprysu, poruczniku.

- Z pewnością ma pan rację. To musi być cholerna strata.

- Taak. - Głos Gabe'a był chłodny. - Czy widział pan to kiedykolwiek?

- Nie.

- Koń się potyka na torze i przewraca. W mgnieniu oka dżokej wylatuje z siodła. W panice, za wszelką cenę, chce go podnieść i dosiąść. Wokół robi się cicho, zewsząd nadbiegają stajenni. To nie musi być ich koń. To jest koń każdego z nich.

Wzywa się weterynarza, a kiedy nie ma wyjścia, kiedy trzeba dobić zwierzę, robi to sam weterynarz - za parawanem, w wąskim kręgu bliskich osób, w intymnej atmosferze.

- Czy stracił pan kiedyś konia w ten sposób?

Raz, około roku temu, podczas porannego treningu. To bardziej niebezpieczne niż wyścigi. Jeździec jest wtedy odprężony. Podobnie jak wszyscy. - Gabe wciąż jeszcze pamiętał swoją ówczesną bezradność i niemoc. - To była śliczna klacz.

Nazwałem ją The Queen of Diamonds. Opiekujący się nią stajenny płakał jak dziecko.

To był Mick. - Gabe starał się opanować ręce, które odruchowo zaciskały się w pięści. -

Więc jeśli mi pan mówi, że ktoś wykończył Lipsky'ego w ten sam sposób, w jaki dobija się konie, to powiem, że zrobił to w lepszym stylu, niż facet na to zasłużył.

- Żywi pan urazę, panie Slater?

Tak, poruczniku. - Spojrzenie Gabe'a było stanowcze i zdecydowane. - Chce pan wiedzieć, czy zabiłem Lipsky'ego. Otóż nie. Ale nie jestem pewien, jaka byłaby moja odpowiedź, gdybym wiedział o tym, o czym mi pan dzisiaj powiedział, i gdybym go dopadł pierwszy.

- Przyznam szczerze, że lubię pana, panie Slater.

- Czyżby?

- Tak. - Na twarzy Rossiego pojawił się rzadko goszczący na niej uśmiech, był to bowiem rodzaj ekspresji, z którym nigdy nie czuł się wygodnie i na miejscu. -

Niektórzy ludzie krążą wokół odpowiedzi, inni jękają się, szukają słów, jeszcze inni się poca. A pan nie. - Porucznik strzepnął pyłek z nogawki spodni. - Nienawidził pan skurwysyna i mógł go pan zabić, gdyby nadarzyła się okazja. I nie boi się pan do tego przyznać. Nie tylko pana lubię, ale i wierzę panu. - Podniósł się. - Chociaż może być i tak, że pan blefuje i że okaże się, iż złożył pan krótką wizytę w motelu. Kręcę się ciągle w okolicy, więc bez problemu to sprawdzę. - Znow się zadumał. - Ale nie sądzę, żeby ta wersja miała się potwierdzić. Jeden rzut oka przez judasza wystarczyłby Lipsky'emu, żeby się przed panem zabarykadować. Czy nie ma pan nic przeciwko temu, żebym zszedł na dół i porozmawiał z pańskimi ludźmi?

- Nie, nie mam nic przeciwko temu. - Gabe pozostał na miejscu; Rossi znał

drogę. Zamknął oczy i skupił uwagę na rozluźnieniu kręgosłupa, krąg po kręgu.

Dał Rossiemu godzinę, nim zszedł do stajni. Atmosfera naładowana była mieszaniną podniecenia i strachu, dla których śmierć stanowi niezawodną pożywkę.

Na widok Gabe'a rozmowy ucichły, ludzie zaczęli udawać bardzo zajętych.

Jamison i Matt naradzali się w sprawie skaleczenia Double'a.

- Stan zapalny już minął - mówił Matt. - Rana dobrze się goi. Zmieniaj codziennie opatrunek, stosując ten sam środek.

- Będzie miał bliznę.

- Wszystko na to wskazuje. - Matt pokiwał głową, spoglądając na długie, gojące się cięcie wzdłuż pachwiny.

- Jaka szkoda. - Jamison wziął strzykawkę, by przemyć ranę. - Taki doskonały koń.

- To mu tylko doda powagi - skomentował Gabe, biorąc konia za uzdę.

Przeciagnał palcami po jego policzkach, tak jak mężczyzna może pieścić kobietę. Koń zareagował, szturchając go łbem, uradowany niczym źrebię. - Blizny z pola walki -

mruknął Gabe. - Nie wpłyną na jego czas ani ambicję. Kiedy będziemy mogli posadzić na nim jeźdźca?

- Nie ma pośpiechu! - Matt odskoczył, gdy koń zbliżył łeb i dobierał się do jego ramienia; to już nie był źrebaczek, lecz czterysta kilogramów żywego temperamentu.

Zdażył się w porę uchylić od końskich zębów zaledwie o kilka milimetrów. - Ten to zawsze ma na

mnie ochotę. Może chciałbyś odgryźć kawałek mięska, co, koleś? -

Upewniwszy się, że Gabe wzmocnił uchwyt, poklepał konia przyjaźnie po szyi. -

Pobiegnie dla ciebie w Kentucky, Gabe. Gdybym miał choć niewielką żyłkę hazardzisty, postawiłbym na niego.

Gabe zgodził się z diagnozą Matta, po czym zwrócił się do trenera:

- Jamie?

- Ułożyłem nowy rozkład zajęć dla niego. Albo się sprawdzi, albo nie.

- Musi się sprawdzić. Czy Rossi rozmawiał z tobą?

- Taak. - Oczy Jamisona były groźne i zawzięte, gdy szykował nowy opatrunek.

- Przyszedł tutaj i zadawał te swoje pytania. Wywołał niezłe zamieszanie tą wiadomością. Peterson uznał, że to są porachunki mafii. Kip twierdził, że w grę wchodzi kobieta, a Lynette miała na ten temat inne zdanie i przytarła mu nosa.

Zaczęli się kłócić i chłopaki raz brali jego stronę, raz jej.

- Nikt nie uważa, że to było samobójstwo?

- Nikt, kto go znał - Jamison rzucił Gabe'owi spojrzenie i wyszedł z boksu.

- Mógł gwizdnąć trochę acepromazyny - zauważył Matt. - Wiedział, gdzie jej szukać. I na pewno też wiedział, czym to grozi, gdyby władze go z tym dopadły.

- Taki facet jak Lipsky mógł się ukryć na setkach torów wyścigowych. - Jamison spojrzał ponownie na konia. Sam go opatrywał, traktując to jako rodzaj pokuty za swój udział w tym, co się stało. - Już miesiąc temu powinienem był go wyrzucić.

Wtedy wszystko by się potoczyło inaczej. - I Mick pozostałby przy życiu, pomyślał.

- Tego się już nie cofnie - oznajmił Gabe. - Ale na tym nie koniec. Część ostatniego rozdziału stanowi ktoś, kto podał Lipsky'emu truciznę.

- Powtórzę to, co już powiedziałem Rossiemu. - Matt podrapał się po brodzie. -

To musi być ktoś, kto zna konie i kto miał dostęp do preparatów weterynaryjnych. -

Uśmiechnął się niewesoło. - Co wcale nie zawęży aż tak bardzo kręgu podejrzanych.

- To dotyczy nas wszystkich. - Gabe zobaczył, jak Mattowi opada szczęka. - I setek innych osób. Dziękuję, że wpadłeś.



Matt przełknął nerwowo ślinę.

- Nie ma sprawy. Zajrzę za kilka dni. Myślę, hmm, myślę, że skoczę też na chwilę do Three Willows.

- O! - Nie spuszczać z niego wzroku, Gabe wyjął cygaro i zapalił je niedbale. -

Mają jakiś problem?

- Nie, nie. Po prostu chciałem... No cóż... Gabe rozpląnął się w uśmiechu.

Napięcie opadło.

- To frajda móc sobie na nią popatrzeć, co?

Matt spłonął rumieńcem - istne przekleństwo jego bladej cery.

- Dużo przeszła. Channing przypuszcza, że ona pozostanie tu przez jakiś czas. -

Matt zrobił, co mógł, by z chłopaka wycisnąć jakieś szczegóły, ale młody człowiek okazał się bardzo dyskretny albo bardzo lakoniczny w sprawach dotyczących przybranej siostry.

- O tak, myślę, że zostanie przez jakiś czas. - Gabe był już tego prawie pewny. -

Napatrzysz się do syta. - Otoczył ramieniem Matta i odprowadził go do jego bagażówki. - Święty by cię za to nie potępił. Ale ręce trzymaj przy sobie, doktorze.

Kiedy Matt zbierał się z odpowiedzią, Gabe otworzył drzwi bagażówki.

- Jest moja - powiedział najzwyczajniej w świecie.

- Ty... - Matt urwał i spurpurowiał. - Nie miałem pojęcia. Kelsey nigdy... Ja nigdy...

- Gdybym myślał, że jest inaczej, oberwałbyś ode mnie. - Uśmiech Gabe'a był

przyjacielski, sympatyczny, ale ostrzeżenie zabrzmiało wyraźnie. - Przekaż Kelsey ode mnie pozdrowienia, jeśli ją zobaczysz.

- Jasne. - Chcąc jak najszybciej stąd uciec, Matt wgramolił się do auta. - Wiesz, może jednak tam nie zajrzę. Mam jeszcze w domu kupę papierkowej roboty.

- Zatem pozwalam ci popracować. - Cofnął się i uśmiechnął szeroko, gdy samochód z piskiem opon skręcił w długą aleję.

Przestraszyłeś chłopaka, aż pobladł. - Jamison wysunął kciukiem swojego ulubionego wiśniowego dropsa.

- Oszczędziłem mu po prostu kłopotów w drodze powrotnej.

- Możliwe. - Patrząc na znikający w oddali obłok spalin, Jamison delectował się orzeźwiającym smakiem cukierka. - Czy ona wie, że oznakowałeś ją swoim znakiem firmowym?

Gabe zakrztusił się dymem, wspominając z czułością reakcję Kelsey na jego wyrachowany, obliczony na efekt, publiczny pocałunek.

- Jest wspaniałą i bystrą kobietą.

- Najwięcej kłopotów przysparzają mężczyźni bystre kobiety.

- Już dawno nie miałem kłopotów. - A tak bardzo pragnął, by się zaczęły. -

Muszę się przekonać na własnej skórze, i nie tylko, czy potrafię jeszcze wzniecać namiętności. - Drobne szaleństwo dobrze mi robi, stwierdził, i spojrzał na swojego trenera.

Dotąd Gabe skoncentrowany był na koniu w stajni i na Matcie. Teraz dopiero dostrzegł ślady zmęczenia na twarzy Jamisona.

- Jesteś przybity, Jamie.

To prawda, że od czasu morderstwa Jamison źle sypiał i z trudem przeżywał jedzenie.

Przede wszystkim musisz się wyzbyć poczucia odpowiedzialności za to, co stało się z Mickiem. - Trener ledwo kiwnął głową. Gabe wyrzucił niedopałek cygara i wgniótł go nogą w ziemię. Wyraz oczu Jamisona tylko wzmógł jego własne poczucie winy. - W porządku, zawiodła cię intuicja i trzymałeś go tutaj. Z kolei ja wyrzuciłem go z pracy na oczach wszystkich. Równie dobrze to właśnie mogło go sprowokować, wywołać taką reakcję. Ale w rzeczywistości ktoś inny naciskał spust.

- Widzę go, widzę Micka za każdym razem, kiedy zamykam oczy - mówił

cichym, zbolalym głosem Jamison. - Wyobrażam sobie, jak powalony i pogruchotany spogląda na Lipsky'ego i na konia. To nie powinno się zdarzyć, Gabe. - Westchnął

głęboko. Nie usłyszał odpowiedzi, ponieważ nie było na to odpowiedzi. - Derby zaczynają się za trzy i pół tygodnia. Ten koń musi być przygotowany i ja się tym zajmę. Patrząc na niego, myślę sobie, jak bardzo Mick był dumny, mając go pod swoją opieką.

Gabe się nie odezwał. Objął wzrokiem wzgórze. Swoje wzgórze. Derby to było coś więcej niż wyścig. Nawet więcej niż cel. To był święty Graal, którego szukał przez całe życie.

A teraz, po okresie zmagania i pięciu lat wyteżonej pracy, był niemal w jego zasięgu. Może okaże się pusty, gdy go nareszcie zdobędzie, ale musi się o tym przekonać.

- Koń musi pobiec, Jamie. Jeżeli nie możesz z nim pracować, przekażę go Duke'owi. - Duke Boyd, asystent trenera, był osobą kompetentną. Obaj o tym wiedzieli. Nie miał jednak tego dodatkowego

zmysłu, z którym urodził się Jamison. -

Tak czy inaczej, trzeba, żeby startował w Churchill Downs.

Zrobię, co do mnie należy - powiedział Jamison, trąc zmęczone oczy.

- Musisz w to włożyć serce, Jamie. Jamison opuścił ręce.

- Będziesz je miał, do licha. Razem z moją duszą. Odwrócił się i godnym krokiem powrócił do stajni.

Kelsey zdawała sobie sprawę, że nie powinna zakochać się w koniu. Ale intelekt nie miał tu nic do powiedzenia. Była tak samo zafascynowana młodym, niepewnie jeszcze stąpającym źrebakiem, jak starszymi końmi - a w zamian za swoje uczucie została przez niego tylko raz kopnięta.

Być może, ponieważ podeszła do tego filozoficznie, po prostu podnosząc się i otrzepując, Moses zaostrzył jej trening.

Lubił jej styl, sposób, w jaki reagowała na konie. A co najważniejsze - lubił sposób, w jaki one reagowały na nią.

Poza tym, podobały mu się jej żywiołowość i zapal w stosunku do „młodzieży”.

Po naradzie z menedżerem jednolatków i po rozmowie z Kelsey wybrali tę właśnie klaczkę - śmiałą, niedużą kasztankę, ważącą w oporządzeniu trzysta czterdzieści kilogramów.

O świcie światło było złociste, prawie przezroczyste. Rozlało się na sierści źrebicy, zapłonęło na niej. Olśniona tym widokiem Kelsey stała nieruchomo w boksie.

Wiedziała z całą pewnością, że nigdy w życiu nie widziała nic równie pięknego.

- Ma charakter - powiedział o klaczy Moses, próbując wraz z pomocnikiem uspokoić ją i osiodłać. - A także serce. Dlatego Naomi nazwalają Honor. Honor Naomi.

Jakby reagując na swoje imię, źrebica walnęła Mosesa z całej siły łbem. Jego ramię aż zawibrowało od uderzenia. Zdecydowanym ruchem szarpnął skrócone lejce i kontynuował czynność.

- Będziesz pierwszym ciężarem na jej grzbiecie. Nie myśl sobie, że ona jest łagodna i rwie się do tego, by ci się przypodobać. Przywykła do wolności. Nie wiemy, czego się można po niej spodziewać. Jest o wiele silniejsza od ciebie. - Popatrzył na Kelsey, jak gdyby odsuwał od siebie myśl o jej szczupłej sylwetce pod wywatowanym żakietem. - Musisz więc ją przechytrzyć. - Przejechał ręką po źrebicy od szyi po kłęb. -

I zdobyć jej serce.

Dlatego właśnie wybrali Kelsey. Nie osiągnie się sukcesu w pracy z jednolatkami bez dobroci i łagodności.

W boksie było cicho. Moses mówił szeptem, niemal jak w kościele. Cmoknął na konia, następnie na Kelsey, dając jej znak, by weszła i zawarła znajomość.

Była podekscytowana; bała się, że jej tak mocno i głośno bijące serce spłoszy Honor. Ale ruchy jej rąk były uważne, delikatne i precyzyjne. Przemawiała do klaczy cichutko, obserwując, jak strzyże uszami na dźwięk jej głosu.

- Jesteś śliczna. Taka śliczna, Honor. Nie mogę się doczekać, kiedy na tobie pojedę. Zaprzyjaźnimy się, prawda?

Żrebica parsknęła, wstrzymując się z opinią. Gdy Moses założył jej uzdę, położyła do tyłu uszy.

- Spokojnie, spokojnie - szeptała Kelsey. - Nikt ci nie zrobi krzywdy. Wkrótce będziesz tutaj królować. Założę się, że dziwnie się czujesz, czyż nie? - Pocieszała ją i koła, podczas gdy Moses zaciągał rzemienie przy siodle. - Powinnaś przymierzyć rajstopy. Z pewnością siodło jest wygodniejsze.

Delikatnie zmieniło się światło. Zrobiło się cieplej.

Podsadzę cię - powiedział Moses. - Zapamiętałaś, co mówiłem?

- Tak. - Musiała wziąć głęboki, wyrównujący oddech. - Jeszcze nie siedzę w siodle. Najpierw trochę ćwiczeń oddechowych.

- W porządku. Pamiętaj o wydawaniu jej poleceń. Tłumacz jej, po co ona tu jest. A teraz powoli. Zapamiętaj, gdzie są drzwi. To na wypadek, gdybyś musiała zeskoczyć w pośpiechu.

Na samą taką myśl Kelsey jeszcze raz głęboko odetchnęła, po czym powierzyła swoje kolano i swój los Mosesowi.

Gdy przewiesiła się przez siodło, klacz spłoszyła się, zdziwiła, zdenerwowała.

Kelsey czuła pod sobą niespokojne ruchy, ale szybko odrzuciła myśl, że mogłoby ją przygnieść trzysta czterdzieści kilogramów rozgniewanego konia. Stosownie do instrukcji Mosesa, kierując się również własnym instynktem, poprawiła się w górę i na boki, dopasowując ciężarem do siodła i strzemion.

Honor kręciła się, wierzgała, kopała tylną nogą, próbując dołożyć Mosesowi.

Odruchowo Kelsey pochyliła się ku niej i przemówiła łagodnie, lecz stanowczo do jej ucha.

- Uspokój się. Byłoby nam przykro, gdyby się okazało, że wcale nie jesteś wyjątkowym koniem.

To nie była magia. Głos i intonacja nie od razu podziałały. Ale po kilku kolejnych kapryśnych ruchach koń się ustatkował.

- Lubi mnie - oznajmiła Kelsey.

- Właśnie kombinuje, jakby cię zrzucić z siodła.

- Nie - uśmiechnęła się Kelsey. - Ona mnie lubi.

- Przekonamy się. - Moses przytrzymał dziewczynę w siodle tak długo, dopóki nie stwierdził, że wszystko jest w porządku. - Dobra. No to do roboty!

Według określenia Mosesa był to zaledwie ogródek jordanowski. Na razie zadaniem Kelsey było utrzymać się w siodle z udziałem pomocnika, który przeprowadził Honor na tor dla jednolatków ogrodzony wysokimi ścianami, izolującymi konie od zewnątrz i ułatwiającymi im koncentrację.

Dopiero gdy koń oswoi się z ciężarem jeźdźca, pomocnik puści go luzem, pozwalając Kelsey kierować.

Kelsey i klacz razem będą się uczyć.

- Jak sobie radzi? - zapytała Naomi, dołączając do nich.

- Tak jak się spodziewałaś. Ma w sobie dużo z Chadwicków. - Moses przykrył jej rękę i szybko ją uścisnął, łamiąc zasadę nieokazywania publicznie swoich uczuć. -

Wiedziałem, że przyjdiesz, by popatrzeć.

- Byłam taka zdenerwowana. - Teraz bez większych już obaw Naomi przyglądała się Kelsey, która krótkimi, lekkimi pociągnięciami lejców panowała nad koniem. - Ona jest tu już miesiąc, Moses. I ani razu nie wspomniała o wyjeździe. -

Założyła palce za brzeg kieszeni spodni. - Po tym wszystkim, co się wydarzyło w ostatnich tygodniach, sądziłam, że się spakuje i wyjedzie.

- Nie patrzysz na nią uważnie, Naomi. - Uśmiechnął się lekko, gdy Kelsey, zapominając o treningu, położyła się na koniu i wtuliła twarz w jego grzywę. - Ona się nigdzie nie wybiera.

Na dany przez Mosesa znak dziewczyna wyprostowała się, po czym wyrównała chód konia.

- Jest wspaniała, prawda?

- Tak. - Naomi rozpierała dumą. Uniosła rękę, by poklepać konia, głaszcząc przy okazji końcami palców dłoń córki. - Wyglądacie razem cudownie.

Bo też się cudownie czuję. - Gdy Moses w nagrodę poczęstował Honor marchewką, Kelsey wyciągnęła rękę. - A dla mnie? Nie zasłużyłam sobie?

- Sądzę, że tak, masz.

Wzięła marchewkę i ją schrupała.

Teraz, gdy przestałam się już panicznie bać, czuję się szczęśliwa. - Poklepała Honor po szyi, starając się nie okazywać swojego zachwytu. - Czy będę mogła z nią jutro popracować, Moses?

Jutro i pojutrze - odparł. - Odtąd jesteś za nią odpowiedzialna.

Naprawdę? - Chciała zeskoczyć i pocałować go, ale przykładowie pozostała w siodle, obdarzając go promiennym uśmiechem. - Nie zawiodę cię.

- Nie jestem pewien. W razie czego potrączę ci z pensji.

- Nie otrzymuję wynagrodzenia - roześmiała się.

- Od dwóch tygodni jesteś na liście płac. - Z satysfakcją patrzył, jak z wrażenia opada jej szczęka. - Swój pierwszy czek dostaniesz w piątek.

- Ale to niepotrzebne, jestem po prostu...

- Pracujesz, więc otrzymujesz zapłatę - powiedział stanowczym tonem. W

końcu to on odpowiada za ten odcinek. - Jako początkująca zaczniesz od najniższej stawki, prawda, Naomi?

- Twardy początek - odparła zapytana, krzywiąc się. - Mój ojciec radził mi, żebym odkładała każdego centa z pensji, nawet z najmarniejszej. Chodziło mu o to, żebym nauczyła się cenić pieniądze, zanim staną się moje. Miał rację.

Kelsey zastanowiła się. Może to było lepsze niż oficjalna umowa o pracę.

- Jak nędzna jest ta pensja?

- Wypadnie około dwustu dolarów tygodniowo netto - wyjaśnił Moses. Uniosła brew.

- A kiedy dostanę podwyżkę? Śmiejąc się, Naomi podeszła bliżej.

- Będzie musiał wziąć to pod uwagę. - Delikatnie i lekko muskała szyję klaczy. -

Ona cię lubi.

- A nie mówiłam?! - Kelsey przesłała Mosesowi triumfujący uśmiech.

- Ominęły mnie dwadzieścia trzy rocznice urodzin. - Ton głosu Naomi zaskoczył Kelsey. Popatrzyła na matkę. Zauważyła, że jej wzrok jest jakby nieobecny. -

Dwadzieścia trzy Boże Narodzenia. Mam tyle do odrobienia... - Opanowując się, podniosła oczy i napotkała spojrzenie Kelsey. - Chciałabym zacząć od zaraz, jeśli mi pozwolisz. Czy przyjmiesz ją?

- Czy ją przyjmę? - Oszołomiona Kelsey zrobiła wielkie oczy. - Honor? Chcesz mi ją dać?

- Chcę, żebyś ją przyjęła. Bez żadnych zobowiązań. Zdaję sobie sprawę, że trzymanie konia w mieszkaniu może być trochę kłopotliwe - starała się nadać głosowi lekkość - ale możesz go trzymać tutaj tak długo, jak tylko sobie życzysz. Jeśli chcesz, Moses może nad nią popracować. W każdym razie jest twoja, jeśli nie odmówisz.

Wzruszona Kelsey powoli rozsiodływała konia. Jej dłonie, w których trzymała lejce, zrobiły się wilgotne, na karku czuła gorący oddech Honor.

- Byłabym szczęśliwa! Dziękuję ci.

- Nie ma za co. Muszę wracać. Jestem umówiona na lunch. Kelsey zrobiła krok do przodu, zatrzymała się, a następnie błyskawicznym ruchem oddała lejce Mosesowi.

Musiała szybko biec, by dogonić Naomi. Położyła nieśmiało rękę na jej ramieniu i uczyniła coś, co okazało się prostsze i naturalniejsze, niż przypuszczała: pocałowała ją.

- Dziękuję ci - powiedziała jeszcze raz; dalsze słowa uwięzły jej w gardle, bo Naomi objęła ją i przytuliła mocno do siebie.

Skąd u matki tyle emocji, taka potrzeba kochania, to gwałtowne drzenie, zastanawiała się Kelsey. Jak można, będąc tak pełnym uczuć, nigdy ich nie okazywać?

- Przepraszam cię - szepnęła Naomi i szybko się odsunęła. - Muszę teraz przygotować dokumenty. Jestem już spóźniona. - Wzięła się w karby i pospiesznie odeszła.

Kelsey miały sprzeczne uczucia. Stojąc bezradnie, starała się zrozumieć zarówno siebie, jak i tę kobietę, która ją urodziła.

- Nie wiem, co mam robić.

- Robisz to, co trzeba. - Moses z powrotem wręczył jej lejce. - A teraz idź, oporządź swojego konia.

## **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

Czas płynął szybko. Kelsey miała własnego konia, intrygujący romans z fascynującym i frustrującym mężczyzną oraz świeżo rozbudzone zainteresowanie matką, którą zaczynała kochać.

Nie spodziewała się, że pokocha Naomi. Zaskoczyło ją to. Owszem, wiedziała, że będzie o niej myśleć, przypuszczała, że może ją szanować. Ale okazało się, że nie sposób tak blisko przebywać z kobietą formatu Naomi, nie wikłając się w uczucia.

Nie było zresztą czasu, by się nad tym zastanawiać. Zbliżały się bowiem Bluegrass Stakes - brama otwierająca drogę do najważniejszej i najbardziej prestiżowej imprezy, jaką były derby. Zarówno w Three Willows, jak w Longshot trwały gorączkowe przygotowania.

Choć Kelsey nie przyznawała się do tego, wyobrażała już sobie swoją Honor w czapraku zdobnym w czerwone róże, jako zwyciężczynię kilku kolejnych derby.

Tego dnia poczyniono poważny krok w tym kierunku.

Obok toru treningowego w Three Willows ustawiono bramę startową. Choć zima minęła bez śladu, powietrze było jeszcze chłodne. Kelsey szarpała nerwowo kurtkę, mając nadzieję, że jej napięcie nie udzieli się Honor.

Te konie są urodzonymi biegaczami, powtarzała sobie. Bardzo ważne jest nauczyć zwierzę wycucia własnego formatu. Nawet najlepsze pochodzenie i predyspozycje nie zapewnią koniowi zwycięstwa, jeżeli nie potrafi on przejść przez stalowy boks startowy i ruszyć do biegu.

- Słyszałem, że masz tu świetnego zawodnika. - Gabe obszedł powoli klacz i potarł ręką jej nos. Honor położyła uszy, przyjrzała mu się, po czym, aprobując jego zapach i dotyk, postawiła uszy z powrotem i przysunęła się do niego bokiem.

- Nie mogłam dostać lepszego! - Pańskim gestem Kelsey ujęła konia za uzdę. -

Nie widziałam cię od dobrych paru dni.

- Odczułaś moją nieobecność?

- Niespecjalnie. - Kelsey mogła sobie pogratulować, że nie wpadła w poniżający nawyk oczekiwania na telefon. Przynajmniej do tej pory. - Wszyscy jesteśmy nieźle zajęci.

- Rozpoczęliśmy z Double'em normalne treningi.

- Och, to cudownie! Cieszę się! - Zapominając natychmiast o całym żalu do Gabe'a, złapała go spontanicznie za rękę.

Nie oparł się przyjemności, by przytrzymać jej dłoń za przegub.

- Pamiętaj, co powiedziałaś w związku z możliwością wygrania przez niego derby.

- Stawiam pieniądze na Pride'a. - Tak mówiło jej serce. - Choć mogę odłożyć trochę pieniędzy i postawić także na Double'a.

- Wysyłamy go na wyścigi do Keeneland. Jamiemu zależy na solidnym sprawdzianie przed Bluegrass Stakes.

- Ty też jedziesz? - zapytała mimochodem.

Zawsze jestem tam, gdzie mój koń, z miejscem dla zwycięzców w Churchill Downs włącznie. - Poglaskał ją po włosach w podobny sposób, jak pieścił konia. -

Chcesz mi dotrzymać towarzystwa?

- Zamierzam stać obok Naomi wśród zwycięzców! - Odwróciła się, by poprawić popręg na siodle Honor.



Pociągnął ją za włosy.

- Za Keeneland, kochanie. Przez parę dni będziemy bardziej lub mniej sami! -

Zbliżył się do niej. Jej naturalny wiosennocytrynowy zapach mieszał się z zapachem koni. - Zastanawiam się, ile razy mógłbym się kochać z tobą w drodze podczas jednego szybkiego wypadu za miasto.

Mięśnie jej ud zamieniły się w rozgrzany wosk.

- Czy padł już jakiś rekord?

- Właśnie mógłby paść. - Patrząc Kelsey w oczy, pochylił się i chwycił zębami jej dolną wargę. - Masz... - skubnął raz, patrząc, jak rozszerzają się jej źrenice... -

najbardziej niesamowite usta.

- Daj dziewczynie spokój. - Przybierając surowy wyraz twarzy, Moses dał

Gabe'owi kuksańca w ramię. - Zamierzasz się bratać z konkurencją, Kelsey, czy wracasz do pracy?

Podniosła daszek czapki i dumnie wysunęła podbródek.

- Jedno nie przeszkadza drugiemu. - Odwróciła się do konia, a Moses pomógł jej go dosiąść.

- Ważniaczka - mruknął.

- Ale godna zaufania - dodała i skierowała Honor do boksu startowego.

Otwarta bramka boksu miała pomóc zwierzęciu oswoić się z wąskim tunelem. Klacz najpierw wsunęła łeb, po czym nerwowo się wycofała. Zaczęła się próba sił konia i jeźdźca.

- O nie, nie tędy droga - cichym głosem pouczała ją Kelsey. - Tutaj ja kieruję.

Chyba nie masz zamiaru skompromitować nas na oczach ludzi? - Dotyk kolan, zdecydowane ściągnięcie lejców - i dziewczyna zmusiła konia do zatrzymania się w prawidłowej odległości od bramki.

- Zupełnie nieźle nam poszło, prawda? - szepnęła. - Nie będziesz tu długo stać.

Najważniejsze jest, co zrobisz, gdy przeleczysz na drugą stronę. - Powolutku przeszły przez tunel, zrobiły okrążenie i powtórzyły czynność.

- Ma dobrą rękę - skomentował Moses.

- Na koniu jest jeszcze bardziej podobna do Naomi. - Gabe włożył ręce do kieszeni. Może znalazłby

się lepszy sposób na spędzenie poranka niż obserwowanie Kelsey uczącej tego pojętego konia, w tej chwili jednak nie widział nic lepszego. - A jak się między nimi układa?

- Powolutku i do przodu. Nie jest to olśniewający galop, ale powiedziałbym, że minęły już szczęśliwie pierwszy zakręt, kiedy Naomi ofiarowała jej tę jednolatkę.

- Pokłada duże nadzieje w tym koniu.

- A jeszcze większe w dziewczynie. - Moses uznał, że chwila jest odpowiednia, i postanowił rozmówić się z Gabe'em. - Ja wiem, że ona ma ojca, ale go tu nie ma.

Uważam więc za swój obowiązek ostrzec cię, żebyś nie popełnił głupstwa. Kelsey nie należy do osób na wezwanie, a gdybyś ją skrzywdził, zraniłbyś Naomi.

Gabe'a na moment zamurowało. A kiedy się odezwał, w jego głosie nie było śladu urazy czy gniewu, tylko łagodna ciekawość.

- Uważasz, że mógłbym ją skrzywdzić?

Moses wyciągnął z jego kieszeni cygaro i przełożył je do swojej.

- Tylko mnie nie nabieraj na te swoje mętne kawałki. Moje plemię zgłębiło już wszystko, co tajemne, kiedy twoi przodkowie siedzieli jeszcze w kucki w jaskiniach i żarli surowe mięso. Poza tym ja nic nie uważam. Ładnie razem wyglądacie. - Podniósł

wzrok, by sprawdzić postępy Kelsey. - Przemyśl wszystko dokładnie. Nie sztuka być mądrym po szkodziu!

Wargi Gabe'a zadrżały w uśmiechu.

- A z jakiego to tajemniczego plemienia pochodzisz? Czy aby nie z wymarłego?

- Nie bierz jej za szybko w obroty. Ona ma serce. - Zły na siebie, Moses ruszył

ciężkim krokiem przez trawnik, by doszlifować pracę Kelsey.

Tak, dziewczyna ma serce, pomyślał Gabe, przyglądając się, z jaką uwagą wysłuchuje rad trenera. I błękitną krew.

Wielu było takich, którzy mogliby powiedzieć, że jest pozbawiony serca. A już z pewnością nikt nie miał wątpliwości co do koloru jego krwi. Dawniej mu to nie przeszkadzało. Teraz również nie zamierzał wycofać się z tego powodu.

Mnóstwo kobiet chętnie przymknęłoby oczy na skazy w jego wychowaniu.

Wiele tak zrobiło. Więcej jeszcze wrzuciłoby ramionami na jego ojca pijaka, krótki pobyt w więzieniu czy na pociąg do hazardu.

Ale on nie chce żadnej z tych kobiet, stwierdził, patrząc, jak Kelsey podchodzi na koniu do bramki, obserwując jej wysiłki w wąskim tunelu. Pragnie tylko tej kobiety.

Czekał. Gdy słońce zaczęło mocno przygrzewać, wyjął okulary przeciwsłoneczne. Ranek dobiegał końca. Musiał wracać do siebie, zająć się swoimi sprawami. Mimo to uzbroił się w cierpliwość i czekał, aż Kelsey zsiądzie z konia.

- Świetnie się sprawiła - powiedziała Kelsey, całując klacz w policzek i częstując ją marchewką. - Wcale się nie bała.

- Chcę cię widzieć wieczorem.

- Co? - Odwróciła głowę, nie odrywając policzka od lśniącej sierści Honor.

- Chcę cię gdzieś zabrać wieczorem. Kolacja, kino, przejażdżka. Możesz wybierać. Zapraszam cię na randkę - ciągnął, a ona tymczasem przyglądała mu się podejrzliwie. - Zupełnie zapomniałem o tym szczególnym rytuale.

Randka? - Starła się go rozgryźć. - To znaczy, że przyjedziesz po mnie, że gdzieś pójdziemy i będziemy robić coś zaplanowanego, a potem odwieziesz mnie do domu i odprowadzisz do drzwi?

- Mniej więcej to właśnie miałem na myśli.

- No cóż, trzeba to zmodyfikować. - Zadarła głowę, rozpatrując możliwości. -

Muszę wstać o piątej, więc powinniśmy się spotkać wczesnym wieczorem. Nie mam nic przeciwko pójściu do kina, powiedzmy na siódmą. A później może być pizza.

Teraz on się zastanawiał. Nie o takim wieczorze myślał. Może już czas, żeby dowiedzieli się o sobie czegoś więcej.

- Wczesne kino i pizza. Podjadę po ciebie około szóstej. - Zadarł jej podbródek i pocałował ją jakby od niechcienia.

- Hej, Slater! - zawołała za nim. - Czy mam wybrać film? Obejrzał się przez ramię, nie zatrzymując się.

- Tylko bez napisów.

- Na pierwszą randkę? - Zaśmiała się. - Za jaką kobietę mnie bierzesz?

- Za moją! - odkrzyknął, a ona przestała się śmiać.

Zatłoczona nastolatkami pizzeria nie miała w sobie nic romantycznego. I o to właśnie Kelsey chodziło. Postanowiła, że wszystko ma być najzupełniej zwyczajne.

Chciała uniknąć sytuacji, w której sprawy przybrałyby zbyt zobowiązujący charakter.

A na razie zastanawiała się, co sprawiło, że Gabe Slater przystąpił do działania.

- To świetne miejsce. - Usadowiła się za przepierzeniem, przy stoliku przykrytym włoskimi papierowymi serwetkami z czerwonym i zielonym nadrukiem. -

Przy koniach już prawie zapomniałam, jak wygląda prawdziwe życie.

- Wszystkim nam się to zdarza! - Bawiła go ta kolacja z kobietą w miejscu, gdzie ze ścian uśmiechały się sfotografowane pizze i calzone. Wyciągnął przed siebie długie nogi. - Potraktowałaś szybko i na całego moją propozycję.

- To mój talent albo wada. Zależy, jak na to spojrzysz. Czy warto robić coś, jeśli nie robi się tego na całego? - Odprężyła się, oparła stopy na jego ławie. - W ten sposób albo sięgasz szczytów i zdobywasz sławę, albo rozbijasz się z hukiem i spalasz.

- Czy ty gonisz za sławą, Kelsey? Uśmiechnęła się.

- Zawsze miałam trudności z rozróżnieniem, czym jest sława, a czym satysfakcja. - Spojrzała na kelnerkę, a potem znów na Gabe'a. - Ty wybierasz. Zjem wszystko.

- A ja nie. Poproszę o małą...

- Dużą - poprawiła go Kelsey.

- Dużą - potwierdził, kiwając głową. - Pepperoni z grzybami i dwie pepsi.

- Bardzo konserwatywnie - zauważyła Kelsey po odejściu kelnerki.

- Lubię wiedzieć, co jem. - Pomyślał, że jest to chyba nawyk z czasów, gdy musiał dobijać się o resztki. - Skoro już o tym mowa, czy przypadkiem nie zjadłaś jakąś godzinę temu tony prażonej kukurydzy?

Wciąż się uśmiechając, zabawiała się prostym złotym łańcuszkiem na szyi.

- Kukurydza jedzona w kinie nie liczy się. To tylko część doświadczenia, na tej samej zasadzie jak podkład muzyczny do filmu.

- Była tam w ogóle jakaś muzyka? Trudno to tak nazwać.

A więc jestem niewybredna - oznajmiła, wzruszając ramionami. - Lubię kino akcji. Raz, w ramach kursu, napisałam nawet scenariusz. Było w nim dużo mor dobicia, pościgów samochodowych i strzelaniny.

- I co się z nim stało?

Kelsey bezwiednie wystukiwała noga rytm melodii Guns N'Roses wyjącej z grającej szafy.

- Dostałam za to piątkę, a potem dałam sobie z tym spokój. Sprzeciwiłam się wysłaniu scenariusza gdziekolwiek. Gdyby ktoś go kupił, wszystko przerobiłby i to nie byłoby już moje. - Kelnerka podała im pepsi w dużych plastikowych czerwonych kubkach. - A poza tym nie chcę być pisarką.

- A kim?

- O, chciałabym robić dużo rzeczy. - Wzruszyła ramionami, po czym sięgnęła po kubek. - U mnie wszystko zależy od humoru. Ileż ja już kursów pokończyłam! -

Uśmiechnęła się krzywo. - Jestem wybitna, jeśli chodzi o zaliczanie kursów. Jeżeli chcesz wiedzieć wszystkiego po trochu, od programowania komputerowego po dekorację wnętrz, zwróć się do mnie!

To logiczne. Wychowałaś się w profesorskim domu. - Podniósł kubek do ust. -

Wiedza jest rzeczą świętą.

- Raczej częścią świętości. Ale ja wychodziłam z założenia, że zajmując się wieloma dziedzinami, prędzej czy później znajdę coś, co mi naprawdę będzie odpowiadało.

- I znalazłaś?

- Tak - odparła i westchnęła. - Moja rodzina nie omieszkałaby natychmiast zauważyć, że mówiłam już tak wielokrotnie. Tym razem jednak jest inaczej. To zresztą również mówiłam już wielokrotnie. - Uśmiechnęła się pod nosem. - Ale to prawda.

Nic dotąd ta idealnie mi nie odpowiadało. Czuję wyraźnie, że to jest to. Jestem sobą i w zgodzie z sobą. Bóg mi świadkiem, że nigdy w życiu tak ciężko nie pracowałam.

Na dowód pokazała swoje ręce. Pomyślała, że stały się szorstkie i mocne.

Chciałaby wierzyć, że wraz z nimi ona także staje się silna.

- A ty? Trafiłeś na to, co ci odpowiada?

Patrzył jej prosto w oczy. Przez moment zdawało jej się, że przenika jego tajemnice, dostrzega głód, który nie ma nic wspólnego z zapachem czosnku i roztopionego sera.

- Być może.

- Czy zawsze patrzysz na kobietę tak, jakbyś się przymierzał do zjedzenia jej po kawałku, od stóp do głów?

Na jego ustach pojawił się lekki uśmiech, lecz wyraz oczu się nie zmienił.

- Nikt mnie o to jeszcze nie pytał. - Zaczął pieścić jej stopę spoczywającą obok niego na ławie. - Ale skoro o tym mowa, uważam, że jest to ciekawa propozycja na zakończenie wieczoru.

Kelnerka z hukiem postawiła przed nimi pizzę i dwa plastikowe białe talerze.

Smacznego! - wyrecytowała jak automat i popędziła zrealizować następne zamówienia.

- Uwielbiam taką atmosferę. - Kelsey zdjęła ostrożnie stopę z ławy i się wyprostowała. - Ale wracając do tematu. Pytałam cię o farmę. Czy to jest to, czego pragniesz?

Plastikowym nożem oddzielił porcje, kładąc jedną na jej talerzu, drugą na swoim.

- To mi odpowiada.

- Dlaczego?

- Wiesz co, skarbie, chyba popełniłaś błąd, rezygnując z pisarstwa. Albo choćby z dziennikarstwa.

- Można usłyszeć odpowiedź, nie zadając pytania. - Wzięła pierwszy kęs. Palił w ustach od ostrej papryki, kleił się od roztopionego sera. Z uznaniem pokiwała głową. -

W każdym razie od niektórych ludzi. Nie lubisz pytań, Slater?

By uniknąć odpowiedzi, powrócił do poprzedniego jej pytania.

- Odpowiada mi, bo jest moja.

- To jest aż tak proste?

- Nie, aż tak bardzo skomplikowane. Chyba nie zamierzasz psuć wieczoru, wypytując mnie o historię mojego życia, Kelsey? Możesz stracić apetyt.

- Mam zdrowy żołądek. - Zlizwała sos z kciuka. - Znasz moją historię, Gabe. A w każdym razie wiele jej wzlotów i upadków. Nie potrafię przejść do następnego etapu, nie rozumiejąc choć trochę osoby, z którą mam zrobić ten krok. - Nie odrywała się od jedzenia, czując na sobie jego niezadowolone spojrzenie. - To nie jest ultimatum ani asekuracja. Po prostu tak jest. Mam do ciebie słabość, lubię z tobą przebywać. Ale cię nie znam.

Pomyślał, że gdyby znała, być może inne jej uczucia znacznie by zbladły. Już nieraz w życiu grał, gdy szanse były nierówne, a wygrana wysoka.

- Opowiedz najpierw o sobie. Ukochana jedynaczka tatusia. Dobre koneksje.

Poczucie bezpieczeństwa. Rozpieszczana.

Choć to ostatnie określenie wydało się jej lekko przesadzone, nie zaprzeczyła.

- W porządku. To prawda, że gdy dorastałam, otrzymywałam prawie wszystko, czego zapragnęłam. Pod względem uczuciowym i materialnym. Sądzę, że chciano mi w ten sposób wynagrodzić brak matki. Ale ja nie zauważałam jej braku.

- Duży dom w willowej dzielnicy - ciągnął. - Dobre szkoły. Letnie obozy, trzy posiłki dziennie, nauka baletu.

Jeśli chciał jej dokuczyć, osiągnął cel. Cedząc przez zęby, dorzuciła jeszcze swoją porcję:

Zapomniałeś o lekcjach gry na fortepianie, pływaniu i szermierce.

- To wszystko składa się na jedną całość. Potańcówki, wolny wybór studiów, a ukoronowaniem wszystkiego twoje spektakularne wesele.

- Nie zapomnij o długiej, uciążliwej sprawie rozwodowej. Do czego właściwie zmierzasz, Slater?

- Brak ci klucza do mojej przeszłości, Kelsey. Nawet gdybym ci o niej opowiedział, niewiele byś zrozumiała.

Mimo to postanowił opowiedzieć, sprawdzić rozkład kart.

- Być może nie kładłem się spać całkiem głodny. Być może miewaliśmy w tamtym okresie dość pieniędzy na jedzenie, a może udawało mi się coś ukraść albo wyżebrać... W przymusowych sytuacjach dzieci są świetnymi żebrakami, dobrymi złodziejami - dodał, obserwując twarz Kelsey. - Ludzie czują się wobec nich winni, więc się litują albo udają, że ich nie widzą.

- Dużo jest ludzi zmuszonych prosić o pieniądze - powiedziała ostrożnie Kelsey.

- Nie ma w tym nic wstydliwego.

- Mówisz tak, ponieważ nigdy nikogo nie musiałaś prosić. Ani od nikogo brać. -

Zabrzączał lód w jego szklance. Odstawił ją na stół. - W nocy nadśluchiwałem, albo starałem się nie słyszeć, odgłosów bicia dochodzących z sąsiedniego pokoju. Płaczu mojej matki. Sąsiadki zarabiającej godzinową stawkę z jakimś anonimowym klientem.

Jeśli mi się poszczęściło, budziłem się w tym samym łóżku, w którym zasnąłem. A jeśli nie, matka wchodziła w środku nocy i chyłkiem wymykaliśmy się, zanim nas wyrzucono, ponieważ ojciec znowu stracił pieniądze przeznaczone na czynsz.

Kelsey wyraźnie ujrzała mroczny obraz.

- Gdzie się wychowywałeś?

- Nigdzie. To mogło być Chicago, Reno albo Miami. Zimę staraliśmy się przetrwać na południu, ponieważ było tam cieplej, a wyścigi konne trwały dłużej. To mogło być wszędzie. Jeżeli nie masz grosza i uciekasz, wszystkie miejsca są takie same. Oczywiście mój stary mógłby powiedzieć, że się przeprowadzaliśmy. Że rozpracowywał metodę na dużą wygraną. Matka szorowała toalety, żebyśmy nie głodowali, a on zabierał większą część jej zarobków i przepuszczał na konie, karty i zakłady w rodzaju tego, jak daleko skoczy pieprzony konik polny. Dopóki miał w kieszeni parę moniaków i mógł grać ważniaka, zakładał się o wszystko.

Gabe mówił beznamiętnie. Jedyne w jego oczach malowała się gorycz.

- Lubił oszukiwać. O, w tym był szczególnie dobry. Ale jeśli mu coś nie wyszło, matka musiała się nieźle nabiedzić, żeby go wyciągnąć z opresji i żeby nie połamano mu rąk. Kochała go. - To była dla Gabe'a najbardziej gorzka pigułka do przełknięcia. -

Wiele kobiet kochało się w Richu Slaterze.

Mówiąc nie przerywał jedzenia, jakby chciał sobie udowodnić, że już go to nie obchodzi.

- Bił ją dla przyjemności. Niektóre kobiety zawsze wracają po kolejny policzek.

Obnoszą swoje posiniaczone oczy i rozbite wargi niczym honorową odznakę. Moja matka należała do tego typu kobiet. Kiedy chciałem ojca powstrzymać, solidnie obrywaliśmy oboje. Matka nigdy mi za to nie dziękowała, mawiała, że po prostu niczego nie rozumiem. Miała rację - dodał - nigdy tego nie zrozumiałem.

- Chyba było jakieś miejsce, dokąd mogłeś odejść? Ochronka. Opieka społeczna. Policja.

Gabe obrzucił ją spojrzeniem. Jej gładką jasną cerę, twarz, na której były wypisane dobre pochodzenie i szczęśliwe dzieciństwo.

- Niektórzy ludzie urodzili się po to, by spać w obskurnych zaułkach, Kelsey.

Tak zbudowany jest świat.

- Nie, tak wcale nie musi być. Nie powinno.

- Masz wyrobiony nawyk szukania pomocy, oczekiwania, że zostanie ci udzielona, masz odwagę o nią prosić. Moja matka tak nie potrafiła. Opuściła ręce, niczego nie oczekując, o nic nie prosząc.

Oczy Kelsey pociemniały z przerażenia i żalu.

- Przecież byłeś zaledwie dzieckiem! Ktoś powinien był... coś zrobić.

- Wcale bym temu komuś nie podziękował. Zostałem tak wychowany, że spluwałem na widok gliny, pracowników społecznych uważałem za darmozjadów przekładających bezużyteczne papierki, których jedyną troską jest zabranianie tego, na co się ma akurat ochotę. I dlatego ich unikałem. Do szkoły chodziłem, kiedy chciałem. To była ostatnia rzecz, na której mi zależało, Bóg świadkiem. A matka nie miała już sił, by jeszcze i ze mną walczyć. A więc na ogół robiłem, co mi się podobało.

Stary lubił się ze mną włóczyć, czasami brał mnie na wabia. Niekiedy działałem na własną rękę. Przebywanie z nim stwarzało przynajmniej szansę, że gdy będzie już spity, zwędzę mu trochę pieniędzy i oddam matce.

- Musiałeś chyba myśleć o ucieczce, o tym, żeby się od niego uwolnić?



- Oczywiście, że o tym myślałem. Ale wykombinowałem sobie, że jeśli zostanę, zdołam powstrzymać go przed zatluczeniem matki na śmierć. Nic innego nie mogłem dla niej zrobić. Matka umarła w przytułku. Na zapalenie płuc. Odczekałem pół roku.

W tym czasie odkładałem pieniądze zarobione w nieuczciwych grach i pracowałem na torze wyścigowym. A potem prysnąłem. Miałem wtedy trzynaście lat.

Był wysoki na swój wiek, przypominał sobie. Rozgarnięty. Przedwcześnie dojrzały.

- Stary dopadł mnie kilka razy. Problem polegał na tym, że połknąłem bakcyła wyścigów konnych, a więc zwykle lądowałem na torze. Podobnie jak on. Niezłe od niego obrywałem. Szantażował mnie. Na ogół musiałem się wykupywać.

- Wykupywać?

- Jeśli mi się wiodło, miałem pieniądze. Dawałem więc mu parę setek - grał

wtedy na własną rękę albo szedł do najbliższego baru. - Od tamtego czasu stawka oczywiście poszła w górę, pomyślał. - Kiedy udawało mi się od niego wyrwać, zaczynałem od nowa, myśląc tylko o jednym: przyjdzie dzień, kiedy będę panem siebie. I wtedy mnie nie tknie. Nikt mnie nie tknie. Dlaczego nie jesz?

- Przepraszam. - Kelsey sięgnęła po jego rękę i przytrzymała ją mocno. - Jest mi naprawdę przykro, Gabe.

Nie oczekiwał litości. Chyba chciał teraz dziewczynę przerazić; chciał, by skuliła się ze strachu. Czyż nie miałby wówczas pretekstu, by odsunąć się od niej i zatrzymać szaleńczy wyścig ku przyszłości, której nie widział przed sobą?

- Jakiś czas siedziałem w mamrze za pokera. Nie zorientowałem się w porę, że zastawiono na nas pułapkę. - Czekał na jej komentarz, ale Kelsey nie odezwała się słowem. - Byłem płotką, a wpadłem z grubymi rybami. Po wyjściu stałem się sprytniejszy. Trochę zajmowałem się drobnymi kantami, ale bardziej pociągał mnie hazard niż szulerka. Lubiłem konie, więc pracowałem w stajniach, a to, co zarobiłem, pozwalało mi grać na wyścigach. Nie podobało mi się więzienie, więc grałem czysto.

Nie piłem, ponieważ ilekroć zaczynałem, śmierdziałem jak mój stary. No i miałem szczęście.

Skończył. Oparł się i zapalił cygaro.

- Czy teraz lepiej mnie rozumiesz?

Jak mógł sądzić, że nie dostrzegła gniewu, rany, która się zabiłiżniła? Ludzie przechodzący obok ich stolika widzieli zapewne mężczyznę prowadzącego ożywioną rozmowę przy jedzeniu. Spędzającego czas w miłym towarzystwie. Ale gdyby zajrzeli mu w oczy, naprawdę zajrzeli, czyż mogliby nie zauważyć jego niemej, bezbrzeżnej złości? W poczuciu bezsilności Kelsey znowu położyła rękę na dłoni Gabe'a.

- Być może nie rozumiem w taki sposób, w jaki byś chciał. Ale wydaje mi się, że wiem, jakim koszmarem może być życie z alkoholikiem, który...

- On nie jest alkoholikiem - uciął Gabe lodowatym tonem. - Między alkoholikiem a pijakiem jest różnica. Żaden dwunastostopniowy program nie zmieni faktu, że jest pijakiem, nędznym pijakiem, który uwielbia bić kobiety i każdego, kto jest od niego słabszy. I to nie był koszmarny sen. To było życie. Moje życie. Cofnęła rękę.

- Wolałbyś, żebym nie rozumiała.

Obracał cygaro, patrząc na jego tłący się koniec. Nie zdawał sobie sprawy, że zwykle współczucie przywoła tak wiele wspomnień i związanych z nimi odczuć.

- Masz rację. Wolałbym, żebyś przyjęła mnie takim, jakim mnie widzisz. Albo żebyśmy dali sobie z tym spokój. - Oboje jesteśmy produktem naszego wychowania.

Tak czy inaczej. Nie zależy mi na kimś tylko ze względu na to, jaki się wydaje. Już nie.

A jeżeli mnie chcesz, musisz się zgodzić z tym, że mi na tobie zależy.

Strząsnął popiół.

- To brzmi jak ultimatum.

- Bo to jest ultimatum. - Odstawiła na bok plastikowy talerz i wzięła zakiet. -

Przed nimi długa droga do domu. Ruszajmy zatem.

Dużo myślała o małym chłopcu, który przepychał się i torował sobie drogę w dzieciństwie. O dziecku, które zamiast przy kołysance, zasypiało wśród ochrypłych krzyków dziwek i pijaków.

Nie wiedziała, ile z tego chłopca pozostało w obecnym mężczyźnie. Chyba więcej, niż Gabe przypuszcza. Na pewno więcej, niż komukolwiek dane było to widzieć.

Całkiem po prostu ukształtował się od nowa. Gładkie, nienagane maniery, oszałamiający dom na wzgórzu, stajnie czempionów. Ile osób spośród wyścigowej śmietanki towarzyskiej wiedziało, z jakich dołów pochodził? A jeśli tak, to czy nie uważano tego za rodzaj zabawnej ekstrawagancji?

Choćby Gabe nawet bardzo chciał, żeby było inaczej, Kelsey zaczynała go rozumieć. I czy dostrzegając to, czy nie, zależało jej na nim.

Była już prawie pierwsza po północy, gdy Bill Cunningham spieszył do frontowych drzwi, do których ktoś dobijał się natrętnie. Opasał nagi brzuch chińskim jedwabnym czerwonym kimonem. Spojrzał przez okno. Jakie szczęście, że Marla, jego nowa kochanka, śpi głębokim snem i nie spotka się z gościem. Jej głośne chrapanie w wielkim łóżu wodnym chętnie przypisałby swoim wspaniałym wyczynom seksualnym.

Ale prawdopodobniejsza wersja wskazywała na nadmierne spożycie lekko narkotyzowanych pigulek, które Marla pochłaniała jak cukierki.

Bez względu na przyczynę wizyty, Billowi ulżyło, że przyjmie spóźnionego i nieoczekiwanego gościa bez świadków.

- Powiedziałem, żebyś nigdy tu nie przychodził - syknął, wygładzając resztkę niegdysiejszych włosów. Zaraz po Derby będzie musiał uzupełnić braki w owłosieniu.

- Spokojnie, spokojnie, Billy, nikt mnie nie widział. - Puch był już w drugiej fazie swojego alkoholowego ciągu. Nie zataczał się, nawet nie bełkotał, ale wyraźnie wskazywały na to jego szkliste oczy. - A gdyby nawet, to, do diabła, żadne prawo nie zabrania człowiekowi odwiedzać starego kumpla od pokera, no nie? - Uśmiechnął się szeroko, obejmując spojrzeniem zasobne wnętrze. Stary Bill nieźle się odkuł, zauważył

i szybko obliczył, ile wyciągnie od niego dodatkowych banknotów. - Nie poczęstujesz mnie drinkiem?

Oszalałeś?! - Chociaż w domu nie było nikogo oprócz zamroczonej środkami nasennymi Marli, Cunningham zniżył głos do szeptu. - Wiesz, że były tutaj gliny?

Tutaj! - powtórzył, tak jakby jego pretensjonalny i z przesadą urządzonej dom był

miejscem równie świętym jak kościół. - Wypytywali mnie, bo jakiś gadatliwy stajenny wypaplał im, że pozwoliłem Lipsky'emu przerzucać u siebie gnój przez parę dni.

- Powiedziałem ci, że to był błąd. Ale niewielki. - Podniósł dwa złączone palce i spojrzał na nie zezem. - Gdzie jest bar, Billy? Wyszłem jak pieprzona Sahara.

- Nie chcę, żebyś pił w moim domu.

Rich uśmiechnął się jeszcze szerzej, ale jego spojrzenie było twarde.

- Widzę, że nie masz ochoty pogadać z partnerem od interesów, Bill. Zwłaszcza od kiedy przedstawiłem ci nową propozycję.

Cunningham zwilżył wargi.

- Zawarliśmy już umowę.

- Właśnie o niej chciałem porozmawiać. Przy szklaneczce, w serdecznej atmosferze.

- Dobrze, już dobrze. Tylko się streszczaj. - Przechodząc obok schodów, Bill rzucił okiem na górę, po czym wszedł do złocistobłękitnego salonu, położonego na lekko obniżonym poziomie. - I zachowuj się cicho. Mam na górze kobietę.

- Szatan nie kogut. - Puch dał mu przyjacielskiego kuksańca między żebra. -

Może ona ma przyjaciółkę? Ostatnio nic mi się nie trafiło.

Nie. I proszę, tylko bez poufałości. Nie chcę, żeby dowiedziała się o tobie czy którejś z naszych spraw. Jest dobrze zbudowana, ale niezbyt błyskotliwa.

- Nie ma nic lepszego niż taka kobieta. - Slater skinął głową na znak aprobaty i zapadł się w rozłożysty fotel pokryty złocistym aksamitem. - Ty to umiesz żyć, przyjacielu. Zawsze mówiłem, że Billy boy potrafi czerpać z życia.

Nie zamierzasz chyba rozpowiadać o tym naokoło? - Cunningham nalał dwie szklaneczki dwudziestoletniej szkockiej. Była to czysta strata, jeśli chodzi o Richa, ale chciał zrobić wrażenie. Jak zawsze. - Miałeś się zająć Lipskym.

- No i się zająłem. - Zadowolony z siebie Rich zakręcił szklaneczką, po czym upił łyk. - Pierwsza klasa, nie uważasz? Załatwiłem go tak, jak ty załatwiasz konie.

Ręka Cunninghama zadrżała, gdy podnosił szklanę.

- Nie chcę o tym słyszeć. Na Boga, Rich, mówiłem: tylko bez trupów... Stary Mick uchodził na wyścigach za świętego.

- Nieprzewidziana komplikacja - stwierdził Slater. Wstał, by nalać sobie następną szklaneczkę. - Za którą Lipsky musiał zapłacić. A mnie przysporzyło to dodatkowych wydatków, Bill. No i ciebie będzie to kosztowało kolejne dziesięć tysięcy.

Oszalałeś?! - Cunningham poderwał się z miejsca, zachlapując się szkocką. -

Zrobiłeś to na własną rękę, Rich.

- Żeby chronić twoje interesy. Glinom wystarczyłoby pięć minut, by Lipsky wskazał palcem na mnie. A ode mnie ślad prowadzi prosto do ciebie - dodał

wielkodusznie. - A więc jeszcze dziesięć, Bill. To uczciwa cena.

Cunningham z trudem to przełknął. Pieniądze, które wpadły mu do kieszeni dzięki Big Shebie, były istnym cudem. Ale za cud trzeba płacić.

Równie dobrze mógłbyś zażądać dziesięciu milionów. Przypierasz mnie do muru.

Rich spodziewał się tego. Był przygotowany na rozsądny kompromis.

- Mogę zaczekać, nie ma sprawy. Co dla przyjaciół znaczy parę tygodni? A teraz słuchaj... - Założył nogę na nogę. - Przyszedłem, bo mam propozycję, Billy. Drobną zmianę w naszym planie może nam obu przynieść sporo forsy. Chcesz zgarnąć szmal na Churchill Downs. Ja również. Ale oprócz tego muszę jeszcze wyrównać rachunki z moim chłopakiem.

- Dopóki nasz plan zdaje egzamin, nie wtrącam się w twoje rodzinne sprawy. -

Ale pomysł odegrania się na Gabie rozgrzał jego emocje silniej niż szkocka. - Ta historia z Lipskym omal go nie przekreśliła.

- Nie przejmuj się, nie przejmuj. - Rich leniwie pomachał szklaneczką. - Tak to załatwiłem, że nic ci nie grozi, z wyjątkiem, jak już wspomniałem - jednej drobnej zmiany.

- Jakiej zmiany?

- No więc słuchaj. - Rich westchnął i wychylił łyk. - Wszystko ci opowiem. I sędzę, że docenisz ironię naszej umowy, Billy boy. Naprawdę spodziewam się, że docenisz.

Gdy Cunningham wgramolił się z powrotem do łóżka, nie mógł opanować drżenia. Nie należał do ludzi żądnych krwi, przekonywał samego siebie. To nie jego wina, że dwoje ludzi nie żyje. Widać na nich wypało, jak powiedział Rich.

Może to było szaleństwo wiązać się z Richem Slaterem, ale nie widział innego wyjścia. A ponieważ wszystko tak świetnie dało się zgrać w czasie, uznał to za dobry znak. Precyzyjny plan Richa, choć ohydny, nie był pozbawiony sensu.

A poza tym czy miałem wybór? - zapytywał Cunningham samego siebie.

Wiedział, że jeżeli przegra w Churchill Downs, nie będzie więcej żadnych Marli, koniec z marzeniem o dużej wiejskiej posiadłości, koniec z dumnym paradowaniem na padoku.

Spodziewał się, że Big Sheba będzie jego asem w rękawie. Utopił w niej pieniądze, wszystkie zaoszczędzone i pożyczone dolary. A ona miała słabe płuca.

Zacisnął powieki, przeklinając siebie, że postawił fortunę na tego konia.

Żeby się odkuć, musi mieć te Derby, właśnie Derby. Gdy już to osiągnie, zadowolony się rozmnażaniem Big Sheby. Będzie mógł całkiem niezłe żyć ze sprzedaży jej źrebaków.

A na razie, wracając do planu Richa, trzeba się zastanowić nad ustawieniem gonitwy. Wszystko musi się odbyć bez najmniejszego potknięcia. Jeden bieg, pomyślał, tylko jeden dobry bieg.

Aby się ogrzać, wtulił się w Marłę, a jej chrapanie ukołysało go do snu.

## **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

Podróż z wiejskiej Wirginii do podmiejskiego Marylandu wydała się Kelsey dłuższa niż zwykle. Miała więc dużo czasu na myślenie. Wiedziała, że napotka opór.

Potężny opór, jeśli nic się nie zmieniło w ciągu ostatnich kilku tygodni. Z pewnością Candace poinformowała Milicent, że jej wnuczka jest w drodze.

Lepiej już stawić czoło wszystkim naraz, stwierdziła Kelsey. Wstrząsnąć nimi, rozczarować ich, zgorszyć. Idealna sytuacja, pomyślała z kwaśną miną. Candace będzie zszokowana, ojciec

rozczarowany, babka zgorszona.

A ona, miała nadzieję, będzie szczęśliwa.

Kiedy wjechała na podjazd, ojciec zajęty był pracą przy klombie. Ubrany w stary sweter z łatami na łokciach i w ubłocone, podwinięte do kolan drelichowe spodnie pełł azalie pokryte świeżymi, maleńkimi pączkami.

Poczuła ogromny przyływ miłości. Wypadła z samochodu i pobiegła przez starannie przystrzyżony trawnik, by objąć ojca i przytulić się do niego; trwali tak przez chwilę w milczeniu, spoglądając na kwitnące krzewy.

- Kocham ten dom - szepnęła Kelsey, opierając głowę na jego ramieniu. -

Właśnie niedawno sobie uświadomiłam, jak wielkie miałam szczęście, mogąc tutaj dorastać. - Pomyślała o Gabie i dotknęła ręką łososiowych kwiatów. - Tak, to wielkie szczęście, że miałam ciebie i kwiaty przed domem. - Uśmiechnęła się lekko. - I lekcje baletu.

- Znienawidziłaś je po sześciu miesiącach - przypomniał jej ojciec.

- Ale miałam szczęście, że mogłam je mieć.

Przyjrzał się twarzy córki i odgarnął jej włosy, które rozsypały się na ramionach.

- Wszystko w porządku, Kelsey?

- Tak.

- Martwiliśmy się o ciebie. Ta ostatnia gwałtowna...

- Tak, wiem - przerwała mu. - To straszne, co stało się z tymi dwoma mężczyznami. Wolałabym ci powiedzieć, że to mnie nie poruszyło, ale oczywiście tak nie jest. Czuję się jednak dobrze.

- Chciałem się o tym przekonać na własne oczy. Rozmowy telefoniczne to nie to samo. - Philip pobierał narzędzia ogrodnicze do drucianego koszyka. - No to jesteś w domu. To najważniejsze. Wejdźmy od tyłu, bo Candace gotowa jest obedrzeć mnie żywcem ze skóry za brudne ślady na podłodze.

Kiedy szli, Kelsey objęła ojca w pasie.

- Widziałam samochód babci.

- Tak, Candace powiadomiła ją, że jesteś w drodze. Są w środku i robią plany na wiosenny dobroczynny bal w klubie. - Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo. -

Zdaje się, że jednym z pierwszych punktów ich programu jest znalezienie ci odpowiedniego kawalera.

Kelsey drgnęła bezwiednie, a następnie przypomniała sobie.

- Aha, wiosenny bal. W maju, prawda?

- Tak, w pierwszą sobotę.

Tego dnia odbywa się wiosenna inauguracja sezonu w Kentucky, przypomniała sobie. Rokrocznie tego samego dnia. Dzień derby. Wiedziała, że opuszczenie balu zostanie wpisane na jej konto jako kolejny grzech.

- Tatku. - Odczekała, aż odstawi narzędzia do małej sionki, równie nieskazitelnie czystej jak reszta domu. - Nie będzie mnie w mieście w tym czasie.

- Nie będzie cię w mieście? - Wszedł do kuchni, by umyć ręce. - Kelsey, od siedemnastego roku życia nie opuściłaś ani jednego wiosennego balu.

- Wiem. Przykro mi, ale tym razem mam inne plany. - Nic nie odparł, tylko wytarł ręce. Pomyślała, że pierwsze rozczarowanie już sprawiła. - Mam plany -

powtórzyła. - Najlepiej będzie, jeśli od razu wszystkim o nich powiem.

- Tak chyba będzie najlepiej. - Starając się oddalić od siebie niewesołe myśli, Philip wszedł z nią do salonu.

Candace i Milicent już tu były. Gawędziły przy maleńkich kruchych kanapeczkach i herbacie w miśnięskich filiżankach. Jaśminowej, poznała Kelsey po delikatnym zapachu unoszącym się w powietrzu. Tymczasem jeśli o nią chodzi, zdarzało się, że gdy była w stajni o tej porze dnia, zjadała łąpczywie kawałek jakiegokolwiek wędliny i popijała mocną czarną kawą.

Jej gust, podobnie jak i inne rzeczy, szybko się zmienił.

- Kelsey! - powitał ją radosny śmiech Candace, która wstała od stolika, by ucałować oba policzki pasierbicy. Kelsey poczuła subtelny zapach perfum L'Air du Temps, który mieszał się z aromatem herbaty i nieodłączną piątką Chanel babci.

Salonowe zapachy, pomyślała; zdecydowanie za bardzo przywykła do stajennych pachnideł. Jakby przepaszając, objęła Candace z przesadnym entuzjazmem.

- Wspaniale wyglądasz. Nowa fryzura?

Candace odruchowo przyklepała swoje krótkie czarne loczki.

- Nie uważasz, że zbyt młodzieżowa? Przysięgam, że Robert może wszystko mi wmówić.

- Jest idealna - zapewniła ją Kelsey, przypominając sobie nagle, że od tygodni nie była u Roberta ani u żadnego innego fryzjera. - Dzień dobry, babciu. - Pocałunek w policzek na powitanie był tyleż sztwywny, co pełen szacunku. - Ty także świetnie wyglądasz.

- Znowu trochę przybrałaś na wadze, jak widzę. - Milicent sączyła herbatę, oceniając znad brzegu filiżanki wygląd Kelsey. - To dobrze. Ale uważaj, żebyś nie przesadziła w drugą stronę. Drobnokościste kobiety nie wyglądają dobrze przy nadwadze.

- To głównie mięśnie. - Kelsey napięła bicepsy, chcąc się nieco podrażnić z babką. - Od wyrzucania gnoju i przerzucania siana. - Z uśmiechem odwróciła się ku oniemiałej Candace. - Z przyjemnością napiłabym się herbaty. Nie obawiaj się, umyłam się po porannym treningu.

Oczywiście, oczywiście. Usiądź, kochanie. Philipie, nie wniosłaś na sobie połowy ogrodu do domu?

- Ani jednej grudki. - Bez słowa sprzeciwu przyjął herbatę i małą kanapkę.

Wieczorem, po powrocie Channinga do domu, wspólnie ogołocą lodówkę. - Azalie wcześniej zakwitły w tym roku. Jeszcze chyba nigdy nie były tak piękne.

- To samo mówisz każdej wiosny. - Candace poklepała go czule po ręku. - Czy wiesz, że w tym kwartale domów tylko my nie mamy ogrodnika, a żaden ogród nie może równać się z naszym? Dzięki magii Philipa.

- Przyjemne hobby - zgodziła się Milicent. - Zawsze wolałam sama pielęgnować moje róże.

Skoncentrowała uwagę na Kelsey. Pomyślała, że dziewczyna wreszcie poszła po rozum do głowy i odpowiednio się ubrała. Była prawie pewna, że Kelsey zademonstruje swój upór i przyjedzie w zabłoconych butach do jazdy konnej. Ale morelowy, stonowany zakiet i pantofle cieszyły wzrok i były w dobrym guście.

- Właśnie - zaczęła - omawialiśmy z Candace dekorację kwiatową na wiosenny bal. Jesteśmy w komitecie organizacyjnym. Ty masz dobre oko, Kelsey. Oddelegujemy cię do pracy z kwiaciarką.

- Dziękuję za zaufanie, ale muszę zrezygnować. Obawiam się, że nie będzie mnie w tym czasie.

Nie będziesz na balu? - Candace znowu się zaśmiała, dolewając herbatę. -

Oczywiście, że będziesz. To obowiązek. Zdaję sobie sprawę, że możesz się czuć trochę skrępowana po rozwodzie i wolałabyś nie spotykać Wade'a z jego narzeczoną, ale nie powinnaś się tym przejmować. Staramy się z Milicent znaleźć dla ciebie jak najlepsze rozwiązanie.

- O, czyżby? - Kelsey chciała najpierw wyłożyć im swoje stanowisko, lecz zrezygnowała.

- Tak, naprawdę. - Pełna entuzjazmu Candace wsypała czubatą łyżeczkę cukru do herbaty. - W ubiegłym roku tworzyliście z Channingiem uroczą parę, ale nie sądzę, żeby należało kontynuować tę tradycję. W każdym razie ludzie będą mniej mówić, jeżeli przyjdiesz z odpowiedniejszym partnerem. - Jako doskonała pani domu podała wokół tacę pełną kanapek z ogórkiem. - Tak się składa, że syn June i Rogera Millerów znowu pojawił się na naszym terenie. Pamiętasz chyba Parkera, Kelsey. Przez kilka ostatnich lat studiował chirurgię szczękową w Nowym Jorku, a teraz otrzymał świetną posadę w Dystrykcie Kolumbii. Parker jest kawalerem - dodała z figlarnym uśmiechem.



- Tak, pamiętam go. - Świetna rodzina. Odpowiednia pozycja społeczna, odpowiednie szkoły, odpowiedni zawód - wszystko odpowiednie. To nie jego wina, stwierdziła Kelsey, że wydaje się klonem Wade'a Monroe'a.

- Rozmawiałam już z Millerami. - Zadowolona z obrotu sprawy Milicent popijała delikatnie pachnącą herbatę. - Parker będzie ci towarzyszył. Wszystko jest ustalone.

Jakie to typowe, pomyślała Kelsey, hamując narastającą w niej złość.

Jestem pewna, że państwo Millerowie są zachwyceni z powrotu Parkera, i proszę cię, żebyś przekazała im ode mnie pozdrowienia. Niestety, nie będzie mnie tutaj. Wyjeżdżam do Kentucky w tym tygodniu i nie wrócę przed pierwszym weekendem w maju - oznajmiła.

- Kentucky? - Milicent odstawiła głośno filiżankę na spodek. - Dlaczego, na miły Bóg, wybierasz się do Kentucky?

- Na derby. Nawet w twoim kręgu, babciu, jest to godne uwagi wydarzenie. A gdy wygra koń z Three Willows, będzie to również tematem rozmów na balu. -

Spojrzała na ojca z nadzieją, że ją zrozumie. - Będę świadkiem zwycięstwa.

- To niewybaczalne! - zachnęła się Milicent. - Bydenowie są honorowymi członkami klubu, twój pradziadek był jednym z jego założycieli. Zawsze braliśmy udział w balu.

- Czasy się zmieniają. - Kelsey z trudem starała się nadać głosowi bardziej rzeczowy niż ostry ton. - Mam pracę, poczucie odpowiedzialności i zapał. Czym są w porównaniu z tym jakieś tańce w Country Clubie. Ponadto, Candace, doceniam twój wysiłek, ale nie potrzebuję zaaranżowanego towarzysztwa na balu. Jestem z kimś związana.

- O! - Candace zamrugła oczami, udając zadowolenie. - No cóż, oczywiście, kochanie, to cudownie. Musisz go przyprowadzić.

- Nie sądzę. - W przyjaznym odruchu Kelsey uściśnęła jej rękę. - Ponieważ tacy jak on nie bywają w Country Clubie.

Podejrzewam, że to jeden z pomocników stajennych - powiedziała z przekąsem Milicent.

- Nie. - Zupełnie już wytrącona z równowagi, Kelsey nie puściła tego płazem. -

Jest hazardzistą.

- Jesteś taka sama jak twoja matka. - Sztywna jak kij Milicent podniosła się z krzesła. - Ostrzegałam cię - odezwała się do Philipa. - Nie posłuchałeś mnie przedtem w sprawie Naomi, a teraz w sprawie jej córki. No i wszyscy za to płacimy.

- Milicent! - Candace zerwała się z krzesła i wybiegła z salonu, by dopędzić teściową.

Kelsey odstawiła herbatę. Prawie natychmiast po wypowiedzeniu tych słów zrobiło jej się przykro. Nie tyle z powodu Milicent, ile z powodu ojca.

- To nie było zbyt taktowne z mojej strony... - zaczęła.

Szczerść była zawsze twoją silniejszą stroną niż takt. Znużony głos ojca dodatkowo wzmógł jej poczucie winy.

Jesteś rozczarowany. Tak bardzo pragnęłabym znaleźć sposób, by pogodzić moje potrzeby z waszymi oczekiwaniami.

- Bywają sytuacje, kiedy nie można wszystkich zadowolić. - Wstał, odwrócił się od niej i podszedł do okna. Widział stąd swoje azalie, ich ciasne pączki dopiero uwalniające ukryte wewnątrz płatki. Kwiaty nie dadzą się schwytać w pułapkę -

przebijają się przez osłonę i budzą się spontanicznie do życia.

Jesteś z nią związana - odezwał się cichym głosem. - Spodziewałem się tego.

Macie ze sobą tyle wspólnego. To sięga znacznie głębiej niż wasze zewnętrzne podobieństwo. Częstka mnie, ta częstka, której się wstydzę, chciałaby ci powiedzieć, że popełniasz błąd; że nie należysz tam. Ta moja częstka nie chce widzieć, jak bardzo jesteś szczęśliwa z tego, że tam należysz.

- Czuję, że zrozumiałam, co powinnam robić. Że już nie muszę gnać przed siebie, by zobaczyć coś ciekawszego, ważniejszego. A przecież robiłam to przez całe życie. Oboje o tym wiemy.

- Poszukiwałaś, Kelsey. Nie masz się czego wstydzić.

- Nie wstydzę się. Ale jestem tym zmęczona. Okazałam się dobra w pracy z końmi, z tamtymi ludźmi. Nie mogę wrócić do siebie, do mojego mieszkania, do czasochłonnych zajęć, weekendów w klubie. Czuję się tak, jakbym się...

- Otworzyła? - Ponieważ widok kwiatów sprawiał mu teraz ból, odwrócił się od okna. - Poczwała wolna?

- Tak. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo byłam niespełniona i niezadowolona, zwłaszcza z siebie.

- Możliwe. - Pojawiła się Candace. Jej zaciśnięte szczęki i złe spojrzenie nie wróżyły niczego dobrego. - Ale to jeszcze nie powód, żebyś była niegrzeczna. Twój ojciec i ja, a także twoja babcia, staramy ci się pomóc w tym trudnym dla ciebie okresie.

- Myślę - odezwała się Kelsey, cedząc słowa - że problem polega na tym, iż wcale nie jest mi trudno, chociaż wam się tak wydaje.

- Mogłabyś więc pomyśleć o innych. O tym, co czuje Philip. O tym, co sobie pomyślą ludzie.

- Candace - obruszył się Philip - to nie jest ważne.

- Naprawdę?

- Może masz rację, Candace. Bardzo przejmuję się tym, co czuje tatuś. Ale jakoś nie potrafię się martwić tym, co sobie myślą ludzie. Widać brak mi wrażliwości. Nie chcę ci sprawiać kłopotów i nie zamierzam także was poróżnić.

- Przez ciebie Channing mnie zawiódł.

Wkraczamy na śliski teren, pomyślała Kelsey, przeklinając beztroskę Channinga i fakt, że ją w to wciągnął.

- Tak, namówiłam go, żeby został.

- A teraz chodzą mu po głowie pomysły, żeby tam wrócić i przepracować lato. -

Czerwona z emocji Candace uchwyciła się mocno oparcia krzesła. - Ona mogła zwabić ciebie, Kelsey, ale nie życzę sobie, żeby deprawowała Channinga!

Dobry Boże! - Kelsey czuła, że na nic się nie zdadzą jakiegokolwiek argumenty. -

Skąd ci to przyszło do głowy? Nigdy nawet nie spotkałaś tej kobiety, a już obsadziłaś ją w roli syreny z podrzędnego filmu, wabiącej młodych chłopców i niszczącej wszystko, czego się dotknie. Naomi nie otworzyła drzwi swojego domu Channingowi, by go demoralizować albo żeby dokuczyć komukolwiek z was. Zrobiła to dla mnie. I zaproponowała mu pracę, ponieważ zainteresowała go farma.

- No cóż, nie pozwolę mu na to. - Candace była niezadowolona ze swojego zjadliwego tonu, wzburzona, że Kelsey swoim uporem doprowadziła ją do takiego stanu. - Nie chcę, żeby mój syn marnował czas na wyścigach konnych i obracał się wśród hazardzistów i morderców.

Kelsey opadły ręce.

- To sprawa między tobą a Channingiem.

- Tak, owszem. Prawdą jest także, że nie mam prawa pouczać cię jak powinnaś postępować. - Jej wargi drżały. Zawsze chciała jak najlepiej dla Kelsey, zrobiła wszystko, by stały się przyjaciółkami, pragnęła być jej przewodnikiem, a nie podręcznikową macochą. A teraz, wszystko na to wskazywało, poniosła porażkę. -

Zresztą cokolwiek bym ci radziła, i tak zrobiłabyś swoje. Jak zawsze.

Philip postąpił krok naprzód. Czuł się zakłopotany i zraniony tym wybuchem żony.

- Candace, chyba zatraciliśmy właściwe proporcje. W końcu przecież chodzi tylko o bal w klubie.

- Przepraszam, Philipie. - Niedawna scena i jej zakłopotanie wobec teściowej sprawiły, że poczuła się zwolniona z obowiązku łagodzenia sytuacji. Milicent była dla niej kimś więcej niż jej teściową. Była jej przyjaciółką, jej sprzymierzeńcem. - Muszę jednak powiedzieć, co o tym myślę. Tu nie chodzi jedynie o bal. To kwestia lojalności i przyzwoitego zachowania. Tak dłużej być nie może. Już dostatecznie zraniłaś ojca, Kelsey, wybierając Naomi.

- Czy i ty tak sądzisz? - zwróciła się dziewczyna do ojca. - Czy nie przyszło ci do głowy, że może mi zależeć na was obojgu? Że potrafię pogodzić się z faktami i wybaczyć?

- Nie masz nic Philipowi do wybaczenia - wtrąciła lojalnie Candace. - Zrobił

wszystko, co uważał za słuszne.

- Robiłem to, co wydawało mi się najlepsze - odezwał się prawie szeptem. - To dla mnie trudne, Kelsey. Nie chcę cię zranić w trakcie twoich poszukiwań.

- To oczywiste, że nie chcesz. - W głowie Candace brzmiało znużenie. Tak naprawdę nigdy nie rozumiała pasierbicy. Dlaczego miałyby się to teraz zmienić? -

Problem jest ten sam co zawsze, Kelsey. Idziesz prosto do celu i nie dostrzegasz konsekwencji, jakie to za sobą pociąga. A kiedy już go osiągasz, przeważnie przestaje ci na nim zależeć.

To zwięzłe podsumowanie okazało się bardziej bolesne niż wybuch złości.

- Co sprawia, że jestem zimna i powierzchowna. - Kelsey nie mogła opanować drżenia głosu. - Nie pierwszy raz to słyszę, trudno mi więc przeciwstawić jakiś argument.

- To nieprawda. - Philip ujął ją za ramiona. - I Candace z pewnością nie to miała na myśli. Jesteś stanowcza i zdecydowana, Kelsey, i bywasz uparta. A to są w takim samym stopniu zalety jak wady.

Candace postanowiła się wycofać. Wiedziała z doświadczenia, że upieranie się przy czymkolwiek skazane jest na niepowodzenie wobec zwartego frontu męża i pasierbicy.

- Jesteśmy o ciebie niespokojni, Kelsey. Jeżeli krytykuję cię tak ostro, to tylko dlatego że się niepokoję, a także dlatego że sytuacja stała się trudna dla nas wszystkich. Gazety rozgrzebują stare historie. Ludzie zaczynają plotkować, a to wszystko stawia twojego ojca w bardzo przykrym położeniu.

- Zabito dwóch mężczyzn. - Kelsey poczuła się pewniej. Postąpiła krok do tyłu.

- Nie miałam na to wpływu, podobnie jak nic nie poradzę na plotki.

- Zabito dwóch mężczyzn - powtórzył Philip. - Czy oczekujesz od nas, że będziemy się z tego powodu zamartwiać?

- Nie. Mogę tylko zapewnić, że to nie ma nic wspólnego ani ze mną, ani z Three Willows. Przemoc występuje wszędzie. Świat wyścigów nie jest siedliskiem grzechu i deprawacji. Nie ma na to czasu

ni siły, gdy człowiek jest na nogach od świtu do nocy.

To praca. Ciężka praca. Czasami uciążliwa, czasami pasjonująca, a przede wszystkim, jeśli o mnie chodzi, dająca satysfakcję. Nie odbywają się tam żadne nocne przyjęcia z szampanem i gangsterami. Do diabła! Najczęściej kładziemy się o dziesiątej i śpimy kamiennym snem. Oglądałam porody żrebaków i widziałam dorosłych mężczyzn, którzy śpiewali chorem koniom, by mogły zasnąć. To nie jest film Disneya, ale też nie rozpustna orgia.

Philip wiedział, że przegrał. Równie dobrze mogła tu stać Naomi, broniąca swojego świata, którego nigdy nie rozumiał i do którego nie mógł się przyłączyć. Teraz wolał milczeć.

- Nie wątpię, że to ma swoje zalety - próbowała załagodzić sytuację Candace. -

Sama oglądałam derby w telewizji. Bezsprzecznie, konie są wspaniałe, a widowisko pasjonujące. Nawet Hanahanowie zasmakowali kilka lat temu w wyścigach konnych.

Pamiętasz, Philipie? Nie potępiamy w całości tej... profesji - jeśli tak można to nazwać

- jesteśmy tylko zaniepokojeni twoimi znajomościami. Napomknęłaś coś o swoim związku z hazardzistą... Kelsey westchnęła głośno.

- Powiedziałam tak, żeby zirytować babcię. Powinnam była raczej powiedzieć, że jestem zainteresowana właścicielem sąsiedniej farmy. Przepraszam, że spowodowałam tyle kłopotu, a także za to, co usłyszycie za chwilę. Otóż nie przedłużę umowy o najem mieszkania. Postanowiłam zostać w Three Willows, przynajmniej przez jakiś czas. Może później rozejrzę się za jakimś domem, ale na razie zamierzam pracować na farmie.

Candace położyła rękę na ramieniu Philipa w geście wsparcia i solidarności.

- Bez względu na konsekwencje?

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by je zminimalizować. Zdaję sobie sprawę, że nie będziecie mnie tam odwiedzać, więc postaram się przyjeżdżać możliwie najczęściej. Opuszczę na jakiś czas miasto, ale będę do was dzwonić. - Złapała torebkę i owinęła pasek wokół ręki. - Nie chcę was stracić, nikogo z was.

- To wykluczone. Tutaj zawsze będzie twój dom. - Ojciec przygarnął ją mocno do siebie. Candace nie odezwała się słowem.

Wolałaby, żeby droga powrotna trwała dłużej. Miałaby czas, by ochłonać, uspokoić nerwy, opanować żal i złość. Choć dojeżdżając do Three Willows uporała się już prawie ze złością, to koszt tej walki okazał się dotkliwy. Ból rozdartego serca zawładnął jej całym jestestwem.

Zawróciła spod frontowych drzwi. Nie chciała jeszcze wchodzić do środka i stawać przed Naomi. Jakże żałośnie mogłaby wypaść ich rozmowa po tym, co zostało powiedziane o jej matce i o świecie, w którym żyła. Kelsey postanowiła więc najpierw uporządkować myśli. Posiedzieć po prostu obok przekwitających żonkili i bujnie kwitnących dereni, i przeczekać, aż burza minie.

Jej potrzeba samotności skończyła się wraz z pojawieniem się w patio Gabe'a.

- Szukałem cię.

- O, myślałam, że już odjechałeś.

Przysiadł obok niej na wąskiej kamiennej ławie, przed którą rosły wczesne goździki i orliki.

- Nie odjadę przed wieczorem. - Chciał ją jeszcze zobaczyć. Wystarczający powód, by zmienić plany. Ujął ją za podbródek i przyjrzał się jej uważnie.

Niewątpliwie płakała. Zaskoczyło go to, podobnie jak jego własne tym zainteresowanie. - Coś nie tak?

Potrząsnęła głową, odwróciła się od niego.

- Często zastanawiasz się nad sobą?

- Staram się unikać tego.

Nie zawsze się to udaje, zwłaszcza gdy jak w lustrze przejrzysz się w swoich wadach i winach. Patrzysz na nie i widzisz siebie.

Otoczył ją ramieniem.

- Kto cię skrzywdził, dziecinko? Powiedz, a mu dołożę - próbował nadać głosowi lekkość.

Uśmiechnęła się, potarła nosem o jego policzek i odsunęła się.

- Nie jestem miłą osobą, Gabe. I nawet się o to nie staram. Zwykle dziwiło mnie, gdy mówiono, że jestem zepsuta, uparta lub samowolna. Ponieważ wiem, że to nieprawda. Po prostu robię to, co uważam za słuszne.

Nie mogąc usiedzieć, wstała i zrobiła kilka kroków po wijącej się wzdłuż wschodzących kwiatów, wyłożonej kostką ścieżce.

- Kiedy Wade powiedział, że jestem zimna, zaabsorbowana sobą, nieelastyczna, nie umiejąca wybaczać i różne takie rzeczy, wytłumaczyłam sobie, że w ten sposób usiłuje usprawiedliwić swoją własną zdradę. Nie byłam dość gorąca w łóżku, więc znalazł sobie kogoś lepszego ode mnie. Nie byłam dostatecznie sympatyczna, wystarczająco zainteresowana jego karierą zawodową, a ktoś inny był. Nie chciałam przejść do porządku dziennego nad jego flirtem z inną kobietą. Skoro okazałam się za mało elastyczna, by zrozumieć jego fizyczne potrzeby, to był mój problem. Nigdy nie miałam oporów przed wylewaniem dziecka z kąpielą. Złamanie przysięgi małżeńskiej?

Koniec z małżeństwem i po wszystkim. Tak, to prawda, nie jestem elastyczna.

Odwróciła się do Gabe'a, gotowa do sprzeczki.

- Są rzeczy dobre i złe. Jest prawda i kłamstwo. Prawo i zbrodnia. Zapnijmy więc pasy bezpieczeństwa.

Przezornie pokiwał głową.

- W porządku. Zapnijmy pasy bezpieczeństwa.

- Może zanim stało się to obowiązkowe, nie pamiętałam o zapinaniu pasów.

Człowiek jest zajęty, spieszy się, jedzie tylko na sąsiednią ulicę. Po co więc zawracać sobie głowę pasami? Ale z chwilą gdy prawo weszło w życie, Kelsey zapina pasy. Za każdym razem, bez wyjątku.

- I uważasz, że to świadczy o braku elastyczności?

- Przed wprowadzeniem tego obowiązku nieużywanie pasów było zwykłym idiotyzmem. Prawo nie zmienia istoty zdrowego rozsądku. Ale o ile lekceważyłam zdrowy rozsądek, o tyle nigdy nie łamałam prawa. No cóż, ograniczenia prędkości -

przyznała. - Bagatelizując je, zawsze starałam się to sobie zrationalizować. Skoro pojechałam do Atlanty, próbując skleić moje małżeństwo, skoro wiedziałam, że coś jest nie tak i dlatego usiłowałam je ratować, to dlaczego nie chciałam wybaczyć tego, co tam zobaczyłam? Ponieważ Wade złożył obietnicę. Złożył przysięgę i złamał ją. Dla mnie to był koniec.

Gabe ujął jej podbródek.

- Czy mam powiedzieć, że postąpiłaś źle, porzucając tego łajdaka? Otóż nie zrobię tego z dwóch powodów. Po pierwsze, w pełni się z tobą zgadzam, a po drugie -

chcę cię dla siebie. Mogę tylko zapewnić, że gdyby tamta sprawa dotyczyła nas obojga i gdybym cię zastał flirtującą z innym facetem, on by już nie żył, a tobie byłoby przykro. Czy ci to wystarcza? Zamknęła oczy, wytarła rękoma twarz.

- Jak ja się w to wszystko wpakowałam?

- Domyślam się, że miałaś paskudny ranek. Gdzie byłaś?

- Pojechałam zobaczyć się z ojcem. - Znowu zbierało jej się na płacz. Odwróciła się, by opanować łzy. - Chciałam mu powiedzieć, w cztery oczy, że rezygnuję z mieszkania i zostaję tutaj. Przynajmniej na jakiś czas.

- A on nie ułatwił ci sytuacji.

- Nie, niezupełnie. Nie ojciec. On jest najdelikatniejszym, najlepszym człowiekiem na świecie. A ja go ranie. - Nie powstrzymywała już łez. Do diabła z nimi!

- Nie chcę zadawać mu bólu. Nie chcę, żeby był z mojego powodu nieszczęśliwy, nie mogę się

jednak ugiąć, żeby zadowolić wszystkich.

Gabe bez słowa wstał i przytulił ją do siebie. Nigdy nie zwalczał łez za pomocą słów. Uważał, że lepiej dać im upust.

- Jakie to głupie. - Pociągając nosem, włożyła rękę do kieszeni po chustkę, po czym skorzystała z podanej przez niego chusty indyjskiej. - A wszystko się zaczęło od idiotycznego balu, derby i dentysty.

- Może usiadźmy z powrotem, żebyś mogła rozszyfrować tę zagadkę.

- To jest tradycja - zaczęła Kelsey, siadając ciężko na ławie. - Obowiązek spełnienia rodzinnych oczekiwań. Nie zamierzam się skarżyć, że miałam trudne dzieciństwo, ale upływało ono pod znakiem godnego noszenia nazwiska Bydenów.

Zwłaszcza moja babcia celuje w pilnowaniu, by wszystko było bez zarzutu.

Zwinęła w kulkę chustę Gabe'a. Gdyby tak mogła jeszcze wcisnąć w nią swoją złość i urazy, i wyrzucić je jak najdalej od siebie!

- Ciągle się jeszcze na mnie dąsa za rozwód z Wade'em i splamienie honoru rodziny. Żeby nie wspomnieć o moim tutaj pobycie... - Próbując rozładować napięcie i ponury nastrój, Kelsey zmusiła się do uśmiechu. - W doskonałym staroświeckim stylu skreśliła mnie ze swojego testamentu.

- No cóż... - Gabe ujął dłoń dziewczyny i zabawiał się jej palcami. - Zawsze możesz przeprowadzić się do mnie. Zostać kobietą na utrzymaniu. Dopiero byś jej zrobiła kawał!

- Chryste, za coś takiego moje imię zostałoby wymazane na wieki z rodzinnej Biblii.

Gdy zdał sobie sprawę, że tylko na wpół żartował, puścił jej rękę.

- Nie możemy na to pozwolić, prawda? No a co z tymi tańcami, derby i dentystą?

- To brzmi jak tytuł bardzo złej sztuki. - Próbując się odprężyć, Kelsey wyciągnęła szyję i ramiona, po czym pozwoliła im opaść. - Kiedy przyjechałam do tatusia, czekała już na mnie nagroda w postaci babci i Candace, mojej macochy.

Pojadały kanapki z ogórkiem, projektując kwiatową dekorację na wiosenny bal w Country Clubie. Oczekiwały, że bez wahania włączą się do imprezy. Znalazły nawet dla mnie kawalera na bal, ponieważ od czasu rozejścia się z Wade'em odmawiałam wszelkich randek. Tak więc one...

- Zatrzymaj się na chwilę - przerwał jej Gabe. - Czy mogłabyś zaspokoić moją osobistą ciekawość i powtórzyć ostatnie zdanie? O tych randkach.

- Od dwóch lat z nikim się nie spotykam. Częściowo dlatego, że od zakończenia rozvodu odczuwam to jako coś niewłaściwego, a częściowo z braku ochoty. Seks nigdy nie był siłą napędową mojego życia.



- Możemy to naprawić. - Gabe ponownie ujął jej dłoń i ucałował.

- Staram ci się wytłumaczyć. - Szarpnęła rękę, ale jego uścisk był silny, więc się poddała. - Dentysta, chirurg szczękowy, jest synem przyjaciół, który niedawno powrócił do Dystryktu Kolumbii. Odpowiada wszelkim standardom Bydenów. A ty na przykład - nie.

To najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek od ciebie usłyszałem. Jedźmy do mnie i uczcijmy to.

- Coraz lepiej się dzięki tobie czuję. Nie spodziewałam się, że po tym wszystkim mogę się poczuć lepiej. - Uśmiechając się, Kelsey położyła głowę na jego ramieniu. -

W końcu musiałam im nie tylko powiedzieć, że nie interesuje mnie Doktor Mile Widziany, ale że w ogóle nie wezmę udziału w wiosennym balu w pierwszą sobotę maja.

Derby. Teraz nareszcie wszystkie fragmenty układanki znalazły się na swoim miejscu.

- Tak, derby. Na początku wszystko przebiegało w miarę gładko i w sposób cywilizowany, aż do chwili gdy babcia załaziła mi za skórę. Wtedy - Kelsey zerknęła chytrze na Gabe'a spod rzęs - oznajmiłam jej, że związałam się z hazardzistą. Po prostu, żeby ją wkurzyć.

- Paskudna cecha. - Ujął jej twarz w dłonie i nim zdążyła podjąć decyzję, czy ma się wycofać, czy nie, pocałował ją w usta. - Podoba mi się to.

- Ale im nie. Babcia się wściekła, mój ojciec wyglądał na załamane, a Candace była bardzo zła. Starłyśmy się z nią już nieraz wcześniej, tym razem jednak chciała mi zadać cios poniżej pasa. No i chybiła. Im dłużej tu przebywam, tym bardziej niepokoję rodzinę. A ponieważ jestem nieelastyczna, nie ugnę się i nie pójdę na kompromis.

- Czasami nie ma kompromisowego wyjścia.

- Mili ludzie zawsze je znajdują.

Delikatna sytuacja, pomyślał Gabe, patrząc na młode geranium. Sprawa rodzinna, a on miał bardzo małe doświadczenie, jeśli chodzi o rodzinę.

- Czy nie przyszło ci do głowy, że twoja rodzina wcale nie szuka kompromisu? -

Kelsey powoli zwróciła ku niemu głowę. - Wszystko albo nic. Czy nie o to z grubsza im chodzi?

- Wiesz... nie pomyślałam o tym.

- Ponieważ jesteś taka zimna, taka nieelastyczna i taka twarda, że automatycznie bierzesz na siebie całą winę. Oni mogą zrzucić z siebie odpowiedzialność, grozić ci wydziedziczeniem, mówić, jaką jesteś egoistką, i to wszystko będzie twoja wina?

Jak daleko Kelsey sięgała pamięcią, nikt jeszcze nie brał jej strony przeciwko rodzinie. A już na pewno nie Wade. To zawsze ona była przyczyną kłótni, ona stawała okoniem. Dziwne, ale dotąd nie

zwróciła uwagi, że ich postawa jest równie nieprzejednana jak jej.

- Robię co chcę, bez względu...

- Bez względu na co? - przerwał jej Gabe. Może nigdy nie miał rodziny, która dawałaby mu oparcie, ale też nikt nigdy nie obarczał go poczuciem winy i obowiązku.

- Bez względu na to, że niektórzy ludzie muszą się stosować do określonych reguł? Czy gdybyś zgodziła się na te tańce z wyznaczonym dentystą, to by coś zmieniło?

- Nie - przyznała Kelsey po dłuższym namyśle. - Opóźniłoby tylko kolejną kłótnię.

- Czy jesteś tutaj na złość im?

- Oczywiście, że nie. - Poczula się urażona. Poderwała głowę z jego ramienia. -

Oczywiście, że nie - powtórzyła, tym razem spokojnie. - To wszystko musi ci się wydawać potwornie głupie. Cały ten zgiełk wokół własności, tradycji i tak dalej.

- Wydaje mi się po prostu, że dostatecznie długo walczyłaś, by się dowiedzieć, kim jesteś i czego pragniesz. Czujesz się lepiej?

- Znacznie lepiej. - Wydała długie westchnienie ulgi. - Cieszę się, że tu jeszcze byłeś, Slater.

- Chciałem się z tobą zobaczyć po twoim powrocie. - Zadrzała, gdy przesunął

palce po jej karku. - Zakłóciłaś mój harmonogram, Kelsey.

- O? - Zatrzymała wzrok na swoich rękach założonych na brzuchu.

- Zaczynam o tobie myśleć jeszcze przed otwarciem oczu. Uważam, że są trzy sytuacje, w których mężczyzna okazuje się słabszy od kobiety. Kiedy jest pijany, kiedy zatracą się w seksie i tuż przed obudzeniem się. Nie piję i nie interesuje mnie seks z żadną kobietą, odkąd ciebie ujrzałem. Ale dopadasz mnie w tej jedynej chwili, gdy jestem zupełnie bezbronny.

Żaden mężczyzna recytujący dla niej najpiękniejszą poezję nie poruszyłby jej tak głęboko. Emocjonalnie i seksualnie. Gabe mówił miękko, zniewalającym głosem, a Kelsey nie odrywała od niego wzroku. Teraz on ją dopadł. Teraz ona była bezbronna.

- Boję się ciebie. - Nie zdawała sobie sprawy, że tak czuje, a jeszcze mniej, że wypowie to zdanie.

- Dobrze, to nas stawia na równi.

Ujął twarz Kelsey i powoli szczytywał palcami jej włosy do tyłu, przeciągając tę chwilę, tak by oboje ją zapamiętali. Śpiew ptaków, wiosenne kwiaty, ukośnie padający promień południowego słońca. A potem nagłe zwanie ich warg, szybkie bicie serc, rozkoszne pomrukiwania.

- To, co się ze mną dzieje w takiej jak ta chwili, cholernie mnie przeraża. -

Trwał z czołem przyciśniętym do jej czoła. Budziło się w nim uczucie jakiejś szczególnej bliskości. - A jeszcze bardziej chyba przeraża mnie świadomość, że gdy ta chwila się kończy, chciałbym robić to od nowa.

- Ja także. To chyba dobrze, że nie będzie cię przez kilka dni. Tyle jest do przemyślenia.

- Ja już prawie nie myślę, Kelsey. Jej oddech powoli wracał do normy.

- Ja również. - Kiwnęła głową i odsunęła się z pewnym żalem. - Powodzenia w Keeneland i dzięki za ramię. Potrzebowałam go. Przypuszczam, że potrzebowałam ciebie.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Naomi nie wątpiła w szczerą decyzję Kelsey, by towarzyszyć ekipie do Kentucky. Chciała mieć tam córkę przy sobie, nawet bardzo tego chciała, ale do końca nie uważała jej entuzjazmu za coś poważnego. Naomi od dawna już niczego nie przyjmowała za pewnik.

Raz tylko doszło między nimi do nieporozumienia, gdy Kelsey oznajmiła, że sama pokryje swoje wydatki. Nie dając tego po sobie poznać, Naomi kipiała ze złości od momentu pakowania, przez cały lot, aż do chwili zameldowania się w hotelu.

Dopiero gdy poprosiła Kelsey do swojego apartamentu, dała upust nagromadzonej irytacji.

- To absurd! - Podminowana, przemierzała dużymi krokami pokój, nie zwracając uwagi na lekki posiłek i butelkę wina, które zamówiła, by uprzyjemnić rozmowę. - Jesteś tutaj z Farmą Three Willows. Będiesz pomagała Boggswi przy Pridzie. To są wydatki służbowe.

- Jestem tutaj - poprawiła ją Kelsey - bo chcę tu być, bo za nic w świecie nie opuściłabym Bluegrass Stakes ani derby. A jeśli chodzi o Pride'a, to stanowią tylko dodatkowy bagaż. Moses i jego zespół nie potrzebują mojej pomocy.

- Ale ja cię potrzebuję! - odpaliła Naomi bez chwili namysłu. - Czy wiesz, ile dla mnie znaczy twoja obecność tutaj? To, że chcesz tu być? Świadomość, że po tak długim straconym czasie będziesz ze mną nie tylko podczas gonitwy, ale i całego tego fantastycznego szaleństwa, które poprzedza ostatnie dwie minuty? Wolę mieć cię tutaj do pierwszej soboty maja niż wygrać dziesiątki derby. A ty nawet nie pozwalasz mi zapłacić rachunku hotelowego!

Zbita z tropu i zaskoczona Kelsey utkwiała wzrok w krążącej po pokoju matce; nigdy nie widziała jej tak podenerwowanej, tak przepełnionej emocjami. Ale przecież to była ta sama kobieta, która zaśmiewała się podczas robienia zdjęcia ślubnego, która tak niefrasobliwie i ostentacyjnie flirtowała z mężczyznami, która jednego z nich zabiła.

- Według mnie to nie jest w porządku... - zaczęła Kelsey, ale urwała, gdy Naomi gwałtownym ruchem odwróciła się ku niej.

- Co jest nie w porządku? Czy to, że nie byłam konwencjonalną matką? Czy to, że siedziałam w więzieniu, kiedy powinnam była cię uczyć zawiązywać sznurowadła?

- Nie o to...

- Nie oczekuję, że zapomnisz o tamtym - warknęła Naomi. - Nie oczekuję, że zapomnisz o czymkolwiek. Nie musisz mnie kochać ani nawet myśleć o mnie jako o matce. Ale wydawało mi się, że zaczęłaś traktować Three Willows jak swój dom.

Czyż to możliwe, zastanawiała się Kelsey, że całą tę burzę rozpętała jej niewinna karta kredytowa?

- Bo to prawda - odparła ostrożnie, gotowa odparować kolejną napaść. - Co jednak nie znaczy, że chcę mieć z tego jakieś dodatkowe korzyści.

Ale wybuch nie nastąpił. Naomi usiadła, starając się opanować złość.

- Jeżeli nie chcesz, żebym ja sfinansowała tę wyprawę, proszę, żebyś potraktowała ją jako prezent od Three Willows. Związek z nami może cię kosztować utratę spadku, a przynajmniej jego części. Przykro mi z tego powodu.

- A więc to jest forma spłaty winy? W porządku - poddała się Kelsey, gdy oczy matki zwilgotniały. - To niemądre. Nie zdawałam sobie sprawy, że tak bardzo się tym przejmiesz. Jeśli to takie ważne, zapłać mój rachunek. - Odrzuciła do tyłu włosy. -

Wiesz, że zawsze się zastanawiałam, skąd się bierze mój wybuchowy charakter?

Przecież tatuś jest spokojny jak tafla jeziora. A ty wydawałaś się taka opanowana, chłodna, kontrolująca swoje emocje. Warto było trochę się z tobą pokłócić, żeby zyskać pewność, że nie pochodzę z nieprawego łoża.

- Cieszę się, że pomogłam ci rozszyfrować jedną z twoich życiowych zagadek. -

Naomi dopadła stołu i nałożyła sobie na talerzyk truskawek. - Wygrana czy pokonana, po walce zawsze umieram z głodu. Zjesz coś?

- Taak. - Kelsey sięgnęła po plasterek jabłka. - Chcę ci coś powiedzieć - zaczęła takim tonem, że ręka Naomi zawisła z butelką wina nad kieliszkiem. - Myślę o tobie jako o mojej matce. W przeciwnym razie już by mnie tu nie było.

Naomi pochyliła się i pocałowała córkę w policzek; następnie, opanowując drżenie ręki, napełniła kieliszki.

- Za kobiety z Three Willows! - Stuknęła się z Kelsey. - Długo czekałam, żebyśmy mogły wznieść ten toast.

Okres poprzedzający Bluegrass Stakes mijał w zawrotnym tempie. Kelsey spotkała więcej ludzi, niż mogłaby ich zapamiętać. Wstawiała codziennie o świcie, by obserwować treningi Pride'a. Była

ogromnie przejęta; porównywała go z każdym trzylatkiem czy klaczą, prującymi przez poranną mgłę. Dużo czasu spędzała w stajni, przyglądając się dżokejom, oceniając trenerów i zadrezczając pytaniami Boggsa.

Nękała również Rena, wpytując go o jego zdanie i przeczucia, przypierając do muru w sprawie strategii. Martwiła się o niego, o konie, o tor.

- Hej, słuchaj, czy to ty dosiadasz konia, czy ja? - zapytał Reno. Nadąsała się nieco, zakołysała na obcasach.

- Ty. Ale...

- Ale wolałabyś sama trzymać lejce. Rozchmurzyła się, a nawet uśmiechnęła.

- Kto wie! - Poklepała leciutko Pride'a po nosie, napawając się jego ciepłem i gładkością. - Czuję się, jakbym miała gorączkę.

- Aż płoniesz cała. - Reno włożył kciuki do kieszeni swojego jedwabnego granatowego garnituru. Czekala na niego kobieta, był bardzo zaabsorbowany.

- To stanowi część tego wszystkiego, prawda? Nerwy, ambicje. - Kelsey wyjęła jabłko i podała je Pride'owi. - Miłość.

- Owszem, to załazi za skórę - zgodził się Reno. Nie było sensu opowiadać jej o innych aspektach, które wcześniej czy później zaczynają kolidować z czystą, niewinną stroną całego przedsięwzięcia. O tych wszystkich numerach, trikach, nierównych szansach. Sama się o tym przekona, pomyślał, i po przyjacielsku poklepał ją po ramieniu. - Dopieść naszego chłopczyka, dziecinko. I przypomnij mu o tym trzylatku z Kentucky. Niech ma się przed nim na baczności.

Mrugnawszy okiem, Reno wyszedł pośpiesznie ze stajni.

- Nie musisz się wcale obawiać tego wypierdka - uspokoiła Kelsey Pride'a. -

Daleko mu do ciebie.

Pride schrupał swoje jabłko, całkowicie dzielając jej opinię.

Midnight Hour, trzylatek z hodowli w Kentucky, był lokalnym faworytem. Ku zaskoczeniu wszystkich wygrał derby Florydy, dystansując zarówno Pride'a jak i Double'a o szyję. O niedużym, nerwowym dereszku rozpisywała się ogólnokrajowa prasa.

A Kelsey musiała przyznać, że to piękny koń. Idealne, klasyczne linie, nie dające się przewidzieć możliwości, ogniste spojrzenie. Na czas gonitwy zakładano mu osłonę na oczy, by nie płoszyły go cienie i rzeczy, których na torze nie było. Ale potrafił biec. Kelsey sama się o tym przekonała.

Klacz Billy'ego Cunninghama także znalazła swoich zwolenników. Można nie podziwiać człowieka, a podziwiać jego konia. Sheba miała serce i odwagę, mogła wypaść z bloku startowego jak huragan.

Przerażał jednak jej świszczący oddech po uciążliwym treningu.

Były jeszcze inne konie, równie waleczne i wytrzymałe, do których na pewno należał Double Gabe'a. Ale Kelsey obstawiała Pride'a. Nie tylko z poczucia lojalności i dlatego, że go kochała, lecz i dlatego, że dzięki fachowym naukom Mosesa jej oko zaczynało nabierać wprawy. Taki koń jak Pride zdarzał się raz na milion. Podobnie zresztą jak Honor, Kelsey nie miała co do tego wątpliwości.

W dniu rozpoczęcia imprezy stała obok matki, niecierpliwie szukając u niej potwierdzenia trafności swoich spostrzeżeń.

- Doskonale dzisiaj wygląda.

Kelsey wzięła długi, głęboki oddech. Chciała się nacieszyć paradą, świetnością spektaklu, atmosferą oczekiwania. Ale usta jej się nie zamykały.

- Moses powiedział, że Reno wyhamuje go trochę, utrzymując jednak w napięciu. Tor jest szybki, akurat taki, jaki Pride lubi. Przysłuchiwałam się, co mówią gracze. Sentyment nakazywałby stawiać na Midnight Hour, a zdrowy rozsądek przemawia mniej więcej pół na pół za Pride'em i Double'em. - Potarła ręką usta. -

Jeszcze Sudden Force może pokrzyżować szyki. To ten kasztan z Arkansas. Rano wyglądało na to, że może wygrać. No i nie sposób wykluczyć kłaczki Cunninghama. Ma serce do walki.

Rozbawiona i zachwycona Naomi pogłaskała córkę po ramieniu.

- Weź głęboki oddech. Za parę minut będzie po wszystkim.

- No, zdążyłem, by życzyć miłym paniom szczęścia. - Gabe wsunął się między nie, całując każdą. - Zdaje się, że za nasze konie będą płacić siedem do pięciu -

oświadczył, obserwując tablicę zakładów. - Co byście powiedziały na to, że zwycięzca stawia kolację?

- A przegrany szampana - zaśmiała się Naomi. - Zawsze wolałam, żeby mężczyzna kupował drinki.

- O rany - szepnęła Kelsey. I zamiast wziąć głęboki oddech, wstrzymała go. Przy bramie startowej pojawiły się konie.

Ze swojego miejsca na trybunach Puch obserwował syna. Chłopak zawsze był

babiarzem. Miał do nich cholerne szczęście. Tak jak jego staruszek, pomyślał i poklepał po pupie podpiętą blondyneczkę, którą poderwał poprzedniego wieczoru.

- Obserwuj numer trzeci - polecił jej. - Jestem osobiście zainteresowany tym koniem. Nawet bardzo zainteresowany!

Rozległ się dzwonek. Konie wyskoczyły do przodu, a kobieta obok Richa zapiszczała i przepitym

głosem zaczęła dopingować numer trzeci.

Rich zmrużył oczy za lustrzanymi okularami. Prowadził lokalny faworyt.

Naciskał na niego kasztan z Arkansas. Grupa koni to była nie tylko feeria kolorów i tętent kopyt, ale przede wszystkim koń numer trzy. Klacz Cunninghama biegła dzielnie, prowadząc o szyję na pierwszym zakręcie. Ale już z grupy oderwał się Virginia's Pride - mknął bez wysiłku, jakby połykał tor.

Rich wolno pokiwał głową, na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech. Double wywalczył pozycję przy kanacie i błyskawicznie przesunął się do przodu po przeciwległej prostej. Dzikie okrzyki radości z trybun zagłuszyły tętent kopyt. Przez chwilę, przez jeden z tych wspaniałych dla fotografów momentów, trzy konie szły łeb w łeb, niemalże unisono, pobłyskując jedwabnymi kurteczkami dżokejów.

I wtedy Pride wysunął się do przodu, o nos, o szyję, o pół długości. Konie minęły linię mety prawie jednocześnie - Virginia's Pride, Double or Nothing, Big Sheba. Pierwsze, drugie i trzecie miejsce.

Rich odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się.

- Skarbie, idziemy do kasy.

Blondynka wydeła usteczka, zabełtała swoje piwo.

- Numer trzeci nie wygrał - powiedziała słodko.

Rich znów się roześmiał, obracając w palcach bilet na tysiąc dolarów, które postawił na Pride'a.

O to właśnie chodzi. Starego Pucha nigdy nie zawodzi przecucie.

- O Boże! - Kelsey wciąż przykrywała rękoma usta. Gdy zbliżał się finisz, omal nie zasłoniła oczu. - Udało się! Wygrał! - Z okrzykiem radości rzuciła się matce na szyję. - Gratulacje! A to dopiero wstęp przed derby. Już to czuję.

- Ja też! - zawołała Naomi i nie zwracając uwagi na nagły najazd kamer i napór dziennikarzy zaczęła się przedzierać do tyłu. - Chodź ze mną na miejsce dla zwycięzców. Chcę, żebyś tam ze mną była.

- Nic nie może mnie powstrzymać! - Kelsey odwróciła się do Gabe'a. Jak na kogoś, kto właśnie przegrał o pół długości, wyglądał na cholernie zadowolonego. -

Twój koń świetnie pobiegł.

- To prawda. Ale wasz lepiej. - Pociągnął ją za warkocz. - Tym razem. Do zobaczenia na kolacji.

Radość ze zwycięstwa nie mogła zakłócić normalnego toku pracy. Mieli pozostać w Kentucky aż do zakończenia derby, przemieszczając się z Keeneland na Churchill Downs.

Świt nadal oznaczał treningi, graczy, czarną kawę i przyglądających się zza kanatu trenerów.

Tylko że teraz chodziło o derby. Treningi przestały być prywatną sprawą.

Nawet na zaspanych chłopców stajennych czyhali fotoreporterzy. Telewizja, prasa, magazyny ilustrowane - wszyscy żądni byli nowinek i emocji; wszyscy dobijali się o ten jeden, najważniejszy wywiad, o to jedno doskonałe zdjęcie.

Kelsey wiedziała, jakie zachowa w pamięci obrazy i wrażenia.

Miękkiego świtu, tej najbardziej magicznej dla koni i jeźdźców pory, podnoszącej się mgły, zamazanych kolorów, stłumionych dźwięków. Wyraźnie zaznaczonej, charakterystycznej bliźniaczej pętli toru. Pary unoszącej się z kadzi z gorącą wodą i ptaków wyśpiewujących swoje poranne trele.

Do Louisville dotarła wiosna, ale o tej orzeźwiającej, emocjonującej porze bywało jeszcze dość chłodno. Parowały boki i barki powracających z galopu koni.

Zachęcane pieszczotliwie lub poganiane, zwierzęta wyłaniały się z tajemniczych mgieł niczym jakieś wznoszące się z kopyt na skrzydła Pegazy.

Ale były potężnie zbudowane. Patrząc na te wazące pół tony stworzenia utrzymujące równowagę na cienkich jak patyki nogach łatwo można było zapomnieć, że są urodzonymi biegaczami.

Spośród tysięcy rodzących się rocznie źrebaków pełnej krwi, tylko kilku, tym kilku wybranym, dane było przecinać poranną mgłę na tym właśnie torze, w tym właśnie tygodniu. A zaledwie jeden miał szansę wystąpić w sobotę w kwiecistym czapraku zwycięzcy na lśniącym grzbiecie.

Stajenni nosili kadzie z wodą, derki i czapraki, uwijając się zwinnie wśród koni, a tymczasem łagodnie wschodzące słońce opromieniało świt, zamieniając krople rosy w diamenty. Miauknął kot, zachrząścił żwir pod obcasami. A potem tętent koni na ubitej ziemi: początkowo tajemniczo rozproszony, potem narastający, wreszcie grmiący, w miarę jak szarawe mgły rozstępowały się niczym woda, przez którą płynął

koń.

To był obraz, który Kelsey chciała utrwalić w pamięci - spokojny i kojący pośród całej tej pstrokacizny i przepychu.

- Co robisz?

Zanim odpowiedziała, ujęła Gabe'a za rękę. Powinna była wiedzieć, że pojawi się na scenie i stanie się częścią jej wspomnienia.

- Utrwalam ten obraz. Nie chcę, żeby się rozplynał wśród przyjęć, wywiadów i innych zobowiązań towarzyskich.



- Jak na kogoś, kto nie mógł się położyć przed drugą w nocy, wcześniej wstałaś.

- Jak tu można spać?

W odpowiedzi Gabe wskazał głową na chłopca stajennego, który drzemał

spokojnie, oparty o ścianę stajni. Kelsey roześmiała się i odetchnęła głęboko, wciągając zapach koni, mazidła, skóry i gnoju.

- To wszystko jest dla mnie zupełnie nowe. Widziałam rano twojego dżokeja trenującego Double'a. Doskonale się prezentują.

- A ja widziałem ciebie. Opartą o kanat przy przeciwległej prostej. Doskonale się prezentowałaś.

- Nie wiem, skąd bierzesz energię na te wszystkie imprezy towarzyszące. To jak Mardi Gras, wizyta u królowej angielskiej i Puchar Piłki Nożnej razem wzięte. -

Zaczęła się przechadzać. - Parady, zawody balonów napędzanych gorącym powietrzem, kolacje wydawane przez właścicieli, kolacje wydawane przez trenerów.

No i ten wczorajszy rejs parowcem... Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego.

- Wygrałem pięć tysięcy. Parsknęła śmiechem.

- Cyfry. Kto był na tyle głupi, by się zakładać przeciwko tobie?

- Moses - uśmiechnął się szeroko. Nasunęła daszek kaszkietu.

- Ostatecznie, mając dziesięć procent sobotniej wygranej, mógł sobie na to pozwolić.

- Stajesz się zarozumiała, kochanie.

- Zawsze taka byłam. Idziesz do muzeum na losowanie?

- Nie przepuszczę okazji. - Od pięciu lat nie opuścił ani jednego losowania toru.

Wprawdzie jego obecność nie miała wpływu na miejsce, jakie przypadało koniowi, lecz to był przecież jego koń. - Ale wcześniej jest śniadanie na dawnym padoku.

Głodna?

Jęcząc Kelsey przycisnęła ręką brzuch.

Od przyjazdu do Louisville obzeram się jak krowa na pastwisku. Będę to musiała zrzucić. Jeżeli chcesz... - Zamilkła, podążając wzrokiem za czymś, co zwróciło uwagę Gabe'a. Nie, to było coś więcej, uświadomiła sobie. Coś, co go zmroziło, przeszło niczym wiązka laserowa. To było coś na zapleczu stajni.

- Czyżby coś złego?

- Nie. - Przez moment wydało mu się, że widzi ojca. Taki sam szpanerski, pastelowy garnitur, tak nie na miejscu wśród dzinsu i bawełny. Ale to było tylko mgnienie. Z całą pewnością Puch Slater nie przechadzałby się między stajniami na Churchill Downs godzinę po wschodzie słońca. - Nie - powtórzył Gabe i odruchowo otrząsnął się z koszmaru. - Jeśli nie chce ci się jeść, chodź i zobacz, jak ja jem.

Nie myślał już więcej o przywidzeniu. Przed otwarciem gonitw zajęty był z Jamisonem i swoim dżokejem analizowaniem trzeciego stanowiska, wylosowanego dla jego konia.

- Mamy miejsce przy bandzie. - Kelsey stała obok Boggsa w stajni, dzieląc na części jedno z jabłek, które nosiła w kieszeniach, a tymczasem stary stajenny rozwieszał derki na sznurze. - To znak od Boga.

Boggs wziął jedną z klamerek przypiętych do nogawki spodni i starannie umocował błękitną derkę.

- Wyobrażam sobie, że Pan Bóg też ogląda derby, tak jak każdy. Pewnie i on ma swojego faworyta. - Przeciągnął palcami po nieźle podniszczonym siodle i własnoręcznie wypolerowanych i oczyszczonych strzemionach. - Mogłem akurat postawić paru nieżyjących prezydentów, którzy wpadli mi do kieszeni z wygranej Pride'a.

- Myślałam, że nigdy się nie zakładasz.

- To prawda. - Tak samo wolno i uważnie przełożył derkę przez sznur. - Od kwietnia siedemdziesiątego trzeciego roku.

Spojrzał na Kelsey. Chciał sprawdzić, czy uświadamia sobie, że był to rok, w którym jej matka zabiła Aleca Bradleya. Ponieważ jednak we wzroku dziewczyny nie dostrzegł niczego oprócz umiarkowanego zainteresowania, ciągnął dalej.

- Też byłem w Keeneland. W drodze na Wielką Leksyngtońską. Wtedy również Three Willows miała nadzieję na zwycięstwo w derby. Świetny koń. Kochałem go bardziej niż kobietę. Nazywał się Sun Spot. Musiałem być chyba nieprzytomny, bo postawiłem na niego całą miesięczną pensję. Wpadł z bramy startowej jak burza, jakby widział przed sobą metę. Ale na pierwszym zakręcie koń obok niego potknął się i uderzył go mocno. Kiedy to zobaczyłem, od razu wiedziałem, że już nie pobiegnie.

Miał strzaskaną lewą przednią nogę. Nie było wyjścia. Trzeba go było dobić. Twoja mama sama przyłożyła mu do ucha rewolwer. To był jej koń, płakała, ale musiała to zrobić. - Westchnął głęboko. - No i od tamtego czasu już się nie zakładam. Może to przynosi pecha?

Objęła Boggsa ramieniem i razem z nim oglądała narzędzia jego pracy - schnące derki, końskie okulary, kocyki i bawełniane podkładki.

- Pride'owi nic złego się nie przydarzy. Pokiwał głową i wziął jabłko, które mu podała.

- Miłość do koni to błąd, panno Kelsey. - Przetarł jabłko rąbkiem koszuli i wręczył jej z powrotem. - W ten czy w inny sposób one łamią nasze serce.

Kelsey uśmiechnęła się, podrzuciła jabłko i je złapała.

- To dla mnie, Boggs, czy dla Pride'a?

- On lubi swoje jabłka - odparł z chytrym uśmiechem.

- To może pójdę i już mu je dam?

Kiedy ruszyła ku wyjściu, Boggs odwrócił się i chrząknął.

Mhm, widziałem dzisiaj kogoś, kogo dawno już nie widziałem. Kogoś, kogo znałem tamtej wiosny siedemdziesiątego trzeciego roku.

- O?

Zwlekając z wyjaśnieniem, Boggs wyjął z ręki Kelsey jabłko, i przełamał je swoimi zniekształconymi rękami na dwie równe części.

- To był stary pana Slatera.

- Ojciec Gabe'a? Widziałeś go tutaj?

- Myślę, że tak. Nie mam już takich oczu jak dawniej, ale to chyba był on.

Dziwne, że tutaj jest. Przypominam sobie, że kręcił się też tego dnia, kiedy zginął

Spot. Niezłe wtedy narozrabiał. Rozповідаł, że niby panna Naomi zaplanowała to wszystko. Był jak zwykle pijany. Ale Rich Slater umie przekonywać. Sprawdzali, czy koń nie dostał środków dopingujących.

Kelsey stała nieruchomo. Słońce padało z tyłu na jej plecy, twarz pozostawała w cieniu.

- I co?

- Nic nie znaleźli. Chadwickowie grają uczciwie. Ale wykryli coś u konia, który potrafił naszego. Amfetaminę.

- Czyj był to koń?

- Cunninghama. - Splunął na ziemię. - Dziwne, co? Najpierw oczy wszystkich zwróciły się na Billa Cunninghama, ale później okazało się, że zrobił to dżokej, Benny Morales, cholernie dobry jeździec. Zanim się powiesił, zostawił kartkę, w której przyznał się do wszystkiego.

- Boże, to potworne.

- W wyścigach konnych jest wiele rzeczy, które nie najlepiej pachną, panno Kelsey. Rich Slater doszedł do wniosku, że Chadwickowie zapłacili Benny'emu za nafaszerowanie jego konia narkotykami, tak że gdyby nawet wygrał, zostałby zdyskwalifikowany. To wierutna bzdura oczywiście, ale taki człowiek jak on specjalizuje się w wynajdywaniu winnych. Tak czy owak, większość ludzi przegrała tego dnia. Pewnie to nie był on, pomyślałem jednak, że gdybym przypadkiem się nie mylił, powinna się panienka trzymać od niego z daleka.

- Nie ma obawy.

Rich Slater nie zamierzał spotkać się z kimkolwiek z Three Willows. Był tutaj w charakterze widza. I choć najrozsądniej byłoby trzymać się w tę sobotę jak najdalej od Louisville, on jednak chciał zasiąść w pierwszych rzędach trybun.

Był na fali. Plik banknotów w kieszeni, napalona kobieta w łóżku, gwarny i huczny ciąg przyjęć w zasięgu jego ręki. Nareszcie dobił do śmietanki towarzyskiej!

Ale najlepszą, najśłodszą ze wszystkich uczt będzie ta jedna, gdy on zatriumfuje, a tamci dostaną za swoje.

Nie ma co, spisał się na medal! Postarał się nawet nie wypić zbyt wiele, by nie dzielić się z nikim, oprócz siebie, opinią o własnej genialności. Nie tylko odegra się za dawną zniewagę i z hukiem dołoży niewdzięcznemu synowi, ale przy okazji zbije niezłą fortunę!

I wcale nie kosztowało go to wiele zachodu. Po prostu włożył instrument we właściwe ręce.

Ta kurwa Chadwick zapłaci mu. Puch podreptał nago do barku, by spenetrować skąpy zapas alkoholu. Jego towarzyszka na czas derby wyciągnęła się w poprzek łóżka, rozwalając swe jędrne, drobne ciało w rozgrzebanej pościeli.

Udowodnił swą męskość i na tę cześć wznosił przed lustrem toast.

Nadal jeszcze mógł.

Ze szklanką w ręku wyprężył się przed lustrem. W swojej próżności pozostał

ślepy na zwisające fałdy w okolicy brzucha. Widział zwarte, pociągające ciało trzydziestolatka. Ciało, które przekazał synowi.

Ten niewdzięcznik zbył go czekiem na pięć tysięcy dolarów. Nie mogłeś pozwolić ojcu spędzić nocy pod swoim dachem? - myślał Rich. Będę miał własny, pieprzony dach, kiedy już to wszystko załatwię, postanowił.

Odstawił whiskey i obserwował, jak podczas przełykania porusza się jego grdyka. Chłopak zawsze uważał się za kogoś lepszego. Za parę dni przestanie być ważny i potężny. Za parę dni los się odwróci.

Naprawdę, powinien być wdzięczny okolicznościom, przeszłym i obecnym, za sprzyjającą okazję.

Cunningham był premią, która jak z nieba wpadła mu do rąk.

Facet jest oczywiście durniem, ale na durnia najłatwiej zastawić sidła.

A Rich będzie je na niego zastawiać jeszcze przez wiele lat. Drobnym, systematycznym szantażem zapewni mu drobny, systematyczny dochód. Główna jednak wypłata, och, główna wypłata nastąpi w sobotę tuż przed szóstą po południu. Bo robota, każdy to przyznałby, będzie dobrze wykonana.

Rich otworzył drugą butelkę, nalał kolejnego drinka. Zastanawiał się, czy Naomi Chadwick przypomniaby go sobie. Gdyby tak podszedł do niej, złapał ją za ten śliczny tyłek, czyby go sobie przypomniwała? Miał wielką ochotę tak zrobić -

podejść wprost, klepnąć ją i strzelić okiem.

Nie podobała mu się myśl, że jakaś kobieta, jakakolwiek, mogła zapomnieć Richa Slatera.

On ją pamiętał, a jakże. Pamiętał tę kapryśną, zepsutą kurewkę, paradującą w podkasanych sukienkach i opiętych dżinsach. Krążącą wokół toru jak rozparzona klacz, rozkładającą nogi na widok każdego faceta, któremu stawało.

Chciał jej, chciał jej cholernie. Chciał zadrzeć jej falbaniaste spódnice i zagłębić się w środku. Pokazać, co potrafi prawdziwy mężczyzna. Ale kiedy jej to zaproponował, spojrzała na niego, jakby był śmieciem na czubku jej buta, który przyczepił się, gdy przechodziła przez padok. Wyśmiała go. Śmiała się tak, że chętnie poczęstowałby ją pięścią w ten prześliczny nosek.

Może bym i to zrobił, pomyślał Rich, odruchowo uderzając pięścią o dłoń.

Może. Gdyby nie pojawił się ten pól - Żyd.

„Ma pani jakieś problemy, panno Naomi?”

Nie, Moses, żadnych. To tylko jakiś maniak wyścigów. Jak się ma nasz chłopiec?”

Odeszła, kręcąc tyłkiem, by pogruchać na temat tego swojego bezcennego konia. Chcąc nie chcąc, Rich musiał zabrać się do domu, do tych obskurnych pokoi, które wynajmował, i w zastępstwie przyłożyć pięścią w bezbarwną, pozbawioną powabu twarz żony.

Ta Chadwick myślała, że jest dla niego zbyt dobra. Zapłacił wprawdzie tamtego dnia swoją dumą, ale wystawił jej za to później słony rachunek, ustawiając gonitwę.

Nie taki był oczywiście jego zamiar. Nikt nie mógł przewidzieć, że Morales straci panowanie nad swoim nafaszerowanym narkotykiem koniem i uderzy tamtego tak mocno.

Ale i wtedy, stwierdził Rich, nawet wtedy wykręcił się nieźle. Lepiej niż nieźle, ponieważ okazał się bystry, kuty na cztery nogi, ponieważ sprawił, że okoliczności obróciły się przeciwko niej. Zrewanżował się jej, w porządku. Jeszcze z nią jednak nie skończył.

Dziesięć lat w więzieniu było tylko częścią zapłaty. Resztę długu odbierze w sobotę.

W dniu rozpoczęcia derby Kelsey nie poszła na śniadanie do gubernatora. Nie tylko nie mogłaby jeść, ale nie zniosłaby myśli, że znajduje się tak daleko od toru wyścigowego.

Pierwszą gonitwę wyznaczono na wpół do dwunastej. Podobnie jak stajenni, dżokeje i trenerzy, Kelsey była na torze już od szóstej. Powrót do hotelu na krótką drzemkę w południe nie wchodził w grę. Została razem z Boggsem i paroma ludźmi z drużyny, skubiąc kupionego naprędce pieczonego kurczaka.

- Ciągle tutaj? - Moses przysiadł obok niej na ziemi i wsadził nos do plastikowego pojemnika w poszukiwaniu udka.

- A gdzie mogłabym być? - Jadła bardziej ze zdenerwowania niż z głodu. Na koniec popiła kurczaka imbirowym piwem.

- Mogłabyś już siedzieć w swoim boksie. Zaczęło się niezłe przedstawienie. Cały środek pola wypełniony, trybuny pękają w szwach...

- Jestem za bardzo zdenerwowana. Poza tym jakiś reporter może mi podsunąć mikrofon albo kamerę pod sam nos.

- Nie ma szans, żebyś ich uniknęła. Ciągną do mamy. Możesz się schronić w Matt Winn Room.

- Też mi coś! - Kelsey oblizwała palce. - To miejsce dobre dla biznesmenów, a nie do oglądania wyścigów. Równie dobrze mogłabym usiąść w sali konferencyjnej. Jak się ma Naomi?

- Spięta. Nie poznałabyś tego po niej, ale jest cholernie spięta. Jeszcze bardziej niż ty. Chce, żebyś trzymała trofeum razem z nią.

- Uda się nam, prawda?

- Nie zamierzam kusić losu, przytakując ci. - Moses spojrzał na niebo. - Dobry dzień. Suchy, czysty. Będziemy mieli szybki tor.

Byłam tam podczas przygotowań. Jest pięknie. Ziemia idealnie zorana.

Chciałam popatrzeć na wcześniejsze gonitwy, ale nie wytrzymałam nerwowo. -

Ponieważ jej wciąż pusty żołądek domagał się pożywienia, wzięła jeszcze jeden kawałek kurczaka. - Widziałeś Gabe'a?

- Dzieli boks z Naomi. Wróci, by wierceć dziurę w brzuchu Jamiemu i stać na padoku podczas siodłania konia.

- Tyle było wczoraj zamieszania, że prawie go nie widziałam. - W dodatku nigdy samego. - Zamierzałam mu to wypomnieć i popsuć nieco humor, dopóki Boggs nie wspomniał, iż zdawało mu

się, że widział ojca Gabe'a...

- Kiedy? - pytanie padło tak szybko, że aż ją zaskoczyło.

- No cóż, hmm, w czwartek, wcześniej rano. Ale Boggs nie jest do końca pewny, czy to był on. Moses?

Podniosła się z ziemi, ponieważ trener poderwał się i zmierzał wprost do stajni.

- Z tym facetem są tylko same kłopoty - rzucił przez ramię. - Diabelskie nasienie.

- Diabelskie nasienie? - Próbowała się uśmiechnąć, lecz nie mogła zmusić warg do posłuszeństwa. - O co chodzi, Moses?

Za niektórymi ludźmi ciągną się kłopoty, które chętnie przekazują innym. Puch Slater do takich właśnie należy. - Moses obszedł szybko boks Pride'a i odetchnął, że wszystko jest w porządku. Konie były jednak zemocjonowane. Pride powinien być czujny i w gotowości, ale nie nerwowy. - Jeżeli on jest na terenie, nie życzę go sobie tutaj.

- Strażnicy nie wpuszczą nikogo, kto nie ma pozwolenia. Poza tym Boggs wcale nie był pewny. Zresztą jaki kłopot mógłby ten człowiek spowodować?

- Żadnego. - Moses poklepał Pride'a po nosie, mówiąc do niego cichym i łagodnym głosem. - Pewnie sam jestem spięty. Slater to stare dzieje. Bardzo stare, ale złe.

- Boggs opowiedział mi o gonitwie w Lexington, kiedy padł Sun Spot.

Bolesne. To było dla Naomi bolesne przeżycie. Slater próbował wsadzić kij w mrowisko, ale źle trafił. Benny Morales, dobry dżokej, tamtego roku przeżywał swój comeback, bo przez jakiś czas był wyłączony z powodu kontuzji kręgosłupa.

Cunningham wsadził go na swojego konia. Nigdy się nie dowiedziałem, czy Benny nafaszerował konia amfetaminą, ponieważ tak bardzo potrzebował forsy, czy też dlatego, że postanowił pokonać konia Chadwicków.

Nieważne, w jaki sposób, pomyślał teraz Moses. Stało się najgorsze.

- Benny jeździł dla Three Willows, kiedy podczas porannego treningu zdarzył

mu się ten niefortunny upadek z konia. Dochodził do formy przez półtora roku. Pan Chadwick zaproponował mu pracę asystenta trenera, ale Benny chciał jeździć, chciał

się sprawdzić. I wtedy zatrudnił go Cunningham.

- Morales mógł już jeździć?

Nie potrafię powiedzieć. Zażywał dużo środków przeciwbólowych. Trenował do upadłego, żeby

zrzucić wagę. Nie miał wielu propozycji, więc sprzedał się tanio. W

rezultacie więcej na tym stracił, niż zarobił. No, ale to stare dzieje. - Moses znowu poklepał Pride'a. - Teraz czeka nas inna gonitwa. Ta gonitwa. Najwyższy czas, żeby zaprowadzić naszego chłopca na padok.

W pierwszą sobotę maja koń odbywa trasę ze stajni na padok tylko raz.

Zaledwie przed trzema laty dokazywał radośnie u boku matki na zielonych pastwiskach. Stawiał pierwsze kroki ku marzeniom. Jako jednolatek mógł harcować wśród łąk, uganiać się z rówieśnikami lub za własnym cieniem. Nieodłączną częścią hodowli jest trening, rozwijanie mięśni, wzmacnianie kości, nauka poezji i siły ruchu.

Koń reagował na uprząż ochoczo lub narowicie, czuł ciężar pierwszego jeźdźca w zalanej porannym światłem stajni.

A pewnego dnia podprowadzano go do żelaznej bramy i zmuszano do uległości.

Trenowano go na lonży, na owalnym torze. Uczył się rozpoznawać zapach swojego stajennego, czuł wysiłek w nogach i uderzenie bata na grzbiecie.

Robił to, do czego był urodzony: biegał.

Ale tę drogę, do tego biegu, miał odbyć tylko jeden raz. Drugiej szansy nie było.

O piątej sześć znajdowali się na padoku. Pride'a poprowadzono do jego przegrody i osiodłano. Sprawdzono tatuaż stadniny, a także maść i znaki szczególne każdego z siedemnastu uczestników. Wyścig jak wszystkie inne, a tak od nich różny.

Tylko jedno zdraśnięcie. Nikt nie wspomniał o trzylatku z Kalifornii, który z powodu zranionej nogi przerwał bieg podczas porannego treningu.

Pech.

W wydzielonej dla dżokejów części jeźdźcy stawali na wadze. Czterdzieści osiem kilogramów, ani więcej, ani mniej, razem z uprzężą. Gdy przyszła kolej na Rena, wszedł na wagę, spojrzął na skalę, uśmiechnął się. Warto było spędzić tyle godzin w łaźni parowej. Po chwili, już w jaskrawych jedwabnych kurteczkach, jeźdźcy schodzili z pierwszego piętra swoich kwater na padok.

Oczekiwanie dobiegało końca.

Na trybunach narastały napięcie, niepokój i podniecenie. Impreza przenosiła się na środek murawy; niektórzy entuzjaści wyścigów rozgrzewali się alkoholem przemyconym w wydrążonych bochenkach chleba lub w kolorowych chustach.

Mrugała tablica zakładów, tłum gromadził się przy okienkach, gdzie przyjmowano zakłady.



Była piąta piętnaście. Konie już osiodłano, wprowadzające je kucyki udekorowano różnokolorowymi kwiatami, ich ogony spleciono w warkocze. Powietrze było gęste, pomimo lekkich jak pyłek chmurek przepływających wysoko nad głowami.

Napięcie coraz większe.

- Nie przejmuj się prowadzeniem - powiedział Moses do Rena. - Niech w pierwszym okrążeniu tempo nadaje koń z Kentucky. Pride dobrze biegnie w gromadzie.

- Przebije się przez nią jak igła - przytaknął Reno. Choć głos miał opanowany i swobodny, bardzo pocił się pod jedwabną kurtką.

- I mów do niego. Mów do niego. Jeżeli go poprosisz, da z siebie wszystko.

Reno kiwnął głową, starając się za wszelką cenę zachować zawadiacki uśmiech.

Te dwie krótkie minuty wyścigu były jak długi, zmudny wysiłek.

- Na koń! - ogłosił sędzia na padoku.

Moses poklepał dżokeja po ramieniu, a następnie podrzucił go na siodło.

Skierowali się w stronę tunelu prowadzącego na tor.

- Gotowa? - Naomi uścisnęła rękę córki.

- Tak. - Kelsey odetchnęła głęboko raz, potem drugi. - Taaak.

- Ja też. - Po kilku krokach Naomi potrząsnęła głową. - Zaczekaj chwilę. - W

eleganckim czerwonym kostiumiku i w wytwornych perłach puściła się pędem przez padok. Śmiejąc się, dopadła Mosesa, zarzuciła mu ramiona na szyję i go pocałowała.

Naomi! - Zaczerwienił się jak uczeń przyłapany na podszcypywaniu najładniejszej cheerleaderki. Odskoczył, dumny i zakłopotany.

- Co z tobą? Tu jest pełno...

Obserwujących nas ludzi - dokończyła i ponownie go pocałowała. - Do licha z twoją reputacją, Moses.

Gdy w pośpiechu wróciła do Kelsey, jeszcze się zaśmiewała.

- No, to załatwia sprawę.

Rozbawiona i dziwnie poruszona, Kelsey podążyła tokiem jej myślenia.

- Naprawdę?

- Chodzi o spór między nami, który trwa już więcej lat, niż mogłabym się ich doliczyć. Nie chciał ujawnić naszego związku, jako rzekomo niestosownego dla kobiety o mojej pozycji. - Odrzuciła do tyłu włosy. Boże, czuła się młoda, wolna i niebywale szczęśliwa. - Zwykła męska duma, oczywiście, którą oni wszyscy noszą w slipkach.

Kelsey wybuchnęła śmiechem.

- Dlaczego nie wyjdiesz za niego?

- Bo nigdy nie prosił mnie o rękę. A moja kobieca duma nie pozwala mu o tym przypominać. No, a skoro już jesteśmy przy samcach... - Wskazała na zbliżającego się ku nim Gabe'a. - Póki mnie nie słyszy, muszę przyznać, że to jeden z najwspanialszych egzemplarzy tego gatunku, jakie kiedykolwiek spotkałam.

- Ma coś w oczach - powiedziała półgłosem Kelsey. - I w ustach. I w owalu twarzy. - Uśmiechnęła się figlarnie. - No i oczywiście jeszcze te fantastyczne pośladki.

- Zauważyłam - zachichotała Naomi. - Choć mogłabym prawie być jego matką, mam jeszcze niezłe oko.

- Pewnie. - Zadarł figlarnie głowę. Taki blask w oczach kobiet oznacza, że coś jest na rzeczy. - Czy podzielicie się ze mną waszą tajemnicą?

Spojrzały po sobie i jednogłośnie odparły:

- Nie.

Wzięły go z obu stron pod ręce i przy dźwiękach *My Old Kentucky Home* razem ruszyli do boksu.

W głębi trybun, w otoczeniu ukwieconych, zdobnych w pióra i inne przybrania kapeluszy o szerokich rondach oraz jedwabnych zakietów, Rich Slater obracał w ustach trzeci miętowy cukierek. Miejsca wybrane przez Billa Cunninghama pozostawiały wiele do życzenia, musiał więc sprawić sobie nową kieszonkową lornetkę. Dzięki niej mógł teraz obserwować Gabe'a towarzyszącego kobietom do ich rzucającego się w oczy boksu.

Niezły obrazek, pomyślał. Naomi w szykownym czerwonym kostiumie, córeczka równie szykowna, tyle że na niebiesko, obie połyskujące blond włosami. Jak para seksownych podpórek na książki po bokach wysokiego ciemnowłosego mężczyzny.

Rich zastanawiał się, czy chłopak miał już je obie w łóżku. Blond sandwicz z czterema mlecznobiałymi nogami i ramionami. Mógłby się założyć, że pieprzą się jak króliki.

Spójrz, skarbie, czy te kucyki całe w kwiatach nie są rozkoszne? Cherri, która spędzała z nim ten tydzień, dostarczając mu nieustannego seksu, wykazując także dużą tolerancję na stałą obecność musującego dżinu z tonikiem, szarpała go za ramię.

Z obowiązku Rich skierował ponownie uwagę na trwającą paradę.

- Masz rację, dziecinko, są naprawdę rozkoszne. Pojawiającym się na torze koniom towarzyszyły przybrane w kwiaty kucyki, dźwigające wystrojonych w kolorowe bluzy jeźdźców. Kasztan z Arkansas szarpał się i próbował ugryźć idącego przed nim konia. Dosiadający kucyka jeździec pomógł dżokejowi wziąć go w karby.

Ku uciechu tłumu konie przeszły w lekki galop i przedelfowały przed wiwatującymi trybunami.

- To niewiarygodne! - cieszyła się Kesley. - Wszystko razem. Po prostu niewiarygodne. - Pokręciła głową, gdy Gabe zaproponował jej coś do picia. - Nie mogłabym przełknąć. Już i tak z trudem oddycham. O Boże, zobacz, prowadzą je do boksów startowych.

Wszyscy byli już na miejscach - konie, dżokeje, asystenci, oficjele. Dwaj sędziowie z lornetkami tkwili na swoim stanowisku, oczekując startu. Trzeci, w kabinie sędziowskiej, śledził, co się dzieje, na dwóch monitorach telewizyjnych.

Pozostali rozstawieni byli przy słupkach i na linii mety.

Rozległo się: „Na stanowiska”.

Kiedyś derby rozpoczynano strzeleniem z bata. Teraz naciskało się guzik i wypowiadało wyczekiwane przez wszystkich słowa.

- Ruszyły!

Brama startowa, wrzask tłumu i już pierwszych kilkadziesiąt centymetrów trasy połknięte przez śmigające kopyta. Serce podeszło Kelsey do gardła.

Tyle barw, tyle dźwięków zlewających się w jedną całość dla olśnionych oczu, przyspieszonego pulsu. Zwarta grupa przemknęła obok trybun po raz pierwszy. Czas na ćwierćmetku wyniósł niewiele ponad dwadzieścia dwie sekundy. Prowadził

faworyt z hodowli w Kentucky.

Z przyklejoną wprost do oczu lornetką Kelsey wypatrywała w grupie Pride'a.

Jego sierść aż płonęła, gdy zaczął wysuwać się do przodu, nieomal równo z koniem Gabe'a. Między nimi rozbrzmiewały kopyta Big Sheby Cunninghama.

- Wysuwa się! Wysuwa się! - wrzeszczała Kelsey, nie zdając sobie z tego sprawy. Jej głos ginął w ogólnej wrzawie. Palce Naomi poruszały się nerwowo na ramieniu córki.

Na półmetku Pride minimalnie wyprzedził Midnight Hour z czasem czterdziestu pięciu sekund.

Kelsey widziała pochyloną sylwetkę Rena, znikający pod kopytami tor, falowanie jedwabiu, gdy ręka dżokeja zacinała batem, niewiarygodną siłę długich, cienkich nóg, łączących się razem, wyrzucanych do przodu, unoszących się.

Midnight Hour siedł teraz na czwartej pozycji, walcząc o miejsce przy bandzie.

Po pokonaniu trzech czwartych dystansu Pride wyprzedzał o milimetry, o nos, o pół długości, ale już koń z Longshot rył ziemię i równał się z nim. Można by powiedzieć, że był to wyścig dwóch koni, za którymi, o dwie długości z tyłu, walczyła mężna i odważna klacz.

Z grupy wyskoczył koń z Arkansas, wykonując udany manewr nagłego przyspieszenia. Oszalały z podniecenia tłum wył.

I wreszcie ostatni sprint do celownika, wszystko albo nic.

Stało się to nagle, tuż przy szesnastym słupku. Pride potknął się, rozpędzone przednie nogi złożyły się jak drewniane wykałaczki. Wyrzucony ze strzemion Reno przeleciał ponad jego łbem i jak kamień potoczył się na środek pola. Kiedy inne konie i jeźdźcy dokonywali cudów, by w tym gęstym kurzu uniknąć kolizji, Pride spróbował

się jeszcze podnieść, po czym runął na zgruchotanych nogach i pozostał już na ziemi.

Double minął celownik w czasie dwóch minut, trzech i trzech czwartych sekundy. Ze wszystkich stron nadbiegali stajenni, by pomóc okaleczonemu czempionowi.

## **ROZDZIAŁ SZESNASTY**

Stojąc na miejscu dla zwycięzców, Gabe nie odczuwał triumfalnego dreszczyku emocji. Odebrał złote trofeum - czaprak w krwistoczerwone róże. Kręciły się kamery, trzaskały aparaty, wszystko wycelowane na zwycięzcę derby - trzyletniego czempiona z Wirginii i jego jeźdźca, odzianego w czerwono - białą, poplamioną ziemią i potem, jedwabną kurteczkę. Dżokej pochylił się ponad lśniąca szyją Double'a i odebrał tuzin kwiatów. Na jego twarzy, gdy poklepywał konia, malowała się raczej zgroza niż triumf.

- Panie Slater - to było wszystko, co przeszło mu przez gardło, gdy Gabe ścisnął

mu rękę. - Chryste, panie Slater.

Gabe pokiwał tylko głową.

- Świetnie pojechałeś, Joey. Pobiłeś rekord derby.

Oczy Joeya, obwiedzione brudem wokół osłaniających je podczas gonitwy gogli, nie zareagowały na tę, zdawałoby się, radosną nowinę.

- Co z Renem? Z Pride'em?

Jeszcze nie wiem. Ciesz się z chwili, Joey. Ty i koń zasłużyliście sobie na to. -

Nie zważając na brud i pot, Gabe objął konia za szyję. - Resztą zajmiemy się później. -

Odwrócił się do Jamisona, próbując uciec od kamer i gradu pytań. - Ty byłeś bliżej, Jamie. Możesz powiedzieć, co się stało?

Z nieomal przezroczyłą z niedowierzania i szoku twarzą, Jamison wbił szklany wzrok w trzymany bukiet róż.

- Padł, Gabe. Ten cudowny koń po prostu padł. - Gdy podniósł oczy, malowała się w nich rozpacz. - Double by go nie wziął. Wpadłby na metę o włos za nim -

oznajmił tonem usprawiedliwienia. - Wiem o tym. Czuję to.

- Teraz to nie ma znaczenia, prawda? - Chcąc jednak dodać mu otuchy, Gabe położył rękę na jego ramieniu. Smak zwycięstwa może być gorzki, ale trzeba je przyjąć.

Strażnicy nie dopuszczali do nich prasy ani fanów. Zza odgradzającego ich od intruzów przepierzenia Kelsey słyszała gwar głosów, widziała poruszające się cienie.

Padały słowa pocieszenia, pytania, żądania. Ale to należało do innego świata, oddzielającego cienką białą ścianką świat życia i śmierci. Tutaj słyhać było tylko szloch jej matki.

- Moses! - Kołysał Naomi, głaskał ją po włosach, pocieszał. - Och, Moses, dlaczego?

- Nie powinienem był się zakładać. - Boggs stał obok, a po jego twarzy spływały łzy. Do piersi przyciskał siodło Pride'a. - Nie powinienem.

Kelsey delikatnie pogłaskała szyję konia. Jakże miękką, jakże nieruchomą.

Sierść pokryta była smugami ziemi - ostatnim śladem jego wysiłku. Trzeba go umyć, pomyślała Kelsey jak przez mgłę. Trzeba go umyć, wyszczotkować i uraczyć jabłkiem, które tak uwielbia.

Przeciągała ostatnią pieśczętę. W końcu przemogła się i wstała. Podniosła zabłocone okulary - dwie skórzane klapy chroniące oczy Pride'a przed blaskiem światła - i miękkim ruchem położyła je na siodle.

- Zabierz te rzeczy do stajni, Boggs.

- To wszystko nie jest w porządku, panno Kelsey.

- Tak, to nie jest w porządku - odparła, a serce pękało jej z bólu nad niesprawiedliwością i okrucieństwem losu. - Ale zajmij się jego rzeczami, jak zawsze.

Powinniśmy trzymać mamę jak najdalej od tego.

- Ktoś musi zostać, ktoś musi go doglądać.

- Zostanę z nim.

Ze łzami w oczach popatrzył na nią i pokiwał głową.

- Tak będzie dobrze.

I jak paż odnoszący miecz i tarczę swojego rycerza, odwrócił się i odszedł. Aby się opanować, Kelsey ukucnęła.

- Moses, ona cię potrzebuje. Mógłbyś ją zabrać do hotelu?

- Tutaj jest jeszcze tyle spraw do załatwienia, Kelsey.

Zajmę się wszystkim, czym będę mogła. Reszta może poczekać do jutra. -

Delikatnie pogłaskała matkę po drżących plecach. - Mamo. - Tylko Moses miał

świadomość, że po raz pierwszy użyła tego słowa. - Idź z Mosesem.

Rozdarta między poczuciem winy a smutkiem, Naomi dźwignęła się z trudem; zachwiała się, gdy Moses pomagał jej stanąć. Spojrzała w dół na konia. Duma Wirginii, pomyślała. Jej duma.

- Miał tylko trzy lata - wyszeptała. - Może nie powinnam do nikogo przywiązywać się tak bardzo.

- Przestań. - Choć Kelsey musiała odsuwać od siebie własne najczarniejsze myśli, złapała matkę za rękę. - Na zewnątrz jest dużo ludzi. Musisz jakoś przejść między nimi.

- Tak. Muszę jakoś przejść między nimi - powtórzyła Naomi, patrząc nieprzytomnym wzrokiem.

Gdy wyszła z przepierzenia, Kelsey dostrzegła na jej twarzy bolesny grymas.

Napierał na nią tłum, obezwładnił harmider. Kelsey wiedziała, że ten dzień pozostanie w jej pamięci na zawsze: szaleństwo wyścigów i zgroza upadku; wiwatowanie i wrzask tłumów, przechodzące nagle w przerażającą ciszę; nadbiegający ze wszystkich stron stajenni z wysiłkiem i troską usiłujący podnieść z ziemi konia i jeźdźca.

Ile razy, zamykając oczy, będzie widziała, jak nogi Pride'a wyginają się pod tym przedziwnym kątem?

Albo słyszała cichy szloch matki.

- Kelsey. - Natychmiast po ceremonii Gabe zjawił się w stajni, by się dowiedzieć, czy istnieje choćby cień szansy dla Pride'a. Widok jej twarzy wystarczył

mu za odpowiedź. - Do licha! - Przycisnął ją do siebie. - Musieli go dobić?

Na chwilę, jedną krótką chwilę, przytuliła twarz do jego piersi.

- Nie. Było już po wszystkim. Pierwszy dobiegł Boggs, ale było już po wszystkim.

- Chryste, tak mi przykro, tak mi przykro. A Reno? Udało jej się złapać oddech.

- Zabrali go do szpitala. Sanitariusze przypuszczają, że stan nie jest poważny, ale musimy poczekać na dokładniejsze oględziny. - Wyprostowała się, otarła łzy z policzków. - Muszę się teraz zająć resztą.

- Chyba nie sama?

Potrząsnęła głową. Jeśli pozwoli sobie na chwilę słabości, rozsypie się.

- Muszę to zrobić. Dla mamy. Dla Pride'a. Zobaczymy się później w hotelu.

- Nie zostawię cię tutaj.

- Jest Boggs, jest też reszta drużyny.

Jego oczy przygasły. Cofnął się i szybko pokiwał głową.

- Schodzę ci z drogi. Gdybyś czegoś potrzebowała, Jamie jest obok.

- Dziękuję.

To było jak koszmarne sen. Kiedy około północy Kelsey dowlokła się do hotelu, czuła się niczym żywcem odarta ze skóry. Wiedziała, że oficjele rozmawiali już z matką i Mosesem. Powiedzieli Naomi o tym. Powiedzieli jej, że nie tylko straciła konia pretendującego do nagrody. To nie był zwykły wypadek ani fatum czy pech Boggsa.

To było morderstwo.

Pride'owi wstrzyknięto śmiertelną dawkę amfetaminy. Narkotyk, który przeciążył jego serce, który - kiedy koń mężnie galopował - wchłonał jego własną adrenalinę i przeniknął stopniowo do układu nerwowego. W rezultacie przy szesnastym słupku serce Pride'a przestało bić.

Teraz zaczną się przesłuchania ludzi z Three Willows i wszystkich z nimi związanych, wszczęte zostanie śledztwo, rozpętają się spekulacje. Czy sami otruli konia, przedawkowując narkotyk, ryzykując, że nie zostanie wykryty w ślinie Pride'a?

A może załatwił go ktoś inny wystawiający konia, by dać swojemu fory? Ktoś, kto tak bardzo chciał wygrać, że zamordował Pride'a, ryzykując życie dżokeja.

Kelsey zawahała się pod drzwiami matki. Co jeszcze mogłaby jej powiedzieć?

Naomi ma przecież Mosesa, u którego znajdzie pocieszenie i ukojenie.

Zawróciła więc do swojego pokoju, ale nie czuła się na siłach, by zamknąć się w jego czterech ścianach. Zmęczenie wyzwoliło w niej nieludzką energię. Działając pod jej wpływem, zbiegła na dół i zapukała do drzwi Gabe'a.

Nie spał. Nie spodziewał się jej, zwłaszcza że odesłała go z kwitkiem; zwłaszcza że wiedział już o Pridzie. Tymczasem była tu, miała podkrążone oczy, a twarz tak bladą, że aż przezroczystą. Cofnął się i wpuścił ją do środka.

- Słyszałeś już?

- Tak. Słyszałem. Usiądź, Kelsey, zanim się przewrócisz.

- Nie mogę. Obawiam się, że gdy raz usiądę, nie ruszę się więcej z miejsca. Ktoś go zabił, Gabe. Do tego to się sprowadza. Ktoś tak cholernie chciał wyeliminować Pride'a z gonitwy, że go zamordował.

Gabe podszedł do barku i zajął się otwieraniem butelki z wodą mineralną.

- Mój koń wygrał.

- Tak, przepraszam cię, nawet ci nie pogratulowałam, ale... - Wtedy zobaczyła jego oczy i urwała. - Nie sądzisz chyba, że przyszłam cię oskarżać? Albo pytać, czy masz z tym coś wspólnego?

Choć wszystko się w nim gotowało, jego ręce były opanowane, gdy niedbałym ruchem nalewał wodę do szklanki z lodem.

- To logiczne, samo się narzuca.

- Do diabła z logiką! Ty też idź do diabła, jeśli masz o mnie tak marne wyobrażenie.

- Marne wyobrażenie o tobie? - Jego śmiech był krótki, niemal opryskliwy. - Co o tobie myślę, co uważam na twój temat, nie ma teraz większego znaczenia. Faktem natomiast jest, że twój koń nie żyje, a mój wybiegał dla mnie około miliona dolarów w ciągu dwóch minut z kawałkiem. To jest wspaniała motywacja do popełnienia morderstwa. Nie będziesz zresztą odosobniona w swoich domysłach.

- A więc to tak! - Kelsey odepchnęła podaną jej szklankę, rozlewając wodę na dywan. - Fakty i logika! Zapomniałeś o jednym składniku, Slater. O charakterze.

- No właśnie! - Odstawił jej szklankę na bok, popijając bez pośpiechu ze swojej.

- Przecież jestem czarnym charakterem.

- Pozwól, że ci coś powiem, Gabie Slaterze, wielki hazardzista, twardy facecie.

Miękniez przy koniach. Jesteś nimi tak zaślepiiony, tak im oddany jak pensjonarka śniąca o księciu z bajki. - Kelsey odrzuciła do tyłu głowę, delektując się widokiem tych tak zawsze kontrolowanych oczu, rozszerzających się teraz z wrażenia.

- Co proszę?

- Kochasz je. Cholernie je kochasz. Czy sądzisz, że nikt nie wie, iż próbowałeś odkupić od



Cunninghama jego klacz, bo się martwisz, że ją źle traktuje?

Tarcza obronna znowu lekko się opuściła, ale ona, nie zwracając na nic uwagi drążyła dalej.

- Myślisz, że twoi ludzie nie rozmawiają z naszymi i nie opowiadają im, jak bawisz się ze źrebakami, jakby to były szczenięta, lub jak siedzisz w nocy przy chorym koniu? Masz bzika na punkcie koni, Slater.

- Zainwestowałem w nie.

Zainwestowałeś w przygodę miłosną. I jeszcze jedno - ciągnęła, stukając palcem w jego pierś. - Nie życzę sobie, żebyś mi wmawiał coś, o czym sama dobrze wiem. Chciałeś wygrać te derby tak samo jak ja chciałam, a ustawianie gonitwy nie jest zwycięstwem. Jako człowiek, który strawił życie na zakładach, powinieneś o tym wiedzieć. Jeśli więc będziesz tak stał i użalał się nad sobą, kiedy powinieneś litować się nade mną, zostawię cię po prostu i zamartwiaj się dalej.

- Czekaaj! - Złapał ją za ramię, nim zdążyła wypaść z pokoju. - Ostro strzelasz, kochanie. - Odstawił szklanę. - I cholernie celnie. Trafiłaś mnie, w porządku?

Możemy już usiąść?

- Sam sobie siadaj. Ja muszę to jeszcze odreagować.

Nie do końca pewny, czy jest zakłopotany, czy raczej ubawiony, Gabe przysiadł na poręczu sofy.

- Przepraszam, Kelsey. Wiem, że to nie załatwia sprawy, ale naprawdę cholernie cię przepraszam.

- Staram się nie myśleć o tym, jak podle się czuję. Martwię się o Naomi.

- Ona się wybroni.

Mam nadzieję, że wszyscy się wybronimy. - Kelsey zamaszystym krokiem podeszła do stołu, wzięła jedną ze szklanek i zaspokoila potworne pragnienie. - To było straszne, kiedy powiedziano nam o narkotyku. Wydawało mi się, że ponownie tracę Pride'a. Przeszukują wszystkie pudełka ze strzykawkami. Igła po igle. Ale nawet gdyby coś znaleźli, to co za różnica? Pride nie żyje.

- Jeżeli Komisja Wyścigów znajdzie igłę, którą go zabito, może po tym tropie dojść do mordercy.

Potrząsnęła głową.

- Nie sądzę. Nie uwierzę, żeby ktoś był tak nieostrożny, by wrzucić igłę z powrotem do pudełka, albo, jeśli to zrobił, zostawić odciski palców czy jakiś inny ślad.

- Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, Kelsey wkładała ręce do kieszeni. - Kiedy się dowiem, kto to zrobił, a dowiem się na pewno, chcę żeby cierpiał. - Znowu odstawiła szklanę, zajrzała do niej i

obserwowała unoszące się bąbelki. - Pride wybiegał swoje serce, dosłownie je wybiegał. Reno zwichnął ramię, złamał obojczyk, ale, dzięki Bogu, to wszystko. - Zadygotała, po czym odegnęła od siebie złe myśli.

- Wiem już od Joeya. Za parę tygodni będziesz miała Rena z powrotem, Kelsey.

- Niewykluczone, że jeszcze przed Preakness. - Zmieniam bieg, zdecydowała.

Trzeba myśleć o jutrze. - Znasz naszego trzylatka High Water. Może się zupełnie przyzwocić zaprezentować.

- No, no, ostra dziewczyna - powiedział Gabe półgłosem. Uśmiechnęła się.

- Czeka nas dużo pracy. Patrzyłam, jak zabierali Pride'a. To bardzo boli. Nigdy nie straciłam nikogo bliskiego. Nie przypuszczałam, że pierwszy będzie koń.

Naprawdę mi na nim zależało.

- Wiem.

- Ty też się przejmujesz. - Podeszła i dotknęła jego policzka. - Przepraszam, jeżeli zrobiłam ci przykrość, odrzucając twoją pomoc. Ale rozpadłabym się na kawałki, gdybyś został. Wiedziałam, że muszę sama przez to przejść.

- Sądziłem, że nie chcesz mnie widzieć, żeby ci nie przypominał o moim zwycięstwie.

- Cieszę się, że wygrałeś. To jedyny jasny punkt w tym dniu. Gdybym mogła, oglądałabym cię podczas dekoracji. Ogromnie bym chciała widzieć, jak wręczają ci trofeum. - Roześmiała się krótko, nerwowo i sięgnęła do kieszeni. - Boże.

Zapomniałam. Widzisz? - Pokazała mu dwa bilety: jeden na Pride'a, drugi na Double'a. - Zaasekurowałam się.

Gabe wpatrywał się w bilety, jakby stanowiły deklarację miłości do grobowej deski.

- Tyle samo pieniędzy na każdego konia - rzekł.

- Myślę, że tyle samo dla mnie znaczyły.

Podniósł głowę. Uprzednio zaczerwienione policzki Kelsey znowu zbladły; jej twarz stała się delikatna i krucha jak szlachetne szkło. Jej ręka, którą trzymał w swojej, stwardniała od pracy, ale nadal była długa, wąska i elegancka. Kelsey wciąż miała na sobie szykowny błękitny kostiumik i zgrabne pantofelki - strój który włożyła na wyścigi.

Podniósł dłoń i poprawił jej włosy, które wysunęły się z misternie splecionego warkocza, lśniącego w popołudniowym słońcu niczym dojrzały kłos pszenicy.

Dotyk i nagła cisza przyprawiły ją o szybkie bicie serca. Przypomniała sobie, że jest zmęczona. Wypompowana do ostatnich granic. Przez cztery godziny stawiała czoło fotoreporterom. Odpowiadała na pytania, próbując obalić spekulacje dotyczące zamordowania konia, chociaż wiedziała, że to zaledwie początek podsycanej przez media gorączki. Skąd więc tyle w niej siły i energii?

- Już późno. Powinnam pójść. - Nie miała zamiaru wyskoczyć jak z procy, ale wycofywała się powoli, gdy Gabe podniósł się z sofy. - Muszę zajrzeć do Naomi.

- Ma Mosesa.

- Niemniej...

Teraz on się uśmiechnął. Patrzył na nią coraz cieplej.

- Niemniej... - powtórzył.

- To był bardzo długi dzień.

- Najdłuższy. Taki, który podgrzewa emocje i wyżyma je aż do sucha. Czy wiesz, jak pobudzające jest obserwowanie malujących się na twojej twarzy uczuć? - Zbliżył

się, ale jej nie dotknął. - Nerwy, pragnienia, zwątpienie... nakaz chwili.

Jak mogło ich nie być na jej twarzy, skoro przetaczały się w niej jak huragan?

- Nie jestem w tym dobra, Gabe. Lepiej, żebyś o tym wiedział.

- W czym nie jesteś dobra?

- W... - Uderzyła się o krzesło, zaklęła, obeszła je. - W uwodzeniu, podchodach, w tych wszystkich gierkach. Poza tym wybór właściwego momentu...

- Wyczerpuje - zgodził się Gabe. - Czekanie na odpowiednią chwilę jest bardzo wyczerpujące. - Mógł się wycofać i pozwolić jej odejść. Cierpiałby, lecz mógł to zrobić.

- Powiedz od razu, że mnie nie chcesz. Natychmiast. Tak czy nie, Kelsey. Nie odkładaj tego na później. Mów.

- Próbuję, ale nie dajesz mi pomyśleć. - Odskoczyła, gdy oparł dłonie o ścianę tuż obok jej głowy.

- Wydaje ci się, że to ryzykowne, i że nie do końca jeszcze znasz stawkę. -

Poczuł się jak za dawnych dobrych czasów. Szedł na całego. Wygra albo straci, ale zacznie te zawody. - Stawka jest wysoka, zawsze bezpieczniej więc się wycofać. Czy tego chcesz? Czuć się bezpiecznie?

Nie w pełni świadoma swojego ruchu, pokręciła powoli głowę. A ponieważ ani na chwilę nie oderwała od niego wzroku, ujrzała w jego oczach krótki jak mgnienie błysk triumfu.

- Do diabła z ryzykiem. - Przyciągnął ją do siebie. - Zagrajmy. Odrzuciła na bok logikę i rozsądek. Nie były jej teraz potrzebne. Chciała właśnie tego, co jej oferował -

spragnionych ust, niecierpliwych rąk. Bez względu na ryzyko, zatraciła się już w tej grze.

Na moment zabrakło jej tchu, gdy ponownie przyparł ją do ściany i zdarł z niej żakiet. Nie spodziewała się po nim tak nagłej, gwałtownej reakcji. Ani po sobie.

Szarpała w pośpiechu koszulę Gabe'a, rozdierając materiał i obrywając guziki, byle prędzej dotknąć jego ciała.

A potem poddała się jego rękom. W przypiływie pożądania przywarła do niego nienasyconymi ustami.

Nie potrzebowała czułych słów, nieśmiałych gestów. Coś w jej wnętrzu rozgorzało, ponaglało ją do szybkiego, gwałtownego zaspokojenia. Weź mnie - ta myśl kołatała w jej mózgu, rozogniała jej krew. Kiedy jego wargi przypuściły szturm na jej szyję, na jej gołe ramię, posłyszała swój śmiech - ochryply, zdławiony, obcy.

Ten dźwięk przecinał cieniutką już więź łączącą ją ze światem ludzi cywilizowanych. Warcząc niemal, Gabe chwycił jej rękę i unióśł je ponad głowę.

Ciałem Kelsey wstrząsnął dreszcz, a oczy pociemniały z pożądania.

Ściskając przeguby jej rąk, rozerwał bluzkę, z której posypały się maleńkie złote guziczki. Jej ciało drżało niczym mocno szarpnięta struna.

Pod jedwabną bluzką był inny jedwab - elegancki, przezroczysty, skąpy, który ledwo przykrywał piersi, dopóki nie opadł i nie zniknął gdzieś poniżej spódnicy.

Obserwując twarz Kelsey, Gabe przesunął ręką ku jej nodze, by odnaleźć obszyty jedwabną koronką rąbek pończochy. Zaglądając w zamglone oczy dziewczyny, wzniecał w niej ręką ogień, po czym sam zanurzył się w nim bez pamięci.

Krzyknęła, oszołomiona, unieruchomiona, ocierając się bez skrępowania o jego zagłębiającą się w niej rękę, niczym mustang czujący po raz pierwszy na sobie ciężar jeźdźca. Porwała ją niezwykłość zalewających ją doznań - żar i jasność, i przemożna, rozpalona potrzeba trzymająca wilgotnym uchwytem jej trzewia.

Jej orgazm był jak gejzer - wrzący i grzmiący, podchodzący wyżej i wyżej ku powierzchni. Nieprzerwanie. A kiedy była już pewna, że wyczerpała swoje możliwości, kiedy zaczęły już znikać wirujące jak w kalejdoskopie kolory, Gabe powiózł ją jeszcze dalej i wyżej.

Jego nieustępliwe i bezceremonialne ręce rozrywały jej spódnicę. Jego chciwe usta zrzucały z niej

po kolei resztki jedwabnej bielizny, aż dotarł w to właściwe miejsce i poczuł jej wewnętrzny żar. Jej ciało miało egzotyczny smak - korzenny od potu i miękki jak woda. Słyszał jej szybki, spragniony oddech, wydawane przez nią co jakiś czas nieprzytomne jęki, a pod ręką jej desperacko miotające się serce.

Odczuwał czysto zwierzęcą przyjemność, gdy paznokciami rozorywała mu plecy, gdy jej ciało tężało, drżało, unosilo się i opadało pod jego zachłannymi rękami.

Ich dłonie splątały się w zaciekłym wyścigu, by zedrzeć jego spodnie.

Wszedł w nią ostro, głęboko, aż do bólu wbijając się palcami w jej biodra.

Rozległy się bliźniacze jęki, kiedy podsadził ją, unosząc i jak najszerzej otwierając jej uda. Ponownie przywarli do siebie ustami i ruszyli w szaleńczy pościg, by razem osiągnąć gorącą i mokną linię mety.

Jej głowa zwisała przez jego ramię. Naładowane dziką energią ciało zrobiło się miękkie i słabe. Gdyby nie przyciskał jej mocno do ściany, osunęłaby się bezwładnie na podłogę.

- Kto wygrał? - oprzytomniała na chwilę. Łapiąc oddech, roześmiał się.

- Walka nie rozstrzygnięta. Remis. Boże, jakaś ty zabawna. Nie miała sił, by podjąć ten temat. W jej głowie rodził się coraz jaśniejszy obraz tego, co przed chwilą zaszło. Uświadomiła sobie, że właśnie odbyła szalony, dziki stosunek na stojąco, że ich porzucane na podłodze ubranie zostało doszczętnie stratowane nogami.

- Nigdy dotąd nie przydarzyło mi się nic podobnego. Nigdy.

- Dobrze. - Ponieważ mogliby tak jeszcze tkwić przez całą noc, oparci o ścianę jak pijani, Gabe podźwignął ją.

- Nie, nie o to chodzi... - Zamilkła, jak przez mgłę dostrzegając na swej nodze jeden pantofel na wysokim obcasie. Zrzuciła go ostrożnie. - Chciałam powiedzieć, że gdy byłam z Wade'em, to po prostu... O to mi chodziło. Zresztą mniejsza z tym.

- Nie przerywaj w takim miejscu. - Zaniósł ją do łóżka. - Uwielbiam porównania. Jeśli są na moją korzyść.

- To jedyne, jakie mam. Oprócz Wade'a... nie było nikogo. Zatrzymał się, kładąc ją na łóżko. Wzrok mu się wyostrzył.

- Przed nim nie miałaś nikogo?

Kelsey się zasepiła. To był jej łózkowy problem. Za dużo mówiła.

- I co z tego?

- Jak to co? - Trzymając ją nadal, wyprostował się i znów pocałował. Być może wyobrażenie, że jest się tym jedynym, to staroświecki przeżytek męskiej fantazji.

Niemniej postanowił wyeliminować Wade'a i cieszyć się zwycięstwem. Rzucił ją na łóżko z dostatecznie dużej wysokości, by trzykrotnie odbiła się od materaca, zanim opadła nań na dobre. - Twój eks - małżonek nie jest skurwielem. Jest po prostu idiotą.

- Dzięki, że tak myślisz. - Gabe wciąż się w nią wpatrywał, ona tymczasem zaczęła pociągać za sprzączkę jego kamizelki po to tylko, by stwierdzić, że jest złamana. - Chyba będziesz mi musiał pożyczyć szlafrok albo coś innego, żebym mogła wrócić do siebie.

Uśmiechnął się, wślizgując się do łóżka i przykrywając ją prześcieradłem.

- Naprawdę, Gabe. Nie mogę paradować po korytarzu w takich strzępach. -

Wskazała na wymiętoszone fragmenty bielizny.

- Wyglądasz w nich fantastycznie. - W mgnieniu oka jej pierś znalazła się w jego dłoni. - Ale tym razem mam zamiar ogołocić cię ze wszystkiego.

- Tym razem? - zająknęła się, gdy wolnym ruchem zataczał kręgi wokół jej sutka. - Już chyba nie mogę. Ty chyba też nie.

Uniósł brew i uśmiechając się szeroko, zbliżył usta do jej warg.

- Chcesz się założyć?

Przegrałaby. I to wiele razy. Gdy świt zaczął sączyć się przez okno, leżała rozpostarta na Gabie. Jej ciało drżało jeszcze po ostatniej szarży, umysł zaś był zbyt odrętwiały, by mogła zasnąć.

- Muszę iść. Muszę być na torze.

- Musisz pospać, potem coś zjeść i dopiero wtedy możesz jechać na tor.

- Czy mógłbyś zamówić kawę? - Jej słowa brzmiały coraz niewyraźniej.

Zmęczenie zdawało się brać górę.

- Oczywiście. Za chwileczkę. - Dotknął jej włosów, jej pleców, nie po to jednak, by ją pobudzić, lecz ukołysać. - Spróbuj się teraz wyłączyć, kochanie.

- Która godzina?

Spojrzał na zegarek i skłamał bez zająknięcia:

- Około czwartej - choć było już wpół do szóstej.

- W porządku. Prześpię się ze dwie godzinki. - Czują, jak zapada się w coraz szerszy tunel, lekka niczym piórko. - Po prostu się zdrzemnę.

Ułożył ją delikatnie, odgarnął włosy z twarzy, przykrył prześcieradłem. Jej twarz była nadal blada, cienie pod oczami przypominały rysy na marmurze. Przez kilka minut patrzył, jak śpi. A patrząc zakochał się.

Zbity z tropu, chciał się cofnąć przed tym uczuciem. W końcu przecież, pomyślał, od fantastycznego seksu, bez względu na stopień zaangażowania, do miłości jest jeszcze długa droga.

Chciał jej. A teraz ją miał. Co wcale jednak nie oznacza, że można z góry założyć dalszy rozwój wypadków. W takim samym stopniu potrzebowała przyjaciela, jak i kochanka. A ponieważ zamierzał być jednym i drugim, lepiej będzie, jeżeli zacznie od przyjaźni.

Wziął prysznic, a kiedy wrócił z łazienki, by się ubrać, nawet nie drgnęła. Nie bawiąc się w dobre maniery, przeszedł do saloniku i sięgnął do jej torebki. Były tam: portfelik, małe paczuszka chusteczek, skórzany notesik i, co bardzo go rozczuliło, koński hacel. Klucz znajdował się w zamkniętej na błyskawiczny zamek przegródce, razem ze szminką, małą fiolką perfum, których nie omieszkał powąchać, oraz dwudziesto - dolarowym banknotem. Było to wszystko, co taka kobieta jak Kelsey powinna mieć pod ręką.

Gabe przełożył klucz do swojej kieszeni i zostawił dziewczynę śpiącą.

Najpierw zaszedł do pokoju Naomi. Otworzył mu Moses. Pomimo zmęczenia i napięcia wyciągnął rękę i powitał go ze szczerym uśmiechem.

- Nie miałem okazji, by ci pogratulować. Twój koń pięknie pobiegł.

- Miał znakomitą konkurencję. Wolałbym w ten sposób nie wygrywać.

- To prawda. - Moses przepuścił gościa do środka, poklepując go po plecach. -

Jest nam wszystkim ciężko, Gabe. Zwłaszcza od kiedy wiemy, w jakich okolicznościach to się stało.

- Nie ma żadnych nowych wiadomości?

Dochodzenie jest w toku. A Three Willows zamierza przeprowadzić śledztwo na własną rękę. Na razie wiem jedno - ktoś chciał, żeby ten koń nie żył. Co za cholerna strata!

- Jeśli cokolwiek mogę zrobić, a także ktokolwiek z Longshot, wystarczy, że powiesz słowo. Zależy mi na poznaniu prawdy tak samo jak tobie. - Odwrócił się w stronę otwierających się drzwi sypialni.

Pojawiła się Naomi. Gdyby była bokserem, można by rzec, że jest w stanie gotowości bojowej. Nie było po niej widać śladu wczorajszego załamania. Ubrała się w ciemnoczerwony kostium, mający tyle wspólnego z żałobą, ile sama zamierzała okazać. Jej spojrzenie było nieugięte i zdeterminowane.

Stało się tak, jak Gabe przewidział - ona się nie poddała.

- Cieszę się, że tu jesteś. - Podeszła do niego, objęła za szyję i przytuliła policzek do jego twarzy. - To ciężkie doświadczenie dla nas obojga. - Odsunęła się, pozostawiając jednak ręce na jego ramionach. - Dużo jest też gadaniny na twój temat.

Chciałabym, żebyśmy stanowili zwarty front.

- Ja również.

- Nienawidzę tego co się stało. Nienawidzę za siebie, za ciebie i za cały ten sport. Ale poradzimy sobie z tym wszystkim. Właśnie umówiłam się na konferencję prasową i zależy mi, żebyś na niej był.

- Gdzie i kiedy?

Uśmiechnęła się. Dotknęła jego policzka.

- W południe, na torze. Uważam, że to właściwe miejsce i czas. Zaraz po autopsji zabierzemy Pride'a do domu. - Przerwała, odetchnęła głęboko. - W tym tygodniu oboje musimy być przygotowani na liczne wizyty prasy, a także, w związku z Preakness, na przeróżne spekulacje. - Jej wzrok stwardniał. - Do diabła, byłoby lepiej, gdybyś tam też wygrał, Gabe.

- Mam taki zamiar. Kiwnęła z zadowoleniem głową.

- Chcę dać pospać Kelsey jeszcze godzinę lub dłużej, zanim zadzwonię do jej pokoju. Dużo wczoraj wzięła na siebie. Nie mogę prosić jej o więcej.

- Dała z siebie o wiele więcej, niż myślisz. - Nerwowy dreszcz, który przebiegł

mu po plecach, wydał mu się czymś absurdalnym. Wsunął ręce do kieszeni, namacał

klucz Kelsey. - Została ze mną na noc. Teraz śpi. Wezmę jakieś ubranie z jej pokoju, a potem dopilnuję, żeby coś zjadła.

Zapanowała cisza. Pięć sekund. Dziesięć. Naomi przerwała ją westchnieniem.

- Cieszę się, że z nią byłeś. Cieszę się, że właśnie ty.

Może nie będziesz zadowolona, kiedy ci powiem, że zamierzam z nią pozostać.

Uniosła brew.

- Czyżbyś mówił o małżeństwie, Gabe? - Po raz pierwszy od wielu godzin Naomi się roześmiała. - Pobladłeś. To typowo męska przypadłość. - Patrzył na nią wielkimi oczami. Poklepała go po ramieniu i dodała: - Lepiej już stąd wyjdź, skarbie, zanim zacznę cię wypytywać o kłopotliwe szczegóły. Gdyby udało ci się ściągnąć tutaj Kelsey na jedenastą, moglibyśmy wszyscy razem pójść na tor. Aha, weź dla niej granatowy kostiumik i koralową bluzkę.

Wypchnęła go łokciem za drzwi, zamknęła je, po czym oparła się o nie plecami.



- Och, Moses, cóż to była za potworna doba. A teraz, w ciągu minuty, tak dobrze się poczułam. Jak sądzisz, czy Kelsey wie, że on jest w niej zakochany?

Na razie Kelsey wiedziała jedynie tyle, że jest na niego wściekła. Nie tylko pozwolił jej zaspać, ale jeszcze zabrał klucze. Została unieruchomiona, bez żadnego przyzwoitego okrycia, w jego pokoju.

Wyszła spod lodowatego prysznica, który niewiele ją uspokoił, owinęła się w hotelowy szlafrok i z zawiniętymi w ręcznik włosami krążyła tam i z powrotem między sypialnią a salonikiem.

Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Naomi, ale wolała uniknąć tłumaczeń, dlaczego jest zupełnie goła i odcięta od świata w pokoju Gabe'a.

Kiedy usłyszała zgrzyt klucza w drzwiach, rzuciła się w ich kierunku z przekleństwem na ustach.

- Za kogo ty się uważasz, do jasnej cholery...

Ona i pokojowy spoglądali na siebie jednakowo zakłopotani.

- Przepraszam, panienko, ale pan powiedział, że mogę wejść i wnieść śniadanie, bo panienka śpi.

- No cóż, w porządku. Właśnie wstałam. - Założyła ręce, zrzuciła pychę z serca.

- A gdzie jest pan?

- Nie wiem, panienko. Otrzymałem tylko takie polecenie. Czy mam przyjść później?

- Nie. - Nie pozwoli, żeby ta kawa opuściła pokój. - Nie, tak jest dobrze.

Przepraszam, że cię przestraszyłam.

Kiedy stawiał tacę, rozważała, czy pozbierać porozrzucaną bieliznę, czy też udawać, że jej nie zauważa. Wybrała to drugie, wzięła rachunek, dorzuciła napiwek, który, miała nadzieję, zrukuje Gabe'a, i podpisała go zamasyście.

- Dziękuję, panienko. Życzę smacznego.

Nalewała sobie właśnie pierwszą kawę, kiedy wkroczył Gabe.

- A więc już się obudziłaś.

- Ty świni! - Przełknęła czarną gorącą kawę, parząc sobie język. - Gdzie mój klucz?

- Tutaj. - Wyjął go z kieszeni, po czym położył na krześle jej kostiumik. - Myślę, że przyniosłem wszystko, co trzeba. Jesteś dobrze zorganizowanym gościem hotelowym. Kosmetyki, szczoteczka do zębów... A przy okazji, masz wspaniałą bieliznę. Sądzę, że ten granatowy drobiazg będzie pasować do twojego stroju. -

Podniósł seksowne body i uśmiechnął się szeroko. - Nie chciałabyś tego włożyć?

Wytrąciła mu bieliznę z ręki.

- Szperałeś w moich rzeczach!

- Wybierałem ubranie dla ciebie. Twoja mama zasugerowała ten kostiumik.

- Moja... - Kelsey zagryzła wargi, modląc się w duchu o zachowanie spokoju. -

Widziałeś się z nią?

- Ma się świetnie. Jest przygotowana na odparcie wszystkich ataków.

Zorganizowała konferencję prasową w południe na torze wyścigowym. Dobra kawa? -

Nalał sobie trochę do filiżanki. - Mamy się spotkać o wpół do jedenastej u niej w pokoju i pojechać tam całą grupą. Zasugerowała ten kostium, ale nie pomyślała o szczegółach. Wybrałem więc to, co mi się spodobało.

- Powiedziała ci, jakie masz wziąć dla mnie ubranie? - Kelsey wciągnęła powietrze, po czym wycedziła: - To znaczy, że poinformowałeś ją, że spędziłam tu noc.

Usiadł, podniósł srebrną pokrywę z półmiska, pod którą znajdowały się szynka i jajka.

- Owszem, nie ukrywałem, że byłaś ze mną tej nocy. - Rzucił jej krótkie spojrzenie. - W czym problem?

- W niczym, ale... W niczym. - Skapitulowała. Przycisnęła ręce do skroni. -

Kręci mi się w głowie.

- Siadaj i jedz, od razu poczujesz się lepiej. - A kiedy to zrobiła, sięgnął przez stół i stanowczym ruchem zamknął jej ręce w swojej dłoni. - Jesteśmy w tym razem.

Rozumiesz?

Przyglądała się ich złączonym dłoniom. Nie miał na myśli konferencji prasowej, to znaczy nie tylko konferencję prasową, i oboje o tym wiedzieli. Kolejne ryzyko, pomyślała Kelsey. Podniosła oczy i napotkała jego wzrok.

- Taak. Rozumiem.

## **ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY**

Nigdy nie mówiłeś, że zamierzasz zabić konia. - Cunningham ocierał spoconą twarz. Wydawało się, że przez te ostatnie dni nie robił nic innego, tylko się pocił.

Mizdrząc się przed kamerami, rozdzielając wylewne, nieszczerze uśmiechy; na uroczystych przyjęciach, na których ludzie poklepywali go po plecach i stawiali mu drinki; w łóżku, gdy wpatrując się w sufit, przeżywał w kółko napięcie towarzyszące dramatycznym chwilom derby.

Chciał wygrać, ale łaskawie zadowolili się drugim miejscem. Zwłaszcza że dotychczasowe koszty znacznie przekroczyły jego oczekiwania.

- Nigdy nie mówiłeś - powtórzył, a pot spłynął mu po plecach, zostawiając mokre plamy na koszuli. - Powiedziałeś, że postarasz się go zdyskwalifikować, tak aby Sheba miała szansę na zajęcie drugiego miejsca.

- Chciałeś, żebym się zajął szczegółami - przypomniał mu Rich. Popijał właśnie najlepszy w Kentucky burbon i podziwiał widok z okien wytwornego hotelowego apartamentu. Stać go było na to. Stać go było teraz na wiele, wiele rzeczy. - Obiecałem ci i dotrzymałem słowa. Twoja klacz zajęła w derby drugie miejsce. Nikt już nie nazwie cię frajerem, prawda? Nikt nie będzie pukać się w czoło za twoimi plecami.

- Twoim zadaniem było jedynie zdyskwalifikowanie konia.

- Właśnie to zrobiłem. - Puch wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Ważne, że Chadwickowie przegrali, że podejrzenie pada na nich i na mojego zarozumiałego synalka, a ty, Billy, przestań udawać niewiniątko. - Wziął z miseczki kandyzowany migdał. - No a teraz, Billy, przejdźmy do rzeczy. Czy zamierzasz dać prztyczka Gabe'owi? W końcu to przez niego trzy lata temu utraciłeś rodzinną farmę i niezłą porcję honoru.

- Nie, nie zamierzam przytrzeć mu nosa. Ale...

- Obaj dobrze wiemy, że twoja klacz nie miała cienia szansy wygrać ten bieg -

ciągnął Rich. - Prawdopodobnie w rywalizacji z Three Willows i Longshot mogłaby zająć trzecie miejsce, gdyby była bita aż do mety, ale bardziej prawdopodobne, że zajęłaby czwarte albo piąte. A tego byśmy nie chcieli, prawda?

Na pewno nie teraz, kiedy wpakowałem się w takie kłopoty, pomyślał

Cunningham.

- Nie, ale...

- Nie. - Rich chrupał kolejny migdał z taką powagą, jakby był sprzedawcą używanych samochodów. - Chciałeś wygrać, więc zrobiłem, co mogłem. A tak między nami mówiąc, nie spodziewałem się, że Sheba zajmie lepsze niż trzecie miejsce, no ale ta klacz ma serce. Będzie rodzić czempionów - powiedział, mrugając okiem. - I to jest najważniejsze, dobrze gadam? Zgłosisz ją teraz jako klacz hodowlaną i będziesz wrzucać do skarbonki pieniądze tak długo, jak długo będzie zadzierać ogon przed pięknym ogierem.

To wszystko prawda, absolutna prawda, lecz Cunningham nadal był

niespokojny.

- A jeśli to się wyda, Rich? Będę zrujnowany.

- W jaki sposób się wyda? Czy myślisz, że będę o tym rozpowiadał? - Znowu wyszczerzył zęby. - Mam nadzieję, że niczego nie wypaplałeś tej ślicznotce w łóżku?

Niektórzy mężczyźni nie potrafią utrzymać języka za zębami, kiedy już uda im się wsadzić kutasa.

- Nie. - Cunningham przeciągnął ręką po ustach. - Nic jej nie mówiłem. - Sama też się nie połapie. Marla wolą wydatkować jego pieniądze niż pytać go, skąd pochodzą.

- Ale ludzie o tym gadają, snują domysły. Prasa mnie bez przerwy obskakuje.

- To normalne - skomentował zniecierpliwiony Rich. - A twoim zadaniem jest wyłącznie kiwać głową, mieć smutne oczy i korzystać z darmowej reklamy. Zawsze możesz dorzucić kilka stosownych uwag o znajomości z Naomi Chadwick i Gabrielem Slaterem, wyrażając ubolewanie, że tak nisko upadli. Pamiętaj, musisz wtrącić nazwisko Gabe'a. Będę ci za to wdzięczny.

Cunningham zwilżył wargi i postąpił krok naprzód.

- Jak to zrobiłeś, Rich?

- Daj spokój, Billy, nie przejmuj się, chłopcze, to moja mała tajemnica. Im mniej wiesz, tym lepiej. Zgadza się? Jesteś po prostu szczęściarzem, który trafił za bezcen wspaniałego konia i doprowadził go aż do derby.

- Za dwa tygodnie jest Preakness. Puch wykrzywił się, poruszył brwiami.

- To już zakrawa na chciwość, przyjacielu. A poza tym to niebezpieczne. Wiesz, jakim ryzykiem jest dla tego konia bieganie.

- Ona ma jeszcze duży zapas sił. - Cunningham zapomniał o swoim poczuciu winy, o swoich obawach. Zapomniał o ludziach, których trzeba było uśmiercić, i o widoku konia, padającego przy szesnastym słupku. - Chcę tylko, żeby była trzecia.

- Nie ma mowy. - Rich pogroził mu palcem. - Nawet gdyby pobiegła i nie padła po drodze, ten wyścig zaliczany do Potrójnej Korony musi się odbyć bez żadnych kantów. W przeciwnym razie mogą ci się zacząć przyglądać, Billy, chłopcze. I kto wie, czy jak zaczną przyglądać się tobie, nie przyjdzie im do głowy, żeby rozejrzeć się i za mną. A wtedy, no cóż... - zakręcił lodem w szklance - nie moglibyśmy dalej być przyjaciółmi.

- Idzie o duże pieniądze...

- Chcesz więcej pieniędzy? To postaw na konia z Longshot. Znam mojego chłopaka. Zrobi wszystko, żeby wygrać. Żeby się oczyścić z zarzutów. - Rich uśmiechnął się kwaśno i dolał burbona do rozpuszczającego się lodu. - Zawsze lubił

wygrywać w czysty sposób. Nauczyłem go wszystkich trików, jakie znałem, co do jednego, ale jemu się wydaje, że jest lepszy ode mnie, rozumiesz? Za dobry, żeby oszukiwać w grze... - Oczy Richa zwęziły się, spojrzenie stało się zawzięte. -

Zobaczymy, kto tym razem będzie górą. Jeszcze się przekonamy.

Nie było sensu sprzeczać się z nim, nie teraz, kiedy Rich dolewał już sobie bez umiaru.

- Co więc mam według ciebie zrobić?

Skreśl ją z Pimlico, Billy. Powiedz, że okulała podczas treningu, i że wolisz nie ryzykować. Wyglądaj na zmartwionego i szlachetnego, a potem puść ją na łąkę i czekaj na tę chwilę, kiedy będziesz mógł wybrać dla niej kochanka.

- Racja. - Choć z bólem, Cunningham musiał powściągnąć chciwość. - Lepiej nie ryzykować. Zarejestruję ją, a na wiosnę trzeba będzie zapłodnić tę sukę. -

Uśmiechnął się pod nosem. - Mogę się nawet dogadać z twoim chłopakiem, Rich, i za parę lat pokryć ją jego zwycięskim trzylatkiem.

- Zaczynasz mówić do rzeczy. - Slater pochylił się i klepnął Cunninghama w kolano. - Zapracowałem sobie na mały dodatek, Billy.

- Dodatek? - Na wszelki wypadek Cunningham się odsunął. - Zawarliśmy umowę, Rich. Wywiązałem się z niej.

- Nikt tego nie podważa. Skądże znowu! Ale posłuchaj mnie, Billy. Nieźle się obłowiliśmy w tej gonitwie, zgarnąłeś i nagrodę, i to, co ci przypadło z zakładów. Tak na moje oko jakieś trzysta, a może czterysta tysięcy. - Uśmiechnął się, widząc, jak Cunningham znowu zaczyna się pocić. - A po zarejestrowaniu Sheby i zawarciu umowy hodowlanej, żrebaki, które będzie ci rodzić przez, powiedzmy, następnych dziesięć lat, sprawią, że staniesz się naprawdę bogaczem. Czy poradziłbyś sobie beze mnie, no, poradziłbyś?

- Spłaciłem cię...

- Tak, w rzeczy samej, jednakże podsumujmy wszystkie koszty. Musiałem zapłacić Lipsky'emu...

- To był twój pomysł. Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Jestem tylko podwykonawcą, Billy - tłumaczył cierpliwie Rich. - Wszystko, co robię, prowadzi do ciebie. Nie zapominaj o tym. No więc Lipsky sprzątnął tego starego stajennego, a ja musiałem się zająć Lipskim. Nie będziemy wnikać w szczegóły dotyczące innych osób na mojej liście płac, ale to są niezbędne wydatki, które muszę uiścić. Sprawiliśmy sobie dwóch nieboszczyków i martwego konia, a pośród tego wszystkiego jestem ja. - Ożywił się, wyliczając morderstwa na palcach. - Musi ci więc cholernie zależeć, żebyśmy byli w dobrym humorze. To będzie warte kolejne sto tysięcy.

Sto tysięcy... To szaleństwo, Rich! Czyste szaleństwo! Poniosłem ogromne koszty. Czy wiesz, ile

kosztuje utrzymanie konia tej rasy? Tylko jednego pieprzonego konia? Nie mówiąc o opłatach wpisowych.

- Nie chcesz chyba wykręcić się sianem, Billy, chłopcze? Nie masz chyba takiego zamiaru. - Uśmiech Richa był równie przyjazny jak trupia czaszka. Położył

rękę na kolanie Cunninghama i ścisnął je. Gdy przyjdzie pora, będzie tak ścisnąć swój wypchany portfel. - Sto tysięcy i cześć! Możesz mi wierzyć! Daję ci tydzień, żebyś przemyślał, jak to zaksięgować. Przyniesiesz je w przeddzień Preakness. W gotówce. -

Usiadł z powrotem. Był z siebie zadowolony. - Marzy mi się, żeby postawić na trzylatka mojego chłopaka. Więzy rodzinne, rozumiesz.

Śmiał się, dolewając sobie burbona do szklanki.

Więzy rodzinne przyprawiły Kelsey o potworny ból głowy. Spodziewała się przykrości z powodu swojego wyjazdu do Waszyngtonu, ale rzeczywistość przeszła wszelkie jej oczekiwania. Ojciec był wściekły jak nigdy dotąd. To nic, że swojej furii nie skierował bezpośrednio przeciwko niej, skoro Candace i tak nie omieszkała jej wytknąć, że nikt inny tylko ona jest przyczyną gniewu i zdenerwowania Philipa.

Milicent spełniła swoją groźbę. Nie mogła co prawda unieważnić testamentu dziadka Kelsey, zmieniła jednak swój własny. Zrobiła to w iście wiktoriańskim i melodramatycznym stylu. Wyrzekła się wnuczki.

Wjeżdżając wolno na podjazd w Three Willows, Kelsey oparła zbolełą głowę o kierownicę. To była potworna, potworna scena: gdy blada z wściekłości Milicent oznajmiła nowinę, wstrząśnięty tym, a następnie oburzony ojciec, po raz pierwszy, odkąd pamięta, dał wyraz swym emocjom. Do kłótni włączyła się Candace, celując prosto i bezbłędnie w najczulsze miejsce pasierbicy.

Z bolesnym westchnieniem Kelsey wyłączyła zapłon. Nie przypuszczała, że będzie aż tak cierpieć. Ona i Milicent od dawna już nie znajdowały wspólnej płaszczyzny porozumienia, byłoby więc logiczne, gdyby teraz poczuła ulgę.

Ale nie czuła ulgi. Czuła się zraniona.

Ociągając się wysiadła z samochodu. Miała nadzieję, że przynajmniej aspiryna podziała kojąco na jej pękającą głowę.

Usłyszała muzykę, ostry beat Stonesów z ich najlepszego okresu. Mick i jego chłopcy wykrzykiwali swoją sympatię do szatana. Podążyła za ich głosem, okrążając dom.

Na kamieniach patio rozłożony był kawałek płótna. Z tranzystora stojącego na szklanym blacie stołu ryczała rockandrollowa muzyka. A przy sztalugach, z włosami ściągniętymi w koński ogon, w obszernej, sięgającej do kolan męskiej koszuli, Naomi uprawiała szermierkę krwawo zakończonym pędzlem.

Równie dobrze mogłaby trzymać w ręce miecz, pomyślała Kelsey, i pojedynkować się z płótnem, które i tak już eksploduje barwami i formami.

Odwrócona profilem twarz Naomi miała kamienny wyraz, oczy zaś miotwały dzikie błyski.

Wyglądało to na bardzo osobiste zmaganie. Kelsey zaczęła się wycofywać, ale matka nagle odwróciła głowę i przyszpiliła ją tymi swoimi złymi oczami.

- Przepraszam - zaczęła Kelsey, przekrzykując muzykę. Naomi sięgnęła przez stół i ściszyła głos. - Nie chcę ci przeszkadzać.

- Nie ma sprawy. - Gniew szybko zniknął z jej oczu, tak jakby odwracając się od płótna, odzyskała spokój. - Urządziłam sobie małe, prywatne trzęsienie ziemi, żeby wyładować złość. - Odłożyła pędzel, złapała kawałek materiału i wytarła ręce. - To nie było malowanie.

Wspaniałe. - Kelsey podeszła bliżej, przyglądając się badawczo liniom i smugom o gwałtownych, krzyczących kolorach, wilgotnym jeszcze szerokim pociągnięciom pędzla.

- Takie pierwotne.

- Właśnie tak. Jesteś przygnębiona.

- Niech to szlag trafi! - Kelsey wsunęła ręce do kieszeni. - Zaczynam podejrzewać, że mam wypisane na czole wszystkie emocje i uczucia.

Masz bardzo wrażliwą twarz. - Podobnie jak i ja, przypomniała sobie Naomi.

Niegdyś. - Domyślałam się, że spotkanie rodzinne nie wypadło najlepiej.

- Kompletnie do chrzanu. Stałam się przyczyną rozdźwięku między ojcem a babcią. Poważnego rozdźwięku. I, jak sądzę, trochę mniejszego, lecz nie mniej istotnego między nim a macochą.

- Dlatego, że tu zostałam.

- Dlatego, że jestem, jaka jestem. - Złapała zapomnianą przez matkę szklankę mrożonej herbaty i wypila ją duszkiem. - Milicent nie tylko wykreśliła mnie ze swojego testamentu, ale także z myśli i serca. Przestałam dla niej istnieć.

- Och, Kelsey. - Naomi położyła rękę na ramieniu córki. - Jestem pewna, że wcale tak nie uważa.

- Jesteś pewna? - odstawiana szklanka uderzyła o szklany blat. Współczucie i troska Naomi przeszły we wściekłość.

- Oczywiście, że tak uważa. To do niej podobne. Przykro mi, że masz przeze mnie tyle kłopotów.

- Przez siebie samą! - wybuchnęła Kelsey. - Przez siebie. Już chyba najwyższy czas, żeby wszyscy zrozumieli, że mogę myśleć, działać i odczuwać samodzielnie.

Gdybym nie chciała tu być, toby mnie nie było. Nie jestem tu po to, żeby im dokuczyć czy ukryć się przed ludźmi. Jestem tutaj dla siebie.

Naomi wzięła głęboki oddech.

- Masz rację. Absolutną rację.

- Gdybym chciała być gdzie indziej, byłabym tam. Nie dam się zastraszyć ani przekupić, ani wpędzić w poczucie winy w związku z czymś, co jest dla mnie ważne. A rodzina jest dla mnie ważna. Three Willows jest dla mnie ważna. I ty też.

- W porządku. - Naomi sięgnęła po szklankę. Jej ręka nie była tak pewna jak zawsze. - Dziękuję.

Kelsey z trudem powstrzymała się, by nie kopnąć donicy z geranium.

- To niewiele ma wspólnego z wdzięcznością. Jesteś moją matką. Obchodzisz mnie. Podziwiam cię za to, co potrafiłaś zrobić ze swoim życiem. Może nie jestem zachwycona tymi wszystkimi latami pośrodku, ale lubię cię taką, jaka jesteś. I z całą pewnością nie będę się przed nimi czołgać i udawać, że nie istniejesz, tylko dlatego że Milicent życzyłaby sobie tego.

By nie opaść na krzesło, Naomi z całym siłą oparła się o stół.

- Nie wyobrażasz sobie, nie możesz sobie wyobrazić jakie to uczucie, gdy słyszysz twoją dorosłą córkę mówiącą, że lubi cię taką, jaka jesteś. Tak bardzo cię kocham, Kelsey.

Złość Kelsey minęła jak ręką odjął.

- Wiem o tym.

Nie wiedziałam, jaka jesteś, dopóki cię znowu nie zobaczyłam. Straciłam całą ogromną miłość, którą odczuwałam do małej dziewczynki. A potem tu przyjechałaś i dałaś mi szansę. Jestem oczarowana tobą jako kobietą. Jestem z ciebie dumna.

Gdybyś jutro wyjechała i nigdy już nie wróciła, i tak ofiarowałabyś mi więcej, niż kiedykolwiek marzyłam.

- Nigdzie nie wyjeżdżam. - Kierując się sercem, Kelsey zrobiła krok naprzód i otworzyła ramiona. - Jestem dokładnie tam, gdzie chcę być.

Zaciskając mocno oczy, Naomi napawała się dotykiem i zapachem swojej córki.

- Ja ci to wynagrodzę, znajdę sposób, by ukoić twoje serce.

- Nie rób tego. Nie martw się o mnie. - Pokrzepiona na duchu, Kelsey uspokoiła się nieco. - Wściekałabyś się razem ze mną. A jestem cholernie wściekła. - Znowu ją poniosło, odwróciła się gwałtownie i zaczęła chodzić tam i z powrotem. - I zraniona.



Nie do wiary, że to aż tak boli. Jak ona w ogóle może przypuszczać, że zależy mi na pieniądzach! Jak śmie wykorzystywać to, a także moje uczucia przeciwko mnie. Chce mnie sobie podporządkować!

Podporządkowywanie ludzi stanowi istotę jej charakteru. Zawsze taka była.

- Nie mogła unieważnić testamentu dziadka. Założę się, że to jej spędza sen z powiek. Ona i niemoc! To jej się nie mieści w głowie! I w tym wszystkim tatuś! Był

zdruzgotany. Krzyczał na nią. Nigdy dotąd nie podniósł na nią głosu.

- Podniósł. - Naomi uśmiechnęła się z wyraźną satysfakcją. - To było dawno.

Cieszę się, że stanął po twojej stronie.

- Chciałabym móc powiedzieć, że odwdzięczyłam mu się tym samym. Ale ja byłam przerażona, widząc ich skaczących sobie do oczu. Widząc narastający dystans pomiędzy nim a Candace. I mając, słusznie lub nie, świadomość, że to wszystko z mojego powodu. Ta nieugiętość babci, ten jej całkowity brak woli wysłuchania argumentów drugiej strony! - Czyż w identyczny sposób nie mówiono o mnie? -

zreflektowała się Kelsey. I znów się przeraziła.

- Ma zatem do wyboru dwa wyjścia - wtrąciła Naomi. - Albo się ugnie, albo umrze w samotności.

- Chcę wierzyć, że się pogodzą - szepnęła Kelsey. - Muszę w to wierzyć. Ale co do mnie i babci, wątpię czy kiedykolwiek dojdzie do zgody. Nie po dzisiejszym dniu.

Ona ośmieliła się nawet posłużyć Pride'em przeciwko mnie! Powiedziała, że najprawdopodobniej dogadałaś się z jednym z twoich - powtarzam jej słowa -

wykolejonych przyjaciół, żeby otruił konia. Skoro mogłaś zabić człowieka, cóż dla ciebie znaczy... - urwała spłoszona.

- Zabić konia - dokończyła Naomi. - No właśnie, czemu by nie?

Przepraszam. - Skonsternowana Kelsey potarła obolałe skronie. - Zraniłam cię.

- Nie szkodzi. Z pewnością ona nie jest odosobniona w swej podejrzliwości.

Jednym z powodów, dla których znajduję się teraz tutaj, (próbując rozładować napięcie - powiedziała, wskazując na płótno - są właśnie te krążące pogłoski o moim rzekomym udziale w śmierci Pride'a. Podobno chcę zgarnąć za niego majątek z tytułu ubezpieczenia.

Kelsey zacisnęła ręce w pięści.

- To podłe! Nikt, kto cię zna, w to nie uwierzy!

- Niestety, takie praktyki się zdarzają. W świecie wyścigów jest także dużo zła, Kelsey. Pogłoski ucichną. - Znowu schwyciła pędzel. - Prosta arytmetyka ukreśli im łeb. Choćby Pride był ubezpieczony na nie wiem jaką sumę, dla mnie więcej znaczył

żywy, na torze i w hodowli. Ale to porusza wspomnienia. Moje. Innych.

Spokojniejsza, zaczęła ponownie malować.

Malowanie było moją terapią więzienną. Sposobem na przeżycie, na rozładowanie emocji. Człowiek nie chce się zagłębiać w swoim wnętrzu. Pograżać w złości, żalu, strachu. Zwłaszcza w strachu.

- Czy mogłabyś mi o tym opowiedzieć? - rzuciła szybko Kelsey. - Jak tam było?

Przez chwilę Naomi malowała w milczeniu. Już się zastanawiała, kiedy córka ją o to zapyta. Nie czy, lecz kiedy. Potrzeba poznania odpowiedzi, znalezienia rozwiązania była tak nieodłączną cechą wizerunku Kelsey jak kolor jej oczu.

A więc namaluje jeszcze jeden obraz, tyle że raczej słowami niż pędzlem.

- Rozbierają cię - zaczęła spokojnie, przypominając sobie, że to już minęło, skończyło się. - Nie tylko zabierają ci ubranie, chód to jedno z pierwszych upokorzeń, ale wszystko: twoje ubranie, twoją wolność, twoje prawa, twoją nadzieję. Masz tylko to, co oni ci dają. Monotonną rutynę. Mówią ci, kiedy wstawać rano, kiedy jeść, kiedy kłaść się spać. Nieważne, co czujesz ani czego pragniesz.

Kelsey stała obok niej. Ptaki śpiewały, wysławiając wiosnę. Powietrze niesło ze sobą zapach kwiatów i farby malarskiej.

Jesz to, co ci dają - ciągnęła Naomi - i wkrótce przyzwyczajasz się do tego.

Zapominasz, czym jest wyjście do restauracji czy po prostu obudzenie się w nocy i pójście do kuchni. - Bezwiednie westchnęła. - Łatwiej jest, jeśli zapomnisz. Jeżeli przechowujesz w sobie zbyt wiele obrazów z zewnątrz, grozi ci obłąd. Ponieważ wiesz, że to już do ciebie nie należy. Możesz nawet oglądać góry, kwiaty, drzewa, zmiany pór roku, ale one są na zewnątrz i w rzeczywistości nie mają z tobą nic wspólnego. Nie możesz już być tym, kim byłaś. Choć odczuwasz bolesny brak towarzystwa, do nikogo nie podchodzisz za blisko. Ponieważ ludzie przychodzą i odchodzą.

Naomi zmieniała pędzle i zamazyście malowała to, co kipiało w jej środku.

- Niektóre kobiety prowadzą kalendarz. Ja nie prowadziłam. Nie chciałam myśleć o dniach przechodzących w tygodnie, tygodniach zmieniających się w miesiące, miesiącach liczonych w latach. Jak bym to zniosła? Niektóre więźniarki miały fotografie rodzin, dzieci. Lubily o nich rozmawiać. Tak jak i o tym, co je czeka po wyjściu. Ja tego nie robiłam. Nie mogłam. Było mi łatwiej skoncentrować się na codziennej rutynie.

- Ale byłaś samotna - szepnęła Kelsey. - Musiałaś być bardzo samotna.

- To jest najgorsza kara. Samotność i kłócający się z tym brak prywatności. To gorsze niż kraty. Idąc

tam myślisz, że nie zniesiesz zamykających cię krat. Ale znosisz.

Odetchnęła głęboko i ciągnęła dalej:

- Gdy masz wolny czas, możesz czytać, gapić się w telewizję. Były tam też wspaniałe magazyny z modą, ale po pierwszych paru latach przestałam je oglądać. To zbyt bolesne widzieć, jak bardzo zmieniają się rzeczy, nawet te tak frywolne jak halki pod spódnice.

- Ktoś cię odwiedzał?

- Mój ojciec. Moses. Żadne moje argumenty nie były w stanie powstrzymać ich przed przychodzeniem. Bóg jeden wie, jak bardzo pragnęłam ich widzieć i jak cierpiałam po ich odejściu. Patrzyłam, jak ojciec się starzeje. Myślę, że to było najtrudniejsze - widziałam upływające lata na jego twarzy. Twarz mojego ojca była moim kalendarzem.

Nadszedł ostatni, najgorszy rok. Zbliżał się czas, kiedy mogłam się starać o warunkowe zwolnienie, i wyglądało na to, że je otrzymam, że wolność jest niemal w zasięgu moich rąk, a jednocześnie bałam się, że mogę czuć się obco w świecie, w którym tak długo żyłam. To była dla mnie ciężka próba. Skąd miałam wiedzieć, co robić, jak i kiedy? Dni się wlokły, pozostawiając zbyt dużo czasu na myślenie, na rozbudzenie nadziei. A później pozwolono mi włożyć cywilizowane ubranie. Ojciec przywiózł mi nowy kostium. Popielaty w drobne paseczki, bardzo elegancki. Tak cholernie trzęsły mi się ręce, że nie mogłam zapiąć bluzki. A kiedy wyszłam na zewnątrz, słońce poraziło mi oczy. To tak, jakby długo przetrzymywano cię w lochu. A przecież to było przyzwoite więzienie, dyrekcja i personel też byli przyzwoici, przynajmniej większość z nich. Tego dnia jednak słońce wydawało się inne, mocniejsze, jaśniejsze. Niczego w nim nie widziałam. A potem zobaczyłam zbyt wiele.

Naomi ponownie zmieniła pędzle, koncentrując wzrok na swojej pracy.

- Naprawdę chcesz usłyszeć dalszy ciąg?

- Mów - wyszeptała Kelsey. - Skończ.

- Zauważyłam, jaki mój ojciec jest słaby i stary. Nowym, olśniewająco białym cadillakiem zawiózł mnie do domu. Wiem, że do mnie mówił, a ja mówiłam do niego, ale niczego z tamtej rozmowy nie zapamiętałam. Pamiętam tylko, że wszystko wydawało się poruszać za szybko i że szosa była strasznie zatłoczona. I że się bałam; bałam się, że mogą mnie zabrać z powrotem. Zatrzymaliśmy się, by coś zjeść w restauracji. Lniane serwetki, wino, kwiaty na stole. Ojciec złożył zamówienie za mnie, tak jakbym była dzieckiem. Nie mogłam sobie przypomnieć żadnej ulubionej potrawy.

I zaczęłam płakać. On także płakał. I tak siedzieliśmy, i płakaliśmy w białe lniane serwetki, bo nie mogłam sobie przypomnieć, jak to jest siedzieć w restauracji i zamawiać potrawy.

- Wyczerpana wolnością, przespałam prawie całą drogę. Gdy się obudziłam, wjeżdżaliśmy w bramę. Zobaczyłam wyrosnięte drzewa. Młodziutkie derenie, z których część sama posadziłam, teraz były dorosłymi drzewami, co roku kwitnącymi beze mnie. Na nowo pomalowany salon, waza, której przedtem nie było. Każda drobna zmiana mnie przerażała.

- Nie zeszedłam do stajni przez wiele dni, dopóki Moses mnie nie zmusił.

Pomagałam przy porodzie źrebaka. Teraz to zarodowy hodowlany koń, mający ponad półtora metra. Nowe wyposażenie. Nowi ludzie. Wszystko nowe. Nie wychodziłam z domu przez tydzień. Spałam przy zapalonym świetle i otwartych drzwiach.

Początkowo nie znosiłam zamkniętych drzwi. Stopniowo jednak było coraz lepiej. Musiałam na nowo nauczyć się prowadzić samochód. Byłam przerażona, ale musiałam się przemóc. Kiedy pierwszy raz siadłam za kierownicą, pojechałam do twojej szkoły. Zamiast maleństwa, które zostawiłam, ujrzałam młodą dziewczynę, próbującą flirtować z chłopcami. Musiałam się pogodzić, że nauczyłaś się żyć beze mnie. I spróbowałam zacząć wszystko od nowa.

Naomi odłożyła pędzel, cofnęła się kilka kroków.

- Skończone - orzekła.

Kelsey nie była tego pewna. Być może obraz został skończony, ale nie wyciszyły się emocje, których był rezultatem. Ani też, przynajmniej dla niej, nie był to koniec opowieści. Chodziło jeszcze o oczyszczenie imienia Naomi. Zabity został mężczyzna, a kobieta za to zapłaciła. Kelsey jednak chciała się przekonać, czy wszystkie elementy tej historii pasują do siebie.

Już odnalezienie nazwiska Charlesa Rooneya w książce telefonicznej było szokiem. Prywatny detektyw, którego zeznanie zaważyło w procesie Naomi, nadal miał swoje biuro w Wirginii. Obecnie w Alexandria Dyskretna reklama na żółtych kartach książki oznajmiała, że detektywistyczne usługi Rooneya obejmują sprawy kryminalne, rodzinne i opiekuńcze. Biuro ma wszelkie wymagane uprawnienia i koncesje i jest członkiem zrzeszenia. Dyskrecja zapewniona. Pierwsza wizyta bezpłatna.

Kelsey pomyślała, że może warto z tego skorzystać.

- Panno Kelsey! - Gertie wpadła do kuchni, więc dziewczyna pośpiesznie zamknęła książkę telefoniczną.

- Przestraszyłaś mnie.

- Przepraszam. Znow przyszedł ten policjant. - Prostoduszna twarz Gertie wyrażała lojalność i zatroskanie. - Mówi, że musi jeszcze zadać parę pytań.

- Wyjdę do niego. Naomi jest w stajni. Nie ma potrzeby jej niepokoić.

- Czy zaparzyć kawę? Kelsey się zawahała.

- Nie, Gertie. Wpuścimy go i szybko się pozbędziemy.

- Im szybciej, tym lepiej - mruknęła kobieta pod nosem. Kiedy Kelsey weszła do salonu, Rossi stał. Podziwiał sposób, w jaki nosiła džinsy, choć już wcześniej zrobiło na nim wrażenie jej zdjęcie z matką podczas konferencji prasowej. Obie eleganckie, jasnowłose, w jedwabnych kostiumach...

- Panno Byden, szanuję pani czas.

Mam go niewiele, poruczniku, ale postaram się wygospodarować tyle, ile trzeba, jeżeli okaże się, że ma pan dla nas nowe informacje.

- Bardzo bym chciał. - Na razie jednak miał tylko same złe wiadomości. Nie dający się wytłumaczyć brak odcisków w pokoju motelowym Lipsky'ego, żadnych świadków, żadnego tropu. - Współczuję paniom z powodu tego, co stało się na derby.

Nie jestem fanatykiem koni, ale nawet gliny oglądały ten wyścig. To było straszne.

- Tak, to prawda. Moja matka jest załamana.

- Na konferencji prasowej wyglądała bojowo.

Z lodowatym wyrazem twarzy Kelsey skinęła głową, usiadła i ruchem ręki wskazała krzesło Rossiemu.

- A pan oczekiwał, że się rozsypie na oczach tłumu?

- Prawdę mówiąc, nie. Natomiast zainteresował mnie fakt, że był z wami Slater.

- Jesteśmy sąsiadami, poruczniku, i przyjaciółmi. Gabe również jest właścicielem stadniny. A fakt, iż jego koń wygrał w tak tragicznych okolicznościach, sprawił, że sytuacja stała się niezręczna dla nas wszystkich. Poprosiliśmy go więc, żeby solidarnie wziął z nami udział w konferencji.

- Bardzo przepraszam, panno Byden, ale sądząc po tym, co widziałem w prasie, panią i pana Slatera łączą bardziej niż przyjacielskie stosunki.

W Kelsey odezwały się geny Bydenów: z obojętnym wyrazem twarzy arogancko potrząsnęła głową.

- Czy to oficjalne stwierdzenie, poruczniku?

- Po prostu stwierdzenie. To chyba naturalne: oboje jesteście atrakcyjni, macie wspólne zainteresowania... - Nie dała się złapać na haczyk. Zresztą Rossi nie oczekiwał tego po niej. - Liczyłem, że pomoże mi pani naświetlić parę szczegółów tego, co się wydarzyło na Churchill Downs.

- Myślałam, że nie interesują pana konie, poruczniku.

- Interesuje mnie morderstwo, nawet konia. - Odczekał chwilę. - Zwłaszcza jeśli ma ono związek z zabójstwem człowieka. Chciałbym zamknąć tę sprawę.

- Uważa pan, że śmierć Pride'a ma związek z zamordowaniem starego Micka?

W jaki sposób? Lipsky nie żyje.

- Właśnie. Z tego, co wiem, niełatwo jest o wstęp na derby.

To prawda. Surowo przestrzega się przepisów bezpieczeństwa. Na wyścigach mamy własną straż. - Kelsey zmarszczyła brwi. - Lipsky zajmował się koniem Gabe'a, nie naszym. Samobójcza śmierć tego człowieka wywarła na mnie silne wrażenie.

Uważa pan, że to mogło być morderstwo?

Niewykluczone. - Tylko tyle mógł ujawnić. - Próbuje połączyć wszystkie wątki.

Czy może mi pani powiedzieć, kto miał formalny dostęp do konia przed gonitwą?

- Oczywiście, że mogę. Moja matka, Moses, Boggs, Reno - wyliczyła jednym tchem. - A poza tym urzędnik, który sprawdza tożsamość konia, pomocnicy przy bramie startowej, jeźdźciec wprowadzający na kucu konia na tor - to był Carl Tripper -

no i pozostali członkowie ekipy - wymieniła ich nazwiska.

- Straż?

- No cóż, tak, chyba tak.

- A nieformalnie?

Potrząsnęła głową, ale jej umysł pracował.

- Trzeba być bardzo zręcznym, żeby prześlizgnąć się przez ochronę w dniu derby, poruczniku. Z ekranu telewizora wszystko może się wydawać łatwe i dostępne, w zasięgu ręki każdego, lecz konie są bardzo dokładnie chronione i pilnowane.

- Narkotyk. Trudno ustalić, kiedy został podany koniowi.

To stanowi część zagadki. - Odetchnęła głęboko, żeby wyrównać oddech. Wciąż było jej ciężko o tym mówić. - W krwi Pride'a wykryto ślady digitaliny i epinefriny. To go zabiło, przeciężyło jego serce. Był podniecony, ale to normalne przed gonitwą.

Moses świadomie utrzymywał go w takim stanie.

- Dlaczego?

- Niektóre konie lepiej biegną, gdy są spięte. Inne trzeba uspokoić, wyciszyć.

Pride był lepszy, gdy się denerwował.

- Jak to robicie?

- Wiele zależy od samego konia. One wiedzą, kiedy mają biec. Daje im się mniej jedzenia, inaczej

się je trenuje. Wytwarza się specyficzna atmosfera. Te najbardziej narowiste utrzymuje się w ryzach poprzez odpowiedni trening.

- Żadnej chemii?

Jej twarz znieruchomiła.

- Żadnych narkotyków, poruczniku. Nie podajemy naszym koniom niczego, co nie jest wskazane i niezbędne dla ich zdrowia. To, co ktoś podał Pride'owi, podniosło jego tętno, wypompowało adrenalinę z krwi. W rezultacie wzmożony wysiłek, bieg przez ponad półtora kilometra zabiły go...

Był to opis dokładnie odpowiadający treści raportu z przeprowadzonej sekcji zwłok.

- Dżokej nie zorientował się, że coś jest nie w porządku? Kelsey zacisnęła zęby.

Nie pozwoli nikomu oskarżać Rena. Nie po tym, co przeżył. Widziała na własne oczy jego cierpienie. Wiedziała, że nadal cierpi.

- Pride biegł, ponieważ się do tego urodził, ponieważ odkąd zaczął stawiać pierwsze kroki, był do tego przygotowywany. I nie zawiódł. Nie stawiał oporu dżokejowi. Wystarczy przejrzeć taśmę z tej gonitwy, aby się przekonać, że dawał z siebie wszystko, aby wygrać ten bieg. Ostatecznie oddał swoje życie. Reno miał

szczęście, że wyszedł z tego żywy.

Rossi kartkował notes - oglądał tę taśmę wielokrotnie, zwalniał ją, zatrzymywał

obraz, a swoje spostrzeżenia odnotował. Wreszcie skinął głową.

- Zgadza się. Gdyby upadł na tor, a nie na murawę, nie wyobrażam sobie, by wyszedł z tego cało. Zostałby stratowany. A tak skończyło się, zdaje się, na uszkodzeniu kręgów szyjnych.

- Tak. Co oznacza, że nie wygrzebie się z tego wcześniej niż za miesiąc.

To by było na razie wszystko. Chciałbym jeszcze porozmawiać z niektórymi osobami, których nazwiska mi pani podała. Poznać ich punkt widzenia.

- Doceniam pańskie zainteresowanie, poruczniku. Wolałabym jednak, żeby nie indagował pan mojej matki, jeśli to nie jest naprawdę konieczne.

- To był jej koń, panno Byden.

- Myślę, że pan rozumie o co mi chodzi. - Wstała, gotowa bronić matki. - Jest pan doskonale zorientowany w sytuacji i z pewnością uświadamia pan sobie, jakim przeżyciem i stresem byłoby dla niej przesłuchanie.

- Tylko kilka pytań...

- To na jedno wychodzi. I czy pan to rozumie, czy nie, jest pogrążona w smutku. Ja odpowiem panu na wszystkie pytania, może się pan również udać do Komisji Wyścigów.

- Nie mogę niczego obiecać, ale chwilowo nie ma potrzeby niepokojenia jej.

- Dziękuję. - Kelsey ruszyła w kierunku drzwi. - Poruczniku, czy był pan związany ze sprawą mojej matki?

- Nie. W tamtym czasie byłem jeszcze w akademii policyjnej. Kompletnie zielony.

- Interesuje mnie, kto prowadził tę sprawę.

- To mógł być kapitan Tipton. Jim Tipton, obecnie już na emeryturze. Służyłem pod nim, kiedy był porucznikiem, a potem kapitanem. Dobry glina.

- Nie wątpię. Dziękuję poruczniku.

- Dziękuję, panno Byden.

W drodze do samochodu Rossiemu zaświtała myśl, że Kelsey Byden coś kombinuje. Nie zawadzi pójść tym tropem i samemu trochę poszperać.

## **ROZDZIAŁ OSIEMNASTY**

Odnoszę wrażenie, że jedynym miejscem, w którym mogę mieć cię w łóżku, jest hotel! - Mmm. - Kelsey obracała w rękach bukiet czarno nakrapianych lilii, środkową część kompozycji, którą Gabe ukradł dla niej podczas ostatniego party z okazji Preakness. - No cóż, ostatni okres był raczej gorączkowy. A i ty byłeś zajęty udzielaniem wywiadów.

- Jutro udzielę ich jeszcze więcej.

- To mi się podoba. Pewny siebie mężczyzna. - Przemierzyli hol i podeszli do windy. - Double został umieszczony w czterdziestym boksie. W bazie operacyjnej takich koni, jak Secretariat, Affirmed, Seattle Siew. Jesteś przesądny, Slater?

- Jak cholera. - Gabe wszedł do windy i pociągnął Kelsey za sobą. Nim jeszcze drzwi się zasunęły przywarł do niej gorącymi wargami.

- Przycisk - jęknęła, wsuwając rękę pod jego koszulę i gniołąc przy tym kwiaty.

- Zapomniałeś przycisnąć guzik.

Zaklął, szukając po omacku właściwego guzika.

- Już zwątpiłem, że kiedykolwiek będę z tobą sam na sam. Dwa tygodnie to o całe dwa tygodnie za długo, Kelsey.



- Wiem. - Wydała zdławiony śmiech, gdy musnęła zębami jej szyję. - Byłam potrzebna Naomi. Trudno też o cokolwiek myśleć, gdy ma się na głowie przesłuchania i przygotowania do jutrzejszej gonitwy. Chciałam być z tobą.

Drzwi windy otworzyły się. Uskoczyła do tyłu. Jej koktajlowa suknia zsunęła się z ramion. Podciągnęła ją, zdumiona, że straciła kontrolę nad sytuacją w windzie, a jednocześnie wdzięczna losowi, że hol jest pusty.

- Nie wiesz, czy masz się cieszyć, czy wstydzić. Poprawiła włosy.

- Przestań czytać w moich myślach. - Roześmiała się i w ostatniej chwili przytrzymała zamykające się drzwi.

- Twój czy mój pokój?

Jakie to proste, pomyślała. Oboje przez cały wieczór czekali na okazję, by wrócić do tego, co rozpoczęli w Kentucky.

- Mój - postanowiła. - Tym razem ty nie będziesz miał rano w co się ubrać.

- Czy to groźba, że rozszarpiesz na mnie wszystko?

Kelsey włożyła kartę magnetyczną do otworu w drzwiach, szukając w myślach właściwej odpowiedzi. Kiedy światelko zmieniło się z czerwonego na zielone, zaczął dzwonić telefon.

- Zaraz do tego wrócimy - zapowiedziała i podbiegła do aparatu.

- Halo? - Rzuciła pogniecione kwiaty na stół, ściągnęła jeden kolczyk, po czym przyłożyła słuchawkę do wolnego ucha. Palce, którymi zamierzała odpiąć drugą kiść szafirów, znieruchomiały. - Wade? Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? - Ostrożnie, bez pośpiechu zdjęła drugi kolczyk i odłożyła go na stół. - Rozumiem.

Nie sądziłam, że jesteś w kontakcie z Candace... Jak to miło z twojej strony...

Oczywiście, że to sarkazm.

Rzuciła Gabe'owi krótkie, promienne spojrzenie. Bez słowa podszedł do barku, otworzył butelkę Chardonnay i nalał jej kieliszek.

- Wade, chyba nie dzwonisz o - sprawdziła zegarek - wpół do dwunastej w nocy tylko po to, by uciąć sobie krótką pogawędkę, a ja naprawdę nie mam zamiaru dyskutować z tobą o mojej matce. Jeśli więc to już wszystko...

Zrezygnowana wzięła od Gabe'a kieliszek. Oczywiście, że to nie było wszystko.

Wade zawsze miał jeszcze coś do powiedzenia!

- Czy chcesz mojego błogosławieństwa...? Nie zamierzam być uprzejma, zachowuję się na tyle cywilizowanie, na ile zasługujesz. - Pomyślała, że może by tak dać spokój dalszym złościwościom, ale gdy jego zrównoważony i przemyślany głos nieprzerwanie szmerzył jej do ucha, nie wytrzymała i bluznęła jadem: - Czy szczęśliwa panna młoda wie, że masz zwyczaj dmuchać swoje asystentki podczas podróży służbowych...? Taak, jeśli chodzi o chowanie urazy, jestem w tym świetna. Ty gnojku, ty śliski, zadufany w sobie pajacu! Jak śmiesz dzwonić do mnie w przeddzień swojego ślubu i szukać usprawiedliwienia dla swoich parszywych postępów! Ach, wyrzuty sumienia...? Czy to możliwe...? Nie, nie wybaczam ci. Nie, odmawiam wzięcia na siebie choćby cząstki winy... Tak, Wade, masz absolutną rację. Jestem lodowata i zawzięta jak zawsze, ale już przestałam ci życzyć długiego, bolesnego i paskudnego umierania. Teraz już tylko chciałabym, żeby cię potrafiła ciężarówka, kiedy będziesz przechodził przez jezdnię. Jeżeli szukasz rozgrzeszenia, udaj się do księdza.

Odwiesiła słuchawkę z takim impetem, że telefon wydał przeraźliwy pisk.

- No cóż - przerwał milczenie Gabe - Nieźle mu nawrzucałaś. - Pogratulował jej, unosząc w górę puszkę coca-coli. - Czy on ma zwyczaj dzwonić do ciebie?

- Co parę miesięcy. - Kelsey kopnęła stół, następnie zsunęła pantofle z obolałych stóp i cisnęła nimi przez pokój. - Żeby pogadać. Dajesz wiarę? Nie możemy być małżeństwem, ale dlaczego nie mielibyśmy zostać przyjaciółmi?! Powiem ci, dlaczego. Ponieważ nikt nie będzie mnie zdradzać. Nikt.

- Zapamiętam to sobie. - Przyglądał się jej, zastanawiając się, czy pozwolić jej się uspokoić, czy też zanieść ją do łóżka i sprawić, by dała upust tej energii.

- Jutro się żeni. Uznał, że lepiej będzie, jeśli usłyszę nowinę bezpośrednio od niego, zadzwonił więc do Candace. Nadal należą do tego samego klubu, sam rozumiesz. - Kelsey wypita duszkiem wino, stwierdziła, że jej nie smakuje. -

Poinformowała go, gdzie jestem. Tak jakby on miał niekwestionowane prawo do tego.

Tak jakby cokolwiek mnie obchodziło, że się żeni!

- A nie obchodzi cię? - Gabe wyciągnął rękę po kieliszek, który głośno odstawiała na skraj stołu.

- Nie. - Musiała czymś rzucić, czymkolwiek. Złapała leżący pod ręką przewodnik. - Obchodzi mnie natomiast, że ośmiela się dzwonić do mnie niespodziewanie, ni stąd ni zowąd, i próbuje sprawić, bym choć przez ułamek sekundy czuła się winna, że jest z inną kobietą. Obchodzi mnie, że gdy to robi, wracam myślami do przeszłości i przypominam sobie, jak doskonały miał być nasz związek. Sympatyczna para młodych ludzi, z dobrych rodzin, wesele na cztery fajerki, odnotowane w kronikach towarzyskich, romantyczny miesiąc miodowy na Karaibach, uroczy domek w Georgetown. Odpowiedni przyjaciele, odpowiednie kluby, odpowiednie przyjęcia. A ja nienawidzę oglądać się wstecz i uświadamiać sobie, że nigdy go nie kochałam.

Jej głos się załamał, przycisnęła pięściami skronie.

- Nigdy go nie kochałam. Jak mogłam za niego wyjść, Gabe? Jak mogłam, jeśli nie czułam do niego nawet ułamka tego, co czuję do ciebie?

Oczy mu rozbłysły, po czym światełko zawęziło się do maleńkiego rozżarzonego punkciku.

- Uważaj, Kelsey, ja wprawdzie nie oszukuję, ale to nie znaczy, że gram fair. Nie będę zwracać uwagi na twoje przygnębienie. Jeszcze tylko słowo, a przestanę panować nad sobą.

- Nie wiem, co mówię. - Bezradna, drżąca, opuściła ręce. - Wiem tylko, że kiedy go słucham tak jak teraz, uświadamiam sobie, iż wyszłam za niego, ponieważ wszyscy mówili, że jest dla mnie odpowiedni. I ponieważ był to kolejny, zdawało się, naturalny krok. Chciałam, żeby to się udało. Dokładałam starań, by się powiodło. Ale czy mogło?

Ani razu nie poczułam z nim tego, co czuję z tobą. - Jej głos przeszedł w szept. - Z

nikim nie czułam tego, co czuję z tobą.

Odstawił swój napój, zdając sobie nagle sprawę, iż z taką mocą zaciskał puszkę, że porobiły się w niej wgłębienia.

- Każdy ci powie, że nie jestem dla ciebie odpowiedni.

- Nie obchodzi mnie to.

Nie znoszę Country Clubów. Nie będę cię zabierał na wiosenne bale.

- Nie proszę cię o to. W każdej chwili może mi coś strzelić i zechcę postawić wszystko, co mam, na jeden obrót koła.

Mogła to sobie nawet wyobrazić.

- Myślę, że koło zostało już puszczone w ruch, Slater. Ale może nie jesteś aż takim hazardzistą, żeby zaryzykować wszystko naraz.

- Nie wiesz, co do mnie czujesz. - W przypiływie emocji chwycił ją, niemal odrywając od podłogi. - Pracujesz nad tym, wkładasz w to wysiłek. Chryste, prawie widzę, jak w twojej głowie obracają się trybiki. Ale nie wiesz.

- Pragnę cię. - Serce podeszło jej do gardła, uderzając z całych sił. - Nigdy nie chciałam nikogo tak jak ciebie.

- Sprawię, że dasz mi więcej. A gdy raz dostanę cię w swoje ręce, Kelsey, już się mnie nie pozbędziesz. Gdybyś była rozsądna, przyjrzałabyś się dokładnie, w co się pakujesz, i zwiłałabyś.

Zaczęła potrząsać głową, ale on już wziął ją na ręce.

- Za późno.

- Dla ciebie również - wyszeptala i poprawila się w jego ramionach, sięgając wargami do jego szyi.  
- Nie uciekam. Gabe, doganiam czas.

Wiedziała już teraz, czego oczekuje, czego się spodziewa, czego pragnie. Żaru, szybkości i szaleństwa. Chciała bólu, wiedząc, że on potrafi go ukoić, po czym wznieci na nowo, aż każde włókno będzie pulsować jak rana. Upajała ją myśl, że i on odczuwa tę samą palącą, zapierającą dech potrzebę, tę samą panikę i trwogę, których doznali podczas ich pierwszego, łapczywego zbliżenia.

Padając na łóżko, na oślep, bez tchu, walczyli z guzikami, z zapięciami, aż posypały się ubrania, jak spadające liście. Celem tej pogoni było ciało, jego smak, dotyk i zapach, stanowiące preludium do tego najbardziej pierwotnego z pragnień.

Wodził rękoma po jej ciele, jej jędrnych, jedwabistych piersiach, jej wąskiej klatce piersiowej, jej biodrach. Koniuszkami palców widział ją w ciemności, każdy jej milimetr, każde zagłębienie, każdy mięsień. Jak ślepiec badający fakturę i kształt, tak i on doświadczał fizycznie jej ciała, które już znał.

Była wszystkim, czego zawsze chciał, o co zawsze walczył, o co zawsze gotów był ryzykować najwyższą stawkę. Drżała pod nim, oczekująca, spragniona.

Zadziwiająco jego.

Jej ciało unosiło się. Zwinnie i szybko. Kiedy zmienili pozycję, usiadła na nim.

Płynnym ruchem uwięziła go wewnątrz swych wilgotnych, gorących ścian, przechylając się do tyłu, by ująć go mocno i bez reszty. Ich palce zwały się w uścisku i wtedy miarowym, kołyszącym ruchem poprowadziła ich oboje ku szaleństwu.

Zdążył jeszcze pomyśleć, że istotnie jest już za późno. O wiele za późno dla nich obojga.

Świt wstał posępny. Na niebie wisiały ciężkie chmury, zasnuwając wszystkie kolory jednolitą metaliczną szarością. Od czasu do czasu przez ich grube warstwy przedzierał się deszcz, zacinając silnymi strugami, które siekły i przenikały na wskroś.

Ludzie i maszyny wielokrotnie grabili tor, znacząc nawierzchnię rowkami. Tor wyścigowy Pimlico nasiąkał szybko, a stajenni obchodzili się z nim tak delikatnie i czule, jak tylko człowiek może traktować najukochańszego konia.

Deszcz nie odstraszył ludzi ani prasy. Przed wyznaczoną godziną pierwszej gonitwy trybuny były wypełnione. Jaskrawe parasolki zdawały się szybować w powietrzu niczym balony na stalowoszarym morzu. Niektórzy chronili się przed deszczem w pawilonie klubowym, posilając się krabami i piwem, obserwując akcję na monitorach.

Z powodu pogody, zamiast lnianej sukienki, którą chciała włożyć, Kelsey wybrała dzinsy i wysokie boty. Był to dobry pretekst, by zatrzymać się dłużej w stajni i wetknąć cętkowane lilie w jasną grzywę Justice, udekorować ją z okazji zaszczytnego obowiązku wprowadzenia High Water na tor.

A poza tym, zdaniem Kelsey, nic tak nie sprzyja refleksji jak deszczowy dzień.

Jeszcze pół roku temu nie wiedziała o istnieniu Naomi. Powierzchniowo tylko знаła świat, do którego teraz należy. Prześlizgiwała się przez życie, nękana myślą o nieudanym małżeństwie i swojej, jak jej już się prawie zdawało, wybrakowanej kobiecości. Bawiła ją praca, znajdowała w niej nawet satysfakcję, a jednak myślała o jej zmianie.

Zawsze mogła być inna praca, inny kurs do zaliczenia, inna podróż do zaplanowania. Pielęgnowała myśl, że dokonując tych nieustannych nadprogramowych zmian, stymuluje swój umysł. Ale w rzeczywistości robiła to po prostu, by wypełnić próżnię. Próżnię, do której nie chciała się przyznać. Której z całą pewnością nie rozumiała.

Zastanawiała się poważnie, czy przypadkiem, wykorzystując Naomi, farmę, a nawet Gabe'a, nie robi teraz tego samego, by i tym razem pozatykać te pęknięcia w swoim życiu. Czy, zgodnie z przewidywaniami rodziny, rozczaruje się, znudzi rutyną i znowu zmieni miejsce?

A może powinna zaufać rozkwitającym w niej uczuciom? Rosnącemu przywiązaniu do matki - naturalnej, prawie bezbolesnej ewolucji od złości i podejrzliwości do serdeczności i szacunku? Dlaczego nie przyznać się zwyczajnie, że znalazła, a może już nawet zaczęła zdobywać swoje miejsce?

A Gabe? Czy nie wystarczy radość i odprężenie z powodu tego, co jest między nimi? Nie miała co do tego wątpliwości ubiegłej nocy, gdy zanurzyli się w łóżku. Ani też gdy o świcie leniwie odwróciła się w jego stronę i gdy kochali się powoli i ospale.

Być może to kwestia jej nieelastycznego pojmowania wartości, jej sztywnej percepcji dobra i zła. Jak mogła pozwolić, by Naomi na niej polegała, skoro nie jest pewna, jak długo tu jeszcze zostanie? Jak mogła wziąć sobie kochanka i czerpać całą radość z kochania się, jeśli żadne z nich nie wyszeptało nawet jednego słowa o miłości?

Może jest zbyt zimna. Jeśli nie potrafi cieszyć się chwilą bez podawania w wątpliwość każdej motywacji, jak to świadczy o jej własnym wizerunku? A czy nie dąsa się, ot tak troszeczkę, bo jej eks - małżonek się żeni, być może wymawia właśnie po raz drugi słowa przysięgi, kiedy ona ozdabia tu kwiatami grzywę wałacha?

Już czas, by raz na zawsze odsunąć od siebie to wszystko, udzieliła sobie przestrogi. Czas spojrzeć w przyszłość. Teraz już nie jest zdana na ślepy los. Ma także cel - oraz pytania, na które musi znaleźć odpowiedzi. Musi podejść do tego racjonalnie, sięgając do liczących ponad dwadzieścia lat korzeni. Obiecała więc sobie, że pierwszą rzeczą, jaką zrobi w poniedziałek rano, będzie telefon do Charlesa Rooneya.

Kiedy podchodzili na padok, deszcz znowu przestał padać. Promień słońca prześlizgnął się przez szczelinę w chmurach i padł na ociekający wodą okap. Krople deszczu dźwięczały melodyjnie, zamieniając ziemię w błoto.

Kelsey spojrzała ukradkiem na Boggsa. Wydawał się stary, słabszy niż dwa tygodnie temu.

Wiedziała, że wyznaczono go na stajennego High Water; zarówno ze względu na jego umiejętności, jak i po to, by pomóc mu wygoić rany.

- Deszcz nam sprzyja - powiedziała, mając nadzieję, że w ten sposób usunie cienie smutku spod jego oczu. - High Water lubi mokry tor. - Podobnie jak Double, przypomniawszy sobie.

- To dobry koń. - Boggs bez entuzjazmu poklepał konia po szyi. - Równy i chętny. Może dzisiaj jeszcze wszystkich zadziwić.

- Wiadomość z ostatniej chwili: płacą za niego pięć do jednego. Boggs wzruszył ramionami. Nigdy nie przykładał większej wagi do zakładów.

- Niedużo biegał w tym roku, nie wiedzą więc, co potrafi. Niemniej częściej był wśród zwycięzców niż wśród przegranych. Pobiegnie, jeśli się go poprosi.

Ale nie jest Pride'em. Boggs nie musiał tego mówić. Kelsey to rozumiała.

- Więc go poproszę. - Podeszła do konia i przytrzymała za uzdę tak, by móc zajrzeć mu w oczy. Były takie mądre i, jak mówi Boggs, chętne. - Pobiegniesz, prawda, chłopcze? Pobiegniesz tak ostro i tak prędko, jak tylko potrafisz. Więcej od ciebie nie chcemy.

- Nie poprosisz go, żeby wygrał? - Naomi położyła dłoń na ramieniu córki; drobny gest, który wciąż je wzruszał.

- Nie. Czasami próba zwycięstwa jest ważniejsza niż samo zwycięstwo. Kelsey zauważyła stojącego na uboczu Rena. Z ręką na temblaku, bladego, udręczonego. - Za minutę przyjdę do boksu.

Podeszła do niego. Wzięła go za zdrową rękę.

- Spodziewałam się, że cię zobaczę.

- Nie mogłem usiedzieć. - Choć wolałby tu nie być. Ostatnia rzecz, jakiej chciał, to stać na uboczu i przyglądać się wyścigowi. - Zamierzałem zostać w domu, może nawet obejrzeć wyścig w okienku. I raptem znalazłem się w samochodzie, w drodze na tor.

- Wkrótce do nas dołączysz, Reno.

Ujrzała na jego twarzy bolesny grymas. Odwrócił głowę od niej, od koni, od toru.

- Nie wiem, czy będę miał do tego serce. Ten koń zasłużył na lepszy los.

- Ty także - odpowiedziała spokojnie Kelsey.

- Przez większą część życia marzyłem o zwycięstwie w derby. Można dosiadać dziesiątki koni, mając dziesiątki celowników, ale derby jest jedno. A teraz to przeminęło.

- W przyszłym roku jest kolejne derby - przypomniała mu. - Każdego roku jest następne derby.

- Nie wiem, czy jeszcze zechcę spróbować. - Jego twarz stężała, kiedy dostrzegł

ponad jej ramieniem jakąś postać. - Powodzenia - rzucił i szybko się oddalił.

Rossi zauważył gwałtowne wycofanie się dżokeja, odnotował je, po czym -

mimo braku zachęty ze strony Kelsey - podszedł do niej.

- Paskudny dzień.

- Od jakiegoś czasu zaczęło się jakby przejaśniać. Uśmiechnął się, doceniając jej siłę przekonywania.

- Miałem nadzieję, że przechadzając się wokół, wyłowię kilku dzisiejszych faworytów.

- Wątpię, czy to się panu uda, poruczniku. - Ruszyła przed siebie, godząc się z tym, że nie odstępuje jej na krok. - Wygląda pan na tego, kim pan jest. Na glinę.

- Ryzyko zawodowe. Nie twierdzę, że choć trochę znam się na koniach, panno Byden, ale ten wasz wydaje się nie za duży.

- To prawda. Niecałe półtora metra. Nie sądzę jednak, żeby chciał pan rozmawiać o koniach.

- Myli się pani. Właśnie konie stanowią sedno sprawy. - Poczęstował ją orzeszkami, a gdy odmówiła, sam je schrupał. - Coś odkryłem. Jest wiele sposobów, by zabić konia, panno Byden. Niektóre z nich są dość okropne.

- Jestem tego świadoma. - Nawet nazbyt świadoma, pomyślała. Wiedziała o tym od Matta. Kiedy go przycisnęła, opowiedział jej o niektórych metodach. Między innymi o śmiertelnym rażeniu prądem. Stawia się konia do wody, a następnie podłącza przewody. Okrutne i przemyślnie morderstwo, na ogół przemilczane. Chyba że weterynarz wypatrzy oparzenia w nozdrzach. Jeszcze gorsze, przypomniała sobie, jest uduszenie wepchniętymi do nosa piłeczkami pingpongowymi. Koń nie może ich usunąć, umiera więc powolną i przerażającą śmiercią.

- Wasz koń - ciągnął Rossi - nie został zabity zwyczajnie. Zabito go na oczach milionów ludzi. To ryzykowne. Według mojego rozeznania, jeśli ktoś tak ryzykuje, to dlatego że chce coś pokazać, coś udowodnić. Kto mógłby chcieć dołożyć publicznie pani matce, panno Byden?

- Nie mam pojęcia. - Ale ta uwaga była godna zastanowienia. Takie stwierdzenie oddalało podejrzenie od Naomi i czyniło ją ofiarą. - Czy myśli pan, że o to chodziło?

- To bardzo szeroka ścieżka, którą warto zbadać. Koń był ubezpieczony, bardzo wysoko ubezpieczony. Ale Three Willows nie cierpi na brak pieniędzy, a na dłuższą metę ten koń mógł wybiegać ich znacznie więcej. Pani matka wydaje się rozsądną bizneswoman. Zajmijmy się więc Slaterem.

- On nie ma z tym nic wspólnego.

- Przemawiają przez panią emocje. - Właśnie tego oczekiwał. - Proszę przez chwilę podążać za moją argumentacją. Slater zgarnął nagrodę. Zawsze należy się przyjrzeć tym, którym morderstwo przynosi korzyść, panno Byden. Jakikolwiek morderstwo. Problem polega na tym, że to rzuca cień na niego i jego zwycięstwo w derby. A zatem zastanawiam się, czy to by mu się opłacało? Miał i tak wielką szansę na wygraną, czy zatem warto było ukartować to wszystko w tak rzucający się w oczy sposób? Nie sprawia wrażenia człowieka, który posługuje się tak prymitywnymi metodami.

- Przemawiają przez pana emocje, poruczniku.

- Spostrzegawczość, panno Byden. On nie jest jedyną osobą, która odniosła korzyść. Jest jeszcze jego trener, jest dżokej. Chłopcy dostali swój kawałek tortu. I jest każdy, kto robił zakłady.

Kelsey zaśmiała się krótko, rozglądając się po tłumie.

- To z pewnością zawęży pole.

- Bardziej, niż pani myśli. - Rossi również potoczył wzrokiem po tłumie, szczerze ubawiony jej uwagą. - Jeżeli ma to związek z moimi dwoma morderstwami, to zawęży pole bardziej, niż pani przypuszcza. Komu ufał Lipsky na tyle, lub też kogo bał się na tyle, że pozwolił mu podejść wystarczająco blisko, by dać się zabić? Komuś, z kim pracował, dla kogo pracował? W tej gonitwie było trochę więcej niż tylko dwa konie, panno Byden, i trochę więcej niż kwiecisty czaprak do wygrania.

Stała. Odwróciła się, by mu się przyjrzeć.

- Dlaczego mi pan to wszystko mówi?

- Bo jest pani nowa w grze. Może pani dostrzegać to, czego inni nie widzą... -

Przerwał, by rozłupać kolejny orzeszek. - I jest pani zaangażowana. Pani związek z matką nie wszystkich zdaje się uszczęśliwiać.

A więc on wściubia nos także w jej życie osobiste. Można się było tego spodziewać.

To są rodzinne sprawy, poruczniku, które nie mają nic wspólnego z morderstwem.

- Mogę pani przytoczyć dane statystyczne, które wykazują, że rodzinne sprawy częściej niż inne prowadzą do morderstwa. Proszę tylko, żeby miała pani otwarte oczy.

- Są otwarte, poruczniku. - Nie ruszała się z miejsca. Nie chciała, żeby dostrzeżono go z boksów. Nie było sensu niepokoić Naomi tuż przed gonitwą. - A teraz proszę mi wybaczyć, poruczniku, muszę przyłączyć się do mamy.

- Powodzenia! - zawołał i wyjął następny orzeszek. Miał wrażenie, że Kelsey Byden będzie trudniejsza do zgryzienia.



Kelsey zajęła miejsce w boksie w chwili, gdy konie doprowadzone były do bramy startowej.

- Bałam się, że nie zdążysz.

- Wpadłam na kogoś - mruknęła Kelsey i przeniosła wzrok z matki na Gabe'a.

Pomyślała, że to cały on. Pozostanie tu z nimi w tym najważniejszym dla siebie momencie wyścigu. Wzięła go za rękę i uściśniła ją szybko. - Trzymamy boczek, Slater.

- Jesteś mi jeszcze winna za pierwszy raz.

- No to wszystko albo nic\*. To bardzo a propos. - Spojrzała przez lornetkę na pole. - Twój koń wygra o dwie długości; tor jest podmokły, więc daję mu nie więcej niż minutę i pięćdziesiąt osiem sekund. Nasz będzie trzeci, w czasie dwie minuty i dwanaście sekund.

Gabe uniósł brew.

- Trudno odmówić zakładu, jeśli ma się pewną wygraną. Konie ruszyły. Już na starcie Double i jego jeździec wysunęli się do przodu. Tak jakby obaj wiedzieli, że muszą coś udowodnić, pomyślała Kelsey. To był czempion, który odrywał się od grupy w okamgnieniu, bez potrzeby poganiania go batem. Na pierwszym okrążeniu prowadził o pół długości, za nim walczyły o drugą pozycję trzylatek z Arkansas i deresz z Kentucky.

I znowu Kelsey urzekł majestat tego widowiska. Z lornetką przy twarzy dopingowała konie i choć się tego obawiała, widok upadającego Pride'a nie nałożył się na obraz obecnej gonitwy. Widziała tylko rozbryzgujących błoto atletów, jeźdźców i ujeżdżanych przelatujących galopem po owalnym torze.

Zaczął padać deszcz. Równomierna mglista mżawka rozmyła widoczność.

Teraz Double prowadził już o całą długość i rwał do przodu. Jego czerwone owijacze były brunatne od błota, a jeździec balansował w strzemionach niczym zabawka. Kelsey usłyszała swój własny radosny i triumfalny śmiech.

\*\*Aluzja do nazwy konia Double or Nothing (przyp. tłum.).

Wtedy, jak strzała wypuszczona z łuku, wyskoczył po zewnętrznej High Water.

Ten niesłychany wprost zryw sprawił, że Kelsey wstrzymała oddech. Koń odrabiał stratę, rozrywając, rozbryzgując ziemię. Walcząc, pomyślała zdumiona, o honor.

Na prostej Double powiększył dystans. Tłum wrzeszczał, wiwatował na jego cześć - istny potop dźwięków, tłumiących wszystko inne. A potem na cześć High Watera, który - typowany na piąte miejsce - błyskawicznie wyszedł na trzecią pozycję i nie oddał już jej do końca tych ostatnich, zapierających dech trzech szesnastych toru.

- Boże Przenajświętszy, popatrz na niego! O Boże, mamó, tylko popatrz na niego!

- Patrząc. - Łzy zmieszane z deszczem spływały po twarzy Naomi. Gdy w kolejności numerów startowych pięć - siedem - dwa konie wpadły na metę, objęła z całej mocy Kelsey w pasie. Double zdobył cętkowane lilie, a High Water zepchnął z drugiej pozycji Arkansasa.

- Zrobił to! - zawołała Kelsey. - Ten maluch to zrobił! - Najpierw, śmiejąc się ze szczęścia, wyściskała matkę. - Nikt w to nie wierzył! Nikt z nas w to nie wierzył! -

następnie z okrzykiem radości rzuciła się w ramiona Gabe'a. - Moje gratulacje! Jaki czas? Jaki czas?

Podał jej stoper; rozśmieszyło go, że dosłownie wyrwała mu przyrząd z ręki.

Minuta, pięćdziesiąt siedem i ćwierć.

Znowu się zaśmiała, a krople deszczu kapały z jej włosów na twarz.

- Gabrielu Slaterze, wygrałeś właśnie drugi klejnot Potrójnej Korony! Co dalej zamierzasz? Domyślam się, że nie poprzestaniesz na tym!

- Przed nami Belmont. - Uniósł ją wysoko w górę, zakręcił dokoła, po czym pocałował. - Jedziemy na Belmont.

W pawilonie wyścigowym Rich Slater wzniosł przed monitorem toast za syna i Kelsey, po czym odstawił szklaneczkę starej, dobrej szkockiej. Ładna para, stwierdził.

Stanowili równie ładną parę, jaką on mógłby stanowić z Naomi, gdyby ta zrozumiwała i lodowata panna nie wypięła się na niego.

Ale teraz były inne, ważniejsze sprawy do rozważenia. Inne sprawy do świętowania.

Postawił na Double'a dziesięć ze stu tysięcy dolarów, które wycisnął z Cunninghama. Satisfakcjonowała go dzisiejsza wygrana.

Na razie.

- Chyba nie masz nic przeciwko temu. - Kelsey otworzyła butelkę szampana z wesołym pyknięciem. Wypiła już sporo kieliszków w apartamencie matki, ale było jeszcze wcześnie. - Zamierzam osuszyć butelkę. I mogę się nieźle upić.

Siedząc ze skrzyżowanymi w kostkach nogami, Gabe fantazjował na temat długiego, gorącego, parującego wspólnego prysznicu. Ale może z tym zaczekać.

Równie interesująca będzie obserwacja, ile nawyków i zahamowań Kelsey uleci wraz z butelką dom perignan.

- To, że nie piję, nie znaczy, iż z przyjemnością nie popatrzę, jak sobie folgujesz.

- No to zaczynam. - Naląła sobie i przyjrzała się bąbelkom pieniącym się niestrudzenie wokół brzegu

kieliszka. - Czy wiesz, że nigdy tak naprawdę nie byłam pijana? Bywałam na rauszu, ale zawsze wiedziałam, kiedy przestać. - Wzięła duży łyk i pomachała mu ręką. - Takie wychowanie. Nie chciałam zachowywać się zbyt swobodnie w klubie, bo ludzie by gadali. Nie mogłam być wyluzowana na przyjęciu, bo inni ludzie by plotkowali. - Tym razem pomachała butelką. - A Bydenowie nie dostarczają powodów do plotek.

- A o co zabiegają?

O szacunek, podziw i, przede wszystkim, dyskrecję. - Przymknęła jedno oko, by zawęzić pole widzenia, i dołała sobie szampana. - Do diabła z nimi. Niech sobie gadają. Wygraliśmy. To wprost niewiarygodne, prawda?

- Jeszcze jak! - Gabe uśmiechał się do niej. Była teraz boso, a jej włosy tworzyły po deszczu puszystą jasnozłotą aureolę.

- Wszyscy byliśmy wcześniej tacy przygnębieni. Staraliśmy się tego nie okazywać, ale niełatwo nam to przychodziło. Widziałam na padoku Rena. Serce mi się krajało na jego widok. - Znowu wypięła, westchnęła i stwierdziła, że podoba jej się sposób, w jaki po szampanie wiruje pokój. Z kieliszkiem w ręku wykonała dwa wolne piruety, by jeszcze bardziej zakręciło się jej w głowie.

- Zrób to jeszcze raz. - Chciał patrzeć, jak rozwiewają się jej włosy, opadają, znowu się rozwiewają i znów opadają. Śmiejąc się frywolnie, spełniła jego prośbę.

- Widzisz? Przydały mi się na coś lekcje tańca. Ukształtowały mnie tak pod względem fizycznym, jak i psychicznym. Wiesz? O moje ciało możesz rozbijać cegły.

- Myślę, że mogę z nim robić znacznie ciekawsze rzeczy. Ponownie się roześmiała. Wiedziała, że może. Że zrobi.

- Rozmawialiśmy z Renem o wyścigu. Mam nadzieję, że czuje się trochę lepiej.

Widziałeś Naomi i Mosesa? Ależ byli szczęśliwi! I Boggs też. Biedny staruszek wyrzuca sobie, że postawił tego dnia na Pride'a. A przecież to nie miało żadnego związku. Ludzie zawsze próbują łączyć różne sprawy. Na przykład Rossi.

- Rossi?

- Mmm. - Nalała kolejny kieliszek, po czym machinalnie zaczęła rozpinać guziki bluzki. Z każdym łykiem robiło jej się goręcej. - Był tam, na wyścigach.

Rozmawiałam z nim. A raczej on rozmawiał ze mną. Odnoszę wrażenie, jakby wyrastał spod ziemi, gdziekolwiek się zwrócę. Przygląda się, obserwuje, wyskakuje z jakimiś teoriami. Dlaczego ktoś miałby chcieć zranić Naomi, albo sprawić, by ludzie tak to odbierali?

Gabe skupił się na niej. Miała rozpiętą bluzkę, aż do tego rozkosznego miejsca, gdzie zaczyna się linia piersi. Próbował także skoncentrować się na jej słowach.

- On tak uważa?

- Kto go wie? - Wzruszyła obojętnie ramionami. - Nie sędzę, żeby mówił

dokładnie to, co myśli. Rozumiesz mnie - dodała po chwili. - Mówi coś, żeby wzbudzić w tobie niepewność i doprowadzić cię do szału. Jedno przynajmniej jest dobre -

wydaje mi się, że przestał podejrzewać Naomi o zamordowanie konia. - Uśmiechnęła się zwycięsko. - Ciebie jednak nadal ma na oku, Slater.

- Nigdy w to nie wątpiłem.

Ale tylko na jednym. - Zamknęła oko, by mu to zademonstrować. - A poza tym sądzi, że nie lubisz się rzucać w oczy.

- To brzmi jak komplement. - Gabe postanowił się wreszcie skoncentrować na odsłoniętym fragmencie ciała Kelsey. - Masz jeszcze kilka guzików do rozpięcia, kochanie.

- Zostawiam je. Nigdy przedtem nie robiłam striptizu przed mężczyzną.

- Pozwól więc, że będę tym pierwszym.

Zachichotała i z na wpół przymkniętymi oczami zaczęła szperać przy rozporoku dżinsów, by go rozpiąć.

- Zdenerwował mnie widok Rossiego. Obudził wspomnienie derby.

Wszystkiego, co się tam stało. Ujrzałam konie wylaniające się z mgły po porannym treningu. Odżyły zapachy, dźwięki, zdenerwowanie. Zobaczyłam Boggsa rozwieszającego derki Pride'a i opowiadającego o swoim ostatnim zakładzie. I o tym, że mu się wydawało, iż widział twojego ojca.

- Co?! - Jego krew, rozgrzaną pod wpływem beztróskiego striptizu Kelsey, ścięło jak lodem. - Co powiedziałaś o moim ojcu?

- Och, Boggsowi się wydawało, że widział go na Churchill Downs. Pomyślał, że to zły znak. Ale chyba mu się przywidziało. Gdyby miał pewność, dałby ci znać.

- Kelsey. - Gabe wstał, wyjął z jej ręki kieliszek i odstawił go na bok. - Co Boggs dokładnie powiedział o moim starym?

- Nic takiego. - Zrobiła głęboki wydech. Kręciło jej się w głowie. Zabawne uczucie. Ale wzrok Gabe'a był tak przenikliwy, że przebijał się przez mgłę, jaką miała przed oczami. - Tyle tylko, że mu się wydawało, iż widział go w pobliżu stajni.

Złapał ją teraz za ramię.

- Kiedy?

- Gdzieś nad ranem. Ale nie był pewien. Tylko mu mignął. Boggs ma słaby wzrok, więc mógł się omylić. - Potrząsnęła głową, na próżno próbując nieco otrzeźwieć. - Jakie to ma znaczenie?

- Żadne - odparł Gabe, rozluźniając uchwyt. Albo zasadnicze. Najważniejsze na świecie. - Tak sobie po prostu rozważałem.

- Przeszłość potrafi schwycić za gardło. - Kelsey podniosła rękę do jego twarzy.

- Nie powinniśmy na to pozwalać. Jesteśmy tu i teraz.

- Tak, tu i teraz. - Można z tym poczekać, pomyślał Gabe. Być może nie ma sprawy, a jeśli nawet jest, zajmie się nią po powrocie do domu. - . Przekonamy się. -

Ujął w dłonie jej podbródek, przyjrzał się pełnej upojenia twarzy i zamglonym oczom.

- Kochanie, rano obudzisz się z potwornym kacem i jeszcze większym bólem głowy.

- No to co? - Zawisła na jego szyi. Jednym zręcznym ruchem wskoczyła na niego, objęła nogami w pasie. - Postarajmy się więc, żeby był przynajmniej czegoś wart, co ty na to?

- O to już możesz być spokojna. Chodź pod prysznic. - Schylił głowę i delikatnie skubnął zębami jej gołe ramię. - Pokażę ci, co wymyśliłem.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY**

Myślała, żeby porozmawiać o tym z Gabe'em. Zwierzenie się ze swych zamiarów mężczyźnie, z którym pozostaje się w tak bliskim związku, byłoby przecież czymś naturalnym. Nie byłoby oznaką słabości, gdyby go poprosiła, żeby jej towarzyszył, by wsparł ją moralnie w jej próbie stawienia czoła przeszłości.

Ale nie rozmawiała z nim o tym. Ponieważ pachniało to zależnością. Pachniało słabością. A poza tym, po odrzuceniu całej nadbudowy, to był jej problem.

Zresztą Gabe z trudem znajdował czas nawet dla siebie. Wygrał już dwa klejnoty. Nadarzała się okazja wywalczenia Potrójnej Korony, a nie każdego roku jest taka szansa.

Gabe miał więc pełne ręce roboty, prasę na karku, był stale spięty, zaprzątnięty rozważaniem swoich możliwości. No i intensywnymi przygotowaniem do mających się odbyć za trzy tygodnie wyścigów na Belmont.

Wolała zatem go nie rozpraszać. Cel, jaki sobie postawił, znaczył dla niego znacznie więcej aniżeli tylko pieniądze i prestiż. Zdawała sobie z tego sprawę. Dla Gabe'a Potrójna Korona byłaby dowodem, że nie tylko coś wzięł i uczynił własnym, ale że ponadto uczynił to czymś wyjątkowym.

Wychodząc z tego założenia, Kelsey wolała, żeby jej nie zbył byle czym.

Niedobrze jest jednak, gdy przeszłość nas dławi.

Nie mogła się od niej uwolnić. Im dłużej znała Naomi, im bardziej dojrzewała do tego, by się o nią troszczyć, tym trudniej było jej uwierzyć, że matka z zimną krwią zabiła człowieka. Albo raczej z gorącą, w tym wypadku.

Nie ulegało wątpliwości, że to Naomi nacisnęła spust. Że przerwała czyjeś życie. Nie tylko się do tego przyznała, nie tylko ława przysięgłych wydała na nią wyrok, ale w dodatku był jeszcze świadek.

Kelsey doszła do wniosku, że dopóki nie porozmawia z Charlesem Kooneyem, przeszłość nie da jej spokoju.

Ucieszyła ją jazda. Pomimo dużego ruchu na szosie trudno było nie zauważyć i nie docenić zielonych skarp i orgii kwitnących roślin. Miała opuszczony dach i szybującą pod niebo muzykę Szopena. Co więcej, postanowiła na krótko zapomnieć o swoich planach.

Właściwie nie skłamała, podając sekretarce Rooneya nazwisko „Kelsey Monroe”, gdy umawiała się na spotkanie. Była to zwykła przezorność, sposób, by Rooney nie skojarzył jej natychmiast ze sprawą Naomi.

Pomyślała, że jest to naginanie do potrzeb sztywnych norm dobra i zła. Zawsze pogardzała ludźmi, którzy uznawali rzekomo uzasadnione kłamstwa za dopuszczalne.

Albo za wygodne. A teraz ona używa tego samego śliskiego chwytu, by dopiąć swego.

Postanowiła odłożyć na później moralną ocenę tego czynu.

Minęła się także odrobinę z prawdą, szukając pretekstu do wzięcia wolnego popołudnia. Zakupy czy umówione spotkanie były oczywiście tylko wybiegiem.

Wiedziała, iż Naomi przypuszcza, że jedzie spotkać się z rodziną, i nie wyprowadziła jej z błędu.

Cokolwiek wyniknie z tego spotkania, nie sądzi, by mogła się z tym podzielić z matką. Po raz pierwszy od straty Pride'a Naomi zdawała się znowu odprężona. Nikt nie spodziewał się, że High Water powtórzy swój wyczyn z Preakness na wyczerpującym, prawie dwuipółkilometrowym torze Belmont.

Cel został osiągnięty, zwycięstwo odniesione. Teraz mogą zbierać nagrody.

A ona może ukraść tych kilka godzin, by zanurzyć się w odpryskach przeszłości.

Już wcześniej sprawdziła trasę i przejazd przez miasto. Choć słabo znała Alexandrie, bez trudu odnalazła budynek, wślizgnęła się też na wolne miejsce w podziemnym garażu.

Miała napięte nerwy, była zła z powodu wilgotnych rąk i ściśniętego żołądka.

Zwolniła tempo, nie spiesząc się zaciągnęła hamulec, zamknęła samochód i schowała kluczyki do zamykanej na błyskawiczny zamek przegródki w torebce.

Czy może być coś gorszego? - zapytywała samą siebie. Czy może być coś gorszego niż świadomość, że własna matka zabiła człowieka? Cokolwiek usłyszy od Charlesa Rooneya, nie będzie w stanie nią wstrząsnąć. Chciała tylko w jakikolwiek sposób zebrać to wszystko i połączyć w całość. Potem już raz na zawsze będzie zdolna zaakceptować kobietę, jaką stała się Naomi, i przestanie zajmować się kobietą, którą była niegdyś.

Z betonowego garażu, w którym niosło się echo, winda wwiozła ją na czwarte piętro, do wysłanych dywanami, wyciszonych korytarzy. Po obu ich stronach znajdowały się przeszklone drzwi z metalowymi tabliczkami i wyrytymi na nich nazwiskami. Za drzwiami, niczym w hali przemysłowej, przy komputerach i telefonach pracowali ludzie.

Kelsey wzdrygnęła się. Jakie to uczucie siedzieć przez tyle godzin jak na wystawie, na widoku każdego, komu zdarzy się przejść korytarzem? Jakie to uczucie być uwięzionym za tymi szybami, kiedy na zewnątrz szaleje wiosna?

Z politowaniem pokiwała głową nad sobą. Przecież nie tak dawno sama tkwiła w środku, jeszcze bardziej wystawiona na pokaz niż eksponaty, które prezentowała małym grupkom zwiedzających muzeum.

Jak gruntownie w ciągu tylko kilku miesięcy zmieniły się jej poglądy i pragnienia.

Detektywistyczne biuro Rooneya znajdowało się w południowym narożniku budynku. Jak Kelsey zdążyła zauważyć, nie było to wcale małe przedsięwzięcie, nie pasowało także do cokolwiek podejrzanego scenarii, tak często kreowanej w telewizji i kinie w scenach przedstawiających agencje detektywistyczne.

Wygląda na to, że facet nie dołuje żytniówki w szafie, stwierdziła, przekraczając próg szklanych drzwi, zanurzając się w dźwiękach przytłumionej muzyki i zapachu gardenii.

Romantyczna woń niosła się od woskowatych kwiatów opadających ciężko z żardynier ustawionych po obu stronach pastelowej sofy. Na ścianach wisiały reprodukcje unoszących się na wodzie nenufarów Moneta, a kopię stolika kawowego w stylu królowej Anny ożywiały barwne okładki magazynu „Southern Homes”.

Przy kolistym hebanowym stanowisku pracy pośrodku pomieszczenia siedziała kobieta równie wypolerowana jak wyposażenie wnętrza. Spojrzała znad ekranu komputera i profesjonalnie, choć zadziwiająco ciepło uśmiechnęła się do Kelsey.

- W czym mogę pomóc?

- Jestem umówiona z panem Rooneyem.

- Pani Monroe? Przyszła pani kilka minut wcześniej. Proszę usiąść. Zobaczę, czy pan Rooney może już panią przyjąć.

Kelsey usiadła obok gardenii, wzięła do ręki magazyn i przez następnych dziesięć minut udawała, że jest pochłonięta wyszukanym wystrojem dworu pod Raleigh pochodzącego sprzed wojny secesyjnej.

Co jakiś czas dawały jej o sobie znać nerwy i sumienie.

Nie powinna była tu przychodzić. Nie powinna była podawać nazwiska, którego już nie używała i którego nie chciała. Nie jej sprawą jest babranie się w sprawach Naomi. Powinna wstać i oznajmić zaskoczonej i sprawnej recepcjonistce, że popełniła błąd.

Z pewnością nie byłaby pierwszą osobą zmywającą się w panice z biura detektywistycznego. A gdyby nawet, jakie to ma znaczenie?

Powinna wrócić do stajni, pracować z Honor, a nie siedzieć tutaj, wdychając zapach gardenii i gapiąc się na zdjęcie nieco przeładowanego salonu.

Ale nie wstała. Zrobiła to dopiero wtedy, gdy recepcjonistka powtórnie zwróciła się do niej, proponując, że wskaże jej drogę.

Po drugiej stronie wewnętrznego korytarza było wiele drzwi, ale już nie przeszklonych, zauważyła Kelsey. Wszystko, co przedostawało się do wnętrza znajdujących się za nimi pokoi, było ściśle prywatne. Dyskrecja stanowiła nieodłączną część interesu.

A skoro tak, to czego się spodziewa po Charlesie Rooneyu? Skąd przypuszczenie, że opowie jej o tym, co wydarzyło się dwadzieścia trzy lata temu?

Ponieważ ona, Kelsey, ma do tego prawo, powiedziała sobie i wyprostowała ramiona. Ponieważ jest córką Naomi Chadwick.

Panie Rooney, przyszła pani Monroe. - Recepcjonistka otworzyła połowę podwójnych dębowych drzwi, przepuściła Kelsey i wycofała się.

Był to zwyczajny pokój, którego umeblowanie bardziej przypominało kryjówkę niż biuro. Do ścian przymocowano wielkie wypchane ryby ze szklanymi oczami, na półkach poustawiano w szeregu modele statków. Mężczyzna, który podniósł się zza biurka, mógłby uchodzić za dobrego wujaszka każdej rodziny. Mały brzusek, mała łysina, okrągła twarz i wąskie ramiona. Lekko przekrzywiony krawat sprawiał

wrażenie, jakby jego właściciel przed chwilą dopiero uporał się z tym krępującym wymogiem cywilizacji.

Rooney miał opanowany, przyjazny głos, który uspokajał najbardziej zdenerwowanego klienta.

- Przepraszam, że kazałem pani czekać, pani Monroe. Może filiżankę kawy? -

Ruchem ręki wskazał na stojący za nim na stole ekspres do kawy. - Jest gotowa. Mam ją zawsze pod ręką dla podtrzymania energii.

- Nie, dziękuję. Ale proszę się mną nie krępować. - Usiadła, wykorzystując czas, gdy nalewał do kubka kawę, na uważne przyjrzenie się jemu i otoczeniu.



Zwyczajny człowiek, w zwyczajnym miejscu, pomyślała. Skąd jego aż tak niszczycielski wpływ na tyle istnień ludzkich?

- A więc, pani Monroe, szuka pani pomocy w sprawie o przyznanie opieki nad dzieckiem. - Usadowił się wygodnie, mieszając leniwie łyżeczką w kubku. Przed nim, na biurku leżał już gotowy do notatek blok o znormalizowanym formacie. - Czy jest pani rozwiedziona?

- Tak.

- A jeśli chodzi o dziecko? Pod czyją obecnie znajduje się opieką? Wzięła głęboki oddech. Nie dlatego że poczuła się zakłopotana, ale ponieważ przyszła pora, by powiedzieć prawdę.

- To ja jestem tym dzieckiem, panie Rooney. - Zaciskając ręce na torebce, patrzyła mu prosto w oczy. - Monroe to nazwisko mojego męża. Nie używam go już, wróciłam do panińskiego nazwiska. Byden. Nazywam się Kelsey Byden.

Dokładnie zauważyła moment przeblysku w jego oczach.

Ręka Rooneya zawahała się, rytmiczne mieszanie przeszło w uderzanie.

Rozszerzone źrenice sprawiły, że przez moment jego zielone oczy wydawały się czarne.

Rozumiem. Spodziewała się pani, że przypomnę sobie nazwisko, a także sprawę. I słusznie. Jest pani uderzająco podobna do matki. Powinienem był panią rozpoznać.

- Nie myślałam o tym. Widział ją pan bardzo dawno temu. Śledził ją pan.

Nie mógł ujść jego uwagi ton pogardy w jej głosie.

- To stanowi część mojej pracy.

Ten szczególny rodzaj pracy spowodował, że sprawa przybrała fatalny obrót.

Czy zatrudnił pana mój ojciec, panie Rooney?

- Panno Byden - Kelsey - trudno mi myśleć o pani inaczej jak o Kelsey -

powiedział, przyglądając się jej bacznie, a przy tym wsłuchując w przyspieszony rytm własnego serca. - Sprawy o przyznanie opieki nad dzieckiem nigdy nie są przyjemne.

Na szczęście była pani na tyle mała, że nie wciągnięto pani w przykrzejsze aspekty procedury. Zostałem wynajęty, jak pani z pewnością wie, aby udokumentować... tryb życia pani matki w celu wzmocnienia argumentów pani ojca w sprawie przyznania mu pełnej opieki.

- I co takiego pan odkrył w jej trybie życia?

- Nie czuję się upoważniony, by o tym rozmawiać.

- Znaczną część akt sądowych opublikowano, panie Rooney. Nie uwierzę, że jest pan związany tajemnicą po upływie aż tylu lat. - W nadziei, że skłoni go do mówienia, pochyliła się i nadała głosowi bardziej emocjonalną intonację. - Muszę wiedzieć. Nie jestem dzieckiem, które należy nadal chronić przed tymi przykrymi aspektami. Proszę zrozumieć, iż czuję, że mam prawo dokładnie wiedzieć, co się wydarzyło.

Zastanawiał się, jak mógł patrzeć na tę twarz i nie zobaczyć tamtej? Patrzeć w te oczy i nie poznać, że jest dzieckiem Naomi?

- Rozumiem panią, ale niewiele mam do powiedzenia.

- Śledził ją pan. Robił zdjęcia, notatki, pisał sprawozdania. Znał ją pan, panie Rooney. Znał pan także Aleca Bradleya.

- Znałem ich? - przechylił głowę. - Nigdy nie zamieniłem słowa z Naomi Chadwick czy z Alekiem Bradleyem.

Ani myślała dać się spławić z powodu tak marnego argumentu.

- Widywał ich pan razem - na przyjęciach, wyścigach, w klubie. Widział ich pan razem tej nocy, kiedy to się stało. Mówiąc fachowo, przebywał pan na cudzym terenie, robiąc zdjęcia, na których podstawie ją skazano.

Nie zapomniał o tym. Wszystko pamiętał.

- Oscylowałem na granicy prawa, zgoda. Może nawet w swojej gorliwości przekroczyłem ją. - Przebijając się przez gąszcz wspomnień, uśmiechnął się lekko. -

Przy dzisiejszej technice mógłbym to wykonać, nie łamiąc zakazu poruszania się po cudzym terenie... - Przerwał, powoli podniósł kubek. - Ale granice prawa zawsze są przekraczane. Codziennie.

- Wyrobił pan sobie zdanie o mojej matce. Zakładam, że część pańskiej pracy polega na zachowaniu obiektywizmu, ale przecież nie można nie wyrobić sobie o kimś zdania, jeśli śledzi się jego życie.

Znowu zaczął mieszać kawę, choć czubata łyżeczka cukru już dawno się rozpuściła.

- To było ponad dwadzieścia lat temu.

- Pan ją pamięta, panie Rooney. Nie mógł pan zapomnieć jej i tego, co się wtedy wydarzyło.

- Była piękną kobietą - rzekł powoli. - Olśniewającą kobietą, która straciła głowę.

- Dla Aleca Bradleya.

Zły na siebie, Rooney odłożył łyżeczkę, plamiąc suszkę.

Dla niego, tak. W aktach sądowych, o których pani wspomniała, napisano, że Naomi Chadwick

została uwięziona za zamordowanie Aleca Bradleya i skazana.

- A w skazaniu jej pomogła pańska fotografia, na której ona oddaje strzał.

- Pomogła. - Pamięta, dokładnie pamięta jak wspinał się na drzewo, z podskakującą na piersiach kamerą fotograficzną i walącym sercem. - Można powiedzieć, że znalazłem się we właściwym miejscu o właściwej porze.

Ona to określiła jako samoobronę. Twierdziła, że Alec Bradley groził jej gwałtem.

- Znam jej obronę. Nie wytrzymała próby dowodów.

- Ale pan tam był! Musiał pan widzieć, czy moja matka była przestraszona, czy on rzeczywiście jej groził.

Złożył ręce na brzegu biurka, jak człowiek odmawiający dobrze wyuczoną modlitwę.

- Widziałem, jak wpuściła go do domu. Wypili razem drinka. Kłócili się.

Podobnie jak wtedy, tak i teraz nie mogę poświadczyć, co mówili. Poszli na górę.

- Ona poszła na górę - poprawiła go Kelsey. - A on za nią.

- Tak, tak było. Skorzystałem z okazji i wspiałem się na drzewo, sądząc, że pójdą do sypialni.

- Ponieważ on już tam kiedyś był? - zapytała Kelsey.

- Nie, w każdym razie ja tego nie zaobserwowałem. Ale przebywałem na terenie posiadłości dopiero trzeci raz, a pierwszy pod nieobecność służby.

Nadal miał złączone dłonie, patrzył na nią spokojnym wzrokiem.

- Upłynęło sporo czasu. Już zamierzałem zejść z drzewa, kiedy oni weszli do sypialni. Ona pierwsza. Wyglądało na to, że wciąż się kłóca.

Pamięta twarz Naomi, gdy pojawiła się w wizjerze jego aparatu. Jej urodę, jej złość, jej pogardę. Ach tak, przypomniał sobie, i jej strach.

- Przez chwilę stała do mnie tyłem. - Odchrząknął. - Potem szybko zniknęła.

Kiedy ponownie ją ujrzałem w wizjerze, trzymała rewolwer. Widziałem ich oboje w obramowaniu okna. On podniósł ręce do góry i się cofał. Wtedy ona strzeliła.

Dreszcz przeszył Kelsey.

- A potem?

- Potem, Kelsey, zdrętwiałem. To nie jest powód do dumy, ale byłem młody.

Nigdy nie widziałem... Zdrętwiałem - powtórzył. - Zobaczyłem, że podeszła do miejsca, w którym upadł, i się pochyliła. Zobaczyłem, jak zbliża się do telefonu. Czym prędzej zabrałem się stamtąd. Siedziałem w samochodzie tak długo, aż usłyszałem syreny.

- Nie wezwał pan policji?

- Nie, nie od razu. To było głupie z mojej strony. Mogłem przez to stracić licencję. Ale potem poszedłem na komisariat, wręczyłem glinom film, złożyłem oświadczenie. - Rozluźnił ręce, uświadamiając sobie nagle, że od ucisku bolą go palce.

- Wykonałem swoją robotę.

- I wszystko, co pan dostrzegł, to była olśniewająca kobieta, która straciła głowę i zastrzeliła mężczyznę.

- Pragnąłbym móc panią zapewnić, że było inaczej. Pani matka odsiedziała wyrok. To przeszłość.

- Nie dla mnie. - Kelsey podniosła się z miejsca. - A co by pan powiedział, panie Rooney, gdybym pana wynajęła? Dzisiaj. Zaraz. Chcę, żeby pan się cofnął o te dwadzieścia trzy lata i spojrzął na tę sprawę innym wzrokiem. Chcę wiedzieć wszystko, czego można się dowiedzieć o Alecu Bradleyu.

Dreszcz strachu przebiegł po jego plecach, usztywnił je.

- Niech zostanie tak, jak jest, Kelsey. To niczego nie rozwiąże i na pewno niczego nie zmieni. Lepiej nie rozdrapywać starych ran. Czy sądzi pani, że matka będzie jej wdzięczna, jeżeli narazi ją pani na przeżywanie tego wszystkiego jeszcze raz?

- Może nie. Ale ja mam zamiar się cofnąć, iść krok po kroku, aż zrozumie. Czy mi pan pomoże?

Przyglądał się jej, lecz zamiast niej widział tamtą kobietę, bladą i opanowaną, siedzącą w zatłoczonej sali sądowej. Opanowaną, pamięta to dobrze, z wyjątkiem oczu. Tych zrozpaczonych oczu.

- Nie. Nie pomogę. A pani radzę przemyśleć ponownie tę decyzję i rozważyć jej konsekwencje.

- Dobrze to przemyślałam, panie Rooney. I zależy mi, by dojść do jednej konkluzji: że moja matka mówiła prawdę. Udowodnię to. Z pańską pomocą lub bez niej. Dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić swój czas.

Długo jeszcze siedział po jej wyjściu, długo po opanowaniu drżenia rąk. Kiedy się uspokoił, podniósł słuchawkę i wybrał numer.

Jej następnym miejscem postoju był uniwersytet. Długie oczekiwanie na ojca w jego zagraconym gabinecie znacznie ją uspokoiło. Książki, zapachy i gwar uczelni zawsze działały na nią jak balsam. Dlatego prawdopodobnie ciągnęło ją tutaj.

Podstawowym celem tego świata jest nauka. A każde pytanie znajduje swoją odpowiedź.

Wszedł Philip. Miał pobrudzone kredą palce.

- Kelsey, co za wspaniały pomysł, żeby rozjaśnić mój dzień! Byłbym wcześniej, ale seminarium trochę się przeciągnęło.

- Nawet nie zauważyłam, że czekam. Wpadłam z nadzieją, że znajdziesz dla mnie parę minut.

Mam całą godzinę. - Którą zamierzał przeznaczyć na przygotowanie się do ostatniego wykładu w tym dniu. Ale to może poczekać. - Jeśli wygospodarujesz wolne popołudnie, zapraszam cię na wczesną kolację po zakończeniu zajęć.

- Nie dzisiaj, dziękuję. Muszę jeszcze gdzieś zajrzeć. Tatusiu, chcę z tobą porozmawiać.

- Nie powinnaś się martwić z powodu babci. Ja to załatwię.

- Nie, nie martwię się tym. To nie jest ważne.

- Oczywiście, że jest. - Poglaskał jej ramiona. - Nie mogę tolerować takiej samowoli ani wykorzystywania przez nią twojego spadku przeciw tobie. - Wściekły na samo o tym wspomnienie, odwrócił się i zaczął dużymi krokami przemierzać ciasną przestrzeń gabinetu, jakby rozmyślał nad dysertacją naukową. - Babcia to wspaniała, godna podziwu kobieta, Kelsey. Ale jest zaślepiona na punkcie rodziny i zdarza jej się mylić własne normy zachowania z miłością.

- Nie musisz się za nią tłumaczyć ani przeproszać. Wiem, że na swój sposób mnie kocha. Tylko że ten sposób nie zawsze jest do przyjęcia - skorygowała ojca. -

Wiem także, że nie znosi sprzeciwu. Tym razem jednak albo zaakceptuje mój wybór, albo nie. Nie pozwolę, żeby wywierała na mnie presję.

Ojciec przystanął, wziął z biurka szklany przycisk do papierów.

- Nie chcę, żebyście były poróżnione.

- Ja też nie chcę.

- A gdybyśmy tak poszli ją odwiedzić...

- Nie.

Wzdychając zdjął okulary i raczej z nawyku niż z potrzeby przetarł szklę.

- Kelsey, ona nie jest już młoda. To twoja babka.

O, przyciśnięty został guziczek pod nazwą „miłość”, pomyślała.

- Przykro mi, ale tym razem nie pójde na kompromis. Wiem, że znalazłeś się pomiędzy młotem a kowadłem, i bardzo mnie to boli. Ona nie może mieć tego, czego chce, tatusiu. A szczerze mówiąc,

nigdy nie byłam taka, jaką chciała mnie widzieć.

- Kelsey...

- Jestem córką Naomi i babcia zawsze miała o to żal. Nie tracę jednak nadziei, że w końcu uzna fakt, że w równej mierze jestem też twoją córką.

Philip zdjął ostrożnie okulary i odłożył je na swoje zavalone biurko obok sfatygowanego egzemplarza *Króla Leara*.

- Ona cię kocha, Kelsey. Po prostu walczy z okolicznościami.

- Ja jestem tymi okolicznościami - odparła Kelsey spokojnie. - Jestem motywem, przyczyną, dzieckiem, które dwoje ludzi chciało mieć, chociaż już dawno nie chciało siebie nawzajem. Tego się nie przeskoczy.

- To śmieszne, że ty się jeszcze oskarżasz!

- Nie oskarżam się. To niewłaściwe słowo. Może raczej czuję się w pewnym stopniu odpowiedzialna. Tak, czuję się - potwierdziła, kiedy zaprzeczył ruchem głowy.

- Za ciebie i za nią. I dlatego tu jestem. Proszę, żebyś mi opowiedział, co się wydarzyło.

Nagle poczuł się zmęczony. Usiadł, trąc palcami czoło.

- Już o tym rozmawialiśmy, Kelsey.

- Przedstawiłeś mi tylko zarys, szkic. Zakochałeś się w Naomi. Ożeniłeś się z nią pomimo dezaprobaty swojej rodziny. Miałeś z nią dziecko. Gdzieś po drodze zaczęło się psuć między wami...

Usiadła blisko niego. Nie chciała go ranić. Potrzebna jej była prawda.

- Nie proszę, żebyś mi to tłumaczył. Ale skoro poznałeś kobietę, pokochałeś ją, poślubiłeś, a potem zdecydowałeś się walczyć z nią o dziecko, wnieść sprawę do sądu, wynająć adwokatów i detektywów, to musiał być jakiś powód. Poważny powód. Jaki?

- Chciałem mieć ciebie - odparł zwyczajnie. - Chciałem cię mieć przy sobie.

Może egoistycznie, może niezupełnie rozsądnie, ale chciałem. Stanowiłaś najlepszą część nas obojga. Nie wyobrażałem sobie, że wyrastanie w atmosferze, w jakiej żyła twoja matka, mogłoby być dla ciebie lepsze.

Czyżby mylił się? - zapytywał samego siebie. Czyżby się mylił? Ileż razy zadawał sobie to pytanie! Nawet jeszcze po tych wypadkach, które potwierdziły jego rację.

- Rozważaliśmy to z babcią pod każdym możliwym kątem - ciągnął Philip. -

Była zdecydowanie przeciwna pozostawieniu Naomi opieki nad tobą. W końcu się z nią zgodziłem. To nie była łatwa decyzja, ale wydawało mi się, że jedyna słuszna. Po części wynikająca z egoizmu, nie przeczę.

Spojrzał na Kelsey, na kobietę, i przypomniał sobie dziecko.

- Nie chciałem cię oddać i stać się tatusiem na weekendy, którego ewentualnie zastąpiłby kolejny mężczyzna w życiu Naomi. A jej zachowanie i tryb życia po separacji miały wszelkie cechy bezpardonowej próby sił. Adwokat poradził jej, by zachowywała się dyskretniej, ale to spowodowało wręcz odwrotny skutek.

Kokietowała prasę, umyślnie prowokowała i zachęcała do plotek. Pomysł wynajęcia detektywa wydał mi się obrzydliwy, ale potrzebna była dokumentacja. Pozostałem więc sprawę adwokatom.

- Nie wynająłeś sam Rooneya?

- Nie. Ja... Skąd znasz jego nazwisko?

- Wracam właśnie z jego biura.

- Kelsey. - Ścisnął jej dłoń. - Po co tam byłaś? Co chcesz przez to osiągnąć?

- Parę odpowiedzi. A zwłaszcza jedną. - Chwyciła go za rękę. - Udziel mi jej, powiedz czy wierzysz, że Naomi zamordowała Aleca Bradleya?

- Nie ma żadnych wątpliwości...

- Że go zabiła - dokończyła z naciskiem. - Ale pytam o morderstwo. Czy go zamordowała? Czy kobieta, którą znałeś, którą kochałeś, mogła popełnić morderstwo?

Zawahał się. Czuł, jak palce córki wrzynają mu się w rękę.

- Nie wiem - odparł po dłuższej chwili. - Z całego serca pragnąłbym to wiedzieć.

Ostatnim etapem tego dnia było spotkanie z adwokatami matki. Kelsey niewiele u nich wskórała - trafiła na ścianę milczenia chroniącą interesy klienta.

Opuściła wykwinne wnętrza biura niezadowolona, ale nieugięta.

W końcu są jeszcze inne ścieżki. Każdy problem da się rozwiązać. Musi tylko starannie i cierpliwie rozpracować współrzędne i wzory. Szkoda, że zawsze byłam o wiele lepsza z filozofii i sztuki niż z matematyki i nauk ścisłych, pomyślała.

Jeśli podupała nieco na duchu, to wyłącznie z powodu zmęczenia. Dopiero teraz poczuła się naprawdę wyczerpana. Wolałaby nie musieć spotykać się z Naomi i opowiadać jej zmyślonych historyjek o tym, jak spędziła popołudnie.

Pojechała wprost do Longshot.

Jeśli Gabe'a nie ma w domu, wróci do Three Willows i znajdzie jakiś pretekst -

może ból głowy - by zamknąć się w pokoju.

Kolejne „nieszkodliwe” kłamstwo, Kelsey? zapytała siebie z niesmakiem. Jeśli tak dalej pójdzie, nie tylko wejdzie jej to w nawyk, ale, nie daj Boże, uzna to za coś zupełnie naturalnego.

Ruszyła w stronę domu, lecz zamiast zapukać i wejść, usiadła na stopniach frontowych schodów, chłonąc urok tej przedwieczornej pory.

Za jakąś godzinę lub dwie zajdzie słońce, zadumała się. Zastanawiała się, czy lelek wyśpiewujący trele przed jej oknem ma gdzieś w pobliżu swoją samiczkę. Jeśli tak, o zmierzchu ptasia para będzie mogła połączyć swoje nawoływanie w słodką, płynną, tęskną pieśń.

Dokoła bujnie rosły kwiaty; klomby pyszniły się bogactwem kolorów i zapachów. Były tu i delikatne pierwiosniki i zuchwałe bratki i rozpięty na drewnianych kratkach pachnący groszek, który już wkrótce zacznie upajać swoją cudowną wonią.

Krzewy bzów uginały się pod ciężarem kiści, pokrywając trawę fioletowym dywanem płatków.

Takie ciche miejsce, takie uroczne miejsce dla mężczyzny o takiej energii i namiętności.

Najpierw usłyszała otwierające się za plecami drzwi, a następnie jego kroki.

Gabe usiadł i otoczył ją ramieniem w tak naturalnym odruchu jak kwitnienie kwiatów wokół nich. Oparła się o niego.

- Zobaczyłem twój samochód.

- Kto posadził te kwiaty?

- Ja. To moja ziemia.

- Jak ogród mojego ojca. W Georgetown miałam na tyłach domu nieduży ogród. Zęby się nim zając, ukończyłam oczywiście kursy uprawy roślin ogrodowych i planowania krajobrazu. Dzięki temu osiągnęłam całkiem niezły efekt. Wszyscy wokół

byli zachwyceni, ale ja nigdy nie doścignęłam ojca i nie potrafiłam nadać mojemu ogrodowi równie urokliwego i intymnego charakteru jak on swojemu. Są pewne sprawy, których nie przekażą ci książki.

- Ja sadzę to, co do mnie przemawia, co mi się podoba.

- Gdybym miała jeszcze raz to zrobić, podobnie bym do tego podeszła.



- Zastanawiałem się nad skalnym ogrodem, o, tam - wskazał ręką na stok wzgórza. - Dlaczego nie mielibyśmy zrobić tego razem?

Uśmiechnęła się, przyciskając twarz do jego ciepłej, otwartej na jej przyjęcie szyi.

- Natychmiast ruszam do biblioteki. Nic mnie nie powstrzyma!

- A więc najpierw posprzeczamy się na temat: logika czy fantazja, potem wybierzemy złoty środek, a następnie zrobimy najazd na szkółkę ogrodniczą. -

Dotknął palcem podbródka dziewczyny i uniósł jej twarz. - Coś cię niepokoi, Kelsey?

Właściwie może mu chyba powiedzieć. Oczywiście, że tak. Nie było takiej sprawy, której nie mogłaby mu powiedzieć.

- Coś dzisiaj zaczęłam i wiem, że się nie cofnę. Wszyscy mi mówią, żebym dała temu spokój, ale nie mogę. Nie chcę. - Wzięła głęboki oddech i powoli odsunęła się od niego. - Czy wierzysz, że moja matka zamordowała Aleca Bradleya?

- Nie.

Zmrużyła oczy, potrząsnęła głową.

Tak zwyczajnie, „nie”? Bez chwili zastanowienia, bez komentarza i oceny?

- Zapytałaś, więc odpowiedziałem. - Przechylił się, zerwał gałązkę frezji i podał

jej. - Ważniejsze jest chyba, w co ty sama wierzysz?

Znowu potrząsnęła głową, po czym ukryła ją w dłoniach.

- Łatwo ci powiedzieć „nie”, po prostu „nie”, bo jej nie znałeś.

- Niezupełnie.

- Niezupełnie? - Znowu uniosła głowę. - Co to znaczy?

- Słyszałem o niej. Widywałem ją. - Z przechyloną głową bawił się jej włosami. -

Przez długi czas włóczyłem się po różnych torach wyścigowych. Pamiętam ją z Charles Town, Laurel i innych jeszcze miejsc.

- Byłeś przecież dzieckiem.

- Nie w takim sensie, jak myślisz. To prawda, nie znałem jej na tyle, żeby wyrobić sobie o niej trwałe wyobrażenie. Ale znam ją teraz.

- I?

Potrzebne są jej szczegóły, pomyślał. Zawsze są jej potrzebne. Nie był pewien, czy sprostą oczekiwaniom Kelsey.

Utrzymywałem się z czytania w ludziach. Z ich twarzy, intonacji głosu, gestykulacji. Hazardziści, media i spirytyści, gliny, psychiatrzy - wszyscy mamy tę wspólną zdolność; kto jej nie ma, jego żywot w branży jest krótki. Naomi pociągnęła za spust, ale nie popełniła morderstwa.

Kelsey zamknęła oczy i ponownie oparła się o niego. W powietrzu unosił się delikatny zapach kwiatów.

- Wierzę w to, Gabe. Zapewne częściowo dlatego że nie chcę pogodzić się z myślą, iż moja matka mogła zrobić to, za co ją skazano. Ale to nie osłabia mojego przekonania o jej niewinności.

Widziałam się dzisiaj z detektywem. Tym, który zeznawał przeciwko niej.

Gabe nie zmienił intonacji głosu. Jak to jest, zdziwiła się Kelsey, że tak często nie wychwytywała ukrytej za tą lekkością żelaznej stanowczości?

- I nie przyszło ci do głowy, żeby mnie poprosić, byśmy razem pojechali?

Przyszło. Ale chciałam zrobić to sama. - wzruszyła ramionami. - Niestety, niewiele zdziałalam. Nie powiedział mi niczego, czego bym już nie wiedziała. Nie zgodził się też, bym go zatrudniła, a liczyłam, że mi pomoże dotrzeć do czegoś więcej na temat Aleca Bradleya.

- A co chcesz wiedzieć?

- Nic. Wszystko. Mama jest tylko częścią tego. - Odsunęła się. - Jaki to był

człowiek? Skąd się wziął? Czego pragnął? Naomi mówi, że stał się obelżywy, że próbował ją zgwałcić. Co go tak rozjątrzyło?

- Nie pytałaś jej o to?

- Wolę trochę poczekać. Jeżeli zrobię to teraz, ona się zamknie w sobie, Gabe.

Powie mi, co wie, ale nie posunie sprawy ani o krok. Nie chcę jeszcze ryzykować.

- Nie tylko ona go знаła. Kelsey już o tym myślała.

Nie mogę zacząć od zadawania pytań na wyścigach, przesłuchiwać innych właścicieli i ich ludzi. Czegokolwiek się dowiem, nie będzie warte domysłów, jakie to wywoła.

- Co więc postanowiłaś?

Mam nazwisko oficera, który prowadził dochodzenie w sprawie mamy. Jest już na emeryturze, mieszka w Reston.

- Odrabiasz zadanie domowe.

Zawsze byłam dobrą studentką. Zamierzam się z nim zobaczyć. Gabe pociągnął

ją za rękę i postawił na nogi.

- Zamierzamy się z nim zobaczyć.

- Zgoda - uśmiechnęła się.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY**

Kopę lat, Roscoe. - Tipton i Rossi podali sobie ręce. - Jak to się dzieje, że jeszcze nie zająłeś mojego stanowiska? - Pracuję nad tym, kapitanie. - To dobrze, siadaj, zajmiemy się piwkiem. - Tipton rozsiadł się w ustawionym na werandzie fotelu na biegunach. W stojącej obok niego przenośnej torbie chłodził się karton z sześcioma puszkami piwa Budweiser. - Co u twojej żony?

Rossi przyjął od Tiptona puszkę i zerwał z niej zawleczkę.

- U której?

- Prawda, zapomniałem. Jesteś podwójnym rozwodnikiem. - Chichocząc Tipton trącił się z Rossim puszką i wypił ją duszkiem do dna. - Rozwód stanowi nieomal element składowy naszej pracy, no nie? Ja miałem szczęście.

- Co u pani Tipton?

- Zuchwała jak zawsze. - W zachrypniętym głosie Tiptona pobrzmiwała nutka szczerego, niekłamane go uczucia. - Dwa tygodnie po moim przejściu na emeryturę podjęła pracę. - Rozbawiony tym faktem kapitan potrząsnął głową. - Mówi, że odkąd dzieci dorosły, musi się czymś zajmować dla zachowania równowagi. Ale, do licha, oboje wiemy, że to dlatego, żeby mi nie wbiła w brzuch jakiegoś tępego narzędzia. No więc ja urządziłem sobie na tyłach domu kącik hobbistyczny, a ona sprzedaje pantofle w mieście, w pawilonie handlowym. - Uśmiechnął się, znowu łyknął piwka. - Miałem szczęście, Roscoe. Nie każda kobieta może żyć z czynnym czy emerytowanym gliną.

- Wiem coś o tym! - Dwie żony i dwa rozwody w ciągu dwunastu lat były dla Rossiego szczególną lekcją, która wiele go nauczyła. - Dobrze wyglądasz, kapitanie.

To była prawda. Podczas tych trzech lat na emeryturze Tipton przybrał na wadze, ale się z tym pogodził. Dodatkowy kilogram wypełnił bruzdy, które praca wyźłobiła na jego twarzy. Był zrelaksowany i miał święty spokój. Czuł się wygodnie w roboczych spodniach i bluzie. Czapeczka z daszkiem przykrywała to, co zostało po jego twardych ciemnorudych włosach.

- Wiele osób źle znosi przejście na emeryturę - podsumował Tipton. - Starzeją się. A ja jestem szczęśliwy. Mam swój warsztat. Zrobiłem ten fotel, wiesz?

- Naprawdę? - Rossi wypchnął językiem policzek, podziwiając koślawy fotel na biegunach. Choć

Tipton pomalował go na jaskrawy błękit, nie zdołał ukryć feleru, który powodował, że fotel przechylał się na lewo. - To z pewnością sprawia radość.

- Jasne. Poza tym mam już trójkę wnucząt i czas, żeby się nimi nacieszyć. Tej jesieni planujemy z żoną wycieczkę statkiem. W górę Świętego Wawrzyńca. Cudowna roślinność.

- Masz więc wszystko, czego potrzeba do szczęścia.

- Święta racja. - Tipton był pewien, że gdyby miał jeszcze więcej, biegałby jak oszalały, wrzeszcząc w nocy. - Długa, spokojna emerytura to nagroda dla mężczyzny za dobrze spełniony obowiązek.

- Nikt nie może kwestionować wartości dobrze spełnionego obowiązku. - Rossi przełknął piwo. Wolał importowane, ale przecież nie zamierzał o tym mówić. - Nie sądzę, żebyś śledził to, co się u nas dzieje. A może czytałeś o sprawie, którą się zajmuję.

- Och, rzuciłem okiem na tytuły. Tu i ówdzie. - Dokładnie śledził doniesienia prasowe, rzucając się łapczywie na każdą najmniejszą wzmiankę o morderstwie czy rozmyślnym okaleczeniu.

Sprawa stajennego, zamordowanego w marcu w Charles Town.

- Pchniętego nożem. I dodatkowo jeszcze stratowanego przez konia. Zamknąłeś ją - przypomniał sobie Tipton. - A inny stajenny - czy to nie był Lipsky? -

samobójstwo.

Ta sprawa jest otwarta. - Rossi wychylił się do tyłu, obserwując trójkę szpaków, trzepoczących skrzydłami wokół domowej roboty karmnika na klombie przed domem.

Powyżej czaił się kot w pomarańczowe pręgi, cierpliwie oczekujący na zdobycz. Na ganku zaś oni dwaj, gawędzący o sprawach zawodowych. - Żadnej notatki ani żadnych skłonności samobójczych. Metoda też nie pasuje. Pozostają tylko domysły.

Precyzyjnie opisał wypadki od momentu wyrzucenia Lipsky'ego z pracy do jego samobójstwa.

- Rysuje się jego wizerunek jako człowieka łatwo wpadającego w złość, gwałtownego, znajdującego się na koniach i wszystkim, co się z nimi wiąże. Człowieka, który z nikim się nie przyjaźnił, nie wybił się w swoim zawodzie, mającego na koncie parę zatargów z prawem. Bójki. Pobicie. Zakłócanie porządku.

- Obraz człowieka, który raczej uciekałby, niż przygotowywał sobie koktajl z dzinu i trucizny dla koni. - Tipton trawił to w myślach przez chwilę. - Z drugiej strony nie należy zapominać, że mógł mieć do niej dostęp.

- Mógł, ale ktoś inny też mógł. Lipsky zajmował się koniem Slatera. Może to były jakieś osobiste porachunki. Był wściekły, że go wywalono, więc przyszedł się zemścić. Gdy przyłapał go na tym stary Mick, wpadł w panikę. Po chwili powiększył

swe konto o martwego człowieka. Dlaczego nie uciekał, kapitanie? Dlaczego przycupnął w motelu oddalonym o godzinę od Charles Town?

- Bo czekał na kogoś. Kogoś, kto miał mu dać wskazówki, co ma dalej robić.

- I ten ktoś poczęstował go zabójczym drinkiem. Na butelce dzinu nie znaleźliśmy odcisków palców. Była idealnie czysta.

Szczegół ten sprawił, że Tipton się uśmiechnął. Drobnny błąd, pomyślał. Zawsze uwielbiał drobne błędy. Nie spuszczał wzroku ze swojego kota, czekającego, aż jeden ze szpaków popełni jakiś błąd, i dokładnie zrozumiał, w czym rzecz.

- No i masz otwartą sprawę o zabójstwo. Czy dobrze przyjrzałeś się temu Slaterowi?

- O tak, przyjrzałem mu się. Interesujący mężczyzna. Ciekawa osobowość.

Siedział jakiś czas.

- Za co?

- Nielegalny hazard. Gdyby to się stało kilka miesięcy wcześniej, pewnie trafiłby do poprawczaka, a nie do celi. - Rossi bezwiednie stukał palcami w oparcie fotela. - Od tamtego czasu jest czysty, jak wynika z raportu. Wychowywał się głównie na ulicy. Był dzieckiem, kiedy umarła mu matka. Ojciec wymigał się od odpowiedzialności za chłopca. Slater senior parę razy siedział - za defraudację, podrabianie dokumentów, fałszowanie czeków, głównie jednak oszustwa karciane.

Parę lat temu pobił w Taos prostytutkę. Ale nic się z niczym nie wiąże. Chłopak wyrwał się z tego środowiska, mając około czternastu lat. Raz wpadł, odsiedział swoje i odtąd ma już czystą kartotekę. Nie powiem, że nie mógł zabić Lipsky'ego, ale uważam, że zrobiłby to w prostszy sposób.

- Kto jeszcze wchodzi w grę?

- Nikt, kto by pasował. Czy oglądałeś derby w telewizji, kapitanie?

- Roscoe, istnieje tylko jeden sport. Baseball. - Tipton nasunął czapkę. -

Słyszałem jedynie, że jakiś koń złamał nogę.

- Koń został zabity, kapitanie. Za duża dawka narkotyku. A gonitwę wygrał koń Gabe'a Slatera.

- Taak. - Tipton zadumał się nad ostatnim łykiem piwa. - Do czego zmierzasz, Roscoe?

- Nie jestem jeszcze pewien, ale zdaje się, że to wszystko zatacza duże koło.

Wraca do sprawy sprzed dwudziestu trzech lat. Naomi Chadwick, kapitanie. Co możesz mi o niej opowiedzieć?

- Zabawne. - Tipton postawił pustą puszkę pod obcas, po czym ją zgniółł. - Już drugi raz słyszę dzisiaj to nazwisko. Rano zadzwoniła jej córka. - Rzucił okiem na zegarek. - Wkrótce tu będzie.

- Kelsey Byden? Tutaj?

- Chce porozmawiać ze mną o matce. - Tipton oparł się wygodnie w fotelu, z przyjemnością wsłuchując się w jego skrzywienie. - Cofnę się w czasie.

- Powinieneś być zostać na farmie - odezwała się Kelsey. - Już tylko tydzień do Belmont.

- Jamie poradzi sobie beze mnie. - Gabe uśmiechnął się, biorąc zakręt. - Nawet woli, gdy mnie nie ma.

- Mam wyrzuty sumienia, że oderwałam cię teraz od pracy. Mogłam to sama zrobić.

- Kelsey. - Ujął łagodnie jej rękę i pocałował. - Zamknij się.

Nie mogę. Jestem zdenerwowana. To człowiek, który aresztował moją matkę, który ją przesłuchiwał, który wsadził ją do więzienia. A teraz ja chcę go prosić o pomoc w udowodnieniu, że popełnił błąd. Poza tym okłamałam Naomi. Znowu.

Powiedziałam, że jedziemy na przejażdżkę.

- Właśnie jedziemy.

- Nie w tym rzecz - westchnęła. - Sprawiam zawód jej i Mosesowi. Każdemu. I po co? Żeby zaspokoić tę idiotyczną potrzebę i upewnić się, że nie płynie we mnie zła, mordercza krew?

- Czy naprawdę o to ci chodzi?

- Oczywiście, że nie. - Potarła dłonią oczy. - Sama już nie wiem, ale coś w tym jest. Dziedziczność to straszna rzecz... - Ugryzła się w język i skrzywiła. - To znaczy nie chcę przez to powiedzieć, że dziedziczność jest jedynym czynnikiem naszego, takiego czy innego, charakteru. Środowisko w którym... - Zamilkła, wiedząc, że każde kolejne słowo pogrąża ją jeszcze bardziej.

- W obu wypadkach wypadam fatalnie - mruknął Gabe. - Zastanawiałem się, kiedy to wszystko podsumujesz.

- W ogóle nie miałam takiego zamiaru. - Odetchnęła ze świstem, przeklinając siebie w duchu. - Nie wiem, co robię. W każdym razie to nie ma nic wspólnego z tobą ani z tym, co do ciebie czuję.

Spróbujmy to jednak podsumować. - Łudził się, że ten moment nigdy nie nastąpi. Oczywiście, w ten sposób oszukiwał samego siebie. Jeśli ma stracić w tej grze, niech to przynajmniej będzie wielka przegrana. - Masz wątpliwości co do siebie z powodu swoich spraw rodzinnych. Przestań - powiedział, gdy chciała mu przerwać. -

Wyłóżmy karty na stół. Masz wątpliwości co do mnie z powodu mojego pochodzenia.

Jechał teraz bardzo szybko, ścinając zakręty, usiłując w prędkości rozładować napięcie.

To nieprawda, Gabe. Gdybym miała wątpliwości, nie mogłabym z tobą spać.

- Dlaczego? Mogłabyś. Pod wpływem chwili zapomina się o logice i wątpliwościach. Jesteśmy dobrzy w łóżku. Nawet więcej niż dobrzy. Ale prędzej czy później do głosu znowu dochodzi rozum. Płynie we mnie zła krew, Kelsey, której nie można przetoczyć.

Choć nie odrywał wzroku od szosy, doskonale widział, że ona patrzy na niego, obserwuje go, zastanawia się.

- Twoje pochodzenie nieodłącznie ci towarzyszy. Możesz się wyszorować, ubrać, ale nie usuniesz tego, co jest pod spodem. Rzeczy, które widziałem i które robiłem, dogłębnie wstrząsnęłyby twoim poczuciem moralności. Wprawdzie nie oszukiwałem i nie ciągnęło mnie do butelki, ale na końcu się rejestrują sprawy, których nie robiłem. Prawda jest taka, że chciałem mieć to, co miał Cunningham, i znalazłem sposób, by to zdobyć. Chciałem mieć cię w łóżku, i zrobiłem wszystko, żeby to osiągnąć.

- Rozumiem. - Teraz ona patrzyła przed siebie. Nie przerażała jej prędkość, lecz on. - A więc to tylko seks?

Milczał przez chwilę. Oboje wpatrywali się w jezdnię.

- Nie. Ale wiele bym dał, żeby tak było. Zamknęła oczy. Wstrząsnął nią dreszcz.

Zjedź na pobocze - powiedziała stłumionym głosem. Wyprostowała się na siedzeniu, gdy zignorował jej prośbę. - Zjedź na pobocze, Slater - powtórzyła kategorycznie - i zatrzymaj ten cholerny samochód.

Zahamował z piskiem, po czym zjechał na wyżwirowane pobocze.

- Jeśli sądzisz, że pozwolę ci wysiąść, to jesteś beznadziejną idiotką. Zawiozę cię do Restona albo z powrotem do domu.

- Ani myślę tutaj wysiadać.

- To świetnie, naprawdę świetnie. Będzie o wiele lepiej, jeżeli zrozumiesz, że nie mam zamiaru pozwolić ci odejść. Ani tutaj, ani gdziekolwiek. Już dałem ci szansę ucieczki.

Nigdy dotąd nie widziała go tak zdenerwowanego.

- Nie. Nie dałeś.

Złapał ją za klapy zakietu i potrząsnął nią.

- To jest twoja jedyna szansa. Chrzanię twoje pojęcie dobra i zła, Kelsey, i twoje ekskluzywne wychowanie, i twój Country Club, i wszystko, co nas różni. Nie odejdziesz ode mnie bez walki.

Teraz ona była wzburzona.

- Doskonale. Skoro postanowiłeś mnie obrażać i zachowywać się jak neandertalczyk, uważam, że chwila jest w najwyższym stopniu niestosowna, by ci powiedzieć, że cię kocham.

Dłonie mu zwilgotniały. Przez sekundę miał wrażenie, jakby wszystkie mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Jej posępne, przeszywające go spojrzenie zapowiadało walkę. Ale on już był znokautowany.

- Sam nie wiesz, czym jesteś.

Uderzyła go. Oboje byli równie zdumieni, gdy jej pięść wylądowała pod jego żebrem.

- Nie zamierzam tego tolerować! - Walnęła go po rękach. - Nie mam zamiaru tolerować takiej postawy! Jestem śmiertelnie chora z powodu ludzi, na których mi zależy, a którzy utrzymują, że nie znam swoich myśli ani uczuć. Znam je bardzo dobrze. I choć w tej chwili czuję się urażona, powtarzam, że cię kocham. A teraz włącz ten cholerny samochód i skończmy z tym.

Był w takim stanie ducha, że nie potrafiłby utrzymać równowagi nawet na dziecięcym trójkołowym rowerku.

- Daj mi jeszcze minutę.

Prychnęła, skrzyżowała nogi, założyła ręce.

- Dobrze. Nie spiesz się. Obmyślę przez ten czas różne sposoby cierpień dla ciebie.

- Chodź tutaj. Odepchnęła go kuksańcem.

- Zabierz łapy!

- Dobrze, dobrze. Po prostu wyobraziłem sobie, że będę cię dotykał, kiedy ci powiem, że cię kocham.

Zamyślona, choć wcale nie udobruchana, odwróciła na ułamek sekundy twarz.

- Od dawna to sobie wyobrażasz?

- Od jakiegoś czasu. Myślałem, że to minie. Jak wirus. - Podniósł obie ręce, gdy zwróciła się ku niemu gwałtownym ruchem.

- Czy chcesz mnie znowu uderzyć?

Powinnam. - Niedoczekanie, że się roześmieje, choćby jeszcze bardziej kusił

mnie wzrokiem, pomyślała. - Mówisz, że wirus?



Taaak. Tylko że zapomniałem o jednym. Wirusy nie przechodzą. Zaszywają się w jakimś kącie naszego organizmu i dopóty atakują, dopóki nie osłabiają systemu obronnego. - Ujął jej rękę, zamknął ją w swojej i podniósł do ust. - Staralem się przyzwyczać do niego.

- I jak się czujesz?

- Teraz już lepiej. - Dotknął czołem jej czoła. - Chryste, ale synchronizacja.

Powinniśmy być teraz w domu, sami.

- Nie szkodzi. - Przechyliła głowę i musnęła wargami jego usta.

- Wynagrodzimy to sobie. - Kiedy pogłębił pocałunek, poddała się.

- Dlaczego wszystko dookoła jest takie pogmatwane, a to takie proste?

- Szczęśliwe zrządzenie losu. - Odprężył się. Spojrzał jej w oczy. - Sprawimy, żeby nas nie opuściło.

- Tak jak jest, jest dobrze. - Pogłaskała go delikatnie po policzku. - Jest nawet lepiej niż dobrze.

Już na pierwszy rzut oka, gdy młodzi wysiedli na jego podjeździe z luksusowego zagranicznego samochodu, Tipton wiedział, że są kochankami.

Wystarczyło spojrzeć, w jaki sposób mężczyzna położył rękę na jej ramieniu, a ona podniosła tylko głowę i się uśmiechnęła.

Po drugie, zauważył, że kobieta jest kopią Naomi. Naomi, którą wsadził za kratki.

Nie, były między nimi drobne różnice, które jego wytrawne oko również wyłapało. Usta dziewczyny były łagodniejsze i wydatniejsze. Naomi chodziła energicznie, nawet nerwowo - w sposób, który przyciągał wzrok każdego samca w promieniu kilometra.

Ogólnie rzecz biorąc, Tipton cieszył się, że Kelsey Byden najpierw do niego zadzwoniła. Mógłby doznać szoku, gdyby, podniósłszy oczy, ujrzał ją, przechadzającą się jak duch kobiety, której nigdy nie zapomniał.

- Kapitan Tipton. - Kelsey uśmiechnęła się przelotnie na widok Rossiego. -

Porucznik Rossi! Nie spodziewałam się spotkać tu pana.

- Świat jest mały, nieprawdaż? - bawiło go denerwowanie jej. Sięgnął po kolejne piwo. W końcu był po pracy. - Powiniennem państwa przedstawić. Kelsey Byden i Gabriel Slater, mój były szef, kapitan James Tipton.

- Roscoe zawsze przestrzegał procedury. - Tipton uśmiechnął się szeroko, widząc zdziwienie Kelsey na dźwięk przydomku Rossiego. - Siadajcie, może piwa?

- Pan Slater nie pije - wtrącił Rossi.

- Ach tak. Zdaje się, że żona zrobiła mrożoną herbatę. Nie przyniósłbyś jej, Roscoe, i nie poczęstował gości?

Z przyjemnością się napijemy - zapewniła Kelsey, zadowolona, że może postawić Rossiego w roli obsługującego. Rozsiadła się na górnym stopniu werandy. -

Doceniam, że zechciał nam pan poświęcić swój czas, kapitanie.

- Nie ma sprawy. Czasu mi nie brak. Jak się miewa pani matka?

- Bardzo dobrze. A więc pan ją pamięta?

- Nie sposób jej nie pamiętać. - Tipton postanowił jednak zmienić taktykę.

Najpierw musi się zorientować w sytuacji. - Wiem od Rossiego o pańskiej wygranej, panie Slater. Proszę przyjąć moje gratulacje. Pana koń ma dużą szansę, by zdobyć Potrójną Koronę. Nie bardzo się na tym znam. Moją grą jest baseball. Gabe także znał

się co nieco na taktyce.

- W tym roku stawiam na Birdsów. Dobrze rzucają, a przez zawodników w polu nawet komar się nie przedrze.

- To prawda. - Rozanielony Tipton poklepał się po kolanie. - To prawda, na Chrystusa. A widział pan, jak wczoraj rozgromili Jaysów? Tych cholernych Kanadyjczyków.

Gabe uśmiechnął się szeroko, wyjął cygaro.

Udało mi się obejrzeć tylko ostatni fragment meczu. - Poczęstował kapitana cygarem i mu je zapalił. - Dzięki ostatniemu uderzeniu do mojej kieszeni trafiło pięćdziesiąt dolarów asystenta mojego trenera.

Tipton pyknął z cygara.

- Nie nadaję się do zakładów.

Gabe przyłożył zapalniczkę i zapalił swoje cygaro. - A ja tak - oznajmił, patrząc przez płomień na Tiptona. Wypuścił dym i skinął głową, gdy Rossi wniósł dwie wysokie szklanki. - Dziękuję.

Roscoe jest fanem futbolu. Nigdy nie udało mi się go przekonać do sportu ludzi myślących.

- Powoli zaczynam się rozsmakowywać w królewskim sporcie. - Rossi usiadł na swoim miejscu. - Nie spuszczę z oka wyścigu na Belmont, panie Slater.

- Jak większość z nas.

- No, ale pani nie przysła tutaj, by rozmawiać o sporcie. - Tipton skierował w stronę Kelsey przyjazny uśmiech. - Chciała pani pomówić na temat morderstwa.

- Co może mi pan powiedzieć o Alecu Bradleyu, kapitanie? Wydał wargi.

Zaskoczyła go. Był pewien, że skoncentruje się na matce. Zaintrygowany, przestawił trybiki i cofnął czas.

- Alec Bradley, trzydzieści dwa lata, poprzednio zamieszkały w Palm Beach. Był kiedyś ożeniony z kobietą starszą od siebie o piętnaście lat. Otrzymał od niej niezłą odprawę za rozwód. Najprawdopodobniej gdy spotkał pani matkę, większość z tego już wydał.

- Czym się zajmował?

- Czarował kobiety. - Tipton wzruszył ramionami. - Żył na cudzy koszt. Kiedy miał pieniądze, grał na wyścigach. Był właścicielem fraka. - Kapitan zrobił przerwę na łyk piwa. - Został w nim zabity.

- Nie lubił go pan - zauważyła Kelsey.

Dla zabawy, a także by nadać myślom klarowny, właściwy kształt, Tipton wypuścił trzy kółka dymu.

- Już nie żył, kiedy go spotkałem, ale nie, nie budził mojej sympatii. Sądząc po zebranych na jego temat materiałach śledczych, nie był to człowiek, którego chciałbym zaprosić do domu na kolację. Flirtował z mężatkami - bogatymi mężatkami; uczynił z tego swój zawód. Płaciły mu pieniędzmi i drogimi prezentami, potem zapoznawały go z innymi żądnymi przygód damami. Jeżeli płaciły mu za mało, szantażował je. W moich czasach takich mężczyzn określało się mianem żigolaków.

Nie wiem, jak dzisiaj ich nazywacie.

- Szambo - zażartował Gabe, zyskując przychylność kapitana. Pomyślał, że Slater ma dobry smak. Do kobiet i do cygar.

- To trafne określenie. Facet miał dużo uroku. Eleganckie maniery, wykształcenie, rodzina wywodząca się w prostej linii od jakiegoś nadętego angielskiego hrabiego. Swoim sposobem bycia zniewalał kobiety. Wybierał więc mężatki, które nie mogły się narażać na skandal.

- Moja matka była w separacji, kapitanie.

- I w trakcie sprawy o przyznanie opieki nad panią. Nie mogła dopuścić, by jej romans z Bradleyem wyszedł na jaw, jeśli chciała wygrać sprawę.

- Ale pokazywała się z nim publicznie.

- Tak, na płaszczyźnie towarzyskiej - przyznał Tipton. - Nie przeszkadzało jej widzieć, że ludzie uważają ich za kochanków. Nie było na to dowodów. - Strząsnął

popiół do rozgniecionej puszki po piwie. - Chodziły słuchy, że Bradley wachał

kosztowny biały proszek. Na to też nie było dowodów. Do czasu jego śmierci.

- Narkotyki. - Kelsey pobladła, lecz kontynuowała indagację. - Mama nigdy nie wspominała o narkotykach. Gazety również nic o tym nie pisały.

- Nie znaleziono narkotyków w Three Willows. - Tipton westchnął. Oczy dziewczyny, tak bardzo podobne do oczu matki, cofnęły go w przeszłość. - Miejsce było czyste. Pani matka też była czysta. W organizmie Bradleya natomiast wykryto w czasie sekcji mieszaninę alkoholu i kokainy.

Mógł zatem zachowywać się irracjonalnie, gwałtownie, właśnie tak, jak zeznawała mama.

- Nie było żadnych śladów walki. Tylko rozdarta koronka peniuaru pani matki.

- Położył rękę na piersi. - I kilka zadrapań. Nic, czego sama nie mogłaby zrobić.

- Gdyby zrobiła to sama, to dlaczego nie porozwalała paru stołów, nie stłukła kilku lamp?

Sprytna dziewczyna, pomyślał.

- Zadawałem sobie to pytanie, jej także.

- I co powiedziała?

- Za pierwszym razem siedzieliśmy na dole, kiedy w sypialni robiono jeszcze zdjęcia. Nałożyła na peniuar ciepły szlafrok. - Tak jakby jej było zimno, przypomniał

sobie Tipton. Tak jakby się trzęsła pod tym ciężkim pikowanym materiałem. - Kiedy ją zapytałem, warknęła: „Może nie przyszło mi to do głowy”.

Uśmiechnął się, pokiwał głową.

- Zbyła mnie. Podobnie odpowiadała aż do czasu, gdy adwokaci kazali jej zmienić taktykę. Po raz drugi rozmawialiśmy w izbie przesłuchań. Paliła jednego papierosa za drugim, praktycznie wypalając każdy do samego końca. Kiedy ją znowu o to zapytałem, odparła, iż żałuje, że o tym nie pomyślała, bo wtedy być może, ktoś by jej uwierzył.

Tipton odstawił na bok piwo. Westchnął głęboko.

- I wie pani co, panno Byden? Uwierzyłem jej. Mówiłem o tym porucznikowi Roscoe tuż przed państwa przyjazdem.

Kelsey rozprostowała zdrętwiałe nogi, zmusiła się, by wstać.

- Uwierzył jej pan? Uwierzył pan, że mówi prawdę, ale wsadził ją pan do więzienia.

- Uwierzyłem jej - powtórzył Tipton, mrużąc oczy. Oczy gliny. - Ale fakty przemawiały przeciwko niej. Spędziłem wiele bezsennych nocy, bezskutecznie szukając czegoś, co przechyliłoby szalę na jej stronę. Tak więc, dysponując jedynie własnym przekonaniem o jej niewinności, wykonałem swoje zadanie, panno Byden.

Aresztowałem ją, Zamknąłem. Na rozprawie przedstawiłem dowody. Zrobiłem wszystko, co do mnie należało.

- I jak się pan czuje z tą świadomością? - Kelsey zacisnęła pięści i wzięła się pod boki. - Przecież pan wiedział, że mówiła prawdę!

- Uwierzyłem jej. Ale od wiary do pewności droga jest daleka.

- No cóż Roscoe, zanurzyłem się trochę w przeszłości. - Tipton popatrzył na odjeżdżającego jaguara, po czym zabujał się na skrzypiącym fotelu. - Ile razy widziałeś prawdziwie szare oczy? Bez cienia zieleni czy błękitu, tylko popielaty dymek. Takich oczu się nie zapomina.

- Naomi Chadwick zrobiła na tobie wrażenie, kapitanie. Co jednak nie znaczy, że mówiła prawdę.

- O tak, zrobiła wrażenie. Byłem szczęśliwym mężem, Roscoe, nigdy nie miałem nikogo na boku, ale myślałem o Naomi Chadwick. Czy jej uwierzyłem, ponieważ zagrała na jakiejś ważnej strunie mojego libido? - Westchnął, wzruszył

ramionami, zgniótł drugą puszkę po piwie. - Sam nie wiem. Nigdy nie byłem pewien.

Prokurator rejonowy domagał się aresztowania. Chciał tego procesu. A ponieważ dowody przemawiały przeciwko niej, zrobiłem, co do mnie należało.

Rossi przyglądał się swojej drugiej puszcze piwa.

- Co sądzisz o Charlesie Rooneyu?

- Tym prywatnym detektywie? To picer. W jego służbowym notesie aż się roiło od znanych nazwisk stanowiących jego klientelę. Zajmował się głównie sprawami rozwodowymi. Przycisnąłem go, ale on trwał przy swojej wersji. Miał film, raporty i poparcie adwokatów Bydenów.

- Był świadkiem morderstwa, ale nie zawiadomił o tym policji.

- Przydusiliśmy go w tej materii. Twierdził, że był w szoku. Wyobrażasz sobie: facet ma dostarczyć zdjęcia z uciech seksualnych, a tymczasem trafia na morderstwo.

Podobno gdy przyjechała policja, siedział jeszcze w swoim samochodzie. Wyliczył się z czasu co do minuty.

- Po czym odczekał trzy dni, zanim dostarczył film. Tipton poruszył

krzaczastymi brwiami.

- Jak głęboko zamierzasz drążyć, Roscoe?

- Tyle ile będzie potrzebne. - Postawił wypitą do połowy puszkę między nogami na podłodze ganku i opierając ręce na kolanach, wychylił się do przodu. - Dwadzieścia trzy lata temu miałeś martwego konia podczas wyścigów, narkotyki, samobójstwo i morderstwo. Teraz mamy morderstwo, podejrzaną śmierć sklasyfikowaną jako samobójstwo, martwego konia podczas wyścigów i narkotyki. Czy wahadło porusza się samoistnie, czy też zostało wprawione w ruch, kapitanie?

- Jesteś dobrym gliną, Roscoe. - Doświadczone ucho Tiptona natychmiast zareagowało na sygnał. - Ilu graczy wprawia w ruch to wahadło?

- To właśnie trzeba ustalić. Czy mógłbyś poświęcić tej sprawie trochę czasu i pomóc mi w dochodzeniu?

Początkowo powściągliwy uśmiech Tiptona wkrótce wypełnił całą jego twarz.

- Niewykluczone, że zdołałbym wygospodarować trochę czasu.

- Właśnie takiej odpowiedzi oczekiwałem. A ten dżokej, który się powiesił?

Benedict Morales. Benny. Czy zechciałbyś przybliżyć mi jego sylwetkę?

Gdy Gabe mijal bramę Longshot, Kelsey wyprostowała się na siedzeniu.

- Gabe, powinnam pojechać do domu, nie jestem w nastroju, żeby ci towarzyszyć.

- Wiem. - Zahamował, zgasił silnik. - sądzę jednak, że lepiej, żebyś rozładowała swoją wściekłość tutaj niż w Three Willows, gdzie będziesz musiała tłumaczyć się przed Naomi.

- Jestem tylko zła. - Wskoczyła z samochodu i z impetem zatrzaskała drzwiczki. - On jej uwierzył, ale posłał ją do więzienia!

- Gliny nie posyłają do więzienia, kochanie, robią to przysięgli. Uwierz mi, sam tam byłem.

- Przecież ona spędziła za kratkami dziesięć lat! Czy to nie wystarczy za argument?

- Rzecz w tym - odparł, biorąc ją pod rękę i prowadząc do domu - że to już się dokonało. Nie możesz tego zmienić. Czy stać cię na ryzyko, by cofnąć czas i udowodnić, że to była pomyłka?

Zdumiał ją.

- Ryzyko? O co ci chodzi? Nie liczy się ryzyko - to nie ma znaczenia! To, co ją spotkało, było pomyłką, którą trzeba naprawić.

- Białe albo czarne?

A jeśli tak? - Poczowała skurcz w brzuchu, jedno ostre szarpnięcie.

- W porządku - powiedział zwyczajnie. - Tylko nie przeocz szarych stref, Kelsey.

Bez nich może ci zabraknąć niezbędnych elementów i nie zawsze to, co odkryjesz, będzie ściśle pasowało do jednej czy drugiej wersji.

Odsunęła się od niego.

- Chcesz mnie powstrzymać.

- Chcę, żebyś była przygotowana.

- Na co?

Umyślnie zwolnił kroku, by się z nią zrównać. Objął jej sztywne ramiona.

- Nie każdy, o kogo się troszczysz, jest doskonały. I nie każdy, kto jest dla ciebie ważny, będzie ci wdzięczny za dogrzebanie się do pokrytych warstwą kurzu spraw sprzed dwudziestu lat.

Szarpnęła się ze złością w daremnej próbie uwolnienia się z jego uchwytu.

- Doskonale wiem, że Naomi nie była - nie jest - święta. Nie oczekuję doskonałości, Slater, ani jej nie szukam. Chcę jedynie prawdy.

- Świetnie. Pod warunkiem, że zdołasz sobie z nią poradzić, gdy już ją znajdziesz. Nie próbuj mnie odtrącić - powiedział i uśmiechnął się, gdy usiłowała się wyszarpnąć. - Po pierwsze, musisz się pogodzić z faktem, że wchodzisz do gry, w której karty zostały już rozdane. Oboje postarajmy się rozegrać ją po naszej myśli.

- Nie próbuję cię odtrącić. Po prostu muszę się zastanowić nad kolejnym krokiem.

- Pomogę ci w tym. - Przyciągnął ją bliżej, jego wprawne ręce przesunęły się wzdłuż jej pleców w dół, i ponownie w górę. - Musisz się zrelaksować, popływać.

- Nie mam kostiumu.

- Kochanie, liczyłem na to. - Od jego pocałunków zakręciło się jej w głowie. - A potem może namówię cię na jakieś kulinarne smakołyki, które tak kiedyś zachwalałaś.

Relaks wydawał się wspaniałym pomysłem. Pomrukując z rozkoszy, Kelsey odwróciła głowę, by ułatwić Gabe'owi dostęp do swojej szyi.

- Chcesz, żebym coś dla ciebie ugotowała?

- Tak. A potem wezmę cię na górę i uwiode.

- A co robisz teraz?

- To tylko próba generalna. Jutro, kiedy będziesz zrelaksowana, z odświeżonym umysłem, zaczniemy znów się zastanawiać.

- To brzmi sensownie.

Zamknął jej usta pocałunkiem. Wiedział, że zatrzymując pewne pomysły dla siebie, nie gra czysto. Ale teraz chciał usunąć z jej twarzy napięcie. Uczcić fakt, że się odnaleźli. Chciał, by tej nocy skoncentrowali się na jednym.

- A więc zachowujmy się sensownie. - Wsunął ręce pod jej pachy i zamknął ją w objęciach. - Kocham cię.

Jej serce wykonało jeden długi, wolny obrót.

- Nie znajduję na to argumentu.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY**

W różowym świetle poranka Moses doglądał kłaczki prowadzące swe młode do wody. Na równi z nimi znał ustaloną w grupie hierarchię. Big Bess, arogancko wymachująca ogonem, zawsze była pierwsza. Następnie Carmen, uparta kasztanka, po niej Trueheart, i tak po kolei, aż po płochliwą, usuwającą się w cień Sunny.

Obok nich podskakiwały rozbrykane beztroskie źrebaki. Nieświadome, że już za kilka tygodni zostaną odłączone i oddzielone od matki. Taka bowiem jest zwykła kolej rzeczy.

Niektóre z nich zostaną sprzedane na aukcji jednolatków, inne będą przysposabiane do wyścigów. Któreś może zostać wybrane z gromady do skakania albo na arenę. Moses nie był zwolennikiem popisów końskich. Według niego były to piękne, ale pozbawione charakteru i treści widowiska. Któreś zostaną wykastrowane, inne zaś przeznaczone do rozmnażania.

A któreś, może tylko jedno, okaże się prawdziwym czempionem. Zawsze jest kolejne derby, pomyślał Moses, zawsze kolejna okazja zwycięstwa.

Może to będzie ten mały kasztanek z gwiazdką? Ten zadziornie przechylający łeb. Naomi nazwała go z tego powodu Tomorrow's Arrogance. Ma dobry rodowód i dobre warunki, a czas pokaże, czy będzie miał również zapał i serce.

Tymczasem Mosesowi ciężko było na sercu. Za bardzo liczył na derby. Chciał

być mądrzejszy. A przecież geny przodków z obu stron ostrzegały go, by nie wystawiał

na próbę bogów. Nie posłuchał wewnętrznego głosu, lokując wszystkie nadzieje, całe swoje serce w tych dwóch minutach wyścigu.

A koszty były przytłaczające.



- Są takie piękne - szepnęła zza jego pleców Kelsey. - Trudno uwierzyć, że w przyszłym roku będą gotowe pod siodło.

Moses włożył ręce do kieszeni. Nie spuszczał wzroku ze źrebaków.

- Więc jednak postanowiłaś się pojawić!

- Przepraszam, trochę się spóźniłam.

„Trochę się spóźniłam”, pół dnia wczoraj i cały dzień przedwczoraj.

- Musiałam się zająć pewnymi sprawami.

- Sprawami! - odwrócił się do niej, świadom, że za chwilę wyładuje na niej część swojej frustracji. Zasłużyła sobie na to. - Tylko jedna rzecz jest ważna dla każdego, kto tutaj pracuje: konie.

Długimi krokami pomaszerował w kierunku stajni; Kelsey przebierała nogami, by za nim nadążyć.

- Przepraszam, Moses, naprawdę. Ale to była konieczność. - Czowała się paskudnie.

Nagle przystanął i zwrócił się w jej stronę, aż zapadła się obcasami w ziemię, z trudem łapiąc równowagę.

- Posłuchaj, smarkulo. Nie jesteś tu po to, żeby się bawić. Tutaj nie robi się przerwy na zawiązanie sznurowadła, ale się pracuje. Solidnie, cały dzień, codziennie.

Jeśli nie pracujesz, skutki twojego olewania spadają na kogoś innego. Ale u mnie to nie przejdzie. A właściwie co wczoraj robiłaś w czasie, kiedy powinnaś być ze swoim koniem, gdy miałaś otrzymać polecenia od trenera jednolatków?

- Byłam... - Kelsey w porę ugryzła się w język. - To sprawa osobista.

- Strosz sobie włosy i maluj paznokcie, ale na własny koszt i nie w godzinach pracy. Nie zamierzam tracić na ciebie czasu. A teraz do roboty! Wyrzuć gnój z boksów.

- Ale... muszę popracować z Honor.

- Honor jest już na lonży. Będziesz mogła ją ostudzić po zakończeniu treningu.

Na razie bierz się za łopatę.

Odszedł i zniknął w swoim kantorku. Stajenni i pomocnicy, którzy na moment przerwali pracę, natychmiast powrócili do swoich zajęć. Każdy lubi popatrzeć na publiczną chłostę, ale nikt nie chce zostać przyłapany na podglądaniu.

- A więc zostałaś zaakceptowana. - Naomi podeszła do córki i w geście pocieszenia pogłaskała ją po plecach. - Nie mówiłby do ciebie w ten sposób, gdyby cię nie traktował jako części zespołu.

- Mógł mnie zwymyślać bez świadków - mruknęła Kelsey. - Poza tym, do diabła, nie stroszę sobie włosów. A spójrz na to. - Doprowadzona do szewskiej pasji, wyciągnęła ręce, pokazując krótkie, własnoręcznie obcięte, nie pomalowane paznokcie. - Czy wyglądają jak świeżo po manikiurze? Nie jestem tu dla zabawy. A wszystko z powodu tych kilku godzin... - W porę się powstrzymała, przeklinając siebie w duchu. - To była dla mnie ważna sprawa.

- Czasami zdarza się nam zapominać o wszystkim co nie dotyczy tego miejsca, co nie wiąże się z tym, co się tutaj dzieje. Nie masz obowiązku poświęcać się temu bez reszty. Tak naprawdę większość właścicieli nie angażuje się w tak żmudną codzienną robotę. Może byś wolała...

- Uważasz, że nie daję sobie rady! - Kelsey się zaczerwieniła. - Uważasz, że nie potrafię niczego doprowadzić do końca!

- Wcale tego nie powiedziałam, Kelsey.

- Czyżby? Dlaczego tym razem miałyby być inaczej? Przecież stale zmieniam pracę, stale zmieniam zainteresowania! Dlaczego ktoś miałby uwierzyć, że potrafię wytrwać, że ta praca znaczy dla mnie coś więcej niż pisanie ogłoszeń czy oprowadzanie wycieczek po galerii impresjonistów? Jeżeli tak łatwo się poddam, to dlaczego jeszcze tu jestem? - odrzuciła do tyłu włosy. - Bo to jest zupełnie inna sprawa. Bo wszystko jest inne.

Zakręciła się na pięcie i pomaszerowała do stajni.

Naomi tylko westchnęła. Zdała sobie sprawę, że gdy dwie najbliższe istoty obarczają nas swoimi kłopotami, zapomina się o własnych zmartwieniach. Oceniając stopień zdenerwowania obojga, doszła do wniosku, że Kelsey musi jeszcze przez jakiś czas pomachać widłami, by dojść do siebie. A więc zacnie od Mosesa.

Siedział przy biurku, warcząc przez telefon do agenta Rena.

- Nie, nie weźmie udziału w Belmont. Nie jest jeszcze w pełni formy, a Corelli pojedzie na High Water i zajmie w Preakness drugie miejsce. Zna konia, poza tym zasłużył sobie na jazdę. Taaa, to ostateczna decyzja.

Rzucił słuchawkę, przerywając płynący z niej potok słów.

- Nie wystawiam przerażonego zawodnika z uszkodzonym ramieniem.

- Zgadzasz się z tobą. - By załagodzić sytuację, Naomi usiadła obok przy jego biurku. - I Reno także. Wie, że nie jest jeszcze gotów. - Chcąc położyć kres napięciu, przykryła jego rękę dłonią. - Nie byłeś zbyt surowy dla Kelsey?

Nachmurzył się, cofnął rękę.

- Czy przyszedł tu w charakterze właścicielki, czy jej matki?

- Po prostu przyszedłam, Moses - odparła i poprzestała na tym. - Wiem, że ostatnio wzięła sobie wolne.

Podobnie jak wiem - ciągnęła spokojnie - że coś gnębi zarówno ją, jak i ciebie.

- Trzymajmy się jednego, Naomi. - Odsunął się od biurka. - Zaniedbuje się w pracy. Może już jej minął zapał.

Spojrzała na niego uważnie. Nie był rozdrażniony, raczej zaniepokojony.

A może ona musi po prostu powiązać w całość różne elementy? Nie zapominajmy, że w bardzo krótkim czasie musiała się przystosować do zupełnie nowej sytuacji. Zdaje się, że dotychczas byliśmy bardzo zadowoleni z jej pracy. Wręcz zdumieni.

- Dotychczas - zgodził się. - Byłem szczęśliwy i zbudowany jej postawą. A teraz dla jej dobra musiałem nią potrząsnąć. Poza tym to należy do moich obowiązków służbowych. Nie zapominaj o tym. Jeżeli chcesz, żebym traktował ją inaczej...

Nie powiedziałam tego - przerwała mu, lekko zniecierpliwiona. - Ale znam cię, Moses. Nie zdarza się, żebyś beształ kogoś publicznie za parę drobnych przewinień.

Dlaczego więc postanowiłeś traktować ją inaczej niż innych?

Pochylił się gwałtownie. Mierzyli się wzrokiem po przeciwnych stronach biurka.

Dobrze, powiem ci, jak ja to widzę. Ta dziewczyna otrzymywała od życia wszystko, na co miała ochotę. Jest zepsuta, zuchwała i ma zwyczaj zaczynać coś i rzucać to w połowie.

- I ja taka byłem. Przytaknął kiwnięciem głowy.

- Do pewnego stopnia. Ale zawsze kończyłaś to, co zaczynałaś.

Może ona dopiero teraz znalazła coś, co warte jest doprowadzenia do końca.

- A może już się znudziła i zamierza zwinąć manatki. Czy myślisz, że nie zdaję sobie sprawy, czym by to było dla ciebie?

Naomi zadrzała.

- Jesteś jedyną osobą, która uważała, że ona tego nie robi.

- Może się pomyliłem. Może byłem tak cholernie szczęśliwy, widząc cię znowu stale uśmiechniętą? Zdawało się, że wszystko zmierza we właściwym kierunku. A teraz... - Zniechęcony opadł na krzesło, pocierając nerwowo twarz. - Do diabła!

Podpadła mi w najmniej odpowiedniej chwili.

- Właśnie. Co się dzieje, Moses? - Naomi znowu wyciągnęła do niego rękę. Tym razem uchwycił ją kurczowo.

- Ironia bogów, Naomi. Zwłaszcza kiedy się zapomni, że mogą w każdej chwili wkroczyć i zmieść wszystko, czego najbardziej pragniesz. Już kiedyś miałem złamane serce. - Spojrzał na nią i leciutko się uśmiechnął. - Najpierw przez ciebie. Ale to było dość dawno. Zapomniałem już, jak bardzo to boli.

Pride - powiedziała cichutko. - Pozostawiłeś mi całe opłakiwanie Pride'a.

Zgnębiony, spojrzał na ich złączone dłonie.

- Coś przegapiłem, Naomi. Byłem na takich obrotach, żeby wygrać, że popełniłem nieostrożność. To mogła być tylko jedna minuta. A ile to kosztowało!

Masz prawo być smutny, Moses, ale nie możesz siebie obwiniać.

- To był mój koń, Naomi. - Znowu nie patrzył jej w oczy. - Na papierze figuruje twoje nazwisko, ale on był mój. Zabrakło mnie we właściwym miejscu i czasie. No i straciłem go. Nie wyczułem tego, co powinienem był wyczuć. Ciągle wracam myślami do tego dnia. Ciągle wracam i wracam i nadal nie rozumiem. To przecież musiało się wydarzyć tuż pod moim nosem. - Uderzył pięścią w stół. - Pod moim pieprzonym nosem!

Znała go. Wiedziała, że jest tylko jeden sposób, żeby poprawić mu nastrój.

- W porządku, Whitetree, to twoja wina. Wykonywałeś swoją pracę. Płacę ci za trenowanie koni. Płacę ci za to, żebyś je znał i rozumiał, i żebyś prowadził je od narodzin do śmierci. Płacę ci również za dogłądanie ludzi, za zatrudnianie ich i zwalnianie, a także za podejmowanie decyzji o wyborze odpowiedniej ekipy dla danego konia na konkretną gonitwę. Wygląda na to, że płacę ci również za odgadywanie przyszłości. - Zadarła zawadiacko głowę. - A skoro tak, to nie wiem, czy mam cię zwolnić, czy dać ci podwyżkę.

- Ja mówię poważnie.

Ja też. - Wstała, oparła się o biurko, by rozprostować zdrętwiałe ramiona. -

Chcę wiedzieć, co się stało, Moses. Chcę wiedzieć, kto to zrobił, i chcę, żeby ten ktoś gorzko za to zapłacił. Ale nie chcę, nie zniosę tego, by człowiek, którego kocham i na którym polegam, stracił serce. Mamy przed sobą około jedenastu miesięcy do pierwszej majowej soboty.

- Taak. - Odetchnął głęboko. - Chyba będę musiał przeprosić tę twoją dziewczuchę.

- Daj sobie z tym spokój. Odrobina krytyki jej nie zaszkodzi. Znowu się uśmiechnął.

- Chryste, jak ona mnie spiorunowała. Ma twoje oczy. Nie czuję większego żalu z powodu rzeczy, których nie zrobiłem w życiu, Naomi. Jest ich zresztą niewiele. Mogę je policzyć na palcach jednej ręki. Nigdy nie odbyłem pielgrzymki do Izraela, nigdy nie poszedłem w ślady moich przodków, ani z jednej, ani z drugiej strony, i nigdy nie miałem z tobą dziecka.

Jej ręce znieruchomiały. Sięgnął po nie i z całej siły przytrzymał.

- Przepraszam cię.

- Nie. - Opuściła głowę, przytulając policzek do jego włosów. - Nie przepraszaj.

Dlaczego tak rzadko dana jest człowiekowi druga szansa w tak ważnych sprawach, Moses?

O tym samym myślał Rich. Powtórne szanse są tak rzadkie jak kurze zęby.

Trzeba mieć fart, żeby złapać w sidła okazję. A jemu się poszczęściło.

Postawił w Laurel dwa tysiące na tryplę i powędrował z powrotem do baru.

Trypla to na ogół zakłady dla frajerów, ale on był na fali.

Zwłaszcza dobrze mi idzie na wyścigach, pomyślał Puch. Pał sześć karty! Teraz moją miłością są konie!

Zamówił kolejnego burbona, swój nowy, nastrajający go sentymentalnie trunk, wyjął cygaro za pięć dolarów.

Uniósł brwi, gdy ktoś podał mu ogień. Rozżarzył cygaro, a następnie odwrócił się, by uraczyć syna uprzejmym uśmiechem.

- Kogo widzę! Jak za dawnych czasów! Podaj chłopcu to samo! - krzyknął do barmana.

- Kawę proszę! - zawołał Gabe, unosząc lekko palec.

- Nie pieprz. Nie rób z siebie prawiczka, chłopcze. Ja stawiam.

- Piję kawę - powtórzył Gabe, po czym uważnie przyjrzał się ojcu. Dobrze znał

te objawy: zaczerwienione policzki, błyszczące oczy, wyszczerzone w uśmiechu zęby.

Puch Slater nie tylko był już nieźle podpity, ale również przy forsie.

- Zdawało mi się, że miałeś kłopoty po wyjeździe z Chicago?

- Wszystko się ułożyło. Nie przejmuj się mną, Gabe. Każdy wie, że stary Rich Slater nie myli się w zapisie.

- Ach tak? - Gabe uniósł brew. - Zdawało mi się też, że twoje kłopoty miały związek z rozdawaniem kart od spodu.

Czy to powiedziałem chłopakowi? - zastanawiał się Rich, na próżno usiłując uruchomić swoją rozmiękczoną pamięć. W końcu jakie to ma znaczenie?

- Zwykła różnica zdań i tyle. Już się wszystko wyjaśniło. Uważaj, to moja gonitwa. - Wskazał palcem

na monitor. - Numer trzeci - powiedział półgłosem. - Taaa, numer trzeci.

Gabe popatrzył na ekran w momencie otwierania się bramy startowej.

- Słyszałem, że znowu zacząłeś grać na wyścigach.

- Dawaj mała, gazu! Gdzie to słyszałeś?

- Tu i ówdzie. Ktoś cię widział na Churchill Downs w dniu derby. Rich nie odrywał wzroku od gonitwy, ponaglając swojego konia ruchami ciała. Tymczasem jego umysł pracował, rozbijając przygotowane przez Gabe'a pole minowe.

- Wygra, wygra! A teraz do mety! No i co, kurwa! Może źle wybrałem? -

zadowolony, że pierwszy koń, na którego postawił w trypli, wygrał, zamówił

następnego drinka. - Ma się to wyczucie, co Gabe? Zawsze miałem nosa.

- A co ci podpowiedziało twoje wyczucie w zeszłym miesiącu w Kentucky?

- Kentucky. - Wyszczерzone w uśmiechu usta rozwarły się jeszcze szerzej. - Nie byłem w Kentucky od pięciu - sześciu, może i więcej lat. A przecież powinienem był

trzymać się koni. Taka jest prawda.

- Sam cię widziałem tego dnia nad ranem.

Rich nie zareagował. Nawet nie drgnęła mu powieka.

- Chyba się mylisz, drogi chłopcze. Wynająłem sobie ładne mieszkanie tuż za Baltimore. Poruszam się na niedużych odległościach. Pimlico, Laurel, Charles Town.

Nie, pewnie myślisz o Pimlico lub Preakness. Byłem tam. Jasne, że byłem. - Mrugnął

do syna. - Postawiłem także trochę forsy na twojego konia. I nie rozczarowałem się.

Niewykluczone, że przy obecnym moim farcie wybiorę się na Belmont. Możesz przecież zgarnąć całą Koronę, no nie, Gabe? Uda się. Urządzimy sobie prawdziwą ucztę!

- Wydarzył się przykry wypadek na derby.

- Słyszałem. Też byłem tym wstrząśnięty. Widziałem to u siebie w telewizji. To woła o pomstę do nieba. Żeby w ten sposób stracić konia! - Pokiwał ze smutkiem głową nad swoją szklaneczką. - O pomstę do nieba! A tobie nie było przykro?

- Ktoś przyczynił się do śmierci tego konia. Wydymając wargi wokół cygara, Puch pokiwał głową.

- Oczywiście, o tym też słyszałem. Parszywa sprawa. Że też jeszcze to się zdarza.

- Sięgnął po orzeszki i włożył do ust dwa naraz. Na jego małym palcu Gabe zauważył

sygnet ze znakiem dolara ułożonym z małych brylancików.

- Na szczęście rzadziej niż dawniej - ciągnął Rich. - W dzisiejszych czasach szprycowanie koni narkotykami nie uchodzi już płazem. - Wypuścił dym, zadowolony, że wyprowadził Gabe'a w pole. - Ale dawniej, kiedy twój dziadek i ja grywaliśmy na wyścigach, robiono masę różnych numerów. Przede wszystkim nie istniały te wszystkie testy ani nie obowiązywało aż tyle pieprzonych reguł dotyczących konia i dżokeja. No, ale to było dawno. Ze czterdzieści lat temu. - Westchnął na samo wspomnienie. - Wielka szkoda, że nie znałeś swojego dziadka, Gabe.

- Wielka szkoda, że dostał kulę w łeb z powodu... zwykłej różnicy zdań.

- To prawda - przytaknął Rich bez cienia ironii. Należał do ludzi, którzy kochają swych ojców. - Dlatego właśnie próbowałem cię, synu, nauczyć choć trochę oszukiwać w grze. To tylko sprawa zręczności i synchronizacji w czasie.

- A nieraz tylko morderstwo. Człowieka, konia. Dla niektórych to bez różnicy.

- Wołałem niektóre konie od niektórych ludzi.

Pamiętam inny wyścig, w Lexington. Byłem jeszcze dzieciakiem. - Gabe podniósł stygnącą kawę, patrząc na ojca znad brzegu filizanki - zapamiętałem jednak twoje zdenerwowanie. Choć wcale nie było gorąco - Bluegrass Stakes odbywają się przecież wiosną - ty się okropnie pocieś. Kazałeś mi się kręcić po trybunach, rozglądać za upuszczonymi monetami, żebrać. Tego dnia także padł koń.

- Zdarza się. - Puch odwrócił się w stronę monitora. Pomimo klimatyzacji miał

spocony kark. - Naoglądałem się tego w życiu niemało.

- Wtedy to również był koń Chadwicków.

- Nie chrzań! Co za pech! Hej, nie widzisz, że mam pustą szklankę? - Klepnął

ręką w blat baru.

- Z tego powodu powiesił się dżokej. O ile pamiętam po tych wyścigach nie pozostaliśmy długo na miejscu. Zaledwie kilka dni. Co wydaje się dość dziwne, bo zapłaciliśmy za pokój z góry.

- Zawsze mnie gnało przed siebie.

Byłeś po tym nadziany. Zresztą też niedługo, ale gdy dawaliśmy nogę, miałeś przy sobie niezły plik forsy.

- Musiałem tego dnia postawić na paru zwycięzców.

- Teraz również jesteś przy forsie, prawda? Nowy garnitur, złoty zegarek, sygnet z brylantami. -

Podniósł rękę Richa. - Manikiur.

- Może byś przeszedł do rzeczy, chłopcze! Przewyciężając wstręt do stęchłego zapachu nie strawionego alkoholu, Gabe przysunął się bliżej. Odezwał się cichym, lodowatym, opanowanym głosem:

- Módl się, żebym nie znalazł dowodu na to, że byłeś w Kentucky w pierwszą majową sobotę.

- Chyba nie zamierzasz mi grozić, Gabe?

- A niby dlaczego nie?

Wystraszony i wściekły, Rich sięgnął po kolejną szklankę burbona.

- Jedno, co możesz zrobić, to zabrać się stąd. Odczep się ode mnie i zajmij się koniem, którego wystawiasz w gonitwie w przyszłym tygodniu. Zajmij się też tą śliczną blondyneczką, którą dmuchasz.

W ułamku sekundy Gabe złapał za węzeł nowego jedwabnego krawata ojca. Do akcji jednak natychmiast wkroczył właściciel baru.

- Nie życzę sobie tutaj żadnych rozrób.

- Nie ma sprawy. - Rich uśmiechnął się szeroko, prosto w twarz Gabe'owi. -

Jaka rozróżba? Zwykła rodzinna dyskusja. Uważam, synu, że nie mogłeś lepiej tego ulokować. Błękitna krew. Założę się, że taka rasowa klacz jest ognista i wytrwała.

Może już czas, żeby przedstawić jej twojego kochanego staruszka?

Gabe poczuł ból w zaciśniętej do granic wytrzymałości pięści. Ból, który domagał się rozładowania w ciosie. Rich jednak - choć wstrętny i odrażający był jego ojcem.

- Trzymaj się od niej z daleka - ostrzegł opanowanym głosem.

- Bo co?

- Bo cię zabiję.

- Obaj wiemy, że nie masz do tego smykałki. Ale możemy zawrzeć umowę. Ty trzymasz się z daleka od moich spraw, a ja od twoich. - Gdy Gabe go puścił, wygładził

krawat. - W przeciwnym razie mogę sobie uciąć miłą, długą pogawędkę z twoją ślicznotką. Założę się, że będziemy mieli sobie dużo do powiedzenia.

- Trzymaj się z daleka od tego, co moje. - Gabe wyjął bilon i położył obok prawie nietkniętej kawy. - Z bardzo daleka.



- Dzieciaki! - Kiedy Gabe wyszedł, Rich obdarował właściciela baru promiennym uśmiechem. - Nigdy nie nauczą się szacunku. - Podniósł szklanke, próbując nie zauważać, że trzęsie mu się ręka. - Czasami trzeba po prostu wbijać im to siłą - mruknął.

Tuląc szklaneczkę, odwrócił się w stronę monitora i czekał na start swojego konia.

Zmierzchało już prawie, kiedy Kelsey opuściła stajnię. Po dwunastu godzinach pracy - wyrzucaniu gnoju, wymianie ściółki, szorowaniu betonowych podłóg, czyszczeniu uprzęży - pękał jej kręgosłup, bolały wszystkie mięśnie. Marzyła tylko o jednym - kojącej, gorącej kąpieli i puszczeniu w niepamięć porannego incydentu.

- Chcesz piwa? - Moses siedział na beczce, trzymając za zawleczki dwie zimne puszki. Czekał na nią.

- Nie. Dziękuję - odparła lodowato.

- Kelsey! - Podniósł puszkę do góry. - Nie mogłem znaleźć mojej fajki pokoju.

Poddała się niechętnie i wzięła od niego puszkę. Co prawda wolałaby kubek

wody, ale piwem równie dobrze można było splukać smak brudu i potu. Moses zmrużył oczy na widok czerwonego śladu na jej przedramieniu.

- Co się stało? Pacer cię chapnął?

- Zgadza się. I co z tego?

- Chyba nie będziesz mnie olewać w nieskończoność? Przecież jestem taki uroczy.

Kelsey wypła kolejny łyk.

- Wcale nie jesteś.

Twoja matka już by się dała przebłagać! - mruknął. - Posłuchaj, skrewiłaś i dałem ci to do zrozumienia. A teraz mówię, że odwaliłaś dobrą robotę. I nie tylko dzisiaj. Prawie przez cały czas.

- Prawie cały czas?

- Tak. Szybko się uczysz i nie popełniasz drugi raz tego samego błędu, nadal jednak potrzebujesz kogoś, kto będzie ci patrzył przez ramię. Ulegasz nastrojom i to jest twój problem, ale obracając się między końmi a twoją matką, przywykliśmy tutaj do tego.

- Moją... - opadła jej szczeka. - Moją matką?

- Bywa uparta jak muł, jeśli chce postawić na swoim. Tyle że nie traci nad sobą panowania jak dawniej, gdy była młodsza. Czasami jest mi jej szkoda. - Wbił wzrok w ziemię. - Cholernie szkoda. Oni jej nie złamali, ale ją zmienili. Zrobiła się twarda, nauczyła się trzymać wszystko w środku.

Napadłem dzisiaj na ciebie bardziej z jej powodu niż z powodu pracy.

- Nie rozumiem.

Jeśli się od niej teraz odwrócisz, to ją zabije. Byłaby niezadowolona, że ci to mówię, ale muszę to zrobić. Nic i nikt na świecie nie liczy się dla mnie bardziej niż Naomi. Nie chcę, żeby znowu spotkała ją krzywda.

- Nie odwracam się od niej. Ani nie próbuję jej skrzywdzić. Może trudno ci w to uwierzyć tak na słowo, ale proszę, żebyś mi uwierzył.

- Wiesz? Wydaje mi się, że ktoś, kto czyści konie i nie zabiega o taryfę ulgową, jest godny zaufania. Do zobaczenia jutro rano.

- Jasne. - Ruszyła w swoją stronę. Po chwili obejrzała się. - Ładny wieczór.

- To prawda.

- Kobiety lubią spacerować przy świetle księżyca.

- Słyszałem o tym.

Za parę godzin będzie całkiem widno. - Kelsey była zadowolona z siebie.

Wykonała dobrą robotę. Nie tylko w stajni. Teraz odda się w ręce Genie. Zje wszystko, cokolwiek tamta jej poda. Następnie weźmie długą kąpiel i wymoczy obolałe mięśnie i kości.

Po upływie godziny drzemała, upojona cudowną, pachnącą pianą. Świat znowu stracił swoje ostre kany. Przeciągnęła się rozleniwiona i potężnie ziewnęła. Otworzyły się drzwi.

- Gabe! - Zaskoczona i zdezorientowana, gwałtownym ruchem czmychnęła pod wodę, omal nie przelewając piany ponad krawędź wanny. - Co ty tu robisz?

- Gertie mi powiedziała, że cię tu znajdę. - Założył kciuki za szlufki spodni i przyglądał się jej. - Chciałem cię zaprosić do siebie, ale wygląda na to, że nie jesteś odpowiednio ubrana na przejażdżkę.

- Zwykle kąpię się nago. Taki mam zwyczaj.

- Co byś powiedziała, gdybym umył ci plecy i inne trudno dostępne miejsca?

- Dam sobie radę. - Zgarnęła włosy z oczu i z trudem opierała się potrzebie przykrycia rękami piersi, przystrojonych bąbelkami piany. - Słuchaj ! Czy nie mógłbyś poczekać na dole, aż skończę?

Zastanowił się, po czym potrząsnął głową i zaczął rozpinąć koszulę.

- Nie. Wchodzę do środka.

- Nie wejdiesz. Jesteśmy w domu mojej matki!

- Nie ma jej.

- To bez znaczenia. - Znów zgarnęła w pośpiechu grzywkę z oczu. - Zostań w koszuli, Slater. Na dole jest Gertie - syknęła.

- Będzie musiała tam pozostać. W wannie nie ma miejsca dla nas trojga. -

Zrzucił koszulę i usiadł, by rozsznurować buty.

- Ja nie żartuję. To nie wypada.

- Potrzebuję cię, Kelsey.

Jej protest przeszedł w westchnienie. Zobaczyła, jak usztywnione są jego ramiona. Napięcie nachodziło go falami.

- Do licha - powiedziała półgłosem. - Przekręć klucz.

- Już to zrobiłem.

Gdy jego dzinsy wylądowały na podłodze obok jej spodni, wszedł do wanny i usiadł za nią w parującej wodzie. Objął ją w pasie. Wtulił twarz w jej włosy.

- Boże! - Chłonał ich zapach, pławił się w ich jedwabistej miękkości, próbując wyrzucić z siebie furię, gotującą się w nim po spotkaniu z ojcem.

Musiał się od tego uwolnić, choćby na godzinę. I tylko Kelsey mogła mu w tym pomóc. Tylko ona mogła mu pomóc w czymkolwiek.

- Gabe, co się stało?

- Coś. - Przesunął dłonie aż po łagodny łuk jej piersi, muskając mokrymi palcami sutki. - Pozwól mi się tylko dotykać. Pragnę cię tylko dotykać.

Poddała się jego czułości. Nigdy przedtem nie był tak delikatny, tak cierpliwy i uważny. Leżąc pod nią, oddał się wyłącznie temu, o co ją prosił. - Dotykał ją tylko.

Jego palce ślizgały się wzdłuż jej długich ud, muskały jej kolana i łydki, płynęły wyżej i zanurzały się w niej, rozpalając ją do białości.

Drżąca, chciała odwrócić się ku niemu, ale on trzymał ją mocno.

- Jeszcze nie.

Pieścił wargami jej plecy, muskał jej kark.

Poddała się więc całkowicie, pozwoliła, by ją dotykał, gdzie chciał. Pluskała woda, pryskały bąbelki. Po każdym orgazmie, kiedy jej najpierw napięte, później drżące i eksplodujące ciało powracało do rzeczywistości, była pewna, że to ostatni raz.

Tymczasem on powoli, cierpliwie, spokojnie wzniecał w niej ogień na nowo.

I unosiła się, szybowała, niepomna na swoje zdławione jęki. Kiedy na koniec wysunął się spod niej, rozpryskując po posadzce wodę, opadła przez warstwy dymu prosto w płomień.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI**

Ten koń nie miał wygrać. Rich poczęstował się szkocką Cunninghama. W

końcu człowiek nie powinien kurczowo się trzymać jednego gatunku alkoholu. Ani jednego typu kobiet. Ani też jednego rodzaju gier.

Chłopak nigdy tego nie zrozumiał, myślał Rich, wychylając podwójną porcję i nalewając sobie kolejną. Nigdy mu się nie udało niczego nauczyć tego małego sukinsyna.

No cóż, teraz da mu nauczkę. Taką, na jaką zasłużył.

Nie będzie w tym roku Potrójnej Korony. Co to to nie. Już sam tego dopilnuje.

Wykona swoją robotę, a jeśli ta mała osobista zemsta przyniesie mu jakąś dodatkową korzyść, to tym lepiej.

Rozsiadł się w wygodnym fotelu Cunninghama, opierając na podnóżku nowe, błyszczące trzewiki od Gucciego. I uśmiechnął się. To był sposób życia, który mu pasował. Pan na włościach. Piękna wiejska posiadłość, parę picerskich aut w garażu, napalona kobieta w łóżku.

To także zamierzał mieć. Kiedy już zakończy tę sprawę, zabierze całą wygraną do Vegas. O tak, łaskawy panie, znają dobrze w tym mieście Richa Slatera. Będzie szastać pieniędzmi, wynajmie penthouse w hotelu „Caesars”, będzie paradować pod rękę z cyncatą lalczką.

A kiedy zgarnie, ile trzeba, kupi sobie dom. Może właśnie w Nevadzie, w takim luksusowym, strzeżonym osiedlu z palmami i basenem z tyłu. A w razie nagłej potrzeby albo gdy zrobi się cienko w portfelu, wyskoczy do miasta i znowu coś zgarnie.

Zasiedział się, marząc trochę o kole obracającym się po jego myśli, i o kartach, które, niczym opiekuńcze anioły, będą mu spływać do ręki.

- Co ty tu, do cholery, robisz? - W progu stał zdyszany, czerwony Cunningham.

Rozkazujący ton, jakim chciał potraktować intruza, podobny był raczej do pisku.

- Hej, jak się masz Billy, chłopie. Doprowadziłeś do końca negocjacje z partnerami? Chodzą słuchy, że zawarłeś kontrakt hodowlany na okrągły milionik.

- Nie twój interes. - Sprawa była już prawie dograna i nic, nic, przyrzekł sobie Cunningham, nie wejdzie mu w paradę. Ma do spłacenia pożyczkę, a termin na karku.

- Dostałeś swoje pieniądze, Slater. Jesteśmy kwita.

Ściągnąwszy wargi, Rich delektował się ostatnim łykiem szkockiej.

- Co z tobą, Billy? Dlaczego jesteś taki nieuprzejmy?

- Co robisz w moim domu?

- Czy już stary kumpel nie może nawet wpaść z wizytą? - Rich uśmiechnął się szczerze od ucha do ucha. - Ta twoja śliczna grzałeczka do łóżka była znacznie bardziej gościnna, bo to ona mnie tutaj wpuściła. Właśnie wychodziła po zakupy. Do Neiman Marcus.

- Marla - powiedział Cunningham, siląc się na maksymalną powagę - jest moją żoną.

- No nie! - zawołał Rich, klepiąc się w kolano, po czym ruszył po następną szklaneczkę. - Założyłeś sobie kulę z łańcuchem u nogi, wiążąc się z tymi supercyckami, może nie? No cóż, moje gratulacje, Billy, chłopcze. Jesteś większym idiotą, niż można było przypuszczać.

Jeśli teraz nie jest idiotą, pomyślał o sobie Cunningham, to z pewnością nim będzie, jeżeli wda się w dalsze kombinacje z Richem Slaterem. Ale odtąd wszystko będzie absolutnie legalne. Umowa, którą właśnie dobił w swojej stajni, opierała dokładnie na taką sumę, o jakiej wspomniał Rich. A zatem czas, najwyższy czas zerwać stare więzy. Wszystkie więzy.

- Poproszę cię, Rich, żebyś opuścił ten dom. Wyrównaliśmy rachunki, a pokazywanie się razem jest nierozsądne.

- Oprócz nas nie ma tu nikogo. - Rich porozumiewawczo mrugnął i zasiadł z powrotem w fotelu. Dobrze wiedział, co kombinuje Cunningham. Tak, naprawdę wiedział. Billy'emy wydaje się, że stary, dobry Rich nie jest mu już potrzebny. - No dobrze, nie martw się. Nie przyszedłem wyciskać z ciebie pieniędzy. O to możesz być spokojny.

Trochę to uspokoiło Cunninghama.

- Więc po co?

- Po przysługę, tylko tyle. Po prostu po przysługę. Jak między przyjaciółmi i dawnymi wspólnikami. Trzeba się zająć pewnym koniem, Billy. - Uniósł szklanę, przyglądając się z przyjemnością, jak słońce załamuje się na kryształowych szlifach.

- Nie chcę w tym maczać rąk.

- To, co chcesz, a co masz zrobić, to dwie zupełnie różne sprawy. - Podniósł

wzrok znad szklanki. - Zamierzam sprzątnąć konia mojemu synowi, Billy. I ty mi w tym pomożesz.

- Oszalałeś! - Wstrząśnięty Cunningham otarł szybkim ruchem spoconą górną wargę. - Oszalałeś, Puch. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Porozmawiajmy na ten temat - zaproponował Rich i uśmiechnął się.

Starannie spakowane torby podróżne Kelsey i Gabe'a stały przy drzwiach sypialni. O siódmej rano odlatywali do Nowego Jorku. Za sześć godzin, pomyślała Kelsey, patrząc z łóżka na niebo przez świetlik w suficie.

Westchnęła, odwróciła się i przytuliła do Gabe'a. Nieodmiennie jego obecność zdumiewała ją i poruszała. Był jej. Przebiegła palcami, najpierw w dół, potem w górę, po jego torsie. Długim, mocnym, niezłomnym. Dotknęła jego twarzy, która, ilekroć na nią patrzył, wprawiała ją w zachwyt.

To była tylko zewnętrzna powłoka.

Fantastyczna powłoka, zadumała się Kelsey, wodząc koniuszkami palca wzdłuż zarysu jego brody. Ale to, co znajdowało się pod nią, było równie frapujące. Siła, dobroć, odwaga. Mając tak nierówne szanse, pokonał tyle przeszkód. Przewycięzył

dziedzictwo nędzy i podłości, i bez niczyjej pomocy szedł własną drogą.

Właśnie teraz, na honorowym miejscu w stajni, spał jego równie silny i odważny koń. Razem mieli przejść do historii.

- To nie ma sensu - wyszeptała, przyciskając wargi do jego szyi.

- Hmm? - Jego ręka automatycznie opadła na jej płacy. Z rozkoszą poddał się powolnej pieszczocie jej palców.

- Nie mogę spać. Jestem podniecona.

- Doskonale. W czym rzecz? - Zareagował na jej potrzebę natychmiast: przyciągnął ją i jednym ruchem położył na sobie. - Nie krępuj się.

Zaśmiała się cicho i sturlała z niego.

- Nie to miałam na myśli. - Klęcząc pochyliła się nad nim, utkwiała wzrok w jego długiej sylwetce. - Chociaż nie powiem, żeby to nie była kusząca propozycja. - Dała mu głośnego całusa. - Skorzystam z niej po powrocie.

Nim zdążył ją chwycić, już wymknęła się z łóżka.

- Dokąd idziesz?

- Muszę się przejść. Chcę zajrzeć do Double'a. Włożyła na gołe ciało dzinsy, przepłukała wodą usta.

- Kochanie, jest pierwsza w nocy!

- Wiem. - Naciągnęła przez głowę obszerny podkoszulek. - Za osiem godzin z kawałkiem będziemy na Belmont. Kto mógłby spać w takiej sytuacji? - Odrzuciła do tyłu włosy, wkładając buty.

- Pójdę z tobą - zaproponował przez sen.

- Nie trzeba. To nie potrwa długo.

- Pójdę z tobą. - Usiadł na łóżku, zgarnął włosy z czoła.

- Świetnie. Więc mnie złap! - Wypadła z pokoju i zbiegła po schodach.

Była cudowna czerwcową noc. Ciepła, z lekkim wiatrem i rozgwieżdżonym niebem. Kelsey usłyszała pohukiwanie sowy, czuła zapach róż i jaśminu. Światło księżyca oblewało budynki stajenne, nadając im ponadczasową, baśniową aurę.

Pomyślała, że może jest to jej baśń. Jej osobista szczęśliwa opowieść o niezmiennym „żyli długo i szczęśliwie”. To prawda, że tragedia, która ją tutaj sprowadziła, otworzyła jej wrota do przyszłości. Ale bajki obfitują w tragedie. Sierotka i oczarowany nią królewicz, zdrada i poświęcenie, złe zamiary i utracona miłość...

Ale sprawiedliwość zawsze triumfuje, dumiała. Stąd może przyszła jej do głowy ta analogia z własną sytuacją. Jeżeli to jest jej bajka, sprawiedliwość zatriumfuje, bo ona, Kelsey, nie ustanie w poszukiwaniu prawdy.

Spotka się znowu z kapitanem Tiptonem i z Charlesem Rooneyem.

Porozmawia z Gertie, Mosesem, a także z Naomi. Z każdym, kto odegrał choćby najmniejszą rolę w wydarzeniach, które doprowadziły do śmierci Aleca Bradleya.

Przekona matkę, by wyraziła zgodę na rozmowę z jej adwokatami.

Ale na razie, przez cały najbliższy tydzień, będzie tylko Belmont. A ona stanowi jego część. Uniosła radośnie głowę ku niebu. Ma swoje miejsce, swój udział w splendorze i znoju, w pocie i magicznym powabie tej najdoskonalszej chwili wyścigu.

Za tydzień, obiecywała sobie, będzie oglądać Gabe'a i jego konia odbierających ostatni klejnot do Potrójnej Korony.

Stajenny kot przebiegł jej drogę; wydłużony połyskujący kształt, szary pocisk, którego nieoczekiwane pojawienie się sprawiło, iż serce podskoczyło jej do gardła.

Śmiejąc się z siebie, potarła głupie serce, jakby chcąc mu ułatwić powrót na swoje miejsce.

Otwierane drzwi stajni cicho skrzypnęły. Najpierw Kelsey poczuła zapachy.

Koni, skóry, mazideł, gnoju. Nie przekraczając kontaktu, by nikogo nie obudzić, poruszała się po omacku wzdłuż ściany. Wyczuła palcami latarkę; dalej posuwała się już w nikłej wiązce jej światła.

Z następnej przegrody wyjrzało z mroku czworo wielkich chochlikowatych, okrągłych oczu. Kelsey wstrzymała oddech, skierowała tam światło. Rzeczywiście jak w bajce, pomyślała, zadowolona, że Gabe nie widzi, jak podskakuje w panice z powodu pary stajennych kotów.

Uśmiechnęła się na widok polowego łóżka rozstawionego pod drzwiami boks Double'a. Dodatkowy środek bezpieczeństwa. Taki wojownik jak Double zasłużył

sobie na osobistą gwardię przyboczną. Postanowiła nie zakłócać snu stajennego.

Rzuci tylko okiem na konia i po cichutku odejdzie, aby żadnego z nich nie obudzić. Ku jej zdumieniu jednak okazało się, że łóżko jest puste. Kelsey błyskawicznie oświetliła boks. Zobaczyła rozbudzonego, patrzącego na nią trwożliwie Double'a.

Przepraszam cię, mój piękny, ale jestem chyba zdenerwowana. Czy twój towarzysz wyszedł na papierosa, czy za potrzebą? Jesteście już spakowani? -

roześmiała się i sięgnęła do drzwi, by je otworzyć. Nie były zatrzaśnięte - przeświecała w nich kilkucentymetrowa szpara.

- O Boże! - Usłyszała za plecami szmer. Zatoczyła się, ścisnęła kurczowo latarkę niczym tarczę. Krew dudniła jej w uszach, gdy szybkim ruchem przesuwiała snop światła, przeklinając harcujące w nocy koty.

Ale przecież kot, nawet najszybszy i najzwinniejszy, nie otworzyłby zatrzaśniętej przegrody! Nagle do Kelsey dotarło, że musi bronić i osłaniać Double'a. Wślizgnęła się do boks i przywarła do boku konia. Świecąc po narożnikach, miała wrażenie, że napięcie rozsadzi jej głowę.

Tracąc przytomność, czuła osłepiający ból; dotarło do niej także ostre, trwożliwe rżenie konia. Później zapadła cisza.

Kiedy nieznany osobnik opuścił w pośpiechu boks, przerażony, dyszący chrapliwie koń stanął dęba, a jego śmiertelne kopyta zawisły nad leżącym nieruchomo na ziemi ciałem Kelsey.

Gabe znajdował się w połowie drogi między domem a stajnią. Trzymał w ręce dwa kubki z herbatą, starając się jej nie rozlać. Doszedł do wniosku, że pewnie już tej nocy nie zasną, więc ulubiona herbata Kelsey okaże się o tej porze lepszym pomysłem niż kawa. Zwłaszcza jeśli uda mu się ją skłonić, by wróciła do łóżka i rozładowała energię w inny sposób.

W każdym razie nie tracili wiele czasu na sen. Zwłaszcza od czasu, gdy dołączył

do niej w wannie. Zręcznie udało mu się ją przekonać, by przeniosła się do niego na kilka dni. Jako powód beczelnie wykorzystał wyścigi - potrzebuje jej moralnego wsparcia.

Podziałało bezbłędnie. Uśmiechnął się szeroko wypijając łyk herbaty.

Zamierzał kontynuować tę praktykę tak długo, aż powoli, stopniowo przejdzie ona w nawyk. Uznał jednak, że kobieta świeżo po przykrościach rozwodowych musi mieć czas, by się oswoić z myślą o



powtórny zamążpójściu.

Najbardziej zdumiało go, że on sam wcale nie musiał oswajać się z tą myślą. Po prostu pojawiła się i rozkwitła w jego umyśle. Nigdy nie przywiązywał większej wagi do takich tradycyjnych ograniczeń jak małżeństwo, żona, rodzina. Po jego doświadczeniach z przeszłości, ten pomysł mógł się wydawać absurdalny, a nawet zgubny.

Ale nie z Kelsey. Była jego obietnicą, przyszłością. Szansą.

Mogli razem dzielić to wszystko. Spojrzał na zabudowania, ogrodzenia, wzgórza. Razem mogą zrobić więcej.

I z czasem pomogą sobie nawzajem pogrzebać przeszłość.

Przenikliwy, oszalały krzyk konia wdarł się w ciszę. Oba kubki roztrzaskały się w kawałki na zwirowej drodze, gdy Gabe pognął przed siebie. Z imieniem Kelsey na ustach dopadł stajennych drzwi, zapalił światło. W bezgranicznej panice rzucił się między boksy.

Leżała rozciągnięta na słomie, z twarzą do dołu. Cofnięty do narożnika koń rozrywał kopytami ściółkę, przewracał oczami. Świat nagle zawirował. Gabe poczuł, jak krew odpływa mu z mózgu, a nogi stają się ciężkie jak ołów.

Ruszył niczym błyskawica. Oślonił ją własnym ciałem i podniósł. Nawet nie poczuł potężnego kopnięcia w ramię. Jej twarz była trupio blada, ciało zwisało bezwładnie. Nie bacząc na uderzenia konia, przeniósł ją na składane łóżko. Przyłożył

drżące palce do jej szyi, by sprawdzić puls.

- Błagam cię, dziecinko. Błagam.

Wyczuł szybkie bicie serca. Przyciskał palce do tętna, jak gdyby w obawie, że kiedy je odejmie, zgaśnie w niej życie. Zanurzył twarz w jej włosach.

Były w nim panika i ulga, panika i ulga, jak rozkołysane, przyprawiające o zawrót głowy wahadła. Nie ruszał się z miejsca, nie odrywał palców od jej szyi, z twarzą w jej włosach, podtrzymując ją ramieniem.

- Gabe! Chryste Panie, Gabe.

Poderwał go przerażony głos trenera. Uniósł głowę i obserwował jak we śnie ruchy Jamisona, który wszedł do boksu i uspokajał konia.

- Spokojnie chłopcze. Spokojnie. - Jamison ściągnął łeb konia w dół, próbując głosem i gestem przywołać go do porządku. - Opanuj się. - Ale w jego oczach, gdy spojrzał na Gabe'a, było widać wszystko, tylko nie spokój. - Co się tu stało? Gdzie jest Kip? Przecież miał leżeć pod drzwiami boksu.

- Nie mam pojęcia, gdzie się, u licha, podziewa. Ale go znajdę. Jego i pieprzonego nocnego strażnika. - Zmuszając się do wykonania najmniejszego ruchu, Gabe przesunął ręką po Kelsey, by sprawdzić, czy nie ma złamanych kości. Z tyłu głowy wymacał guza. Zatrzymał na nim palce. W dotyku łagodnym jak pocałunek. Po chwili odwrócił się do Jamisona i wybuchnął:

- Wezwij lekarza i gliny. Szybko!

- Ona jest ranna. - Jamison nadal poklepywał rozedrganego konia. - Czy groźnie?

- Nie wiem. Rusz się, do cholery!

Jak gdyby w odpowiedzi, Kelsey poruszyła się pod ręką Gabe'a i jęknęła.

- Kelsey! - Podnosząc ją, musiał się oprzeć o ścianę. - Kelsey, tylko ostrożnie.

Gabe. - Zatrzepotała powiekami, otworzyła oczy, ale wszystko przed nią było zamazane i czuła mdłości. - O Boże! - Zamknęła oczy, z trudem łapiąc powietrze.

- Nie próbuj się jeszcze ruszać.

Nie ruszam się. Uwierz mi. - Skoncentrowała się na oddychaniu. Kiedy zdawało się jej, że jest już lepiej, znowu ostrożnie otworzyła oczy. Tym razem widziała wyraźnie twarz Gabe'a. Jego wzrok jest morderczy, pomyślała jak przez mgłę. I wtedy przypomniała sobie. - Koń. Ktoś był w środku z koniem.

- Wszystko w porządku. Nic mu nie jest. - Gabe zaklął siarczyście, widząc, jak jej twarz marszczy się z bólu. - Zabiorę cię teraz do domu. Zajmę się tobą.

- Ktoś był w środku. Stajenny odszedł. Drzwi były otwarte. Ale nikogo nie dostrzegłam. Czy zrobili mu coś złego?

- Nie. - Gabe spojrzał na Jamisona zamykającego drzwi boksu. - Zadzwoń w parę miejsc. Niech tu przyjdzie porucznik Rossi. I Gunner. Dopilnuj, żeby dokładnie obejrzał konia.

- Wygląda w porządku... - zaczął Jamison, ale już po sekundzie pokiwał

przysłuchując głową. Miał zaczerwienione, przemęczone oczy. - Sprowadzę go tutaj, Gabe. Zanieś ją na górę i zajmij się nią. Ja posiedzę przy koniu.

- Chcę, żeby było przy nim dwóch ludzi. - Gabe uniósł Kelsey tak delikatnie, jakby miał do czynienia z włóknem szklanym. - Nie mniej niż dwóch, rozumiesz?

- Tak.

- I odnajdź Kipa. Muszę z nim pomówić.

- W porządku. - Jamison z ciężkim sercem obserwował Gabe'a wynoszącego Kelsey. Odwrócił się

do konia, potarł zmęczone oczy, a następnie poszedł

zatelefonować.

- Nic mi nie jest, naprawdę. - Ale w drodze ze stajni do domu Kelsey ani razu nie otworzyła oczu. - Boli mnie tylko głowa.

- Spokojnie, musisz odpocząć - powiedział Gabe, starając się nadać głosowi lekkość.

Nadepnął na kawałki potłuczonych kubków. Zacisnął szczęki. Gdyby nie robił

tej cholernej herbaty! Gdyby był razem z nią...

- Jesteś pewny, że Double'owi nic się nie stało? Nie zdążyłam zobaczyć.

- Czy przestaniesz zamartwiać się o tego pieprzonego konia? - warknął, dając upust napięciu. - Czy sądzisz, że ten koń mnie choć trochę teraz obchodzi? Osobiście bym go zabił, gdyby ci zrobił krzywdę.

- Gabe...

- Zamknij się, do jasnej cholery! - Z rozwścieczoną twarzą przecisnął się przez drzwi. Skuliła się, przede wszystkim dlatego, że od krzyku zaczynało jej się kręcić w głowie.

Nie musisz wrzeszczeć. Masz prawo być wytrącony z równowagi, ale...

- Wytrącony z równowagi?! - Położył ją na kanapie w salonie. Tak bardzo drżały mu mięśnie, że nie był pewien, czy zdołają zanieść na górę. - Ty uważasz, że jestem wytrącony z równowagi? A może tylko jestem w złym humorze, ponieważ ktoś uderzył cię bezmyślnie? Taak, to prawda. Jestem wytrącony z równowagi.

By choć trochę, na ułamek sekundy rozładować gotujące się w nim emocje, walnął kilkakrotnie pięścią w ścianę.

Słowa, które Kelsey miała na końcu języka, uwięzły jej w gardle. W milczeniu wodziła wzrokiem od dziury w ścianie do jego poharatanych pięści.

- Tak, sądzę, że jestem wytrącony z równowagi, bo znalazłem cię nieprzytomną w przegrodzie razem z oszalałym ze strachu koniem, który w każdej chwili mógł cię stratować na śmierć.

Nie pomyślała o tym, a wizja, jaką przed nią roztoczył, przyprawiła ją o skurcz żołądka. Zaczęła drżeć.

- Gabe, przestań.

- Byłem troszeczkę wytrącony z równowagi, bo przez chwilę, najdłuższą chwilę w moim życiu, myślałem, że już nie żyjesz.

Polwały się łzy. Jedna, później druga, a potem cały strumień.

- Zdaje się, że „wytrącony z równowagi” nie jest najlepszym określeniem.

- Chryste! - Nagle poczuł potworne zmęczenie. Przetarł twarz rękoma, ale to nie pomogło. Podeszedł więc do niej, przygarnął do siebie i tulił w ramionach, zwiniętą w kłębek na jego kolanach. - Chryste, Kelsey. Straciłem głowę. - Całował ją teraz delikatnie, osuszając policzkiem jej łzy. - Przepraszam. Przyłożę ci lód.

- Nie, nie odchodź. Tylko nie odchodź.

- Zgoda. Zobaczmy, czy nie masz jeszcze jakichś obrażeń.

- Boli mnie jedynie głowa. Musiał stać za mną. Popełniłam głupstwo, wpadając do boksu, ale nie zastanawiałam się. Zobaczyłam najpierw puste łóżko, potem otwarte drzwi do przegrody. Myślałam wyłącznie o tym, czy mu się coś nie stało. Tak jak Pride'owi.

- Następny raz pomyśl o mnie. - Przechylił jej twarz. - Nie przeżyłbym utraty ciebie.

Wzięła go za rękę, przycisnęła do warg jego stłuczone kostki.

- Wydaje mi się, że obojgu nam jest potrzebny lód.

- Taak.

Ale pozostał na miejscu aż do chwili, kiedy do drzwi zapukał Rossi.

Po godzinie Gabe znowu wracał ze stajni. Tym razem w towarzystwie Rossiego.

- Pańska ochrona była nieszczelna, panie Slater.

- Zdaję sobie z tego sprawę. - Na tyle nieszczelna, pomyślał, że ktoś przedostał

się przez nią podczas codziennego obchodzenia terenu.

- Ktoś mógł się dostać z zewnątrz. Ktoś, kto dobrze zna ten teren. Do posiadłości prowadzi tyle dróg i przejść.

Rossi uważnie rozglądał się w ciemnościach. Nie zazdrościł Gabe'owi. Wolał

swoje zadbane mieszkanie, klaustrofobię i miejskie wygody.

- Lubię jasne sytuacje - ciągnął - i lubię wiedzieć, co się dzieje wewnątrz.

Gabe także przyglądał się temu, co się dzieje wewnątrz. Przez całe pięć lat patrzył na ręce każdemu, kogo odziedziczył po Cunninghamie; przyglądał się każdej kobiecie i mężczyźnie, których zatrudniał czy zwalniał.

- Ma pan już listę wszystkich, którzy dla mnie pracują. Może pan z nią robić, co pan chce.

- Taki mam zamiar.

- Postanowiłem, że dwóch mężczyzn będzie czuwać przy koniu bez przerwy.

Sam będę jednym z nich, ale nie chciałbym zostawiać Kelsey dłużej, niż jest to konieczne.

- Nie dziwię się panu - odparł Rossi i zamilkł. Była ładna noc, a raczej to, co jeszcze z niej zostało. Panował miły chłodek. - Nieźle to zniosła. Widać jest wytrzymalsza na ciosy niż pański stajenny.

- Może ma twardszą głowę. - Znaleźli jęczącego i z trudem powracającego do świadomości Kipa w boksie przyległym do boks Double'a. - Nie mieliśmy problemów z odesłaniem go do szpitala.

- Ona szybko się pozbiera. - Ku swemu zdziwieniu Rossi rozgniół czubkiem buta skorupę porcelany.

- Niosłem właśnie dwie herbaty, kiedy usłyszałem konia - wyjaśnił Gabe. -

Musiałem je upuścić.

- Mmm. Jak już powiedziałem, szybko przyjdzie do siebie. Widzę, że oszczędza pan prawe ramię.

Gabe odruchowo wyprostował rękę.

- To nic takiego. Koń mnie szarpnął. - Gdyby to nie było jego ramię, mogłaby to być Kelsey. Jej głowa, twarz. Poczul skurcz w żołądku. - Przeprowadził pan dokładny wywiad na mój temat, prawda, Rossi?

- Zwykła procedura.

- Zatem wie pan co nieco o moim ojcu.

- Wystarczająco dużo, by przewidzieć, że nie ma szans na zdobycie tytułu Tatusia Roku.

- Jest w mieście. Już od wielu tygodni - mówił Gabe, nie zmieniając modulacji głosu. Równie dobrze mógłby w ten sposób rozmawiać o pogodzie. - Pierwsze kroki skierował właśnie tutaj. Przepędziłem go, ale wcześniej dałem mu trochę pieniędzy.

Niezupełnie jednak tyle, ile chciał, co mu się na pewno nie spodobało. Dobrze się orientuje w terenie.

- Sądzi pan, że ojciec mógłby próbować zaszkodzić panu w ten sposób?

- Nienawidzi mnie - odparł zwyczajnie Gabe. - Szkodziłby mi w każdy sposób, gdyby tylko mógł odnieść z tego jakąś korzyść. Mam wrażenie, że widziałem go na Churchill Downs podczas derby.

Widział go również jeden ze stajennych z Three Willows. Parę dni temu wysledziłem go w Laurel.

Zaprzeczył temu. - Gabe sięgnął po cygaro, ale go nie znalazł. - Kłamał.

Odgadując intencję swego rozmówcy, Rossi wyjął paczkę papierosów i poczęstował go.

- Sprawdzę to.

- Bardzo proszę, poruczniku. - Gabe utkwiał nieruchomy wzrok w płomieniu zapalniczki. - I niech pan nie zapomina, z kim pan będzie miał do czynienia. Chodzą słuchy, że znał Lipsky'ego. Puch Slater to człowiek, który lubi oszukiwać. Bawi go wygrywanie w ten sposób - a wygrywał często. Lubi też szastać pieniędzmi.

- Postaram się dowiedzieć, skąd je wziął.

- Pamiętam z okresu, kiedy byłem szczeniakiem, inny wyścig. Koń z tej farmy biegł przeciwko koniowi z Three Willows. - Gabe zaciągnął się i patrzył, jak wypuszczony dym faluje na wietrze. - Koń z Three Willows potknął się i uszkodził

sobie nogę. Trzeba go było dobić. Po tej gonitwie ojciec także zgarnął sporo pieniędzy.

- To musiało być w Lexington. Wiosna siedemdziesiąty trzeci rok.

Gabe popatrzył na Rossiego przez mgiełkę dymu.

- Zgadza się. Dokładnie się zgadza.

- Dziwię się, że nie wspomniał pan o tym wcześniej.

- Przedtem nie skrzywdził Kelsey.

- Przepraszam. - Energicznym krokiem podszedł do nich Matt Gunner. Miał

jeszcze posklejane od snu włosy. - Koń jest w porządku, Gabe.

- Doskonale. Dziękuję, że przyszedłeś.

- Nie ma sprawy. - Matt rzucił okiem w stronę domu. - A Kelsey?

- Odpoczywa. Lekarz radził szpital, ale się zaparła.

- Jeśli można, chciałbym ją zobaczyć.

- Oczywiście - powiedział Gabe, po czym zwrócił się ponownie do Rossiego: -

Lepiej by było, gdyby go pan znalazł, zanim ja to zrobię.

- Nie ma pan żadnego dowodu, że pański ojciec wplątany jest w którąkolwiek z tych spraw.

Gabe rzucił na ziemię papierosa i go rozdeptał.

- Nie potrzebuję niczego udowadniać.

Kelsey usłyszała kroki Gabe'a na schodach i bardzo ostrożnie zajęła pozycję siedzącą. Pigułki, które dostała od lekarza, znacznie jej pomogły, ale na razie nie chciała jeszcze ryzykować i wykonywać zbyt gwałtownych ruchów.

- A Double? - zapytała w minutę po wejściu Gabe'a do pokoju.

- Matt nie miał przy nim nic do roboty. Pogratulował mu zdrowia. - A sam Gabe osobiście oczyścił worek konia i zadał mu obroku.

Odetchnęła.

- Dzięki Bogu. Już najrozmaitsze pomysły przychodziły mi do głowy.

- Powinnaś odpoczywać. - Usiadł na łóżku ostrożnie, by nie poruszyć materacem. - Znowu masz sińce pod oczami. - Delikatnie przesunął po nich kciukiem.

- Dlaczego zawsze wydajesz mi się taka seksowna?

- Samcza próżność marząca o uległości. - Uśmiechnęła się. - Chodź do łóżka.

Może jeszcze uda nam się złapać parę godzin snu przed wyjazdem.

- Chcę, żebyś tutaj została, Kelsey. To znaczy nie tutaj - poprawił się - ale w Three Willows. Jesteś za słaba na taką podróż. O wiele zdrowiej i bezpieczniej będzie, jeżeli zostaniesz z Gertie. Rossi może załatwić paru facetów, którzy będą cię pilnowali.

- Gabe. - Ujęła jego twarz, dotknęła wargami jego ust, a następnie powiedziała z czułością: - Za żadne skarby świata.

- Wysłuchaj mnie.

- Mogę - zgodziła się. - Mogę wysłuchać ciebie, a ty możesz wysłuchać mnie i mogę się założyć, że do rana będziemy tak odbijali tę Piłeczkę. A ja i tak pojedę. Lepiej więc umówmy się, że całą dyskusję i sprzeczkę mamy już za sobą.

- Potrafisz być samolubna. - Wstał i zaczął się rozbierać. - Nie chcesz opuścić gonitwy i nic cię nie obchodzi, że przez ciebie nie będę w stanie się skoncentrować ani cieszyć się wyścigiem. Powoli przesunęła językiem po zębach.

- To jest dobry argument. Zwłaszcza dla mnie. Wytykanie mi wad, żeby obudzić we mnie poczucie winy, zdaje na ogół egzamin, ale nie tym razem. Będiesz się o mnie zamartwiać bez względu na miejsce, w którym się znajdę. A tam zamierzam być dla ciebie, Gabe. Za wszelką cenę.

- Uparty, cholerny osioł.

- To też nie poskutkuje. Choć obrzucanie się wyzwiskami stanowi dopuszczalny element uczciwej walki. Ja z kolei mogłabym cię nazwać nadopiekuńczym osłem, ale powstrzymam się, ponieważ jestem damą. Więc... - Aż jęknęła. - O Boże, co sobie zrobiłeś w plecy?

Wykręcił głowę, ale dostrzegł zaledwie fragmencik sinego, rozległego stłuczenia na łopatce.

- Trochę oberwałem.

- Kiedy? Przedtem tego nie było... - Zamilkła, zdała sobie bowiem sprawę, gdzie i kiedy to się stało. - Teraz jednak muszę cię nazwać osłem. Cóż to za szpanerskie bohaterstwo? Przecież dopiero co był tu lekarz. Mógł cię opatrzyć.

- Ani to bohaterstwo, ani szpanerskie, ani nic w tym guście. Zwykle roztargnienie. - Ostrożnie pokręcił ramieniem, bo rana była głęboka i pulsująca. -

Wystarczy zwykła maść.

- Bałwan.

Zamierzał się odgryźć, ale westchnął tylko i się poddał.

- Ja ciebie także kocham. - Wślizgnął się do łóżka i przygarnął ją do siebie.

- Co robisz?

- Chcę się trochę zdrzemnąć. Co dwie godziny mam sprawdzać, jak się czujesz.

Akurat tyle czasu zostało nam na sen.

- Maść.

- Później. Teraz chcę cię przytulić.

Zadowolona z takiego obrotu sprawy, odgarnęła mu włosy z czoła.

- Gabe, jadę z tobą.

- Wiem. Śpij już.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI**

Nie pozwolono jej pracować. Przez pierwsze dwa dni pobytu w Nowym Jorku Kelsey była kompletnie odcięta od toru wyścigowego, zdominowana i oskrzydłona przez wszystkich, począwszy od Gabe'a aż po najniższego rangą chłopca stajennego.

Zdawało się, że cały jej udział w wyprawie ograniczy się do zwycięskiej gonitwy.

Mając tyle wolnego czasu, który przeważnie spędzała sama, doszła do wniosku, że albo oszaleje,



albo potraktuje tę przymusową bezczynność jako krótkie wakacje.

To drugie wyjście wydało jej się zdrowsze.

Korzystała więc z udogodnień hotelowych; co rano pływała, by utrzymać w formie rozwinięte w ciągu ostatnich paru miesięcy mięśnie, robiła zakupy, zaczęła także uczęszczać do klubu odnowy biologicznej. Ogólnie rzecz biorąc, udawało jej się zwalczać nudę.

Co więcej, w wieczór poprzedzający Belmont, Gabe postanowił wydać przyjęcie. W tym celu wynajął hotelową salę balową. Dla Kelsey była to okazja, by zająć się szczegółami, zaplanować dekorację sali i omówić z dostawcą hotelowym odpowiednie menu. Kiedy Gabe rzucił okiem na kilometrową listę spraw do załatwienia, zastosował strusią politykę, w pełni zdając się na Kelsey i zostawiając jej wolną rękę.

O niczym innym bardziej nie marzyła.

Spędziła długie godziny na rozmowach i konsultacjach z kierownikiem hotelu, konsjerżem, szefem kuchni. Ponieważ Gabe nie określił górnej granicy budżetu, stwierdziła, że nie ma takiej rzeczy, której nie można by zrobić. Następnie zaczęła urabiać personel.

- Postąpiłbym rozsądniej, wręczając ci widły i pozwalając czyścić boksy przez cały ten tydzień. - Gabe złapał na prędcie filiżankę kawy i spojrzał na Kelsey wnikliwie studiującą ostateczną wersję menu na przyjęcie. - Powinnaś więcej odpoczywać.

- Nie denerwuj mnie. Sam to wszystko rozpętałeś.

- Pomyślałem, że przyjęcie to dobry pomysł. - Stojąc za nią, zaczął rozcierać jej ramiona, gdy tak ślęczała nad swoimi papierami.

- Trochę jedzenia, muzyki, bufet. Nie zdawałem sobie sprawy, że przystępuję do wysokobudżetowej produkcji filmowej. - Zmrużył oczy. - De to będzie w przeliczeniu na szampan?

- Zjeżdżaj! - Wzruszyła masowanymi przez niego ramionami. - Ty i tak nie pijesz. Dałeś mi *carte blanche*, Slater, a ja z tego skorzystałam. Jedyne, co masz zrobić, to zjawić się o ósmej we fraku.

- To brzmi jak rozkaz kapitana Bligha z *Bounty* - mruknął.

- A ty zachowujesz się teraz jak dostawca towaru. Idź już na to spotkanie z fotoreporterami.

- Jestem chory na sam ich widok.

Jesteś po prostu zazdrosny, że zamiast twojej fotografii zamieścili na okładce

„Sports Illustrated” zdjęcie Double'a.

- Za to mam rozkładówkę w „People” - przypomniał jej i zaczął skubać jej prawe ucho. - Co za rozkoszne miejsce - szepnął, przerzucając się na płatek jej lewego ucha. - Jeżeli mnie poniesie,

spóźnię się na wywiad.

- Przestań! Za piętnaście minut mam spotkanie.

- Szybko się uwinę.

- Mówię poważnie. - Z trudem łapiąc oddech, Kelsey odsunęła głowę i pośpiesznie wstała z krzesła.

- Idę do fryzjera.

Uśmiechnął się szeroko. Teraz jej włosy wysypywały się w nieładzie spod kolorowej elastycznej opaski. To on je zmierzwił.

- Lubię cię w takiej właśnie fryzurze.

- Nie zbliżaj się. Slater. Mam wypełniony dzień minuta po minucie i nie mogę tracić czasu na uganianie się z tobą dookoła biurka.

- Zmień plan.

- Dla ciebie to może jest tylko zwyczajne przyjęcie. - Choć zdawała sobie sprawę ze śmieszności sytuacji, dała nura pod biurko i znalazła się po jego drugiej stronie. -

Ale przygotowania do niego zajęły mi cały tydzień. Zaangażowałam się emocjonalnie.

- Ja również. - Położył dłonie na biurku i pochylił się ku niej. - Chodź tu.

- Nie ma mowy.

- Mam coś dla ciebie.

- Och, przestań - odparła, nie spuszczać go z oczu. - To kiepski żart.

Wyprostował się, zawadiacko uniósł brew.

- To prezent. - Wyjął z kieszeni małe aksamitne pudełko. - A teraz powiedz: nie wstyd ci?

Prezent? - Pomimo krótkiego przeblysku radości nadal uważnie śledziła jego ruchy. - Czy to podstęp?

Otwórz. Zamierzałem ofiarować ci to po gonitwie, ale pomyślałem, że przyniesie ci szczęście już teraz.

Pokusa była silniejsza. Kelsey obeszła biurko, wzięła od Gabe'a pudełeczko i pocałowała go w usta.

- Dziękuję.

- Jeszcze nie otworzyłaś.

- Najpierw dziękuję za pamięć.

Gdy podniosła wieczko, zapanował jej oddech. Na czarnym aksamitnym tle iskrzył

się koń, utrwalony na zawsze w półgalopie, unoszący się w powietrzu w całej swej okazałości. Broszka, wykonana z nefrytu, była tak misternie, tak delikatnie wyrzeźbiona, że dotykając jej, Kelsey miała nieomal wrażenie, iż wyczuwa pod palcami linię kości i płynność mięśni. Brylantowe oko połyskiwało triumfalnie.

- To piękne. To doskonałe. - Podniosła na Gabe'a wzrok. - Tak jak ty.

- Tym się kierowałem. - Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. - Jestem do twojej dyspozycji - powiedział przywierając do niej wargami.

Spóźniła się oczywiście. Wpadła do salonu piękności, bąkając jakieś przeprosiny. Z niepokojem zerknęła na zegarek, podczas gdy manikiurzystka próbowała doprowadzić do porządku jej zaniedbane paznokcie.

- Skarbie, a może byśmy dokleili tipsy?

- Nie. Od razu je złamię. - Kelsey miała włosy nakręcone na ogromne lokówki, jej twarz pokrywała warstwa jasnozielonego kremu, na który dała się namówić, a czas kurczył się w oczach. - Proszę tylko nadać im kształt i pokryć bezbarwnym lakierem.

- Może coś bardziej wystrzałowego?

Dziewczyna rzuciła okiem na długie krwistoczerwone paznokcie manikiurzystki.

- Nie, wolę coś subtelniejszego.

Potakując głową, kobieta zanurzyła jej prawą rękę w ciepłej wodzie.

- Jak wolisz, złotko.

- Czy to przypadkiem nie Kelsey? - uśmiechała się do niej kobieta z sąsiedniego fotela. - Jestem Janet Gardner. Z Overlook Farms, w Kentucky.

- Ach tak, pani Gardner. - Kelsey postanowiła nie zdradzać się, że nie poznaje kobiety, której ogniste włosy pokrywał błyszczący niebieski krem, a twarz ukryta była pod warstwą piekielnie różowego tynku. - Bardzo mi miło.

- Poradzili mi lifting bez użycia skalpela - roześmiała się Janet, poklepując palcem schnącą różową maseczkę. - Zobaczymy, co z tego wyniknie. A co ty sobie aplikujesz?

- Och, coś dla relaksu. Podobno wyglądam na zagonioną.

Kto nie jest zagoniony przed Belmont? Mój Hank i ja będziemy spać po powrocie do domu bez przerwy przez dwa tygodnie. Już to sobie obiecaliśmy.

Kelsey przypomniawsza sobie teraz Hanka - zylatego męzczyznę, z którym tańczyła poprzedniego wieczoru. Miał pobrużdżone, opalone policzki, cienki jak pędzel wąsik i głos słodki niczym melasa. Koniecznie chciał ją nauczyć tańczyć tango.

- On... kobiety płaciły mu za seks?

Janet ponownie zachichotała, tym razem z lekkim zakłopotaniem - wolała mniej dosadne eufemizmy.

- Nie wiem, czy w grę wchodziła forsa, w każdym razie było powszechnie wiadomo, że można go kupić. Do towarzystwa. Jest wiele samotnych kobiet, nawet na wyścigach. Niezamężnych, rozwiedzionych, między jednym a drugim małżeństwem.

Alec nadawał się do wypełnienia luki. Pokazanie się z nim na przyjęciu czy wyścigach robiło wrażenie. Jak powiedziałam, był naprawdę czarujący. Grał też dużo na wyścigach. A obstawiał wysoko.

Janet się uśmiechnęła; różowe płatki popękały na jej twarzy i posypały się na czarno - złoty ochronny fartuszek niczym kolorowy łupież.

- Oczywiście nikt nie uważał, że między nim a twoją mamą istnieje jakaś finansowa zależność, kochanie. Taka kobieta jak Naomi mogła mieć każdego męzczyznę, jakiego zapragnęła. Nadal może. Alec wydawał się całkowicie nią zauroczony. Co jednak nie przeszkadzało mu romansować na boku. Naomi nie należała do osób, które przymykają oczy na takie rzeczy. Pokłócili się ostro na ten temat, po czym z nim zerwała.

Tym razem poruszenie Janet było niemal autentyczne.

- To znaczy... uważam...

- Była pani przy tym - naciskała Kelsey, nie licząc się z ewentualnymi konsekwencjami. - W noc jego śmierci?

- Tak. Byłam. - Janet zwilżyła wargi, zaskoczona i nieco wytrącona z równowagi tak bez ogródek postawionym pytaniem. - Przebywaliśmy z Hankiem w Wirginii w sprawach służbowych. Na przyjęciu w Country Clubie zebrano się trochę osób związanych z wyścigami. No proszę, zobacz jak ładnie! - Podniosła do góry pomalowane palce. - Ale wracając do przyjęcia, nie mogę się doczekać dzisiejszego wieczoru. Wszyscy są pod wrażeniem twojego przystojnego młodego człowieka.

Kłócili się. - Nie zwracając uwagi na sprzeciw manikiurzystki, Kelsey wyrwała rękę i chwyciła Janet za ramię. - Tej nocy kłócili się?

- Tak, kochanie - odparła uprzejmie Janet, zatroskana, czy nie posunęła się przypadkiem za daleko w swojej paplaninie. - Byliśmy na ten temat przesłuchiwanie po... wiadomych ci kłopotach. Kłócili się dosyć głośno. Naomi powiedziała mu bez ogródek, że ich związek jest skończony. Oboje wypili może trochę więcej, niż nakazuje rozsądek. Padały różne słowa. Naomi chlusnęła mu w twarz szampanem i wyszła.

Wtedy widziałam ją po raz ostatni, zanim po wielu latach ujrzałam ponownie.

W jaskrawej masce klowna oczy Janet zmiękły.

- Byłam dumna z Naomi. Nadal jestem. Ten człowiek nie był tego wart kochanie. Nie był wart jednej minuty jej życia. Uważam, że prawdziwa zbrodnia polega na tym, iż Naomi uświadomiła to sobie, kiedy już było za późno.

Przez resztę popołudnia Kelsey starała się utrwalić w pamięci całą rozmowę.

Chciała ją ponownie przeżyć, przeanalizować każde słowo z osobna. To było ważne.

Tak ważne jak wiadomość, że Alec Bradley był do wynajęcia.

Ale chociaż zmieniało to układankę, której fragmenty tak bardzo chciała pozbierać w całość, miała w tej chwili na głowie zbyt wiele innych absorbujących spraw.

Poza tym - niezależnie od nastroju - nie chciała psuć uroczystości Gabe'owi ani przyjemności matce.

Ubrała się wcześniej i zostawiła Gabe'owi kartkę, że oczekuje go w sali balowej punktualnie o ósmej.

Musiała jeszcze dopilnować ostatnich przygotowań. Wszystko musi być dopięte na ostatni guzik. Kiedy wreszcie stanęła pośrodku ogromnej, oświetlonej lichtarzami sali, wszystko faktycznie było bez zarzutu.

Dominowały kolory Longshot - czerwień i czerń. W nakryciu stołu, w świecach i kwiatkach. Aby uhonorować trzy klejnoty Potrójnej Korony, stoły udekorowano ogromnymi bukietami czerwonych róż, czarno cętkowanych białych lilii i białych goździków. W licznych punktach sali rozmieszczono kosze z takimi samymi kwiatami.

Ubrani na czarno kelnerzy ustawili się rzędem do przeglądu, a tymczasem personel odpowiedzialny za jedzenie dokonywał ostatniego retuszu na trzech olbrzymich stołach.

Ale wyłącznym pomysłem Kelsey, jej głównym daniem i największą troską, był hazard.

Można było kupić ogromnych rozmiarów żetony, a cały zysk przeznaczony był

na cele charytatywne. Żeby wszystko odbywało się legalnie, Kelsey musiała pokonać wiele formalności, co kosztowało ją kilka dni bieganiny. Żrebaczek Naomi pokonał

jednak na mecie wszelkie przeszkody.

Stała teraz i przyglądała się kołom ruletek, stołom do gry w kości i blackjacka, wiedząc, że przygotowała Gabe'owi najwspanialsze przyjęcie sezonu. I takie, które pasować będzie do niego jak

druga skóra.

Kiedy orkiestra zagrała na próbę kilka dźwięków, podeszła i z rozmachem zakręciła kołem.

- Czerwone, proszę.

Odwróciła się ze śmiechem do Gabe'a.

- Przybywasz w samą porę.

- Jesteś piękna. - Nie podszedł do niej. Jeszcze nie. Musiał się najpierw napatrzeć. Ubrana była w lśniąca biel, która zakrywała ją od linii piersi po kostki. Na sercu przypięła prezent od niego. Zwichrzone loki, zebrane do tyłu i spięte błyszczącymi spinkami, opadały na plecy. Z uszu zwisały brylantowe i rubinowe krople. - Niewiarygodnie piękna.

- Twoje kolory. - Włożyła dłonie w jego ręce. - Co o tym sądzisz?

Sądzę, że mnie zadziwiasz. - Trzymając ją nadal na wyciągnięcie ręki, badawczo rozglądał się po sali. - Coś ty tu urządziła?

- Nie licząc faktu, że każdy kupiec i urzędnik miejski w promieniu osiemdziesięciu kilometrów omal przeze mnie nie zwariował, urządziłam ci na tę noc kasyno, Slater.

- A zysk?

W Dystrykcie Kolumbii znajduje się schronisko dla wykorzystywanych kobiet i dzieci. Zostanie tam przekazany. Pociemniały mu oczy. Pochylił się do jej ręki.

- Zawstydzasz mnie, Kelsey.

- Kocham cię, Gabe. Wzruszony podniósł jej dłonie do ust.

- Jak zakręciłaś dla mnie kołem?

Najszczęśliwiej w twoim życiu. - Spojrzała w dół. Uśmiechnęła się na widok tkwiącej w otworze srebrnej kuli. - Czerwone - powiedziała półgłosem. - Znowu wygrywasz. Ale pamiętaj, Gabe, że to nie jest tylko dla ciebie.

- Nie?

- Nie. - Przysunęła się odrobinę bliżej, założyła mu ręce na szyję. - Chcę patrzeć dzisiaj, jak grasz. Czuję, że to mnie bardzo podnieci.

I tak się stało. Kiedy po paru godzinach sala roiała się od ludzi, bufet był

opustoszały, a na parkiecie tłoczno od tańczących par, Kelsey stała za Gabe'em i badawczo przyglądała się jego technice.

Zdawało jej się, że rozumiała blackjacka. Prosta gra w karty, polegająca na szczęściu i odrobinie logiki - na tym, by zebrać lub zbliżyć się maksymalnie do dwudziestu jeden punktów. Przekroczywszy granicę, przegrywa się. Ale w żaden sposób Kelsey nie mogła zrozumieć, dlaczego Gabe nie dobiera karty i wygrywa z nędznymi szesnastoma punktami w ręce, a kiedy indziej dobiera i wygrywa z piętnastoma.

- To są tylko liczby - wyjaśnił jej. - Tylko liczby, kochanie. Też tak myślała.

Dopóki nie zobaczyła go w grze.

- Nie ma sposobu, żeby zapamiętać wszystkie kombinacje liczb. Uśmiechnął

się, lekko uderzył po kartach i dobierając czwórkę do swych siedemnastu punktów, wygrał oczko.

- Trzymaj. - Podsunął jej stertę czerwonych i białych żetonów. - Pograj chwilę.

- W porządku. Zagram. - Zajęła jego miejsce. Spojrzała na przysiadającą się Naomi.

- Właśnie przegrałam w kości. Popróbuje tutaj z dziesięć minut, zanim podręcę Mosesa, żeby ze mną zatańczył. - Wsunęła kosmyk złotych włosów za ucho, założyła nogę na nogę. Po postawieniu kilku żetonów rozejrzała się wokół. - Niezłe przyjęcie.

- Twoja córka wprawia mnie w zdumienie.

- Wiem. - Naomi zmarszczyła czoło, przyglądając się swoim kartom. -

Dobieram - powiedziała, po czym sapnęła poirytowana. - Klapa.

- Wszystko służy dobrej sprawie. Przegrana powinna cieszyć twoje serce. -

Zagryzając wargi, Kelsey przyglądała się swojej ósemce i piątce. - Dobra, poproszę jedną. Ósemka! Jeszcze jedna ósemka! Wygrałam! - Zaśmiewała się radośnie, zgarniając żetony, dopóki nie pochwyciła wzroku matki. - No cóż, wygrywanie również rozgrzewa serce. Gabe, zatańcz z mamą, a ja zobaczę, ile wygranych przez ciebie pieniędzy uda mi się przegrać.

- Czyż mógłbym się oprzeć takiej propozycji? - Wyciągnął rękę i ujął dłoń Naomi. - Wyglądasz dzisiaj wspaniale - skomplementował ją, gdy wstępowali na parkiet.

Skąd możesz wiedzieć? Przecież nie spuszczasz oczu z Kelsey.

- Chyba nie wymyślę na to zręcznej odpowiedzi - odezwał się po chwili.

Odchyliła głowę. Przyjrzała mu się uważnie.

- Byłabym rozczarowana, gdybyś wymyślił. Uwielbiam patrzeć na jej twarz i obserwować wszystkie odcienie jej uczuć do ciebie. Cieszy mnie także świadomość, że uczucie do niej sprawia, iż gubisz krok. W jakiś dziwny sposób pasujecie do siebie.

Uzupełniacie się nawzajem.

- Ale pomimo to się martwisz.

Nie tym, co jest między wami. Wszystkim innym. - Odwróciła głowę w kierunku stołu, przy którym roześmiana Kelsey przesuwiała na środek kolejne żetony.

- Mam wrażenie, że odsunęła od siebie przeżycia tamtej nocy. Ale mnie to przeraża.

- To nie powinno się było zdarzyć. Powiniennem wtedy być przy niej. - Gabe miał zimny, nieprzenikniony wzrok.

- Tak, to nie powinno się było zdarzyć - przyznała Naomi, nie spuszczać oczu z Kelsey. - Myślę, że powinna zostać w Three Willows... albo nawet wrócić do ojca do czasu wyjaśnienia całej sprawy.

Gabe też tak uważał, ale od słuchania tego nie zrobiło mu się lżej.

- Gdyby się nawet zgodziła, nie wiemy, jak długo potrwa wyjaśnienie czegokolwiek.

- Czegokolwiek?

Zaklął w duszy. Kolejny fałszywy krok. O ile mu wiadomo, Naomi była na bieżąco tylko w sprawach koni.

- Kto przedał się przez moją ochronę i co zamierzał zrobić? A z drugiej strony niewykluczone, że po jutrzejszej gonitwie skończą się wszystkie kłopoty.

- Liczę na to. Nie zniosłabym, gdyby coś jej się stało, Gabe. Obrzydzeniem napawa mnie myśl, że zetknęła się ze szpetotą... z nikczemną stroną biznesu, która, zdaniem Milicent stanowi nieodłączną część i stały element wyścigów. - Naomi odrzuciła do tyłu głowę. W jej oczach pojawiły się błyski. - Przecież tak nie jest, w każdym razie nie u nas. Ale gdy coś takiego się zdarzy, ludzie dostrzegają tylko to.

- Przejmujesz się opinią Milicent Byden?

- Nie, do diabła! - odezwał się stary odruch samoobrony. - Po prostu nie chcę, by miała rację. I niech mnie krew zaleje, jeżeli dam jej kolejną okazję obrzucenia mnie błotem. Dlatego pragnę, żeby to było już za nami. Ze względu na Kelsey, na ciebie i na mnie.

Kiedy Kelsey się obudziła, w pokoju było chłodno i ciemno. Przeciągnęła się leniwie. Do jej świadomości dotarły obrazy z ubiegłej nocy. Barwy i światło, głosy, muzyka. Podniecający szum koła, błyskawiczne rzucanie kości. Przegrała połowę wygranej Gabe'a, ale on odbił to sobie w grze w kości.

Najlepiej ze wszystkiego zapamiętała jego spojrzenie: pociemniałe, groźne i nieprzeniknione, kiedy śledził obrót koła i rozdawanie kart. A także sposób, w jaki przenosił je nagle na nią, sprawiając, że zapierało jej dech w piersiach.



A gdy znaleźli się sami, gdy było już po przyjęciu, gdy umilkł zgiełk i rozeszli się ludzie, położył ją na łóżko. Jego zwinne ręce błędziły po jej ciele, wydobywały z niej szepty i jęki, coraz głębiej i głębiej wystawiając na próbę jej pożądanie.

Nigdy nie podejrzewała, że pozwoli mu robić z nią rzeczy, które robił, a tym bardziej że będzie się ich domagała.

Teraz, budząc się, czuła swoje ciało - miękkie i kruche, rozbite i dopieszczane. Z

zamkniętymi oczami wyciągnęła ku niemu spragnione ręce. Na wpół przytomna uniosła się na łóżku... i stwierdziła, że jest w nim sama.

Nie wymknie się tak łatwo, powiedziała do siebie. Wciąż na wpół drzemiąc, wyczołgała się z łóżka. Wtoczyła się do salonu, zawiązując po drodze szlafrok.

Skrzywiła się, gdy oślepiło ją przenikające przez zasłony światło. Osłaniając oczy, oparła się o futrynę drzwi.

- Boże, która to godzina?

- Trochę po dziesiątej. - Naomi nalewała filiżankę kawy. - Idealnie wycelowałaś. Właśnie przyniesiono śniadanie.

- Śniadanie? Dziesiąta? - Kelsey spojrzała, zakrywając oczy. - A Gabe?

- Od świtu jest na torze.

- Ale... - W pełni już rozbudzona, opuściła ręce. - A to drań! Obiecał, że nie wyjdzie dziś rano beze mnie. Właśnie dzisiaj rano.

- Mmm. - Naomi nalala jej filiżankę kawy. - Z tego, co mówił, wynikało, że ofuknęłaś go z wściekłością i kazałaś mu się wynosić, kiedy zasugerował, żeby wstać.

- Nic podobnego. - Kelsey wypła łyk kawy. - Naprawdę? Chyba to zmyślił.

- Chyba chciał, żebyś jeszcze trochę odpoczęła.

- Jest moim kochankiem, a nie stróżem. - Zaczerwieniła się po tych słowach.

Jakkolwiek nietypowy był ich związek, Naomi pozostawała jej matką. Chrząknęła i usiadła. - Co tutaj robisz? Powinnaś być również na torze.

- To nie jest nasz dystans. Dwa tysiące czterysta metrów. - Wzruszyła ramionami i posmarowała trójkątną grzankę dżemem z czarnych porzeczek. -

Będziemy kibicować High Water. Mam nadzieję, że utrzyma swoją pozycję. Zdaje się, że szczęście nam sprzyja, ponieważ koń z Arkansas nadwerżył sobie nogę.

- Nadwerężył? Kiedy? Co się stało?

- Och, okulał podczas wczorajszego treningu. Na przednią nogę. Chyba zapomniałam ci o tym powiedzieć.

Wydymając wargi, Kelsey ugryzła kawałek bekonu.

- Czuję się, jakbym oglądała przyjęcie z zewnątrz. Patrzyła z nosem przyklejonym do szyby, jak całe towarzystwo zajada tort.

- Przykro mi, kochanie. Musisz być dla nas wyrozumiała. Bardzo się o ciebie martwimy. Kiedy pomyślę, co się mogło zdarzyć... - Westchnęła, nałożyła więcej dżemu. - Dobrze, już dobrze, nie będę do tego wracać. Znam ten wyraz twojej twarzy.

Widywałam go dość często, przeglądając się w lustrze i życząc sobie, żeby wszyscy się ode mnie odpieprzyli.

- Nie odpieprzyli się - Kelsey się uśmiechnęła - ale przestali się o mnie martwić.

To kwestia obrony własnego terytorium, nawet przed przybywającą znikąd matką. A więc zjedz śniadanie. Otrzymałam polecenie, żeby tego dopilnować.

- Znowu Gabe!

- Pewnie już wiesz, że on cię kocha.

- Tak, wiem.

- A czy wiesz, że oszalał na twoim punkcie?

- Tak sądzisz? - Na twarzy Kelsey pojawił się uśmiech.

- Nie udawaj, dobrze o tym wiesz. A swoją drogą, czy może być coś piękniejszego, bardziej poruszającego niż tak zaangażowany, zakochany po uszy mężczyzna?

- To prawda. A jeszcze piękniejsze i bardziej poruszające jest aż tak się zakochać. Wiem, że takie zaangażowanie w przypadku kogoś świeżo po rozwodzie może się wydać zbyt szybkie...

- Kelsey, nie tylko nie zamierzam cię krytykować, ale ośmielę się zauważyć, że od dwóch lat byłaś z mężem w separacji.

- Niemniej... - Kelsey potrząsnęła głową. - Nie daje mi to spokoju, wydaje mi się nie w porządku. A zarazem jest mi z tym dobrze. - Przeciągała śniadanie w nadziei, że nadeszła właściwa chwila. - A ty, kiedy byłaś w separacji z tatusiem, czy kochałaś go jeszcze? Przepraszam, że o to pytam. - Podniosła oczy. - Usłyszałam ostatnio coś, co dało mi do myślenia. Jeśli wolisz nie odpowiadać, nie będę miała żalu.

- Już ci kiedyś mówiłam, że o cokolwiek zapytasz, postaram się odpowiedzieć. -

Ale teraz nie było to łatwe. Dotykało bowiem starej, prawie już zabliznionej rany. -

Tak, nadal go kochałam. Jeszcze długo, długo potem, gdy to już nie miało najmniejszego znaczenia. A ponieważ go kochałam, byłam na niego wściekła, na siebie także, i gotowa udowodnić, że mnie to nic nie obchodzi.

- Czy dlatego...

- Rzuciłam się w wir zabaw? Rozlicznych flirtów? Skandalików miłosnych? Nie posiadałam się z radości z powodu krążących na mój temat plotek? - dokończyła Naomi. - Tak, częściowo tak. Nie mogłam pogodzić się z myślą, że przegrałam.

Chciałam, żeby Philip cierpiał, żeby podczas bezsennych nocy myślał o tym, jak się upajam wolnością. A ponieważ, jak sądzę, osiągnęłam swój cel, odsuwał się coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie to, czego najgoręcej pragnęłam, stało się nieosiągalne.

- Chciałaś, żeby wrócił.

- Rozpaczliwie chciałam. Byłam tak próżna, że wyobrażałam sobie, iż odzyskam go na moich warunkach, wyłącznie na moich.

- A Alec Bradley? - Widząc, że matka zadrżała, musiała się przemóc, by kontynuować rozmowę. - Czy posłużyłaś się nim, żeby dokuczyć tatusiowi?

Naomi sięgnęła po szklankę z wodą.

- Odegrał rolę czegoś w rodzaju rękawicy w wyzwaniu na pojedynek.

Mężczyzna równy majątkiem i pochodzeniem Philipowi, tyle że z niezbyt dobrą reputacją.

Kelsey poczuła skurcz w żołądku. Musi się dowiedzieć, a zatem i zapytać.

- Wynajęłaś go?

- Wynajęłam? - zdziwiła się Naomi.

- Słyszałam, że sprzedawał pewne swoje umiejętności. - Kelsey wypła łyk kawy.

Ostatnią reakcją, jakiej mogła się spodziewać, był śmiech. Szczery śmiech rozbawienia.

- Chryste, co za pomysł! Co za pomysł! Nie interesował mnie jako samiec.

Wszystko, tylko nie to! - Wesołość Naomi przygasła. - Wszystko, tylko nie to.

- Przepraszam, to nie było mądre pytanie. Niezupełnie o to mi chodziło, tylko tak jakoś wyszło.

Myślałam bardziej o publicznym pokazywaniu się z nim niż o intymnych sprawach.

Nie, nie wynajęłam go. Raz czy dwa pożyczyłam mu pieniądze. Zawsze był

między jednym a drugim interesem - odparła Naomi oschle. - Zawsze miewał

problemy z gotówką. Może to zabrzmiało jak przechwałka, wyda się, że koloryzuję przeszłość, ale o ile pamiętał, nie odstępował mnie na krok. Nie powiem, że uciekałam

- dodała i wyjęła z czarki malinę. - Chciałam, żeby się do mnie zalecano.

Potrzebowałam tego, a on był niezwykle czarujący. Nawet jeżeli wiedziałas, jaki naprawdę jest, potrafił sprawić, że czułaś się tą jedyną liczącą się kobietą. Ja oczywiście wiedziałam, jaką ma reputację, byłam świadoma, że można go kupić. Ale myślę, że to tylko dodawało mu uroku. Fakt, że jest ze mną, że na próżno roztacza przede mną swoje wdzięki w nadziei, że mnie jednak zdobędzie, zaspokajał moje ego.

- Pomyślała, że jej ego było wtedy dla niej najważniejsze. - W końcu przestał się godzić, albo nie był w stanie się pogodzić z tym, że jestem dla niego nieosiągalna. I to go zabiło.

- Istotą gwałtu nie jest seks.

- To prawda. - Kiedyś myślała - lub przynajmniej chciała myśleć - inaczej, ponieważ to było łatwiejsze do przyjęcia. - Usiłował mnie zranić. Poniżyć mnie. Nigdy nie zdołałam zrozumieć, dlaczego był aż tak zdesperowany tamtej nocy. W jego oczach nie było namiętności. Nie było pożądania. Z tym, jak sądzę, mogłabym sobie poradzić.

To z powodu tej desperacji sięgnęłam po broń.

Naomi zadrżała, po czym wzięła długi, spokojny oddech.

- Już o tym zapomniałam.

- Przepraszam, że przeze mnie wróciłaś do tamtych spraw. - Kelsey obiecała sobie, że przemyśli to wszystko później. Położyła rękę na dłoni matki. - Dajmy temu pokój. Obie dajmy temu pokój. W taki dzień jak dzisiaj trzeba patrzeć w przyszłość, nie oglądać się za siebie. Nie zechciałabyś rzucić okiem na ciuch, który kupiłam sobie na dzisiejszą gonitwę? Muszę się szybko ubrać, bo inaczej spóźnię się na rozpoczęcie.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY**

Reno był w szaroniebieskim garniturze. Na szyi miał brązowy krawat. Jego miękkie włoskie boty lśniły jak lustro. Wiotka niczym trzcina kobieta, wyższa od niego o głowę, trzymała go pod rękę, przechylając co chwila swoją starannie umalowaną twarz w stronę kamer.

Zdawał sobie sprawę z żalostnego stereotypu - mały, drobny facet udowadniający swoją męskość afiszowaniem się z wysoką, rzucającą się w oczy kobietą. Nie przejmował się tym. Musiał teraz

wykazać, że jest prawdziwym mężczyzną, podkreślić swoją wartość. Swoje *cojones*.

Temblak na ramieniu był idealnie dopasowany do jedwabnego krawata. Reno wiedział, że tego dnia tylko taki jedwabny strój może nosić.

Uśmiechnął się do kamery. Zależało mu na zwróceniu na siebie uwagi nie mniej niż pozującej razem z nim kobiecie. Pod maską odważniaka, za szybkimi, brawurowymi odpowiedziami na temat udziału w następnych wyścigach w przyszłym sezonie krył się kłębek nerwów i nieszczęścia.

Przyglądał się dżokejom przemierzającym dużymi krokami padok. Dobrze wiedział, co każdy z nich czuje i myśli. Koncentracja, drobne sztuczki pomagające utrzymać odpowiedni poziom adrenaliny.

Wygra tylko jeden, ale inni mogą wykazać w gonitwie odwagę i charakter.

Część z nich powróci, weźmie udział w innym wyścigu, innego roku. Niektórzy znikną

- przybiorą na wadze, stracą zainteresowanie, ducha walki. Przedłożą zwycięstwa w drugorzędnych wyścigach nad przegraną w najważniejszych imprezach. Najwięksi pozostaną w obiegu, bogacąc się, wychowując następców, unikając kontuzji, przewyższając stare.

Przeciężni będą się przerzucać z toru na tor, podążając za trenerami, nękając agentów, znikając na jakiś czas, by wypłynąć być może w charakterze stajennego, pomocnika lub asystenta trenera na niewielkiej farmie gdzieś na odludziu.

Ale teraz po żadnym tego nie widać. Teraz są wojownikami, rycerzami, showmenami: napięty wzrok, zmrużone za plastikowymi goglami oczy, chude, zwarte i zwinne ciało pod jedwabną kurteczką, miękkie, zgrabne buty z cholewami. Pod dżokejskimi czapczkami hełmy, na ramieniu numery startowe.

Niektórzy wstali o świcie, by osobiście doglądać swoich towarzyszy. Inni, dla których kontakt z koniem ogranicza się tylko do biznesu i pozbawiony jest emocji, spali dłużej. Strach przed nadwagą powstrzymywał wielu z nich przed jedzeniem, skłaniał do spędzania długich godzin w łaźni parowej.

Teraz są już zważeni i gotowi. Reno patrzył na nich i rozpaczliwie im zazdrościł.

Powinien być jednym z nich, wysłuchiwać w skupieniu ostatnich uwag i wskazówek trenera. Powinien być podziwiany, zbierać pochwały, a także słowa zachęty od właściciela.

To on powinien teraz zmierzać w stronę toru z batem między zębami.

Bał się, przeraźliwie się bał, że nigdy już nie znajdzie się w tym gronie.

Przemógł się; zawadiacki uśmiech przyoblekł jego twarz.

- Panna Naomi!

- Reno! - ucieszyła się, ściskając jego zdrowe ramię. - Świetnie wyglądasz.

- Wolałbym raczej nosić kolory stajni.

- Już niedługo, jeszcze trochę. - Rzuciła okiem na kobietę, z którą przyszedł, a która zabawiała reportera rozmową. - Śliczna dziewczyna. Przypomina mi kogoś.

- Mogła ją pani widzieć w reklamach. Głównie szampon i pasta do zębów.

Próbuje się wkręcić do filmu. - Podeszedł do konia. - Pobiegnie dla pani, panno Naomi.

- Tak, wiem o tym.

- Właśnie się za tobą rozglądałam. - Podeszła do nich Kelsey. - Nie tracę nadziei, że znajdziesz trochę czasu w najbliższych tygodniach i zajmiesz się znowu moją źrebicą, Reno. Honor potrzebny jest jeździec, który potrafi wydobyć z niej to, co w niej najlepsze.

Poczuł skurcz żołądka.

- Jasne. Jasne, nie ma sprawy. Mam masę czasu. Nic innego oprócz czasu. Lecę do Joeya udzielić mu błogosławieństwa na drogę.

Czy powiedziałam coś złego? - mruknęła Kelsey, gdy pośpiesznie się oddalił.

- Nie sądzę. - Roztargniona Naomi zwróciła się do Mosesa: - Jest prawdopodobnie równie spięty jak my wszyscy.

- Pewnie masz rację. Idę do Gabe'a życzyć mu szczęścia. Spotkamy się na trybunach w boksie.

- Postaraj się, żebym przyszedł do historii, Joey - powiedział Gabe, ściskając rękę swojego dżokeja.

- Zamierzam to zrobić, panie Slater. - Joey zginał palce, rozciągał stawy rąk -

Tak jak mówiłem, trzymaj się z tyłu - dodał Jamison. - Wyjdźcie na prowadzenie dopiero na prostej. Nie oczekujemy rekordu. Oczekujemy zwycięstwa.

Z Double'em możemy zdobyć jedno i drugie. - Joey uśmiechnął się szeroko na widok Rena. - Zajmij, przyjacielu, miejsce w pierwszym rzędzie. I czekaj na nas ze swoim ulubionym szampanem.

- Zrobi się. - Nie przestając się uśmiechać, Reno skinął głową Gabe'owi. - Życzę panu dzisiaj szczęścia, panie Slater. Taki koń trafia się jeden na milion. - Poczuł, jak bardzo poci mu się ręka w kieszeni. - Chciałbym go osiąść osobiście któregoś dnia.

- Pogadamy o tym, gdy wrócisz do zdrowia na dobre.

- Jeżdżenie na takim koniu, na jakim jeździłem w ostatnim roku demoralizuje człowieka. - Napotkał wzrok Jamisona. - Może nie, Jamie? Stajemy się wybredni.

- Sam o tym najlepiej wiesz, Reno. - Jamison nie zdejmował ręki z uzdy Double'a.

- Dwa lata temu wygrałem dla ciebie Belmont, pamiętasz? Było z tego powodu sporo zamieszania - początkujący dżokej i niepewny koń. Ale to był mój dzień. Mój koń. Moja gonitwa. - Wewnątrz kieszeni wilgotne palce Rena zamykały się i otwierały, zamykały i otwierały. - Ludzie szybko zapominają. Zapominają wszystkie gonitwy, wszystkie zwycięstwa. Pamiętają tylko derby. Tylko derby stawiają na świeczniku.

Drżała mu ręka, gdy wyjął ją z kieszeni i położył na szyi konia.

- No cóż, zasłużyłeś sobie na derby i na wiele więcej. - Zmusił się do śmiechu. -

Wygrany czy przegrany - ludzie nie zapominają derby. Więc wygraj. Wygraj w świetnym stylu.

- Zawodnicy na miejsca!

Po tym wezwaniu Reno zrobił kilka kroków do tyłu. Był blady, spływał potem.

Zawrócił na pięcie i ruszył przed siebie. Kiedy ją mijał, Kelsey złapała go za ramię.

- Reno?

- Przepraszam. - To było wszystko, co powiedział, po czym zrzucił jej rękę i uciekł z padoku.

Ci dżokeje. - Jamison podsadził Joeya na siodło. - Temperamentni!

- Wygląda na chorego - mruknęła Kelsey, ale nie było teraz czasu, by się martwić, by o czymkolwiek myśleć. Obiecała sobie, że po wyścigu postara się go odnaleźć i zorientować się, co mogłaby dla niego zrobić. Ale ta chwila należała do Gabe'a. Nie zamierzała jej popsuć.

- Chociaż wyszedłeś dziś rano beze mnie, życzę ci szczęścia.

- Trzeba by kija, żeby cię podnieść z łóżka o świcie. - Oprócz tego chciał tego ranka być sam. Chciał się rozejrzeć, czy nigdzie nie ma śladów obecności ojca. Ale niczego nie znalazł. Był więc teraz bardziej odprężony i mógł się dokładnie przyjrzeć Kelsey. Miała włosy zebrane pod białym słomkowym kapeluszem, którego szerokie rondo podniesione było uwodzicielsko nad jednym okiem. Do tego krótką, obcisłą czerwoną sukienkę i sięgający do pasa biały zakiet. A na piersi jego broszkę z galopującym koniem.

- Widząc, jak dobrze zrobiło ci pięć dodatkowych godzin snu, cieszę się, że nie miałem pod ręką kija.

- Bardzo sprytnie z tego wybrnąłeś, Slater.

- Też tak uważam. - Ujął ją pod rękę. - Masz na sobie moje barwy.

- Dzisiaj są to jedyne barwy warte noszenia. - Idąc do boksu, przycisnęła ręką serce. - Dlaczego jestem taka zdenerwowana?

- Nerwy tu nic nie pomogą.

- Powiedz to mojemu żołądkowi - mruknęła i zanurzyła rękę w torbie, szukając lornetki. - Zaczynam podejrzewać, że pragnę tego zwycięstwa bardziej niż ty.

- Chyba jednak się mylisz.

Gdy konie doprowadzono do bramy startowej, położył rękę na dłoni Kelsey.

Nie przyjmowano już zakładów, okienka kas były zamknięte. Wiosenne niebo pokrywał nieskazitelny błękit. Owalny, idealnie zadbane tor był tego dnia szybki.

Jednostajne brzęczenie zgromadzonego na trybunach tłumu przerywały okrzyki i wiwaty.

Łatwo było zapomnieć o niebywałym wprost rozmiarze imprezy. Tym, którzy oglądali ją tylko w telewizji, mogła się nawet wydać mała i kameralna, bynajmniej nie tak ogromna, jaką była naprawdę.

Dla Gabe'a, dzięki jego ambicji, dzięki szczęściu i wewnętrznemu samozaparciu, stała się teraz całym światem. Jego wysiłek, wszystkie rozczarowania, triumfy i nadzieje sprowadziły się do tej jednej gonitwy. Do tego jednego konia.

Obserwując, jak dżokej dosiada Double'a, przypominał sobie noc, w którą ten koń się urodził. Strudzona klacz dyszała, a wiatr uderzał gwałtownie o ściany stajni. Sypał

śnieg, potem zaciął deszcz ze śniegiem, a klacz naprężyła się i parła w tym, zdawałoby się, nie kończącym się oczekiwaniu na poród.

I nagle pojawiły się przeraźliwie kruche nogi torujące sobie drogę ku wolności w potoku krwi. I krzyk klaczy, dziwnie ludzki, oznajmił bolesny trud rodzenia.

To małe, wilgotne życie leżało na splamionej słomie i chwytało pierwszy oddech, który miał zaprowadzić konia nazwanego Double or Nothing, z ojca Bold Courage, do bramy startowej w Belmont Park na Long Island.

A teraz, po trzech latach, Gabe przypominał sobie przesywający go dreszcz, gdy zajrzał źrebakowi w oczy.

- Kocham tego konia.

Dopiero reakcja Kelsey, jej zaciskające się na jego ręce palce, uzmysłowiła mu, że wypowiedział te słowa na głos.

- Wiem, że go kochasz.

Zgrzyt metalu towarzyszył otwieraniu się bramy startowej. Prawie natychmiast na trybunach zaległa grobowa cisza; Double spłoszył się na starcie o mało nie wyrzucając jeźdźca z siodła. Ten fatalny ruch sprawił, że Double, z rozpaczliwie walczącym o utrzymanie się w siodle dżokejem, znalazł się z



tyłu za całą stawką koni.

W okamgnieniu wszystkie precyzyjne instrukcje Jamisona co do strategii gonitwy stały się bezużyteczne. Jedyńm celem Joeya stało się teraz włączenie konia z powrotem do wyścigu.

Musiał podjąć błyskawiczną decyzję: czy przedzierać się przez zwartą masę koni, czy ją obejść? Jeździec i koń wykonali to wspólnie. Ruchem oscylującym między odwagą a szaleństwem zatoczyli szeroki łuk. Po czym, jakby wiedząc, co do niego należy, koń zaczął gonić rywali.

Rwał przed siebie, w dzikim tempie połykając odległość. Kończąc pierwsze okrążenie, był o jedną długość za koniem prowadzącym i wciąż zmniejszał dystans.

Ze swojego boksu Gabe nie odrywał lornetki od oczu. Skoncentrowany był

tylko na jednym koniu. Trybuny oniemiały z podziwu; niemal zapomniano o samej gonitwie. To było coś więcej niż piękno. To była odwaga. Zwycięstwo czy przegrana, gonitwa ta miała pozostać na długo w pamięci.

Osiemset metrów Double pokonał w czterdzieści sześć sekund; on i koń prowadzący miały zdecydowaną przewagę nad resztą. Teraz trybuny wyły; krzyk zamieniał się w istne szaleństwo. Ale Gabe słyszał tylko głos Kelsey, która szeptem zachęcała konia do walki. Byli tylko oni dwoje, trzymający się za ręce, obserwujący jednego jedynego konia.

Na najdalej oddalonym od trybuny zakręcie Double rozpoczął pojedynek, walkę o prowadzenie po wyjściu na prostą. To tutaj, na tej wymagającej kolosalnego wysiłku, zapierającej dech w piersi ostatniej prostej, odbywał się sprawdzian waleczności w wyścigu w Belmont.

Z tyłu, z grupy, wyrwał się jak strzała koń z Kentucky. Ale było już za późno.

Urodzony w Longshot w pewną wietrzną noc pod koniec zimy koń, którego cudowne chwile narodzin Gabe oglądał na własne oczy, pędził teraz szybciej niż okładający jego grzbiet bat.

Mężnie i dumnie, z przewagą dwóch długości, jak błyskawica minął celownik, by sięgnąć po Belmont Stakes i Potrójną Koronę.

Przez chwilę Gabe nie był w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Do głosu doszły tłumione emocje. Za wcześnie, za mocno. To jego koń cwałował teraz beztrosko z jeźdźcem stojącym w strzemionach. To jego sen, spocony, zakurzony, okryty chwałą.

Cokolwiek się wydarzy, ni jemu, ni temu fascynującemu koniowi nikt nie odbierze tej upajającej chwili.

- Co za szatański koń - wyszeptał. Spojrzał na mokrą od łez twarz Kelsey. - To naprawdę szatański koń.

- Tak. - Płacząc się i śmiejąc zarazem, podniosła ramiona, by objąć go za szyję. -

Moje gratulacje, Gabe. Dokonałeś tego.

- Chryste! - Już się nie kontrolował. Wariacki uśmiech rozlał się po jego twarzy od ucha do ucha. - Chryste Panie, dokonaliśmy tego! - Niepomny na obecność kamer, podniósł Kelsey i zakręcił wkoło. Śmiała się jeszcze, gdy przykrywał jej usta pocałunkiem.

Paręset kilometrów dalej Puch wpatrywał się w telewizyjny ekran. Nie pojechał

do Nowego Jorku. Wiedząc, co ma się wydarzyć, uznał, że bezpieczniej i rozsądniej będzie trzymać się z daleka. Gdy kamera przeniosła się ze zwycięskiego konia na jego właściciela, pokiwał głową.

- Naciesz się chłopcze, póki czas - mruknął i wzniosł na swoją cześć szklankę z dwudziestoletnią szkocką.

Wymuszony uśmiech wykrzywił mu twarz na widok gratulacyjnego pocałunku nie posiadającego się z radości komentatora, który oznajmił bliską zażyłość Gabriela Slatera i Kelsey Byden.

Rich usiadł znowu, oczekując zamieszania, które lada chwila powinno się zacząć. Jak zawsze po gonitwie, konia odprowadzono na badania dopingowe. Po nich, rozmyślał Rich, po nich Gabe'owi zrzędzie mina. Właściwie stało się lepiej, niż pierwotnie planował. Zgarnięcie nagrody w chwilę po zwycięstwie wydało mu się rozsądniejszym wyjściem.

Wszystko przebiegało bez zarzutu. Dzięki ślicznej córuni Naomi! Gdyby nie weszła tamtej nocy do stajni i nie pokrzyżowała planów, koń nigdy by już nie pobiegł.

Tymczasem pobiegł i wygrał. A za chwilę ogłoszona zostanie wstrząsająca wiadomość, że Double or Nothing zwyciężył, będąc pod wpływem niedozwolonych środków dopingujących.

Gabe nie tylko przegra, lecz i okryje się wstydem, narazi na pośmiewisko i skandal.

Przygotowując się do uczczenia własnego zwycięstwa, Rich dolał sobie do pełna. Gdy ogłoszono oficjalny wynik, alkohol, wskutek gwałtownego drgnięcia ręki, rozlał się na podłogę. Dziewiątka. Piątka. Dwójka.

Rich był tak ogłuszony, że do jego świadomości nie docierało nawet gadanie na temat zakładów i wypłat.

Gapił się z otwartymi ze zdumienia ustami na ekran, na którym byli tylko koń i jeździec, obaj obsypani białymi goździkami. Zobaczył jeszcze Gabe'a obejmującego władczy ramieniem Kelsey; oboje gratulowali jeźdźcowi, a następnie pochylili się, jak w cikliwym kowbojskim filmie, by pocałować zgrzanego konia.

Szklanka wylądowała na ekranie i z obu posypały się odłamki szkła. Gdy Puch wstawał z fotela, powietrze przesiąknięte było stęchłym zapachem alkoholu. Stracił

panowanie nad sobą. Kopał i walił w telewizor, dopóki nie zaczęły mu krwawić dłonie; wtedy zwałił go na podłogę. Była w nim jedynie potrzeba zniszczenia, zniszczenia za wszelką cenę, w

jakikolwiek sposób, aparatu, który pokazywał mu takie obrazy.

Kiedy w końcu zdyszany i wycieńczony zatrzymał się, w powietrzu unosił się smród dymu i alkoholu, zmieszany z ostrym zapachem jego potu. Krwawiły mu kostki na dłoniach, a nierówny oddech przypominał charczenie. Potknął się o złamane krzesło, sięgnął po butelkę szkockiej. Wiele już wsiąkło w dywan, ale pozostało jeszcze dość, by przechylić ją i splukać gorzki smak. Dość, by znowu zaczął myśleć jaśniej.

Jeszcze się będą jąkać ze zdziwienia, pomyślał. A ponieważ okazało się, że nikomu nie można powierzyć nawet prostego zadania, musi przejąć sprawę we własne ręce.

W tygodniu, który nastąpił po wygraniu przez Double'a Potrójnej Korony, niewiele było czasu na myślenie. Pomimo sławy sąsiada, praca w Three Willows toczyła się nieprzerwanie, jak zawsze. Sezon jeździecki nie kończył się na Belmont, podobnie jak codzienna pielęgnacja koni i treningi nie pozwalały spocząć na laurach.

A Kelsey miała własne ambicje, wśród których niepoślednie miejsce zajmowała praca nad Honor. Była szczęśliwa, że właśnie jej trafił się taki koń. Teraz musiała dać z siebie wszystko, by udowodnić, że na niego zasłużyła.

Nie zapomniała, że jej celem jest ułożenie pełnego obrazu z elementów, którymi dysponuje. Charles Rooney może sobie nie podnosić słuchawki lub odmawiać przez sekretarkę widzenia się z nią! I tak go dopadnie! I zmusi do jeszcze jednej rozmowy. Odwiedzi również kapitana Tiptona. A jeśli okaże się to konieczne, pojedzie do ojca i poprosi go o odtworzenie tamtych miesięcy jego życia, aż wyłoni się jasny obraz.

Tymczasem dość wyraźnie zarysował się wizerunek kobiety, która kochała swojego męża i próbowała go zatrzymać, kierując się własną, opacznie pojmowaną taktyką. Która popełniała błędy wynikające z dumy, próżności i uporu. Niemniej ten obraz, bez względu na to, jak wnikliwie i uważnie Kelsey mu się przyglądała, nie tłumaczył jeszcze, co skłoniło tę samowolną, a nawet lekkomyślną kobietę do popełnienia morderstwa.

- Hej, siostrzyczko!

- Channing! - Kelsey odwróciła się, wytarła ręce i pocałowała go. - Nawet nie znalazłam chwili, żeby ci powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że tu jesteś.

- Jestem dopiero od kilku godzin, a już bolą mnie plecy. - Jego koszula nadawała się do wyjęcia. - Moses wziął mnie tak szybko do galopu, jakbym nigdy stąd nie wyjeżdżał.

- Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się, że wrócisz. - Kelsey delikatnie obmywała pysk źrebicy. - Mamy już połowę czerwca.

- Trochę potrwało, zanim to sobie załatwiłem.

- Candace nadal sprzeciwia się twojemu pobytowi tutaj?

- Bezpieczniej będzie powiedzieć, że nie sprawia jej to radości. Nieźle się pokłóciliśmy.

- Tak mi przykro.

- Nie, to nam obojgu dobrze zrobiło. Poruszyliśmy wiele nabrzmiałych spraw.

W każdym razie dla mnie. Mama odwoływała się do rodzinnej tradycji. Przekonywała, że tak dobrze się zapowiadam, że widziała we mnie przyszłego chirurga, nie mniej doskonałego niż mój ojciec, jej ojciec i tak dalej. Tego ode mnie oczekiwała, a ja zdawałem się spełniać jej oczekiwania.

- To nie jest to, czego pragniesz?

- Przenoszę się na weterynarię. - Jego wzrok znieruchomiał w oczekiwaniu sprzeciwu albo, co gorsza, krótkiego pobłażliwego śmiechu. Zamiast tego Kelsey podeszła do niego i ucałowała go w oba policzki.

- Świetnie.

- Tak sądzisz?

- Mogłabym ci teraz zrobić wykład na temat tego, jak trudno, a często wręcz nie sposób sprostać pokładanym w nas nadziejom. Zwłaszcza rodziny. W ciągu ostatnich miesięcy przekonałam się o tym na własnej skórze. Zresztą chyba o tym wiesz. A jeśli chodzi o Candace, sądzę, że zmieni zdanie i zaakceptuje twój wybór. Ona cię kocha, Channing i niezależnie od wszystkiego pragnie dla ciebie tego, czego sam pragniesz.

- Może. - Szurał nogami po słomie. - Nie cierpię się z nią sprzeczać. Jestem też wściekły, bo gdyby profesor nie ujął się za mną, na pewno bym się zламаł.

- Tatuś? Naprawdę ujął się za tobą?

- To tak, jakby się przetoczyła kawaleria, tyle że bez dźwięku trąbki i świstu kul.

- Channing uśmiechnął się szeroko. - Po prostu mówił. Spokojnie, cierpliwie. Nigdy jeszcze nie widziałem go w akcji przeciwko niej. Sądzę, że dzięki temu sprawa przybrała pomyślny dla mnie obrót. Mamę zaszokowało, że stanął po mojej, a nie po jej stronie.

- On też cię kocha. - Przygryzając wargę, Kelsey wróciła do swoich zajęć. - Czy między nimi coś się psuje, Channing?

- Wyczuwa się pewne napięcie. Ale sądzę, że podczas mojej nieobecności znajdą czas i okazję, by wyjaśnić sobie niektóre sprawy. W każdym razie mama bardziej ma na pieńku z tobą niż z profesorem.

Chyba powinnam nieco załagodzić sytuację. - Kelsey skrzywiła się.

- Mama nie umie się gniewać. W każdym razie nie na długo. Teraz zakłócone zostało jej poczucie

ładu i porządku, to wszystko. Trochę potrwa, zanim się z tym oswoi.

- Przepraszam. - W drzwiach otwartego boksu pojawił się Reno.

- Reno! Witaj! - Kelsey wyprostowała się na jego widok, nie przerywając jednak szczotkowania klaczy. - Pamiętasz mojego brata Channinga?

- Oczywiście. Jak leci?

- Świetnie. A jak twoje ramię? Odruchowo Reno pokręcił ręką.

- Coraz lepiej. Za parę tygodni będę już mógł dosiąść konia. Otrzymałem kilka propozycji udziału w wyścigach na europejskich torach.

- Słyszałam, Moses o tym wspominał - powiedziała Kelsey. - Za kilka tygodni wystawiamy w gonitwie High Water. Mam nadzieję, że z tobą w siodle.

- Może. To jest Honor, tak? Honor Naomi?

- Właśnie. Co o niej sądzisz?

- Zostawiam was - wtrącił Channing. - Gdyby Moses przyłapał mnie na zbijaniu bąków, potraciłby mi z wypłaty. Cieszę się ze spotkania, Reno.

- Cześć. Zobaczymy się gdzieś na terenie. Reno wszedł do boksu. Przyklęknął.

Przegląd konia zawsze zaczyna się od oględzin nóg. Reno obejrzał je bez komentarza.

Następnie obszedł Honor, przeciągnął ręką po jej klatce piersiowej, po bokach, po kłębie, a dopiero potem zajrzał w oczy i zęby.

- Prześliczna - oznajmił w końcu. - Fantastycznie zbudowana, duża klatka piersiowa. Czy już trenowałaś z nią w bramie startowej?

- Taak. Bez problemu. Czasami się płoszy, ale odkąd stosujemy osłaniacze, coraz rzadziej. - Koń trącił ją w ramię, musiała więc dać mu marchewkę. - Jest łagodna, ale ma w sobie ogień. Moses uważa, że można ją będzie wypróbować w przyszłym roku, wystawiając w kilku gonitwach. Może cię to zainteresuje?

- Naprawdę prześliczna - powtórzył Reno, a isierkę nadziei natychmiast stłumiła w nim rozpacz. - Ale dlaczego chcesz mnie na niej posadzić?

- Widziałam, jak jeździsz. Wystarczy raz popatrzeć. A poza tym podoba mi się, że nie dosiadasz konia wyłącznie, by zaliczyć gonitwę. Bierzesz udział w treningach, zaglądasz do stajni. Traktujesz konia jak partnera. - Zawahała się, przyciskając twarz do Honor. - Wiem, że kochałeś Pride'a, Reno. To było widać po sposobie, w jaki się do niego odnosiłeś. Chciałabym takiego jeźdźca jak ty dla Honor.

Odwrócił wzrok. Gdyby tylko pozwolił sobie na okazanie słabości, zwinąłby się w kłębek na słomie i rozszołał. Jej słowa, raniły go niczym ostre, kłujące szpile.

- Naprawdę go kochałem. - Nie panował już nad głosem, przestał się kontrolować. - Zrobiłby dla mnie wszystko. Oddał dla mnie serce.

- Reno, nie możesz się winić za to, co się stało!

- Nie potrafiłbym go skrzywdzić. Kto mógł przypuszczać, że ta gonitwa go zabije? - Spojrzał martwym wzrokiem na Kelsey. - Kto mógł przypuszczać?

- Nie obwiniaj się za cudze grzechy, Reno - powiedziała miękko. - Wcześniej czy później dowiemy się, komu zależało na jego śmierci.

- Wcześniej czy później - powtórzył drżącym głosem. Zrobił krok w tył. - To świetny koń.

- Dosiądziesz jej?

W jego wzroku było tyle rozpaczy! Kelsey chciała podejść do niego, wyciągnęła rękę, lecz nim zdążyła go dotknąć, wydał niski, zwierzęcy dźwięk i uciekł.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY**

Naprawdę Gabe, serce mi krwawi. Kelsey ujęła w obie ręce kieliszek z winem i wyciągnęła się wygodnie na sofie. Był śliczny wieczór. Przez szeroko otwarte okna i drzwi wpadał lekki wiaterek, niosąc ze sobą przepiękny zapach kwiatów. Ale Kelsey wciąż prześladowała twarz Rena, jej bezbrzeżny smutek, kompletna bezradność.

- Musi znów zacząć jeździć.

Wyciągnięty obok niej na sofie Gabe wypuścił pod sufit dym z cygara. Nie były mu obojętne kłopoty Rena, ale sam czuł się po prostu kompletnie wyczerpany. To nie do wiary, że te wszystkie następujące po sobie w galopującym tempie spotkania, telefony i wywiady okazały się bardziej męczące niż tydzień ciężkich robót fizycznych.

Wolałby w tej chwili pracować łopatą i spływać potem niż zajmować umysł

tymi wszystkimi cyframi i umowami, którymi zarzucali go adwokaci, księgowi i brokerzy.

Właśnie dzisiaj po południu odmówił telewizji sprzedaży praw na sfilmowanie historii życia swojego oraz Double'a.

- Nie jestem pewna - ciągnęła Kelsey, podczas gdy myśli Gabe'a krążyły daleko

- ale wydawało mi się, że musi znów zacząć jeździć, aż do chwili... - Oparła głowę na poduszce. Gabe włączył dla niej Mozarta. Wiedziała, że sam wolałby dobrą muzykę rockową czy rzewnego bluesa zamiast klasycznego zestawu fortepianu i orkiestry. -

Wiesz, że propozycja, by zajął się Honor, nie była z mojej strony tak zupełnie altruistyczna. Chcę dla niej najlepszego jeźdźca, a jednocześnie naprawdę sądziłam, że to mu pomoże. Jak na razie jednak tylko pogorszyłam sytuację.

- Skąd możesz o tym wiedzieć?

- Nie widziałeś jego twarzy. Kiedy myślę, czym była dla mnie strata Pride'a, jakie to było bolesne, uświadamiam sobie, że choć kochałam tego konia, nawet w przybliżeniu nie byłam do niego tak przywiązana jak Reno. On oskarża siebie, Gabe, ponieważ był na koniu, kiedy to się stało. - Obracała w rękę kieliszek. - Postanowiłam porozmawiać z Naomi. Może uda się jej namówić go na psychoterapię. Co o tym sądzisz... - Spojrzała na Gabe'a. Miał zamknięte powieki. - Nie przeszkadzam ci?

- Przepraszam. - Otworzył oczy. - Zamyśliłem się.

- To ja przepraszam. - Wyprostowała się, zaczęła rozcierać mu stopy. - Jesteś wyczerpany. Spostrzegłam to, gdy tylko wszedłeś. Powinnam była zapytać cię, jak przebiegły dzisiejsze spotkania, zamiast wypróbować na tobie moich sto jeden teorii psychologicznych.

Jeśli będziesz nadal masować mi stopy, pozwolę ci wypróbować na sobie wszystko, cokolwiek zechcesz.

Zaśmiała się. Odstawiła kieliszek, by mieć większe pole manewru.

- Czy oblewamy dziś rekordową umowę na przyszłe sukcesy Double'a?

Nie. - To doprawdy fascynujące, pomyślał, jak bardzo erogenną strefą może być spód stopy. - Nie zrzeszam Double'a.

- Nie?! - Jej ręce znieruchomiały. - Ależ Gabe, ostatnia propozycja, o której wspomniałeś, opiewała na astronomiczną sumę!

- Nie chcę go z nikim dzielić. - Ponownie otworzył oczy, utkwiał w niej wzrok. -

Wysłuchałem wszystkich rad, uwag, ofert, cyfr i postanowiłem działać po swojemu.

Gdy coś jest moje, jest moje.

- To bardzo niepraktyczna, emocjonalna decyzja.

- A jak ty byś postąpiła? Wzruszyła ramionami.

- No cóż, na razie wiem tylko, że muszę zrezygnować z planu gromadzenia akcji zwycięzcy Potrójnej Korony.

- To zależy. - Całą siłą woli starał się zachować naturalny, swobodny wyraz twarzy, beztroski głos. - Możesz mieć połowę udziału.

- Połowę? - Uciskając palcami podbicie stopy Gabe'a, uniosła ze zdziwienia brwi. - Nie sądzę, żeby stać mnie było aż na tyle.

- Wiele osób przyznałoby ci rację. W każdym razie nie stać cię na zwykłych warunkach.

Wydeła usta.

- Myślę, że sama potrafię ocenić, na co mnie stać, a na co nie. W porządku. Co to za warunki?

- Jest tylko jeden. - W jego oczach zapłonęły ogniki. - Musisz za mnie wyjść.

Najpierw udał się do stajni. Tej, która kiedyś należała do Cunninghama. Nikt go nie zatrzymywał. Straż, stajenni, wszyscy znali Rena. Powiedział, że jest umówiony z Jamisonem, więc przyjęli to do wiadomości, uznali za rzecz naturalną.

Chciał jeszcze popatrzeć na konie, dotknąć ich, pooddychać stajennym powietrzem. Pomyślał, żeby może pójść do Jamisona, otworzyć się przed nim, podzielić tym, co takim ciężarem leżało mu na duszy. Ale co to zmieni? Niczego już nie da się zmienić. Niczego nie da się cofnąć.

W ostatnich tygodniach strawił wiele czasu, doszukując się winy u innych. Ale na koniec zrozumiał, że wszystkie zarzuty wracają rykoszetem do niego. Nikt inny, tylko on wziął strzykawkę. Nikt inny, tylko on zatopił truciznę w tym pięknym, dzielnym i odważnym koniu.

Nieważne, w jaki sposób narzędzie dostało się do jego rąk. Zamordował kogoś, kogo kochał, a tym samym zniszczył siebie.

Jaki ojciec, taki syn. Oparł głowę na cierplivej klaczy i zaszlochał. Pomyślał, że otrzymał to dziedzictwo wraz z krwią. Wraz z wychowaniem. Próby wybielenia się były tylko zasłoną dymną. Czy naprawdę wierzył, że chce pomścić ojca, którego nie znał? Była to broń wymierzona przeciwko niemu, równie skuteczna jak igła wbita koniowi.

Słabość. Był tak samo słaby jak jego ojciec. I skazany na potępienie jak ojciec.

A więc pozostawało mu tylko jedno: skończyć z tym tak, jak skończył ojciec.

Zamknąć krąg zapoczątkowany przez mężczyznę, którego znał tylko z fotografii i ze starych wycinków prasowych. Mężczyznę, którego widmo postawił ponad własną godność.

Jak we śnie opuścił stajnię i jej kojące końskie zapachy. Poszedł do kantorku na zapleczu. Kantorku, który kiedyś należał do Cunninghama.

Dopiero po dłuższej chwili Kelsey odzyskała głos. Widać po takim człowieku jak Gabe można oczekiwać wyłącznie takich oświadczeń! Prowokacyjnych, zuchwałych i brawurowych. Powolnym ruchem zdjęła jego stopy z kolan, sięgnęła po kieliszek.

- Jeżeli za ciebie wyjdę, połowa udziału z Double'a należy do mnie?



- Zgadza się. - Spodziewał się jednak innej reakcji. - Połowa Longshot i wszystkiego, co się z tym wiąże.

Patrząc mu w oczy, pociągnęła łyk wina.

- A zatem i połowa ciebie, Slater?

Zdenerwował się. Ten jej zadziwiający spokój w głosie, w spojrzeniu! Zsunął nogi z sofy. Usiadł.

- Nie jestem Wade'em, Kelsey. Wchodzimy w tę grę i bierzemy siebie nawzajem w całości. To nie będzie układ, w którym dostając złą kartę, robisz dobrą minę do złej gry lub się wycofujesz.

- Rozumiem. Z chwilą gdy stawka jest na stole, nie mam już wyjścia.

- O to chodzi. Ponieważ ja wyznaczam wysokość stawek. Odkrywam przed tobą moje karty. Chcę ciebie. To moja najwyższa karta. Niełatwo będzie ci ją przebić. Tylko nie sądz, że nie masz szansy. Raz już się nacięłaś i boisz się, żeby to się powtórzyło.

Ale ta gra jest inna, inni są gracze i - według mojej oceny - stawki dużo wyższe.

Zapatrzyła się w kieliszek. Powiedział, że nie umiem blefować, pomyślała z pewną dumą. A więc postaram się, żeby mnie nie przejrzał! Dopóki nie będę gotowa, żeby go sprawdzić!

- Uważasz zatem, że mogę wycofać się z małżeństwa, nie wywiązać się z umowy, bo raz już przegrałam?! To niebywała wprost obelga! Równie obraźliwa jak twoje niewybredne oświadczenia.

Czyżbyś się spodziewała kwiatów, blasku świec i zaręczynowego pierścionka? -

A przecież zamierzał jej to dać. Pokpił sprawę. Był zły na siebie. - Nie chcę ofiarować ci tego, co już dostałaś od innego!

Spojrzała na niego. Uznała, że odpowiednia doza gniewu skutecznie zamaskuje jej prawdziwe uczucia.

- Mieliśmy nie grzebać się w przeszłości, Slater! - Odstawiła z impetem kieliszek i wstała. - A może wolałbyś zawieźć mnie do Vegas? Czy to nie byłoby idealne miejsce? Moglibyśmy w jakiejś obskurnej melinie odklepać szybko małżeńską formułkę!

- Jeśli tylko tego pragniesz, proszę bardzo - odparł sztywno.

- To, czego pragnę, to usłyszeć proste, wyraźne pytanie, na które będę mogła prosto i wyraźnie odpowiedzieć! Możesz więc je zadać albo wynosić się do diabła!

Zmrużył oczy, bacznie ją obserwując, ale po raz pierwszy nie potrafił odczytać wyrazu jej twarzy. Nic zresztą dziwnego, skoro po raz pierwszy w jego życiu ktoś inny trzymał wszystkie karty!

- Czy wyjdiesz za mnie?

- Jasne, że tak.

Odetchnął, nieświadom, że wstrzymywał oddech.

- Czy tak jest dobrze?

- Tak jest dobrze - przyznała. - Kto zatem zgarnia pulę? Powoli się odprężył i uśmiechnął lekko.

- Wydaje się, że to idealna pora, by się nią podzielić. - Podeszedł do niej, zanurzył rękę w jej włosach, przytulił mocno do siebie. - Kocham cię, Kelsey.

- Obawiam się, że tak. W przeciwnym razie nie sknociłbyś tego tak paskudnie.

- Jak to sknociłem?! - Pocałował ją z całych sił. - Przecież chyba cię zdobyłem?

- Taak. - Śmiejąc się zarzuciła mu ramiona na szyję. - Tak, zdobyłeś mnie.

Uniósł ją z podłogi.

- A co z wyjazdem do Vegas?

- Nie.

- Czy wiesz, jakie byłyby z tego korzyści? - Przyświecał mu teraz jeden cel. Niósł

ją w kierunku schodów. - To szybkie, praktyczne i rozrywkowe załatwienie sprawy.

Moglibyśmy spędzić noc poślubną w wielkim łożu w kształcie serca pod lustrzanym sufitem!

- To brzmi tak zachęcająco, że chyba spasuję. Dlaczego by... Tylne drzwi trzasnęły z hukiem. Gabe szybko postawił Kelsey na ziemi.

- Zostań tutaj - wydał krótkie polecenie i pchnął ją w kierunku schodów. W

połowie drogi natknął się na bladego, przerażonego stajennego.

- Panie Slater! Jezus, Maria, panie Slater! Niech pan tam pójdzie. O mój Boże!

To Reno. Chyba nie żyje.

Nie było wątpliwości. Choć ktoś zdobył się na odwagę i odciął sznur od belki, oznaki śmierci były aż nazbyt wyraźne.

Kelsey jak w transie wpatrywała się w bezwładne, wystrojone w jedwabny strój wyścigowy ciało, z makabrycznie przekrzywioną głową, z sinymi pręgami wokół szyi.

- Wezwijcie policję! - krzyknął Gabe. - A ty zabieraj się stąd. Wracaj do domu! -

Wypychał Kelsey za drzwi.

- Nie. Zostanę tutaj. Zostaję z tobą. Nie było czasu, by się z nią sprzeczać.

- Poczekaj na zewnątrz, do licha! - wybuchnął, gdy uparcie tkwiła przy nim. -

Poczekaj na zewnątrz!

Potrząsnęła przecząco głową. Przeniosła wzrok z Rena i napotkała nabrzmiałe od łez oczy Jamisona. Podeszła do niego i łagodnym ruchem poprowadziła go do krzesła.

- Usiądź, Jamison.

- Znalazłem go. Ktoś powiedział, że jest tutaj i że mnie szuka. Nie wiem dlaczego, ale od razu wszedłem tutaj. I znalazłem go. Tak jak poprzednio. Znalazłem go.

- Poprzednio?

- Jak Benny'ego. Tak jak Benny'ego. O Boże! - Ukrył twarz w dłoniach. - O

Boże, kiedy to się skończy?

- Tu leży kartka, panie Slater. - Młody stajenny zbliżył się bojaźliwie. Mówił szeptem, tak jakby śmierć mogła go usłyszeć. - Tu jest kartka, na ławie, panie Slater.

Nie dotykałem jej - dodał. - Zawsze uprzedzają, żeby niczego nie dotykać.

- Słusznie. Zaczekaj na zewnątrz na policję, zgoda?

- Oczywiście, panie Slater. - Ociągał się. - Odcieśliśmy go - dodał pośpiesznie. -

Może nie powinniśmy, ale przecież nie można go było tak zostawić. Musieliśmy go zdjąć.

- Dobrze zrobiliście - powiedział Gabe, kładąc rękę na ramieniu chłopaka. -

Zaczekaj teraz na zewnątrz.

Przerażony na myśl o treści kartki, Gabe podszedł do ławy, na której leżał ręcznie zapisany kawałek papieru.

*Przepraszam. Wybieram to tchórzliwe wyjście. Już nigdy nie dosiędę konia.*

*Zabiłem najlepszego, jakiego kiedykolwiek ujeźdzałem. Bóg mi świadkiem: nie wiedziałem, że dawka jest śmiertelna. Miałem go tylko zdyskwalifikować, to wszystko. I wyrównać porachunki.*

*Nigdy nie wierzyłem w winę mojego ojca. Aż dotąd. To, co on zrobił, zrobiłem i ja. To, co on robi, zrobię i ja. Zła krew. Zła krew to wyższa siła.*

Gabe zwrócił się do swojego trenera:

- Wiedziałeś, Jamie?

- Wiedziałem. Wiedziałem, że Reno był synem Benny'ego Moralesa. Niech Bóg ma go w swojej opiece. - I Jamison wybuchnął płaczem.

W świetle ostatniego wydarzenia inne sprawy, jak w układance dla dzieci, zaczęły idealnie do siebie pasować. Benny Morales, okryty niesławą, zdesperowany, powiesił się, pozostawiając młodą, spodziewającą się dziecka żonę. Wdowa - uchodząc przed skandalem - opuściła Wirginię i zamieszkała w Kansas.

Gdy Reno miał pięć lat, wyszła powtórnie za męża. Chłopiec przybrał nazwisko ojczyma, ale nigdy nie przestał śnić o swym prawdziwym ojcu. Odziedziczył po Bennym drobną posturę, zwinne ręce i jego miłość do koni. Poszedł więc w ślady ojca i zaczął pracować w stajni, pokonując kolejne etapy wtajemniczenia zawodowego.

Prześladowała go pamięć ojca. Przeniósł się do Wirginii. Powierzył swój sekret Jamisonowi, najbliższemu przyjacielowi ojca. A Jamison dotrzymał tajemnicy.

- Miał pełno albumów poświęconych ojcu. - Dwa dni po samobójstwie Rossi dzielił się niektórymi szczegółami z Gabe'em. - Istną bibliotekę. Wiele z nich dotyczy samobójczej śmierci Moralesa, oskarżeń przeciwko niemu i dochodzenia. Dzisiaj z Kansas przyjeżdżają matka i ojczym chłopaka, by wystąpić o wydanie zwłok.

Potwierdzają, że Reno miał obsesję na punkcie ojca: upatrywał w nim bohatera i kozła ofiarnego. I był zdecydowany pomścić dawne krzywdy.

- Trując konia Chadwicków - powiedział ze smutkiem Gabe. - Dyskwalifikując go w derby.

- Morales jeździł dla Chadwicków do czasu upadku; potem musiał zrobić dwuletnią przerwę w wyścigach. - Choć Rossi nie potrzebował notatek, kartkował z przyzwyczajenia swój notes. - A kiedy w Keeneland trzeba było dobić konia, Sun Spota, Matthew Chadwick obciążył winą właśnie Moralesa - stracił przecież w wyniku podejrzanych manipulacji drogocenną inwestycję.

- Zła krew - wycedził przez zęby Gabe. - Pozostaje jeszcze pytanie, Jak Reno zdobył ten specyfik. Uważam, że wstrzyknięcie nastąpiło między Ważeniem a doprowadzeniem konia do bramy startowej. Najprawdopodobniej w tunelu. Ale jak i od kogo to wziął?

- Nie wydaje mi się, żeby to było dla niego aż tak trudne, panie Slater. Już jako nastolatek kręcił się przecież po torach wyścigowych. Znał odpowiednich ludzi. Znał

też nieodpowiednich.

Gdyby sam zdobył ten środek, z pewnością by nie przedawkował. Nie zamierzał

zabić konia, porucznika. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Popełnił błąd.

- Niewykluczone, że został wprowadzony w błąd. Czy spotkał pan mojego ojca?

- Czyżby to była naprawdę sprawa rodzinna? Nie - odparł Rossi. - Wyprowadził

się, nie zostawiając adresu. Jedynym powodem, dla którego idę jego tropem, jest pański instynkt. Ufam mu, panie Slater. Dlatego, jeśli pański ojciec pojawi się na jakimkolwiek torze na naszym terenie, postaramy się go przesłuchać.

- Pojawi się. Jest zbyt próżny, by poprzestać we właściwej chwili.

Nie wierzył w winę ojca. Odświeżona po popołudniowym prysznicu Kelsey stała w oknie sypialni i spoglądała na wzgórze. Reno nie wierzył w winę ojca i dlatego większą część swojego życia strawił na pogoni za duchem. Chciał go pomścić, wziąć odwet. A na koniec dowiedział się o mężczyźnie, którego krew płynęła w jego żyłach, czegoś, z czym nie mógł dłużej żyć.

Wyważanie drzwi przeszłości zawsze niesie ze sobą ryzyko. Kelsey zachęcała Gabe'a, by zrzucił z siebie swoje własne jarzmo dziedziczności i był tym, kim jest. Ale bez powodzenia.

Czy i ona drążąc i grzebiąc się w przeszłości, nie wystawia na niebezpieczeństwo wszystkiego, co w ciągu ostatnich miesięcy zbliżyło ją z Naomi? A kiedy wyważy te drzwi, kiedy ujrzy, co się za nimi czai, czy potrafi z tym żyć?

Może dać z tym sobie spokój, zastanawiała się. Po co odgrzebywać coś, do czego nikt nie chce powrócić? Ma przed sobą całe życie z Gabe'em. Zaczyna się coś zupełnie nowego. Musi tylko odwrócić się od cieni przeszłości i zaakceptować to, co było.

- Panno Kelsey?

- Słucham, Gertie - odpowiedziała, nie odwracając się.

Dzwonią z biura mecenasa Lingstroma. Mecenas chciał mówić z panną Naomi, ale ponieważ jej nie ma, przekaże wiadomość tobie.

- W porządku, Gertie. Odbiorę na dole.

Odebrała telefon w biurze matki, na linii służbowej. Wysłuchiwała informacji, starając się robić właściwe uwagi. Po rozmowie odłożyła starannie słuchawkę.

Siedziała jeszcze za biurkiem, kiedy weszła Naomi.

- Boże, uchwaj od tych idiotycznych, nie kończących się obiadków służbowych. Zupełnie nie

rozumiem, dlaczego czuję się w obowiązku brać w nich udział. Jedyнным jasnym punktem tej nudy okazał się nieduży butik tuż koło restauracji. Mają tam najbardziej fantastyczną suknię, wprost idealną na skromne ogrodowe przyjęcie ślubne. Zatrzymają ją do jutra, gdybyś...

Stopniowo milkła, wytracała impet, na którego fali gnała do domu. Patrzyła teraz na pobladłą, wpatrującą się w nią Kelsey.

- Co się stało? - zapytała. - To z powodu Rena? Doszło coś nowego?

- Nie, to nie z tego powodu. - Kelsey dostrzegła ulgę na twarzy Naomi. -

Właśnie dzwonił twój adwokat.

- Ach tak? - Zaniepokojona matka podniosła rękę do broszki w kształcie gwiazdy, wpiętej w klapę żakietu.

- Prosił przekazać ci wiadomość, że dokumenty, o które się do niego zwracałaś, są gotowe do podpisu. - Zrobiła krótką przerwę. - Jeden z nich dotyczy przepisania połowy Three Willows na moje nazwisko.

- W porządku. O co chodzi?

- Dlaczego to robisz?

Dyskutowaliśmy o tym z twoim dziadkiem przed jego śmiercią. Zawsze tego pragnął, Kelsey, podobnie jak ja. A teraz po prostu to zalegalizowałam.

- Nie powiadamiając mnie o tym!

- Nie chciałam nadawać temu zobowiązującego charakteru - zastrzegła się Naomi. - Wobec żadnej z nas. Nie miałam wielu okazji, by dawać ci prezenty. A to jest coś, co mogę zrobić. Ojciec pozostawił mi wolną rękę, jeśli chodzi o formę i termin wykonania tej jego bądź co bądź ostatej woli. Uznałam, że i czas, i forma są odpowiednie. To nie jest sznur, który ma cię związać z tym miejscem, Kelsey. Ani ze mną.

- Musisz wiedzieć, że jestem już związana z tym miejscem, a także z tobą.

Zaryzykowałam, że to się uda, zapraszając mnie tutaj.

- Tak, zaryzykowałam. Nie przypuszczałam, nawet nie miałam nadziei, że cokolwiek poczujesz do mnie. Ale byłam pewna, że poczujesz się związana z Three Willows.

Jedno niewiele się różni od drugiego. Cień uśmiešku przemknął po wargach Naomi.

- Tak mówią.

- Nie sposób pokochać i szanować jedno, nie kochając i nie szanując drugiego. -

Kelsey wstała. Wyciągnęła ponad biurkiem rękę. - Na początku było trudno. Ale to przecież zrozumiałe!

- Nie każdy dałby mi szansę. - Naomi ujęła rękę córki i uścisnęła je z całej siły.

Nie każdy, pomyślała Kelsey. Ale ja podejmę ryzyko i spróbuję zmienić ten stan rzeczy.

Dochodziła piąta, gdy Kelsey zahamowała na podjeździe Tiptona obok jego zakurzonego pikapa. Wzdłuż dzielącej trawniki metalowej siatki jak oszalały biegał i ujadał pies sąsiadów. Ostrzegając ją w ten sposób, że jego teren jest święty i nietykalny.

Z okna na piętrze wychyliła się kobieta. Przywołała go do porządku.

- Szuka pani Jima?

- Tak. Czy jest w domu?

- Jest w warsztacie. - Kobieta wskazała palcem kierunek i potrząsnęła głową. -

Nie słysząc hałasu?

Rzeczywiście. Gdy pies nieco się uspokoił, Kelsey usłyszała poprzez jego ciche powarkiwanie hałas na tyłach domu. Ruszyła więc w stronę, skąd dolatywał

przenikliwy, ostry dźwięk piły elektrycznej. Stojąca na podwórzu szopa mogła być żywą reklamą składów dla majsterkowiczów pod tytułem „Zrób to sam”.

Zapukała do krzywo osadzonych na zawiasach drzwi. Wystarczyło lekkie dotknięcie, by otworzyły się na oścież i uderzyły o wewnętrzną ścianę szopy.

Zastała Tiptona przy warsztacie stolarskim w ochronnych okularach, ze stoperami w uszach i nasuniętej na czoło czapeczce Orioles - jego ulubionej drużyny baseballa. Wzbijając tumany pyłu, przycinał piłą małe kawałki drewna. Kelsey uznała, że bezpieczniej dla obojga będzie zaczekać, aż zęby piły przestaną się obracać.

- Stój, do jasnej cholery! - mruknął Tipton, schylając się po spadający na ziemię klocek.

- Kapitanie Tipton?

Kiedy się wyprostował i odwrócił ku niej, do złudzenia przypominał bohatera trzeciorzędnego horroru - z oczami zakrytymi plastikowymi okularami o bursztynowym odcieniu, z wystającymi z uszu szarymi zatyczkami, w upstrzonej czerwonymi plamami koszuli.

- O Boże, skaleczył się pan!

- Gdzie? Jak? - Z niepokojem sprawdzał, czy wszystkie palce ma na swoim miejscu, a tymczasem Kelsey wślizgnęła się do szopy. - Ach, to - poklepał się z uśmiechem po piersi. - To sok z jagód.

Żona nie lubi, kiedy wkładam do pracy porządne ubranie.

Kelsey oparła się z wrażenia o warsztat i zakłęła pod nosem.

- Przeraziła się pani, co? - nadal chichocząc, Tipton wyciągnął z uszu stopery i podniósł z oczu gogle. - Może pani usiądzie?

- Nie, nic mi nie jest.

- Robię właśnie półki. - Podniósł do góry szeroką, płaską deskę i przyjrzał się jej. - To taka zabawa między żoną i mną. Ja robię półki, a ona ustawia na niej różne bibeloty. W ten sposób oboje jesteśmy zadowoleni.

- To miło. A czy mógłby pan poświęcić mi kilka minut?

Może coś wyskrobie. Lemoniada? - Nie czekając na odpowiedź, sięgnął po duży plastikowy dzbanek i napełnił dwa kartonowe kubki. - Słyszałem, że ma pani kolejny nieprzewidziany kłopot.

- Właśnie. Czy to nie dziwny zbieg okoliczności? Żeby życie Rena było aż tak dokładnym odbiciem życia jego ojca?! A także jego śmierci?!

- Świat jest pełen przedziwnych zbiegów okoliczności, panno Byden. - Ale ten przypadek szczególnie nie podobał się Tiptonowi. Przejrzał dokładnie dokumentację dotyczącą Benny'ego Moralesa, sprawdził wszystkie szczegóły zaledwie kilka godzin przed samobójstwem jego syna. Teraz pomyślał, że gdyby miał jeszcze do dyspozycji dwadzieścia cztery godziny, wydarzenia mogłyby się potoczyć inaczej. - Niemniej to rozwiązuje jeden z pani problemów: wie pani, kto załatwił jej konia.

- Reno nie chciał go zabić. Jestem tego pewna. - Kelsey wypła łyk lemoniady cierpkiej i gęstej, zapewne domowej produkcji pani Tiptonowej. - Ktoś się nim posłużył, kapitanie. To się też często zdarza na tym świecie. Ludzie wykorzystują innych ludzi.

- Nie ma na to kontrargumentów.

Moja matka wykorzystwała Aleca Bradleya, by wzbudzić zazdrość mojego ojca, by udowodnić swoją niezależność, a nawet żeby wywołać plotki. Zastanawiam się jednak, w jaki sposób wykorzystywał ją Alec Bradley.

Dziewczyna nie jest głupia, ma ścisły umysł, pomyślał Tipton. Wziął kawałek papieru ściernego i zaczął nim trzeć zaokrąglony fragment drewna.

- Jest piękną kobietą.

- Nie mam na myśli seksu, kapitanie. Gwałt nie jest seksem. Obruszył się.

Zasapał.

- Być może. Jedynym dowodem na to, że chodziło o gwałt, było zeznanie pani matki.



- Wierzę jej. Pan również. Czy kiedykolwiek zadał pan sobie pytanie, dlaczego -

jeśli mówiła prawdę - dlaczego Alec Bradley wybrał właśnie tę szczególną noc, by ją zaatakować? Widywano ich razem od wielu tygodni. Ona nie należy do tego typu kobiet, które spotykają się z mężczyzną, mimo że ten je molestuje. Albo grozi, że wykorzysta je seksualnie.

Tipton kontynuował ścieranie drewna. To będzie bujany fotel dla wnuczki na urodziny we wrześniu.

- Jeśli mówiła prawdę, panno Byden. Jeśli. Bradley dużo wypił. Pokłócili się na oczach wszystkich. Ona chlusnęła w niego szampanem i go odprawiła. To wszystko, razem biorąc, mogło sprowokować takiego mężczyznę jak Alec Bradley. - Tipton delikatnie zdmuchnął trociny. - Ale, jak już powiedziałem, nie ma na to dowodów.

- A rozdarty peniuar? A ślady pobicia? - Kelsey zdenerwowała się, widząc, że kapitan wzrusza ramionami. - W porządku, mogła to zrobić sama. Ale jeśli nie, jeśli jej uwierzymy, jak dowieść prawdy? Sprawdził pan oczywiście przeszłość Bradleya.

Czy była w jego życiu inna kobieta, ktoś, kogo wykorzystał seksualnie lub zaatakował, albo coś, co mogłoby przeważać szalę na korzyść Naomi?

- Nie natknąłem się na nic takiego w jego życiorysie. Ale wiele gwałtów nie wychodzi na jaw. Zwłaszcza ten ich rodzaj, o jakim pani mówi. Coś pośredniego między randką a gwałtem.

Nie przypadło mu szczególnie do gustu to określenie. Połączenie randki i gwałtu, zażyłości i gwałtu sprowadzało ten występny czyn do nazbyt przyjacielskiej kategorii.

- Poza tym dwadzieścia lat temu nastawienie ludzi było inne. Bradley nie cieszył się dobrą opinią, ale nie dlatego, że uciekał się do przemocy. Miał poważne długi - ciągnął Tipton, jakby rozmawiał z samym sobą. - W czasie kiedy zaczął się widywać z pani matką, częściowo je spłacił. Około dwudziestu tysięcy dolarów. Ale potrzebne mu było co najmniej dwa razy tyle, by wyjść na czysto.

- Zatem potrzebował pieniędzy. A moja matka je miała.

- Nigdy nie prosił jej o więcej niż parę tysięcy. - Tipton odstawił drewno na bok.

- To jest jej oświadczenie. Nigdy nie wziął od niej większej kwoty. I to mi się wydało dziwne. Ponieważ wyciąganie pieniędzy od kobiet stanowiło jego drugą naturę.

- Może czekał na odpowiednią chwilę. Albo... spodziewał się pieniędzy z innego źródła.

- To jest myśl! - Tipton wyciągnął z tylnej kieszeni batonik, przełamał go na pół

i podzielił się z Kelsey. - Aż dziw, że nie poszedłem dotąd tym śladem. Wciąż się zastanawiałem, skąd wziął te dwadzieścia tysięcy. Mógł wygrać na wyścigach. Ale wiem z dobrego źródła, że przegrywał wszystko, co udawało mu się wygrać, i że na ogół były to groszowe stawki. Lubił się przechwalać - dodał Tipton z ustami pełnymi czekoladowego batonika. - Dawał ludziom do zrozumienia, że robi świetne interesy.

Takie tam gadanie, jak zdążyłem się zorientować.

- A jeśli mówił prawdę, jeżeli chodziło tu o jakieś finansowe układy z moją matką? - Zastanawiając się nad tym, Kelsey dużymi krokami przemierzała pomieszczenie. - Ona miała go dość i powiedziała mu o tym. Wpadł w panikę, chciał ją zmusić, by zmieniła decyzję. Bo gdyby z nim skończyła, oznaczałoby to również koniec interesu. A on potrzebował pieniędzy. Wiele osób o tym wiedziało. Ale kto mógł go wykorzystać przeciwko mojej matce?

Urwała. To pytanie zapadło głęboko w jej świadomość. Zaciśnęła rękę, w której trzymała kartonowy kubek, kompletnie go zgniatając.

Odgrzebywanie starych spraw często bywa kłopotliwe - stwierdził życzliwie Tipton. - Czasami odnajdujemy coś, czego wolelibyśmy nie dotykać. Nigdy nie odkryłem powiązania Aleca Bradleya z pani ojcem. A przecież badałem sprawę i pod tym kątem. Miałem oficjalne zezwolenie na wgląd w konto bankowe pani ojca, które sprawdziłem bardzo starannie w poszukiwaniu owych dwudziestu tysięcy dolarów. I nic. Założyliśmy również podsłuch telefoniczny. Nigdy żadnej rozmowy z Alekiem Bradleyem.

- Mój ojciec nigdy nie zrobiłby czegoś podobnego! - Wargi Kelsey były zeszywniałe i zimne. - Nigdy!

- Wszystko wskazuje na to, że ma pani rację. Tyle że znowu całe odium spada na pani matkę.

Musi być jeszcze jakieś inne wytłumaczenie. - Kelsey odwróciła się gwałtownie.

- Wiem, że jest jakieś inne wyjaśnienie.

- Może i tak. I może je pani znajdzie. Ale czy będzie z niego zadowolona? -

Westchnął i wyciągnął do niej rękę, by odebrać zgnieciony kubek. - Trafiłem na jedno jedyne powiązanie Philipa Bydena z wydarzeniem z tamtej nocy w Three Willows. To Charles Rooney.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY**

Nie ulegało wątpliwości, że coś jest nie w porządku. Pojawiła się u niego po zmroku, mówiąc tylko, że chce z nim spędzić czas. To byłoby zbyt proste, żeby mogło być prawdziwe, pomyślał Gabe.

Wzrok miała chłodny, a uśmiech nazbyt promienny. Jej pragnienia, sprawiające mu zawsze tak wielką rozkosz i radość, były dzikie, nieomal szalone.

Oddała się miłości z obłądnym zapamiętaniem, na próżno starając się ukryć pod nim rozpacz.

Tak jakby chciała się oczyścić, uwolnić od czegoś. Odpowiedział na jej potrzeby. Ich ciała się zespoliły, lecz gdy oderwali się od siebie i w milczeniu odpoczywali, żadne z nich nie czuło prawdziwego zadowolenia.

- Czy jesteś już gotowa? - zapytał ją Gabe.

Odwróciła głowę, szukając chłodnego miejsca, na którym mogłaby położyć rozpalony policzek.

- Gotowa?

- Żeby mi opowiedzieć, co cię tak gryzie.

- Co może mnie gryźć? - Jej głos był matowy, znużony. - Człowiek, którego znałam, którego lubiłam, zabił się kilka dni temu.

- Nie pytam cię o Rena. Pytam o ciebie.

Położyła się na plecach. Spojrzała w górę, na niebo. Tej nocy nie świecił

księżyc, przysłoniły go chmury.

- Kochał swojego ojca - zaczęła. - Nawet go nie znał, a jednak go kochał.

Wierzył w niego. Wszystko, co robił Reno, miało związek z tą wiarą i tą miłością.

Ślepa, niekwestionowaną wiarą i miłością. - Westchnęła. - A kiedy zdał sobie sprawę, że źle ulokował swą wiarę, nie mógł już dłużej żyć.

Poruszyła się nerwowo.

- Może lepiej byłoby, gdyby się tak nie angażował? Lepiej dla niego, dla wszystkich. Gdyby nie ruszał przeszłości?

- To zależy, jak głęboka była jego potrzeba. I co znalazł na końcu swej drogi. -

Gabe dotknął jej włosów, nawinął je na palce. - To dotyczy ciebie, prawda Kelsey?

Ciebie i Naomi.

- Dla niej ta sprawa jest skończona. Dlaczego więc ja nie mogę się od tego uwolnić? Przecież nie cofnę czasu, nie zwrócę jej straconych lat! Straconych dla nas obu. Zabiła Aleca Bradleya. Powinnam to po prostu przyjąć do wiadomości. A to nie daje mi spokoju!

Znowu się poruszyła, potem usiadła. Podciągnęła kolana. Objęła je ramionami w tak przejmującym geście samoobrony, że Gabe poczuł ból w sercu.

- Więc odpuść to.

Odpuścić to - powtórzyła za nim. - Tak nakazywałby rozsądek. W końcu cokolwiek złego zrobiła, jakkolwiek błąd popełniła, już za to zapłaciła. Nie znałam jej wtedy, a raczej nie pamiętałam, że ją kiedyś znałam. Co więc sprawia, że chcę do tego wrócić, wyjaśnić to, uporządkować? Czy w ogóle mam takie prawo? Ona jest szczęśliwa. Ojciec również. Nie będą mi wdzięczni, że grzebię się w ich przeszłości.

Czy wolno mi rozdrapywać stare rany, by zaspokoić własną idiotyczną potrzebę dotarcia do prawdy i sprawiedliwości?!

Zacisnęła powieki, przycisnęła twarz do kolan.

- Przecież prawda i sprawiedliwość tak często się rozmiągają!

- Powinny iść w parze. Jedną z najcudowniejszych twoich cech jest właśnie to pragnienie, by prawda i sprawiedliwość zawsze szły w parze. - Przeciągnął ręką po jej karku i ramionach. Wyczuł w nich ogromne napięcie. Zaczął ją masować. - Co cię tak wzburzyło, Kelsey?

Oddychając głęboko i spokojnie, opowiedziała o swojej wizycie u Tiptona. Nie przerywał jej, starając się nie okazywać gniewu, że udała się tam bez niego.

- Martwisz się więc, że twój ojciec był w to jakoś wplątany.

- To niemożliwe, Gabe! - Poderwała głowę. W ciemności jej oczy błysnęły wyzwaniem i prośbą o zrozumienie. - To niemożliwe, Gabe. Nie znasz go, nie wiesz, że to do niego niepodobne.

- Nie, nie znam go. - Odsunął się gwałtownie i sięgnął po cygaro. - Nie dopełniliśmy tej małej formalności.

Przeciągnęła ręką po włosach. Choć niezamierzenie, to jednak go zraniła.

- To, co jest między tobą i mną, stało się tak szybko, tak nagle. W dodatku moja sytuacja, rodzinna sytuacja, jest wyjątkowo niezręczna. Ale to wcale nie oznacza, że ukrywam cię przed nim.

Daj sobie z tym spokój. - Gabe chwycił zapalniczkę i zapatrzył się w jej płomień.

- Daj sobie z tym spokój - powtórzył spokojniej. - To nie jest najważniejsze. I nie to mnie martwi. Powinienem być ci towarzyszyć u Tiptona. Powinienem być tam razem z tobą.

- To był impuls. - To prawda, a przynajmniej częściowa, pomyślała. - Może wolałam pojechać tam sama. Może było mi to potrzebne. Nie chcę, żeby mnie ochraniało, Gabe. Robiono to przez całe życie, bez mojej wiedzy. Nie mogę dalej żyć w ten sposób.

- Między ochroną a wsparciem jest zasadnicza różnica. Pragnę, potrzebuję tego, Kelsey, żebyś się na mnie oparła. Podobnie jak potrzebna jest mi świadomość, że mogę się oprzeć na tobie. Ujęła po chwili jego rękę.

- Czy musisz mieć rację?

- Chyba tak. - Podniósł koniuszki jej palców do ust. - Co zamierzasz?

- Najchętniej bym o wszystkim zapomniała, dała sobie z tym spokój. Ale nie mogę. Muszę poznać prawdę. Dopiero potem, niezależnie od tego, co odkryję, będę mogła żyć. - Przyłożyła dłoń do jego dłoni, porównując ich wielkość, po czym spleli swoje palce. - Zamierzam odwiedzić jutro po

południu Rooneya. Pojedziesz ze mną?

Kolejne kłamstwa, pomyślała Kelsey. Tym razem pretekstem stała się suknia ślubna.

- Będiesz nią zachwycona. - Naomi wyjęła bladolawendową wizytówkę. - Na odwrocie jest imię ekspedientki, lisa. Na miejscu wykonują poprawki.

- Wspaniale.

- Jeśli ta ci nie będzie odpowiadała, z pewnością znajdziesz sobie coś innego.

To fantastyczny butik. Aha, rozmawiałam z dostawcą w klubie. Wiem, że przyjęcie ma być skromne, ale jakieś jedzenie musi być. Opracuje kilka zestawów menu do wyboru.

I... - Wyciągnęła kolejną listę. - Oczywiście, Gabe ma wspaniały ogród i wrodzony talent do hodowli roślin, ale chciałabym jeszcze dokupić trochę ciętych kwiatów i kompozycji dla uzupełnienia całości. Wybierz kolory, to będziemy mogli zamówić, co ci się spodoba.

- Doskonale.

- Posłuchaj. - Śmiejąc się z samej siebie, Naomi odłożyła na biurko wszystkie papiery. - Bez opamiętania wczułam się w rolę matki panny młodej. Chyba jestem nieznośna.

Kelsey zmusiła się do uśmiechu, starając się zarazem nadać pogodny wyraz oczom.

- Ależ skąd, jestem ci bardzo wdzięczna. Nawet takie małe, kameralne wesele w domu wymaga dopilnowania wielu szczegółów...

- Z którymi sama doskonale byś sobie poradziła - dokończyła Naomi. - Wiem, że miałaś prawdziwie bajkowe wesele, Kelsey, i że zależy ci na tym, żeby to było inne.

- Tak, to prawda. - Kelsey obracała w ręce wizytówkę, po czym, z poczuciem winy, włożyła ją do kieszeni. - Candace wszystkim się zajęła. Nie zostawiła mi nic do roboty; moim zadaniem było tylko pokazać się i wziąć udział we własnym weselu. -

Zrobiło jej się wstyd. - Jestem niewdzięczna i niesprawiedliwa. Ona była naprawdę wspaniała.

- Ale tym razem wolałabyś się tym zająć sama.

- Szczerze mówiąc, chciałabym mieć na to jakiś wpływ. Co jednak nie znaczy, że zamierzam sama decydować o wszystkim.

Nigdy nie myślałam, że dana mi będzie taka szansa. Planowanie wesela własnej córki! - Zdecydowanym ruchem Naomi zgarnęła papiery i położyła na nich mosiężny przycisk. - Powstrzymaj mnie po prostu, jeżeli za bardzo się zagalopuję. A... -

przysiadła bokiem na biurku - wracając do sukni. Obiecuję, że nie powiem słowa, jeśli ci się nie

spodoba. Ale raczej to nie wchodzi w rachubę. A teraz już lepiej idź, zanim się wproszę, żebyś mi pozwoliła pojechać ze sobą zamiast Gabe'a.

Razem kupimy suknię dla ciebie - obiecała Kelsey, dokładając nowe poczucie winy do starego. - Może podczas weekendu.

- Z radością. - Odprowadzając córkę do drzwi, Naomi musnęła ręką jej ramię. -

Wykorzystam sytuację i pomęcę cię na temat fotografa. A teraz idź i spędź miło czas.

Kelsey coś wybąkała. Gdy wyszła, Gabe właśnie podjeżdżał.

Będziemy musieli się jeszcze zatrzymać po drodze - poinformowała go, wyjmując wizytówkę.

- Zakupy? - Uniósł ze zdziwieniem brew.

- Dla uspokojenia sumienia.

Ale to nie pomogło. Nawet gdy się okazało, że w sprawie sukni Naomi miała absolutną rację. A być może właśnie dlatego.

W każdej innej sytuacji suknią podniosłaby Kelsey na duchu. Bładoróżowy jedwab, elegancka popołudniowa długość, prosty fason, podkreślony kropelkami drobnych perełek. Zdaniem lisy suknia została zaprojektowana i wykonana jakby z myślą o Kelsey. A czy ten kapelusz nie pasuje do niej cudownie? - sugerowała ekspedientka. Można by jeszcze pozwolić sobie na małą fanaberię i dopiąć do niego zalotną woalkę, doskonałą na intymne wesele pod gołym niebem.

No i oczywiście buty. Klasyczne atłasowe pantofelki w kolorze sukni. A jakie kwiaty będzie trzymać? Jeszcze nie wie? Śliczne byłyby białe róże. Panna młoda ma prawo do bieli. Czy zabierze suknię i kapelusz ze sobą, czy woli, żeby je odesłać?

Wzięła je ze sobą. Cała transakcja odbywała się jakby we śnie. To było takie dziwne. A zarazem tak proste.

- Nie pokazałaś mi się w sukni - odezwał się Gabe, gdy wracali do samochodu.

- Bo to przynosi pecha - odparła machinalnie, po czym stanęła, przyciskając ręce do rozpalonych policzków. - Boże, czyżbym właśnie kupiła suknię ślubną?

- Zdaje się, że tak. - Ujął jej ramię i odwrócił ją ku sobie. - Masz jakieś wątpliwości?

- Nie, nie. Nie chodzi o ciebie ani o nas. To wszystko dzieje się tak szybko.

Właśnie kupiłam suknię ślubną i kapelusz. Do tego pantofle w kolorze sukni. I jeszcze nie miałam nawet okazji, by powiadomić rodzinę.

- Możesz to naprawić choćby dzisiaj. Jeśli tylko chcesz. - Ułożył pudła w bagażniku.

- W porządku. - Pokiwała głową i sięgnęła do klamki, by otworzyć drzwi samochodu. Wtedy zamknął jej rękę w swojej i przyciągnął ku sobie.

- Może to nam przyniesie szczęście. - Wsunął jej na palec pierścionek - prosty pojedynczy brylant o prostokątnym szlifie, obwiedziony złotą obwódką wysadzaną małymi rubinami. - Moje kolory. Teraz już nasze. Dopełniam formalności.

Łzy napłynęły jej do oczu. To nic, że prażyły ich gorące promienie letniego słońca, i że stali pośrodku parkingu. Dla niej ta chwila była tak romantyczna jak przejażdżka łodzią przy świetle księżyca.

- Jest przepiękny. Niepotrzebnie mi go kupiłeś.

- Kupiłem go dla siebie.

Rich skulił się w swoim samochodzie na parkingu i obserwował. Widział

ofiarowanie pierścionka, uścisk i czuły pocałunek. Pociągnął łyk z piersiówki.

Pomyślał z goryczą, że stanowią ładną parę. Jego syn i córka tej dziwki.

To z winy Gabe'a znowu musi uciekać, zwijać żagle i przemykać się ukradkiem.

Na razie trzeba się wstrzymać z triumfalnym wjazdem do Vegas. Podobno gliny za nim węszą. To wszystko, co udało mu się wyciągnąć z Cunninghama, gdy wyciskał od niego kolejne dwa tysiące.

Niech węszą, pomyślał Puch, uruchamiając zapłon, gdy jaguar zaryczał przed startem. Tylko najpierw muszą go znaleźć! Nie, mój panie, gdy tylko Rich Slater załatwi pewien drobny interes, wali prosto do Meksyku.

Ruszył z miejsca, nie spuszczając z oczu jaguara.

- Będziemy ostrzy i natarczywi - zakomunikowała Kelsey Gabe'owi gdy przebijali się przez gęsty ruch na szosie. - Rooney nie raczył odebrać żadnego z moich telefonów.

- A więc będziemy ostrzy i natarczywi.

- Uważasz, że tracę czas?

- Najważniejsze, co ty sama uważasz. Skoro chcesz z nim rozmawiać, będziemy rozmawiać.

Wyprostowała się w fotelu, popędzając go w myślach i zarazem pragnąc odwlec moment konfrontacji.

- Chcę wiedzieć, jak dalece mój ojciec był zaangażowany w dochodzenie Rooneya. Czy tatuś znał Aleca Bradleya, czy tylko o nim wiedział. Muszę to wszystko uporządkować sobie w głowie. Nie sądzę, by mogło to mieć jakikolwiek wpływ na przebieg wydarzeń tamtej nocy, ale muszę to

wiedzieć.

- Możesz zapytać ojca.

- Zrobię to, wcześniej czy później. Ale teraz wolałabym... - Zamilkła.

Wyprostowała się gwałtownie i pochyliła do przodu, a Gabe tymczasem skręcał na parking pod budynkiem, w którym znajdowało się biuro Rooneya.

- O co chodzi?

- Widziałeś ten samochód? Ten, który właśnie ruszył?

Gabe rzucił okiem we wsteczne lusterko w momencie gdy samochód skręcał w lewo i włączał się do ruchu ulicznego.

- Czarny lincoln?

- Moja babcia. - Kelsey potarła gęsią skórę na ramionach. - To samochód babci. Prowadził jej kierowca. Poznałam go.

- W tym budynku jest wiele innych biur, Kelsey.

- Ostatnio aż roi się od dziwnych zbiegów okoliczności. Nie. - Potrząsnęła głową, patrząc wprost przed siebie, a Gabe już podjeżdżał na wolne miejsce. - Nie wierzę w cuda. Była u Rooneya! Muszę wiedzieć, po co.

Kiedy szli do windy, Gabe wziął ją pod rękę. Była kłębkim nerwów i złości.

- Jeśli wpadniesz tam jak bomba, przerazisz go śmiertelnie.

- Będzie, co ma być. - Weszła do windy i nacisnęła guzik. Sposób, w jaki podeszła do recepcjonistki w wyłożonym pluszem biurze Rooneya, stwarzał wrażenie, jakby miała przy sobie naładowaną broń.

- Kelsey Byden i Gabriel Slater do pana Rooneya. Kobieta uśmiechnęła się grzecznościowo.

- Czy jesteście państwo umówieni?

- Nie.

- Przykro mi, panno Byden, panie Slater...

- Proszę się nie przejmować - przerwała jej Kelsey i oparła się o biurko w sposób równie profesjonalny jak uśmiech recepcjonistki. - Proszę mu tylko powiedzieć, że tu jesteśmy. I że nie wyjdziemy stąd, dopóki się z nami nie zobaczy. O, może mu pani także wspomnieć, że właśnie widziałam moją babkę, którą stąd wychodziła. Milicent Byden.



To podziało jak wytrych. W ciągu dziesięciu minut zostali wprowadzeni do biura Rooneya. Tym razem nie wstał zza biurka, powitał ich jedynie niecierpliwym skinieniem głowy.

- Przyszli państwo nie w porę. Obawiam się, że nie będę mógł poświęcić wam więcej niż pięć minut.
- Mogliśmy uzgodnić odpowiedniejszy termin, panie Rooney, gdyby tylko odpowiadał pan na moje telefony.
- Panno Byden. - Zdobywając się na maksymalną cierpliwość i opanowanie, Rooney oparł ręce na biurku. Udało mu się osiągnąć wygląd człowieka, który żebrze. -

Próbowałem zaoszczędzić nam obojgu czasu i kłopotów. Nie mogę pani w niczym pomóc.

- Dlaczego znalazł się pan tam owej pamiętnej nocy, panie Rooney? Jak pan widzi, ciągle powracam do tego samego pytania. Może dlatego że wszystko wydarzyło się tak dawno, a ja patrzę na to z innej perspektywy niż ci, którzy byli w to zamieszani.

Dlaczego więc właśnie tej nocy? Tej szczególnej nocy?

- To była rutynowa inwigilacja. Taki sam sens miałyby pytanie, dlaczego pani matka wybrała tę szczególną noc, by zastrzelić Aleca Bradleya.
- Znam odpowiedź na to pytanie. - Kelsey z uporem trwała przy swoim -

Zastanawiam się, czy pan ją zna. Ile naprawdę pan widział?

- To wszystko znajdzie pani w aktach. - Wstał, dając im do zrozumienia, że ich czas się skończył. - Nie mogę pani w niczym pomóc.
- Jak daleko mój ojciec kazał się panu posunąć? Czy pochwalał pańską decyzję wtargnięcia na teren należący do mojej matki i szpiegowanie jej przez okna?
- Płacą mi za robienie użytku z mojej własnej oceny sytuacji.
- Musiał pan bardzo dobrze poznać w tamtych tygodniach moją matkę i Aleca Bradleya, skoro ich pan śledził. Czy kiedykolwiek śledził go pan również samego? Czy widział pan z kim się spotyka, z kim rozmawia, kto może dawał mu pieniądze?

Nie mógł wydobyć głosu. Nie mógł przełknąć śliny, która zaschła mu w gardle.

- Zostałem zatrudniony, by śledzić pani matkę - wyrzucił wreszcie z siebie.
- Ale on stanowił część tego dochodzenia. Czy mój ojciec dobrze go znał?

Rooneyowi zeszywniały szczęki.

- O ile wiem, nie znali się.

Udając opanowanie, Kelsey uniosła jedynie brew.

- Nie interesował go mężczyzna, z którym jego żona rzekomo miała romans?

- Żona, z którą był w separacji. Nie. W tym czasie pana Bydena obchodziło tylko jedno - jego dziecko.

- Ale kiedy mu pan doniósł...

- Składałem raporty jego adwokatom. Nie wiem, czy osobiście je czytał, czy nie.

Nie chciał być w to zamieszany. - Na ustach Rooneya pojawił się nikły uśmiech. -

Uważał, że wynajęcie detektywa uchybia godności.

- Ale jednak pana zatrudnił.

- Być może uznał, że cel uświęca środki. Mam teraz spotkanie. Przepraszam państwa.

- W jakim celu była u pana moja babka?

- To sprawa poufna.

- Jest pana klientką?

- Nie mogę pani pomóc - powiedział Rooney, akcentując każde słowo, a jego rozbiegane oczy przenosiły się z Gabe'a na nią i z powrotem.

Gdy został sam, usiadł za biurkiem, z trudem łapiąc powietrze. Sięgnął do kieszeni i wyjął pastylkę, by choć trochę zneutralizować uczucie pieczenia w żołądku.

Jak do tego doszło? I to po tylu latach? Przecież był ostrożny, przestrzegał

zasad gry. Przestrzegał ich z żelazną konsekwencją przez dwadzieścia trzy lata. W jaki sposób ta jedna noc dopadła go teraz niczym przyczajony tygrys?

Poderwało go na dźwięk dzwonka. Był zły na siebie. Jak może stawić czoło sytuacji, skoro zawodzą go nerwy! Odpowiedział na sygnał.

- Panie Rooney. Pewien dżentelmen chce się z panem widzieć. Nie był

umówiony, ale twierdzi, że jest pańskim dawnym przyjacielem. Mam panu powtórzyć, że to stary Rich.

Nie znam żadnego... - Znowu zaschło mu w gardle, zwilgotniały dłonie. Przez jedną oszalałą minutę rozglądał się po biurze w poszukiwaniu drogi ucieczki, ale przecież ucieczki nie było. Był tak samo przyparty do muru jak szklanooka ryba na jego ścianie.

- Przyślij go, proszę, i odbieraj moje telefony.

- Tak jest, proszę pana.

Wchodząc do pokoju Rooneya, Rich promieniał.

- Kopę lat!

- Czego chcesz?

Rich usiadł, oparł nogi na biurku.

- Przybrałeś na wadze, Charlie. Całkiem nieźle wyglądasz. Dawniej przypominałeś trochę stracha na wróble. Dlaczego nie miałbyś zafundować staremu kumplowi drinka?

- Czego chcesz? - powtórzył Rooney.

- No cóż, na początek powiesz mi, czego chcieli od ciebie mój syn i ta jego ślicznotka. - Wyjął papierosa. - Potem zobaczymy, co dalej.

- Nie czuję się ani odrobinę lepiej - odezwała się Kelsey, wsiadając do samochodu. - Może powinnam się cieszyć, że choć wynajął tego człowieka, sam trzymał się z dala, by nie zbrukać swojej godności? Albo powinnam odetchnąć, że nie miał nic wspólnego z Rooneyem ani z Alekiem Bradleyem?

- A może raczej powinnaś się zastanowić, dlaczego Rooney był taki zdenerwowany.

- Zdenerwowany? Był zimny, opryskliwy i zirytowany, ale nie zdenerwowany.

- Musiał zaciskać ręce, żeby opanować ich drżenie. - Gabe wyjechał z parkingu tyłem. - W budynku była klimatyzacja, a on się pocił. Miał tak mocno zaciśnięte szczęki, że aż drgały mu końce warg. Blefował, próbował nas przechytryć. - Gabe zapłacił za parking i wyjechał na ulicę. - Zdradziły go tylko te drobne szczegóły. A także oczy. Miał spojrzenie kogoś, kto trzyma w ręku falsyfikat, udając, że to oryginał.

Zaintrygowana i zafascynowana Kelsey przyglądała mu się z najwyższą uwagą.

- I tego wszystkiego nauczyłeś się dzięki hazardowi?

- To jest dar. Coś musiało go śmiertelnie przerazić.

- A zatem musimy się dowiedzieć, co to takiego. - Westchnęła. - Zatrzymaj się przy budce telefonicznej, Gabe. Myślę, że już czas spotkać się w rodzinnym gronie.

Milicent wzięła od syna kieliszek sherry i wspaniałomyślnie poklepała go po ręce.

- Nareszcie się opamiętała. Nie rób takiej zmartwionej miny, Philipie.

Naprawdę jestem gotowa puścić w niepamięć te wszystkie ostatnie miesiące. W końcu ona jest Byden. - Usiadła, westchnęła i wypła łyżeczek. - To zew krwi.

- Mam nadzieję, że przyjdzie razem z Channingiem. - Candace podeszła do okna i nerwowym ruchem strzepnęła koronkową firankę. - Nie widzę powodu, żeby on tam został, skoro Kelsey wraca do domu.

- Channing robi to, co uważa za słuszne. - Philip położył delikatnie rękę na ramieniu Candace. Jakaś jej część chciała strząsnąć z siebie tę dłoń, ale jej druga, głębsza część nie mogła znieść myśli o kolejnych ostrych słowach między nimi.

- Chcę, żeby był szczęśliwy, Philipie. Wiesz o tym przecież.

- Oczywiście, że wiem.

- Chłopak zmieni zdanie - zapewniła ich Milicent. - To młodzieńcza przekora, nic poza tym. Może także trochę sentymentalizm. Też mi! Weterynarz! To mu przejdzie.

Jednym eleganckim ruchem ręki oddaliła marzenie Channinga.

- Wyobraź sobie, że gdy Philip był chłopcem - pamiętasz kochanie? - chciał

zostać baseballistą. O niczym innym nie mówił.

- Pamiętam - odparł półgłosem. Miał wtedy szesnaście lat, ogromny zapał i pomimo powierzchowności mola książkowego, potężne uderzenie. Oczywiście, marzenie to zostało unicestwione w fazie embrionalnej. Byden nie może zostać zawodowym sportowcem. Powołaniem Bydena jest wolny zawód.

- Channing pójdzie po rozum do głowy, tak jak to zrobił Philip. Twoim błędem, droga Candace, jest niedostateczne egzekwowanie władzy nad nim.

- Channing skończył już dwadzieścia jeden lat - zauważyła sztywno Candace.

- Matka zawsze pozostaje matką. - Milicent uśmiechnęła się dobroduszenie, gdy u drzwi rozległ się dzwonek. - A oto pewnie wraca twoja marnotrawna córka, Philipie.

Pozwól, by najpierw przeprosiła. Od razu poczuje się lepiej. A potem powitamy ją z otwartymi ramionami.

Ale gdy Kelsey z Gabe'em u boku weszła do salonu, bynajmniej nie wyglądała na osobę skruszoną i skłonną do przeprosin. Uśmiechnęła się do ojca, po czym podeszła, by pocałować go na powitanie. Wykonała również dyplomatyczny ruch, obejmując najpierw Candace, a dopiero potem zwracając się ku babce.

Dziękuję, że zechciałaś się ze mną spotkać, babciu. - Pochyliła się i pocałowała lekko upudrowany policzek Milicent. - Babciu, tatusiu, Candace, to jest Gabriel Slater.

Gabe, a to Milicent, Candace i Philip Bydenowie.

- Bardzo mi miło - wyciągnął rękę Philip.

Nie chciałabym być niegrzeczna... - spojrzenie, jakim Milicent obrzuciła Gabe'a, było lodowate - ale wydawało mi się, że spotkaliśmy się dla omówienia spraw rodzinnych.

- Tak, zgadza się. Starych i nowych. Może lepiej będzie, jeżeli zacznę od nowej.

Gabe i ja zamierzamy się pobrać.

Zapadło głucho milczenie, które po chwili przerwał Philip.

- No cóż, to... niespodzianka. Radosna niespodzianka.

- Raczej zaskoczenie - poprawiła go Candace. - Idealnie w twoim stylu, Kelsey.

- Wzruszyła ją jednak myśl o ślubnej wiaźance z kwiatów pomarańczy. - Uważam, że sherry jest nieodpowiednie na tę okazję. Musimy się chyba przetrzucić na szampana.

- Beze mnie - syknęła Milicent. Spod różowego makijażu przebijała bladość jej twarzy. - Nie życzę sobie tak obraźliwego zachowania we własnym domu.

- Mamo... - próbował załagodzić Philip.

- W moim własnym domu! - powtórzyła, uderzając pięścią w oparcie fotela. -

Czy to ma być policzek dla mnie? - zwróciła się do Kelsey. - Czy też wyrafinowana zniewaga? Przyrowadzasz tego człowieka do mojego domu i grozisz, że wprowadzisz go do rodziny?!

Mimo iż Kelsey dobrze znała Milicent, była wstrząśnięta jej reakcją.

- To nie jest żaden policzek, żadna zniewaga ani groźba. To jest fakt. Pobieramy się za kilka tygodni u Gabe'a w domu, w Wirginii. Bardzo bym chciała, żebyście wszyscy byli tam razem ze mną.

- Oczywiście, będziemy. - Chcąc jak najprędzej załagodzić sytuację, Candace włączyła się do akcji.

- Jesteśmy po prostu trochę oszołomieni tak nagłą zapowiedzią, ale za żadne skarby świata nie opuścimy takiej okazji. Mam nadzieję, że pozwolisz, bym ci pomogła w niektórych przygotowaniach.

Dość tego! - Milicent z pasją odstawiła sherry, tłukąc delikatną nóżkę kieliszka.

Pozostałe na dnie krople bursztynowego płynu poplamiły dywan. - Nie będzie żadnego wesela. Chyba dałaś się zwieść atrakcyjnej twarzy, Kelsey! Ale każde wariactwo jest odwracalne. Z trudem łapiąc oddech, starała się panować nad sobą.

Ponieważ nie było oficjalnych zapowiedzi, niepotrzebne będzie sprostowanie -

ciągnęła. - A pan - pokazała na Gabe' a - pan może sobie oszczędzić zakłopotania, opuszczając od razu ten dom.

- Nie sądzę - odparł spokojnie. - Proszę się nie krępować.

- Oboje wychodzimy. - Trzęsąc się z oburzenia, Kelsey wzięła go za rękę. - To był błąd. Cokolwiek miałam do powiedzenia mojej babce, powiem jej to przy innej okazji. Nie powinnam była cię tu przyprowadzać i narażać na taką zniewagę.

- Daj spokój. - Gabe podniósł jej rękę do ust i pocałował tuż nad pierścionkiem.

- Pozwól jej skończyć.

- Proszę o wybaczenie. - Philip stanął między fotelem matki a córką. -

Rzeczywiście spadło to na nas nieoczekiwanie. Może lepiej będzie, jeśli kiedy indziej o tym porozmawiamy.

- Nie wstawiaj się za nią. - Milicent podniosła się i podeszła do lśniącego chippendale'owskiego biurka. - Za długo ją osłaniasz. Czas spojrzeć prawdzie w oczy.

- Właśnie to robię - wycedziła Kelsey. - Od pewnego czasu.

- Zatem wyciągnij z tego wniosek. - Milicent wyjęła z biurka plik dokumentów.

- Zebrałam niemało informacji na pański temat, panie Slater. Niemało. Zawodowy hazardzista, syn wędrownego pijaka bez określonych środków utrzymania i sprzątaczkę. Włóczęga, którego wychowała ulica i który siedział w więzieniu za nielegalny hazard. - Zaciskając w ręce kartki, wpatrywała się w Gabe'a lodowatym, pełnym potępienia wzrokiem.

- Być może rozwinął pan w sobie smak do lepszych rzeczy, może je nawet pan zgromadził, ale to nie zmienia faktu, kim pan jest.

- Nie, nie zmienia - przyznał Gabe. - Podobnie jak urodzenie się w ich otoczeniu nie miało wpływu na to, kim pani jest.

Rzuciła papiery na biurko.

- Proszę się wynosić z mojego domu!

Zaczekaj. - Ręka Kelsey zacisnęła się konwulsyjnie na ramieniu Gabe'a. - Jak śmiesz! Jak śmiesz wtykać nos w prywatne życie Gabe'a! I w moje!

Zrobię wszystko, co niezbędne, by chronić nazwisko Bydenów. Ty zaś, pomimo nagłego poczucia więzi i przywiązania do tej kobiety, nadal nazywasz się Byden.

- Ta kobieta jest moją matką! Czy przeciwko niej również zgromadziłaś dossier? - zapytała Kelsey. -

Czy węszyłaś za paskudnymi drobnymi historyjkami, by rzucić je ojcu w twarz i powstrzymać go przed małżeństwem i z nią?

- W tej sprawie, ku mojemu wielkiemu ubolewaniu, po raz pierwszy w życiu nie posłuchał mnie.

Milicent pomyślała, że tamta scena do złudzenia przypominała obecną. Philip krzychał na nią i postawił jej ultimatum - albo wyrazi zgodę na poślubienie wybranej przez niego kobiety, albo utraci syna.

- Nie, nie posłuchał - powtórzyła. - A skutki okazały się przerażające.

- Jednym z nich jestem ja - odparowała Kelsey. - Czy to w tej sprawie byłaś dzisiaj po południu w biurze Rooneya?

Milicent oparła się ramieniem o biurko.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Widziałam cię. Wynajęłaś go znowu, prawda? Żeby szpiegował Gabe'a, żeby się grzebać w jego przeszłości!

- Zebranie informacji to tylko zło konieczne, by przywołać cię do rozsądku -

broniła się Milicent.

- Otóż wiedz, że marnujesz pieniądze. Bo dla mnie to nie ma znaczenia. Już dawno wiem wszystko na jego temat.

- Jesteś więc bardziej podobna do matki, niż przypuszczałam. Zaslugujesz na to samo, co ją spotkało.

- Masz rację. - Kelsey zwróciła się ku ojcu. - Czy przestałeś ją kochać, tatusiu, czy może pozwoliłeś, żeby cię od niej odsunęto?

- Kelsey, to było dawno i już się stało - odparł zdławionym głosem, niepewny, jakiej udzielić odpowiedzi. - I z całego serca proszę o wybaczenie za to wszystko. -

Wstrząśnięty i zakłopotany spojrział na Gabe'a. - Oboje was przepraszam.

- Przepraszasz?! - rzuciła się Milicent. - Już ci powiedziałam, jakiego pokroju jest ten człowiek. Posłużyła się nim, żeby poniżyć rodzinę, a ty ich jeszcze przepraszasz?!

- Tak. - Philip spojrział ze smutkiem na matkę. - Przepraszam za ciebie, za to, że chłosciesz nas rodzinnym nazwiskiem niczym biczem. Nazwiskiem, które zawsze znaczyło dla ciebie więcej niż coś tak zwykłego i naturalnego jak szczęście.

Błada jak śmierć Milicent trzymała się kurczowo brzegu biurka.

- Nie życzę sobie, żeby mój syn, w moim własnym domu odzywał się do mnie w ten sposób. - Znowu jej wzrok spoczął na Kelsey. - To jej wina. To wina Naomi.

Kelsey wolno pokiwała głową.

- Być może. Przykro mi. Nie wrócę tutaj. Jedźmy do domu, Gabe.

Kelsey! - Zaczerwieniona Candace wybiegła za nimi i zatrzymała ich w drzwiach. - Proszę cię, nie potępiaj ojca.

- Staram się, jak mogę.

- Nigdy by nie dopuścił do tego, gdyby wiedział... Przecież znasz go, wiesz, jakim jest człowiekiem.

Kelsey zajrzała w jej strwożone oczy.

- Tak, wiem. Candace, zawsze uważałam, że oboje bardzo do siebie pasujecie.

Uzupełniacie się, wspieracie w trudnych sytuacjach. - Pochyliła i delikatnie pocałowała ją w policzek. - Dotąd nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo go kochasz.

Nie dostrzegałam tego, choć powinnam. Powiedz mu, że zadzwonię do niego później, dobrze?

- Tak. Tak, powiem mu. Kelsey? - Candace uśmiechnęła się trochę krzywo, ale jednak się uśmiechnęła. - Wszystkiego najlepszego, dla was obojga.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY**

To rzeczywiście jest rodzina, kochanie. - Proszę cię, Gabe. - Gdy dojechali do Three Willows, Kelsey wysiadła z samochodu, z niezwykłą starannością zamykając drzwi. - Nie czas na żarty.

- Wcale nie miałem zamiaru żartować. Pozwoliłem ci się wygadać przez pierwszą połowę drogi do domu, a przez drugą ochłonąć z wrażenia. To powinno ci wystarczyć.

Ale bynajmniej nie wystarczyło.

- Nie chodzi o mnie. Na dobrą sprawę wcale nie chodzi o mnie. Chodzi o ciebie.

- Na Boga! - Szybkim ruchem objął ją ramieniem. - Nie takie rzeczy przeżyłem.

Ona nie sprowadziła do Rena tej rewiowej dziewczyny ani nie zaaranżowała wypadków w El Paso.

- To marny argument. - Coś jednak zastanowiło Kelsey. - Jaka rewiowa dziewczyna?

- Zwróciłaś na nią uwagę! - Uścisnął ją prawie po bratersku. - W każdym razie spodobał mi się twój ojciec i macocha. Dwa do trzech to wcale niezły wynik.

Zupełnie zbita z tropu patrzyła na niego ze zdumieniem.



- Nawet nie jesteś zły. Nawet nie masz jej za złe, Gabe. A przecież wynajęła detektywa, żeby grzebał się w twoim życiu, żeby zebrał przeciwko tobie dowody, jakbyś był jakimś kryminalistą.

- I co osiągnęła, Kelsey? Wiedziałaś o mnie wszystko, co najgorsze, i nawet mnie broniłaś. To tak, jakbym odkrył swoje karty w najlepszym rozdaniu, w jakim kiedykolwiek zdarzyło mi się brać udział.

- To nie tłumaczy jej zachowania.

- Ale odniosła niezamierzony skutek. Spójrz na to z mojego punktu widzenia; może co nieco z tego pojmuję, bo nigdy nie musiałem bronić rodzinnego nazwiska.

Teraz już zupełnie przestała go rozumieć.

- Czyżbyś trzymał jej stronę?

- Nie. Uważam po prostu, że wykonała niewłaściwy ruch. W rezultacie będzie ją to drożej kosztowało niż mnie.

Kelsey zdmuchnęła energicznie grzywkę z czoła.

- Zdaje się, że jestem tępą i potrzebuję więcej czasu, by to zrozumieć! Wyjmij z bagażnika moją suknię, proszę. Może choć jedną osobę uda nam się dzisiaj uszczęśliwić.

- A może mógłbym zaprosić was obie na kolację? - Potarł kciukiem pierścionek na jej palcu. Lubił na niego patrzeć. - Na małą, uroczystą kolację?

- Czemu nie? Idę jej powiedzieć.

Wbiegła do domu, jednym szybkim ruchem strząsając z siebie przykrości dnia.

Będąc w połowie schodów, usłyszała Naomi.

- O, tam jesteś. - Trzymając się poręczy, Kelsey zbiegła na dół. - Miałaś bezbłędne wyczucie, jeśli chodzi o suknię. Gabe wyjmuje ją właśnie z samochodu, a następnie zaprasza nas na kolację. Nie udałooby się wyciągnąć Moseśa ze stajni?

Naomi stała w korytarzu, splatając nerwowo palce.

- Musimy porozmawiać. Chyba lepiej usiądźmy.

- Co się stało? O Boże, coś z koniem? Justice miał trochę świszczący oddech, ale dałam mu to, co polecił Moses.

- Nie chodzi o konia, Kelsey. Wejdz, proszę, i usiądź.

Znowu powróciła obcość. Chłodna, kontrolująca się kobieta, jak ta, która zaprosiła ją niegdyś na herbatę. Kelsey ruszyła za nią.

- Jesteś na mnie zła.

- Nie, nie sędzę, by słowo „zła” było właściwe. - Naomi obrzuciła wzrokiem Gabe'a, który ukazał się w drzwiach.

- Myślę, że byłoby lepiej, gdybyśmy porozmawiały o tym na osobności.

- Nie ma niczego, czego nie mogłabyś mi powiedzieć w obecności Gabe'a.

- Niech będzie. - Naomi podeszła do okna. Zbierała się w sobie. Potrzebna jej była koncentracja, pełna samokontrola - umiejętności, które pozwoliły jej przetrwać więzienie. - Był do ciebie telefon.

Gertie odebrała wiadomość. Zostawiła kartkę na biurku w twoim pokoju.

Weszłam tam kilka minut temu po listę gości.

Kiedy odwróciła się od okna, jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Przepraszam, że ją przeczytałam. To było niezamierzone. Po prostu leżała tam i mój wzrok padł na nią przypadkowo.

- Dlaczego nie powiesz mi wprost, kto do mnie dzwonił?

- Charles Rooney. Wiadomość jest pilna. Chce się z tobą skontaktować najszybciej, jak to możliwe.

- Pozwolisz, że rzucę na tę kartkę okiem?

- Proszę. - Naomi wyciągnęła rękę. - Nie mogę uwierzyć, żeby po przeszło dwudziestu latach to było aż tak pilne. Widziałaś się z nim?

- Tak. Dwukrotnie.

- Po co, Kelsey? Czy nie odpowiedziałam na wszystkie twoje pytania?

- Tak, odpowiedziałaś. I dlatego między innymi musiałam się z nim widzieć.

Właśnie dlatego że odpowiedziałaś na moje pytania.

- A ty? - Z błyskiem złości w oczach zwróciła się do Gabe'a. - A ty ją do tego zachęciłeś?

- To nie jest kwestia zachęcania, lecz zrozumienia.

- Co wy możecie zrozumieć? - zapytała Naomi z goryczą. - Czy któreś z was może to pojąć? Nawet nie wyobrażacie sobie, co poczułam, widząc to nazwisko na biurku Kelsey. Przez ponad dziesięć lat starałam się o wszystkim zapomnieć. Dużo mnie kosztowało, by rozgrzebać to na nowo, przeżyć to

jeszcze raz. Ale pomyślałam sobie - miałam taką nadzieję - że jest to cena jaką płacę za odzyskanie córki. Czy to jeszcze nie wystarczy?

- Nie chciałam cię zranić. Przykro mi, jeżeli tak się stało. Poszłam do niego, bo chciałam ci pomóc, bo liczyłam, że dowiem się czegoś, co zmieni obraz tej sprawy.

- Niczego nie można tu zmienić.

- A jeśli widział tamtej nocy coś, o czym nie powiedział policji? Jeżeli zachował coś w tajemnicy?

Wzburzona Naomi przysiadła na oparciu sofy.

- Czy naprawdę wierzysz, że znajdziesz coś, co oczyści moje imię? O to ci chodzi, Kelsey? O wypranie rodzinnych brudów po czasie? - Uśmiechnęła się lekko, potarła oczy. - Boże, co teraz można zmienić? Nie przywrócisz mi jednej sekundy tamtego straconego czasu. Nie wymażesz plotek, drwin i oskarżających spojrzeń. To już się stało - oznajmiła, opuszczając ręce. - To jest martwe i pochowane, jak Alec Bradley.

- Nie dla mnie. Zrobiłam, co uważałam za słuszne. A skoro Rooney zdecydował

się ze mną widzieć, to znaczy, że ma coś ważnego. Nie chciał ze mną dzisiaj rozmawiać. Był zdenerwowany, może nawet wystraszony.

- Nie zajmuj się tą sprawą.

- Muszę. - Podeszła do matki, ujęła jej lodowate dłonie. - Nie tylko o to chodzi.

To, co się stało z Pride'em i z Renem, do złudzenia przypomina wydarzenia z przeszłości. Twój koń, Benny Morales - to wszystko, niczym upiorne echo, odezwało się po latach. Co więcej, nawet policja rozpatruje możliwość związku między obiema sprawami.

- Policja... - Z twarzy Naomi zniknęła ostatnia kropla krwi. - Rozmawiałaś z policją?

Kelsey puściła ręce matki. Cofnęła się.

- Widziałam się z kapitanem Tiptonem.

- Tipton... - Naomi nie zdołała opanować drżenia. - O Boże.

- On ci wierzył. Powiedział mi, że ci wierzył.

- Bzdura! - Naomi poderwała się, drżąca. - Nie byłaś tam, w tym koszmarnym pokoju, bombardowana pytaniami, w kółko, w kółko i w kółko. Nikt mi nie uwierzył, a już z pewnością nie Tipton. Gdyby tak było, dlaczego wsadzili mnie do więzienia?

- Nie potrafił tego udowodnić. Fotografie...

- Wracamy do Rooneya - przerwała Naomi. - Czy naprawdę sądzisz, że możesz odwrócić przebieg tamtych wydarzeń? Znaleźć zapomniany lub przeoczony klucz, który pozwoli ci wykazać, że broniłam swojego honoru? - Waliło jej serce, drżał głos. -

Otóż nie. Nie możesz. Niezależnie od tego, jak bardzo się wysilisz, nic z tego nie wyjdzie. Bo nie będę w stanie przejść przez to ponownie. Po prostu nie będę w stanie.

Opuściła pokój i poszła na górę. Chwilę później usłyszeli trzaśnięcie drzwiami.

Co ja najlepszego zrobiłam! - Kelsey opadła na fotel, zamknęła oczy. - Tak strasznie namąciłam!

- Nie, nie namąciłaś. Włożyłaś tylko kij w mrowisko. Może nie na próżno.

- Odnalazłyśmy się po długim marszu. Ona i ja odbyłyśmy tak długą drogę, Gabe. A ja wszystko zniszczyłam.

- Naprawdę tak uważasz?

- Nie wiem. - Podniosła rękę do góry i opuściła je z powrotem. - Zaczęłam to wszystko, żeby znaleźć odpowiedź. Bo przecież miałam prawo wiedzieć. I w jakimś momencie zboczyłam z drogi, przekonując samą siebie, że robię to dla niej. Ale myślę, że punkt wyjścia był słuszny. Chciałam to wszystko pozbierać w całość. Oczyścić z wątpliwości. Bo jeśli ja jej wierzę, każdy powinien uwierzyć.

- Nie obwiniaj się, Kelsey. - Gabe podszedł do niej i przysiadł na oparciu fotela.

- Powiedz, co zamierzasz dalej.

Wzięła głęboki oddech.

- Zadzwoń do Charlesa Rooneya. Muszę doprowadzić to do końca.

Spotkali się z nim w barze. Nie w jakiejś obskurnej, przesiąkniętej zapachem alkoholu speluncie, stwarzającej atmosferę sprzyjającą potajemnemu spotkaniu, lecz w miejscu pełnym ozdobnych roślin, odpowiadającym potrzebom urzędników.

Rooney zrobił wszystko, wykorzystał wszelkie znane mu triki, by mieć pewność, że nikt go nie śledzi.

Kiedy wchodzili do środka, dopijał swój pierwszy dzin z tonikiem. Znalazł się w poważnych kłopotach i wiedział o tym. Po wyjściu Richa Slatera przesiedział wiele godzin, opracowując plan zniknięcia. Znał się na rzeczy, miał kontakty, a obecnie doszła motywacja.

- Panie Rooney.

- Siadajcie. Polecam tutejsze wino.

- Świetnie - odparła Kelsey i skinęła głową na kelnerkę.

- Proszę kawę - dodał Gabe. - Z ekspresu. Powiedział pan, że to pilne -

przypomniał detektywowi.

- Tak powiedziałem. - Rooney zamówił kolejną szklankę. Jeszcze jednego strzemiennego, pomyślał. Zaplanował, że już jutro rano będzie się delektował

zapachem mimozy w Rio. - Obawiam się, że byłem lekko wytrącony z równowagi, wykonując ten telefon, ale miałem za sobą ciężki dzień - samych nieoczekiwanych wizyt w biurze. Szczególnie ostatnia nie należała do przyjemnych. Jestem detektywem od ponad dwudziestu pięciu lat. To szmat czasu. Zetknąłem się z wieloma interesującymi przypadkami. Nigdy nie musiałem używać broni. - Dwukrotnie odpukał w drewniany stół. - Lubię swoją pracę, zawsze ją lubiłem. W tym zawodzie trudno o dobrą klientelę. Pewna klasa ludzi, odpowiednia klasa ludzi, zwykle stara się utrzymywać w tajemnicy kontakty i powiązania z osobami zajmującymi się taką pracą jak moja. Zatrudniają nas z takim samym uczuciem zażenowania i wstrętu jak kogoś do tępienia karaluchów. Obchodzi ich wynik oczywiście, ale rzadko kiedy chcą rozmawiać o sposobach osiągnięcia celu. Chociaż są i tacy, którzy wolą uczestniczyć w tym czynnie. Przerwał, gdy podawano im napoje.

- To fascynujące, Rooney - podsumował Gabe - ale czy aż tak bardzo pilne?

- Milicent Byden - podjął detektyw, patrząc na zaciskające się wargi Kelsey - to kobieta przywykła do dyrygowania służbą, wydawania poleceń, sprawdzania kwalifikacji ludzi.

Wiemy, że zatrudniła pana w celu zebrania materiału przeciwko Gabe'owi. -

Kelsey spluknęła winem przykry smak w ustach. - Nie za bardzo się pan popisał. Proszę nam wierzyć, nie była zachwycona rezultatami pańskiej pracy.

- Bez trudu wytrąciliście jej atuty z ręki, prawda? - Rooney zdawał się cieszyć z tego powodu. Zaśmiał się nad swoją szklanką. - Może jednak jest jakaś sprawiedliwość na tym świecie. No, ale była zachwycona za pierwszym razem. Nawet bardziej niż zachwycona.

- Za pierwszym razem?

- To pani babka zatrudniła mnie w sprawie przyznania opieki nad panią.

Według moich informacji był pan zatrudniony przez adwokatów ojca.

- Przez jej adwokatów, panno Byden. Niech pani nie zapomina, że to byli również jej prawnicy. W ten sposób mogła wywierać presję.

Wyjął plasterek cytryny z dzinu i wycisnął sok do szklanki.

- Wykonałem zlecenie dla kogoś z jej znajomych. Sprawa rozwodowa. Widać uznała, że dobrze się wywiązałem, doceniła moją dyskrecję. Byłem zadowolony z jej propozycji. Odpowiadała mi ta

praca. Byłem ambitny, na tyle jeszcze młody, że mogła mi imponować - tym, kim była, kim był jej mąż, jak również wysokością kwoty, na jaką opiewał czek.

Otrząsnął się i sięgnął do miseczki wypełnionej preclami w kształcie chińskich liter.

- Nie wiedziałem, że przywiązuje pan taką wagę do tego, kto panu płaci -

zauważyła Kelsey.

- O tak. Nigdy nawet nie spotkałem pani ojca. Widziałem go na rozprawie, ale nigdy nie zetknąłem się z nim osobiście. Takie było życzenie pani babki. A ona umiała twardo stawiać na swoim. Chciała się pozbyć pani matki, usunąć ją za wszelką cenę z jego życia, a także z pani życia. I wymyśliła zupełnie prosty sposób. Moim zadaniem było śledzić Naomi, fotografować ją, pisać sprawozdania. I nic poza tym, jak mi powiedziała Milicent Byden. Ale ja jestem dobrym detektywem, panno Byden. Już wtedy byłem dobry i odkryłem więcej.

- Więcej? - Kelsey odniosła wrażenie, jakby drzwi uchylono szerzej, i przeraziła się, bardzo się przeraziła, co ujrzy za nimi.

- Na wyścigach nietrudno jest dowiedzieć się o tym i owym. Jeden z moich informatorów pozyskał dane na temat Bradleya. Wiedział, że nie zna on umiaru w grze i że ma długi wobec pewnych podejrzanych ludzi. Bradley nie potrafił utrzymać języka za zębami, no i się wygadał. Chwalił się, że rozpracowuje jakiś poważny interes.

Potrzebna jest mu do tego tylko piękna kobieta i będzie ustawiony. Bradley i mój informator przypadli sobie do gustu. Nie obracali się w tych samych kręgach, ale ulepieni byli z tej samej gliny. Bradley paplał za dużo, mój informator nakłaniał go po przyjacielsku do dalszych zwierzeń, a następnie odsprzedawał mi informacje.

- Bardzo okrężną drogą zmierza pan do mety, Rooney - zauważył Gabe.

- Postaram się być zwięzły. - Detektyw rozluźnił uwierający go krawat. -

Postępowanie o przekazanie opieki nad dzieckiem było w toku. Sąd nie lubi odbierać dziecka matce. Być może Naomi lubiła przyjęcia, może lubiła mężczyzn, ale gdy było przy niej dziecko, nie przesadzała ani z jednym, ani z drugim. Miała pieniądze i środki, znalazłoby się więc sporo osób, które by poświadczyły, że jest dobrą, nawet oddaną matką. A Bydenom potrzebny był ktoś, kto przechyliłby szalę na ich stronę. I tak Milicent odszukała Bradleya.

- Moja... - Kelsey musiała odczekać chwilę, by odzyskać głos. - Moja babka znała Aleca Radleya?

- Tak. Znała go. Znała jego rodziców. Znała jego charakter. Wynajęła więc Radleya, by uwiódł pani matkę. By ją zwabił i sprowokował kompromitującą sytuację; taką, która postawiłaby pod znakiem zapytania jej moralność i zalety macierzyńskie.

Pod stołem Kelsey ścisnęła kurczowo rękę Gabe'a.

- Oświadcza pan, że moja babka zapłaciła Alecowi Bradleyowi? Zapłaciła, żeby... Dlaczego miałabym panu wierzyć?

- Może pani wierzyć lub nie. - Było mu wszystko jedno. Po prostu uprzątał

swoje biurko, jeśli tak można powiedzieć, by wycofać się z interesu. - Przyszła pani po odpowiedź, panno Byden. Proszę nie mieć do mnie żalu, jeśli to, co mówię, nie zadowala pani. Milicent Byden dała Bradleyowi dwadzieścia tysięcy dolarów z góry.

Kelsey jęknęła cicho, słysząc tę kwotę.

- Kłopot polegał na tym, że Naomi nie dała się złapać na haczyk, w każdym razie nie w taki sposób, w jaki chciałoby tych dwoje. Trzymała Radleya na dystans. W

miarę jak sprawa o opiekę nad panią nabierała rumieńców, Milicent potrzebowała argumentów. Znalazła więc dodatkowy element, który dorzuciła do całości. Zdarzył

się wypadek na torze. Zginął koń, zginął dżokej. Opinia publiczna zwróciła się przeciwko Chadwickom.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że obie sprawy były ze sobą powiązane? -

wtrącił Gabe.

- Wszystko było powiązane. Bradley potrzebował gotówki, ale Milicent przykręciła kurek, dopóki nie dostarczy jej konkretnych dowodów. Wtedy on i jego kumpel z wyścigów ukartowali mały spisek. Kiedy padł koń, Bradley zgarnął jakieś odpadki, ale nie otrzymał oczekiwanej premii, gdy okazało się, że sympatia i współczucie są po stronie Naomi. Milicent wyznaczyła mu ostateczny termin.

Rooney przyglądał się resztkę drinka, zastanawiając się, czy pofolgować sobie i zamówić kolejną szklaneczkę. Mając jednak przed sobą dwie godziny do odlotu, postanowił zachować trzeźwą głowę.

- Poleciała mi przygotować aparat i film, i czekać pod domem Naomi. Najpierw poszedłem do klubu, gdzie zobaczyłem, jak Bradley odgrywa scenę zazdrości.

- Odgrywa? - powtórzyła Kelsey.

Osobie bezstronnej łatwiej dostrzec intrygę. Poza tym dostałem cynk od mojego informatora. To się miało odbyć tej nocy. Bradley chciał Naomi rozdrażnić.

Nie sądzę, by podejrzewał, że ona potraktuje go z góry; zanadto zajęty był własną osobą. Kiedy pani matka wyszła z klubu, poszedł za nią. W domu nie było nikogo.

Zgodnie z instrukcją miałem robić zdjęcia, ale tylko takie, które przesądziłyby sprawę na korzyść Bydenów.

- Instrukcja od mojej babki - powtórzyła matowym głosem Kelsey.

- Zgadza się. Na początku wszystko zapowiadało się dobrze. Otworzyła mu drzwi w peniuarze, wpuściła do środka. Wypili drinka, on roztaczał swoje wdzięki.

Zrobiłem dobre zdjęcie, gdy się całowali. Nie zadałem sobie jednak fady, by zrobić następne, kiedy pokazywała mu drzwi. To nie należało do moich obowiązków. Zaczęli się kłócić. Dochodziły mnie urywki zdań, gdy głośno krzyczała. Kazała mu się wynosić.

Powiedziała, że między nimi wszystko skończone. Wtedy złapał ją i zaczął się do niej dobierać.

Rooney podniósł wzrok na Kelsey.

- W pewnej chwili pomyślałem nawet, żeby się tam dostać i ich rozdzielić. Ona była w tarapatach. Nie miałem cienia wątpliwości, w jakiego rodzaju tarapatach. Ale nie zrobiłem tego. Wykonywałem swoje zadanie. W każdym razie ona sama się obroniła. Była wściekła, bardziej wściekła niż przerażona. Krzyczała na niego, zrobiła ruch w stronę telefonu, ale on znowu ją zaczął napastować. Bez wątpienia zdawała sobie sprawę, jakie są jego zamiary. Uciekła.

Przerwał, otarł ręką usta.

- A on wiedział, że tam jestem. Ten skurwiel dobrze o tym wiedział. Wychylił

się przez okno i wskazał w ten sposób - Rooney podniósł palec w kierunku sufitu. -

Chciał mi w ten sposób dać znać, że będą na górze. Zrobiłem więc to, do czego zostałem wynajęty. Wszedłem na drzewo. Niczego nie słyszałem oprócz walącego serca. Nie dopuszczałem do siebie żadnych myśli. To była robota, ważna robota, jedna z tych, które miały mnie wynieść wysoko. Przecież ta kobieta się o to prosiła, czyż nie?

- wmawiałem to sobie. Prosiła się o to, bo go zwodziła, dawała mu nadzieję...

- Wiedział pan, że chce ją zgwałcić - przerwała Kelsey. - Wiedział pan. I nic nie uczynił.

- To prawda. - Rooney dopił resztkę dzinu. - Weszła do sypialni, a raczej wpadła pośpiesznie. Wtedy już była przerażona, choć nadal wściekła. Rozdarto przezroczysty szlafrok opadał jej z ramion. Wszedł zaraz po niej. Uśmiechał się.

Spoglądał na nią przyjaźnie, wyglądał nawet na skruszonego. Widziałem ich w obramowaniu okna, patrzących na siebie, skoncentrowanych na sobie. Ona w rozdartym peniuarze, on w rozpiętym fraku. To wyglądało prowokacyjnie. A nawet seksownie. Nie wiem, co do niej mówił, ale ona potrząsnęła głową. Cofała się. Sięgnął

do spodni, jakby chciał rozpiąć rozporek. Wymierzyła mu policzek. - Rooney zwilżył

wargi. - Zrobiłem to ujęcie. On jej oddał. Tego jednak nie sfotografowałem. - Rooney zawiesił głos. Nie przypuszczał, że dokładne odtworzenie wydarzeń tamtej nocy, krok po kroku, tak bardzo go poruszy. Wtedy czuł wstyd i strach, a teraz po prostu wstyd.



- Naomi odskoczyła. Na chwilę straciłem ją z pola widzenia. Bradley podniósł rękę do góry. Nadal się uśmiechał, ale już nie tak przyjaźnie. Znów ją zobaczyłem. Z rewolwerem.

- Wtedy zacząłem pstrykać jedno zdjęcie po drugim. Bałem się. Wciąż ich fotografowałem, także po strzale, a nawet kiedy już nic nie było widać.

- To była samoobrona. - Kelsey wbiła palce w dłoń Gabe'a. - Mama powtarzała to przez cały czas.

- Tak, to była samoobrona. Być może, być może mając w ręce broń, zdołałaby utrzymać go na dystans. Ale ona była przerażona. Była osaczona. Sądzę, że gdyby te wszystkie fakty wyszły na jaw, nie mogliby jej nawet oskarżyć o zabójstwo. A już na pewno by jej nie skazali.

- Ale fakty nie wyszły na jaw.

- Nie. Przekazałem to wszystko Milicent Byden. Kiedy szedłem do niej do domu w środku nocy i wyciągałem ją z łóżka, nie zastanawiałem się nad tym. Nalała mi brandy, poprosiła, żebym usiadł. Następnie wysłuchała uważnie, co miałem jej do powiedzenia. Od początku do końca. Pochwaliła, że spisałem się na medal. Kazała mi odczekać dzień lub dwa, zanim pójde na policję.

- Wiedziała - wyszeptała Kelsey. - A więc o wszystkim wiedziała!

- Sama to wyreżyserowała. Gdyby Naomi nie została od razu aresztowana, miałem zanieść glinom film i złożyć oświadczenie. Miałem im opowiedzieć, co widziałem; tylko to, co widziałem, bez żadnych przypuszczeń czy jakiegokolwiek interpretacji. A następnie poinstruowała mnie, co widziałem: kobietę ubraną prowokacyjnie, przyjmującą radośnie kochanka w pustym domu. Potem wspólny drink, pocałunek. A następnie kłótnię. Kobieta była zazdrosna, to nie ulegało wątpliwości już po scenie w klubie. Weszła na górę, jej kochanek za nią. Chciał ją przeprosić, obiecać poprawę, może ją uwieść. W ataku wściekłości kobieta wyjęła rewolwer i go zabiła. Milicent dała mi tej nocy kolejne pięć tysięcy dolarów w gotówce, a także obietnicę licznych referencji.

Błada jak kreda Kelsey poderwała się od stolika i trzymając się za brzuch, zniknęła za drzwiami toalety.

Gabe odprowadził ją wzrokiem. Poczul, jak zaciskają mu się dłonie.

- Jest pan odrażający, Rooney. Kilka tysięcy dolarów i parę imponujących nazwisk! I to wszystko za podglądanie zaplanowanego gwałtu i dopilnowanie, by jego niedoszła ofiara znalazła się za kratkami!

- To jeszcze nie koniec - oznajmił Rooney. - Poczekajmy na Kelsey.

- A swoją drogą, dlaczego zdecydował się pan opowiedzieć to wszystko właśnie teraz? Jeszcze parę godzin temu nie miał pan nam nic do powiedzenia.

- Wszystko się skomplikowało. Nie lubię być przyciskany do muru z dwóch stron naraz. - Rooney wzruszył ramionami. - Kiedy to wyjdzie na jaw, o czym jestem przekonany, będę zawodowo skończony. Wolę więc się wycofać z interesu parę lat wcześniej, niż przewidywałem, i nie mieć już nic na sumieniu.

- Zastanawiam się - głos Gabe'a był chłodny, pozornie obojętny - czy zrobić z pana miazgę, czy też po prostu pozwolić panu z tym żyć.

Rooney podniósł szklankę. Powoli wysączył roztopione kostki lodu.

- Wszyscy dokonujemy wyboru, Slater. Pan jest hazardzistą. Czy wchodzi pan do gry jeśli wie, że karty są znaczone?

- Chyba mówimy o zupełnie różnych grach. - Gabe wstał, by przepuścić Kelsey na jej miejsce.

- Wszystko w porządku. Przepraszam. - Była jeszcze blada, lecz opanowana.

- Proszę mówić dalej - zwróciła się do Rooneya.

- Dalszy ciąg będzie równie przykry. Milicent Byden nie zatrudniła mnie tylko po to, bym zebrał materiał na pana, Slater. To było później. A parę miesięcy wcześniej zaangażowała mnie natychmiast po tym, jak Naomi Chadwick skontaktowała się z Kelsey.

Dziewczyna zacisnęła wargi. Znowu poczuła skurcz w żołądku.

- Nie rozumiem - powiedziała cicho. Ale pomyślała, że chyba jednak rozumie. Z

przerażeniem oczekiwała, co nastąpi dalej.

- Miałem się tym zająć w trybie przyspieszonym - ciągnął Rooney. - Za wszelką cenę nie można było dopuścić, byście się porozumiały. Pani i Naomi.

- A jak chciała temu zapobiec?

- Ponieważ od wyjścia Naomi z więzienia, nie można było niczego jej zarzucić, Milicent postanowiła wykorzystać przeszłość. Po zastrzeleniu Bradleya przekazałem jej moją dokumentację. Całą dokumentację. Było tam dużo różnych szczegółów. Nie tylko dotyczących Naomi. Jak pani widzi, sumiennie wywiązuję się z obowiązków.

Przekazałem jej też informacje na temat Bradleya i jego współnika. O ustawionej gonitwie, moich podejrzaniach co do udziału w tym Cunninghama. Kiedy babka przywołała panią do porządku, Kelsey, a pani nie okazała posłuszeństwa, postanowiła wykorzystać te wiadomości.

- Jak? - Zebrała się na odwagę Kelsey. - Niech i to pan powie.

- Kazała mi odnaleźć starego przyjaciela Bradleya i skusić go obietnicą dobrego zarobku. Nie powiedziała, o jaką robotę chodzi, ale łatwo się domyśliłem. Powtarzała się stara historia.

Ustawiona gonitwa, martwy koń. Plotki i podejrzenia skierowane przeciw Naomi. I przeciwko panu.  
- Dźgnął palcem Gabe'a. - Milicent nie życzyła sobie widzieć pana w pobliżu swojej najbliższej krewnej.

Kelsey miała się naocznie przekonać, jak brudnym i bezwzględny sportem są wyścigi konne, i zrażona szybko wrócić do domu.

- Ale tak się nie stało. - Kelsey czuła piekące łzy w oczach, lecz zapanowała nad nimi. Nie teraz. Jeszcze nie. - To znaczy, że za tym wszystkim stała Milicent? Za śmiercią Pride'a? I, o Boże, Micka?

- No cóż, nawet taka kobieta jak Milicent nie miała wpływu na postępowanie człowieka pozbawionego wszelkich zasad. Można powiedzieć, że wydarzenia wymknęły jej się spod kontroli. Była wzburzona śmiercią stajennego. Groziła mi Bóg wie czym, tak jakbym sam zasztyletował tego biednego faceta. - Na samo wspomnienie Rooney potrząsnął głową. - Tym razem chodziło jej o konia. O

przypomnienie zbrodni, o skandal; chciała dać pani nauczkę.

- Z mojego powodu - wyszeptała Kelsey. - To wszystko z mojego powodu.

- Jest pani ostatnią z rodu Bydenów - zauważył Rooney. - A dla niej to najwyższa wartość. Do Naomi zaś wciąż żywi wściekłą nienawiść. Gdyby mogła jeszcze raz ją zniszczyć i odzyskać władzę nad panią, nie cofnęłaby się przed niczym.

Pożyczyła Cunninghamowi pieniądze na kupno Big Sheby. Dołożyła mu jeszcze, by mieć go na każde zawołanie, przekonała do współpracy z człowiekiem od brudnej roboty. Nie była tym zachwycona - dodał Rooney. - Wiązanie się z takim typem, nawet na odległość, bynajmniej jej się nie uśmiechało. Ale cel uświęca środki.

- Mam wrażenie, jakbym nie znała kobiety, o której pan mówi - wycedziła Kelsey. - Mam wrażenie, że jej nie rozpoznaję. Jak mogła zniszczyć życie tylu osób?

- Chodziło o władzę nad nimi - poprawił ją Rooney. - Patrzyła na wszystko wyłącznie pod tym kątem. A ja się zgodziłem jej wysługiwać. - Potarł ręką oczy. - Za pierwszym razem byłem młody, gorliwy, podatny. Poza tym, do cholery, to była tylko praca. Ale teraz znalazłem się w pułapce. Uświadomił mi to mój ostami dzisiejszy gość. - Rooney dłuższy czas przyglądał się Gabe'owi. - Może się starzeję. Tylko Bóg jeden wie, jak bardzo jestem zmęczony. Gdy więc się u mnie ten typ zjawił proponując nową transakcję, postanowiłem zwinąć interes. A może doszedłem do wniosku, że czas na małą pokutę?

Przybrał surowy wyraz twarzy.

- Chcecie wiedzieć, w jaki sposób syn Benny'ego Moralesa załatwił konia Chadwicków? Jak ktoś o mało nie zrobił tego samego z pańskim koniem, Slater?

Niech pan zwróci uwagę na swój personel, niech pan zwróci uwagę na swojego starego. Ano właśnie - uśmiechnął się blado. - Rich Slater wycisnął wiele szczegółów i tajemnic z Aleca

Bradleya. Gdy Milicent Byden posłała po niego, nie posiadał się z radości, że będzie z nich mógł zrobić użytek, powtórzyć historię raz jeszcze. Zemsta i potrzeba władzy, zemsta i pieniądze. Oto motywy jej i jego. A razem tworzy to diabelską kombinację.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Zatrzymaj się, proszę. Niecały kilometr przed Longshot Gabe zjechał na pobocze. - Znowu ci jest niedobrze?

- Nie. - W każdym razie nie w tym znaczeniu, jakie miał na myśli. - Muszę trochę pochodzić. Przejdiesz się ze mną? - Nie czekając na odpowiedź, wysiadła z samochodu.

Jaka cudowna noc, pomyślała. Nieskazitelna letnia noc na wsi, z kopułą nieba rozjarzoną światłem gwiazd i księżyca. Ani jedna chmurka nie zakłóca tej doskonałości. W powietrzu unosił się zapach kaprylofium, gęsto porastającego ogrodzenie wzdłuż falującego pola. Wysoką trawę ożywiało cykanie świerszczy. Idąc Kelsey czuła miękkie pobocze pod nogami.

- Tego jest za dużo - wyszeptała. - Tego jest po prostu za dużo, by móc to ogarnąć. Jak mam jej to powiedzieć, Gabe? - odwróciła się szybkim ruchem, chwytając jego rękę, jakby w poszukiwaniu ratunku. - Jak mam powiedzieć mojej matce, że wszystko było ukartowane? Że wszystko, co się zdarzyło, stanowiło część planu obliczonego na trzymanie jej z dala ode mnie?

- Po pierwsze - wyciągnął rękę, by założyć jej kosmyk włosów za ucho -  
przestań siebie oskarżać.

- Nie oskarżam się. - Przystanęła, oparła się o płot i spojrzała na ocienione wzgórza. - Ale jestem wściekła, że posłużono się mną, że byłam tylko narzędziem.

Milicent nawet nie myślała o mnie jak o dziecku. Teraz to widzę. Ani jak o dziecku, ani tym bardziej jak o osobie. Progenitura - powiedziała z goryczą. - To wszystko, czym byłam. Czym jestem dla niej. Po prostu następna Byden.

Zaczął coś mówić, chciał ją pocieszyć, lecz zamilkł. Czasami lepiej jest po prostu słuchać.

- Myślę - ciągnęła - naprawdę tak myślę, że chciała mnie pokochać, że się starała i w pewnych okresach jej się to nawet udawało. Ale jej nienawiść do Naomi, a także - o mój Boże, mam nadzieję - poczucie winy, z którym żyła, sprawiły, że nie mogła mnie do końca pokochać. Oczekiwała, że będę godnie nosiła rodzinne nazwisko. Najlepsze szkoły, znajomość sztuki, wyrobienie muzyczne i inne dobrze widziane sposoby spędzania czasu. Moi przyjaciele musieli pochodzić z dobrych rodzin. Może właśnie dlatego nie miałam nigdy nikogo bliskiego. No i jak najmniej sprzeciwu. Każdy przebłysk mojej indywidualności stanowił dla niej odzwierciedlenie cech kobiety, którą zniszczyła.

Kelsey oderwała gałązkę kaprylofium i powoli, systematycznie zaczęła drzeć białe płatki kwiatu.

- Gdy skończyłam dwanaście lat, chciała mnie wysłać do szkoły z internatem w Anglii. Ojciec kategorycznie się sprzeciwił. To był jeden z nielicznych przypadków, kiedy widziałam, jak się kłóć.

Babka krzyczała, że potrzebna jest mi dyscyplina, silna ręka. A ojciec odpowiedział jej na to, że najważniejsze jest, bym miała prawdziwe dzieciństwo.

Westchnąwszy roztarta w palcach postrzępione płatki; w powietrzu rozszedł się słodki zapach.

- Czy zdawała sobie sprawę, że ojca też wykorzystuje? Że jest on jej kolejnym narzędziem? Jaką ponosi odpowiedzialność za zniszczenie jego małżeństwa? Zresztą teraz to już bez znaczenia - powiedziała półgłosem, rozsypując zgniecione płatki. -

Teraz muszę znaleźć sposób, by powiedzieć o tym Naomi. Dlaczego tak się stało, jak i przez kogo. A ojciec? Jemu również muszę powiedzieć, czyż nie? Ma prawo wiedzieć o wszystkim, co wtedy zrobiła Milicent. I o wszystkim, co robi teraz.

Zwróciła się ku Gabe'owi, przytuliła policzek do jego piersi, wdzięczna, że jego ramiona są w pobliżu, że ma ją kto objąć.

- Tak wiele strat. Tak wiele zmarnowanych, zniszczonych istnień. A wszystko z powodu jakiejś potwornej, źle pojętej rodzinnej dumy.

- I jeszcze paru śmiertelnych grzechów - dodał Gabe spokojnie, myśląc o własnym ojcu. - Zawiści, chciwości, pożądania. Zawsze bardziej wierzyłem w szczęście niż w fatum. Ale do zaniknięcia tego kręgu potrzeba było czegoś więcej niż szczęścia. -

Przycisnął ją do siebie, by widzieć jej twarz. - Potrzeba było ciebie i mnie, Kelsey. Od samego początku stanowiliśmy część tego koła.

- A co byłoby, gdybyśmy się nie spotkali? Spróbujesz go odnaleźć, tak? Twojego ojca?

- Muszę.

Możesz zostawić to Rossiemu. - Jej uścisk nagle się wzmocnił. - Gabe, on chce cię skrzywdzić. Jeśli poszedł do Rooneya natychmiast po naszym wyjściu, to znaczy, że nas śledził. Szuka do ciebie dojścia.

- A więc ja odnajdę go pierwszy. To jest moje koło, Kelsey. Muszę je zamknąć.

- A gdybyśmy tak zwrócili się do policji...

- Dlaczego dotąd tego nie zrobiliśmy?

Odwróciła wzrok. Nazbyt dobrze przenikał jej serce, jej myśli.

- W porządku. Muszę najpierw porozmawiać z Naomi, a ty musisz odnaleźć ojca. Wtedy to zakończymy. Chyba lepiej będzie jeśli odwieziesz mnie do domu.

Kiedy zatrzymali się w Three Willows, nie zgodziła się, by jej towarzyszył. Musi to zrobić sama. Poczekał, aż zniknęła w środku, aż zgasło światło przy frontowym wejściu.

On musiał stawić czoło własnym demonom. A pierwszym z nich nie był jego ojciec.

Kelsey spojrzała na górę. Było późno. Naomi z pewnością leżała już w łóżku.

Poczeka z tym więc do rana. Jedna noc więcej... Oczywiście było to tchórzostwo.

Westchnęła i pomaszerowała do kuchni. Najpierw zaparzy sobie herbatę. To dobra okazja, by spokojnie przemyśleć, od czego zacząć rozmowę.

- Gertie? - Zdumiała się na widok gosposi wkładającej do zmywarki brudne naczynia.

Och, panna Kelsey, ale się przestraszyłam! - Kobieta przycisnęła rękę do stanika różowego szlafroka.

- Już po północy. Nie powinnaś pracować o tej porze.

- Och, wkładam tylko naczynia. Oglądałam w telewizji film z Bette Davis. Przy okazji zjadłam trochę cytrynowego ciasta i nieźle się popłakałam. - Na samą myśl o tym westchnęła radośnie. - Teraz już nie robią takich filmów jak kiedyś, panno Kelsey.

- To prawda. - Próbując podtrzymać rozmowę, Kelsey podeszła do kuchenki i mechanicznie wzięła czajnik, żeby nalać do niego wody. - Wszyscy już leżą?

- Chcesz się napić herbaty? Pozwól, że ja to zrobię. - Kuchnia była jej niepodzielnym królestwem. Gertie odsunęła Kelsey na bok i postawiła czajnik na ogniu. - Channing pojechał z Mattem Gunnerem. Koń Williamsów dostał zołzy. Nie wiadomo, czy dożyje do rana.

- O, jaka szkoda.

- Niestety, tak to wygląda. - Czekaając na zagotowanie się wody, Gertie ogrzała filiżankę z porcelany. - Muszę jednak przyznać, że Channing był mocno podniecony perspektywą spędzenia połowy nocy w stajni. Powiedziałam mu, że zostawię otwarte drzwi do kuchni i że w lodówce znajdzie spory kawałek zimnej kury.

- Och, będzie w siódmym niebie.

- Cieszę się, że on tu jest.

- Ja też. Potrzebne mi są dwie filiżanki. Jedną zaniosę mamie.

- Och, ona już śpi, kochanie. - Gertie wyjęła rumianek i odmierzyła odpowiednią porcję. - Prawdę mówiąc, była zmęczona i czymś przygnębiona. Dałam jej nawet godzinę temu pigułkę na sen.

- Pigułkę na sen?

- Mówiła, że niepotrzebnie się denerwuję, ale na moje oko wyglądała nie najlepiej. Cała spięta i blada. Sen jej dobrze zrobi. Chcę jeszcze do niej zajrzeć, zanim się położę.

- Ja to zrobię. - Kelsey spojrzała na imbryk z mieszanym uczuciem rezygnacji i ulgi. - No dobrze, w takim razie tylko jedna filiżanka, Gertie. Porozmawiam z nią rano.

- Na pewno będzie już w formie. Jest chyba przemęczona. - Gertie postawiła imbryk na tacy, a obok niego filiżankę ze spodkiem. - Dawno już nie wyglądała tak dobrze i szczęśliwie jak w tych ostatnich miesiącach. To twoja zasługa. Bez względu na wszystko, matka usycha z tęsknoty za swoim dzieckiem.

- Jestem tu teraz.

- Wiem, dziecinko. Nie kładź się zbyt późno.

- Obiecuję, Gertie. Dobranoc.

Zaniosła tacę na górę, postawiła ją w swoim pokoju, po czym zajrzała do matki.

W ukośnie padającym przez okno świetle księżycy dostrzegła Naomi pogrążoną we śnie.

A zatem rozmowę trzeba odłożyć do rana, pomyślała. Wślizgnęła się do swojej sypialni, by doczekać świtu.

Gabe nie poszedł do domu. Udał się wprost do stajni. Zobaczył w kantorku światło, obszedł więc budynek i wszedł po schodach. Otworzył drzwi bez pukania.

Jamison siedział za biurkiem przy papierkowej robocie, ze szklaneczką brandy pod ręką. Podniósł wzrok i zamrugał jak sowa.

- Gabe! Co cię sprowadza o tej porze?

- Mógłbym cię o to samo zapytać.

- No tak. - Nikły uśmiech pojawił się na twarzy Jamisona. Wskazał ręką na leżącą przed nim stertę papierów. - Zawsze się znajdzie coś do roboty. A w nocy łatwiej się skoncentrować. Mam tu dzbanek rozpuszczalnej kawy - dodał. - Możesz go podgrzać.

- Nie. - W żółtym świetle stojącej na biurku lampy Gabe z uwagą wpatrywał się w swojego trenera i przyjaciela. Ostatnie miesiące napięć i zmartwień odcisnęły na nim swe piętno. Cienie pod oczami wyglądały jak sińce, zmarszczki okalające usta były głębokie i ostre, niczym wyrzeźbione nożem.

Nie była to twarz człowieka, który dopiero co doprowadził konia do zdobycia Potrójnej Korony.

- Kręciłem się sporo koło stajni, kiedy tu pracowałem, co Jamie? Łaziłem za tobą i za Mickiem.

- Zgadza się. - Jamison rozluźnił ramiona, które zeszywniały mu pod baczynym spojrzeniem Gabe'a. - Albo zaganiałeś nas do pokera i ogrywałeś do suchej nitki.

- Cunningham, o ile pamiętam, nigdy nie dawał ci spokoju. Jeśli miałeś jednego zwycięzcę, chciał

mieć dwóch. Zawsze tylko więcej i więcej. Pamiętam, jak wciąż powtarzał, że Moses z Three Willows wie, jak dochować się czempionów, i że jeśli ty tego nie wiesz, poszuka sobie kogo innego.

- To był ciężki człowiek do współpracy. Wyhodowałem mu dobre konie, wygrałem wiele gonitw. W latach osiemdziesiątych Try Again zdobył tytuł Konia Roku. Ale Cunningham nigdy nie był zadowolony.

- Chciał mieć zwycięzcę derby. A tego nie zdołałeś osiągnąć. Nawet po stracie przez Chadwicków konia w Keeneland w... kiedy to było? W siedemdziesiątym trzecim... Cunningham był faworytem, nie wykorzystałeś tego.

Głos Gabe'a był spokojny, chłodny.

- Wasz koń przybiegł trzeci, o ile pamiętam. Dopiero trzeci. To musiał być dla ciebie zawód. Po całej tej harówce miałeś prawo spodziewać się, że minie metę pierwszy.

Pamięć o tej porażce wykrzywiła Jamisonowi usta.

- Trzecie miejsce w derby nie przynosi wstydu. Tego dnia koń nie pobił

najlepiej, stracił na ostatniej przeciwległej prostej. A wokół działy się niedobre rzeczy, strasznie niedobre. - Jamison podniósł szklankę i upił brandy. - Po tym jak Benny się powiesił.

- Byłeś z nim związany?

- Byliśmy przyjaciółmi.

- Taak. Przyjaciółmi. - Gabe odwrócił krzesło i usiadł na nim okrakiem. - Jaki był w tym twój udział, Jamie? Wtedy i teraz?

- Do czego zmierzasz?

- Byliście z Bennym blisko. Czy kazałeś ustawić mu gonitwę, czy po prostu przymknąłeś na to oczy? Powiem ci, co myślę - ciągnął Gabe, nie czekając na odpowiedź. - Myślę, że poprosiłeś go o przysługę. Chodziło o to, żeby koń miał lekką przewagę na starcie. Cunningham przypierał cię, może nawet zaproponował ci sporą część wygranej. Albo tak na ciebie naciskał, że mu uległeś. I wtedy pociągnąłeś za sobą Benny'ego Moralesa.

Nie spuszczał Jamisona z oczu.

- Zwycięstwo w derby, Jamie. Coś, czego zawsze pragnąłeś, a czego nie udawało ci się osiągnąć.

- Co ty mówisz, Gabe?! Znasz mnie przecież nie od dzisiaj.

- Znam, Jamie. Znam cię na tyle długo, by wiedzieć, że nic, co się dzieje w stajni, nie dzieje się bez twojego udziału. Nie skojarzyłem tego, co się stało z koniem z Three Willows, z tym, co omalże nie spotkało również mojego konia. Mój błąd -



powiedział, obserwując wilgotne spojrzenie Jamisona. - Nigdy nie podejrzewałem, że mógłbyś zabić konia po to tylko, by wygrać gonitwę. Jakąkolwiek gonitwę.

Wyjął cygaro i oglądał je ze wszystkich stron, a Jamison milczał.

- To mnie zmyliło, Jamie. Aż do wypadku z Renem. On nie wiedział, że dawka była śmiertelna. Podobnie jak i ty. Eliminując Pride'a dawałeś po prostu przewagę mojemu koniowi, prawda? Czy tak to właśnie przedstawił ci mój ojciec? Żebyś dał

sobie szansę na starcie?

Chciałem mieć własne miejsce - wyszeptał Jamison. - Człowiek zasługuje, żeby przejść na swoje po tylu latach pracy dla innych. Każdego innego roku ten koń wygrałby derby śpiewająco. Dlaczego akurat wtedy Moses miał konia, który dorównywał naszemu? Dlaczego?

- Pech. - Gabe zapalił cygaro. Nie odczuwał już żalu ani smutku.

- Chciałeś tego zwycięstwa, Gabe. Nie mów, że nie chciałeś!

- Tak, chciałem. Nie powiem, że nie.

- A powiesz mi, że nie przymknąłbyś oczu na to wszystko, gdybyś o tym wiedział?

Gabe uniósł wzrok. Nie, nie było w nim smutku. Nie było w nim również żalu.

- Jeśli tak uważałeś, dlaczego to przede mną ukryłeś?

- Nie można było przewidzieć twojej reakcji. Tak to nam przedstawił Puch. A skoro nie można przewidzieć twojej reakcji, nie można ci też zaufać. Przypomnij sobie, jak ten koń pobiegł, Gabe - dodał zdesperowany. - Pomyśl o tym. Zgarnął trzy klejnoty i nikt nie był w stanie mu w tym przeszkodzić.

- Jakim kosztem? Tu nie chodzi o martwego konia, Jamie. Tu chodzi o Micka, chodzi o Rena.

Oczy Jamisona były pełne łez.

- Nie miałem z tym nic wspólnego. Jezu Chryste, Gabe, nie możesz uwierzyć, że nie miałem z tym nic wspólnego? Lipsky działał na własną rękę. Dowiedziałem się o tym dopiero po fakcie. Kiedy już było za późno.

Łamał mu się głos. Przez chwilę słychać było tylko jego ciężki oddech. Z trudem powrócił do rozmowy.

- Rich chciał dać ci coś do zrozumienia, ale powiedział mi o tym, gdy było po wszystkim. Nie wiedziałem, że zamierzał dobrać się do Double'a. Bóg mi świadkiem.

Chodziło tylko o konia z Three Willows. Chodziło o skandal, o dyskwalifikację.

Wzruszył ramionami. Czekał, aż Gabe się odezwie. Panująca cisza wprawiała go w coraz większe zdenerwowanie.

- Musisz przyjąć do wiadomości, że to Puch i Cunningham wspólnie wykombinowali. Musisz.

- Słusznie. Muszę.

- Richowi nie wystarczyła dyskwalifikacja. Pieniądze, jakie dostał za ustawienie gonitwy, też go nie zadowolili. Jest chciwy, wiesz o tym. Posłużył się nami, żeby zabić tego konia. Cierpiałem, gdy trzeba go było dobić. Kiedy się zorientowałem do czego byliśmy Richowi potrzebni. I Reno... - Ukrył twarz w dłoniach. - Opiekowałem się chłopcem. Mówiłem mu, że to nie jego wina. Ale nawet nie słuchał. Winny jest Rich.

Wszystkiemu winny. I jeszcze przychodzi tu jak gdyby nigdy nic i zmienia reguły.

- W jaki sposób?

Jamison opuścił ręce. Przeciągnął wierzchem dłoni po ustach i podniósł

brandy. Wypił ją jak lekarstwo.

- Nie chciał, żebyś wygrał Potrójną Koronę, Gabe. Już na samą myśl, że możesz ją zdobyć, dostawał białej gorączki. Powiedział mi, że chodzi o drobiazg, taki sobie mały zakład na boku. Ale naprawdę chodziło mu o pieniądze. Trzymał mnie w garści, czy tego nie rozumiesz? Miał nas obu - mnie i Rena. Uwierz mi: nie zamierzałem skrzywdzić Double'a. Sam wystarałem się o ten środek. Tylko tyle, żeby go wyeliminować.

Zwężone oczy Gabe'a rozbliły.

Tej nocy Kelsey przyszła do stajni. To ty? Ty ją skrzywdziłeś!?

- Nie zrobiłem jej nic złego. Musiałem się jedynie wydostać, zanim mnie spostrzeże. Musiałem też usunąć Kipa. Ale nic mu się nie stało, z wyjątkiem bólu głowy. Kiedy Kelsey weszła, wpadłem w popłoch. Ja tylko...

- Już za to jedno powinienem pogruchotać ci kości, Jamie. - Ruchem szybkim i zwinnym jak wąż Gabe wyciągnął rękę i zacisnął ją na szyi Jamisona. - Za to jedno -

warknął, wzmacniając uścisk.

- Wpadłem w panikę, Gabe. - Przerażony Jamison próbował wyswobodzić się z żelaznego uchwytu. - Jezu, byłem bliski szaleństwa. Czy tego nie rozumiesz?

- Rozumiem wiele rzeczy. - Gabe z obrzydzeniem rozluźnił uścisk. Gdy Jamison chwycił powietrze, brzydkie czerwone cętki, którymi z wysiłku pokryła się jego twarz, zaczęły znikać.

Zastawił na mnie pułapkę. Naprawdę nie pojmujesz? Powiedziałem mu, że nie mogę tego zrobić, a on

na to, że jeśli go nie posłuchamy, drogo za to zapłacimy. Nie miałem wyjścia, choć serce pękało mi z bólu. Próbowałem więc, ale nic z tego nie wyszło. Później miał to zrobić Reno, w dniu wyścigów na Belmont, i on także nie mógł. Jezu, Gabe, on się powiesił. Koń nie jest wart, żeby za niego umierać.

- Ale warto go zabić?

- Powiedziałem ci, że nie chciałem...

- Zachowaj te bajeczki dla siebie - wycodził Gabe. - Wmawiaj sobie, że jesteś ofiarą, Jamie. Że cię wykorzystano. Że to, co się stało z Bennym Moralesem, z Mickiem i z Renem, a nawet z Lipskym, to po prostu nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

A potem przekonaj się, czy możesz żyć z tą świadomością! - Podniósł się, kopniakiem odsuwając krzesło.

- Co zrobiłem, to zrobiłem. Ale teraz się sprzeciwiłem. Właśnie dzisiaj wieczorem ostro mu się postawiłem.

- O czym ty mówisz? - zachnął się Gabe.

- Rich był tutaj. Niecałą godzinę temu. Oczywiście pijany. Bełkotał. Odgrażał

się, że zabije konie, podpali stajnie. Bóg jeden wie, do czego byłby zdolny, gdybym go nie powstrzymał.

Gabe obrócił się na pięcie. Zbiegając ze schodów, słyszał jeszcze wołanie Jamisona. Zapalił światło w stajni i drżąc ze strachu sprawdził dokładnie wszystkie boksy.

- Przecież go nie wpuściłem - odezwał się Jamison. - Kazałem mu się wynosić i odespać to szaleństwo. I powiedziałem, że między nami wszystko skończone. Że nie zamierzam dłużej zajmować się jego brudnymi sprawami. Nie po tym, co się stało z Renem. Bez względu na konsekwencje.

Gabe stał przed boksem Double'a. Koń wysunął łeb, leniwie obwąchując jego rękę.

- Jesteś skończony, Jamie. Pakuj się i wynoś jeszcze dzisiaj.

- Człowiek ma prawo do własnego miejsca. Powinieneś o tym wiedzieć.

- Taak. Wiem. Ale twoje miejsce nie jest tutaj, już nie.

W ciągu dwudziestu minut Gabe obudził trzech stajennych i postawił ich na warcie przed stajnią. Dopóki nie dopadnie ojca, będą czuwać przez całą dobę. A on wróci, pomyślał Gabe, zmierzając szybkim krokiem do domu. Sprowadzi go chciwość połączona z nienawiścią.

Nic nie zadowoli Pucha Slatera, z wyjątkiem totalnej rozpacz syna z powodu czegoś, co jest dla niego najważniejsze, najdroższe.

Ale tym razem odbędzie się to inaczej. Tym razem.. Na myśl, która przemknęła Gabe'owi przez głowę, krew odpłynęła mu z twarzy. Co jest dla niego najważniejsze?

Najdroższe?

Kelsey!

Gertie wypróbowała nowy nocny krem, który zamówiła za pośrednictwem jednego z kanałów telewizyjnych. Drobną pokusą, której czasami nie mogła się oprzeć. Młoda, energiczna kobieta zachwalała z ekranu krem jako coś niemal gwarantującego ponowne narodzenie się.

Gertie jednak nie oczekiwała cudu. Liczyła tylko na krótkoterminowe powstrzymanie inwazji zmarszczek, które zdawały się pojawiać na jej twarzy z rosnącą regularnością.

Próżność, cmoknęła patrząc na swoje odbicie w lustrze. Idiotyczna próżność kobiety, która przeżyła na tej ziemi ponad pół wieku. Ale kiedy przyjrzała się sobie z bliska, pomyślała, że może uda jej się choć odrobinę złagodzić ostrość zmarszczek wokół oczu, w miejscu gdzie kurze łapki odcisnęły najbardziej widoczny ślad.

Zadowolona z nowego wieczornego rytuału, wstała, by zdjąć sukienkę.

Uśmiechnęła się na dźwięk otwieranych w kuchni drzwi.

Ten chłopak z pewnością splądruje lodówkę, nie mówiąc już o bałaganie.

Chłopcy w wieku Channinga jedzą na łapu - capu. Pójdzie i sama przygotuje mu półmisek, dopilnuje, by popił jedzenie mlekiem, a nie tym gazowanym płynem, do którego tak przywykł.

- Słyszę, że jesteś - powiedziała, wsuwając się do kuchni ze swojej służbówki. -

Nie musisz się zakradać. Usiądź przy stole, przygotuję ci... - Przystanąła, zmarszczyła czoło. W kuchni nie było śladu niczyjej obecności. - Już i uszy płatają mi figla -

mruknęła. - Może i na to złączą coś sprzedawać w telewizji.

Chciała się odwrócić, kiedy poczuła rozsadzający czaszkę ból. Wydała cieniutki jak skarga ptaka jęk i padła na podłogę.

Rich stał nad nią, wyszczerzając w uśmiechu zęby. Uderzając ciężkim tłuczkiem po swej dłoni pomyślał, że palnął starą, chudą szkapę jej własnym wałkiem do ciasta.

Lekko się zataczając, szturchnął Gertie w bok końcem buta.

Stwierdził, że musi odzyskać równowagę. Sięgnął więc do tylnej kieszeni po piersiówkę. Zaklął, gdy na język kapnęło mu tylko kilka nędznych kropli. Wsunął

pusztą butelkę z powrotem do kieszeni i przeszedł nad nieprzytomną Gertie. Muszą tu mieć jakiś

alkohol, pomyślał. Pewnie w najlepszym gatunku. Kiedy tylko zatankuje, zapoluje na śliczną gołąbeczkę Gabe'a.

Przemierzając sypialnię, Kelsey popijała drugą filiżankę herbaty. Chciała, żeby Channing był już w domu. Przynajmniej miałyby z kim porozmawiać. Z kimś, kto jak nikt inny zrozumie to potworne uwikłanie w rodzinną lojalność. Nawet Gabe, przy całej swojej dobrej woli, nie dzieli z nią tych samych wspomnień, tych samych uczuć i frustracji. W obliczu realnych kłopotów Channing był jak opoka.

Rano, za kilka zaledwie godzin, opowie Naomi o wszystkim, czego się dowiedziała. W ten sposób oczyści z winy jedną z kobiet, którą kocha, skazując drugą.

Albowiem, pomimo całej goryczy, złości i bolesnego rozczarowania, nadal kochała swoją babkę.

Jej Wysokość Milicent, pomyślała, zamykając oczy. Jak przeżyje ten skandal, zniesie konsekwencje prawne? Przecież nie da się ich uniknąć.

A czy ona sama, rozważała Kelsey, będzie mogła żyć ze świadomością, że przez to, co zrobiła i co zamierza zrobić, jej własna babka może trafić do więzienia?

Wstrzymała oddech, słysząc brzęk tłuczonego szkła. Channing, pomyślała, odstawiając filiżankę. Nie słyszała, kiedy przyjechał, ale z pewnością jest tam na dole, poruszając się niezdarnie w ciemnościach, w płonnej nadziei, że nie obudzi całego domu.

Z uczuciem ulgi wyszła pośpiesznie z sypialni i zbiegła ze schodów.

Channing, wariacie! Co stukłeś? Jeśli to jeden z kryształowych koni Naomi, będzie cię to drogo kosztowało!

Zatrzymała się na ostatnim stopniu. Nadśluchiwała. W domu znowu panowała cisza. Głucha cisza, od której dostała gęsiej skórki. Nie ośmieszaj się, pomyślała, rozcierając ramiona.

Nie wygłupiaj się Channing. Nie jestem w nastroju do zabawy. Naprawdę muszę z tobą porozmawiać.

Przekręciła kontakt w holu.

- Posłuchaj, wiem, że tu jesteś. Twój koci wdzięk na nic się nie zda. To dla mnie ważne, Channing.

Tym razem już zirytowana ruszyła do salonu. W świetle księżyca ujrzała na dywanie błysk stłuczonego szkła.

- Do diabła! To jeden z jej koni! Świetnie się spisałeś mistrzu' - Przyklęła, by pozbierać skorupy.

Wszystkie konie królowej - powiedział Puch, zapalając światło - Wszyscy ludzie królowej. - Uśmiechnął się z góry do Kelsey. - Ale czy prześlicznej córce królowej uda się pozbierać ich wszystkich na powrót?

Odrzucił głowę i roześmiał się, zadowolony z tak poetyckiego porównania.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Kelsey zatkało ze zdziwienia i bólu, gdy zacisnęła dłoń na odłamku szkła.

Skaleczyła się do krwi. - Ostrożnie, gołąbeczko! - Rich podszedł bliżej. - Mogłabyś się jeszcze pociąć na kawałki. - Cmoknął nad jej ręką, po czym z galanterią ofiarował jej chustkę do nosa. - Nie zakładałem takiego początku, ale uważam, że nadszedł czas, byśmy pogadali. Skoro od tyłu już nocy wygrzewasz łóżko mojego syna.

- Pan jest ojcem Gabe'a. - Kelsey próbowała się podnieść na tyle jednak wolno, że Rich zdążył wyciągnąć rękę i podać jej ramię.

- Rodzinne podobieństwo, prawda? Panie zawsze mówiły, że tworzymy z synem przystojną parę. - Jego błyszczące od alkoholu i czekających go emocji oczy prześlizgnęły się po jej twarzy. - Hmm, z bliska jesteś nawet ładniejsza, laleczko. Nie dziwię się, że mój chłopiec węszył koło ciebie. Wcale się nie dziwię, naprawdę.

Poczekaj. - Przyłożył chustkę do jej krwawiącej ręki. - Zawiąż to.

Posłuchała go automatycznie.

- Jeżeli szuka pan Gabe'a... - Urwała, w porę się reflektując. - On jest na górze -  
dodała. - Pójdę i powiem mu, że pan tu jest.

- Jedyne, czego nigdy nie tolerowałem u kobiet, to kłamstwo. - Błyskawicznym ruchem ręki powalił ją na fotel. - Zapamiętaj to sobie! - Przytrzymując ją ramionami pochylił się nad fotelem. - Gabe'a nie ma na górze! Widziałem, jak cię wysadził z tego swojego szynkownego samochodu jakiś czas temu. Nie rozumiem, po co wrócił do domu, do wyziębionego łóżka, mając kogoś takiego jak ty. Ale on zawsze był mało pojętny.

Poklepał ją po policzku, pęczniejąc z poczucia siły, kiedy cofnęła się przerażona.

- No, ale to nawet świetnie się składa. Mamy okazję się poznać. Fiu, fiu! A co to takiego? - Chichocząc wbił palce w jej pierś i podniósł do góry jej rękę. -

Zaręczynowy? - spytał, wskazując oczami na pierścionek. - Dobrze zgadłem? - Pokiwał

palcem tuż przed jej nosem. - Czyżby mój chłopak chciał z ciebie zrobić uczciwą kobietę, skarbie? No, to prawda, że odbiegasz od większości tych zdzir, które dotąd obłapiał. Nie obrażaj się!

- Nie - odparła, licząc, że zyska na czasie. - Nie obrażam się. Pobieramy się w sierpniu. Mam nadzieję, że i pan z nami będzie.

Gdy zamachnął się i z całej siły uderzył ją w twarz, krzyknęła z bólu i zgrozy.

Jego dobrotliwy uśmiech nie zmienił się ani na jotę.

- Czy ci nie mówiłem, że nie lubię kłamstwa? A poza tym wasze plany obchodzą mnie tyle, co zeszloroczny śnieg. Daj więc sobie z tym spokój!

Zamrugała powiekami, by widzieć go wyraźniej.

- Nie znam pana - powiedziała ostrożnie. Ale dostatecznie dużo wiedziała, by się bać, i drzenie ją zdradzało.

- Znasz mnie. Założę się, że mój kochający syn naopowiadał ci o mnie, ile wlezie. Także twoja mamuśka. - Na myśl o Naomi jego uśmiech przeszedł w grymas. -

Musiała ci mówić o dobrym starym Richu Slaterze.

Kelsey podparła brodę, by ukryć drzenie.

- Przykro mi, ale nigdy o panu nie wspominała. Jego uśmiech się rozplątał.

- Suka. Zawsze była suką. Jesteś od niej nie lepsza.

- W pewnym sensie. Sprawia mi pan ból, panie Slater.

- Rich, kochanie. Albo jeszcze lepiej: tatusiu. Przecież jesteśmy już prawie rodziną. - Rozśmieszyło go to aż do łez. - Jedną dużą, szczęśliwą rodziną. Założę się, że to stare próchno rozsypie się ze złości! Czy ci wspominałem, że znam twoją babkę?

Naprawdę. I to bardzo dobrze. Musi chyba toczyć pianę na myśl, że jej wymuskana wnuczka bawi się w zakładanie gniazdek z moim synem. Ona nienawidzi twojej matki, wiesz? Nienawidzi jej do szpiku kości.

- Wiem.

- Wiesz, co sobie pomyślałem? - Wyciągnął rękę i uszczypnął rozpalony policzek Kelsey tak mocno, że aż jęknęła. - Pomyślałem, że mogłabyś przygotować nam drinka. Wtedy się poznamy.

- Dobrze. - Kiedy się cofnął, Kelsey wstała z fotela. Jej wzrok skierował się ku drzwiom do patio, a następnie ku wyjściu do holu. Gdyby się mogła wydostać z salonu, z pewnością zdołałaby mu uciec.

- Nie próbuj tego, skarbie. - Tym razem uszczypnął ją w ramię, głęboko aż do kości. - Nalej nam parę dobrych łyków.

Jest już pijany, myślała gorączkowo Kelsey. Jeśli naleję mu hojną ręką, mam szansę uspić jego czujność.

- Gabe opowiadał, że dużo pan podróżował.

- Było się tu i ówdzie.

- Lubię nowe miejsca. - Uśmiechnęła się i podała mu kieliszek. - Zdrowie! -

Stuknęła się z nim.

- Twarda jesteś. - Rich wypił jednym haustem brandy, po czym wydał długie westchnienie zadowolenia. - To jedna z cech, które mnie pociągały w twojej matce.

Była jednym długim, zimnym łykiem wody ta Naomi. Ale nigdy nie dała mi spróbować. Innym pozwalała pić dużymi haustami, a dobremu, staremu Richowi nie dała nawet umoczyć ust. Może teraz zechce. Założę się, że ją przekonam, by zmieniła zdanie. Jest na gorze?

- Nie ma jej w domu... - Zanim skończyła zdanie, zatoczyła się do tyłu. Padając widziała przed oczyma gwiazdy.

- Zakłamana suka! - Uśmiechając się lekko, Puch wypił kolejną brandy. -

Zimnooka, zakłamana suka, dokładnie taka jak mamuśka. Może byś wołała, żebym zamiast niej ciebie spróbował?! - Widząc zwierzęce przerażenie na jej twarzy, zaniósł

się śmiechem, aż rozbolały go boki. - Nie, nie, grzebanie w tym samym miejscu, gdzie mój chłopak, nie byłoby w porządku. Poza tym... wolę dojrzsze kobiety. A Naomi jest jeszcze w kursie, no nie? Może teraz, kiedy twoja babka zatrudniła mnie zamiast tego ćpuna Bradleya, sprawy potoczą się inaczej. Może byśmy zapytali mamuśkę, czy nie dałaby teraz spróbować Richowi?

- Trzymaj się od niej z daleka! - Zrobiło jej się niedobrze, zachwiała się na nogach. Gdy jego cios dosięgnął jej oczu, obraz się zamazał. - Zabiję cię, jeśli ją dotkniesz!

- Wykapana matka. Tylko by zabijały za coś, co jest naturalną potrzebą.

- Wiemy o tobie wszystko. - Kręciło jej się w głowie. Oparła się o sekretarzyk.

Pomyślała, że potrzebuje chwili wytchnienia, żeby ustąpił ból głowy, by odzyskała władzę w nogach. - Gabe'a tu nie ma, bo pojechał na policję. Będą tu lada moment.

Zatoczyła się, omal nie upadła, gdy znowu się zamachnął.

- Albo powiesz prawdę, skarbuniu, albo rozkwaszę ci do reszty tę twoją piękną buziunię.

To prawda. Spotkaliśmy się wieczorem z Charlesem Rooneyem. Zadzwoił do nas po pańskim wyjściu. Opowiedział nam wszystko. - By zyskać na czasie, zaczęła powtarzać mu wszystko z drobnymi szczegółami. Teraz jej wierzył: widziała to po jego twarzy. To zaś, co na niej ujrzała, było czymś znacznie gorszym, bez porównania niebezpieczniejszym niż chęć uderzenia jej.

- Jeśli pan tu zostanie, znajdą pana - ciągnęła. - Znajdą i wsadzą do więzienia.



Podobnie jak wsadzili moją matkę. Jeszcze może pan uciec. Jeszcze pan zdąży.

Nie mają żadnych dowodów. Żadnych. - Wziął swoją nietkniętą brandy i wypił

do dna. - Tylko domysły. Poza tym nie zapominaj o swojej babce.

- Nie zapominam. Moją matkę wsadzili, posługując się kłamstwem. Pana zamkną bez trudu, posługując się prawdą.

- On miałby mnie wsadzić! - Rozwścieczony Rich cisnął szklanką, aż roztrzaskała się o kominek. - Moja krew i ciało! On miałby mnie wsadzić! No to postaramy się, żeby tego pożałował! Bardzo pożałował.

Zrobił gwałtowny ruch do przodu. Przerazenie i młodość sprawiły, że Kelsey zdołała uskoczyć w bok. Złapał jedynie rękaw jej bluzki. Kiedy rozdarł się szew, rzuciła się pędem przed siebie w stronę holu.

Złapał ją, przygniół ciężkim chwytem, od którego poczuła ostry, przeszywający ból. Połykając łzy, kopnęła na oślep. Najpierw trafiła go w ramię, następnie w klatkę piersiową. Po każdym ciosie przesuwiała się o milimetr do przodu.

Wiedziała, że ją zabije, była tego pewna. Zatłucze albo udusi tymi wielkimi, zadającymi tępe uderzenia łapami. A kiedy z nią skończy, dobierze się do Naomi.

Krzyknęła przeraźliwie, gdy szarpnął ją z tyłu za włosy. Zrobiło jej się białe przed oczami, w głowie zawirowało ze strasznego bólu. Gdyby mogła wydobyć głos, błagałaby go być może, prosiła i błagała.

- Mam cię! Trzymam. I pomyśleć, że byłaś taką zwinną małą suką! Jej palce wczepiły się w dywan, po czym zacisnęły na drobnym odłamku szkła. Nie zważając na ból i przerażenie, przewróciła się błyskawicznym ruchem na plecy.

Teraz on zawył i cofał się, brocząc krwią z policzka w miejscu, w którym przednia noga szklanego konia rozcięła jego twarz.

Jęcząc z bólu, Kelsey wstała. Potykając się i kulejąc, wybiegła z pokoju, gnana jego przekleństwami.

Na schodach się przewróciła. Z trudem łapiąc oddech, rozpaczliwie usiłowała odpędzić strach, pozbierać choć trochę myśli. Kiedy zawołała, chcąc uprzedzić matkę o niebezpieczeństwie, z jej gardła wydobyło się jedynie ciche miauczenie. Z

zakneblowanymi przez krew i strach ustami wdrapywała się na górę, pragnąc jak najszybciej znaleźć się na piętrze. I wtedy usłyszała doganiającego ją Richa.

- Nie! - Złapała wazon z liliami i cisnęła nim w dół, na niego. Zyskała kilka cennych sekund. Pokrwawionymi rękami schwyciła gałkę u drzwi matczynej sypialni.

- Mamo! O Boże, mamo! - W rozpaczliwym przypiływie siły nacisnęła klamkę, wpadła do środka i zatrzasnęła za sobą drzwi. - Mamo! Wstań! - Szlochając walczyła z zamkiem u drzwi. Ze strachu zdrętwiały jej palce. - Na litość boską, mamo! Wstań!

Jednym skokiem znalazła się przy łóżku matki. Potrząsała nią za ramiona, ciągnęła, błagała.

Co...? - Nieprzytomna po pigułkach nasennych Naomi odepchnęła ręce córki. -

O co chodzi?

On już tu jest! Obudź się! Musimy uciekać. Czy mnie rozumiesz?

- Kto tu jest? - Naomi zamrugwała ociężałymi powiekami. - Kelsey? O co chodzi?

- On nas zabije! Wstań, na Boga! - Ponownie krzyknęła, gdy Rich całym ciężarem ciała napał na drzwi. - Wstań, proszę! - Oddech Kelsey przeszedł w spazm, zwróciła przerażone oczy w kierunku drzwi. - One nie wytrzymają. Słodki Jezu, nie wytrzymają! Rewolwer! Masz jeszcze rewolwer?

Modląc się w duszy, otwierała szufladę nocnego stolika. Był tam, błyszczał

chromem w poświacie księżyca.

Co ty robisz? - zaspana, ledwo przytomna Naomi z największym trudem uklękła na łóżku. - Dobry Boże, Kelsey, co ty robisz? Kto się dobija?

Kiedy drzwi puściły, Kelsey patrzyła prosto przed siebie. Przemagając drzenie palców, trzymała obiema rękami rewolwer.

Wtargnął do środka. Z policzka spływała mu krew. Przed sobą widział tylko Naomi, klęczącą na łóżku w cienkiej, jedwabnej koszuli, zsuwającej się z ramienia.

Błyskając zębami, rzucił się ku niej. Spust rewolweru ożył pod palcami Kelsey; poczuła wibrację w ramionach.

Nigdy nie usłyszała strzału.

- Alec? - W głowie Naomi zawirowało, obrazy z przeszłości nakładały się na teraźniejszość.

- To nie Alec. - Kelsey usłyszała swój cichy, jakby dochodzący z oddali głos. - To ojciec Gabe'a! Zabiłam ojca Gabe'a!

- Slater? - Na wpół śpiąca Naomi wydostała się z łóżka i podobnie jak przed laty pochyliła nad martwym mężczyzną. Zanim się wyprostowała, odruchowo sprawdziła jego tętno. - Rich Slater? - przetarła ze zdziwienia oczy. - Co tu, na Boga, się dzieje?

- Zabiłam go. - Kelsey opuściła ramię; z jej ręki zwisał rewolwer. Naomi spojrzała na twarz córki. Rozpoznała przerażenie, niedowierzanie, strach. Zmusiła się, by na drżących nogach postąpić do

przodu.

Usiądź, Kelsey. Wszystko w porządku, usiądź. - Podprowadziła ją delikatnie do brzegu łóżka. Teraz nic nie było ważne, nic oprócz Kelsey.

Daj mi rewolwer. W porządku. - Odłożyła go na bok. Dokładnie wiedziała, co ma robić. - Włóż głowę między nogi i oddychaj.

- Nie mogę. Nie mogę oddychać.

- Możesz. Powoli i głęboko. O tak, dobrze, kochanie. - Kiedy Kelsey starała się być posłuszna, Naomi obmyśliła swój plan. - Dobrze. Teraz ci powiem, co zrobimy.

Chcę, żebyś uważnie mnie wysłuchała i zrobiła dokładnie to, co powiem; dokładnie, jak powiem. Zrozumiałaś?

- Chciał mnie zabić. I ciebie. Mógł nas zabić obie. Dlatego ja go zabiłam. Nie pamiętam, kiedy nacisnęłam spust, ale przecież musiałam to zrobić - zaczęła szcząkać zębami - skoro go zastrzeliłam.

- Nie, to ja go zastrzeliłam. Spójrz na mnie, Kelsey. - Naomi delikatnie uniosła pokaleczoną twarz córki. - O Boże! - Zadrżała; wpijała paznokcie w zaciśnięte dłonie tak długo, aż ból wyrwał ją z szoku. - Posłuchaj mnie, malutka. Wpadł tu i... - Musnęła ranę na policzku Kelsey. - I cię okaleczył. Wtedy wyjęłam rewolwer i go zastrzeliłam.

- Nie, to nie tak. Nie mogłam cię obudzić.

- Nie, nie, skarbie. Nie spałam, kiedy tu wbiegłaś. A wbiegłaś, uciekając przed nim. Potem on wyważył drzwi i ja go zabiłam. Wezwę teraz policję. Powtórzymy im dokładnie to, co powiedziałam.

- Ja nie... - Kelsey podniosła rękę do wirującej głowy. - Ja nie... - szarpnęła się i wrzasnęła, słysząc tupot dudniących po schodach kroków.

- Chryste Panie! - Gabe rzucił okiem na ojca, po czym utkwiał wzrok w dwóch skulonych na łóżku kobietach. - Kelsey! - Jednym susem doskoczył do niej, złapał jej krwawiące dłonie. - Okaleczył cię. Twoja twarz! - Poderwał się z dzikim spojrzeniem. -

Zabiję go!

- Już to zrobiłam - powiedziała spokojnie Naomi. - Gabe zabierz ją stąd.

Zaprowadź do jej pokoju. Ja wezwę policję.

- Nic mi nie jest - zapewniała Kelsey, ale gdy stanęła, pokój nagle rozpląnął się przed jej oczami.

- Musisz się położyć. - Gabe wziął ją na ręce. - Zajmę się tobą. - Popatrzył na Naomi. - Zajmę się nią.

- Przytrzymaj ją tam, dopóki nie skończę. - Naomi podniosła słuchawkę.

- On tutaj był - wyszeptała Kelsey. - On tutaj był. Stłukł konia.

- Leż spokojnie. - Gabe położył ją na łóżko. Pragnął ją trzymać. A zarazem rozwalić cokolwiek w drobny pył. Zamiast tego przykrył ją narzutą. Drżała, miała zwężone z przerażenia źrenice. A jej twarz... Dłonie Gabe'a zacisnęły się bezradnie. Jej twarz była pokaleczona, zalana krwią. Nie mógł myśleć; po prostu nie mógł dopuścić do siebie myśli, że zrobił to jego ojciec.

Pospieszył do łazienki, zwilżył myjkę, nalał kubek wody.

- Masz, dziecinko. - Czułym, delikatnym ruchem podparł ją ramieniem i przysunął kubek do jej ust. - Wypij, proszę.

- Był na dole... - Kelsey nerwowo skubała narzutę. - To nie był Channing. Stłukł

konika. Był tam. Uśmiechał się. Bił mnie i się uśmiechał.

Ręka trzymająca wilgotną myjkę zacisnęła się, aż pobieleły kostki.

- Już nigdy cię nie skrzywdzi. - Drżącymi palcami Gabe obmył krew z jej twarzy. - Zaufaj mi. Już nigdy nikt cię nie skrzywdzi.

- Nie mogłam udawać. - Skuliła się, wstrząsana dreszczami. Było jej zimno, tak bardzo zimno. - Próbowałam, ale byłam przerażona i wściekła. On to zauważył i znowu mnie uderzył. - Przyłożyła poranioną twarz do jego szyi, poczuła jego ciepło. -

Miał takie wielkie ręce...

Których używał przeciwko kobietom, zasępił się Gabe.

- Powinienem był go zabić za to - wycedził. - Zabić go własnymi rękami za to, co ci zrobił.

- To nie chodziło o mnie. - Kelsey poczuła się nagle zmęczona, tak potwornie, potwornie zmęczona. - Chodziło o ciebie. To ciebie chciał skrzywdzić.

- Wiem. - Gabe musnął wargami jej czoło i ostrożnie ułożył ją na poduszkach. -

Teraz jest już po wszystkim.

Zamknęła na chwilę oczy. W miarę jak opadały z niej napięcie i przerażenie, do głosu dochodził ból. Była cała obolała.

- Przyszedłeś. - Na oślep zaczęła szukać jego ręki, aż ją znalazła i chwyciła.

- Taak. - Spojrzał na ich złączone dłonie. - Przeczucie. Tylko dlaczego wpadłem na to tak późno?!

Znowu otworzyła oczy; Gabe dostrzegł w nich nagłą panikę.

- Naomi!

- Ma się doskonale. Gdybyś była sama... - Na tę myśl ogarnęło go przerażenie. -

Kelsey, zostawiam ci wolną drogę.

- Wolną drogę? - Podniosła rękę, by zbadać swoją rozpaloną twarz.

- Uczciwość nakazywałaby mi odejść?

- Odejść? - Gęsta mgła zaczęła się podnosić. Kelsey widziała go teraz wyraźnie.

Jego napiętą twarz, jego oczy, w których odbijały się kipiące w nim uczucia. - Gabe. -

Dotknęła jego policzka, jakby chcąc mu przywrócić barwy i spokój. - Nie rób tego.

Czuję się dobrze, nic mi nie jest.

- Okaleczył ci twarz. Podarł ubranie. Sterroryzował cię. - Świadomie wyrwał

rękę z jej uścisku i wstał. - Był moim ojcem. Nieważne, że przez całe życie starałem się wyzbyć wszystkich jego cech. To sprawa krwi. Tego się nie da zmienić. W twoim życiu nie ma dla mnie miejsca, Kelsey. Największą przysługę, jaką mogę ci wyświadczyć, jest wycofać się.

Uniosła się z wysiłkiem. Znowu poczuła ostry ból w całym ciele. Czy prosiłam cię o wyświadczenie mi jakiejś cholernej przysługi? - warknęła. Skrzywiła się, gdy wycie syren wdarło się w nocną ciszę i w jej pulsującą z bólu głowę. - Skoro jednak chcesz coś dla mnie zrobić, podaj mi aspirynę, a pompatyczne gesty zachowaj dla siebie.

- Staram się być szlachetny. - Uśmiechnął się blado.

- Nie jesteś w tym dobry. A poza tym nie podoba mi się szlachetność. Ty mi się podobasz. - Zgarnęła do tyłu włosy, spojrzała na niego, mrużąc oczy. - Myślisz, że mógłbyś się wycofać teraz, kiedy jestem rozłożona na obie łopatki? Zawarliśmy umowę, Slater, i nie dam się wykiwać.

- Nigdy nie kiwam. - Ponownie usiadł na brzegu łóżka i delikatnie położył ręce na jej ramionach. - Zapewniam cię, że to była moja ostatnia próba okazania szlachetności. A swoją drogą ładny ze mnie bohater! To ja powinienem go zabić, Kelsey. Przycisnęła do piersi jego dłoń.

- Nie. Nie mogłeś wiedzieć, że się tu pojawi, że to zrobi. A mimo to przyszedłeś.

- Zmarszczyła czoło. - Dlaczego właściwie się zjawiałeś?

- Teraz to bez znaczenia. Ale to ja powinienem był to zrobić, nie Naomi. Kelsey cofnęła się, znowu pobladała.

- To nie był ty - powiedziała powoli - i to nie była Naomi. To ja zabiłam twojego ojca, Gabe.

Naomi sączyła powoli brandy. Siedziała w kuchni. Jasne, bardzo jasne światło drażniło oczy. Drżały jej ręce.

Ale z tym sobie poradzi. Na pewno poradzi.

Mogła myśleć jedynie o córce. Okaleczonej, przerażonej. I o Gertie. Kochana Gertie była w drodze do szpitala.

- Musiał wejść tędy - powiedziała. - Uderzył Gertie. Czy nic jej nie będzie?

Wróci do zdrowia? - Na ułamek sekundy straciła nad sobą panowanie, zadrżały jej wargi. - Jest taka drobna i taka bezbronna.

- Lekarz poinformował, że jest przytomna, panno Chadwick. - Rossi zniżył głos.

Ta kobieta wygląda tak, jakby w każdej chwili miała się rozsypać w kawałki, pomyślał.

- Gdy tylko dowiozą ją do szpitala, postaramy się o wiadomość.

- Moses powinien być z nią pojechać. Powinnam go była o to prosić.

- Nie opuściłby pani. I tak z trudem udało nam się zatrzymać go na zewnątrz.

Proszę mi opowiedzieć, co się tu wydarzyło.

Naomi wzięła głęboki oddech.

- Wtargnął do domu. Nie wiem jak. Byłam na górze, spałam. Obudził mnie hałas. Zanim się podniosłam, do mojej sypialni wpadła Kelsey. Przerażona, bliska hysterii. Jej twarz... była cała zakrwawiona.

Przycisnęła dłoń do ust. Przespała to. Spała, gdy bił jej dziecko!

- Po chwili usłyszałam dobijanie się do drzwi sypialni. Jakby ktoś napierał na nie. Z szuflady obok łóżka wyjęłam rewolwer. Kiedy wyważył drzwi, zastrzeliłam go.

Rossi obserwował ją. Ujęła szklankę w obie ręce, by nie rozlać płynu.

- Była pani w łóżku, strzelając do niego, panno Chadwick?

- Tak. Nie. - Odstawiła szklankę. Musi być ostrożna. Musi być bardzo ostrożna.

- Stałam już przy oknie. To wszystko wydarzyło się bardzo szybko.

- Powiedziała pani, że obudził ją hałas, ale córka pani wbiegła, zanim zdążyła pani się podnieść i zobaczyć, co się dzieje?

- Tak. - Dlaczego oni zawsze powtarzają to, co im człowiek powiedział? Już kiedyś to samo robili, pomyślała. I nieważne było, co im mówiła. Zupełnie nieważne.

Czy po wezwaniu policji była pani w salonie, panno Chadwick?

- Nie. - Zacisnęła wargi. Jeśli to jakiś podstęp, nie potrafi go rozszyfrować. -

Nie schodziłam na dół. Byłam na górze do waszego przyjazdu.

Niezły ma tam pani bałagan. Krew, połamane meble. Wyrządzenie tylu szkód musiało zabrać niemało czasu. Dostatecznie dużo, by wyjść z łóżka i zobaczyć, co się dzieje.

- Byłam... byłam przerażona. - Czy ma się przyznać, że zażyła pigułkę nasenną?

Tak. Nie. - Zostałam w pokoju, ponieważ byłam przerażona.

Miała pani pod ręką telefon, a w szufladzie rewolwer! Napotkała jego wzrok.

- Włamał się do mojej sypialni - powtórzyła konsekwentnie. - Więc go zastrzeliłam.

- Nie, ona tego nie zrobiła. - W kuchni pojawiła się Kelsey. Choć była wdzięczna Gabe'owi, że podtrzymał ją ramieniem, uwolniła się i postąpiła krok do przodu. -

Ona nikogo nie zabiła.

- Nie powinnaś była tu schodzić. - Skonsternowana Naomi poderwała się od stołu. - Zabierz ją na górę, Gabe. Widać przecież, że jest pokaleczona. - Rozpaczliwym gestem złapała Rossiego za ramię.

- Widzi pan, że jest poraniona. Niech pan się przyjrzy, co ten drań jej zrobił! Niech pan się przyjrzy, co zrobił mojemu dziecku! Ona jest w szoku. Nawet nie wie, co się stało.

- Przestań! - Kelsey podeszła do stołu. W ostrym świetle jej rany i siniaki wyraźnie uwidaczniały się na tle bladej cery. - Nie pozwolę ci na to. To nie jest konieczne. I to nie jest w porządku.

- Proszę usiąść, panno Byden - zwrócił się do niej Rossi. - Proszę nam opowiedzieć, co się wydarzyło.

- Nie! - W mgnieniu oka Naomi okrążyła stół i schwyciła córkę za ramię. -

Posłuchaj mnie, Kelsey. Jesteś pokaleczona i wytrącona z równowagi. Gabe zabierze cię do szpitala, a ja sobie tutaj poradzę.

- Nie. - Kelsey potrząsnęła głową i przytuliła się do matki. - Nie, mamu.

- Nie dopuszczę, byś przez to przechodziła. Nie dopuszczę! - Naomi obejmowała ją drżącymi ramionami. - Nawet nie wyobrażasz sobie, jak to jest! Nie liczy się, co powiesz. Zabiorą cię, Kelsey. Proszę, proszę, posłuchaj mnie!

- Liczy się - wyszeptała Kelsey. - Teraz jest inaczej niż poprzednio. Nie jest inaczej, pomyślała Naomi. Oczywiście, że nie jest.

- Na rewolwerze są moje odciski palców. - Z kamienną twarzą Naomi zwróciła się do Rossiego. - Rewolwer był w moim pokoju. Ten człowiek został zabity w moim pokoju. To powinno wam wystarczyć.

- Naomi - odezwał się cicho Gabe - usiądź, proszę.

- Powiedziała, żebyś się nią zajął. - Spojrzała na niego. - Obiecałeś, że to zrobisz. Więc zabierz ją na górę.

- Panno Chadwick. - Rossi obserwował jej oczy. - Istnieje bardzo prosty test, który wykaże, która z was nacisnęła spust.

- Nie dałabym złamanego centa za ten test. Nie wsadzicie mojej córki do celi!

- Myślę, że dojdziemy w tej sprawie do porozumienia. Proszę usiąść - odparł

Rossi.

- Uspokój się, proszę. - Kelsey objęła matkę ramieniem. - Nie masz się czym przejmować. Obiecuję ci!

- Może nalać pani trochę brandy, panno Byden? - zapytał Rossi, kiedy Kelsey usiadła przy stole.

Dziewczyna spojrzała na kieliszek i wzdrygnęła się.

- Nie, dziękuję. Straciłam ochotę na brandy. - Wzięła głęboki oddech. -

Usłyszałam na dole brzęk tłuczonego szkła - zaczęła...

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY**

Trawa pokryta była błyszczącą rosą. Ze swojego fotela w patio. Kelsey obserwowała grę promieni, wiedząc, że wkrótce mocne słońce osuszy trawę i pozbawi ją tego widoku. Poniżej, przy stajni, zajmowano się końmi, czyszczono boksy, napelniano żłoby. Była jeszcze na tyle obolała, że - choć niechętnie - pogodziła się z myślą o przymusowym leniuchowaniu przez cały najbliższy tydzień.

Obejrzała się, słysząc skrzypienie otwieranych drzwi, i uśmiechnęła się do matki.

- Jak Gertie?

- Czuje się lepiej. Już zaczyna marudzić i koniecznie chce wstać. -

Westchnąwszy Naomi usiadła, wyciągając przed siebie nogi. Miała ochotę nalać sobie kawy ze stojącego przed Kelsey dzbanka, ale nie starczyło jej energii - czuła się kompletnie rozleniwiona. -



Musiałam się odwołać do jej poczucia winy, żeby zatrzymać ją w łóżku przez dzień lub dwa. Powiedziałam, że zmartwi mnie, jeśli wstanie.

- Chytrze!

- Ważne, że podziałało. Na razie wykupuje różne rzeczy za pośrednictwem kanału handlowego telewizji. Jak się czujesz?

- Świetnie, pod warunkiem, że nie patrzę do lustra. - Kelsey skrzywiła się. Po dwóch dniach niektóre siniaki zaczęły blednąć, ale inne ślady obrażeń były wciąż świeże. - Gdy tego nie robię, prawie wszystko wydaje mi się jak ze snu. Nie wiem, czy to właściwy stan. Wiem, że zabiłam człowieka, ale chyba nie jestem tym przerażona.

Nie próbuj nawet poczuwać się do winy. Zrobiłaś, co musiałaś. W obronie własnej i mojej. - Naomi wystawiła twarz do słońca. - Nawet go nie pamiętam, Kelsey.

To znaczy niezupełnie. Pewnie widywałam go niekiedy na wyścigach. Może nawet zamieniłam z nim parę słów. Ale tak naprawdę nie przypominam go sobie, chociaż staram się ożywić w pamięci jego obraz. Jak mogę nie pamiętać człowieka, z którego powodu moje życie zostało wywrócone do góry nogami?

- Nigdy cię nie obchodził. I wiedział o tym. To był ważny element narastającego w nim gniewu. No i znalazł sposób, żeby cię ukarać, a przy okazji osiągnąć” zysk finansowy. - Kelsey podsunęła matce półmisek z rogalikami.

- Sun Spot - westchnęła Naomi. - Boże, kochałam tego konia. Tak, nie ulega wątpliwości, że dużo mnie to kosztowało.

- Ona... to znaczy babcia... posłużyła się Alekiem Bradleyem. Zresztą nie tylko w tej sprawie. Wykorzystywała również Cunninghama.

- Bill - Naomi wzięła długi oddech i potrząsnęła głową - jest większym głupcem, niż przypuszczałam. I co mu z tego przyszło, Kelsey, wtedy i teraz?

- Za pierwszym razem uszło mu to płazem. Ale tym razem zapłaci. Policja i Komisja do Spraw Wyścigów dopilnują, by zapłacił za to, co zrobił Pride'owi, a także Sun Spotowi.

- Przez tyle długich lat nikt nie skojarzył tych faktów.

- I na tym mogłoby się skończyć - na kłamstwach i podłości, gdyby nie Gabe.

Gdyby nie dobrał właściwej karty! - uśmiechnęła się, kiedy Naomi ułamała kawałek rogalika. - Gdyby własnym wysiłkiem nie stał się takim człowiekiem, jakim jest.

- I gdybyś się w nim nie zakochała. Już samo to oddała i łagodzi cały ten koszmar. Kiedy pomyślę, czym to się mogło skończyć...

- Ale nic się nie stało. Puch Slater zapłacił za zło, które czynił. Sprawa jest zamknięta. Działanie w samoobronie.

Teraz widzę, że głupio zrobiłam, okłamując policję. - Odłożyła na bok kawałek bułeczki. - Zresztą Rossi i tak mi nie uwierzył. Czy to nie ironia? Raz powiedziałam prawdę, raz skłamałam. I w obu wypadkach nikogo nie przekonałam.

Próbowałam mnie chronić. - Nadszedł czas, postanowiła Kelsey, by powiedzieć Naomi o wszystkim. Żeby tylko matka ją dobrze rozumiała. - Próbowałam mnie chronić już wcześniej, kiedy byłam dzieckiem. W obu wypadkach nie miałaś racji. I w obu wypadkach miałaś rację.

- Co to za łamigłówka?

- Potrzebowałam dużo czasu, aby zdać sobie sprawę, że nie zawsze istnieje jedna odpowiedź. - Kelsey zacisnęła wargi, po czym kontynuowała: - Jestem ci wdzięczna za to, co robisz dla Milicent.

Nie, proszę, nie zzymaj się na mnie. Jestem wdzięczna, nawet jeśli w głębi serca nie potrafię tego zrozumieć, nawet jeśli jest to kłamstwo.

- Jakie to ma teraz znaczenie, Kelsey? Po co wywlekać na wierzch całą historię i niszczyć resztę jej życia? - Śpiewały ptaki, a ich trele dodawały otuchy. - To i tak nie przywróciłoby mi tamtych lat. Nie zmieniliby tego co się stało z Mickiem, Pride'em, Renem.

- Ona jest za to odpowiedzialna, za wszystko. - Kelsey czuła wstyd i rozgoryczenie. - Nieważne, że nie zamierzała nikogo zabić, odpowiedzialność pozostaje. Zlecać wynajętym ludziom wykonanie czegoś, co uważała za konieczne dla ochrony rodzinnego nazwiska?! Jakież ona ma teraz nazwisko? Jaki honor? -

dopytywała Kelsey.

- I właśnie z tym będzie musiała żyć. Od tego nie ucieknie.

- Wiem.

Naomi uniosła brew.

- Zresztą to nie jest takie całkiem bezinteresowne z mojej strony. Nie chcę przez to przechodzić, mieć do czynienia z policją, z prasą. Otrzymałam dar w postaci twojej wiary we mnie. Uwierzyłaś mi na tyle, aby przy mnie zostać.

- Nie tylko ja ci uwierzyłam. A teraz wszyscy się dowiedzą, jak to było z Alekiem Bradleyem, jak było z Pride'em, i cała pozostała część historii wyjdzie na jaw.

- Nie dbam o to. - Naomi postanowiła w końcu nalać sobie kawy. -

Rozmawiałam na ten temat z Mosesem i oboje jesteśmy tego samego zdania. -

Uśmiechnęła się, dolewając śmietankę do kawy. - Kiedy kobieta ma mężczyznę, który jest przy niej w najtrudniejszych chwilach, cała reszta jest już prosta.

Spojrzała w kierunku, z którego dochodził warkot wjeżdżającego' na podjazd samochodu.

- To pewnie Gabe.

- Byłoby nieźle. Mieliśmy przy śniadaniu omówić warianty menu na przyjęcie.

- W takim razie zostawię was samych.

- Nie, zostań. Doradzisz nam, skorygujesz to i owo. Kelsey pochyliła się i wzięła matkę za rękę.

- Kocham cię.

W Naomi wezbrała fala uczuć, po czym ogarnął ją błogostan.

- Wiem.

Kelsey podniosła się i ruszyła przez patio na spotkanie Gabe'a. Zrobiła wielkie oczy, widząc z nim swego ojca. Zdziwiona patrzyła to na jednego, to na drugiego i z powrotem.

- Tatusz?!

- Och, Kelsey! - Philip odruchowo ujął jej twarzyczkę w obie dłonie. Mimo że Gabe opowiedział mu o wydarzeniach, nie był na to przygotowany. - Och, kochanie!

- Nic mi nie jest, naprawdę. To wyglądało znacznie gorzej. Wybierałam się do ciebie za parę dni. - Kiedy będę mogła pokazać się ludziom, pomyślała, rzucając Gabe'owi pytające spojrzenie.

- Ten oto młody człowiek słusznie postąpił, opowiadając mi całą historię. Całą historię - powtórzył, patrząc jej w oczy. - Pominęłaś przez telefon bardzo wiele szczegółów, Kelsey.

Inny rodzaj kłamstwa, przemknęło jej przez głowę. Grzech zaniedbania.

- Pomyślałam, że tak będzie lepiej. Przede wszystkim chciałam, byś wiedział, że dobrze się czuję, zanim dowiedziałbyś się o wszystkim z gazet. A ja naprawdę czuję się dobrze.

- Tak też mi powiedziano. - Philip odwrócił się do Gabe'a, po czym jego wzrok przesunął się i zatrzymał ponad ramieniem Kelsey. Odsunęła się na bok, stając pomiędzy rodzicami.

- Tatusz chciał zobaczyć, czy dobrze się czuję... - zaczęła.

- To oczywiste. - Naomi przytaknęła ruchem głowy i opuściła ręce na biodra. -

Witaj, Philipie.

- Naomi. Świetnie wyglądasz.

- Ty również.

- Ach... - Kelsey błyskawicznie zaczęła szukać w myślach sposobu na rozładowanie nieco niezręcznej sytuacji. - Channing jest w stajni. Może byś poszedł ze mną do niego, tatku? Zdziwisz się, gdy go zobaczysz przy pracy, a on zbaranieje na twój widok. - Spojrzała bezradnie na Gabe'a.

- Jestem pewna, że chciałbyś porozmawiać z Kelsey - odezwała się Naomi. -

Właśnie zamierzałam sama pójść do stajni. Powiem Channingowi, że jesteś.

- Nie, ja... - zaczął Philip, po czym już spokojnie dodał: - Teraz wolałbym porozmawiać z tobą. Jeśli masz czas.

- Dobrze.

- Chodźmy się przejść - szepnął Gabe i wziął Kelsey za rękę.

- Nie wiem, od czego zacząć, Naomi. Gabe mi wszystko opowiedział. Wszystko

- powtórzył Philip ze ściśniętym sercem. - Był na tyle miły, że poczekał na mnie, gdy do niej poszedłem. Bo musiałem się z nią zobaczyć - dodał - przed przyjazdem tutaj.

- Rozumiem.

- Rozumiesz? - Wyczerpany do ostatnich granic Philip wsunął palce pod okulary i przycisnął oczy. - A ja nie. Nie mogę tego pojąć. To wszystko, co zrobiła, ten ból, który nam sprawiła... A teraz, podczas konfrontacji ze mną, była nieugięta.

Niewzruszona - dodał i opuścił ręce. - Nie widzi w tym nic złego, wyłącznie konieczność. Ludzie nie żyją, a ona nie poczuwa się do winy! Ani wobec nich, ani wobec ciebie.

- I to cię dziwi? Skrzywił się.

- Przecież pozostaje moją matką, Naomi. Pomimo wszystko. Obmyślałem tysiące sposobów, żeby cię przeprosić, ale nic już nie naprawi tego, co zrobiła ona, tego co zrobiłem ja! - Zdjął okulary i potarłszy oczy, ponownie je nałożył. - Naprawdę, nie wiem, co powiedzieć, Naomi.

- To już przeszłość, Philipie.

- Zawiodłem cię. Tyle lat temu zawiodłem cię.

- Nie, to nieprawda. Choć był czas, kiedy tak myślałam, bo to mi pomagało.

Rzecz w tym, że nie byłam taka, jaką chciałeś mnie widzieć. Milicent nie jest za to odpowiedzialna. Sprawiała tylko, że to sobie uświadomiłeś.

- Mogła nie dopuścić, żeby cię aresztowano.

- Tak.

- A to, co zrobiła teraz? Tobie i Kelsey?! - Wstrzymał oddech, gdy ujrzał oczyma duszy okaleczoną twarz córki. - Mój Boże, Naomi. Mógł ją zabić.

Broniła się. Broniła także mnie. - Przyglądała się mu, widziała w jego oczach ból i niedowierzenie. - Nic nie mogę zrobić, byś nie czuł tego, co czujesz. Kelsey zadano ból, zmuszona była się bronić, odbierając życie. A ty i ja nigdy tego nie zapomnimy. Nie zapomnimy, kto sprowokował ten łańcuch wydarzeń. Być może -

dodała powoli i z namysłem - będzie to dostateczna kara dla Milicent.

- Nie mogę... - głos Philipa drżał, załamywał się... - w żaden sposób nie mogę naprawić zła.

- Nie musisz niczego naprawiać. Na przekór wszystkiemu Kelsey ma to, czego pragnęła. Ja również. - Naomi lekko wygięła wargę. - Mam farmę, mężczyznę, który mnie kocha, i moją córkę. Uczyniłeś z niej wspaniałą kobietę, Philipie. Zawsze wiedziałam, że ci się uda.

- Jest tak do ciebie podobna. - Przyglądał się kobiecie, która była niegdyś jego żoną. Tak dużo się zmieniło i tak mało. - Dobry Boże, Naomi, gdybym mógł cofnąć czas, coś zrobić. Cokolwiek.

- Nie musisz. - Zawsze był taki prawy, pomyślała. Teraz cierpiał, ponieważ ani prawością, ani honorem nie sposób usunąć cierpienia. - Oczekiwaliśmy od siebie czegoś, czego żadne z nas nie mogło dać drugiemu. Popełnialiśmy błędy. Błędy, które wykorzystywaliśmy przeciwko sobie, a które inni wykorzystali przeciwko nam. Oboje padliśmy ofiarą potrzeb kogoś innego, Philipie.

- Drogo za to zapłaciłaś.

- Ale też i zyskałam. Kelsey mnie kocha. To takie naturalne. Takie cudowne.

Dajmy więc spokój całej reszcie. Zamknijmy sprawę. - Wciągnęła powietrze. - Wiesz, często się zastanawiałam, jak się będę czuła, jeśli znowu cię spotkam.

- Ja także o tym myślałem, Naomi. I jak się czujesz?

- Cieszę się, że cię widzę, Philipie.

- Czy myślisz, że możemy ich tak długo zostawić samych?

- Tak, tak myślę. - Na potwierdzenie tego, Gabe ofiarował Kelsey swoje pomocne ramię. - Mają do omówienia stare sprawy.

- Tak... - Spojrzała przez ramię za siebie. Jej rodzice nadal stali; dzieliły ich metry. - Tatuś jest taki smutny.

- Jego świat zachwiał się w posadach. Ale wróci do normy. Może to już nie będzie to samo, ale wróci.

- Candace nie pozwoli mu zbyt długo pograżać się w smutku. - Kelsey ciągle jeszcze powłóczyła nogą. - Gabe, co cię skłoniło, żeby go tu przywieźć?

- Musimy zamknąć koło - odparł - by rozpocząć własne życie.

- Jak to ładnie brzmi. - Oparła głowę na jego ramieniu. - Jesteś cholernie sprytny, Slater. I przebiegły. Żeby tak za moimi plecami sprowadzić go tutaj!

- Zamierzałem tylko zobaczyć się z nim. Przyjazd tutaj to jego pomysł. Pragnie pojednania z Naomi.

- Pojedna się. - Uśmiechnęła się do siebie. W końcu to była jej osobista, prywatna bajka. - Kocham to miejsce - szepnęła. - Kocham tu wszystko, co mnie otacza. Pomyśl o czempionach, jakich się doczekamy, Gabe.

- Czy mówimy o koniach? Śmiejąc się potrząsnęła głową.

- Nie tylko. Masz coś przeciwko temu?

- Nie, żadnych zastrzeżeń!

Poprowadził ją daleko od stajni, od ludzi ku wzgórzom, gdzie skubały trawę klacze z młodymi, a ogiery uganiały się za własnym cieniem.

- Na wiosnę urodzi się źrebak. Jego matka pochodzi z Three Willows, ojciec zaś z Longshot. - Przytulił ją do siebie. - Nie zapomnę dnia, w którym został poczęty, a ja patrzyłem na ciebie i chciałem, żebyś do mnie należała.

- No i należę. - Objęła go za szyję. - I co dalej?

- Mam świeżą talię kart. - Poklepał się po kieszeni. - Wszystko może się zdarzyć.

- Wszystko? No cóż... - Przyciągnęła jego usta do swoich warg. - Rozdaj je.

# Table of Contents

[\\*1](#)  
[at\\*](#)  
[Bleu\\*](#)  
[nic\\*](#)